Zygmunt Wasilewski

„Życiorys 1865–1939”

1940 r.

Maszyn. k. 166 (cz. I, II), k. 158 (cz. III)





Z. Wasilewski: „Życiorys"

Fragmenty opublikowane zostały w 37 odcinkach „Myśli Polskiej" w nrach od 338 z 1. V. 1958 do nr. 378 z 1. II. 1960 r.

Streszczenie z wyjątkami we wstępie ~~do~~ Tadeusza Wasilewskiego do: Zygmunt Wasilewski „Pokolenie w służbie narodu" (Biblioteka Polska, Seria czerwona, tom 58) Londyn 1962, s. 7-30.

Bibliografię podmiotową przedrukowano także, s. 223-230.

1

Zygmunt Wasilewski

ŻYCIORYS

1865 - 1939

stron ~~148~~ 166 i 158

1940

B.J

I

II

P r z e d m o w a.

Namawiali mnie przyjaciele, zwłaszcza młodzi, ciekawi związków z czasami ubiegłymi, abym zostawił po sobie pamiętnik. Odkładałem nawet pomyślenie o tym, póki była praca, bieżąca w przyszłość. Ale przyszła chwila właśnie ta, kiedy to piszę, że zegary przestały bić nad Polską, gdy człowiek, znalazłszy się w pustce społecznej, został sam na sam ze swoim wspomnieniem; wtedy ręka nałożona do pracy sięgnęła po pióro, by te wspomnienia zapisać.

Pamiętnik czy tylko życiorys? I to, i to potrzebne - przekładał mi prof. Władysław Konopczyński. Materiał biograficzny potrzebny jest "Słownikowi", wydawanemu przez Akademię pod redakcją tego właśnie historyka, ale z drugiej strony każdy ma obowiązek - tak wzywał przez prasę ten uczony - zapisać, co się koło niego działo; potrzebne to historiografii. Przekonał mnie.

Wiele jednak mam skrupułów, żeby to, co napiszę, nie było zbyt pretensjonalne. Bo jakież pretensje do historii może mieć człowiek, który nie pozostawia za sobą czynów, gdy nie był działaczem, jeno był dziennikarzem, który tylko opinię i zdarzenia płynące referował. Pamiętnikiem jego są to roczniki pism, które redagował, ale co z tego wszystkiego z jego życiem się klei, to może być za mało interesujące. Wybrałem typ literackiego opowiadania, w którym biografia będzie kośćcem, pamiętnikarska jednak strona wolna będzie od pretensji dziejopisarskiego traktowania epoki.

Musi zresztą tak być z konieczności. Pisać mogę tylko z pamięci. Stan bowiem mojego wzroku nie pozwala mi korzystać z notatników, których nikt inny nie odczyta. Wiadomo zaś, jak jest z pamięcią: im młodsze lata, tym lepiej się je pamięta; to znaczy odległość sprawia selekcję przeżyć, że pamięta się wyraźniejsze. Im dalej w las, tym gęściej tłoczą się zdarzenia i trudniejszy wybór. Ale te lata - pocieszam się - bliżej są znane czytelnikowi mego życiorysu, jeśli nie z przeżyć, to w szerokim tle doniosłych faktów i mądrych ocen tak wybitnych a bliskich mi pisarzy, jak Roman Dmowski, Marian Seyda, Stanisław Głąbiński. Moja ścieżka wić się będzie między tymi pagórami. Dzielę tę drogę na trzy etapy 25-letnie.

Z.W.

Warszawa, zima 1939-1940.

SPIS RZECZY.

Dodatek.

5

Część pierwsza

MIŁE ŻYCIA POCZĄTKI

1865 - 189o

1. Pochodzenie rodowe.

O dziadku swoim generale Józefie Wasilewskim i o jego przodkach dałem obszerną wiadomość w osobnej monografii wydanej w r. 1930. Więc tutaj tylko w paru słowach życiorys jego streszczę.

Józef Wasilewski (ur. 1759, zm. 1831) herbu Drzewica, wylegitymowany ze szlachectwa od czasów Jagiełły, był synem Tadeusza, wojskiego orszańskiego. Wychowany na Białej Rusi w r. 1775 oddany był jako kadet do Szkoły Rycerskiej. Po ukończeniu tej szkoły był w niej profesorem (geografii i matematyki) do r. 1794, po czym przeszedł do służby liniowej. Po zajęciu Warszawy przez Prusaków wstąpił do Legionów, zawiązanych w Mediolanie. Zrazu kapitan grenadierów, potem dowódca batalionu w stopniu podpułkownika, adiutantem był gen. Dąbrowskiego. Od r. 1806 pułkownik - bierze udział w kampanii r. 1807 na Gdańsk, kampanii austriackiej r. 1809 (ordynator generalny). W r. 1812 w randze generała brygady bierze udział w pochodzie na Moskwę. Wzięty do niewoli nad Berezyną przebył w Tambowie do r. 1814. W r. 1815 mianowany komendantem departamentu lubelskiego i w tymże roku komendantem Zamościa. Zmarł w Warszawie, w czasie rewolucji w r. 1831. Ojciec mój miał wtedy lat pięć.

2 przypisy

Ojciec mój, Aleksander (ur. 1825, zm. 1907) był najmłodszym jego synem. Wychowywał się w Warszawie pod okiem matki (Elżbiety z Wituskich) w skromnych warunkach materialnych. Zadatek swej długowieczności w zdrowym organizmie wziął chyba po matce, ojciec bowiem jego miał lat 66, gdy dziecko przyszło na świat. Kształcony poza humanistyką w kierunku realnym ukończył wydział leśny w instytucie gospodarstwa w Marymoncie pod Warszawą w r. 1846. Po odbyciu praktyki w biurach warszawskich otrzymał stanowisko podleśnego, a w r. 1856 był już nadleśnym w leśnictwie kozienickim. W r. 1860 mianowany starszym nadleśniczym leśnictwa bodzentyńskiego, pozostał na tym stanowisku do r. 1884. Siedzibą tego urzędu była wieś Siekierno pod Bodzentynem.

Co do rodziny matki mam tylko okruchy wiadomości ze sztambuchów i jedynego rękopisu jej ojca. Nie notowałem opowiadań rodziców. Ciekawość historyczna w zakresie rodowym przychodzi w wieku późnym, kiedy już żywa tradycja przerwana i pozostają jedynie dokumenty. W dzieciństwie tradycje nudzą, w młodości nie ma na nie czasu, gdy cała myśl zwrócona w przyszłość; coraz słabszy przy tym kontakt z domem i rodzicami, których na starość tylko przyszłość dzieci przejmuje. W środowisku wypełnionym pracą, walką o byt i troską o sprawy ogólne, brak odpowiednich warunków na pielęgnowanie archiwów rodowych, nawet wspomnień osobistych.

Matka moja (Maria) z domu Ledoux, urodzona w Warszawie w r. 1829, była córką Franciszka Ledoux i Eleonory z Karolich. Pan Ledoux zajmował dość znaczne stanowisko w administracji Królestwa, mianowicie był naczelnikiem wydziału podatkowego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, podwładnym ministra Druckiego-Lubeckiego. Nie pamiętam, czy była kiedy w domu mowa o tym, skąd się wziął ród Ledoux w Warszawie. Przypuszczam, że dziadek Ledoux był synem owego Franciszka, zmarłego w Warszawie w r. 1823, o którym mowa w encyklopedii, że go sprowadził do Polski król Stanisław August jako muzyka, twórcę pierwszego w Warszawie baletu i kierownika teatru. Syn był też muzykiem, zawołanym skrzypkiem. Dom pp. Ledoux, o którym wspomina w listach Chopin, znany był w świecie muzycznym.

O rodzie Karolich niewiele mi zostało w pamięci. Wiem, że żyjący jeszcze za mojej młodości znany fotograf warszawski Karoli uważany był przez matkę za krewnego; to samo mówiła mi o synu jego Władysławie, którego ceniono w literaturze jako poetę. Zmarł przedwcześnie.

Pp. Ledoux mieli trzy córki: Marię, Anielę i Joannę (Żanetę). Ojciec dawał im staranne wykształcenie; specjalnością dwu starszych, bardzo muzykalnych, miał być fortepian. Żaneta kształciła się u Hadziewicza w malarstwie.

Powołam się tutaj na dokumenty rodzinne.

W sztambuchach, które się zachowały w rodzinie naszej, znalazłem autografy przedków matki mojej. W jednym z nich ojciec jej, Franciszek Ledoux, w sztambuchu swej przyszłej żony Eleonory Karoli wpisał (widocznie był to czas konkurów o jej rękę) pod datą 3o lipca 1822 r. sentencję tej treści:

"Dobroć serca połączona z światłem i mocą duszy, dążąc do uszczęśliwienia Bliźniego, może być uważana za główną podstawę przyjaźni. Dzielić drogie to uczucie w rzędzie godnych Przyjaciół Osoby, którą podobne zdobią przymioty, jest w życiu towarzyskim prawdziwym szczęściem"

F. Ledoux.

W innym zaś sztambuchu, który u mnie pozostał po matce, na pierwszej kartce ojciec owej „Osoby", Karoli, wypisał w 1o lat potem jej córeczce (mojej matce) taką pochwałę:

"Dziadek swojej wnuczce Mariannie Ledoux w dzień urodzin 8 grudnia 1832 - 3-ci rok skończywszy i w wieku takowym tyle cnót i przyjemności pokazuje że i w późnych latach Rodzice wszystkiego dobrego obiecywać sobie i pociechy spodziewać się mogą, co w tej ksiąszcze winszuję i one na pamiątkę dnia tego ofiaruję".

Bardzo ciekawe, bo charakteryzujące atmosferę domową, jest świadectwo wystawione córkom przez p. Franciszka Ledoux:

"Grałem te Etiudes z towarzyszeniem kolejnym moich najmilszych córek Marii i Anieli Ledoux.- Obie bardzo słusznie słyną, obok wysokiego stopnia wzorowej exekucji na fortepiano, szczególnym do towarzyszenia darem. Trzecia moja najukochańsza córka, Joanna Ledoux (tak po domowemu Zazia) korzystając z nauki siostry starszej Marii już dziś (12 lutego 1854 r.) znaczne czyni postępy. Jak mnie nie będzie, przeczytajcie to rzetelne ojca świadectwo, lecz z westchnieniem do Boga o litość nad jego duszą".

Kiedy już powołałem się na tę małą, czerwoną książeczkę, w której dziadek Karoli tak miłą atestację swej wnuczce Mariannie wypisał, muszę przy okazji dodać (a to potrzebne do obrazu owej epoki), że następnym w niej zapisem jest dopiero z r. 185o poemacik S. Nowosielskiego. Był to popularny wówczas w Warszawie pisarz, znany głównie ze swych wydawnictw dla dzieci. Na tę drogę pisarstwa wprowadził go zaprzyjaźniony z nim Jachowicz. Był on podówczas urzędnikiem w Komisji Skarbu. Stąd zażyłość z domem pp. Ledoux.

Ministerium ks. Lubeckiego było w stolicy najwydatniejszym ogniskiem biurokracji polskiej, a więc tzw. "inteligencji", sfery nowej, powstającej obok miejskiej Gentry pochodzenia ziemiańskiego. Ubiegano się tam o miejsca, chętnie decydując się na paroletnią, bezpłatną aplikację. Niechętnie decydował się na tę aplikację Juliusz Słowacki z Krzemieńca, a jednak trwał w niej w latach 1829-183o. B. dyrektor Komisji Skarbu Józef Morawski, o którym dałem wiadomość w życiorysie gen. Józefa Wasilewskiego, jako o opiekunie dzieci po śmierci generała, zbliżył zapewne dom Wasilewskich z domem Ledoux. Stąd małżeństwo mego ojca z Marią Ledoux w r. 1854. Matka była wtedy 2o-letnią panną, kiedy Nowosielski wpisał swój wiersz do dzienniczka. Przytoczę go niżej w całości, aby uprzytomnić, jak wzniosłe napięcie idealistyczne panowało w ówczesnej atmosferze towarzyskiej Warszawy. Był to okres już nie romantyczności Mickiewicza, Zamków Kaniowskich Goszczyńskiego, bajronizmu Słowackiego, lecz nowy, warszawski régime umysłowy idealizmu heglowskiego, a zwłaszcza szelingowskiego. Nowosielski (ur. 1812), publikujący swoje pisma w latach czterdziestych równocześnie z Cyprianem Norwidem, kopiował dokładnie schemat poetycko-filozoficzny jego młodzieńczych "dumań", oparty na dialektyce nieba i ziemi, na przeciwieństwie a zarazem syntezie tamtego i tego świata.

Oto ten ciekawy przyczynek do charakterystyki epoki literackiej:

"Świat ten cudownie piękny wyszedł z dłoni boskiej.
Patrz: niebo - to odwiecznych prawd najświętszych księga,
A gwiazdy na lazurze - to promienne głoski;
Do nich człowiek z tej ziemi tęskną myślą sięga;
Odrywa myśl od ziemi, gdzie przykuta ciałem,
I wiecznie, wiecznie dąży za swym ideałem....
Tam dusza czerpie swoje natchnienie prorocze,
Tam zrywa, tak jak kwiaty, marzenia urocze;

Tam wyższych sfer harmonija brzmi w duszy milutko -
Czemuż, czemuż, niestety, trwa dla nas zbyt krótko?...
O, czemuż lodowata rzeczywistość nasza
Jednem tchnieniem niekiedy złote sny rozprasza!
Piękny świat, wiosna piękna oko nasze pieści,
I piękny zawód życia, lecz pełen boleści -
Po każdej chwilce szczęścia i słodkich omamień
Rzeczywistość na sercu cięży nam jak kamień.
Lecz jest coś w naszem sercu, co wśród życia burzy, ~~Trwałs~~
Trwalsze szczęście i życie za grobem nam wróży....
Jest to trwalszej ojczyzny początkowa głoska:
To iskra w sercu naszem nieśmiertelna, boska...
A tą iskrą poezja, gwiazda naszej duszy,
Co jak anioł pocieszy i smutek rozprószy;
Poezja kwiaty wonne ściele nam pod nogi,
I na drodze żywota w róże zmienia głogi;
Poezja w kropli rosy i w świetnych kaskadach,
Poezja w kwiatku skromnym i w gwiazd miriadach
Zdradza boski swój wątek - cicha to potęga;
Świętym węzłem jak tęcza ziemię z niebem sprzęga;
Poezja, wpośród ziemskiej pielgrzymki burzliwej,
I serca ludzkie spaja braterstwa ogniwy;
Poezja z duchowego wyzwala ubóstwa,
I na złotych swych skrzydłach podnosi do bóstwa -
Pielęgnujcie skarb serca szlachetne dziewice,
Wy, co tyle poezji w sobie posiadacie;
Wszakż poezję, tę czystą uczucia krynicę,
Z takim wdziękiem dokoła siebie roztaczacie".

1850.
Warszawa F. Nowosielski

Znalazł się w moim archiwum rodzinnym bardzo ciekawy rękopis dziadka Franciszka Ledoux, świadczący o jego gorliwości służbowej i upodobaniach naukowych. Jest to pierwszy rozdział jego większej pracy z dziedziny skarbowości, zatytułowany "Ofiara z dóbr ziemiańskich". Kart 23 arkuszowych, zapisanych z obu stron przepięknym pismem sztychowanym, jakiego teraz się nie spotyka (każda strona obramowana ramką). Do rękopisu dołączony list do ks. Lubeckiego tym samym pismem na tymże papierze z podpisem dziadka, którego ręką cały rękopis wykaligrafowany. W liście zrobiony jest odsyłacz, parę takich odsyłaczy w rękopisie, ale wszystkie są - jak zobaczymy - późniejsze, a te odsyłacze pisane są już pismem odręcznym, potocznym (nie służbowym). W przypiskach tych wyczytamy cały dramat, jaki dziadek przeżył z powodu swych ambicyj naukowych.

Czy rękopis powyższy jest duplikatem czy też oryginałem, który nie został wysłany, trudno orzec. Być może autor po namyśle postanowił (może mu tak doradzono) wykończyć wprzód cały traktat i wtedy całość ministrowi przesłać. Notka zrobiona później na dole listu brzmi tak:

"W roku 1826 napisałem dziełko pod tytułem: "Wykład zasad podatków stałych w Królestwie Polskim pobieranych".

A jeszcze później na marginesie tegoż listu:

"Chciałeś pracą zjednać sobie względy? Co za śmieszny środek... Nauczyło cię doświadczenie, że to się na nic nie przyda, a stąd już niemałą masz korzyść. O, głupoto ludzka!!"

Ledoux.

Żeby to wszystko było zrozumiałe, przytoczę cały list p. Ledoux:

"Do Jaśnie Oświeconego Xięcia Ministra Prezydującego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu,

w Warszawie, d. 1 stycznia 1824 r-u.

W ciągu dziesięcioletniej pracy w Wydziale Podatkowym zwracałem niefaz uwagę swoją na trudność, jakaby zachodziła, gdyby za pomocą akt podatkowych przyszło wyłożyć zasady, na których wspierają się podatki stałe w Królestwie Polskiem pobierane, a w każdym budżecie pierwsze zajmiące miejsce. Akta te bowiem poczynając się od praw finansowych na Sejmie z r. 1809 uchwalonych, czyli od ostatniej epoki systematu podatkowania, nie wykrywają źródłowych zasad, które leżą w dawnych instytucjach polskich tudzież urządzeniach przez rząd pruski i cesarsko-austriacki postanowionych:

Pozostawienie w tym stanie tak ważnego przedmiotu, ten pociągnąćby mogło skutek, że z czasem i z odmianą osób z tymże przedmiotem obeznanych, ślad pierwiastkowych zasad zatartym, a łańcuch wiążący je z późniejszemi ustawamy zerwanym by został.

Sądziłem więc i trwam jeszcze w tym przekonaniu, że główny dochód kraju z podatków czerpany wymaga, aby porozrzucane jego zasady porządkiem epok i materii w jedno dziełko zebrane i jasno wyłożone zostało. ~~Praktyczna znajomość~~

tak w skrypcie

Praktyczna znajomość ustaw podatkowych a nade wszystko panująca chęć stania się użytecznym w przedsięwziętym zawodzie skłoniły mnie do przedsięwzięcia tej pracy.

Idąc więc tym samym porządkiem, jaki w budżecie jest zachowany, wyłożyłem zasady podatku grontowego z dóbr ziemiańskich, a początkową tę pracę ośmielam się Waszej Xiążęcej Mości złożyć jako dowód najwyższego uwielbienia.- Gdyby zaś Wasza Xiążęca Mość uznać raczył mój zamiar za użyteczny, w tym razie zachęcon najwyższą Jego wolą przystąpiłbym z tym większą jeszcze usilnością do ukończenia rozpoczętej pracy.

Z najgłębszem uszanowaniem Waszej Xiążęcej Mości wierny podwładny

Ledoux"

Co było przyczyną owego rozżalenia, którego wyraz znaleźliśmy w przytoczonych wyżej przypiskach do listu? Odpowiedź znajdziemy w notkach czynionych przez autora na końcu rękopisu na kartkach, które były niezapisane. W jednej z nich powtarza, że wykończył dzieło w r. 1826 i dodaje:

"Może kiedyś potrafią na koniec Zwierzchnicy ocenić użyteczność pracy tego rodzaju, lecz to wtenczas może nastąpić, jeżeli zamiast wyręczać się pracą podwładnych zaczną sami pracować - a wtedy zobaczemy

Franciszek Ledoux"

A niżej w wiele lat potem:

"Nie do uwierzenia jest rzeczą, iż dzieło wyż powołane, dopiero w lat 23 po jego napisaniu za dobre i użyteczne uznane zostało.

Za bezstronne ocenienie tej pracy winienem całą wdzięczność JW-u Wiórogórskiemu Kontrolerowi J-lnemu. Oto list jego co do słowa wypisany. N-ro 3885 w Warszawie 26 mąja/ 7 czerwca 1849 r.

Kontroler Jeneralny Prezydujący w Najwyższej Izbie Obrachunkowej. Za pośrednictwem Ministra Sekretarza Stanu Królestwa otrzymałem z Petersburga do czasowego użytku manuskrypt pióra W-go Pana pod tytułem: "Wykład zasad podatków stałych Królestwa, o którem wiele dobrego słyszałem i dlatego poznać go bliżej pragnąłem. Z prawdziwem więc szczęściem wziąłem się do odczytania nadesłanego mi dzieła i nie zawiodłem się w moim oczekiwaniu. Znalazłem w niem bowiem nieoszacowany zbiór —"

Na tym urywa się notatka. Widocznie ręka mu opadła bezsilna i nie mógł tak ważnego dla siebie zdarzenia opisać do końca. Ja zaś zapisuję tę rzecz w warunkach, które nie pozwalają mi zająć się zbadaniem w archiwach, kiedy p. Ledoux skończył życie. Czy przyczyną ostatnią nie było wzruszenie z powodu dzieła, na którym za późno się poznano.

Ojciec mój - jak już zaznaczyłem - zawarł związek małżeński z Marią Ledoux w r. 1854. Pomnożyłem ich dom moją osobą w r. 1865 (3o IV). Było to w Siekiernie. Zastałem w domu z rodzeństwa (kilkoro wymarło w niemowlęctwie) dwie siostry: Stanisławę, urodzoną w r. 1859 i Jadwigę urodzoną w r. 1863 [3]. Zastałem w domu sporo pamiątek z czasów warszawskich, a rodziców pogodzonych z warunkami życia wiejskiego w odległym zakątku kraju "poza światem". Mniej od ojca pogodzona była z tymi warunkami matka. Pamiętam ją od dzieciństwa w paru postaciach. Była w niej na zmianę duża energia i cierpliwość w znoszeniu nakazów życia wiejskiego, to znów - jakby od święta - tęsknota do tamtego życia miejskiego, stawiającego ołtarze sztuce. Był to, krótko mówiąc, dom inteligencki na wsi.

2. Dom rodzinny.

Osada nadleśnego leżała w malowniczej okolicy świętokrzyskiej przy drodze wiodącej z Bodzentyna do Wąchocka. Z Kielc dojeżdżało się tutaj przez Suchedniów albo drogą skróconą (polną) przez Gózd, zawsze jednak przez Wzdół, gdzie była nasza parafia. W Bodzentynie (kilka wiorst od Siekierna) był urząd gminny. Powiat kielecki. Ziemia pagórzysta i urodzajna. Tu był mój dom przez lat 18 do ukończenia szkoły średniej. Tu się wychowałem w najlepszych warunkach, jakie mogą stworzyć ziemia, klimat, dobre zdrowie - i najczulsza opieka rodzinna.

Nadleśnictwu Bodzentyńskiemu w planach organizacji gospodarczej kraju nadawał ks. Lubecki poważne znaczenie ze względu na potrzeby przemysłu wśród lasów rozbudowanego (Suchedniów, Blizin, Rejów, Starachowice i inne), a wymagającego znacznej produkcji węgla drzewnego. Praca nadleśnego, mającego do pomocy tylko jednego kancelistę, była znaczna. Nadleśny miał pod sobą pięć podleśnictw (o ile pamiętam: Wzorki pod Świętą Katarzyną, Świślina w Sandomierskim, Gózd pod Kielcami, Michniów pod Suchedniowem i ostatnie w Majkowie pod Wąchockiem), poza tym dwu strażników objazdowych i kilkudziesięciu strzelców (gajowych). Poza obroną lasów od rozkradania i hodowlą, najwięcej pracy i troski nastręczał stosunek do Zarządu Górniczego w Suchedniowie. Praca ojca z tego względu musiała być przede wszystkim biurową i tę wykonywał z wielką dokładnością, ale nie bez mozołu z powodu nieznajomości języka rosyjskiego. Ubóstwo słownictwa i trudności ortograficzne, z jakimi ojciec się borykał, ocenić mogłem po latach jako uczeń gimnazjum, podczas wakacji ojcu pomagający.

Dosyć późno zrozumiałem, że siedziba w Siekiernie nie jest naszą własnością. We wsi nazywano dom nasz dworem. I był to dworek na modłę folwarków. Gospodarstwo z łąkami obejmowało koło stu morgów doskonałej ziemi. W stajni stały cztery konie, jedna para "cugowa" (na wyjazd), druga robocza, ale nieraz zaprzęgało się wszystkie w czwórkę. Krów kilkanaście, trzoda, kury. Na podwórzu było wesoło. Służby sześcioro, poza tym zawsze prawie ludzie najemni w polu czy w stodole, sporo interesantów, strzelców. Nigdy od nikogo żadnej przykrości, wszyscy byli zdrowi i weseli. Jakieś piękne słońce pada na te czasy.

Nie czuło się i nie rozumiało, co się stało w kraju, nawet tutaj w Siekiernie, gdzie jednak coś się załamało w tych planach, które za Królestwa Kongresowego obejmowały sobą Siekierno. Siedziba tego zarządu leśnego pomyślana była na większą skalę. Po drugiej stronie podwórza rozległego w wieńcu topoli włoskich stał jeszcze za mojego dzieciństwa duży budynek zwany "koszarami". Był tu przedtem pensjonat dla dwuna-

stu praktykantów leśnych, mających tutaj rodzaj stacji doświadczalnej. Za koszarami był pocięty na rabaty teraz zapuszczony ogród, tzw. szkółka, gdzie najpiękniejsze i rzadkie okazy drzew wyrosły. Po środku najwięcej miejsca zajmowały drzewa morwowe paru odmian (owoce wielką były uciechą dla nas dzieci), a w centrum kopiec z serpentyną ścieżki, zapewne w związku z badaniami meteorologicznymi. Dokoła podwórza, zwłaszcza od północy, piękne zadrzewienia. Za domem duży sad z dobrze dobranymi drzewami owocowymi z karuzelą na końcu i wspaniałą lipą, na której obraz Matki Boskiej. Za ogrodem, wśród sadu śliwkowego duży budynek drewniany, zwany suszarnią. Zarówno koszary jak i suszarnia stały teraz pustką i chyliły się ku ruinie. Rosyjski zarząd dóbr państwowych wszystkie te urządzenia skasował, nie było już praktykantów ani żadnych robót naukowych.

W r. 193o odwiedziłem z żoną Siekierno, z trudem rozpoznałem teren podwórza, pośrodku którego niegdyś stała studnia pod dachem z wielkim kołem ciągnącym wiadra. Topografię podwórza odgadłem nogami po zagłębieniach w wiernych ziemi trawnikach. Dom stary z pięknym tarasem od ogrodu zniesiono, a dla nowego wyrąbano ogród. Modrzewie w dawnej szkółce tak już sędziwe, żeśmy się nie poznali. Leśnictwo podzielone na kilka części. Świętokrzyskie ma siedzibę w Bodzentynie.

Dom był drewniany z gankiem od zajazdu. Dzieliła go sień na przestrzał do drugiego ganku z murowanymi filarami od strony ogrodu. Po stronie północnej była kuchnia, spiżarnia, a od ogrodu duża kancelaria i pokoik podleśnego biurowego. Druga połowa domu stanowiła nasze mieszkanie, złożone z czterech pokojów. Od ogrodu salonik (froterowany) i pokój ojca, gdzie i ja sypiałem. Umeblowanie było warszawskie: stare palisandrowe kryte zielono w salonie, jesionowe w ojca pokoju. Wiele obrazów czarnych od starości i nowych, malowanych przez ciotkę Żanetę. Z przeżytków, które potem gdzieś znikły z oczu, pamiętam lampę olejną, szczypce srebrne między lichtarzami do ocierania knotów w świecach, w kącie fajczarnia z cybuchami, w sieni w kufrze za parawanem stare suknie z atłasu i wiele metalowych pasków po krynolinach. Doskonale bawiliśmy się nimi. Napięte jak łuki, dźwięcząc w powietrzu, pod sufit leciały.

Z rodzeństwa miałem koło siebie dwie starsze siostry. Towarzyszką moją nieodłączną była Jadwiga o dwa lata ode mnie starsza. Kilkoro zmarło w niemowlęctwie.

Rozmaicie mówią o wpływie pieszczot na późniejszy charakter. Być może miłość, którą mnie otaczano, zrobiła mnie wiele wymagającym od dobroci ludzkiej i wrażliwym zbytnio we współczuwaniu cudzego bolu; na ogół jednak wychowywałem się jako chłopak po męsku, w ciągłej styczności z przyrodą, z psami, końmi, gospodarstwem. Ulubione nasze wy-

prawy z siostrą na górę Kamienną, gdzie był wąwóz i gdzie ciekawe roboty ziemne można było prowadzić, pochłaniały nas na całe ranki. A były tam przepiękne kwiaty polne, wśród których królowały pachnące storczyki.

Ojciec zajmował się starannie moim wychowaniem. Wolne chwile spędzał ze mną, wożąc mnie z sobą po lasach. Uczył mnie przestrzegania ładu, akuratności, pracowitości. W tradycjach miał po swym ojcu staranne utrzymywanie w porządku swej odzieży, a potem zeszytów i książek. Sam nie pokazywał się nigdy w negliżu, zawsze starannie ubrany, jak mawiał - en forme. Obyczajność była w domu tak daleko posunięta, że nie słyszało się nigdy słów "brzydkich", tym mniej "wymyślań". Nie widziałem też nigdy ojca obnażonego.

Rzadko się gniewał, wtedy dla dokładności epitetu komuś przydanego dodawał:in summo gradu. Używane to było tak, jakby to były polskie wyrazy, bo zwracane były np. do pastucha. I ojciec łaciny nie znał, ale ciągnęły się wyrażenia dawniej używane. Posyłając kogoś ze służby, mówił nie inaczej jeno: "idź stante pede". W początkowej nauce bardzo nalegał na kaligrafię (sam pięknie pisał i rysował) i elegancję zeszytów. Znał się też na malarstwie, co było charakterystyczne dla ludzi wychowanych w jego czasach w Warszawie.

Jako urzędnik ojciec należeć musiał do sfery ludzi politycznie neutralnych wobec wypadków. Jednak ze zgrozą oglądałem na łysinie ojca pręgę, jaką zostawiła nahajka kozacka, użyta w czasie powstania podczas rewizji, a tych ze względu na ruchy powstańcze w lasach świętokrzyskich było wiele. Pamiętam też długo w wieczór trwające przy sposobności poufnej - opowiadania o wydarzeniach z tych czasów.

Matka górowała nad ojcem żywością umysłu, dowcipem, wykształceniem humanistyczno-literackim, znajomością języka francuskiego oraz i tym bogactwem, jakie jej dawał świat muzyki. Ojciec był zupełnie niemuzykalny i to po nim odziedziczyłem. Daremnie matka zmuszała mnie do fortepianu; podziwiałem, jak ze starszą siostrą moją grywały na cztery ręce na jednej klawiaturze. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby muzyka nie robiła na mnie żadnego wrażenia, zwłaszcza ulubiony przez matkę Chopin działał na mnie fizycznie, zlewając się harmonijnie z urokami przyrody, których przecież tak samo sobie nie uświadomiałem. Chopinowskie melodie przez otwarte okna szły za mną na ogród i jeszcze w zbożu za ogrodem mnie doganiały.

Siostry matki Aniela i Joanna ściągnęły za rodzicami w te strony. Aniela wyszła za wdowca Wincentego Milewskiego, który za mego dzieciństwa wczesnego był podleśnym u ojca w Świślinie. Wkrótce jednak umarł. Ciotka Aniela z jedną z jego córek Stefanią i z siostrą swoją młodszą Joanną oparły się o Siekierno. Ojciec osadził je pod

lasem w domku gajowego. Biegało się tam do nich ślicznymi łąkami. Miały jakieś fundusze po ojcu, bo niebawem przy mego ojca pomocy zbudowały sobie dom w Suchedniowie koło słynnej szkoły dla panien (pani Peckowej) i tam się przeniosły.

W "Pamiętniku Koła Kielczan" z r. 1928 do życiorysu muzyka Feliksa Jarońskiego dodałem wspomnienie o Joannie Ledoux, bo te dwie postacie od dzieciństwa w głowie mojej się kojarzyły. Powtórzę je tutaj, aby uzupełnić pewnymi szczegółami, o których potem się dowiedziałem.

W niezbyt odległej od Kielc wiosce górniczej Suchedniowie stoi na wzgórku, obok dawnej szkoły żeńskiej, drewniany dom dobrze ocieniony drzewami i winem na ganku. Dom ten stanął około r. 187o i był własnością trzech sióstr Ledoux. Zamieszkały w nim w tej dacie dwie: Aniela, wdowa po Milewskim pianistka i najmłodsza Joanna Ledoux, panna, malarka. Trzecia, Maria, żona nadleśnego Al. Wasilewskiego, mieszkała w Siekiernie o dziesięć od Suchedniowa kilometrów. Aniela i Joanna (zwana po domowemu Żanetą) znalazły oparcie w słynnej podówczas szkole żeńskiej p. Peckowej. Jedna uczyła muzyki, druga rysunków i botaniki.

Były to - jak już wzmiankowałem - córki Franciszka Ledoux, naczelnika wydziału w Komisji Skarbu za ks. Lubeckiego. Dom jego w Warszawie ożywiały liczne stosunki towarzyskie i artystyczne. Muzyk Jaroński Feliks, kiedy kształcił się w Warszawie, również bywał w domu Ledoux. W owe czasy Królestwa Kongresowego młoda Joanna uczyła się malarstwa właśnie u Rafała Hadziewicza, który później spowinowacił się z Jarońskim (już towiańczykiem) żeniąc się z panną Anastazją Głowacką, najmłodszą siostrą pani Jarońskiej. Z tych dobrych czasów pozostała w obojgu pamięć górnego życia artystycznego, która wytwarzała intymny prąd między Kielcami i Suchedniowem, gdzie nie było już warszawskiej atmosfery.

Obie te kobiety w Suchedniowie, zwłaszcza pełna czaru, jakby zawoalowana od świata tajemnicą cierpienia Joanna, żyła głębokim nurtem wewnętrznym. Domek ich śpiewał muzyką Chopina, a wewnątrz pełno miał obrazów olejnych na ścianach i sztalugach. Joanna Ledoux malowała obrazy do kościołów. Znaleźć je można w ołtarzach w Suchedniowie, Sandomierzu, Kielcach, Wzdole, Tarczku i in. Postacie świętych, nieraz według modeli delikatnym pędzlem malowane, były jej daniną, składaną tęsknotom artystycznym oraz ideałom młodości. Ze słodyczą, bez żalu wsiąkali w ciche życie prowincji, nie czekając poklasku: malarka w Suchedniowie i muzyk Jaroński w Kielcach, szczęśliwi wspomnieniami i czystością ducha.

Joanna Ledoux zmarła przy sztalugach 5 kwietnia 1879 r. i po-

chowana w Suchedniowie. Obok niej są groby Anieli (zm. 1895) i Marii (zm. 1905).

Jako uzupełnienie powyższych wspomnień doszła mnie potem z tradycyj rodzinnych wiadomość, że z Hadziewiczem łączyła Joannę Ledoux głęboka miłość i że ich związkowi małżeńskiemu stanął na przeszkodzie towianizm Hadziewicza. Jakie wpływy odegrały tu rolę - może własna Joanny prawomyślność religijna - o tym nie wiem. Widocznie jednak miłość w jej sercu nie wygasła i ona tłumaczy tajemnicę, którą ciotka Joanna w moich oczach była otoczona.

Pamiętam, ciotki (gdym u nich kilka dni gościł) zabrały mnie z sobą do Kielc. Byłem z nimi w domu pp. Jarońskich. Podczas gdy one z Feliksem Jarońskim w mieszkaniu konferowały, ja wypuszczony do pięknego sadu na krzakach malin gospodarowałem. Było to w czasie, gdy ciotka malowała mój portret, a więc około r. 1872. Tajemniczy też był dla mnie przyjazd do Siekierna specjalnie do ciotki Joanny słynnego wówczas malarza (ilustratora "Tygodnika") p. Tegazzo. Upamiętniło mi się, że ciotka Joanna, zwykle tak przygaśnięta, dziwnie była tą wizytą podniecona. Byliśmy razem na górze Kamiennej, gdzie wielki jak dom kamień. Roztaczał się stąd rozległy widok z bielejącymi w słońcu ruinami zamku w Bodzentynie. "To dla pejzażu za rozległe"- mówił Tegazzo. Dziwnie pamięta się niektóre powiedzenia, ale dziwniejsze, że pamięta się nastroje, które dzięki nim udzielają się od bliźnich.

W ciotce Żanecie - takie zostało mi wrażenie - wszyscy się kochali. Kochały ją kwiaty, które malowała, święci, którym dawała natchnione oblicza, kochał się w niej ks. kanonik Lipiński... Opowiadała mi siostrzenica Zajączkowska, że kiedy w r. 1904 była u moich rodziców w Suchedniowie z racji ich złotych godów, była świadkiem zabawnej ich rozmowy. Staruszkowie, złożeni niemocą, na pół bezwładni, leżeli w swoich łóżkach jak w szpitalu i tak rozmawiali:

- Ja wiem, Olesieczku, że ty nie we mnie się kochałeś, ale w Żandzi...

- Moja Marynieczku, nie mów takich rzeczy...

- Ale ja wiem na pewno, Olesieczku, O ja nieszczęśliwa...

Nie była nieszczęśliwa. Widzę ich oboje w obłoku wspomnień, zawsze z sobą szczęśliwych. Ale to pewne, że coś musiało być w sercu ojca, gdy taką opieką siostry swej żony otaczał. I ja, wplatając te wspomnienia przydługie do swego życiorysu, powoduję się miłością, bo chciałbym, aby imię Żanety Ledoux, znaczone na jej obrazach, nie było dla historii sztuki tajemnicą.

Jakich ludzi poza rodziną widywałem? Jak wyglądało szersze środowisko w moim widnokręgu?

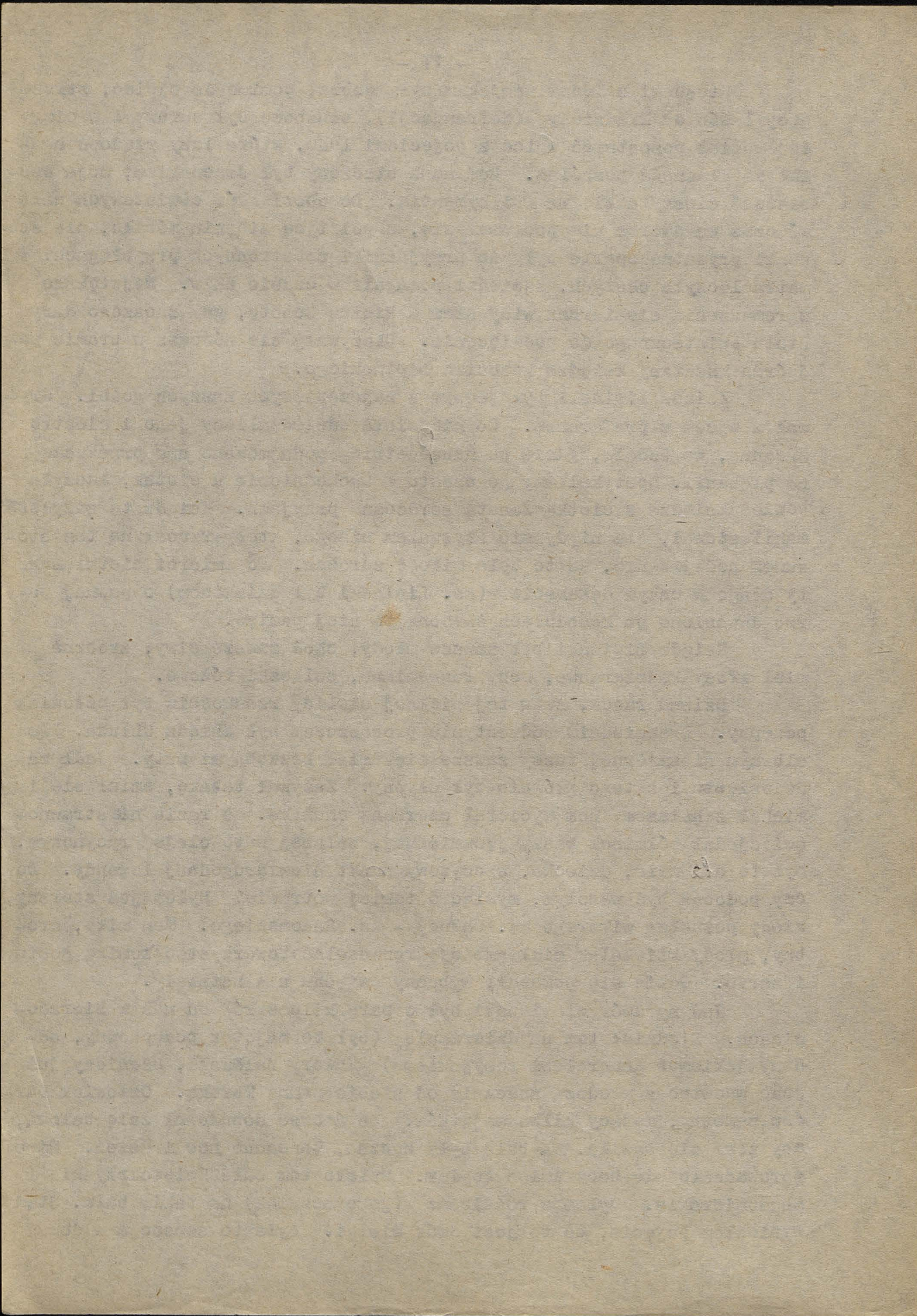
Stosunki z ludem wiejskim były dobre, pomimo że ojciec, strzegący lasów od kradzieży (defraudacji), służbowo był surowy i w ciągłej musiał pozostawać walce z pojęciami ludu, które lasy rządowe uważał za własność pospólną. Dom nasz otoczony był szacunkiem, moja osobistość cieszyła się we wsi sympatią. Do obowiązków oświatowych nikt wówczas we dworze nie poczuwał się, o polityce się nie mówiło, ale stosunki prywatne oparte były na przyjaźni i obustronnych przysługach: matka leczyła chorych, sąsiedzi pomagali w czasie żniw. Największe zgromadzenia siekierzan widywałem w Wielką Sobotę, gdy znoszono dary stołu świątecznego do poświęcenia. Ukazywały się wówczas w bramie podwórza kasztany księdza kanonika Lipińskiego.

Ksiądz Lipiński był jednym z najczęstszych naszych gości. Grywał z ojcem w preferansa. Co niedziela odwiedzaliśmy jego i siostrę Zuzannę, we Wzdole, gdzie po nabożeństwie podejmowano nas przekąską na plebanii. Spotykaliśmy go często w Suchedniowie u ciotek, łączyła bowiem księdza z ciotką Żanetą serdeczna przyjaźń. Ksiądz tę zażyłość manifestował, ale nigdy nie słyszałem nikogo, ktoby rzucał na ten stosunek podejrzenie, że to była miłość zdrożna. Po śmierci ciotki Żanety długo w całym dekanacie (ks. Lipiński był dziekanem) o pewnej porze dzwoniono po kościołach żałobną po niej pamięć.

Ksiądz Lipiński był zawsze młody, choć zawsze siwy; srebrne miał włosy kędzierzawe, oczy roześmiane, policzki różowe.

V [illegible] Dziwna rzecz, że w tej pięknej okolicy rzadkością był człowiek posępny. W sąsiednim Bodzentynie proboszczem był ksiądz Chłuda. Ten olbrzym niezmiernej tuszy zawsze się śmiał bezzębnymi usty. Jadł za dziesięciu i z tego głównie był słynny. Zażywał tabakę, śmiał się i kichał z hałasem, nos wycierał czerwoną chustką. W razie niestrawności zjadał półmisek kaszy jęczmiennej, zalanej suto olejem rycynowym. Był to dla mnie, dziecka, szczytowy punkt niewiarogodnej legendy. Bo czy podobna być wesołym, myśląc o takiej potrawie? Byłem już starszy, kiedy poznałem wikarego ks. Chłudy - ks. Radomskiego. Ten miły, drobny, młody księżulek miał ambicję rozweselać towarzystwo komiką gestu i żartu. Gdzie się pokazał, wybuchy śmiechu nie ustawały.

Jedyny dwór ziemiański był o parę kilometrów od nas w Sieradowicach. Siedział tam na dzierżawie (był to majątek poduchowny, oddany jakiemuś generałowi rosyjskiemu) Xawery Zalewski, ożeniony już jako wdowiec z młodszą znacznie od siebie panną Turską. Człowiek bardzo zamożny, mający kilka majątków. We dworze dobudował salę balową, aby żona się bawiła. A bale były huczne, tańczono noc i dzień. Wino sprowadzało się beczkami z Węgier. Hulało tam całe Świętokrzyskie i Sandomierskie. Byłem z rodzicami (jako uczniak) na takim balu. Stąd wyniosłem pojęcie, co to jest dwór wielki. Była to sensacja w domu



naszym, kiedy pani Zalewska zajeżdżała czwórką powozem z rewizytą.

Z Kazimierzem Zalewskim ośmioklasistą mieszkałem potem na jednej stancji w Kielcach. Był to syn z pierwszego małżeństwa. Z drugiego małżeństwa pierwszy syn dostał imię Zygmunta podobno z tą intencją, żeby się tak udał jak ja (!).

Najczęstszymi gośćmi w naszym domu byli podleśni, zjeżdżający się z raportami i po pensję do ojca. Bywali więc na obiedzie: Gumiński z Gozdu, Rajzacher z Majkowa, Szram ze Świśliny, Skórski ze Wzorek, Krzyżanowski z Michniowa. Rozmowy towarzyskie bywały długie, ale interesujące specjalnie leśników. Na ogół atmosfery literackiej nie było. Matka daremnie czyniła próby interesowania gości tematami ogólniejszymi.

Widywałem też w naszym domu Rosjan, ale bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy przybywali w interesach służbowych. Oczywiście, jak to na wsi, siadywali z nami do stołu. Ojciec z trudem porozumiewał się po rosyjsku, matka nie umiała wymówić ani słowa. Rosjanie starali się zresztą mówić po polsku. Pamiętam tylko raz jakiegoś rewizora, który mnie rozśmieszył, gdy wszedłszy do pokoju matki usiadł na łóżku zasłanym poduszkami, aż zginął między nimi. Na pytanie: kawy czy herbaty (bo to było rano) odpowiedział: "i kawy i herbaty".

Do uroczystych odwiedzin należała urzędowa wizyta prezesa okręgowej Izby Skarbowej (Kazionnoj Pałaty), Rzepiszewskiego, Rosjanina dobrze już spolszczonego i cywilizowanego. Słynnego z pięknej brody. Występowało wtedy na obiedzie wino 5/.

Kultura przeciętnego Rosjanina ówczesnego była wyższa niż dzisiaj. Rozmawiano z łatwością po polsku i francusku, a zdarzali się urzędnicy z wysokim wykształceniem muzycznym. Opowiadano mi, że w r. 1884 (byłem wtedy w szkole) prezes zarządu dóbr państwowych Apseitow, przybywszy do Siekierna w sprawach nowej reformy leśnictwa bawił cały tydzień, ale nie zaglądał do kancelarii, wiedząc bowiem o muzykalności matki przywiózł z sobą cały plik nowych wydawnictw muzycznych, nalegał na ich wykonanie i delektował się.

O tym, jaki był właściwy stosunek kraju do obcego państwa, że nie był on tak zabawny, jak mnie się wówczas wydawało, dowiedzieć się mogłem dopiero w szkołach.

3. Krajobraz socjologiczny okolicy łysogórskiej.

Podaję w tym miejscu krajobraz okolicy,aby dać ilustracyjne pojęcie o środowisku,w którym dzieciństwo spędziłem. Wspomnienia z tych czasów byłyby niewystarczające,zastępuję je więc obserwacją o pół stulecia późniejszą. Nazywam zaś ten obraz kraju socjologicznym,bo nie ograniczam się pejzażem malarskim,lecz pragnę dać pojęcie o atmosferze duchowej. Znajdzie tu czytelnik pierwiastki społeczne,kulturalne, religijne,nawet literackie,składające się na klimat duchowy krainy.1)

. . . . .

Latem 193o r. wybrałem się na wypoczynek do Świętej Katarzyny pod Łysicą. Pobyt mój tutaj trwał zaledwie parę tygodni. Przybyłem tu po moje wspomnienia z lat dziecinnych.2) Zmieniło się wiele. Mianowicie droga z Kielc do Bodzentyna wiodąca przez Św.Katarzynę,jest teraz pierwszorzędną szosą samochodową,wskutek czego przestrzeń do Św. Katarzyny z Kielc (21 kilometrów) przebywa się w ciągu 2o minut,7 zaś kilometrów stąd do Bodzentyna w 7 minut. A przecież dawniej podróż przez tę górską drogę kamienistą była wielogodzinną męczarnią. Powtóre można tu zamieszkać w wygodnym pensjonacie,o czym dawniej nikomu się nie śniło.Obok pensjonatu istnieje schronisko dla turystów. Za moich lat dziecinnych klasztor zamieszkiwało kilka zaledwie staruszek którym pozwolono tu wymrzeć; teraz klasztor ma swoje życie normalne.

Pomimo wszystko jest tu pustkowie,a jak Żeromski w "Puszczy jodłowej" określa - "wielorakie pustkowie,którego zwornikiem jest klasztor." Istotnie jest to punkt ogniskowy okolicy. Białe ściany klasztoru przypartego do ciemnej góry lasu zawsze sprowadzą ku sobie oko,błądzące po szerokim krajobrazie. Bo kiedy spojrzymy od klasztoru w dolinę,to mamy przed sobą rozległy krajobraz na dziesiątki kilometrów z Psarską górą w głębi,pokryty kilimami chłopskich pól. Trudno o rozleglejszą panoramę. Na stoku podnóża Łysicy w tej dolinie leżą w kierunku Kielc pola i łąki wiosek Św.Katarzyny,Wilkowa,Mąchocic,Cie-

kot,Krajna. Są to wioski znane najlepiej Żeromskiemu i często prze: niego wspominane,a panuje nad nimi w pasmie wyżyn góra Radostowa.

Wioski te wdarły się pod górę wytrzebiwszy lasy. Za wiele tych lasów wyniszczono,bo z łąk,które po nich pozostały,pokrytych krzakami,mało pożytku. Mokre są,bo to stoki północne,z trawą kwaśną,a podłoże kamieniste,wymagające wielkiego nakładu,zanimby zdatne się stały do uprawy.

Lasy na Łysicy chorują. Rzucił się na nie kornik. Zaniedbany zrazu, co należy uważać za karygodne niedbalstwo leśnictwa,teraz staje się trudny do wytępienia. Cały rok snują się dymy po górach. Bo teraz niema już innej rady,jak wycinanie chorych sztuk drzewa i obdzieranie ich z kory. Gałęzie i kora palone na stosach żałosny sprawiają widok. Gołe pnie idą masami na sprzedaż. Taki też los starych ludzi,że przy złym gospodarstwie zostają bez koszuli wyrzuceni z ojcowizny.

Klęskę kornika spotęgowały mrozy 1929 r. Drzewa słabsze zachorowały. Kora niewydzielająca smoły jest poszukiwana przez kornika. Opanował też chore istoty. Zdrowe drzewa nie ciągną ku sobie szkodnika. Żywotna bowiem kora więzi go smołą i uśmierca. Góra ciemno zielona, w pewnych warunkach oświetlenia aż fiołkowa - teraz zrudziała,ma chore na sobie wypieki. Kolejka leśna,opasująca górę od czasu okupacji austriackiej,ułatwia wywóz nagich jodeł. Po lesie rozlega się, jakby pełno było dzięciołów,praca siekiery.

Piękne jednak odbywać można w puszczy spacery bądź szosą,bądź linią kolejki. Zachowały się trzy kapliczki,ślady dawnych pustelni. W jednej z nich na wapnie wyskrobany przez Żeromskiego podpis z r.1883 ponakryto szklanną szybą,aby ocalał dla potomności. W drugiej na polanie koło źródła Św.Franciszka w odpust tego świętego odprawione bywa nabożeństwo. Zastałem też tam,przyjechawszy w sierpniu,ambonę prowizoryczną pod jodłą.

Źródło to uchodzi wśród ludu za cudotwórcze. Wiodą do niego stopnie kamienne,którymi dół ocembrowano. Wodę do picia z tego źródła odpro-

wadzono rurą do rynienki opodal, źródło zaś ogrodzono płotem i drutem kolczastym. Nie było innego sposobu zabezpieczenia go od zanieczyszczeń. Schodzili się tutaj chorzy, szukać w źródle ratunku na rany i choroby oczu. Zanurzali tam ręce, nogi i szmaty.

Woda w źródle lodowata i przeźroczysta jak kryształ, bije zaś wytryskami z dna, które podobno jest przepaściste, choć wygląda niewinnie. Źródło Św. Franciszka ma, jak się zdaje, właściwości radioaktywne. Poczytywane przez lud za święte, w całej tej kompozycji przyrody jaką jest Łysica, ma znaczenie centralne, jako łącznik między ziemią, Bogiem i człowiekiem. Bóg cudownością tego źródła przejawia się tutaj w przyrodzie, idąc z ratunkiem człowiekowi.

Dążąc szosą w górę ku Krajnu, ujrzymy na kraju puszczy trzecią kapliczkę Jezusa Miłosiernego, a naprzeciwko niej przez drogę kamienny obelisk, wystawiony w tym roku przez uczniów kieleckiego kółka Św. Kingi na cześć Puszczy i Żeromskiego. Ten pomnik Żeromskiego w puszczy jest jedynym reprezentantem kultury duchowej świeckiej. Dostała się tutaj w napisie na kamieniu i literatura.

Wszystko tu jest zresztą pomnikiem. Sama góra z puszczą jest czcigodnym pomnikiem dziejów ziemi; a koło niego pomniki wiary ludu polskiego: źródło gdzie przejawia się aktywność miłosierdzia świętej ziemi, kapliczki wreszcie i klasztor - pomniki dziejów kościoła na ziemi polskiej.

Kapelan klasztoru sióstr Bernardynek Ks. Kostrzewski, na moją prośbę spisał wiadome mu daty z dziejów klasztoru. Bardzo są skąpe wiadomości o nim, ponieważ pożary zniszczyły wszelkie archiwa. Z notat tych widzimy, że siostry Bernardynki przybyły do tego klasztoru dopiero w r.1815. Przedtym był to klasztor męski oo. Bernardynów, jak tradycja niesie, z charakterem penitencjarnym.

W r.1815 spłonął drewniany klasztor sióstr Bernardynek w Drzewicy (w Opoczyńskim). Biskup sandomierski ks. Stefan Hołowczyc oddał wtedy bernardynkom z Drzewicy klasztor w Św. Katarzynie. Przybyła wtedy z sześciu zakonnicami matka Onufria Skarzyńska.

W r.1847 na wiosnę - była wtedy przełożoną matka Antonina Raczyńska -

- straszny pożar zniszczył prawie doszczętnie i kościół i klasztor. Wtedy spłonęły archiwa. Długie lata trwała odbudowa,dokonywana ze składek zbieranych w Królestwie i na Litwie. Po kasacie klasztorów w r.1864 uznano Św.Katarzynę za klasztor etatowy z prawem utrzymywania 14 zakonnic. Na zbywające miejsce przysłano zakonnice z innych klasztorów już skasowanych. W r.1905 na mocy ukazu Cesarza Mikołaja o tolerancji religijnej można było pomyśleć o nowicjacie. Ze skazanych na wymarcie dawnych zakonnic pozostało w tej dacie 6 staruszek. W r.1907 odbyły się obłóczyny pierwszych 6nowicjuszek. Odtąd zakwitło życie w klasztorze.

Rola tego białego pod Łysicą klasztoru zawsze była dobroczynna dla tej dzikiej okolicy. Zakonnice potrafiły utrzymać kontakt nietylko z wędrowcami szukającymi przytułku,ale z ludnością okoliczną,wśród której szerzyły oświatę. W czasie powstania 1863 siostry zakonnice wiele pomagały oddziałom polskim,ukrywającym się w lasach,przechowując ludzi u siebie i posyłając do lasu żywność. Po wznowieniu nowicjatu zajęły się nauczaniem dzieci,a potym,kiedy już nastały szkoły polskie,założyły u siebie szkołę gospodarczą i robót kobiecych,kroju i szycia z internatem dla dziewcząt z dalszych okolic. Obecnie jest w internacie 20 takich wychowanic.

Zakonnic zaś jest 24. Klasztor Św.Katarzyny urządzony jest na prawach klauzurowych,to znaczy: z surową regułą,nie pozwalającą siostrom wydalać się z klasztoru. Nie można też zobaczyć w rozmównicy oblicza sióstr dyżurujących. Rozmównica ogólna zawsze jest otwarta,wypoczywają tutaj przechodnie i często wstępują mieszkańcy. W drodze faktu i zwyczaju klasztor pełni rolę poczty miejscowej,dostarczając dla całej Św.Katarzyny listy i gazety z Bodzentyna. Jakież jednak były początki klasztoru,o których dorywcze wiadomości daje Żeromski w "Puszczy jodłowej"?

Ks.Kostrzewski zebrał dane,jakie tylko udało się posiąść. Pokazuje się,że najdawniejsza wiadomość sięga r.1418,kiedy biskup krakowski Jan Rzeszot Rzeszowski wystawił na miejscu dawnej gontyny pogańskiej a później pustelni - kościół pod wezwaniem Św.Katarzyny i osadził

przy nim oo. Bernardynów.

Według relacji o./ Benedyktyna Szopińskiego (rękopis z r.1464) pierwotnie przy kościele tym istniał nie klasztor, lecz tylko dom dla wysłużonych księży emerytów (?). Opat świętokrzyski Maciej z Pyzdr oddał ten dom w końcu XV w. oo. Bernardynom.

Według innych kronikarzy Wacław czy Stanisław Jełowiecki, dzielny rycerz z czasów Jagiełły, otrzymał od króla tę górę, bo tutaj postanowił wieść żywot anachorety. On to wystawił tutaj kościółek i mały klasztor pod wezwaniem Św. Katarzyny. Za swego życia Jełowiecki miał przy sobie tylko dwóch Benedyktynów ze Św. Krzyża, po jego śmierci obaj jego braciszkowie wrócili do opactwa.

Pewien czas mieszkał tutaj niejaki Paweł Krobiński anachoreta, który potym wstąpił do oo. Bernardynów, ale pustelni nie porzucił. W stanie zakonnym spędził tutaj lat 40.

Posążek Św. Katarzyny, stojący do dnia ~~dzisiejszego~~ obecnego w wielkim ołtarzu, znalazł się tutaj w XVII wieku. Kto go postawił, nie wiadomo. Istnieje tylko tradycja, że statuę przywieziono z Algieru, a rzeźbiona jest z drzewa cyprysowego.

Pozostała również tradycja oparta na wiadomościach z kronik pisanych, które podczas pożaru spłonęły, że największymi dobrodziejami klasztoru byli hetman Jan Bronikowski i małżonka jego Katarzyna. Bronikowscy jak podawała kronika, doznali tutaj cudu. Pochowani w podziemiach klasztoru mieli piękny sarkofag z marmuru kieleckiego. Ale przy odnawianiu murów zniszczony, zaginął.

Istnieje też tradycja, że Władysław IV jeszcze jako 12-letni chłopiec w podróży będąc zachorował ciężko w Bodzentynie. Dopiero ofiarowanie Św. Katarzynie, wzywając jej pomocy, doznał łaski, że ocalał.

Oprócz owej statui cyprysowej nic dawniejszego w kościele nie widziałem. Natomiast niezmiernie żywym olśniony byłem wspomnieniem, gdym zobaczył w dwu bocznych ołtarzach obrazy, malowane przez moją ciotkę Joannę, które w dzieciństwie widziałem na stalugach u niej w Suchedniowie. Są to Matka Boska i Św. Antoni.

O malarce tej dałem wiadomość w "Pamiętniku Koła Kiełczan" za r.1929.

. . . . .

Jakże wygląda życie ludzkie u podnóża Łysicy,życie powszednie,powolne w rozwoju,mające przecież swoją fantazję,życie pod strażą góry,w czas burzy płonącej od błyskawic i klasztoru strzegącego świętości?

Z okna swego pokoju w pensjonacie mam przed oczami górę,poszytą ciemnym borem i samotny klasztor,jak pieczęć milczenia. Dokoła pustkowie, dzwoniące ciszą. Jestem z tym wszystkim wysoko nad panoramą pól chłopskich na dziesiątki kilometrów rozległą,pól,z których tylko czasami dociera tutaj człowiek.

Pod klasztorem widać odemnie nie zasłonięty drzewami odcinek szosy, wiodącej z Kielc do odległego stąd o siedem kilometrów Bodzentyna. Mijając wejście do kościoła,kobiety przyklękają,kornie się pochylając,chłopi kroczą dalej,odsłaniając głowy.

Na tej szosie można się czegoś dowiedzieć o życiu ludzkim. Brak gazet i towarzystwa miejskiego pomaga skupić uwagę na to,co tu na miejscu wiąże się w jakąś całość.

Rozmawiam więc z gospodarzem,który tego dnia "furmaniąc",ma kogoś odwieźć do Kielc i poi konia przy klasztorze. Na wózku podróżne drabinki,siedzenia okryte kilimkami,zgrabny "szpak" miejscowego chowu przy dyszlu. Chłop nie ma dwu palców u prawej ręki. Opowiada mi z fantazją,jak to było. Idzie polem z lasu,patrzy: koń komuś uciekł i nie daje się schwytać. Zabiegł mu drogę i przyparłszy do płotu,sięga do łba. Rozjuszony koń chwycił go zębami za rękę i trzyma,a nogami usiłuje zdeptać.

- Ale ja też mocny,trzymam go lewą ręką za grzywę. A chłopi krzyczą: Puść go,bo cię zabije. Jakże go puszczę - powiadam - kiedy on mnie trzyma.

Lekarz w Bodzentynie zrobił chłopu "reperację",bo palce były zgruchotane. Długo się leczył. Bardzo żywo było to opowiedziane,ale gdym o tym mówił z kim innym,kto chłopa znał,dowiedziałem się,~~xxxx~~ że było

trochę inaczej: schwytano go na kradzieży konia i,jak to bywa na sam sądzie,bito go drągami,przytym wyłamano palce,gdy ręką się zasłaniał.

Poznałem wyrobnika,który wszystko potrafi,tak jest utalentowany: roboty ziemne,stolarka,mularstwo. Ładne układa wiersze i nawet poprawnie je pisze. Widziałem jego list wierszem do pewnej warszawianki. Ma on we wsi w Wilkowie sąsiadkę Zaborowską,znaną w okolicy z nałogu układania wierszy. Sama pisać ani czytać nie umie,jak wogóle tuta ludzie starsi,ale dyktuje owemu robotnikowi. Są to wiersze i na pogodę,i na imieniny,na krzyż wznoszony na Łysicy,na sejm w Warszawie, na sąsiadów,wiersze religijne,polityczne. Bywa,że podczas skrobania kartofli ręka jej zwiśnie z kozikiem i tak trwa. Co to matka? - pytają. Ułożyłam se nowy wiersz - wykrzykuje rozradowana. Dyktuje wiersz nauczycielce wiejskiej,bo z kimże tu na milę dokoła się rozmówić? - i rada w radę,ijakby ten wiersz wydrukować w gazecie. Nauczycielka, która gdzieś wyczytała w gazecie warunki ogłoszeń,stylizuje do redakcji list,ileby też kosztowało zamieszczenie dołączonego wiersza,ale trzykrotne.

Poniedziałek nad wieczorem.Wracają ludzie z jarmarku z Bodzentyna. Baba przodem w ciemnym obleczeniu więc pewno z Krajna,za nią stary chłop z wieprzkiem w ciężkich,zeschniętych i za dużych butach,w granatowym kaszkiecie. Kupiliście? - pytam. Babie w to graj,zaczyna mówić prędko za wysokim nad potrzebę głosem. Widzę,że są trochę podpici. Prowadzą wieprzka z powrotem. Nie sprzedali. Dawali im 60 złotych,ale im było żal. Bo co to za wieprzaczek! Wszystko będzie jadł, nie trzeba mu mlekiem polewać strawy, a taki przywiązany! Mówiąc te rzeczy,baba przystanęła,więc i stary wrócić do niej musiał,bo prosię inaczej iść nie chciało,jeno za gospodynią. I poszli. Idą tak do domu przeszło 10 kilometrów kamienistą szosą ciągle pod górę.

Najbardziej żal mi było pokwikującego stworzenia. Bo zmiarkowałem ze wszystkiego,że jest ofiarą ludzi. Ono jest tylko pretekstem ich dalekich wędrówek "do miasta". Ludzie muszą się raz na tydzień wyrwać ze swych pustkowi,gdzie bytują jak trawa,aby się poczuć w jakimś

w społeczeństwie. Żre ich tęsknota społeczna,chcą czegoś się dowiedzieć,otrzeć o ludzi innych,czymś oszołomić. Jedno drugiego nie puści,aby samo poszło. Prosię zresztą nie pójdzie bez gospodyni. Oni go teraz nie chcą sprzedać,ale do tego nawet nie przyznają się przed sobą. W milczącym porozumieniu,oszukując się wzajemnie,wodzić będą biedne stworzenie na jarmark jeszcze przez kilka tygodni,aż podrośnie inne.

Pustka jest bowiem na wsi przede wszystkim - społeczna. Całe Kieleckie w tę stronę,aż pod Sandomierskie,całe te północne stoki gór Świętokrzyskich aż po Końskie - to świat chłopski,lub półrolny i robotniczy z kopalń rudy,która się wyczerpała,z wielkich pieców,które wygasły,świat nie znający dworów,będących ośrodkami cywilizacji wiejskiej. Do kościołów mają tu ludzie po siedem kilometrów. Nikt nic dla cywilizacji tu nie robi. Miasteczka,jak Bodzentyn,porastają trawą. Czego nie stworzyło niegdyś biskupstwo krakowskie,kiedy ludzie dobierali się do tej puszczy,to po dawnemu zostało pustką. Na resztkach dawnych dóbr kościelnych,zabranych prze rząd rosyjski,istniały dzierżawy. Folwarki te państwo polskie teraz rozparcelowało,zginęły więc ślady ośrodków kultury.

Taki Żeromski mógł wyróść w tutejszych Ciekotach i Mąchocicach,bo ojciec,dzierżawca folwarku,miał jeszcze w oczach szlaki wyższej cywilizacji;dziś już niema tutaj folwarku.Stefan Żeromski zgasł dla tych okolic bez-potomnie.Zajrzawszy w światy,tworzone przez człowieka,zebrał w siebie wszystkie tęsknoty tego utalentowanego ludu,zdolnego zarówno do złego,jak i do dobrego,a bezradna myśl czepiała się najrozmaitszych pomysłów i doktryn,jakby ten lud do życia bardziej złożone/go/ podciągnąć.

Widział,jak Bolesław Prus,trzy elementy w podstawie świata ludzkiego:ziemia,człowiek prosty i Bóg.Chciał wymyślić jakąś kombinację społeczną zbawienia,bodaj wzorem ks.Ściegiennego,który w tych stronach właśnie marzył przedwiośnie komunistyczne. Zawiodły siły niecierpliwego Prometeja,ale uratowała go nadzieja na rodzące się państwo polskie,w które wierzył. Zdawszy na nie troskę o przy-

szłość historyczną tego ludu,w tym czystszej bezpośredniości znalazł się wobec dwu innych pierwiastków bytu: ziemi i Boga.
Czymże jest teraz ów pomnik,postawiony przez młodzież na skraju Puszczy na cześć Żeromskiego? Złączył on pierwiastki metafizyczne życia na tej ziemi: przyrody,człowieka i Boga.

. . . . . .

Najbliższym stąd "ogniskiem cywilizacji" jest o siedem kilometrów w dół od św.Katarzyny miasteczko Bodzentyn.Z czasów biskupa Bodzanty pozostało trochę ruin przy kolegiacie - i legenda. Tę przechowują zubożałe rody mieszczańskie (najwięcej Szmigielskich) niszczone od gęstego pasorzyta w postaci żydostwa. Wczasie wojny miasteczko spłonęło,padł w ruinę kościół mniejszy,gdzie spalił się między innymi drogocenny obraz,przez Jagiełłę jakoby darowany,M.Boskiej Loretańskiej. Na jednym z dwu rynków nowe państwo polskie dźwignęło drewniane gmachy szkolne.
Ni stąd ni zowąd znalazło się w Bodzentynie seminarium nauczycielskie. W Polsce dość rzucił ziarnko na opokę,a plenić się będzie życie. Nigdzie chyba siew nie opłaca się tak sowicie; gdybyż tylko wiedziano zawsze,gdzie rękę wyciągnąć,a obejrzano się za siebie okiem pieczołowitym,Polska wszędy by zakwitła.
W księgarence,która sprzedaje papierosy,zobaczyłem publikację bodzentyńską. Niewiadomo skąd druk,ale karta tytułowa 193o r. Tytuł: "Echa Łysogór". Czasopismo kółka humanistycznego uczniów Seminarium nauczycielskiego w Bodzentynie.(nr.1)
Ot i mamy literaturę.
"Młodzieży! - woła w przedmowie redakcja. - Wykażmy przed światem(!) nasze wzniosłe ideały,nasze szlachetne myśli,cele i dążenia"... Jeden z kolegów (Sęp) bywalec,umiejący porównać stosunki,utrzymuje,że zapadły Bodzentyn jest kochany i kocha swoje seminarium i jest z niego dumny. "Podobno powiedział Juliusz Cezar, - słuchajcie! - że miast być drugim w Rzymie,wolałby być pierwszym w Psiej Wólce. W wie-

lkim mieście,nawet w Rypinie,czułem,że nie obchodzę nic nikogo... W Bodzentynie nastały dla mnie czasy inne. Mam wrażenie,iż jestem uczniem Uniwersytetu wileńskiego za czasów rektora Śniadeckiego,lub że mieszkam w dawnym Krzemieńcu"...

Oprócz tego jednego powołania się na tradycje szkolne z ostatniej doby rozkwitu na wschodzie,niema w całej publikacji śladu literatury, snucia z książek. Wszystko zaczyna się w tych młodych duszach od początku. Są bez tradycyj,bez biblioteki,patrzą w świat na nowo,bezpośrednio. I to jest dla mnie sympatyczne. Zaczyna się nowe ognisko - trochę gałązek jedliny z gór Świętokrzyskich,naturalne krzesiwo - i oto płomyk. Płonie bez stosowania bibuły. Nawet tradycje,jeśli są,to przyniesione z pola,to uschnięte kwiaty z mogiły powstańca 1863 r.

Poeta Stefan Cieszkowski (z kursu V) wspomina razem szczerbiec Chrobrego i kosę Langiewicza - tak mu się słyszy w "Hymnie pochwalnym minionych stuleci". Ale siłą jego uczuć poetyckich jest to,czego doznaje,co widzi,i co czuje sam:

Niby olbrzym odwieczny,snem śmierci spowity
Legły w cichej zadumie stare Łysogóry,
A ponad nimi jasne niebiosów lazury
A wkoło nich kraj płodny łanami pokryty.

Poeta ma też swój świat wewnętrzny z wyciągiem lirycznym. Oto jego "Czarne noce":

Lubię te czarne,ponure noce,
Gdy za oknami wiatr załomoce
Kiedy zaszumi w złowrogim jęku...
We mnie te noce nie budzą lęku.

Szedłbym bez trwogi w tę dal okrutną,
Bo mi tak tęskno... ach,tak mi smutno.
Chciałbym tak lecieć tą ciemną nocą
Sam nie wiem dokąd i nie wiem po co.

"Szarotka"(z V kursu) rozpisuje się o miłowaniu pieśni. Ponad poezję

literacką stawia pieśń żywą - słyszaną i śpiewaną. Na prostym przykładzie zabawy tanecznej pokazuje,ile ona daje energii i radości. "W czym tkwi czarowna moc pieśni? Chyba w rytmie. Jeśli się rytmowi temu poddamy,wtedy chwyta on w swe ramiona całe nasze ciało i dyktuje takt wszystkim narządom naszego ciała,krążeniu krwi,biciu pulsów a nawet myślom. Trzeba się tylko poddać muzyce"... Jest w tym zaród poważnej myśli z dziedziny estetyki.

Inny zaś kolega,Fr.Rażalski (z kursu V),ma upodobania filozoficzne. - "Szczęście a życie" - taką daje rozprawę. "Życie - tak sobie medytuje - widać powstało z myślą o szczęściu". "Szczęście jest tym,co podtrzymuje życie i jest jego sensem". "Bez szczęścia,bez nadziei osiągnięcia szczęścia,nikomu absolutnie nie chciałoby się żyć,bo jest w tym wypadku (?) nicość"...

W taki sposób marzą w Bodzentynie młodziency o umiłowaniu pieśni,o miłości Ojczyzny i przyrody,o szczęściu wreszcie. A wszystko to jest tęsknotą... do miłości. Młodość wyciąga ramiona do słońca i do szczęścia; uboga młodzież z ubogiego miasteczka. Mój Boże,gdyby do końca czuwało nad nią coś tak opiekuńczego,jak instynkt miłości! - Obyż nie dała się wdeptać w błoto!

W widzeniu Antoniego Kowalskiego (z V kursu) "Po drodze życia" jest chłopiec taki jak oni: "Niekiedy z tajemniczej gęstwiny wychodził młody chłopiec,roześmiane miał lica,zamglony wzrok,a w piersiach przeczyste,płonące wieczną miłością serce... Po ginącej w mrokach drodze posuwał się szary hufiec w jasnych pobłyskach kos. Naokoło nich groźnie szumiały czarne bory... A oni szli z pieśnią miłości, z wiarą w nowe,lepsze życie. Serca ich złota,nieziemska omotała nić. Szli w dal jasną,nieskalaną do gilowych gajów,do skowronczych pieśni,byś swym życiem odkupić wolność..."

Widać,jak na dłoni,że legenda o kosach powstańczych i porywach wolności przetopiła się już w treść nową młodego życia.

W "Echach Łysogór" pisują też koleżanki. Panna Krystyna Dębska (z kursu dopiero III) usprawiedliwia się "Dlaczego kocha Polskę". "Droga mi jest - powiada - choćby dlatego,że odkupiona została niewinną krwią

i łzami moich braci Polaków"...
Nie wiem czy w seminarium wolno kochać także poszczególnych kolegów czy koleżanki,ale widzę z noweli Turkucia "Dla siwych oczu",że to się zdarza. Bardzo smutna i wdzięczna nowela zaczyna się od obrazu: "Na stromej skale w pobliżu ruin biskupiego zamczyska (właśnie Bodzentyn) siedział młody Stach." Wiele cierpiał w życiu i był złamany. "Pewnego dnia spotkał na schodach nową koleżankę,a gdy się jej ukłonił,ta spojrzała na niego tak jakoś przejmująco,~~że~~ iż zniechęcenie do świata rozwiało się" i t.d. Koło tych ruin spotykali się, złożyli sobie przyrzeczenia. Tymczasem ona umarła. Na wieść o tym Stach "zwalił się z nóg. Z kieszeni wypadło mu pudełeczko,a spadając uderzyło o kamień i otwarło się. Pierścionek tocząc się błysnął kilkakrotnie na skarpie i zniknął w ciemności".
Dramat ten rozegrał się na górze Bodzentyńskiej,a pierścionek - to już symbol starganej miłości.
Są tu rzeczy,jak widzimy,nieraz naiwne,ale zawsze czyste i szlachetne. Któż wie,czy z tych pierwocin - jeśli chodzi o literaturę,nie wyłoni się z czasem jaki Żeromski,którego elegia o "Puszczy Jodłowej" dała do Łysogór dostęp wyobraźni artystycznej?
Bardzo się zmartwiłem,gdy mi powiedziano,że właśnie tego lata seminarium bodzentyńskie zamknięto,jako zbędne.

. . . . . .

O tej Łysicy i całym paśmie gór pokrytych lasem jodłowym Żeromski napisał po wojnie poemat prozą p.t."Puszcza jodłowa". Pożegnał się z nią przed śmiercią. Był tutaj po wojnie,kiedy już "przyszła znowu na swe miejsce Polska". Stwierdził,że ani Moskale,ani Austriacy nie zniszczyli lasu i klasztoru.
"Stoi oto wciąż dom Boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów,co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakby zwornikiem,w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przebiega z obrazów i spoczywa na jego białym kształ-

cie,a wyrzeźbiony w źrenicy,zachowuje w sercu na zawsze.

"Żyj wiecznie,świątnico,ogrodzie lilii,serce lasów! Przeminęły nad tobą czasy złe,zlane ludzką krwią. Ciągną inne,inne. Lecz któż może wiedzieć,czy z plemienia ludzi,gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome,nie wyjdą znowu drwale z siekierami,ażeby zciąć do korzeni macierz jodłową na podstawie nowego prawa,w interesie jakiegoś handlu,lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było,do tych przyszłych barbarzyńców,poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: - Nie pozwalam!

"Puszcza królewska,książęca,biskupia,świętokrzyska,chłopska ma zostać na wieki wieków jako las nietykalny,siedlisko bożyszcz starych,po którym święty jeleń chodzi,- jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności!

"Puszcza jest niczyja,nie moja,ani twoja,ani nasza,jeno Boża,święta!"

Te ostatnie słowa,mianujące Puszczę jako instytucję świętą,pochwyciło najmłodsze pokolenie,oświecające się w Kielcach z kółka św. Kingi/ i wypisało je na kamieniu,wiążąc pojęcie Puszczy z nazwiskiem poety.

Puszcza jest niczyją,ani moja,ani twoja,ani nasza,jeno Boża,święta!

Pod napisem jest data 15 maja 193o.

Widzimy więc,że do życia Łysicy i puszczy w jej środowisku dotąd chłopskim i zakonnym,wtrąciła się literatura świecka. Od Żeromskiego pochodzi sama nazwa Puszczy Jodłowej,która pozostanie z tym mianem,jak Białowieska,Niepołomska i t.p. Ale co najważniejsza - literatura spełniła tu rolę swoją,jako organizatorka świadomości. To,co było tłem bardzo wątłego życia tej okolicy,niemal dekoracją, zyskuje byt indywidualny.

Pojęcie Puszczy w duszy Żeromskiego przebyło długą historię,zanim osiągnęło ten stopień religijno-mistyczny; Puszcza - Boża,święta. W dzieciństwie była jego własnością jako dziedzina jego osobistych przeżyć,potym w młodości przechodziła etapy socjalne. Czyjże może

być las,jak nie ludzki? Kto ma do niego prawo? Poglądy chłopomańsko-socjalistyczne odpowiadały staroludowym o darach Bożych ziemi,należących do wszystkich. Utwierdzał się w nich Żeromski,czytając takich filozofów z połowy przeszłego wieku,od których wiele przejął,jak Henryk Kamieński. One robiły mu sympatycznym ks. Ściegiennego,który w tych okolicach działał,biorąc za punkt wyjścia komunistyczne utopie.

Pod koniec życia błogosławiąc Puszczy na pożegnanie a z wdzięczności za wspomnienia lat dziecinnych,widzi w niej już rzecz n i c z y j ą , nawet nie zbiorowości,lecz Bożą,powraca ją Bogu,pod Jego opiekę. Niewątpliwie myśl Żeromskiego uległa wpływom prądów kulturalnych naszego wieku,zmierzających ku ratowaniu starych zabytków przyrody przy pomocy rezerwatów.

Idea ta wiązała się w przedziwny sposób z ideą religijną właśnie tutaj w św.Katarzynie,co uważam za jedyny w swym rodzaju wypadek wielkiej poezji niepisanej. Wzmiankowany wyżej ks.kapelan Kostrzewski,wielkiej zacności i dzielności kapłan,powziął myśl wzniesienia na szczycie Łysicy wielkiego krzyża jodłowego.Na tablicy,wyrzeźbionej w kształcie zwoju pergaminowego,umieszczono napis:

Nieśmiertelnemu Królowi Wieków
Jezusowi Chrystusowi
BOGU + CZŁOWIEKOWI
cześć i chwałę głosi
PUSZCZA JODŁOWA.

Puszcza Jodłowa dzieło Boskie,owa Święta Puszcza głosi swym szumem chwałę Chrystusa - Człowieka,tego Chrystusa Miłosiernego,który z kapliczki przydrożnej patrzy na kamień,przez dzieci w hołdzie dla Puszczy postawiony.

Trudno o bardziej wzniosły i bardziej poetycki wyraz religijności. Był to kulminacyjny punkt wiązania trzech zasadniczych pierwiastków cywilizacji: B ó g - Z i e m i a - C z ł o w i e k , - pierwiastków zasadniczych,bo każdy z nich ma w tej kombinacji przedłużenie metafizyczne. Bez nich nie było w ludzkiej mocy two-

rzenie cywilizacji. W kombinacji ich leży siła wyciągowa,która dźwiga dzieło ludzkie narodu w górę. Niemasz trwałego ogniska bez tego wyciągu w górę. Tam,gdzie się nie kojarzą te idee w takie zrosty pojęciowe i wierzeniowe,jak ziemia i świętość,Bóg w przyrodzie i człowieku,Bóg-Człowiek,gdzie to razem wzięte nie harmonizuje w hymnie,gdzie dusza ludzka tak nie uduchowi przyrody,że Puszcza nie głosi przez człowieka chwały Boskiej,bo w ludziach niema nic boskiego, wtedy niema mowy o żadnym na wymiar wieczności tworzeniu.

Ja tutaj w Św.Katarzynie pojąłem,że są w Polsce przy tym przyrodzonym bogactwie duszy,doskonałe warunki na tworzenie wielkiej cywilizacji. Dusza narodu tworzącego cywilizację swoją,musi mieć swój wymiar w tym kierunku - ku górze,w kierunku idealistycznym,bezinteresownym na punkcie chwili bieżącej. Sięganie ambicjami w przyszłość, kult przeszłości,bohaterstwo,które czyni radosną śmierć w ofierze narodowi - są to realne motywy psychiczne z tego właśnie wymiaru. Nie zastąpią tych motywów wyłącznie ideały socjalne,dotyczące układu stosunków na powierzchni życia między ludźmi. Dusza zbiorowa ma jednym słowem te same wymiary,co dusza w jednostce: nie wyczerpują jej potrzeb dążenia na chwilę bieżącą,zaspakajające interes praktyczny życia; pierwiastek boski pociąga ją w górę ku tworzeniu rzeczy wiecznych.

Krzyż postawiono na Łysicy 3 maja 193o r.,a w dn.13-go czerwca na św. Antoniego przy okazji odpustu w miejscowym kościele nastąpiło uroczyste poświęcenie. Dokonał poświęcenia ks.biskup kielecki A.Łosiński w asystencji kilkunastu kapłanów przy udziale paru tysięcy ludu okolicznego. Pierwszy to chyba raz na szczycie Łysicy odprawiona była Msza Święta. Stało się to właśnie tego dnia o godz. 9-ej rano.

Pierwszy to raz w dziejach tej odwiecznej góry wzniosła się stąd Hostja,błogosławiąca krajowi. Legenda głosi,że szczyt Łysicy patrzał na świat tak,jak teraz,nawet wtedy,gdy ta część lądu pokryta była Morzem Północnym. Świadczą o tym jakoby skamieniałości,w których widać ślady życia fauny morskiej. Są dalej świadectwa geologiczne,że

V gdzie one się obecnie w poczuciu świadomości, tam już się rozwiną wielkiej cywilizacji

szczytu Łysicy nie pokryły nigdy lodowce. Stąd góra ta dla wyobraźni ludzkiej jest widomą postacią wieczności,postacią,która tęskni do morza i chciwie chłonie stamtąd wiatry,strażnicą,która od kilku tysięcy lat przed erą chrześcijańską patrzyła na ruchome osiedla ludzkie,łupiące krzemień w dzisiejszych okolicach Ojcowa,Olkusza , Szydłowca. A wzrok miała ku wschodowi dumny,do Uralu bowiem nie było przed nią ~~strasznej~~ żadnej góry.

Gdy tak w umyśle skojarzą się z dziejami przyrody dzieje człowieka, to krzyż,wzniesiony na szczycie świętej góry,nabiera symbolicznego znaczenia.

---

1) Por."Pamiętnik Koła Kielczan" z r.1930-1931 od s.75

2) O tych czasach,jak tutaj spotykałem się z Żeromskim,pisałem w "Pamiętniku Koła Kielczan" za r.1927.

4. Początki szkolne.

Nie pamiętam żadnych przykrości z czasów, gdy się przechodzi z analfabetyzmu na naukę pisma. Przyszło to jakoś "samo". Wiem, że czytałem już ojcu "Gazetę Warszawską" i "Tygodnik Illustrowany" (pamiętam z obrazków) sprawy wojny francusko-niemieckiej. Uczyli rodzice, a potem nauczycielki domowe moich sióstr, p. Wanda Zdziarska i p. Dębicka. Pierwsza była dobra i miła, a druga lubiła pasjami orzechy smażone w cukrze.

Pewnego dnia letniego bardzo pogodnego - był to dzień dla mnie pamiętny - gdyśmy pod zachód słońca siedzieli wszyscy na ganku od podwórza, doleciał nas z daleka od drogi za koszarami jakiś dziwny dźwięk, który niebawem zaczął się dłużyć w melodię i okazał się głosem trąbki pocztowej. Tak grał pewno pocztylion wiozący gości z Suchedniowa, więc skądżeby jadących, jak nie z Warszawy. Że grał pięknie, to był pewnie ów pocztylion suchedniowski, którego opisuje Dygasiński w "Panu Piszczalskim".

Istotnie z bryki wysiadł stryj Leonard z dwoma synami Jankiem i Bronkiem. Starszy brat ojca, ów wychowaniec kaliskiego korpusu kadetów do którego stary generał Józef Wasilewski pisywał listy, przytoczone przeze mnie w książce "Wnukom o prapradziadku", był już wówczas dygnitarzem w randze generała w warszawskim zarządzie komunikacji. Zrobił nam wielki zaszczyt zjeżdżając z synami na wywczasy letnie.

Chłopcy byli starsi ode mnie o lat kilka, obyci ze światem, jak to warszawiacy. Wiele się od nich dowiedziałem tego i owego, ale na ogół świetne to były zabawy. Skończyły się jednak żałośnie, bo oto uradzono, że stryj zabierze mnie do Warszawy - do szkoły.

W głowie stał się jakiś zamęt podobny omdleniu, bo zupełnie nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się w Warszawie. Oczywiście - do Suchedniowa, potem grały mi trąbki, ale to już były łkania.

Czułem się bardzo nieszczęśliwy w pięknych pokojach na drugim piętrze na ulicy Senatorskiej. Jedyne momenty, które mi się w tej klatce upamiętniły, to były odgłosy z podwórza, gdy wyprowadzono ze stajni wspaniałe konie w nieznanej mi dotąd błyszczącej uprzęży; wychylony z okna śledziłem jak zaprzęgają je do karety, jak stangret nakłada cylinder i jak konie zrywają z miejsca z trzaskiem podków. Były to konie p. Kaftala, do którego też należała kamienica.

Dziecko wiejskie za dużo miało tej Warszawy, aby mogła mu się w głowie pomieścić. Zostały mi się w pamięci wielkie omnibusy, coś z mostu Kierbedzia (w którego budowie brał udział mój stryj Leonard), przyjazd Kierbedzia, a zwłaszcza śmieszna krata żelazna na jezdni zamiast bruku od mostu do placu Teatralnego przez Senatorską. Dorożki

zabawnie turkotały, nie mogłem pojąć, skąd się tyle żelaza na świecie wzięło. Zostało też przykre wspomnienie, że bratankowie moi stryjeczni, gdyśmy ze stryjem poszli na spacer, wyśmiewali mnie jako dzikusa nie obytego z miastem.

Zapisano mnie do klasy wstępnej w szkole p. Szmurły na ulicy Długiej. Wychowawcą klasy był nauczyciel Komarnicki, prefektem ks. Sierociński. Zyskałem sobie opinię dobrego ucznia, ale nie pamiętam zupełnie swoich przewag, natomiast wiem, że byłem bardzo nierozgarnięty. Dotychczas palę się ze wstydu na wspomnienie, że kiedy chłopczyk siedzący przy mnie zapytał się przymilnie, jak mi na imię, odpowiedziałem: Aleksander. Myślałem widocznie w tak krytycznych chwilach o ojcu. Nie miałem jeszcze własnej osobowości.

Inspektorem szkoły był Wojciech Górski, słynny potem pedagog. Wówczas nieubłaganie stosował metodę kar stopniowanych pedantycznie, a kończących się chłostą. W rubryce sprawowania nauczyciele notowali α, β, γ (nieuwaga, brak pilności, występki). Komplet tych znaków dawał w wyniku chłostę, wymierzaną w sobotę na zakończenie lekcyj. Do klasy naszej (była to godzina religii) dochodziły lamenty przestępców. Poczciwy ks. Sierociński uspokajał mnie, abym się nie przejmował zbytnio. Po nocach jednak śniły mi się te krzyki. Na podwórzu w beczkach pod rynnami moczyły się stale rózgi brzozowe. Budziły we mnie zgrozę.

Było to w roku 1875. Ale ku wiośnie następnego roku zachorowałem na tyfus. Sprowadzono matkę i uradzono, że trzeba mnie zabrać na powrót do Siekierna. Że chory, że tęskni, że płacze... Wróciłem tedy znowu extrapocztą. Pocztylion trąbił. Triumfalnie.

Na lato rodzice sprowadzili korepetytora z Kielc, ucznia klasy wyższej, niejakiego Paszkowskiego. Ten przygotował mnie do klasy pierwszej. Aliści, gdy ojciec zawiózł mnie do Kielc, okazało się, że w klasie pierwszej miejsc już nie ma. Rada w radę życzliwi profesorowie Polacy doradzili ojcu, aby nie bacząc na wiek i brak dostatecznego przygotowania, z uwagi jednak na zdolności itp. - zapisał mnie do klasy drugiej.

Znalazłem się więc od razu wysoko, za wysoko jednak, bo trzeba było na drugi rok w tejże klasie pozostać. Braki wiedzy elementarnej dłuższy czas dawały mi się we znaki. Z tego powodu zaciąłem się znów w krytycznej klasie czwartej. Wynik egzaminów okazał się niedostateczny. Potem już szło gładko. Ukończyłem gimnazjum w r. 1884.

Wychowywały mnie teraz Kielce. Jakież to było środowisko? Najbliższe to "stancja". Doradzono rodzicom, by mnie ulokowali u p. Goreckiej. Oczywiście, jak zwykle w tych czasach, utrzymywaniem "stancyj" ratowały się podupadłe rodziny ziemiańskie, których majątki nie

wytrzymały kryzysu, jaki nastąpił po uwłaszczeniu włościan. Pani Gorecka była wytworną damą, traktującą swój nowy zawód jako bolesny dopust Boży. Miała bardzo piękne trzy córki. Pensjonat mieścił się na ulicy Dużej, w domu przechodnim, na drugim piętrze od ulicy Wesołej. Chłopcy bawili się na niepewnym ze starości krużganku nad cuchnącym podwórzem. Było na stancji pełno; mnie ulokowano za parawanikiem w pokoju pań. Korepetytorem był młodzieniec z VIII klasy, p. Domosławski.

Mnie było wszystko jedno, ale rodzice byli jakoś niezadowoleni i od wakacji ulokowali mnie u pp. Saneckich, mających swoją kamienicę w rynku, a w głębi ogrodu stary domek, zapadający w ziemię. Starsi wchodząc w próg schylali się, by domu głową nie nadwerężyć. Do ogrodu wychodziło się przez okno. Tam było bardzo dobrze. Pani Sanecka była krewną księdza kanonika Lipińskiego ze Wzdołu i jego siostry Zuzanny. Stąd powstał układ o stancję. Saneccy mieli kilku synów; z jednym z nich, Józefem (obecnie lekarzem we Włoszczowej), kolegowałem do końca szkoły, a na zawsze pozostałem w stosunkach przyjaźni. Matka p. Saneckiej, staroświecka staruszka, bawiła nas piosenką: "Miała babuleńka koziołka małego". Na ogół jednak był to okres intensywnego uprawiania piłki, do której dobierało się jak do brydża partię. Namiętnie tłukliśmy się w "ekstrę".

Spędzone tutaj dwa lata były dla mego zdrowia fizycznego i duchowego bardzo korzystne. Właśnie z powodu prostoty trybu życia i zdrowego, małomiejskiego rygoru obyczajowego. Rano jadało się żurek z czosnkiem, wszystkie wolne chwile na powietrzu. W czas adwentowy p. Sanecka prowadziła nas nocą jeszcze, bo przed godziną 6-ą, na prymarię do katedry. Wiarę w moc modlitwy miałem tak wielką, że przed Nowym Rokiem, gdy mi ciężko szła nauka w drugiej klasie i otrzymałem świadectwo kwartalne ze złymi stopniami, klęcząc i płacząc w kościele gimnazjalnym św. Trójcy, modliłem się o to, żeby Bóg odmienił te stopnie. Miałem nadzieję, że tak się stanie, więc wychodząc z kościoła zajrzałem do cenzury....

Tak zeszło w domu pp. Saneckich dwa lata. Gdym jako czwartoklasista wracał z wakacji, matka ulokowała mnie na stancji u pp. Świdów. Pierwszego roku mego u Świdów pobytu mieszkali oni przy ulicy Sukowskiej, na skraju miasta, przy drodze do Kądzielni. Zajmowali cały parter brzydkiej kamienicy, przedzielony bramą. Korepetytorem młodych uczniów, a więc i moim, był Stefan Świda z klasy VIII, późniejszy lekarz.

Częste stąd były wycieczki za miasto pod kierunkiem ojca Stefana, p. Floriana Świdy. Wyrywaliśmy się stąd bez dozoru na Kadzielnię, gdzie były piece wapienne i kamieniołomy. Stąd, ukryci za jałowcowymi krzakami, chłopcy atakowali kamykami przejeżdżające szosą fury pełne Żydów. Naprzeciwko naszej kamienicy - pamiętam - była piekarnia żydow-

ska. Wieczorem obserwowaliśmy z okna, jak Żyd miesił ciasto w balii. Robił to nogami rozebrany do koszuli.

Zresztą niewiele z tego roku pamiętam. Był to jakiś okres wieku przejściowego dla umysłu, półsenny.

Z pierwszych lat nauki niewiele mi zostało wspomnień o profesorach. Czepiały się pamięci przede wszystkim postacie charakterystyczne, których się chłopcy nie boją, którym owszem dokuczają i ośmieszają. Do takich należał nauczyciel języka polskiego, Michał Grubecki, autor pierwszej gramatyki polskiej w wykładzie rosyjskim. Nazywano go cwajnos, bo koniec nosa miał jakby rozłupany. Brudas był, dziwacznie się ubierał. Opowiadał cuda o Warszawie, że np. pałac Kronenberga jest tak wielki, jak wszystkie domy w Kielcach razem wzięte. W ortografii radził nam kierować się poczuciem rzeczy, którą słowo określa. Wszystkie rzeczy długie, ponure trzeba pisać przez "u", krótkie zaś, wesołe, przez "ó". Więc np. sznur, szczur. Bardzo się gniewał, gdy go zapytywali:

- A jeśli sznur był krótki?

- A jeśli szczur był wesoły?

W klasie drugiej uczono jeszcze kaligrafii. Pamiętam nudę tej godziny, kiedy staruszek Górnicki sennym głosem dyrygował: raz - dwa. Trzeba jednak przyznać, że wychowańcy kieleccy ładnie potem pisali. Teraz nie mogę odczytać rękopisów młodych literatów. Śmieszni byli nauczyciele języka francuskiego i niemieckiego: Piotrykowski i Malszek, opisywani zresztą nieraz we wspomnieniach kolegów. Poważnie traktowało się nauczyciela geografii Strawińskiego, w klasie III nauczyciela greki Feliksa Rybarskiego. Pamiętam staroświecki typ łacinnika w osobie Szmida i drugiego "Niemca", Kremera, równie staroświeckiego nauczyciela arytmetyki Czarneckiego. Najwięcej baliśmy się księdza prefekta Czerwińskiego, a potem matematyka Szperla. Dyrektorem był wówczas Niemiec rosyjski Hamf (czy Gamf), inspektorem Rosjanin spolszczony Kostecki.

A zawsze tyle lat myśl krążyła koło domu w Siekiernie. Ojciec przyjeżdżał przynajmniej raz na miesiąc. W wolnych chwilach wybiegałem na róg ulicy, skąd widać było długi pas szosy do nas wiodącej i wypatrywałem, czy nie widać naszych koni. Szosa była biała i ginęła w widnokręgu, urwana na wzgórku. Ten pas wydawał się być nieskończenie długi i wrył się w pamięć na zawsze jako miara wielkich przestrzeni. Dotąd, gdy pomyślę o dużej odległości, zawsze mi się mignie w wyobraźni ta biała, tak związana ze mną uczuciowo, miara.

W wiele lat potem tłumaczyłem Żeromskiemu, że wszystkie nasze wyobrażenia mają oparcie w naszej duszy o jakąś miarkę ukutą z wczesnych przeżyć, która sama się podsuwa nieświadomie i przytaczałem mu

ten przykład. W pewnym miejscu "Puszczy jodłowej" znajduję oddźwięk tej koncepcji.

Dowiedziawszy się o przybyciu ojca, biegłem do hoteliku na ulicy Małej. Gdy ojciec z miasta nie wracał, były konie i stangret. A w hotelu walizka, pachnąca jabłkami. Nie zna radości ten, kto nie czeka na szosie, gdy już można jechać do domu na święta lub wakacje. Byłem bądź co bądź dzieckiem wsi. Wakacje kształtowały tak samo jak szkołę. Strzępy zdobytej wiedzy tutaj układały się w nurt jednolity z życiem, gdy z nich składało się mimowoli przed rodzicami egzamin. Był zwyczaj u nas czytania głośnego wieczorem w kręgu lampy naftowej, skupiającej koło stołu rodzinę. Jednocześnie rosły ambicje ekonomskie. Pełno mnie było w gospodarstwie polnym - cały dzień spędzałem tam, gdzie była jakaś robota, gdzie ludzie gwarzyli lub śpiewali. Nigdzie takich pól wesołych nie było i nie będzie.

Okolica była pagórkowata i urozmaicona w krajobrazie. Za ogrodem płynął łąkami strumień, w którym robiło się tamy gwoli kąpieli. Łąki były bardzo kwieciste, na górze Kamiennej wśród kwiatów pełno było storczyków odurzająco pachnących. Na początku wakacyj były jeszcze sianokosy. Ojciec w celu dozorowania najemników siedział w białym kitlu na wzgórku pod drzewem, a ja leżąc na brzuchu czytałem mu leżąc "Gazetę Warszawską". Mam w oczach ludzi błyskających grabiami. Dziewczyny pośpiewywały. Co do owego czytania był to jeden z powszednich motywów naszego życia domowego, aczkolwiek biblioteka była niewielka. Górowały książki, dotyczące dziejów Napoleona i jego marszałków, były pamiętniki Niemcewicza, biblioteka klasyków polskich Bobrowicza (Lipsk), sporo Kraszewskiego. Matka miała upodobania literackie. Wspominała często czasy, gdy czytała "Przygody Telemaka" Fénelona. Wraziło mi się w pamięć - i to była w przyszłości jedna z owych miarek rzeczy - jak mi jeszcze niedorostkowi powiedziała, że chciałaby, abym został pisarzem. W związku z tym pamiętam, jak kiedy indziej, czytając ze mną w "Tygodniku Illustrowanym" recenzję Wiktora Gomulickiego z jakiegoś zbiorku poezji Konopnickiej, zatrzymała mnie w miejscu, gdzie krytyk chwalił, jako właściwość poetki, doskonałe zapamiętywanie doznanych wrażeń. Wszystko mi wygasło w pamięci, tylko ten szczegół się utrwalił i błąka się stale poza refleksjami przy czytaniu autorów jako nakaz odszukania ich w utworze.

Tak upływały lata jeszcze dziecinne, dzielone między szkołę i dom rodzinny, w którym też była szkoła dla ducha moralnego i umysłu. Dziś widzę z daleka, że rodzice moi kształcili się razem ze mną. Sami należeli jeszcze według ideałów swej młodości do epoki poprzedzającej renesans literacki romantyzmu. Nieznane im były bliżej dzieła wielkich poetów, które nie dochodziły do Warszawy za czasów ich młodo-

ści. Odosobnieni w Suchedniowie, żyli wspomnieniami tej nowej atmosfery, która w czasach Paskiewiczowskich dostawała się do ich środowiska urzędniczego dzięki muzyce Chopina. Poza tym było w życiu umysłowym tej sfery tylko to, co dzięki edukowanym kobietom i życiu towarzyskiemu pozostało z cech literackich wieku XVII i XVIII.

Błędne jest wyobrażenie tych, którzy poddając się modnemu za czasów mojej młodości hasłu: "Starzy i młodzi", "wy i my", - myśleli, że młode pokolenie tylko płynie, a starsze, zatrzymane w biegu, zdaje się raczej cofać. Ideałem życia po wszystkie czasy i stare i młode jest wieczna młodość. Starsze pokolenie podąża za młodszym choćby dlatego, żeby go nie stracić z oczu. Pociąga je miłość. Ona sprawia, że zachowana jest ciągłość życia dziejowego.

Miałem tego dowód na swoim współżyciu z rodzicami. Żeby go przytoczyć, wybiegam naprzód o kilkanaście lat. W ciągu tego czasu zaszły szybko w umysłowości społeczeństwa duże zmiany. Było już po romantyzmie i zamykał się okres pozytywizmu. Moje pokolenie ogarnięte było prądem ideowym odradzania narodu przez dopływ sił z ludu. Rzuciliśmy się do badania stosunków wśród ludu i do oświecania ludu. Jakież to było dalekie od widnokręgów społecznych poglądów z tamtego półwiecza. Rodzice moi nie zajmowali się nigdy przedtem pracą społeczną, przyzwyczajeni do nurtu życia inteligencji, płynącego równolegle i niezależnie od tego, co płynie na dole społeczeństwa. Ojciec życzliwy był w ogóle dla ludzi, ale sam zawód leśnika, broniącego lasów od szkodników, nie mógł go dobrze dla ludu wiejskiego usposabiać. A jednak i ojciec i matka wprzęgnęli się do mojej roboty.

Na starość, gdy samotnie mieszkali zrazu w Łukowie, a w końcu w Suchedniowie, rozdawali między lud książeczki, które im przywoziłem z Warszawy. Przyjeżdżając niespodzianie, zastawałem staruszków w gronie dzieci wiejskich za stołem - była to nauka o Polsce. Byli to "starzy" i najmłodsi, a ja pośrodku jako łącznik.

5. Dojrzewanie.

Sięgając pamięcią w początki swego życia, dość łatwo oznaczyć granicę między wczesnym chłopięctwem a młodzieńczością. Nie jest to jeszcze dojrzałość, ale wielki krok ku niej, gdy umysł ze stanu bierności przechodzi w stan czynny w samoistniejszym oparciu o poczucie jaźni. Od tej chwili jakoś świadomiej się żyje i bardziej celowo, czepiają się głowy idee, a serca - uczucia bardziej skomplikowane. Nawet uczyć się łatwiej, młodzieniec zaczyna opanowywać czynnie sytuację swoją w szkole, gotów jest pomagać w nauce innym, zarabiać w ten sposób na swoje utrzymanie, żeby ulżyć rodzicom. Co do mnie, widzę swoją tego rodzaju przemianę w porze przejścia do klasy piątej w r. 1880. Miałem wtedy lat 15. Zaczyna się tutaj nowy okres zdobywania świata na swoją rękę i uniezależnianie się od domu rodzinnego.

Nowe mieszkanie pp. Świdów było znacznie dogodniejsze. Znajdowało się ono na ulicy Kapitulnej, wygiętej łukiem od placu Katedralnego do dzisiejszej Kolejowej. Zajmowała ona dom parterowy, należący do posiadłości pp. Bzowskich, z ogródkiem i od tyłu podwórzem. Stancję tę prowadziła p. Rozalia Świdowa ze swoją matką p. Leokadią Kamieńską. Pieczę męską roztaczał nad całością mąż p. Rozalii, Florian Świda, urzędnik Tow. Kredytowego Ziemskiego.

Czuję potrzebę wspomnienia o tej rodzinie. Był to przezacny dom, jeden z tych smutnych, strąconych z wyżyn dobrobytu, których wówczas było pełno w Polsce. Po uwłaszczeniu włościan chwiały się wielkie gospodarstwa rolne, obliczone ekonomicznie na pracę pańszczyźnianą i po trochu padały, właściciele zaś przenosili się do miast, aby tu poczynać życie zarobkowe.

W dwu dużych pokojach gnieździło się chłopców dziesięciu czy dwunastu; pokój stołowy oddzielał je od mieszkania gospodarzy. Dom miał dwa ganki, z tych jeden należał do uczniów, drugi, obrośnięty winem, do rodziny Świdów. Siadywała tam latem z wnuczkami sędziwa p. Kamieńska, pochylona nad robótką. Nie zaznała tam jednak spokoju, harcujący bowiem przy piłce chłopcy bez ustanku wrzeszczeli bez żadnej zresztą potrzeby. Aż dziwne, że to drzewo w udeptanym ogródku nie uschło - widziałem je teraz. Te same konary błogosławiły naszej młodocianości.

Było więc ludno w tym domu. Pp. Świdowie mieli czterech synów i dwie córki. Najstarszy Kazimierz był już urzędnikiem banku; Stefan, potem lekarz w Stopnicy, był początkowo moim korepetytorem, kończył właśnie szkołę; Adaś dorastał, najmłodszy Florek był dzieckiem. Starsza córka Lucyna była moją rówieśniczką, Marylka zaczynała szkołę. Obie chodziły na pensję pani Glixelli. Żywo mam w pamięci cały ten dom

wysoce kulturalny i szlachetny, z godnością dostosowujący się do skromnych warunków istnienia i ciężkiej pracy. Teraz bodaj lepiej widzę i pojmuję melancholię tych warunków niż wtedy.

Muszę opowiedzieć, jak trafiłem do tej rodziny. Po wakacjach 1878 r. odwiozła mnie do Kielc matka. W kurytarzu gimnazjalnym wyczytaliśmy w spisie stancyj nazwisko p. Świdowej. Pamiętam zdziwienie matki, pośpiech, z jakim udaliśmy się do niej i radość, gdy się okazało, że p. Rozalia Świdowa jest przyjaciółką matki z lat dziecinnych. Przypomniały im się czasy warszawskie, kiedy ojciec p. Rozalii, Kamieński, był sędzią w Sądzie apelacyjnym. Ojcowie się znali, panienki razem się uczyły. Musiało to być koło r. 185o. Potem się już nie widziano.

Sędzia Kamieński ożeniony był z Leokadią Różycką ze Stopnickiego. Znany to ród w Kieleckim, więc o nim wspomnę, wiele się bowiem nasłuchałem o nim. Różyce herbu Roja notowani są już za Warneńczyka jako rycerze. Posiadłości ich w Kieleckim ciągnęły się coś dziewięć kilometrów. Za naszych czasów gimnazjalnych wielkim poważaniem cieszył się Erazm Różycki, prezes Tow. Kred. Ziemskiego. Syn jego, również Erazm, to samo po nim stanowisko zajmował. Była to linia po Joachimie, dziedzicząca: Żerniki, Topsrów, Kargowo, Brzozówkę i in. Klucz bosowicki, należący do tejże całości, jeszcze za ojca Ludwika Różyckiego przeszedł z podziału między braćmi Joachimem i Stanisławem do tego drugiego. Otóż ten Stanisław na Bosowicach miał dwoje dzieci: Leokadię, późniejszą Kamieńską i syna Ludwika. Ludwik z powodów politycznych emigrował i zmarł w Szwecji, dziedziczką Bosowic pozostała sędzina Kamieńska. Ona po śmierci ojca zajęła się i podobno dzielnie gospodarstwem. Z dwu córek Rozalia wyszła za Floriana Świdę, druga za Bogdańskiego z Galicji Zachodniej. Powstanie zastało na gospodarstwie w Bosowicach Świdę. Były to jeszcze dobre czasy.

Mieszkano we wspaniałym pałacu, wzniesionym pewno za czasów saskich. Ludwik Różycki gościł tutaj pono Stanisława Augusta. Ze świetności tych nic nie pozostało. Tym się tłumaczy melancholia ganku, obrośniętego winem, gdziem nieraz słuchał dziejów z ust p. Kamieńskiej.

Dodać należy rys historyczny, który nas dotykał swoim końcem, że rodzina Różyckich należała od początków Reformacji w Polsce do najwybitniejszych rodów kalwińskich. W drugim krańcu kraju na Litwie mieszkał stary ród kalwiński Świdów. Rody kalwińskie poszukiwały się i łączyły. W ten sposób Florian Świda z Maćków pod Mariampolem dostał się do Bosowic pod Stopnicą. Wyłamał się z kalwiństwa Erazm Różycki starszy. Odtąd Różyccy są katolikami. Okoliczność ta, że Świdowie byli kalwinami, jak pod koniec gimnazjum miarkowałem, niezbyt dobrze usposabiała wobec mnie ks. prefekta Czerwińskiego, który też nigdy na naszą stancję nie zaglądał.

Z potomstwa Świdów, oprócz lekarza Stefana, żyła do niedawna

pani Maria Rusocka w Sandomierskim i dwaj najmłodsi synowie, Adam i Florian. Wiadomość o przedwczesnej śmierci p. Lucyny Gawrońskiej, z którą łączyła mnie przyjaźń serdeczna, była dla mnie szczególnie żałobną.

Ilekroć wspomnę te czasy, zawsze wyrzucam sobie jak grzech swój stosunek jako wychowawcy do chłopców. Dopiero we Lwowie, widząc jak bez wysiłku dzieci się uczą, zrozumiałem, jaka to była ohyda wychowawcza. Dzieciom w pierwszych klasach tak trudno się było przygotować do szkoły, że trzymałem je od obiadu do późnej nocy przy nauce. Chłopcy z domów wiejskich powoli ruszający mózgiem, jak mówili Rosjanie, o ósmej godzinie już senni, do godziny 11-ej kuć musieli słówka rosyjsko-łacińskie, czy inne, nie rozumiejąc znaczenia w żadnym z tych języków. Podniecało się ich krzykiem, ciąganiem za uszy, linią po łapach, a potem w niedzielę, przynosząc do domu złe stopnie. Był taki mały biedny Janek Bronikowski, trochę dziobaty - zawsze mi staje w oczach jako ofiara nocnej nauki. Miałem dwu Bronikowskich, Dąbskiego, dwu Zwierkowskich, dwu Zajdlerów, reszty nie pomnę.

Patrząc na dzisiejsze w Polsce zbytkowne szkoły, zabiegające o wszechstronny rozwój umysłów i ciała uczniów nawet w nauce powszechnej, nie mogę znaleźć dostatecznych podstaw do porównania ich z naszymi ówczesnymi. Choćby dbałość dzisiejsza o higienę. W gimnazjum kieleckim, wychowującym kilkuset chłopców, nie było lekarza. Nikt dziecku nie zaglądał w oczy ani w zęby. Co prawda nie pamiętam, żeby kto chorował: jakoś zdrowiej było na świecie. Nikt nie przestrzegał takich zabiegów jak mycie zębów albo kąpiel. Nie pamiętam, aby w Kielcach ktoś się kąpał, nie było gdzie. Mycie dotyczyło tylko twarzy w odrobinie wody przyniesionej ze studni. Tzw. "brudy" (zużytą bieliznę) uczniowie odsyłali do domów, na wieś, a póki co, składało się ją do brudnej poszewki, którą się trzymało pod poduszką.

Poświęcałem wiele miejsca środowiskom, które mi zastępowały rodzinę, tutaj bowiem odbywało się pierwsze poznawanie świata innego niż domowy dotąd. Zarówno dom własny, jak i takie stancyjne, są szkołami równoległymi do urzędowej szkoły. Są tp przecież ważne w życiu zdarzenia - w co też przebiera się chłopiec, zrzucając z siebie po trochu szatki naiwności dziecięcej. Jakaż to była ważna dla moich młodzieńczych uczuć okoliczność, że pierwszą swoją miłość, trwającą w okresie lat maturalnych, tak ekstatyczną i przeczystą przeżyć mogłem.

Wspomniałem szerzej o tych czasach właśnie dlatego, że wtedy przebyłem ją taką, że została mi na całe życie w podłożu pamięci jako miara piękna pozazmysłowego.

Jakże się działo w szkole w owym czasie od klasy V do matury?

Zdarzyło się, że nie zmienialiśmy izby i ławek od klasy piątej.

ło miary.

Tak się podobało naszemu gospodarzowi Krasowemu, który nas przez te kilka lat prowadził, a mógł dogodzić upodobaniom, bo był dyrektorem gimnazjum. Nazywał się Sewerian Januariewicz Woronkow, a uczył łaciny i greckiego.

Ponieważ w zespole kolegów i nauczycieli z roku na rok małe zachodziły zmiany, nic dziwnego, że zajmując te same miejsca w ławkach przywiązaliśmy się do nich i do ścian, i do siebie, nawet do gospodarza. Było nas zawsze około czterdziestu. Siedzieliśmy w ławkach jesionowych, każda z dwoma tylko siedzeniami. Stały w czterech szeregach ku katedrze i tablicy. Sala nasza była ostatnia na parterze, obok kancelarii.

Siedziałem w przedostatniej ławce pod oknem, przez które patrzeć mogłem stale na ulicę, oraz na mur ogrodu pp. Taylorów i na czuby ich drzew owocowych. Bacznie też z Zygmuntem Kujawskim, który za mną siedział, obserwowaliśmy ruch przechodniów na przeciwległym chodniku, sygnalizując sobie ważniejsze wydarzenia. Zdarzało się, że przechodziły tamtędy znajome dziewice szkolne, a wtedy roztargnienie nasze nie miało miary.

Towarzyszem moim w ławce był Józef Sanecki, przy Kujawskim zaś siedział Marian Żenczykowski. Wszyscy szczęśliwie żyjemy do tej pory. Przede mną stale siedzieli Roman Skowroński i Stefan Tomaszewski, a niżej Edward Łuszczkiewicz - wszyscy ci trzej nie żyją. Blisko też siebie mieliśmy Jana Zydlera, znakomitość matematyczną. W "Księdze Pamiątkowej Kielczan" (1925) podana jest pod rokiem 1884 lista tej klasy. Kilku skończyło dopiero w r. 1885.

W klasie siódmej i ósmej w r. 1882-84 uczyli nas, o ile pamiętam - profesorowie: ks. prefekt Czerwiński, Gracjan Czarnecki i Stanisław Szperl (matematyka i fizyka), Tomasz Siemiradzki (greka), A.G.Bem (język polski), Pietrykowski (język francuski), Waren (niemiecki), a z Rosjan: dyr. Woronkow (łacina), Gajsler (historia), Naruszewicz i Kostecki (rosyjski).

W "Księdze Pamiątkowej Kielczan" (1925) znajdą czytelnicy charakterystykę kilku z tych pedagogów we wspomnieniach Gabriela Wędrychowskiego (str. 112), a profil Naruszewicza u Mieczysława Wiśniakowskiego (str. 147). W klasach tych nie byliśmy przeciążeni nauką. Ja osobiście poza godzinami szkolnymi nie tykałem podręczników. Nie miałem na to czasu z powodu zajęć korepetytorskich z chłopcami powierzonymi mojej pieczy na "stancji". Początki w szkole rosyjskiej były bardzo ciężkie ze względu na język nauczania i zupełnie przypadkowy system przygotowania przedszkolnego. Najcięższe potem były klasy czwarta i szósta, z których przechodziło się wyżej na podstawie egzaminów piśmiennych i ustnych. Generalne "obkuwanie" czekało nas dopiero w koń-

cowych miesiącach klasy ósmej.

Folgowaliśmy sobie i nam folgowano. Pozostało mi wspomnienie profesorów jako ludzi zmęczonych, którym nie zależało na dobrych wynikach nauczania. Wyjątek stanowili ks. prefekt Czerwiński, zawsze w postawie walki ze złem, Tomasz Siemiradzki, z młodzieńczą wiarą budzący umysły, świetny pedagog Szperl, rygorystyczny, poprawny, bodaj jedyny, w którym uczeń nie odkrył żadnej słabostki. Profesorowie Rosjanie po dłuższym pobycie w środowisku polskim słabli w swojej misyjności rusyfikacyjnej, owszem, sami się polonizowali.

Nie lubiliśmy rzetelnie tylko Gajslera. Dali nam go w klasie siódmej, ledwo przybył z ławy uniwersyteckiej. Był to uczeń Nikitskiego, z Warszawy, wiedzieliśmy już, że uniwersytet skończył z trudem i od razu stwierdziliśmy, że nic nie umiał. Przesłuchiwał nas z historii, [illegible] w podręczniku. Inaczej nie był zdolny uczniów [illegible] jak Fin, wypomadowany, twarz miał wraz z nosem spłaszczoną [illegible], że jedynie interesującym szczegółem były w niej [illegible]. Wysoki, pretensjonalnie ubrany, odpychał swoją bufonadą chłopców dorastających, bardzo łatwo orientujących się na punkcie wartości moralnej profesorów. Wywiązała się od razu atmosfera nieżyczliwości wzajemnej. Młody profesor pyszny ze swego stanowiska podrażniony był ironicznym nastrojem klasy i nie umiał znaleźć żadnego dostępu do duszy młodzieży polskiej.

W klasie ósmej na parę miesięcy przed egzaminem dojrzałości na jego lekcji przysiadłem się do kolegi w sąsiedniej ławce, aby coś wynotować z jego podręcznika czy brulionu. Zrobiłem to jawnie, przyzwyczajony do tego, że nauczyciele bliżej mnie znający, na taką swobodę zezwalali. Złość mnie tedy zdjęła, kiedy usłyszałem gardlany, jak z rozbitego garnka, głos Gajslera:

- Zadziwiająca rzecz, po co p. W. zmienia miejsce!

Nie podnosząc głowy odpowiedziałem hardo:

- Widocznie mam interes, skoro to robię.

Wynikła z tego powodu straszna awantura. Wkrótce po skończonej lekcji wpadł do klasy dyrektor Woronkow i przyparłszy mnie do ściany, a zbliżywszy do mej twarzy swoją, bladą ze wzruszenia jak kreda, długo głośno krzyczał, zapowiadając straszne skutki mego buntowniczego czynu. Pamiętam tylko, że zacząłem:

- Myślałem...

- Nie śmiejtie dumat'!

Później żal mi było Woronkowa, bo zrozumiałem, jak bardzo bał się swoich rodaków, zwłaszcza tego typu co Gajsler. Jeden ich donos, a utraciłby posadę dyrektora. Poprowadził też sprawę z całą ostentacyjnością. Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej Gajsler upierał się przy

wniosku, aby mnie nie dopuścić do zdawania egzaminów. Ponieważ nie było do tego podstaw w wykazie postępów, Gajslera przegłosowano. Wtedy zapowiedział wobec zebranych na Radzie, że i tak potrafi mi udaremnić maturę.

Siemiradzki nazajutrz zawezwał mnie do swego mieszkania i poufnie odpowiedział, co zaszło na Radzie:

- Czy pan dobrze stoi z historii? bo jeśli nie, to Gajsler pana zetnie.

- Jestem bezbronny, bo nic nie umiem.

- Trzeba popracować. Ja panu pomogę.

Kochany Siemiradzki kazał mi codziennie wieczorem przychodzić do siebie i "kuł" ze mną historię powszechną, egzaminując, wykładając, wkładając do głowy to, co niezbędne. Po jakichś dwu tygodniach czułem się pewny siebie i w rezultacie przed komisją, w której brał udział Siemiradzki, a przewodniczył Gajsler, zdałem celująco.

Przytoczyłem ten wypadek dla charakterystyki stosunków. Nie było w nich miejsca na politykę. Przez cały czas nie zdarzyło mi się słyszeć ze strony nauczycieli Polaków żadnych wskazań lub uogólnień politycznych. Do klasy VIII nie słyszałem pieśni "Jeszcze Polska nie zginęła", usłyszałem ją po raz pierwszy na wycieczce w Ojcowie. Urodziliśmy się już w obroży, rosyjskość nauki i Rosjan traktowało się jako rzecz naturalną, nie nienawidziliśmy nikogo z nauczycieli z zasady dla tego samego, że Rosjanin, a jednak duch był polski i on nas łączył w jeden obóz z wychowawcami Polakami.

Starzy nauczyciele Polacy pod grozą utraty stanowiska nie mogli odezwać się do młodzieży po polsku. Ks. profesor Czerwiński miałby w nas lepszych wychowańców, bardziej do niego przywiązanych, gdybyśmy wiedzieli, jaka to zdobycz narodowa, że tego przywileju języka zdołał obronić. Za bardzo wszystko było naturalne, za mało zaś w ówczesnej przelęknionej, popowstaniowej atmosferze było instrukcji wychowawczej, narodowej zarówno po domach jak i w szkole.

Wyrażania swych myśli uczyliśmy się szereg lat ostatnich jedynie w wypracowaniach rosyjskich. Mam w zapiskach moich kilka tytułów takich ćwiczeń. Oto w lutym 1884 zadano nam do domu temat: "Charakter i różnice elegij Żukowskiego i Puszkina". Z paru słów dyspozycji widzę, że dla Żukowskiego obecność nie miała sensu, jeśli jej nie prześwietlała nadzieja życia przyszłego. Nie było rozpaczy, był smutek. Puszkin natomiast smutku nie znał itd.

Inny temat zadania domowego: "Najważniejsze momenty dziejów narodu rosyjskiego w związku z terytorialnym stanem państwa". Miało się tam podnieść, że wskutek zaboru Polski Europa przyjęła Rosję do swego obcowania rodzinnego.

Z czasów - zdaje się klasy VII - zapisałem tematy: "Współdzia-

łanie literatury i życia.- Grupa bajek Kryłowa dotyczących wychowania.- Dlaczego twórcy Laokoona nie byli zgodni z opisem Wergilego.- Co to jest współczucie? - Pogląd Puszkina na poezję i poetów.- Smutny ton pieśni rosyjskich.- Najważniejsze cechy kroniki Nestora.- Zasadnicze rysy charakteru Rzymian.- Znaczenie historyczne i skład początkowy żywotów świętych.- Karamzin jako historyk.- Życie jest walką.- Charakter Chlestakowa w komedii "Rewizor".

Antoni Gustaw Bem uczył nas ukradkiem piękności języka polskiego, zerkając niespokojnie na drzwi od korytarza. Oficjalnie uczył przekładania na język rosyjski czy odwrotnie. Od czasu do czasu wstrząsnął nami, kiedy dla przykładu jak rozróżniać muzycznie i czytać wiersze należy, deklamował urywki poetów, więc Edmunda Wasilewskiego:

"Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwym potoku..."

Albo z Zaleskiego - Lach serdeczny:

"Czarnym szlakiem za swym Lachem Ukraina wzdłuż
Jako umie w tęsknej dumie tuż za krokiem tuż,
Wielki żal podaje w niebo wszystkimi, och, dzwony,
Wraca Lach jej, Lach serdeczny do swej Lanckorony".

Zdawało się, że grają marsza żałobnego - coś dziwnie żałobnego wiodło mnie w przeszłość.

Nie wiadomo nigdy, co w tym wieku wstrząśnie i zbudzi czyn senną. Najwięcej dokonał nauczyciel greki Siemiradzki, komentując "Antygony". Taki Naruszewicz, Rosjanin, półobłąkany, który nas niczego nie nauczył, pewnego razu, przerywając wykład o Puszkinie, zapytał:

- A czy znacie ten wiersz Mickiewicza? - I zaczął cicho, ale z wielkim uczuciem deklamować śpiewnie:

"Kochanko moja, na co nam rozmowa...."

A gdy skończył, nakrył oczy dłonią a odwróciwszy się od klasy, trwał długo we wzruszeniu. W klasie było wtedy bardzo cicho. Zwykle lekcje Naruszewicza były gwarne nie do poskromienia. Pamiętam wtedy stan zamyślenia swego: co mu do Mickiewicza? co do uczucia, które trwać ma "do końca świata i po końcu świata"?

Życie umysłowe w szkole kieleckiej było dość opóźnione w porównaniu ze stanem szkół dzisiejszych, w których polonistyka, uprawiana intensywnie, już w niższych klasach dorabia się literatów i estetów. Myśmy dopiero w klasie siódmej dzięki Siemiradzkiemu wpadli na odkrycie, że autorzy greccy i łacińscy mogą być czytani ze względu na jakąś myśl ludzką, można było bowiem sądzić, że zastawiali oni tylko pułapki gramatyczne na biednych chłopców.

Zaczynała tedy pracować w głowach inteligencja, która, zdaje mi się, imponowała takiemu Woronkowowi. Pamiętam, gdym pewnego razu wywołany do przekładania zadanego Wirgiliusza orientował się w tekście po

[illegible]

[illegible] "Będzie długi, poeta
o wyciu wilków, o górach..."

Albo z Malczewskiego – [illegible]:

"Czarny w całej [illegible] Ukrainy [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]"

Zdaje się, że [illegible] – co [illegible] jeżeli to nie przesada.

Nie wiedziano [illegible] w tej chwili [illegible] (część) [illegible]

– A co będzie teraz z tym Mickiewiczem? – i zaczął cicho, ale z wielkim wzruszeniem [illegible]:

"Kocham cię, [illegible] rozmarzon...."

A gdy skończył, [illegible]

[illegible]

Życie [illegible]

[illegible]

raz pierwszy w wielkim napięciu rzeczonej inteligencji, zupełnie nie znając wielu wyrazów, Woronkow słuchał, słuchał, wreszcie powiedział dość przyjaźnie:

- Widzę, że czytasz pierwszy raz, ale nieźle kombinujesz.

Była w klasie naszej niepospolita głowa literacka - Paweł Zaorski. Gdyby żył, słynąłby teraz z uczoności. Nauczyciele mieli go za gawrona, bo był powolny i zanim do głosu na dobre doszedł, już mu go odbierali. Jeden tylko Bem toczył z nim dyskursy literackie. Bardzo mi imponowało (aż do poczucia zawiści), gdy Zaorski wykładał pogląd Maurycego Mochnackiego na literaturę.

W ostatnich latach z Bemem stosunki literackie były utrudnione, coraz bowiem surowiej przestrzegano, aby nie wykładał literatury, tylko uczył przekładać na język rosyjski. Od klasy szóstej miałem do niego pewien żal, że zranił moją ambicję. Na wielkanocne ferie zadał nam wypracowanie: "Wiosna czy też święta na wsi". Był to pierwszy mój felieton, z temperamentem napisany literackim. Zgubiła mnie właśnie literackość. W domu rodziców była kompletna Biblioteka kieszonkowa klasyków polskich Bobrowicza (wyd. lipskie), a w tomiku 3o-m Poezje Elżbiety Drużbackiej z "opisaniem czterech części roku". Nie omieszkałem przytoczyć stąd kilku wierszy o wiośnie ("jak powiada Drużbacka"); ... Tymczasem Bem, oddając mi po przeczytaniu wypracowanie, zakwestionował moje autorstwo:

- Ktoś ci napisał...

- Ależ ja! słowo daję!

- No, no - i śmiał się szyderczo pod wąsem jak szatan.

Nie podobna wskrzesić w pamięci, w jaki sposób kiełkowało życie umysłowe w tę naszą wiosnę. Widzę teraz w notesie z czasów klasy ósmej między dwoma zadaniami z geometrii wynotowany urywek z Gomulickiego:

"Lecz cóż to jest młodzieniec? Rozhukana fala
Chce panować, a sam jest namiętności jeńcem,
Chce gwiazd dostać, a skrzydła przy świecy opala".

Coś się śniło w duszy, może były już jakieś doświadczenia. W zeszycie z tego czasu, przeznaczonym na Silva rerum, widzę na uroczystym miejscu znowu czterowiersz Słowackiego („Beniowski"):

"O pierwsza miłość! Tej wiernym obrazem
Jest zaniedbanie serc bez interesu,
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której nie ma końca, kresu..."

Znaczenie tej cytaty pamiętam, ale go nie powiem, bo jest zbyt osobiste. To się tylko wpisywało do kajetu, co uderzało jakąś szczególną oczywistością jako prawda, co było odkryciem w duszy jeszcze niezorganizowanej, lub drogowskazem na ciemnych drogach. Szukając

prawd prostych na wszystkie potrzeby ducha, zapisywało się je, jakby kto rylcem w duszy żłobił. A więc maksymy z dziedziny moralności i sztuki życia. Widocznie ze Smilesa "O charakterze" wypisałem zdanie biskupa Wilsona:

"Spokój umysłu to dziewięć dziesiątych chrześcijańskiego usposobienia.
Ten jest jedynie bogaczem, kto zawładnął dniem swoim (Emerson).
Od niewoli nie przechodzi się do wolności, lecz do swawoli "
(Ochorowicz).

Do najtrudniejszych zagadnień duszy należy nadzieja. Zastanowiła mnie tedy w Wirgiliuszu myśl:

"Una salus victis - nullam sperare salutem".

A potem pozornie sprzeczne zdanie u Szekspira:

"Dla nędzarza jedynym lekarstwem jest nadzieja tylko".

A cóż cierpienie?

"Wiedza i talent budzą w nas tylko podziw, cnoty zachwycają nas tylko z daleka; jedno cierpienie im bliżej, tym silniej nas pociąga. Gdyby wszyscy ludzie przez chwilę szczęśliwymi być mogli, przez całą tę chwilę temperatura ich uczuć zniżyłaby się do lodowatości".

Była to myśl Al. Świętochowskiego. A zaraz pod nią dopisałem z Krasińskiego:

"Nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi".

Były imieniny Tomasza Siemiradzkiego. Złożyliśmy mu z życzeniami w upominku rzadki już wówczas egzemplarz słownika języka polskiego, słownika tzw. "wileńskiego". Doradził nam go subiekt w księgarni Goldhara, słynny Leon. Siemiradzki miał do nas przemówienie, a rzucone tam hasło zapisałem do zeszytu. Brzmi ono:

"Prawda, postęp i ojczyzna!"

Budził się w nas szacunek dla wiedzy - oczywiście nie dla szkolnej, ale dla tej wielkiej - w ogóle - przez duże W, na cześć której śpiewał wtedy hymny pozytywizm. Nie brak też w kajecie maksym odpowiednich, a wszystkie z wykrzyknikami:

"Multi pertransibunt, sed augebitur scientia!
Przybytek umiejętności jest świątynią demokratycznego ducha" -

było to z Tomasza Buckle'a.

To też po maturze napisałem z całym przekonaniem już swoją sentencję:

"Wiedza to góra niezmierzona. Z oddali wydaje się małą, możebną do przebycia. Zbliska przeraża swoim ogromem jak każda nieskończoność. Wobec niej wszyscy ludzie są równi, bo równają się zeru".

Znajduję też z tego czasu brulion wiersza, który zacząłem strofą:

"Patrz! Wiedzy strzelista piętrzy się góra,
Wyżej gwiazd sięga jarzącemi szczyty -
Trzeba zaiste anielskie mieć pióra,
By wzlecieć duchem na te błękity".

W moim Silva rerum znajduję spis pierwszych utworów literackich, które na użytek kolegów od szóstej klasy pisałem. Widzę tam takie tytuły: "Cicho! libretto do operetki.- Sen jednego z naszych" (zima 1882). Oba te utwory były wierszem, a treścią miała być satyra na złe zachowanie się kolegów podczas lekcji nieszczęsnego nauczyciela francuszczyzny, Petrykowskiego. Inny utwór pt. "Wizerunki sławnych ludzi, odbite działaniem czasu na siedzeniach ławek szkolnych" (klasa VII) były prozą. Ale owe wierszowane nie miały pretensji do poezji. Zachowałem przypadkiem ów "Sen jednego z naszych". Geneza tego nieudolnego wiersza humorystycznego jest sercowa. Żal mi się zrobiło biednego Petrykowskiego, starca niedołężnego, na pół sparaliżowanego, któremu istotnie robiono wielką krzywdę, przez władzę tolerowaną. Młodzież bywa okrutna, jeśli się zapamięta w rozhukaniu. Każdy z osobna dobry chłopiec w tłumie ulega psychozie. Całodzienny przymus wędzidła wynagradzano sobie na lekcji Petrykowskiego swawolą, przy czym zapominano o granicach szacunku dla wieku. Chcąc podziałać na wyobraźnię etyczną kolegów, napisałem fantazję, jako że śniło mi się, iż stawiono mnie przed sąd Boski za krzywdę wyrządzoną Petrykowskiemu. Motto było z Goethego.

"Nie wiem, skąd mnie ogarnia niebieskie natchnienie,
Czy mnie czasem nie rzuci aż po gwiazd sklepienie."

Opis szybowania do nieba bardzo rubaszny, przetkany trywialną gwarą uczniowską, zmierza do wyroku, który był wstrząsający:

"Bądź więc przeklęty na wieki!
A gdy się w kotle już będziesz smażył,
Zobaczysz wtedy, jakie to męki
Profesor w klasie przy tobie zażył!
Niech ci w tę gębę piekła anioły
Wrzącej jak ogień naleją smoły!"

Była to więc publicystyka szkolna, dziecinna, a jednak może nie bez wpływu, bo obyczaje istotnie szlachetniały. Wielkie znaczenie w tym względzie miał ruch umysłowy, polegający na samokształceniu równoległym do nauki szkolnej.

Nasze dwie ostatnie ławki zyskały nazwę "cukierni", a to dlatego, że czytywało się tam czasopisma, co przypominało kolegom czytelnię w cukierni. Podzieliwszy między siebie obowiązki prenumeraty, sprowadzaliśmy przez księgarnię Goldhara: "Prawdę", "Przegląd Tygodniowy" i "Bibliotekę Najcelniejszych Utworów". Za czasopismami nastąpiły książki, których tak wiele a tanich wydawał "Przegląd Tygodniowy". Zrodziła się pod tym względem pewna emulacja, którą umiała podsycać księgarnia. W Kielcach nie było jeszcze wtedy kolei, transporty warszawskie do księgarni nadchodziły tylko w pewne dni tygodnia. Czekaliśmy na nie niecierpliwie; do nowości nadciągała młodzież i nielicznie profe-

W moim Silva rerum znajduję spis pierwszych utworów literackich

sorowie; tam w tylnym pokoju księgarni spotykało się wszystko, co w Kielcach reprezentowało niejaką do książki skwapliwość.

Żeby dać miarę gorliwości naszej poznawczej i bibliofilskiej, przytoczę, jak wyglądała moja biblioteczka prywatna. Znajduję dość dokładny spis w notesie.

Zaczęło się od skupywania poezji. Bardzo ułatwiały to zadanie wtedy wydawane biblioteczki. Nieoceniona była, choćby ze swej taniości, Biblioteka Mrówki, wydawana we Lwowie przez Księgarnię Polską Bartoszewicza i Biernackiego. Mam przed sobą kilka tomów oprawionych zbiorowo według autorów: Mickiewicza, Syrokomli, Goszczyńskiego. Podobną formatem biblioteczkę wydawał Gubrynowicz i Szmidt. Mam stąd Słowackiego szereg utworów, wszystkie z datą wydania 1879. Owe wydania lwowskie sprowadzała do Kielc księgarnia Saula Rozenblatta. Niektóre tylko były cenzuralne i dozwolone (Syrokomla) i na nich Rozenblatt kładł swoją pieczątkę; inne sprzedawał chłopcom potajemnie. Księgarnia ta, uważana przeze mnie za podrzędną, miała jednak wielki urok z powodu trzech panien Rozenblatt, przejmująco pięknych.

W ten sposób doszedłem do posiadania Mickiewicza (Pan Tadeusz, 2 t. wykładów i in.), 18 tomików Słowackiego (był tam Ksiądz Marek, Król Duch, Anhelli, Kordian), 2 Krasińskiego (Przedświt i Psalmy przyszłości), 6 tomików powieści Goszczyńskiego, 3 Pola, 13 Syrokomli, byli tam Malczewski, Brodziński, Zieliński Gustaw, Klonowicz, B. Zaleski, Szewczenko. Z innych wydań pochodziły Goethego Cierpienia Wertera, Heinego Listy z Berlina, Melodie hebrajskie, Szkice z podróży, Sofoklesa Antygona i Elektra w przekładzie Węclewskiego, Arystofanesa Rycerze. Z Biblioteki Najcelniejszych Utworów miałem już oprawnych kilka dzieł: Rzewuskiego, Bronikowskiego i innych. Był W. Hugo (Notre Dame), Niemcewicza Jan z Tęczyna, Sienkiewicz (5 pierwszych tomów Gebethnerowskich) itp.

Ciekawy był dział naukowo-filozoficzny, ten w dużej mierze od Wiślickiego pochodził : Smilesa Pomoc własna i O charakterze, Legouvé Ojcowie i dzieci (to były rzeczy serdecznie czytane), Bain Umysł i ciało, Spencer O charakterze kobiety, Emerson Roboty i dnie, Przedstawiciele ludzkości, Wiśniewski Myśli o ukształceniu samego siebie (Orgelbrand 1873), Ribot (już wyżej przytaczany), Sieczenow Odruchy, Flammarion Życie Mikołaja Kopernika, Zaborowski Człowiek przedhistoryczny, Jevons Ekonomia polityczna, Büchner Dziedziczność, parę tomików już pomienionych. Interesowała nas kwestia wolności woli, stąd Renarda Czy człowiek ma wolną wolę, Ochorowicza O wolnej woli.

Osobno literatura. Dumą moją było posiadanie dwu tomów Scherra Historii literatury powszechnej, wydanej świeżo (1883) u Gebethnera i Wolffa. Kosztowały mnie 5 rubli. Miałem 2 tomy Carrière'a Sztuka

i literatura XVIII i XIX w. (3 r.), Dmochowskiego o Brodzińskim, Chlebowskiego o Kochanowskim, Spasowicza o Syrokomli i Polu, Chmielowskiego Poezja w wychowaniu, Kobiety Mickiewicza itd.

Z historycznych dzieł miałem 2 t. Bobrzyńskiego, Szkice historyczne Jarochowskiego, dra Antoniego J., Biernackiego Hołdy pruskie i in.

Ozdobą biblioteki były dzieła Schillera, kupowane zeszytami, bogato ilustrowane w wydaniu Zippera (u Altenberga we Lwowie). Do m matury już miałem 18 zeszytów. A potem miłe wydanie Liry Polskiej (u Świeszczewskiego w Warszawie). Miałem 5 tomików. Kosztowały rubli 2.5o.

W notesie znajduję taką notatkę: "Książki zbierać zacząłem z początkiem 1882/3. Z końcem tego roku (a więc klasa VII) było tomików 93, które kosztowały rs. 58 kop. 95".

Potem notatka: "W lutym 1884. Książki kosztowały mnie rs. 77 kop. 82. Było tom. 138. W marcu 144. Potem do sierpnia 1884 (widocznie po maturze) tomów 173, co kosztowało 12o rubli".

Jednym słowem, wydawałem na książki w ciągu tych dwu lat ze swych skromnych dochodów po 5 rubli miesięcznie. Gdyby dziś każdy zamożny dom wydawał na ten cel, jak ja wtedy, 3oo złotych rocznie, literatura nasza miałaby świetne podstawy materialne. W budżecie moim, jak widzę w notesie, wydatek na książki wynosił 20% całego dochodu.

W dzienniczku swoim od Roku Nowego 1884 zacząłem notować tytuły książek przeczytanych.

Otóż w styczniu tego roku czytałem: O powstawaniu praw moralnych Al. Świętochowskiego, Zarysy Anglii Taine'a, Zamek Kraków ski Rzewuskiego, Psychologia pozytywna w Anglii Ribota, Martwe dusze i Rewizor Gogola oraz Ogniem i mieczem Sienkiewicza.

W lutym: Z dziennika psychologa Ochorowicza, Polska i Rosja w r. 1772, Życie Franklina Migneta, Dmochowskiego o Brodzińskim, O dziedziczności Büchnera, Henryka Struwego O nieśmiertelności duszy, powieść Hajoty Dla sławy.

W marcu: O twórczości poetyckiej Ochorowicza, Synteza dwóch światów H. Struwego, Szulca Stanowisko historii polskiej, Br. Chlebowskiego Jan Kochanowski, Bolesławity Warszawa 1794, Świętochowskiego dramat Piękna, Ochorowicza Pogadanki fizjologiczne, psychologiczne i pedagogiczne.

Potem następuje notatka: "kwiecień, maj, czerwiec nic nie czytałem z polskich książek z powodu egzaminów maturitatis".

W poprzednim roku wpisałem do kajetu na sześciu stronach bardzo porządne streszczenie Rewolucji polskiej 1794 r. Zajączka, z której dowiedziałem się wreszcie czegoś o rozbiorach. W klasie ósmej uznałem

za konieczne streścić dokładnie Syntezę dwóch światów Struwego. Uczyłem się z tej Syntezy, że religia sprowadza niebo na ziemię, a sztuka podnosi ziemię ku niebu. Sztuka jest liryką ludzkości. Gdy religia i sztuka podadzą sobie ręce, wtedy połączą się dwa światy: nadziemski i ziemski, boski i ludzki, idealny i realny.

Tak uczył Struwe, ale inaczej Bronisław Rajchman, którego broszurę o teorii Darwina zalecał studiować duch czasu. Rajchman pisał i to zanotowałem do rozpamiętywania:

"Jak podług hipotezy fizyków eter wypełnia wszystkie przestwory pomiędzy atomami, tak religia zapełnia wszystkie luki poznania praw i urządzeń społecznych. Jak "natura nie znosi próżni", tak też nie cierpi jej umysł ludzki i ma stosowne do swego rozwoju zapełnienie".

A więc: prawda, wiedza. Ale cóż się stanie z religią, gdy tę wiedzę zdobędziemy?

Patrzę dzisiaj na te spisy rzeczy przeczytanych z pewnym niedowierzaniem, czy mogłem wiele rozumieć z tego wszystkiego. Gdzie się to wszystko podziało w umyśle? Bo przecież wielu rzeczy dziś nie wiem z tego, co pisał Büchner czy Ribot, a inne na nowo zdobywałem potem. Przypominam sobie, że ta lektura tylko raz wplotła się w naukę szkolną. Było to wnet po przeczytaniu książeczki Struwego o nieśmiertelności duszy. Z nauką religii, jak można wnosić z niektórych książek,które wymieniłem, nie wszystko działo się w myśl wychowawczą ks. prefekta Czerwińskiego. O naszych lekturach niewątpliwie coś wiedział i stosunek swój do mnie oziębił. Na lekcję religii przychodziłem nieprzygotowany, miałem wiele szacunku dla prefekta i niezmiernie się bałem jego surowości. To też przeraziłem się (było to pod koniec ósmej klasy), gdy wywołał mnie z listy. Pytanie dotyczyło nieśmiertelności duszy. Zebrałem wtedy w myśli całą swoją wiedzę książkową i wymieniłem dowody za Struwem. Ks. prefekt słuchał uważnie, ale nie widziałem w jego oczach zadowolenia, aczkolwiek bacznie mi się przyglądał, co mnie bardzo niepokoiło. Musiało być coś protestanckiego w tym, co mówiłem.

Jakże trudno młodzieńcowi wymiarkować drogę, gdy każdy autorytet - nauczyciel, każda książka - czego innego o tym samym uczy, a wpływy katechizmu, podręcznika, publicystyki, literatury ważą się i ścierają, jak fale niespokojne między wiatrem a brzegiem, do którego młodość wyciąga ręce. Zdaje się, że jednak w tym wieku najwięcej jedności tonu nadaje duszy poezja, ściągająca umysł z dowolnych dróg mędrkowania na teren życia, uczuć i popędów, który po wszystkie czasy będzie żywiołem decydującym o przyszłej postawie człowieka wobec świata i o jego charakterze.

6. W uniwersytecie.

Egzaminy maturalne powiodły się bardzo dobrze. Z żalem żegnałem się z Kielcami, zwłaszcza z rodziną pp. Świdów. Na całe życie została mi z czasów tutaj spędzonych pamięć niewysłowionych w swym uroku uczuć, jakie żywiłem dla panny Lucyny Świdówny. Z tą podwójną maturą wyjechałem zrazu na "kondycję" do Ksan z dwoma Zeydlerami, których byłem od dwu lat korepetytorem, a stamtąd z końcem sierpnia koleją (od Zawiercia) do Warszawy, gdzie spotkałem się z ojcem w domu stryja Leonarda, u którego przed laty, jako dziecko, kwaterowałem.

Rodzice mieszkali podówczas w Jagodnem między Łukowem a Siedlcami (parafia Domanice, gmina Dąbie). Poznałem tę nową siedzibę dopiero na święta Bożego Narodzenia, zostałem bowiem w Warszawie, aby się zapisać do uniwersytetu. Dużo było gadania o wyborze zawodu, ale nikt nie umiał mi nic stanowczego doradzić. Stojąc w uniwersytecie (w owym pałacu Kazimierzowskim, gdzie niegdyś w Szkole Rycerskiej kształcił się mój dziadek) przed wywieszonymi programami nauk, dziwowałem się mnogości nauk i stukałem w palce. Pociągnęły mnie zapowiedziane na wydziale prawniczym wykłady filozofii Henryka Struwego. Zdecydowałem się być ... prawnikiem. Mieszkałem zrazu w wynajętym pokoiku na ul. Świętokrzyskiej 18, potem razem z Tadeuszem Wędrychowskim z Suchedniowa i Stefanem Tomaszewskim z Jaksic wynajęliśmy wspólny pokój na ul. Brackiej 5, u p. Szaramowiczowej. Zostałem korepetytorem jej syna.

Z notatki zachowanej wypisuję, z jakich przedmiotów zdawałem egzaminy po roku wykładów:

1. Historia nowożytna Rosji (prof. Nikitskij) od śmierci Piotra Wielkiego do wstąpienia na tron Katarzyny II.
2. Historia starożytna Rosji (prof. Barsow), czasy udzielnych księstw do pogromu Tatarów.
3. Encyklopedia nauk prawnych i politycznych (prof. dziekan Kasznica). Rozwój historyczny tych nauk od czasów starożytnych łącznie z krytyczną oceną poglądów naukowych i różnic w pojmowaniu prawa u różnych narodów.
4. Historia Rzymu (prof. Adolf Pawiński) do czasów Cezara z krytyczną oceną wybitniejszych prac w tym zakresie.
5. Historia prawa rzymskiego (prof. Teodor Dydyński).
6. Logika (prof. H. Struwe), poprzedzona historią logiki.
7. Historia filozofii starożytnej (prof. H. Struwe).
8. Język rosyjski (lektor Kułakowskij). Gramatyka porównawcza.
9. Język francuski (lektor Płoński).

W następnym 1885-6 roku były te same przedmioty z historii Rosji, historia filozofii nowożytnej, prawo rzymskie dogmatyczne, ekono-

mia polityczna, statystyka (prof. Simonenko), encyklopedia Kasznicy. W tym drugim roku pisałem zaleconą mi rozprawę po rosyjsku "O istocie państwa", za którą mnie Kasznica pochwalił i odznaczył.

Poza wykładami (litografowanymi) to i owo się czytało. W owych latach 1884-6 czytało się nade wszystko i nagminnie to, co wydawały "Przegląd Tygodniowy" i "Prawda". Każdy w tym pokoleniu czytać musiał Buckle'a "Dzieje cywilizacji Anglii", Drapera "Dzieje stosunku wiary do rozumu", "Dumania pesymisty" Świętochowskiego i jego dramaty ("Aspazja"), wykłady o literaturze Brandesa i in.

W naszym kółku Kielczan ta była odmiana, że jednak na pierwszy plan wysunęły się potrzeby dokształcenia się w zakresie dziejów Polski. Studiowałem tedy dzieła: podręcznik H. Szmitta, potem Bobrzyńskiego, Szujskiego, studia Piotra Chmielowskiego, a zwłaszcza jego monografię o Mickiewiczu. Wiele czasu zajmowała jednak beletrystyka, a był wówczas jej rozkwit. Czytało się więc "Ogniem i mieczem", tomiki nowel Sienkiewicza, "Nad Niemnem", "Placówkę", nowele Dygasińskiego.

Należałem do kółka literackiego, gdzie odczytywałem referaty. Było to kółko Kielczan, zorganizowane przez starszego kolegę Karola Koziorowskiego. Kolega Eugeniusz Lipski (zmarł wkrótce w r. 1886) opracował i odczytał referat o Goszczyńskim, kolega Wędrychowski o Al. Grozie, kolega Łuszczkiewicz o Olizarowskim, kol. Tomaszewski o "Grażynie", "Konradzie Wallenrodzie", Kol. Paweł Zaorski o Mickiewiczu, apostole towianizmu, Łuszczkiewicz o "Panu Tadeuszu", ja odczytałem referaty o "Marii" Malczewskiego i o działalności profesorskiej Mickiewicza w Lozannie.

Najlepiej pracowało się duchowo w Jagodnem podczas wakacji. W Warszawie, w śródmieściu, przy ciągłym obcowaniu, a nawet mieszkaniu w jednym pokoju z rówieśnikami różnych temperamentów i potrzeb umysłowych, umysł zbytnio był rozpierzchnięty. Na wsi koncentrowałem się. Dworek nasz dotykał ogrodem do lasu. Przyroda podlaska, pełna melancholii z powodu ubóstwa gleby, działała na mnie uspokajająco. Łagodność ludu, z którym tutaj żyło się bliżej niż w Siekiernie, harmonizowała swoją szarością z piaskami. Sympatia potęgowała się współczuciem, miałem bowiem wrażenie, przez porównanie z bujnością życia w Świętokrzyskim, że tutaj ludowi dzieje się krzywda. Coraz dokładniej wtajemniczałem się w życie wsi, spisując, gdzie się dało, pieśni i opowiadania. Głównie jednak chodziło mi o napisanie dużej noweli, takiej, jakie pisał Dygasiński, a zarazem takiej, jakie pisał Sienkiewicz. Miała to być smutna opowieść o rodzinie Szerszeniów, której się nie wiodło, walczącej o byt.

W zupełnej ciszy, pozbawiony towarzystwa, otoczony ze wszystkich stron lasami, wiele czytałem i pisałem. Studiowałem życie ludzkie

w związku z życiem przyrody, jak to doradzał mi Buckle. Tłumaczyłem dla wprawy w języku francuskim nudną tragedię Voltaire´a "Zairę". W lipcu 1886 przeczytałem (przytaczam dla przykładu) takie rozmaitości: 1/ studium o zarazie moralnej Wł. Dawida, 2/ "Książę niezłomny" Słowackiego, 3/ pisma pośmiertne Słowackiego, 4/ "O ideale w sztuce" Taine´a, 5/ tom I Historii filozofii materialistycznej Langego, 6/ "Fryderyk Wielki" Macaulay´a, 7/ komedię konkursową Mańkowskiego pt. "Minowski", 8/ "Postęp, szczęście i przewroty społeczne" ks. Wł. M. Dębickiego, 9/ studiowałem Blunchlego "Prawo państwowe" (po rosyjsku), 1o/ powieść "Święty Jur" Zachariasiewicza, 11/ ekonomię polityczną Jevonsa, 12/ "Poruszymy z posad ziemię" Jokay´a, 13/ "Iliadę" w przekładzie Popiela, 14/ "Placówkę" Prusa, 15/ Bałuckiego nowele, 16/ i to najważniejsze, studiowałem w czasie tych wakacyj - zdobyte w Warszawie "Wskazówki do zbierania właściwości ludowych", napisane przez Romana Zawilińskiego.

Przed wyjazdem na te wakacje w lecie 1886 ośmieliłem się pójść do redakcji "Wisły" i tam poznawszy się z Adolfem Dygasińskim, otrzymałem od niego odbitkę tego kwestionariusza.

Postanowiłem zebrane już materiały według tych wskazówek uporządkować i następnych wakacyj uzupełnić. To był początek mego ludoznawstwa i zainteresowania społecznego bytem ludu, ugruntowany już we mnie przed powstaniem "Głosu", o którym się dowiedziałem w początku 1887. O Janie Popławskim już słyszałem wiele od jego przyjaciela Tadeusza Kozerskiego, starszego o rok słuchacza wydziału prawnego. Popławski pisywał w "Prawdzie" i felietony jego pilnie czytałem.

W czasie owych wakacyj 1886 r. nastąpił dość ważny zwrot na mej drodze. Wyjechałem na nie z Warszawy z przewodnikiem Zawilińskiego, ale bez awansu na kurs trzeci. Obciąłem się na egzaminie z historii Rosji u Nikitskiego, Był to bardzo niemiły profesor, nienawistny, jako typ monarchisty-czarnosecińca. Powtórzyło się coś podobnego, jak z owym Gajslerem w Kielcach. Wymagał niemal dosłownego powtarzania swoich wykładów, bez zmiany, co roku czytanych. Zbuntowałem się, nie mogłem pomyśleć, że będę musiał jeszcze rok patrzeć na Nikitskiego i uczyć się jego bizantyjskich poglądów.

W Warszawie mieszkali moi wujostwo Stanisławostwo Przystańscy. Ona była siostrą mego ojca (Wiktoria), on bratem Leonardowej Wasilewskiej. U Przystańskich przez cały czas pobytu w Warszawie jadałem obiady. Stąd możność naradzenia się z Przystańskim. Miał on rozległe stosunki jako b. profesor Szkoły Głównej. Poradził mi przenieść się do Petersburga na kurs trzeci. Na tym roczniku, już ostatnim, obowiązywała jeszcze stara ustawa liberalna semestralna, według której terminy egzaminów były dowolne. Nowa ustawa, która wprowadziła zielone mundury, zrównała Warszawę z uniwersytetami rosyjskimi i była uciążliwa.

Chodziło nam o to głównie, żebym nie podpadł, pozostawszy na rok drugi, pod tę ustawę.

Przystański dał mi list polecający do przyjaciela Spasowicza, adwokata Borszczowa (Polaka) z prośbą, aby się mną zaopiekował.

Dość, że 9 września wyjechałem do Petersburga, zaopatrzony przez ojca w paltot, podbity baranami.

Oparłem się zrazu o kolegę szkolnego Władysława Zienkowskiego, który teraz studiował matematykę. Z Kielczan byli tam ponadto Tomasz Ruśkiewicz (na inżynierii), Aleksander Kosowski (matematyk). Zbliżyłem się też z Siedlczanami, z Bolesławem Motzem (medycyna), Bronisławem Dembińskim (medycyna). Pierwsze moje mieszkanie było na wyspie Wasiliewskiej (na Bazylówce): 1o linia, nr 3o/3 m. 26, na piątym piętrze. Oczywiście pierwszą ekskursją było zwiedzenie Ermitażu. Pierwsze to było spojrzenie w wielki świat sztuki.

Na piątym semestrze wykładano wtedy: prawo bizantyjskie (prof. Gorczakow), prawo cywilne (Duvernoi), prawo karne (Sergiejewskij), prawo międzynarodowe (prof. Martens, wysoki urzędnik Min. Spraw Zagran.), statystykę (prof. Janson), medycynę sądową (Sorokin) i lektoraty języków obcych. Na semestrze następnym przybył wykład znakomitego kryminologa Fojnickiego. Nauka zabierała mi wiele czasu, musiałem bowiem przygotować się do egzaminów i z tych przedmiotów, które tutaj były wykładane, w pierwszych czterech semestrach, a których w Warszawie nie było.

Koszty utrzymania były wyższe niż w Warszawie. Ojciec miał mniejszą pensję niż w Siekiernie, przy tym spłacał do skarbu dużą sumę, którą w Siekiernie skradli włamywacze. To było powodem także translokacji ojca. Znalazłem tedy korepetycję bardzo uciążliwą, bo do czterech chłopców u pp. Tagiejew za 15 rubli miesięcznie z dodatkiem obiadów i kolacyj. Od czwartej do ósmej ciężko pracowałem, bo chłopcy nie byli zbyt skłonni do pracy. Poznałem za to sposób życia ministerialnych urzędników petersburskich. Polaków chętnie widziano i szanowano, liczono na dobry wpływ kultury polskiej na dzieci.

Od Nowego Roku warunki się poprawiły, otrzymałem bowiem przez Borszczowa stypendium z jakiejś (nie pomnę) fundacji, gdzie Spasowicz był kuratorem. Stypendium wynosiło 25 rubli miesięcznie. Gorzej się żywiłem, ale czasu, rzuciwszy Tagiejewów, miałem więcej.

Wśród młodzieży petersburskiej przeważały prądy umysłowe socjalistyczne, które tu wkraczały bez żadnej walki z tradycjami narodowymi i dziwnie odpowiadały mrokom i bezsłoneczności Petersburga. Zdawało mi się, że coś za mną zapadło w oddalenie nie tylko geograficzne, że nastała nowa strefa duchowa, równie mroczna jak to powietrze. Najbliższy kontakt z tym nowym światem uzyskałem przez Motza, który mi wska-

zywał konieczność studiowania nowych pojęć socjalnych i ekonomicznych, a w tym celu zachęcał do czytania, ba - do uczenia się wykładów Czernyszewskiego. Nie umiem wyłowić, jakim orzeźwieniem było dla mnie zaglądanie do materiałów etnograficznych z Jagodnego. Przenosiły mnie spod tych chmur do ziemi, po której zostało mi w duszy słońce.

Na domiar przyszły z Warszawy wieści o pojawieniu się "Głosu". Z upragnieniem witałem każdy jego zeszyt. Zarysowała się wnet tam, gdzie były tylko nieokreślone tęsknoty i nieokreślone odpory, radosna idea, rozcinająca promieniem mroki. Dusza uspokajała się, że jednak istnieje stały ląd narodowy, na którym można życie budować bez trwogi, że się jest zacofanym w oczach zarówno "Przeglądu Tygodniowego" i "Prawdy", czy też apostołów socjalizmu. Dopiero tutaj, gdzie nic nie stawiało tamy rozkładowi duszy narodowej, ocenić mogłem dobroczynny wpływ nowego prądu, który rodził się w Polsce. Widziałem, co grozi młodzieży polskiej. Widziałem brodatych studentów Polaków w czerwonych "rubaszkach", zabraniających sobie mówienia po polsku, bo to język szlachty, uciskającej lud, język "burżujów".

Kto nie poznał na miejscu młodych Rosjan, cywilizujących się w uniwersytetach i bawiących się ideami postępowymi, ten nie zrozumie umysłów inteligencji na naszych ziemiach wschodnich, które od dawna ulegały przemożnym wpływom ducha rosyjskiego. Polacy z tych ziem pochodzący za cel swego życia ideowego uznawali rozwiązanie zagadnienia caratu, które było przecież zagadnieniem wewnętrznym rosyjskim. Stąd gorliwy ich udział w zamachach. Za mego pobytu zdarzył się właśnie taki zamach na początku r. 1887. Sprawcami okazali się studenci. Wielu aresztowano, między nimi Łukasiewicza, którego znałem z kuchni studenckiej. Zakotłowało się w gmachu uniwersytetu. Liberalny rektor Andrejewskij był w ciężkim położeniu. W czytelni studenckiej było pełno i burzliwie: krążyły ulotki, zakrywane przed okiem szpiclów gazetami. W pewnym momencie, gdy znajomi moi studenci zajęci byli czytaniem proklamacji, spostrzegłem czającego się szpicla. Ostrzegłem ich, ale tak nieostrożnie, że wnet pomocnik inspektora zażądał ode mnie legitymacji i schował ją do kieszeni.

Złe miałem z tego powodu przeczucia, ale że nie pociągano mnie do żadnej odpowiedzialności, spokojnie wyjechałem po egzaminach na wakacje.

Ile pamięć mnie nie myli (bo tych rzeczy się nie notowało), miało się już ku wiośnie, gdy do Petersburga przybył emisariusz ze świeżo założonego "Zetu", kończący studia lekarskie Jan Harusewicz. Poznałem go jeszcze w Warszawie. Patrzyłem na niego z wielkim respektem, bo był członkiem kółka katalogowego, zajmującego się oceną książek, przeznaczonych na cele oświatowe. Do tego kółka należeli, jak mówiono, naj-

bardziej oczytani i biegli w dialektyce naukowej. To też czułem się bardzo zaszczycony, gdy tutaj Harusewicz ze mną odbywał dłuższe spacery po mieście i słuchał z zainteresowaniem moich wywodów. Zapewne mnie badał w ten sposób. Pamiętam tajne posiedzenie, na którym czytano statut, poczym nastąpiła uroczysta przysięga, która mnie bardzo wzruszyła. Otwierała się przede mną jakaś droga w życiu, droga, która mnie dotąd z górą 5o lat prowadzi.

Cudowny był wypoczynek w Jagodnem. Wędrówki po wiosce i po lasach, kompletowanie zbioru folklorystycznego. Przydała się muzykalność matki, która przy fortepianie męczyła się nad opisywaniem melodii, wyśpiewywanej przez Katarzynę Cabaj. Sprowadziłem z Warszawy brata stryjecznego Jana (syna stryja Leonarda), który uczył się malarstwa w Monachium. Ten robił rysunki typów, domów, sprzętów. Czytało się wtedy "Potop", powieści Zoli, wydane przez Wiślickiego.

Z początkiem września wybierałem się z powrotem do Petersburga. Na pożegnanie wybrałem się ostatniego dnia na wieś. Wychodząc z domu sołtysa spostrzegłem przy drodze w sadzie śliwkowym dwóch żandarmów, wypoczywających na trawie. Niemile dotknął mnie ten widok. Raniutko wsiadłem na bryczkę i pojechałem w stronę Siedlec, nie w stronę Łukowa, gdzie do stacji było bliżej. Umówiłem się bowiem z Motzem, że się spotkamy na stacji w Siedlcach i razem pojedziemy. Po drodze zatrzymać się mieliśmy w Wilnie, aby się przyjrzeć z Góry Zamkowej zaćmieniu słońca, o którym prasa rozpisywała się, wskazując Wilno jako punkt obserwacji najkorzystniejszy.

Odbyło się wszystko według programu, ale na wstępie do uniwersytetu spotkał mnie grom. W kancelarii wyrażono zdumienie, że się dostałem do Petersburga. Było przecież polecenie, aby mnie w domu zatrzymano, oddano papiery odesłane z uniwersytetu. Miałem pozostawać bez terminu na wsi, pod dozorem policji. Teraz dano znać policji. Przy pomocy Borszczowa, którego zaalarmowałem, udało się rzecz odrobić w ten sposób u ministra oświaty Delianowa, że pozwolono mi przenieść się do Kijowa. Z tą "bumagą" puściłem się do Jagodnego, aby odszukać zwrócone papiery. Pokazało się, że w godzinę po moim wyjeździe przyszli do domu owi żandarmi (nocowali we wsi). Robili formalne śledztwo, w przypuszczeniu, że się ukrywam i sporządziwszy protokół wzięli od ojca odpowiednią "rozpiskę". Papiery były u naczelnika powiatu w Łukowie. Z powodu tych przygód szkolnych i utrapień osobistych a wysiłków zrobić muszę uwagę o swoim stanie psychicznym i moralnym. Nie byłoby mnie przejmowało, gdyby nie tak ścisły związek psychiczny z rodzicami. Jak dziś to analizuję, więcej w wysiłku mego życia osobistego było troski o to, aby nie zrobić zawodu rodzicom, niż obawy osobistej o swój los. Widzę w tym dowód, jak bardzo rodzina zobowiązuje i jak bardzo

potęguje siłę rzutu dziecka. Oczywiście, gdy w podstawie tej spójni duchowej leży miłość. Iluż chłopców zaniedbuje się, zostawionych własnym decyzjom, gdy są osamotnieni lub skłóceni z rodziną, a instynkt samozachowawczy zawodzi. Gdy rodzicielska pomoc psychiczna się kończy, wtedy zakłada człowiek nową rodzinę, aby przy jej pomocy i dla niej ambicjonować dalej.

Dla nikogo innego tylko dla rodziców traktowałem dramatycznie sprawę ukończenia uniwersytetu na termin w ciągu lat czterech, bez przywdziewania munduru zielonego i dopiąłem swego. W r. 1888 miałem już dyplom, pomimo że wskutek poplątania się programów w trzech uniwersytetach namnożyło się egzaminów, nie wszystkie bowiem poprzednie w Warszawie zdobyte uwzględniono. W Kijowie dziekan Demczenko robił mi szykany, z tego powodu, że uprzedzony był co do "niebłagonadiożnosti".

W przykry sposób dawał mi się odczuwać w Kijowie dozór policyjny w uniwersytecie i na mieście. W ślicznym mieście tym była w dole uniwersytetu ulica Żylańska. Za domami było pole, płynęła cuchnąca rzeczułka Łybed'. W jakiejś ruderze parterowej (nr 52) nająłem pokoik i tam zawzięcie "kułem". Po pewnym czasie dowiedziałem się, że sąsiednią izdebkę (za drzwiami, zastawionymi szafą) zajął policjant (okołodocznyj nadwiratel), a dowiedziałem się przypadkiem. Razu pewnego, gdym przy lampie pracował, usłyszałem za ścianą ryk i hałas przewracanych mebli. Pobiegłem na ratunek. Zastałem przerażonego, na pół przytomnego owego szpicla. Upił się i spał na łóżku zrzuciwszy mundur w rozchełstanej na piersiach koszuli. Obudził go szczur (a pełno było nad Łybed'ą w tych ruderach szczurów), który kroczył po nim jak po trupie i dostawszy się za koszulę, nie mógł się stamtąd wydobyć. To nie był okropny sen, to była rzeczywistość. Policjant się rzucił przerażony, przewrócił stół z lampą i "posudą" i ryczał. Przyniosłem mu świecę, uspokoił się.

Widocznie był mi wdzięczny, bo niedługo potem i on mnie ratował. Pracując długo przy lampie naftowej nie spostrzegłem, że kopci. Dostałem zawrotu głowy i stojąc przy umywalni przewróciłem się. Miednica narobiła hałasu i upadek widać był ciężki, bo wpadł ów policjant i cucił mnie.

Dla kompletu przytoczę przynajmniej z jednego semestru, jakie były wykłady na wydziale prawnym Uniwersytetu św. Włodzimierza:

1. Prawo cywilne - prof. Demczenko. 2. Procedura sądowo-cywilna - Cytowicz (sen.). 3. Prawo karne (specjalne) - Samofałow. 4. Procedura sądowa karna - Talberg. 5. Prawo policyjne - Antonowicz. 6. Prawo handlowe - Cytowicz (sen.). 7. Prawo międzynarodowe - Eichelmann. 8. Historia filozofii prawa - Rennenkampf (rektor). W związku z praktycznymi zajęciami z prawa cywilnego i karnego złożyłem rozprawę "Dowody w procesie karnym" (dla Talberga),

Potem przybyło prawo finansowe, wekslowe. Z ekonomii politycznej musiałem odnowić egzamin warszawski (przy Cytowiczu jun.).

Zegar literatury polskiej nastawiony był już na "Pana Wołodyjowskiego". Wiele jednak poświęcałem czasu na zaznajamianie się z literaturą rosyjską (Szczedryn, Dostojewskij, Garszyn). Wertowałem "Otieczestwennyja Zapiski" i prace w ogóle "narodników", zdając sobie już nieźle sprawę z różnic, jakie zachodzą w demokratyczno-ludowych ruchach rosyjskim i polskim.

Nasz ruch, znajdujący wówczas swój wyraz w "Głosie" i w organizacji "Zetu", zbliżył mnie z kilku wybitnymi przedstawicielami młodych Kijowian. Pamiętam najwybitniejszych: Sołtana i Sągajłę (późniejszego lekarza). Zaprzyjaźniłem się też z socjalistą Stanisławem Narutowiczem (bratem późniejszego prezydenta). Umarł przed kilku laty w Kowieńszczyźnie, uważać się chciał za Litwina ideowego. Z Petersburga przybył ze mną, również relegowany, Józef Połchowski, prawnik oraz młodszy jego brat Konstanty. Z nimi, zanim znalazłem mieszkanie, jakiś czas mieszkałem. Przybłąkał się do nas Żyd Frydman, oliwkowej cery, marzycielskiej struktury rewolucjonista.

Stypendium zachowało się. To mi pozwoliło oddawać się pracy, a nawet wynająć lepszy pokoik w r. 1888 u pp. Popowskich na ul. Żandarmskiej (Dużej), róg Tarasowskiej. Z powodu nadmiaru egzaminów odłożyć musiałem część na jesień. W ten sposób dyplom dostałem dopiero w końcu r. 1888. Wiele czasu zajęło mi co prawda w wakacje tego roku wykończenie książki o Jagodnem, przeznaczonej dla "Wisły".

We wrześniu tego roku zdobyłem się na pierwszy artykuł do "Głosu". Wydrukowano go w n-rze 35. Był to pierwszy mój występ w druku. Potem w n-rach 45 i 46. Podpisywałem się W. Głuchowski (nazwisko chłopa z Jagodnego).

Wracałem do domu jak ze zwycięskiej wojny - zmęczony, ale i upojony powodzeniem: miałem w kuferku dyplom i list redaktora "Wisły" Karłowicza. Nie umiałbym odpowiedzieć, który z tych dokumentów więcej mnie radował. Z dyplomu byłem prawnikiem, z listu - pisarzem. List, na który z taką niecierpliwością czekałem, zapowiadał, że praca moja o Jagodnem ukaże się wkrótce w książce, a nadto było w nim gorące dla mej pracy uznanie.

7. Rozdroże.

Po ukończeniu uniwersytetu wróciłem do rodziców, którzy wówczas (ojciec był na emeryturze) mieszkali na przedmieściu Łukowa, a po wypoczynku - miało się już ku wiośnie r. 1889 - osiadłem w Warszawie. I tu zaczęło się moje rozdroże.

Trzeba było pomyśleć o ustaleniu sobie bytu materialnego. Pierwsza więc myśl, jak spożytkować swój dyplom prawniczy. Miałem list Borszczowa czy Spasowicza do Henryka Krajewskiego, otoczonego czcią Sybiraka, słynnego adwokata. Ten przyjął mnie na aplikację, ale zajęcia płatnego nie dał. Miał już pomoc dostateczną, głównym zaś jego pomocnikiem był kolega mój z uniwersytetu, Stanisław Bukowiecki. Krajewski doradzał mi, abym szukał zarobku u rejenta i polecił mnie Szymonowi Landau, mającemu kancelarię przy hipotece. Tam się też zaczepiłem, zarabiając 4o rubli miesięcznie, rozglądałem się jednak za czymś innym, była to bowiem praca jałowa i wiele czasu zabierająca. Duszą byłem gdzie indziej.

Pierwszą jednak moją czynnością w Warszawie było złożenie wizyty redaktorowi "Wisły" Janowi Karłowiczowi. Przyjęcie, jakiego doznałem, zawróciło mi w głowie. Karłowicz bowiem należał do ludzi wysoce kulturalnych pod względem towarzyskim. Obcując z nim miało się wrażenie, że się jest jedynym człowiekiem, na którego on czekał i którym się interesuje. Potraktował mnie jako pisarza, jako etnografa, wiele dobrych rzeczy o mojej pracy powiedział i od razu oddał mi do wykończenia w korekcie pierwsze arkusze "Jagodnego". Nie obniżyło to mojej powagi, że go zapytałem, co to jest korekta i jak ją się robi. Wyszedłem odurzony. Jakże tu było myśleć o karierze prawniczej!

Najtrudniej było mi się zdobyć na wizytę w "Głosie". Czułem, że tam rozstrzygnie się mój los. We wzruszeniu moim była trwoga i pokora, gdym otwierał drzwi redakcji na ul. Wareckiej. Powitała mnie w pokoju administracyjnym hoża blondynka roześmiana i to dodało mi otuchy, że jednak życie nie jest tutaj tak straszne. Poznałem wtedy Józefa Hłaskę, Józefa Potockiego (Mariana Bohusza) i Jana Popławskiego. Potocki był redaktorem przez władze zatwierdzonym, Popławski faktycznym kierownikiem pisma, Hłasko jeszcze faktyczniejszym, bo zarządzał finansami i takowe z własnej kieszeni zasilał. Meldowałem się im jako przygodny korespondent (W. Głuchowski), jako pilny czytelnik i jako etnograf, który właśnie monografię w "Wiśle" drukuje, jako członek "Zetu"...

Przypatrywano mi się bacznie i, jak na tych ludzi, nie mających bynajmniej zalet towarzyskich Karłowicza, potraktowano mnie uprzejmie, owszem, zapraszano do współpracy.

Niebawem stosunek z "Głosem" się zacieśnił i stał się centralnym w moim życiu, pomimo że na razie mało czasu mogłem mu poświęcać. Gubi-

łem się w rozdrożu i w kontrastach środowisk, a przy tym przepracowałem się. Roboty redakcyjne w "Głosie", a potem w "Wiśle" wykonywać musiałem w przerwach między pracą u rejenta (7 godzin dziennie) lub po nocach.

W "Głosie" dano mi, jako zajęcie, referat korespondencji prowincjonalnych, za co mi Hłasko płacił po jednym groszu od wiersza do druku przeze mnie napisanego lub poprawionego. Dawało mi to czasem nie więcej jak 3 ruble miesięcznie. A ile to pracy i pietyzmu kosztowało!

Prócz starszych, do których się zbliżałem w poczuciu nieprzebytego dystansu, znalazłem wkrótce rówieśnych przyjaciół. Należeli do nich: Antoni Potocki, młodszy brat Józefa, Edward Paszkowski, późniejszy autor powieści "Podniebie"(w której "Głos" opisany), Tadeusz Kozerski ze Stawu pod Chełmem, młody ziemianin, mecenas "Głosu", bo wspierał go funduszami, nie tyle współpracownik, ile reprezentant prenumeratorów, wkrótce przybył Roman Dmowski (Ignac z Pragi), kończący przyrodę student, Stefan Żeromski, którego wprowadziłem do tego grona w r. 1890, Kielczanin, nieśmiało poczynający zawód beletrysty. Do zacieśnienia przyjacielskiego stosunku przyczyniły się niemało śniadanka u Czerskiego (na piętrze, róg Nowego Światu i ul. Ordynackiej), gdzie przy zielonym likierku gorąco się dyskutowało.

Długi czas wzbraniałem się pisać coś własnego, tyle miałem obaw co do swego talentu. Bodaj pierwszy Aleksander Więckowski, gdy przybył do Warszawy z Petersburga i rozgospodarował się w "Głosie", zdołał namówić mnie i przypilnował, abym napisał rozprawkę o muzeach prowincjonalnych i listy do przyjaciela na prowincji z powodu "Siłaczki" Żeromskiego, noweli w "Głosie" wydrukowanej. Imponował mi Antoni Potocki, który pisał od ręki i pięknie tak szybko, że tylko kartki się migały. Do spółki z Potockim opracowałem kwestionariusz w sprawie czytelnictwa ludowego ogłoszony w "Głosie" i osobno w broszurce. Była to dla mnie praca węzłowa między ludoznawstwem naukowym (etnografią) a robotą publicystyczno-oświatową. Należała właściwie do tej drugiej kategorii, ale Karłowicz (raczej przez grzeczność)przedrukował ją w "Wiśle".

Wejście w świat literacki ułatwiła mi książka przez Karłowicza wydana, wielką też czułem dla niego wdzięczność. Nie przeczuwałem wówczas, że to uczucie stanie się za kilka lat podstawą stosunku rodzinnego. Wówczas za pobytu w Warszawie znałem rodzinę Karłowiczów tylko z krótkich odwiedzin raczej służbowych, gdy w r. 1890 Karłowicz powierzył mi rolę sekretarza "Wisły". Rocznik 1891 był już mojej roboty.

Samopoczucie moje i duma literacka wzmocniły się, gdy się ukazały recenzje "Jagodnego". Pierwszy napisał o tej pracy Antoni Gustaw Bem w "Prawdzie". Rozbiór kończył się słowami: "Rozprawa opromienio-

na głęboką, a wolną od przesądów myślą, zdradza w młodym badaczu nastrój ducha syntetyczny i wybitną zdolność pisarską". Tym milszą była mi ta pochwała, że wyszła spod pióra mego surowego nauczyciela kieleckiego. Bem mieszkał już wówczas w Warszawie.

Owa "wolna od przesądów myśl" była pochwałą mojej wolnomyślności, która się ujawnić musiała nawet w pracy etnograficznej. W tym samym duchu "postępowego studencika" (jak mnie nazwał "Przegląd Katolicki") napisałem obrazek "Suplikacje" do książki pamiątkowej ofiarowanej Orzeszkowej. Obowiązkiem intelektualnym młodzieńca, wychowanego w czasach pozytywizmu, był sceptyczny do spraw religijnych stosunek, zwłaszcza krytyczny wobec duchowieństwa. Nie znałem wtedy w swoim środowisku człowieka spełniającego praktyki religijne. Trwało to dość długo, póki starczyło wpływów "Przeglądu Tygodniowego" i "Prawdy", a panowało nie tylko w Warszawie - dość powołać się na przykład Kasprowicza, który jednocześnie ten sam proces w szkołach przebywał.

Rządy dusz w ognisku warszawskim sprawowała podówczas może nieliczna, ale dobrze zorganizowana w sferach naukowych i literacko-dziennikarskich masoneria. Ta generacja nie była już podobna do owej idealistycznej za czasów młodości moich rodziców. Przypomnę wiersz Nowosielskiego, przytoczony w rozdziale pierwszym. Inteligencja warszawska legitymowała się pozytywizmem filozoficznym, ale właściwie myślała tak, jak wypadło z zasady asymilowania się z Żydami. Zasada ta grała naczelną rolę w życiu umysłowym Warszawy. Młodemu pokoleniu po r. 1887 przypadło zadanie zwalczenia w sobie i w społeczeństwie liberalizmu i żydofilstwa. Zaczął to spełniać odważnie "Głos".

Wówczas nie mogłem jeszcze zrozumieć, że przyczyną antagonizmu między "Głosem" a obozem liberalnym "Prawdy" są przede wszystkim Żydzi. W sferach towarzyskich, którym ton nadawali Żydzi, uważano za brak taktu mówienie o "Głosie" i jego redaktorach. Nawet o Józefie Potockim, który miał wiele wspólnego z filozofią liberalizmu tej epoki, i z socjalizmem; bojkotowano go jako człowieka nauki tylko dlatego, że był antysemitą.

Granica dwu okresów w r. 1890 zaznaczyła się już dość wyraźnie. To jest charakterystyczne dla prądów żywotnych, że fronty z sobą ścierające się wytwarzają się nie na komendę, jak to się dzieje, gdy opinię opanowuje mafia, lecz powstają samorzutnie z nakazu życia, więc powoli, niemal bezwiednie dla uczestników walki. Sporo czasu upłynęło, zanim w samym "Głosie" ten front nacjonalistyczny się ustalił. Nie był narodowcem Więckowski, który jakiś czas dużą rolę tu odgrywał, tym mniej zmysłu narodowego miał Ludwik Krzywicki, który tu pisywał. Doktryner w każdym calu, hołdował materialistycznemu poglądowi na świat i w tym piśmie Popławskiego, który "podporządkowywał" interesom ludu

wiejskiego interesy warstw innych - w przeciwieństwie do niego dawał wyraz swej idiosynkrazji na widok "chłopskiej obórki". Dla Krzywickiego - tak jak później dla bolszewików - była gospodarka zbiorowa na wielkich przestrzeniach pól, przy pomocy traktorów i przemysłowa wielkich fabryk, filosemityzm zaś stanowił kryterium postępowości.

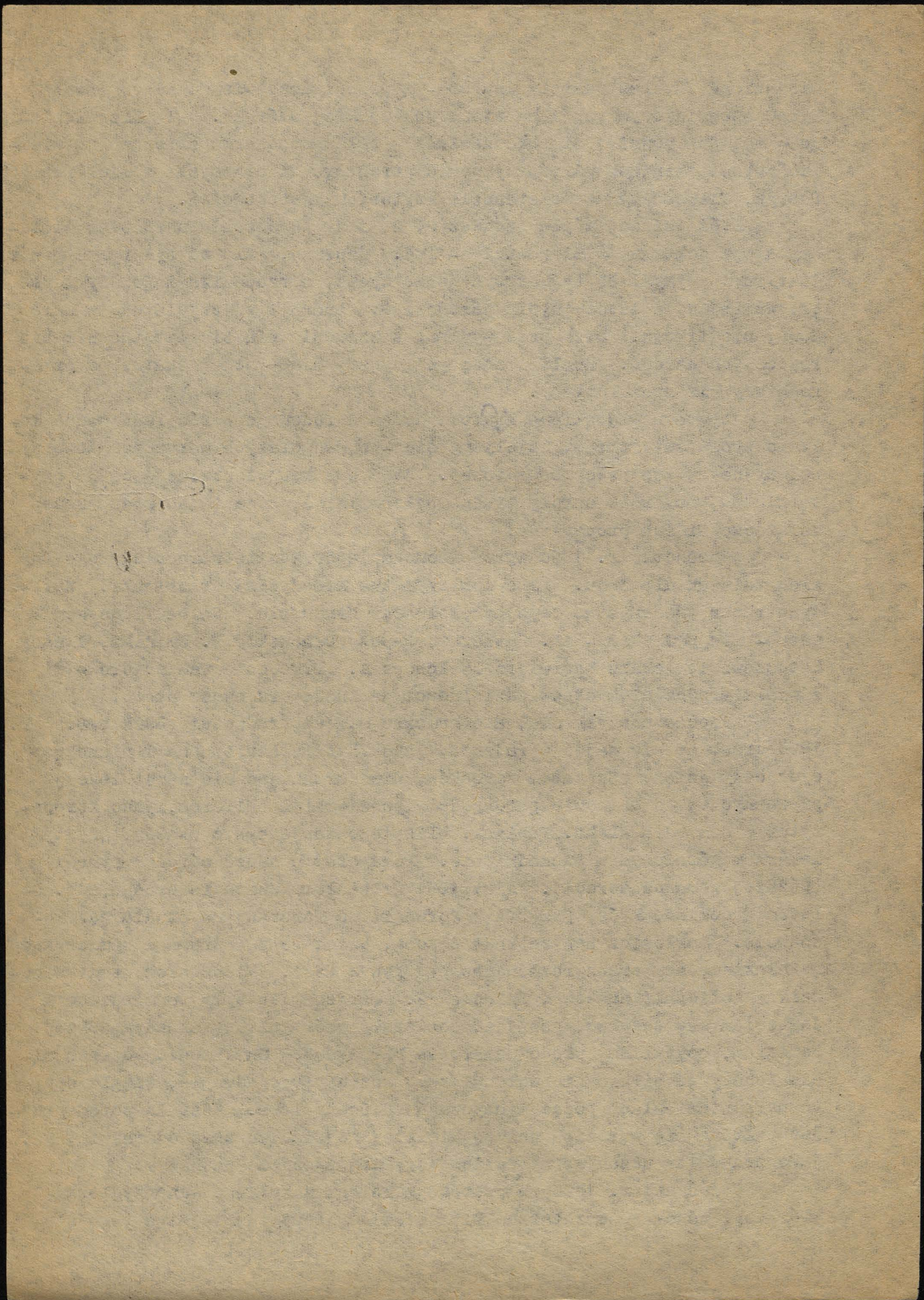
Któż dzisiaj mógłby zauważyć, że i my po stronie narodowej mieliśmy swoją doktrynę - mianowicie - lud. Zapewne, ale to był tylko pozór doktryny. Wymyśliło tę doktrynę samo życie, a rzecznikami jej byli poeci, wnikający w istotę życia narodowego. Lud był rzeczywistością narodową, nie fikcją. Nasz prąd wynikał z wsłuchiwania się w tętno sił biologicznych narodu. Realizm nasz polityczny miał raczej charakter przyrodniczy niż spekulatywny.

Aby temu głębokiemu nurtowi ducha narodowego wśród ludu nadać łożysko życia świadomego, wzięliśmy się - w najgorszych warunkach dozoru policyjnego - do pracy oświatowej. Stąd owe kwestionariusze co do czytelnictwa, bo przez szkoły trudno było działać, stąd tajne towarzystwo wydawnicze książeczek i ich propaganda.

W początku r. 189o wprowadzono mnie do komitetu redakcyjnego takich książek dla ludu. Przewodniczył tam Mieczysław Brzeziński. Sprężyną ruchu towarzystwa tego był Bolesław Hirszfeld. Należeli do komitetu - ile pamiętam - Al. Zawadzki, Paweł Sosnowski, W. Umiński, Ignacy Matuszewski, lekarz Kazimierz Chełchowski. Pracowano tam zbiorowo z wielkim poczuciem odpowiedzialności za każde drukowane słowo.

Zajęcia mnożyły się, ale znaczne miałem trudności budżetowe. W r. 189o zrzekłem się zajęć u rejenta, jako zbyt mechanicznych i niszczących cały dzień. Szukałem zarobków, nie zarzekając się nawet lekcyj prywatnych. Po obiedzie parę godzin poświęcałem belferce, jako korepetytor w domu dra Aleks. Fabiana, bliskiego znajomego z czasów, gdy był lekarzem górniczym w Suchedniowie. Pomagałem w nauce córce i synowi (późniejszemu pastorowi). W r. 1891 dzieliłem koszta komornego z p. Olafem Brockiem, który przybył z Norwegii do Warszawy na studia językoznawcze. Karłowicz nas zetknął z sobą, Brock bowiem pragnął zamieszkać z Polakiem, aby przez rozmowę poznać język nasz. Mieszkałem wtedy w pokoiku w oficynie na Nowym Świecie 22. Bardzo miłe były te miesiące i ja bowiem się uczyłem, poznając doskonały wzór kultury skandynawskiej. Pamiętam, czytaliśmy słowo po słowie "Grażynę". On, studiując specjalnie fonetykę, pilnie się wsłuchiwał. Rozmowy były długie, ciągle oparte na zestawieniach pojęć i obyczajów dwóch kultur. Została potem przyjaźń, która się wyraziła już po wielkiej wojnie, że mnie odwiedził, gdy jako znakomity uczony brał udział w jakimś zjeździe naukowym.

W jesieni r. 189o za protekcją kolegi szkolnego Jana Zydlera, który był wówczas sekretarzem Biblioteki Uniwersyteckiej i z tego sta-



nowiska zamierzał ustąpić, dostałem płatne zajęcie przy nim, po czym miałem go zastąpić. Dyrektor Biblioteki, prof. Wiechow (filolog klasyczny) bardzo był dla mnie łaskaw. Zajęcie to polubiłem (rejestracja nowych książek), ale w maju r. 1891 Wiechow mi oznajmił, że z Petersburga nadeszła niekorzystna o mnie opinia policyjna, nie mogę więc na tej posadzie być zatwierdzony. Praktyka ta jednak w bibliotece bardzo mi się potem przydała, gdy zostałem bibliotekarzem w Rapperswilu.

Zajęcie to w bibliotece łączyłem z innym. Byłem już przedtem od października r. 1889 kustoszem muzealnym. O tym fragmencie swych prac piszę na końcu, chciałbym mu bowiem poświęcić więcej miejsca. Chciałbym mianowicie uratować od zapomnienia mało znaną historię warszawskiego Muzeum Etnograficznego. Dzieje tego zbioru są przykładem, stwierdzającym moją tezę, że ruch narodowy, poczynający się od zainteresowań życiem ludu, nie wypływał z doktryny, lecz że poczynał się samorzutnie w wielu punktach w rozmaitym umotywowaniu. Jakże powstało to Muzeum?

8. W roli kustosza.

Do znamiennych w życiu Warszawy XIX w. faktów należy powstanie ogrodu zoologicznego na Bagateli. Ciekawe są losy nie tyle samego, przedsiębiorstwa, ale związanych z nim usiłowań, aby uczynić z tego ogrodu ognisko naukowe. Z wielu niedomagań kultury usprawiedliwimy dzisiejszą Warszawę, jeśli sobie uprzytomnimy, że aż do końca zeszłego stulecia nie mogła ona nic robić dla dobra kultury polskiej. Pozytywistyczny ruch umysłowy, pełen entuzjazmu dla nauki, ograniczał się literacką wymianą poglądów, realizować się nie mógł. Nie było żadnych instytucyj naukowych. Jest to rzeczą charakterystyczną, że ludzie pomysłowi uciec się musieli do szukania dróg przez świat fauny, aby zdobyć jakieś prawo zajmowania się człowiekiem. Pomysłowym i dowcipnym człowiekiem był Jan Maurycy Kamiński, słynny w latach osiemdziesiątych adwokat. Był on wychowankiem Szkoły Głównej, w przyjaźni koleżeńskiej pozostawał z Bolesławem Prusem i Ochorowiczem. Należeli do kółka ideowego pozytywistów, szukających dla społeczeństwa sposobów pracy organicznej. Kamiński niepoślednim też był literatem, redaktorem był humorystycznych "Kolców", wydawnictwa drukarza Aleksandra Pajewskiego. Tym się tłumaczy współpracownictwo Prusa w "Kolcach". Do ogrodu zoologicznego Kamiński zabrał się raźnie i z humorem. Jako adwokat miał interesy z przemysłowcem Rauem, do którego należała posesja Bagateli z pałacykiem i ogrodem. Chciał się widocznei jej pozbyć, bo chętnie odstąpił ją Kamińskiemu, z pozostawieniem 40 tysięcy rubli na hipotece. Wziął nawet pewien udział w stworzonej przez Kamińskiego Spółce komandytowej, mającej być nominalnie właścicielką ogrodu zoologicznego.

Względy naukowe swoją drogą, ale żeby interes bez kapitału mógł się utrzymać, trzeba było uciec się do reklamy. I ta była duża. Przy pomocy młodszego brata, będącego wówczas w Hamburgu, Kamiński nawiązał stosunki z królem "menażerii" Hagenbeckiem, który wnet dostarczył kompletu egzotycznych zwierząt. Ogród na Bagateli, gdzie dziś kawiarnia, zabudowano pawilonami i klatkami. Pośrodku urządzono plac do zabaw niedzielnych i kawiarnię. Była to nowość dla Warszawy i wnet stała się modną.

Było to w r. 1887.

Była więc zabawa nielada, ale gdzież nauka? Przy tym zużytkować trzeba było w jakiś sposób pałacyk. Dół zajmowały biura i kawiarnia, drugie piętro mieszkania dyrektora (Olszewskiego) i kasjerki (siostry przyrodniej mecenasa, Heleny Kamińskiej), która mieszkała tam z matką; ale pozostało pierwsze piętro, złożone z jedenastu sal i pokoików. Już

8. W roli kustosza.

w jednym rogu urządzono pracownię biologiczną, powierzoną młodemu zoologowi, Józefowi Nussbaumowi (późniejsze nazwisko Hilarowicz). Ale co robić z resztą?

Kamiński wpadł na pomysł założenia Muzeum Etnograficznego. Pomysł ten udzielił mu się z ducha czasu. Właśnie w r. 1886 powstał "Głos", zwiastujący potrzebę zbliżenia się do ludu. Była to myśl polityczna: pozytywiści doszli do niej przez naukę. Powstała wówczas "Wisła", organ badań etnograficznych. Atmosfera była ludoznawcza.

Władze rosyjskie nie pozwoliły przecież na muzeum poświęcone etnografii polskiej. Za warunek postawiono uniwersalność zbiorów. Polska mogła być reprezentowana tylko jako prowincja Rosji.

Kamiński poruszył wszystkie swoje stosunki, aby zebrać jak najwięcej materiału polskiego, jednocześnie zaś atakował Leopolda Janikowskiego o zbiory afrykańskie. One miały być atrakcją dla publiczności, no i osłoną muzeum wobec władz.

Głośno było wówczas o wyprawie afrykańskiej Rogozińskiego i Janikowskiego do Fernando Poo, która trwała od r. 1882 do 1886. Sensacją tej wyprawy było i to, że towarzyszyła w niej mężowi popularna wówczas powieściopisarka, Hajota (Bogucka-Rogozińska, późniejsza Pajzderska). Janikowski istotnie oddał do muzeum swoje zbiory.

W r. 1888 w pokoiku na pierwszym piętrze zamieszkał kustosz zbiorów etnograficznych, znakomity potem uczony, Stanisław Ciszewski. On to z grubsza usystematyzował pierwsze nabytki muzealne. Ponieważ władze upominały się o eksponaty z głębi Rosji, Kamiński przez znajomych Polaków zamieszkałych w Azji i na Kaukazie pościągał sporo efektownych kostiumów różnych plemion. Było więc niemało egzotyczności, na pierwszym jednak planie znalazły się zbiory polskie, koło których z pietyzmem krzątał się Ciszewski. Od początku jednak nad Muzeum czuwała opiekuńcza ręka panny Heleny Kamińskiej. Jej to zapobiegliwości przypisać należy, że przy skromnych funduszach można było doprowadzić zbiory do jakiejś efektownej całości, uporządkowanej w szafach i gablotkach. Faktycznym, choć niewidzialnym gospodarzem Muzeum stała się redakcja "Wisły" w osobie znakomitego etnologa Jana Karłowicza.

Nie ma chyba w świecie naukowym dziedziny bardziej ludzkiej i dostępnej dla entuzjazmu jak etnografia. Tłumaczy się to przymieszką pozanaukowego pierwiastka uczuciowości, którą budzi zetknięcie się z życiem ludu. Poznałem wkrótce bliżej to środowisko entuzjastów etnografii: dość wymienić nazwisko Karłowicza, Erazma Majewskiego, Ciszewskiego, Hieronima Łopacińskiego, Zygmunta Wolskiego, Szczęsnego Jastrzębowskiego, Stanisława Chełchowskiego i innych.

Na Bagateli zapanowała sympatyczna atmosfera. Dała się tu odczuć znamienna dla czasów po r. 1887 reakcja na pesymizm, grzebiący in-

teligencję warszawską.

Przybyło mi nowe zajęcie, mianowicie w Muzeum Etnograficznym, którego zostałem kustoszem. Stało się bowiem, że "Wisła" wysłała Ciszewskiego na studia do Berlina. Karłowicz na jego miejsce mnie popchnął.

Karłowicz zawiódł się na moim ludoznawstwie, traktowałem je bowiem podwójnie, sam wtedy nie wiedząc, która droga mi przeznaczona. Do poznawania ludu ciągnęły mnie dwie siły: "Głosu" i "Wisły". Inna zaś rzecz być społecznikiem, inna badaczem naukowym. Na razie dystans do tych dwu rzeczy był jednaki. Muzeum bardzo mnie pociągało, ile że - mówiąc nawiasem - nie do pogardzenia było bezpłatne mieszkanie na Bagateli. Ono zresztą było jedynym za pracę w Muzeum wynagrodzeniem.

Przeładowany byłem pracą, ale dziś z oddalenia te czasy młode wyglądają, że nic nie nużyło, wszystko wydawało się porywające, wszędy szła droga. Cóż może być na pozór bardziej martwego jak zbiory muzealne, cóż może być pociągającego w takich przedmiotach jak przyrząd pierwotny do niecenia ognia, albo stąpór czy też kijanka, lub łapcie z łyka, a to wszystko przecież było ciekawe i ważne.

Nie wiele było w dzień czasu na korespondencję, kartkowanie, inwentarze, więc siadywało się po nocy nad biurkiem lub gospodarowało w szafach i gablotach, przy czym trzeba było zapalać płomyki lamp gazowych (elektryczności jeszcze nie było). Dla wypoczynku wychodziłem nocą na ogród i tam wędrując między klatkami, oddawałem się złudzeniu, że jestem w dżungli. Zwłaszcza gdy noc była ciemna, zgrozą przejmowało nagłe ryknięcie zwierza tuż obok, nie wiadomo skąd, może idącego ku mnie. A najsmutniejsze bywało wycie wilków. Cóż po ludziach! Ale wśród zwierząt - to coś więcej niż samotność - to zgubienie się w przyrodzie.

A jakże piękne były poranki na Bagateli. Na Miodową jechało się wozem tramwajowym, oznaczonym u góry barwą zieloną. Woźnica popędzał konika (z obciętym ogonem), dzwonek rozhuśtany sam podzwaniał. Był czas wszystkiemu się napatrzeć.

Jaki był stan ówczesny zbiorów, o tym przekonać się można ze sprawozdań, które ogłaszałem w "Wiśle" w rocznikach 1889 i 1890 r. W tychże rocznikach "Głosu" widzę dość częste wzmianki o Muzeum, przeze mnie pisane.

Przez cały dzień opiekunką zbiorów była panna Helena Kamińska. Oddana była etnografii całym sercem. Ona stroiła manekiny, kupowała szafy, walczyła z molami. Ani się spostrzegła, że los związał ją na całe życie z tymi zbiorami. Żem one ocalały, zawdzięczać należy tej zacnej, ofiarnej kobiecie. Zmarła w r. 1935, a wtedy straciłem ostatni żywy łącznik z czasami, które tu opisuję.

Za pomoc w Muzeum odwdzięczałem się pannie Helenie w niedziele,

asystując jej, gdy urządzała w ogrodzie zabawy dla dzieci. Ruchliwa, wesoła wynajdywała atrakcje w celu pomnożenia dochodów przedsiębiorstwa, a koszty utrzymania zwierząt były znaczne. Niezbyt wymyślne były zresztą te zabawy: Warszawa niewielkie miała wtedy wymagania. Ale jakże miłe były te rozbawione rzesze "Milusińskich" (tak nazywano wówczas dzieci za felietonistą Gawalewiczem). Przychodził na te zabawy Bolesław Prus, aby radością dzieci się nasycić. Zrzędził na Kamińskiego, że za mało się robi dla nauki, za dużo dla zabawy; dawał temu wyraz w swych kronikach.

Kamiński podzielał stanowisko Prusa, ale położenie było ciężkie, gdy się zaczęło bez dostatecznych kapitałów. Frekwencja publiczności nie zawsze dopisywała. Trzeba było uciekać się do takich środków, jak wabienie egzotycznością. Portierem był murzyn: było trochę reklamy, ale i trochę kłopotu. Nudziło mu się. Zarząd dał do Kuriera ogłoszenie, że murzyn poszukuje żony. Warszawianki bacznie mu się przyglądały, ale wybredzały, niektóre proponowały próbę - dość, że murzyn gniazda nie uwił i wkrótce gdzieś zwiał.

W r. 189o słynne były występy Syngalezów w ogrodzie zoologicznym. Było to podczas mego urlopu, więc ich nie widziałem. Opowiadano mi tylko o ich urodzie, powodzeniu u Warszawianek i kłopotach zarządu. Przekupywano służbę i wykradano kolorowych ludzi.

Wśród tej idylli z pogodnego zdawało się nieba spadł nagle grom. Oto pewnego dnia w jesieni 189o r. zaczęły zdychać najpiękniejsze okazy zwierząt drapieżnych, tych zwierząt, które karmione były mięsem. Zginęły wszystkie, padły ofiarą czyjejś zemsty czy po prostu niesumienności dostawcy i braku dozoru. (Być może bakterii wąglika, wykrytego w owym czasie przez Kocha). Była to katastrofa kładąca kres istnieniu ogrodu, spółka bowiem na kupno nowych okazów środków już nie miała.

Kapitalista Rau, który właśnie likwidował swoje w Polsce interesy, aby wrócić do Vaterlandu, zażądał od Kamińskiego natychmiastowego zwrotu 4o.ooo rubli. Plenipotentem jego był bardzo nieustępliwy Bonawentura Toeplitz. Zginął ogród zoologiczny, a Kamiński zrujnowany był na całe życie. Próżno usiłował otworzyć spółkę z nowym kapitałem, która by przejęła posesję i urządzenia i stworzyła poważną instytucję Tow. Aklimatyzacyjnego na wzór paryski.

Jako przedstawiciel interesów Muzeum Etnograficznego, stanowiącego odrębną instytucję, korzystającą tylko z gościny na Bagateli - brałem udział w owym komitecie ratunkowym. Muzeum miało oparcie w gronie protektorów, zorganizowanym przez Karłowicza, i z łatwością wyłączyło zbiory z masy upadłości. Janikowski w listopadzie wycofał swoje zbiory oddane do Muzeum tylko tytułem depozytu i urządził osobno wystawę w salonach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Pozostałe zbiory przenieśli-

śmy na razie na skład do użyczonego nam przez hr. Branickiego lokalu we Frascati (przy Muzeum Ornitologicznym Stolcmana).

Spoczywały one tam do r. 1892. Przy redakcji "Wisły" zawiązało się Kółko Przyjaciół Muzeum Etnograficznego, które się postarało o zatwierdzenie w Petersburgu statutu: koncesja zezwalała na "wystawę" stałą. Wynajęto na mieście lokal i uprzystępniono zbiory publiczności. Kustoszką została p. Helena Kamińska. Straciłem na parę lat z oczu dzieje Muzeum, lata bowiem 1892-4 spędziłem w Rapperswilu, gdzie awansowałem na bibliotekarza.

W r. 1895 w "Głosie", którego byłem wówczas redaktorem, znajduję teraz ogłoszenie: "Wystawa Etnograficzna" - Nowy Świat 26 - otwarta codziennie od 1o rano do zmroku. Wejście kop. 15.

Ale już w roczniku "Głosu" z r. 1896 anons brzmiał: "Zbiory etnograficzne przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa". Do wojny 1939 r. zbiory te tam pozostawały i tak się nazywały, stanowiąc jednak odrębną fundację.

Do końca życia opiekowała się nimi Helena Kamińska, całą duszą im oddana, a wierna tradycjom Bagateli. Pielęgnowała zbiory z jakimś macierzyńskim uczuciem.

Życie przeżyła, nie skarżąc się na nic, uważała bowiem, że dobrze je zużytkowała, poświęcając się pielęgnowaniu twórczości ludowej.

9. Sens tych lat.

Opisałem swoją młodość tak obszernie bynajmniej nie dlatego, by uwieczniać się w ten sposób w historii, lecz że mnie zajęła myśl przedstawienia na przykładzie najbliżej sobie znanym, jak wyglądało pod koniec XIX w. na ziemi mazowieckiej życie młodzieńca ze sfery inteligenckiej.

Czytelnik chyba zauważył, że niewiele w tym fragmencie było tego młodzieńca osobistej inicjatywy, tym mniej zasługi, wiele zaś fali, która go niosła. Fala była wieloraka, a rzeczą jego instynktu czy przeznaczenia było, że wybrał tę a nie inną. W życiu ludu fale te są pewno krótsze, ale bardziej o losach człowieka decydujące, gdy syn wchodzi automatycznie w tropy zawodu ojcowskiego, w tej zaś sferze, do której należała wtedy tutaj młodzież, sposobiąca się do zadań kultury duchowej, fala tradycji była oczywiście bardziej kombinowana, a jednak również przesądzająca o dziejach jednostki, jego pokolenia i narodu.

Procesy duchowe, składające się na nurt życia narodowego, nie wytwarzają się na nowo przez każde nowe pokolenie, lecz przez każde nowe pokolenie są przerabiane z dawnych, przekazanych od pokoleń poprzednich - jeśli Bóg da - z przydatkiem czegoś nowego. Głównie jednak praca nowego pokolenia polega na tym, że dawne rzeczy sobie przekazane, układa w nowym porządku, wysuwając na czoło tzw. dominantę jako myśl przewodnią swego czasu.

Na tym swoim kawałku drogi widzę, jakie fale w siebie brałem i jak one we mnie się układały, przenikając się i organizując. Na starym tle obyczaju duchowego kultury szlacheckiej widzę wyraźnie zarysowujące się wpływy: 1/ klasycznego poglądu na świat dziadka z jego literaturą klasyczną, Szkołą Rycerską, Napoleonem, Księstwem Warszawskim, 2/ romantyzm dominujący w latach czterdziestych za czasów moich rodziców, z jego Szopenem, malarstwem, Norwidem, idealizmem, 3/ pozytywizm popowstaniowy z jego pracą organiczną, żądzą wiedzy i postępowością.

Okres pozytywizmu ze swymi dodatnimi prądami załamał się, podkopany przez żydofilstwo i socjalizm, które przyszły z sukursem jego zbyt namiętnej walce z idealizmem romantycznym i przeniosły walkę nie tylko na grunt socjalny, co dałoby się pogodzić z aspiracjami narodowymi społeczeństwa, ale, co ważniejsza - na pole walki z ideą narodową pod sztandarem materialistycznego na świat poglądu, kosmopolityzmu, żydofilstwa i ugody z politycznym stanem rzeczy. Nowe hasła, które powstały za moich już czasów, wywołane były potrzebą zwalczenia owych właśnie objawów wyrodnienia pozytywizmu w pokoleniu popowstaniowym, abdykującym z walki politycznej. Rozpoczynający się nasz okres nie był nastawiony przeciwko romantyzmowi, tym mniej przeciwko okresowi pozytywizmu. Był

on raczej syntezą dodatnich fal obu tych kierunków z wysunięciem na czoło hasła interesu narodu.

Była to reakcja na kosmopolityzm prądów liberalnych i socjalistycznych oraz na ugodowość polityczną starszego pokolenia popowstaniowego. Znaleźliśmy ten program w duszy, bo to była zmiana w psychice, w ustosunkowaniu się do rzeczywistości dziejowej. Z nieokreślonych tęsknot do ideału wiedzy i postępu przeszło się do konkretu najbliższego, obowiązującego do roboty.

Był w tym duch "pracy organicznej", ale pracy nie dla ideału człowieka "w ogóle", lecz dla dobra narodu. "Przez naród - do ludzkości". Gdy starszemu pokoleniu pozytywistów wystarczała teoria, gdy dziadom romantyzmu wystarczało uczucie, nam potrzebny był już program działania.

I stało się wtedy takie odwrócenie w perspektywie rzeczy na korzyść prawdy żywotnej, że ważne było to, co bliskie, a reszta oddalała się w głąb widzenia. Z marzeń o uniwersalności, lekceważącej własne podwórko, obudził się człowiek do ponoszenia odpowiedzialności za to, co się dzieje koło niego. Odtąd już na całym życiu to poczucie odpowiedzialności ciążyć będzie dramatycznie, jako nakaz służby.

Znamienną cechą zmienionej psychiki było to, że wszystko w życiu Polski, najbardziej szare jego przejawy nabrały znaczenia i budziły żywe w umysłach zainteresowanie. Zestawmy z sobą dwa przodujące intelektualnie organy: "Prawdę" i "Głos". Ten drugi tygodnik, założony w r. 1887, odniósł nad "Prawdą" zwycięstwo w opinii młodego pokolenia nie filozofią i literaturą, lecz tym, że zamieszczał studia nad życiem ludu polskiego i mnóstwo drobnych korespondencji z miast, miasteczek i wiosek polskich.

Artykuły publicystyczne w "Głosie" nowymi hasłami pracy nad ludem organizowały psychikę coraz szerszych kół oświeconych, dając pogrążonym dotąd w bezczynności pięknoduchom realne wskazania, co robić. Była to nie tyle przemiana wartości, zdobytych przez umysł, ile wciągnięcie ich do służby za popędem instynktu narodowego. Przemiana była taka, że w r. 1884 ja i moi przyjaciele uważaliśmy "Prawdę" za źródło rozkoszy umysłowych, a w r. 1888 cała jej retoryka wydawała nam się rzeczą dętą, bez treści.

W tym, co piszę, pomocą mi są stare notesy, gdzie ten i ów fakt znajduję zapisany. Notowałem w nich niekiedy trapiące zagadnienia duszne, zaciekania psychologiczne, czy wart jestem tej dobrej opinii, jaką ludzie mają o mnie. Tłumaczyłem przed sobą np., że mój altruizm jest w gruncie rzeczy egoizmem, bo przez dobroć dla innych kupuję sobie ich dobroć dla siebie. Widzę w tym obecnie oznakę dojrzewania moralnego. Odbywało się jakieś poszerzanie wewnętrzne. Radość życia, brana

od środka, trawiła czysto osobisty, dziecinny charakter i szukała połączeń z radością innych. Światem nie było już tylko to, co we mnie, ale jakbyś się wznosił w górę, oddzielał się ode mnie i obiektywizował. Zaczęliśmy się rozróżniać: ja i świat - dwa światy.

Zmieniał się mój stosunek do rodziny z dziecinnego na opiekuńczy, do przyrody, do środowiska ludowego, a jednocześnie stawała mi się widzialna Polska, już nie mit książkowy, lecz jako rzeczywistość, wobec której zająć trzeba jakieś stanowisko. Kończyło się życie wegetacyjne, zaczynało się osobowe. Zaostrzona w szkołach ciekawość świata, szukająca ujścia w intelektualnym dążeniu do wiedzy, przybierała charakter moralnego interesowania się życiem. Przybywał nieznany dotąd motyw czynu, na razie wyrażający się uczuciowo, jako potrzeba zespolenia się z życiem środowiska. Była to już ciekawość życia, szukanie w nim miejsca dla siebie i zastosowania.

Któż nie zna tego, pełnego wzruszeń okresu, kiedy ta ciekawość i czynione w życiu odkrycia zniewalają młodzieńca do protokółowania słodkich udręk sposobem beletrystycznym. Niczym innym to jest, jeno potrzebą znalezienia dla swego świata uczuciowego właściwych granic i zorganizowania tego świata, aby wreszcie odnaleźć swą osobowość. W takim okresie życia wielu młodych, przeceniając świeżo nabyty dar pisania, wpada w ambicję tworzenia literackiego i pielęgnuje swą grafomanię nieraz przez całe życie. Odrobina kultury szkolnej i domowej wystarcza, aby się spostrzec, czy jest na spodzie jaki kruszec talentu i pisania poniechać. W tym to okresie rodzą się całe falangi poetów z pretensjami do literatury na całe życie. Normalnie tę żywą w młodości współczulność ze światem dobra kultura oddaje pod rządy naczelnego w psychice zmysłu postępowania w celu zbogacenia życia powszedniego. Nie była twórcza ich literatura, ale ta domieszka piękna uczuciowego może się przyczynić do uczynienia życia bardziej twórczym.

I mnie ogarnęła pasja pisania. Zamykałem rzeczy widziane w ramy noweli. Nowela w owe czasy święciła triumfy i pociągała do współzawodnictwa. Mordowałem się nad nowelą o rodzinie Szerszeniów, na których walkę z nędzą patrzyłem z bliska. Zachęcała mnie do tego "Placówka" Prusa, którą właśnie czytałem. Nie mogłem sobie jednak poradzić. Z opisami jako tako, ale nie wyobrażałem sobie dobrej noweli bez żywych dialogów, a te wypadały bardzo retorycznie. Dla wprawy przekładałem wtedy "Zairę" Woltera, nie mogłem się od jego wpływu uwolnić, wpadłem w sztywny patos.

To przygoda, ale zasadniczo to było ważne, że na wszystko zacząłem patrzeć na nowo. Przyczyniła się do tego zmiana środowiska wiejskiego oraz pobyt w obcym, a tak odmiennym kraju jak Rosja. Tam, gdzie się chowałem, jak teraz sobie wyobrażam, nie mógłbym spostrzec

nic ciekawego: był to byt ściśle ze mną zespolony, z którym nie miałem nic do porównania. Krajobraz i lud podlaski wydały mi się zupełnym przeciwieństwem Świętokrzyskiego, tego wszystkiego, co uważałem za normę. Począłem badać różnice i tu się obudziło moje zaciekawienie etnograficzne.

To samo ze świadomością polskości. Przedtem byłem Polakiem, bo czymże innym można być, a tam nad Newą wraz z tęsknotą przyszło nastawienie na radość, że się jest Polakiem i widzenie Polski jako bytu, z którym mój własny jest złączony. Od wiosny tego 1887 roku należałem do tajnej organizacji Związku Młodzieży Polskiej. To był moment decyzji ideowej, umocnionej ślubowaniem, które przyczyniło się wielce do skonsolidowania postawy moralnej.

Trzeba tutaj uwzględnić atmosferę umysłową, w której te przemiany w duszy młodzieńca się odbywały. Rolę kierowniczą w życiu umysłowym młodzieży spełniały od dawna w zaborze rosyjskim czasopisma, poświęcone krzewieniu zasad demokratyczno-liberalnych i w ogóle "postępu". Młodzież ostatnich pokoleń przysięgała na to, co do wierzenia podał "Przegląd Tygodniowy", a zwłaszcza "Prawda". Należałem do tych, co gotowi byli walczyć w obronie "Prawdy". Wolnomyślność leżała w podstawach umysłowego obyczaju. Umysły tak były zajęte prawdami filozoficznymi, teoriami naukowymi, hasłami uniwersalizmu, abstrahowanego od życia narodu, że o jakimkolwiek ustosunkowaniu się w tej szkole do polskiej rzeczywistości nie mogło być mowy. Owszem, trzeba było mieć wiele wyniesionego z domu patriotyzmu, aby nie zwątpić o Polsce, odstraszającej od siebie przesądami i staroświecczyzną. Świat obcy stał otworem, stamtąd jedynie świeże powiewy, u siebie pozostawało jedynie gotować nieubłaganą walkę klas. Wyciągnęli tę konsekwencję socjaliści, wówczas właściwie koło r. 1887 poczynający się organizować. Nad całością zaś tego ruchu umysłowego zapanować musieli Żydzi, ich to bowiem klimat i program.

Dusza polska jednak zareagowała. Propaganda nie imała się umysłów twórczych. Wyciągnęły one sporo pożytku z nowych prądów, ale tylko tyle, ile trzeba było, aby w świetle osiągniętych zdobyczy przypatrzeć się bytowi Polski.

W notesie z r. 1887 mam zanotowane, że na wakacjach czytałem takie powieści, jak "Placówkę" Prusa, "Potop" Sienkiewicza i "Nad Niemnem" Orzeszkowej. Proszę znaleźć takie wakacje w swoim życiu. Było to przecież przez poetów sprawione objawienie tajemniczych związków człowieka z ziemią ojczystą i jej dziejami. Zapominało się o Czernyszewskim, którego studiowało się w Petersburgu, w duszę wstąpiła jasność radosna, że wolno jej być sobą. A jednocześnie padał cień na postępowych nauczycieli, którzy Prusa i Sienkiewicza lekceważyli.

Reakcja nie była wsteczna, sięgnęła do młodzieży, a tu miała przewodników właściwych. Powstał "Głos". A tutaj Jan L. Popławski pomagał nam formułować to, co w duszy się działo.

> "Nie jest to bynajmniej zwrot do tradycji romantyzmu, od którego dzieli nas szereg lat i szereg bolesnych doświadczeń. Jesteśmy dziećmi innej epoki - podstawy naszego myślenia, ideały nasze i drogi, które do urzeczywistnienia ich prowadzą, są zasadniczo odmienne. Istnieje jednakże pewna sfera uczuć i dążeń, w których bliższymi jesteśmy ojców naszych romantyków, aniżeli korepetytorów naszych i nauczycieli, wykładających nam zasady filisterskiej rezygnacji... W tej sferze właśnie uczucie i wiara silniej mówią do nas niż szkiełko i oko mędrców od filozofii praktycznej".

Było to bardzo przenikliwe stwierdzenie przemiany, jaka zaszła w umysłach. Zaczął się nowy okres w życiu politycznym i w literaturze. W danej chwili pragnę zrobić skromny użytek z tego faktu, bo chodzi mi tylko o to, jak ta przemiana odbiła się w psychologii młodzieńca.

Oto wzrok jego ściągnął się z bezkresnych horyzontów jakichś zagadnień w ogóle na sprawy rodzime. Właśnie tak, jak współcześnie powiedział sobie Kasprowicz: "przez naród do ludzkości", nie zaś odwrotnie. To odkrycie świata bliskiego sercu i ta decyzja stały się źródłem jakiegoś słodkiego upojenia życiem. Małe rzeczy urosły do znaczenia rzeczy doniosłych dlatego tylko, że bliskie. Drobne zdarzenie prowincjonalne, zanotowane w dziale korespondencji "Głosu", stawało się tematem równie ważnym jak odległe zagadnienia.

Słowem przywracało się życiu polskiemu prawo perspektywy, odzyskiwaliśmy normalny wzrok, który właśnie w ten sposób orientuje człowieka, co bliższe, co dalsze. Była to oznaka zdrowia, powracającego w młodym pokoleniu w 25 lat po powstaniu. Odzyskane poczucie sił ratowało inteligencję od desperacji i, jak się pokazało później, stało się początkiem odrodzenia narodowego.

Takie uporządkowanie perspektywistyczne stosunku duchowego do świata musiało wydobyć na pierwszy plan myśl nacjonalistyczną. Dziś widzimy, że tem przełom był początkiem okresu nacjonalistycznego, którego znamieniem zasadniczym jest patriotyzm czynny. Patriotyzm bierny, choćby się przejawiał od czasu do czasu w wybuchach typu romantycznego, w trybie życia powszedniego przeradza się łatwo w werbalizm i pozę, a nawet, jak się u nas zdarzyło tak tragicznie, jedynie w pretekst dla robót socjalno-rewolucyjnych, nie mających nic wspólnego z rzetelną troską o dobro narodu.

Umysły oświecone młodego pokolenia wyczuwszy przyrost sił społecznych wśród ludu, przełożyły już na swój język broszurę T.T.Jeża "O obronie czynnej i Skarbie Narodowym", dochodząc w wyniku do ustalenia programu polityki realnej. O to, czym jest polityka realna, trzeba

było stoczyć walkę: 1/ ze sferami, które rzeczowość tej polityki widziały w ugodzie z państwami zaborczymi, 2/ z obozem socjalistycznym i z Żydami, aby wyplątać Polskę z sideł międzynarodówki.

Na tę drogę ciężkiej pracy pozytywnej i walki nieustannej zaprowadził instynkt narodowy pokolenie, szukające drogi dla siebie i dla narodu. "Głos" spełnił rolę instytutu naukowego, który przebłyski tego instynktu ogniskował w ideę.

Tą ideą pokierowałem się w wyborze zawodu. Nigdy jednak nie umiałem nazwać swego zawodu jako fachu. Była to służba publiczna. Szczyciłem się nazwą dziennikarza.

PRZYPISY.

do str. 1 / Zygmunt Wasilewski "Wnukom o prapradziadku". Warszawa 193o. Gebethner i Wolff.

do str. 2/Uzupełnienie mego życiorysu dziadka znajdzie czytelnik w "Myśli Narodowej" (nr 1 z r. 1936) w artykule Garrulusa /Józefa Birkenmajera/ pt. "Generał-klasyk". Jest tam mowa o przekładach życiorysów z Korneliusza Neposa, dokonanych przez dziadka jako ucznia Szkoły Rycerskiej. Przekłady te wyszły w książce wydanej staraniem prof. Wulfersa w Warszawie w r. 1783 pt. "Korneliusza Neposa życia wybornych hetmanów przekładania JPP Kadetów Korpusu Warszawskiego w VII klasie literatury uczących się". Wasilewski przełożył przedmowę Neposa oraz szereg życiorysów (Dion, Ifikrat, Tymoleon, królowie świata starożytnego).- W pamiętnikach Jana Duklecjana Ochockiego, cz. III, jest wiadomość o gen. Wasilewskim, gdy uwolniony z Tambowa (1815) bawił z towarzyszami w Halijówce, o tym, jak jeńców podejmowano i o tym , co opowiadali o niewoli. Ob. "Wybór pism"J.I. Kraszewskiego t. III. Warszawa 1882, str. 147 -8. (Wyd. J. Ungra).

3/ Jadwiga Wasilewska, zamężna Dzierżanowska, zmarła (już po napisaniu tego pamiętnika) u mnie w Warszawie 24 maja 1942.

do str. 14/ Doskonałą sylwetkę tego kanonika znajdzie czytelnik w pamiętniku Rybkowskiego, malarza, ogłoszonym w "Pamiętniku Koła Kielczan" z r. 193o/31. Ks. Chłuda przypomina słynnego ks. Gamrata, proboszcza z Wyszkowa nad Bugiem. Nad tamtym zlitowała się podobno królowa Bona, że probostwo nie starczy mu na potrzeby apetytu i otworzyła przed nim drogę do wielkiej kariery. Probostwo bodzentyńskie było też intratne, starczyło więc na życie dostatnie dla licznego dworu księdza kanonika.

5/ Wino (węgierskie oczywiście) kupowało się w Kielcach u Henigmana (Niemca) w baryłkach. Z baryłki było sześć flaszek. Butelkował sam ojciec. Za baryłkę wina płaciło się 3 ruble.

6/ Por. "Pamiętnik Koła Kielczan" z r. 193o-1931. str. od 75.

7/ O tych czasach, jak tutaj spotykałem się z Żeromskim, pisałem w "Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1927.

do str. 28 / Dla pamięci potomnych dodam, że w owe dobre czasy płaciło się normalnie za stancję 15 rubli miesięcznie. Korepetytor nic nie płacił.

9 / Na ogół recenzje "Jagodnego" były pochlebne. Zachowałem duży artykuł rosyjskiego etnografa Janczuka w "Warszawskim Dniewniku", Hieronima Łopacińskiego /Rafał Lubicz/ w "Życiu", Adolfa Czernego w czeskim "Athenaeum". (str. 49) Černy!

Część druga

/WIEK MĘSKI

1890 - 1914

1. Rapperswil.

Rok 1891, jak to opisałem w części pierwszej swego życiorysu 1/, był dla mnie ciężki. Kończyły się "miłe początki", zaglądała zaś w oczy rzeczywistość warszawska, nie zapowiadająca początkującemu literatowi możności należytego rozwoju. Nie nęciła mnie perspektywa dziennikarskiego wyrobku w zakresie "przez cenzurę dozwolonym". Czułem braki w wykształceniu literackim, a także potrzebę pewnego odosobnienia się od płytkiego wiru życia warszawskiego. Wybawieniem była dla mnie propozycja, z którą zwrócił się do mnie opiekuńczy Jan Karłowicz, czybym nie chciał objąć w Rapperswilu stanowiska bibliotekarza. Właśnie jego kolega szkolny, Henryk Bukowski, emigrant z r. 1863, mieszkający w Sztokholmie, a roztaczający opiekę nad Muzeum Narodowym w Rapperswilu, prosił go o wyszukanie kandydata na to stanowisko. Przyjąłem bez namysłu.

Oferta była tym ponętniejsza, że połączona z warunkiem, abym po drodze zaznajomił się z urządzeniami nowoczesnymi bibliotek publicznych za granicą. Przy tej sposobności będę mógł zwiedzić według marszruty Bukowskiego: Kraków, Lwów, Poznań, Drezno, Berlin, Monachium. W grudniu wyjechałem na wypoczynek do rodziców, a w styczniu 1892 wyruszyłem w drogę.

Zawsze i wszędzie dobrowolne porzucanie swego środowiska jest folgą dla poczucia wolności, boć nawet słodkie więzy powinności społecznych są więzami, tym bardziej, gdy jest połączone z pewną misją. Potęguje się to uczucie, gdy się porzuca skrępowanie polityczne. Ileż to było dobrowolnej emigracji z zaboru rosyjskiego w świecie literackim! Zawsze na zachód w świat wielkiej cywilizacji na to, by doznać uczucia, że się szybuje na wyżyny, do których cywilizacja własnego kraju nie dorasta. Zanim doszło do fizykalnych odkryć w dziedzinie lotnictwa, znane nam były te prawa lotu z przeżyć duchowych. Największe jednak wrażenie robiło przebycie kordonu, gdy po raz pierwszy miało się zobaczyć Kraków, Poznań, Lwów. Ileż napięcia miłosnego i ciekawości, jakbyś odnajdywał nieznanych ci dotąd rodziców.

W Krakowie miałem punkty oparcia u krewnych ojca, pp. Oczapowskich (prof. Józef Oczapowski był wówczas na emeryturze, autor zawiłego wykładu z dziedziny prawa państwowego), u pp. Romerów Alfredostwa (p. Romerowa była siostrą p. Karłowiczowej), dalej w domu dra Harajewicza, ożenionego z córką Henryka Bukowskiego. Romer pokazał mi, co najbardziej cenił, wprowadził mnie w całkiem niepotrzebny dla mych celów, ale ciekawy świat Stańczyków. W domu Ludwika hr. Dębickiego poznałem Karola Estreichera, Mariana Sokołowskiego, Łuszczkiewicza i in. W bi-

bliotece Akademii Umiejętności poznałem prof. Ulanowskiego i bibliotekarza Edwarda Porębowicza. Złożyłem wizytę Asnykowi, redaktorowi "Nowej Reformy". Na własną rękę odkryłem i inny świat, gdzie znalazłem "Zetowców" i wielbicieli "Głosu", mianowicie Ernesta Adama, sekretarza redakcji "Nowej Reformy", Kazimierza Kostkiewicza i mieszkającego z nim Hyżyckiego. Kostkiewicz ściągnął mnie z hotelu do swego mieszkania. Tutaj leżąc na siennikach późno w noc gawędziliśmy. W haśle "Głosu" był jakiś czar sympatii i zaufania, otwierało ono bowiem serca ludziom sobie nieznajomym i wiązało przyjaźnią.

Tutaj dowiedziałem się, że był w Krakowie niedawno przejazdem do Szwajcarii Stefan Żeromski, licząc na to, że się ze mną spotka[2]. Żeromski wiedział o moich planach: na krótko przed Świętami Bożego Narodzenia odwiedził mnie w Łukowie, wracając z jakiejś belferki na Podlasiu. Mówiliśmy o Rapperswilu, ale Żeromski z żadnych projektów swoich, zarówno żeniaczki jak podróży, nie zwierzał się, widocznie powstały one potem.

We Lwowie bawiłem od 3 do 7 lutego. I tutaj dwa światy: naukowy i polityczny. Do tego drugiego zaliczam pp. Wysłouchów (redakcja "Kuriera Lwowskiego"), którzy ogniskowali w sobie ideały Polski ludowej. Pani Maria Wysłouchowa na przeciągających się w noc wizytach moich odczytywała mi z entuzjazmem listy chłopów, przechowywane w specjalnej szkatule. Oparciem moim był dom Rawity Gawrońskiego Franciszka, ożenionego z córką (T.T.Jeża) Miłkowskiego, członka zarządu Muzeum w Rapperswilu. W Ossolineum, które mnie najbardziej interesowało, poznałem dyr. Al. Hirszberga, złożyłem też wizytę kustoszowi Antoniemu Małeckiemu. W muzeum Dzieduszyckich, gdzie tyle etnografii, poznałem się z dyr. Zontakiem. Byłem też u członka zarządu Muzeum Rapperswilskiego, architekta Janowskiego (b. członka Rządu Narodowego w r. 1863), poznałem Tadeusza Romanowicza, członka Wydziału Krajowego i pracującego w jego biurze Stanisława Kłobukowskiego, który niebawem zetknie się z Dmowskim i odda mu "Przegląd Emigracyjny" ("Wszechpolski").

Przybywszy z powrotem do Krakowa zastałem Żeromskiego. Odwiedziliśmy się, szeroko obgadywaliśmy plany akcji oświatowej systemem muzeów prowincjonalnych, połączonych ze szkołami. Przyrzekłem właśnie "Nowej Reformie", że z Rapperswilu przyślę jej rozprawę na ten temat[3]. Żeromski był w Rapperswilu i dał mi rozkład pociągów, bo właśnie jechał na Monachium[4].

List polecający do Franciszka Dobrowolskiego, redaktora "Dziennika Poznańskiego", otworzył mi wrota Poznania intelektualnego. Dobrowolski był ruchliwy i wyglądał na dyktatora elity poznańskiej. Był też zdaje się dyrektorem teatru. Wziął mnie do swej loży - grano "Honor" Sudermana. Zetknąłem się z prezesem Tow. Naukowego, hr. Benzelstierna-

Engeströmem, ile że był, jako przyjaciel Bukowskiego, członkiem zarządu Muzeum Rapperswilskiego. Miał szwedzkie nazwisko i szwedzką bródkę, ale pisał polskie liryki patriotyczne. Najwięcej styczności miałem z B. Erzepkim, polonistą i bibliofilem. Na ogół mało z Poznania zachowałem w pamięci z powodu, że za wiele piło się tam wina. Bardzo gościnnie mnie raczono.

W Berlinie ulokowałem się u Stanisława Ciszewskiego, który tam był na studiach. Zaznajomił mnie on z młodzieżą, przybyłą tu z Polski na studia, złożoną w połowie z Żydów. Pamiętam, poznałem tam Stanisława Grabskiego. Już wtedy, jak zawsze potem, widziałem go w roli inspiratora ideowego. Szczycono się nim w kółku berlińskim jako redaktorem "Gazety Robotniczej". Zaprosił mnie do redakcji. Na schodach pokazano mi Bebla, który stamtąd schodził.

W podróży tej zdobyłem sporo wiedzy bibliotekarskiej i muzeologicznej, ale bardzo mnie zmęczyło zbyt pedantyczne zwiedzanie zbiorów i galerii. Znosiłem przy tym wiele niewygód przez oszczędność, ciągle z myślą o tym, że zdać muszę rachunek z każdego grosza, danego mi na podróż, a fundusz był niewielki.

W pierwszym dniu marca 1892 r. stanąłem w Rapperswilu.

xxx

Znalazłem się w wygaszonym ognisku polskiej emigracji, wśród jej pamiątek i tradycyj. Wychodząc z założenia, że dzieje tej instytucji, charakter jej i ustrój wszystkim są znane, będę pisał tylko o własnych przeżyciach w tym środowisku i to z pominięciem dziedziny zawodowej[51].

Strażnikiem skarbów po tym tragicznym odłamie naszych dziejów był istny Quasimodo cywilizacji europejskiej, Włodzimierz Rużycki de Rosenwerth, on też był klucznikiem zamku starożytnego, w którym miałem zamieszkać. Wejście główne było od podwórza z krużgankiem, domownicy mieli wyjście przez mieszkanie kustosza koło wieży zegarowej. Do mego mieszkania szło się przez sale muzealne na drugie piętro, gdzie była biblioteka. Sypialnię miałem malutką z oknem strzelniczym tak wgłębionym w mur, że to wgłębienie mogło uchodzić za pokoik. Jedna ściana należała do wieży, więc gdy biła godzina, to jakby taranem kto bił i w dzwon uderzał. W pracowni z oknem weneckim było biurko i pianino z zegarem i brązowym Diogenesem z ruchomości po Krystynie hr. Ostrowskim, który swe zbiory testamentem Rapperswilowi przekazał. Mury były z głazów, a ponieważ od stuleci nasiąkały dżdżami, zwłaszcza w okresie ostatnim, gdy już malowniczą były ruiną, więc nie dziwiło mnie, że

wkrótce zaczął dokuczać mi reumatyzm.

Potem dopiero zrozumiałem, dlaczego tak chętnie wyjeżdżali za granicę Polacy odczuwający potrzebę ratowania swej indywidualności. Wielką ulgę przynosi dłuższa kuracja, polegająca na wyobcowaniu się spod tylu ciśnień atmosferycznych, w jakich znajduje się jednostka w niedostatecznie zorganizowanym społeczeństwie. W Warszawie trudno było choćby na chwilę być sobą i dla siebie: obowiązki rodzinne, koleżeńskie, towarzyskie, społeczno-polityczne, tylu troskami przejmujące, nie mówiąc o zarobkowych, są tak nieuporządkowane, że z człowieka zostaje wkrótce jeno szablon zdawkowości i w uczuciach i w myślach i w czynach. W moim pokoleniu byli ludzie (np. Dmowski, Balicki, Popławski), którzy z wdzięcznością wspominali czas, spędzony w więzieniu. To też nie mogło mi się nic lepszego zdarzyć nad tę pustelnię.

Ale też trudno wymyśleć radykalniejszą zmianę scenerii. Z płaszczyzny podlaskiej, z małego domu drewnianego na przedmieściu Łukowa przerzucił mnie los do zamczyska średniowiecznego wśród gór alpejskich nad wielką wodą, która zamek stojący na wzgórzu z trzech stron otacza.

W listach pisanych do Łukowa, które ocalały i do mnie powróciły, widzę, jak wielkie wrażenie robiły na mnie te nowości szwajcarskie w przyrodzie i kulturze, nowości, którymi dzieliłem się z rodzicami tym chełpliwiej, że biedacy nigdy za granicą kraju nie bywali.

W listach z pierwszych tygodni pobytu opisuję im wiosnę szwajcarską, tryb swego życia, przy czym pomijam rodzaj zajęcia, aby z listu, gdyby wpadł w ręce policji, nie dowiedziano się, że pracuję w instytucji irredentyzmu polskiego; nie brak też obrazków. Oto np. w liście z 21 marca opisuję jezioro, powtórzę parę zdań:

"Przed wieczorem wychodzę na spacer groblą przez jezioro. Parę kroków do niej, a już ani śladu miasta, cudowna powierzchnia wody, niebieskawo-zielona - cisza. Od czasu do czasu przebiega pociąg na moście na grobli, zniknie, a szyny długo dzwonią i grają. Czasami znów statek nadciąga i niepokoi wodę. Pasażery siedzą, a ja patrzę - i dobrze. A za jeziorem łąki i wzgórza: na brzegu trzcina, w której pod zachód słońca pokrzykują dzikie kaczki. Pod górami gdzieś nad jeziorem dudni pociąg, tam bowiem jest także linia kolejowa, nie widać jej, ale ją słychać.

Wszędzie dzika przyroda, wszędzie wysoka kultura. Ona zdaje się nie czuje tu przeszkód w przyrodzie, a zostawia jej pozory dzikości z łaski dla turystów. Wydaje się, że gdyby chciała, nie byłoby w Szwajcarii śladu gór, splantowanoby je i zasadzono winnice".

Na dowód, jak wysoka jest kultura szwajcarska, dołączyłem do listu drukowany program koncertu, na którym byłem dnia poprzedniego. Zrobiłem to dla matki. Był to koncert miejscowego chóru męskiego. Na mar-

ginesie programu napisałem taką recenzję:

"Rzecz dla nas bardzo oryginalna. Przy miłej uliczce między willami i ogródkami stoi kościół ewangelicki... Wewnątrz wysokie ławki, witraże, dwa chóry, jeden z tyłu, drugi z organami na przedzie nad chrzcielnicą. U wejścia sprzedają programy. Publiczność zapełniła ławki. Panie wedle przyjętego tu zwyczaju brzydkie, skromnie ubrane - po lewej stronie, mężczyźni po prawej. Na hasło dzwonka odzywa się sonata Mendelsohna, potem chór śpiewa na balkonie itd. - wszystko w najlepszym guście, a chóry wyborne. Trudno uwierzyć, że jest to skromne towarzystwo amatorskie w małej mieścinie. ..Kieruje nim miejscowy organista. Śpiewacy są to miejscowi rzemieślnicy i kupcy, śpiewaczka solistka (sopran) jest siostrą robotnika malarza, który obecnie pracuje u nas w zamku - nieraz widujemy ją, kiedy przynosi bratu wino. Sama jest kelnerką w jednym z hoteli. Ma wiele dystynkcji, dobrze wyglądała w białej sukni z nutami w ręku i umiejętnie śpiewała. Nazywa się Rothenfloh, co znaczy po polsku czerwona pchła. W kościele nie ma wcale znaku krzyża i organista, ilekroć stawał do dyrygowania, nakładał kapelusz na głowę".

Nie była to jednak dla mnie tylko turystyka. Większe stokroć znaczenie miały przeżycia wewnętrzne w związku z pracą w muzeum i bibliotece. Zapadałem w historię. Odsuwał się ode mnie mój brzeg, z którego wpatrywałem się w teraźniejszość polską z jej bytowością i dążeniami w przyszłość, odwrócony od przeszłości, której prawie wcale nie znałem. Ponieważ ta przeszłość mówiła do mnie przez portrety, biografie, archiwa świeżo zamarłych instytucyj emigracyjnych i co ważniejsza, przez literaturę romantyczną, więc mnie wciągała żywcem w swój nurt. Jeśli w kraju operowało się konkretami w widokach czynu, to tutaj nie mogły dziwić żadne alegorie i symboliki patriotyczne, uczucia martyrologiczne, widzenia mesjanistyczne. Polska sama stawała się symbolem, zrozumieć jej dramat z tych szczątków, jakie ubiegła epoka po sobie zostawiła, mogło by się równać zadaniu krytyka literackiego, gdyby nie to, że sam ów krytyk wciągany jest w dramat, potęgowany emigranckim tumultem.

Żeby nie być pomówionym o dorabianie do wspomnień tego rodzaju nastrojów, przytoczę listy na ten temat (oczywiście bezimienne) przysłane do "Dziennika Poznańskiego" 6/. pt. "Rapperswil" i tam ogłoszone. Znajdą się tam także wrażenia z wycieczek, których opisy dałem także w listach pisanych do rodziców. Wszystko przesłonięte elegijną melancholią i usztywnione patosem.

"Siedząc skurczeni, z zapartym tchem w Warszawie, zatraciliśmy poczucie przestrzeni pełnej słońca. Ja sam, kiedy kordon przebywałem, czułem się niemal występnym, że mi za chwilę mniej bać się będzie wolno. Jest to pewnego rodzaju odrętwienie pleców, bardzo naturalne, gdy

człowiek od dzieciństwa przywykł czekać z przymrużonymi oczyma na uderzenie bata.

Widziałeś kiedy kurę, gdy ją do podłogi przypłaszczą, a naokoło niej krąg kredą zatoczą? Kura poddaje się nakazowi, lecz później sam krąg tak ją hipnotyzuje, że poruszyć się nie może, a gdy przestąpi wreszcie koło, zatacza się jak senna. To nasz stan, gdy przestępujemy granicę.

Po trochu plecy się rozkurczają i coraz śmielej spogląda człowiek w oczy wolności. Tu, w Szwajcarii, ta nieznana nam swoboda - to żywioł taki dobry i prosty jak powietrze lub niebieskie wody jezior i tak harmonizujący z nimi jak z rodzeństwem z jednej matki-przyrody. Tu czuję, jak nieszczęśliwy jest człowiek, w którym zabito poczucie swobody. Widzę po sobie, że nam z braku należytego pojmowania jej leczyć się trzeba jak z choroby chronicznej.

Myślę, że my z poczuciem wolności mamy to samo. Nie jest to zresztą analogia tylko - jest to pokrewieństwo objawów mających podobne przyczyny. Stało mi się to jasnym, kiedy stanąłem na ziemi szwajcarskiej. Wolność kieruje ich rozwojem jak słońce roślinami, a oni nie bronią się jej tchnieniu, ani śladu gwałtu uczuć. Mają zmysł uczuwania słońca, w świeczkach, stawianym bogom prywatnym, skrzydeł nie kopcą: to jedyne ich bóstwo - ta niezależność narodu i mas"

Te myśli cisnęły mi się do głowy, gdy z przygodnym towarzyszem, Polakiem z Zurychu, siedziałem na Uethbergu, słuchając jego opowiadań o życiu Szwajcarów. Siedzieliśmy w połowie góry, w ocienionej kotlinie. W dole, w zalanej słońcem dolinie bielał nad jeziorem Zurych, obok nas stał skromny grobowiec z polskim napisem: "Cyprianowi Tabeńskiemu, kapitanowi wojsk polskich, ur. w Rudnowie na Litwie dnia 11 lipca 1841, um. tutaj 24 października 1868 r. Przyjaciele i koledzy". Opodal bił strumień z urwiska, a szmer jego był miarą ciszy, która nas otaczała. Towarzysz mój opowiadał, między innymi o uroczystości, która się odbywała w kwietniu w Zurychu w rocznicę tzw. "Sześciu dzwonów", na pamiątkę ostatecznego usunięcia arystokracji od steru władzy.

Od rana ciągnęły ulicami pochody. Całe zastępy dzieci, poprzebieranych w stroje kantonalne, szły szeregami za wozem strojnym w kwiaty i wstęgi, na którym stała wielka postać, rozdwojona u góry, z obliczami bogacza i wyrobnika. Między kwiatami był na wozie napis tej treści: "Czasy się zmieniają, co stare upada i nowe życie zakwita". Roje małych arlekinów biegły na przedzie, torując drogę w tłumie, a twarzyczki ich pełne wesela i wiary w przyszłość jaśniały jakby zorzą tej przyszłości. Trzebaż było widzieć świąteczny nastrój mieszkańców wieczorem, kiedy na wybrzeżu, przed tym oto białym teatrem palono na stosie postacie dawnych nienawistnych figur. Lud pieszo i konno, w pięknych

strojach cechowych i narodowych otaczał ognisko, a dym buchał i znikał w przestworzu jak złe wspomnienie.

Nazajutrz po południu popłynąłem na statku "Concordia" do Rapperswilu. Czerwcowe słońce, chyląc się ku zachodowi, cudów dokonywało na zielonym jeziorze i pobliskich górach, po których wśród lasów i winnic, jak plusz miękkich, zdawały się zstępować ku wodzie białe domki z zielonymi żaluzjami. Na pokładzie od ludzi było rojno. Z przystanków przybywali nowi, przeważnie chłopi, w czarnych świątecznych ubraniach, zaganiając przed sobą dziatwę. Dziewczynki miały na głowie białe wianki i skupienie jakieś widać było na ich ogorzałych twarzyczkach. Po pogodnych obliczach poznaję wszędzie chłopów-rolników: w ich oczach i rysach twarzy jest coś z czystości słońca i prostoty ziemi. Jak mię objaśniono, ciągnęli oni do Rapperswilu, gdzie bawił czasowo biskup z St. Gallen dla bierzmowania.

Dziewczęta z minami bohaterek dnia, zapłonione siedziały ze spuszczonymi oczyma rzędem pod barierą. Niebawem, nie wiem z czyjej pobudki, poczęły śpiewać chórem. Choć drżąca w słabych ustach i cicha wobec łoskotu kół parowca, miała dużo powabu ta pieśń modlitewna. Odczuli to pewno starsi, bo ktoś, jak stał w dal zapatrzony, pochwycił nutę i porwał nią całe otoczenie. Śpiew zapanował nad pokładem, bez jego wiedzy, jak wiatr porywa sosny w lesie; lud, co stał na przystani, połączył się z nimi w śpiewie, a oni ich zdaje się nie widzieli i popłynęli dalej, śpiewając. Tak śpiewają wolni do jasnego słońca, pełną piersią czcząc je za życie, które ich nie kaleczy kajdanami [1].

Jam nie śpiewał i słów nie rozumiał, lecz w duchu podkładałem pod melodię strofy Kasprowicza:

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniótł nas żywot skazańców,
Ach, zgniótł nas żywot skazańców
Bez bytu!

Pieśń ta brzmi mi dotąd w uszach. Piszę te słowa w hotelu w Rapperswilu. Z okna widzę księżyc zawieszony u bezgwiaździstego sklepienia jak wielka lampa elektryczna. Dokoła śpi miasto nad śpiącym, zmatowiałym w blasku księżyca jeziorem, a za nim stojąc śpią góry. Połamane ich szczyty odrzynają się na jasnym niebie, niżej żadnych konturów, - ciemne ciała pod zasłoną rozświetlonego martwym blaskiem przestworza. Księżyc rzucił ku mnie od gór most świetlany przez jezioro, jakby srebra nalał na stalową wodę. Cisza podszyta rechotaniem żab, tak mocno przypominających nasze noce letnie w kraju.

Ktoś jeszcze nie śpi, bo niespodzianie odezwał się fortepian szopenowską melodią. Jakiś smutek dostroił go do nocnej muzyki jezio-

ra. Z nadbrzeża znowu głos młody słychać - śpiewa ktoś jodlując (iodeln) miejscowym zwyczajem - zdaje się - płaczem się zanosi.

Z drugiego okna mego pokoju widzę wznoszące się na górze wieże starego zamku. Myśl o tym, że jestem tak blisko polskiego muzeum, zasnąć mi nie daje. - Więc tutaj wypłoszone z kraju ptaki, burzami po świecie rozegnane, wzniosły świątynię wspomnień narodowych!

Z prochów ziemi ojczystej, ze strzępów zwycięskich sztandarów usłali gniazdo pamiątkowe po orle białym, który od stu lat czeka pod gwiazdami chwili zniebozstąpienia. Chłop stawia koło dla bociana we własnej zagrodzie, bo wie, że je sąsiad uszanuje; naszemu ptakowi śmierć zaprzysiężona, wspomnienia po nim z piersi nam wydrzeć usiłują; z nimi w góry obce, zdala od oka myśliwych!

Wiek cały sieroctwa i walki o życie - jakie to ciężkie słowo, aż dziw, że je dziecko tego wieku zdolne jest wymówić! A ten księżyc, który tak się wrywa w myśl moją, zawsze był ten sam. Obojętny dla żyjących, świeci martwej przyrodzie. W postaci jego promieni, które się łez w ludzkich oczach czepiają, snuje człowiek westchnienia i bierze go na świadka swych uczuć. Na jego kulę tylu ludzi patrzało i patrzy z tęsknotą; on dla wszystkich ma te same promienie.

To srebrne światło, które w zimnej wodzie ku mnie skierował, bieży do każdego, kto nad wodą stoi. Co człowiek przy nim wymarzy, wyegzaltuje - wszystko to zaciera rzeczywistość. Ona nic nie ma z blasków księżyca - tak jak on znowu nie ma nic z życia. Jest piękny, jak zapowiedź ciszy w grobie.

Gdyby była pewność, że z rana nie zaświta słońce, światło księżyca do rozpaczy by doprowadziło. A jednak na myśl, że słońce zbudzi nas tylko do walki jak wczoraj i przez wiek cały, chciało by się krzyczeć: "Stój, ziemio, nie pozwalaj słońcu ściągać cieniów nocnych - pozwól ludziom spać, a mnie trwać bez ruchu!"

Jak widzisz, piszę już z Konstancji. Po paru dniach pobytu w tym mieście, nasycony widokami pięknych okolic, dziś miałem spędzić wieczór na koncercie w ogrodzie miejskim. Znalazłem miejsce na ławce nad samym jeziorem i zwrócony do wody, słuchałem "Fausta". Muzyka ściągnęła do brzegu roje łodzi. Białe kapelusze, kolorowe suknie pań i te łodzie o czerwonych wiosłach wyglądały na spokojnej wodzie jak widma. Wioślarzom ręce opadły i fale, jakby wsłuchane w muzykę, kołysały ich w takt melodii.

Wtedy, nie wiem czemu, poczułem taką tęsknotę do was i potrzebę pisania, że porzuciwszy ogród siadam do dzielenia się z tobą w dalszym ciągu wrażeniami.

By nawiązać je do listu ostatniego, wrócić muszę pamięcią do Rapperswilu.

Ustronie to /Rapperswil/ było najcenniejszym punktem mojej podróży. Zdaje mi się, że odrodziłem się tam, nabrałem poznania prawd prostych, które się nie objawiają łatwo w zwykłych warunkach. Na wolnej ziemi kąt patrzenia na sprawy rozwiera się szerzej i pozwala je objąć od gruntu. Czuję, że opuszcza mnie choroba hamowania uczuć i wątpienia. Jestem pokrzepiony jakąś dumą czystą, mam odwagę i chcę żyć, pragnę słońca.

Poranek był piękny, pełen świeżości, gdym podchodził do zamkowego podwórca, z którego wejście prowadzi do Muzeum. Sam ten podwórzec wart jest podróży. Czworokątny, otoczony ścianami zamku i wież, tonie w zieloności roślin. Kaskady winnych splotów opadają od dachu po krużganku i łączą się z zielenią bzów i akacji. W pośrodku podwórca, pełnego świergotu ptactwa, wznosi się koryncka kolumna, ocieniona skrzydłami orła.

Mimowoli odsłaniasz głowę i skłaniasz ją. To ten orzeł, co

... gdy, spocząwszy na ziemi,
Strzepnął skrzydły dorosłemi,
Dwa wielkie morza plusnęły pod niemi.

Napis na pomniku dopełnia wrażenia:

"Niepożyty duch Polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw uciemiężającej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata".

By cię zapoznać z historią tego pomnika, powiem, com później wyczytał w opisie uroczystości jego odsłonięcia w r. 1868. Zebrały się na to święto tłumy osób ze wszystkich krajów i z Polski. Pomnik stał wtedy na tarasie, zewnątrz zamku i panował nad jeziorem. Między innymi przemawiał wtedy Kornel Ujejski (po francusku) :

"Setna rocznica walki narodowej sprowadziła nas, sieroty ludzkości, na wolną i szczęśliwą ziemię Helwetów, byśmy założyli protest przeciw wrogom naszym; w tej chwili uroczystej duch Polski jest z nami. Protestujemy w imię żyjących i poległych, w imię dzieci w kołyskach i grobów braci, w imię wszystkich, co cierpią - i tych, co wierzą i tych, co zwątpili! Łzy nasze i krew za swobodę wylane, zajęłyby przestrzeń tak wielką, jak ta woda przed nami; z mogił braci, w walce poległych, moglibyśmy wznieść górę tak wysoką jak niejedna w łańcuchu Alp. Nasze męczeństwo wystarczy do odkupienia świata całego...

"Jednak nie stajemy przed wami z jękiem żebraczym, pomimo że łachmany nas okrywają, lecz z poczuciem godności i wyższości duchowej. Ten pomnik na ziemi waszej, zacni i wolni Szwajcarzy, wzniesiony, to nie pomnik naszej niedoli, to pomnik tej mocy męczeństwa, która znamionuje nasz naród..."

Słowa powyższe zastosować można do całego Muzeum założonego pod wezwaniem tego Orła białego i stanowiącego jakby żywą księgę objaśniającą dla pomnika. W księdze tej nie każda karta jest smutna, lecz każda poucza, a niejedna na pobudzoną wyobraźnię działa wstrząsająco. Nie będę opisywał szczegółów, bo po nie przyjechać trzeba samemu i zbierać;

chciałbym jedynie ogólne zanotować wrażenie.

Często w niewoli wstrzymujemy się od jęku, bo nam się zdaje, że nikt drugi cierpienia naszego nie zrozumie. Spotykając niechęć i lekceważenie naszych skarg, a wmawianie, że przesadzamy, poczynamy o krzywdzie wątpić. Jeżeli wierzymy w nią, to również tamujemy skargi, bo nie wierzymy we współczucie obcych. Wydaje nam się, że krzywda ma miarę subiektywną jedynie, serc obcych nie obowiązującą. Do zamku w Rapperswilu przybywają ludzie z wszystkich krajów, wielu przybywa takich, co o Polsce tyle wiedzą, ile ten Francuz, który niedawno na liście do Warszawy położył adres: Varsovie (Turquie), a podobno mało kto z nich obojętnym okiem przebiega polskie pamiątki. Ja sam widziałem, chodząc po salach Muzeum, cudzoziemców, którzy od oprowadzającego ich kustosza dowiadywali się o losach Polski po raz pierwszy. Po wrażeniu, jakie na nich opowiadanie sprawiało, widziałem, że krzywda nasza przeraża każdego.

W jednej z sal poeta-rzeźbiarz Lenartowicz postawił głowę konającego Polaka. Z jego ust wpółotwartych czyta zwiedzający, ktokolwiek on jest, tak wyraźnie, jakby głos jego słyszał:

"Ave patria, morituri te salutant!"

Jest to właśnie ta moc męczeństwa, o której mówił Ujejski, ta siła narodu, co z poległymi nie idzie do grobu.

Z historii własnego ducha, pod opieką zaborczego rządu hodowanego, wiem, jak subtelne są nici, które nas z przeszłością wiążą. Nieraz zastanawiałem się nad tym, że my, dzieci pokolenia zawiedzionego na wysiłkach ostatnich, że my, rzetelne pogrobowce, nie byliśmy karmieni tak jak nasi ojcowie. Gdyśmy na świat świadomości przyszli, znaleźliśmy za sobą przestrzeń głuchą jak pustynia, z zatartymi śladami tego, co się działo. Zdawałoby się, że starsi sami przeszłość zacierają, byśmy na dawne nie trafili ślady. Zaledwie odgłosy tajemnicze, wywoływane przez niezręczność ciemiężycieli, krzywda odzywająca się z kości jak ból dziedziczny, budzą tęsknotę lepszej doli. Duch opozycji w naszych młodych piersiach to świat tak nowy, jakbyśmy byli jego wynalazcami - żadnej ciągłości z tym, co było.

Starsi tej uwagi za słuszną może nie uznają; ze wzgórza własnej przeszłości spostrzegają ciągłość pokoleń i wypadków i są strwożeni tym zjawiskiem dziedziczności, która udziela potomstwu niezadowolenie. Sądzę, że oni zrobili wszystko, co mogli, żeby w wychowaniu siłę tego dziedziczenia, jeżeli było, złagodzić. Nas samo życie wychowało, a w nim są te same pierwiastki, które były za ich młodości - stąd ta ciągłość.

Kiedy wyrwawszy się z codziennego otoczenia, zbliżyłem się do Pamiątek przeszłości, tych śladów zatartych u nas starannie, zdawało

mi się, że przebywając tę przestrzeń z kraju, żeby to wszystko zobaczyć, przebyłem jednocześnie kawał czasu w górę jego biegu i stanąłem oko w oko z Polską żywą.

Niby z letargu lub gorączki zbudzony, spostrzegłem przed sobą bohaterów, których nazwiska jak ze snu lub mitu znałem; i parła mnie do nich cześć i ciekawość, którą można drżącymi usty wyrazić w pytaniu:

- Wy mi prawdę powiedzcie: jak to było? jak się to stało?...

I dochodzi się z nimi do porozumienia. Z ich mogiły widać drogi w narodzie, które oni, tak niedawno - zdawałoby się- wczoraj, porzucili. Z rzeczy, które konając z rąk wypuścili, występują ich postacie tak prawdziwe, że słyszy się bicie ich wielkich serc.

W sali Kościuszki, pełnej jego wizerunków, scen jego czynów w obrazach, przedmiotów przez niego samego wyrobionych, świadczących o jego domowych upodobaniach - w sali tej dość długo nasiedzieć się nie można, w towarzystwie cieniów tego bohatera obu półkuli świata.

Gdy wreszcie wychodzisz z pomiędzy tych pamiątek, czujesz, że ta przykra pustynia za tobą zapełnia się życiem minionym. Nić łączności nawiązana, nowe pokolenie odziedziczy ją po tobie wprost".

Przytoczyłem ten reportaż (jak to się dzisiaj nazywa) nie dlatego, żeby miał wartość literacką, lecz że jest autentycznym dokumentem pod jak wielkim wpływem martyrologii rapperswilskiej wtedy się znalazłem, cały świat widział mi się w symbolice męczeństwa, wytworzonej przez emigrację.

2. W domu i w bibliotece.

Listy do gazet ("Dziennika Poznańskiego" i "Kuriera Lwowskiego") pisałem w celu reklamowania instytucji rapperswilskiej, o której od szeregu lat mało się już wiedziało w kraju. Sam jeszcze niewiele w ową porę o niej wiedziałem, więc pisałem jako turysta. Muszę jednak wytłumaczyć tutaj, skąd znalazły się w powyższej korespondencji wzmianki o Konstancji. Było tak:

W jednym z listów moich, przechowywanych przez rodziców, znajduję list z 21 maja 1892 r., a w nim taki ustęp: "Mam zapowiedziany przyjazd miłych gości. Pisał mi Karłowicz, że w tych dniach będzie u nas przejazdem z Konstancji, dokąd z żoną i córką udają się z Wiednia w sprawie kuracji córki. Pisze, że umyślnie zboczą z żoną, by mnie odwiedzić. Zawsze jest dobry dla mnie".

Jakoż wkrótce przybyli i okazali mi wiele serdeczności. W hotelu "du Lac", dokąd mnie zaproszono na obiad, długo gawędziliśmy. Prosili mnie oboje, abym odwiedził ich córkę, którą pozostawili w Konstancji na kuracji w zakładzie dla nerwowo chorych. Dla córki byłoby bardzo pożądane, aby czuła, że ma w pobliżu kogoś z Warszawy i do tego ze świata literackiego. Życzenie pp. Karłowiczów było dla mnie rozkazem, przy tym bardzo mnie ujęło, że stosunek dotąd przygodnie towarzyski zamieniali na serdecznie poufny. Poczułem się opiekunem panny Wandy. Podczas drugich odwiedzin zatrzymałem się w Konstancji dni kilka, podczas których odbyliśmy parę wycieczek Renem. Towarzyszył nam bawiący na kuracji w tymże zakładzie p. Załęski z Wilna. Skończyło się w jesieni oświadczynami. Ślub odbył się w marcu następnego roku w Krakowie. Zamieszkaliśmy wówczas oczywiście poza zamkiem w mieszkaniu wynajętym na ulicy, prowadzącej do wsi Jona.

Nie chcę jednak skupiać zbytnio uwagi na mym życiu ściśle osobistym. Ciekawsze pewno będą wspomnienia o ludziach, z którymi mnie los złączył w służbie publicznej. Wracam tedy do r. 1892, w którym zetknąłem się z dwoma powieściopisarzami, Żeromskim i Miłkowskim.

W końcu lipca czy w sierpniu tego roku otrzymałem w Rapperswilu list od Żeromskiego z Nałęczowa, w którym doniósł mi, że ożenił się z p. Oktawią Rodkiewiczową (z domu Radziwiłłowiczówną), że lekarze radzą mu dłuższy pobyt w Szwajcarii - i zapytuje, czy nie mógłby liczyć na zaczepienie się o bibliotekę w Rapperswilu w charakterze mojego pomocnika, co by mu ułatwiło egzystencję. Napisałem o tym zaraz do wiceprezesa zarządu Muzeum Henryka Bukowskiego w Sztokholmie (Bukowski miał sobie powierzone kierownictwo muzeum i biblioteki), u którego cieszyłem się zaufaniem. Ten na swoje ryzyko (było już po posiedzeniu Rady) polecił mi sprowadzić Żeromskiego. Pomoc była bardzo potrzebna, biblioteka

bowiem nie była jeszcze ułożona na półkach w przeznaczonych dla niej salach. Zgromadzona stosami w wieżach zamczyska, pomieszana z archiwami, wymagała koło siebie zabiegów fizycznych na szereg miesięcy. A bibliotekarz miał na to pomoc przygodną tylko niezdarnego odźwiernego.

Późną jesienią zjechał Żeromski z żoną i kilkuletnią córeczką żony Henią (obecnie p. Witkiewiczową). Odtąd pracowaliśmy razem z Żeromskim do lata 1894 r., kiedy wróciłem do Warszawy. Dla Żeromskich znalazłem mieszkanie w miasteczku na tejże ulicy wiodącej do wsi Jona. Nie pamiętam nazwiska właściciela, który w tym swoim domu miał na dole okazały sklep ze szkłem i porcelaną.

Całymi miesiącami trwało przenoszenie druków ze składów na świeżo ustawione półki drugiego piętra zamku i ustawianie ich formatami. Jednocześnie formowaliśmy katalog kartkowy. Pamiętam żywo Żeromskiego, który od razu wziął się do katalogu, jak wystawał przy szafach w nieodstępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczkowym ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą czarną brodą. Nie mógł donieść książki do pracowni, żeby się z nią po drodze nie bałamucić - tak go każda interesowała.

Szef nasz bezpośredni z tytułu swego kustoszostwa w Muzeum, Rużycki de Rosenwerth, przeszedł do historii z powodu awantur późniejszych na tle zatargu z Żeromskim. Uwieczniły go akta słynnego procesu wewnętrznego w zarządzie Muzeum, który przeprowadzono w r. 1911 przy pomocy komisji znawców, powołanych z kraju i z emigracji. Posypały się wtedy broszury: Żeromskiego, moja, Miłkowskiego, Gierszyńskiego i in. Historia pewno wszystkim znana; ale nie dla wszystkich dość jasna. Wynikła ona moim zdaniem z konfliktu dwóch różnych psychologii - naszej, przywiezionej z kraju i starej emigranckiej.

Typowym wyobrazicielem starej był Rużycki z r. 1863, który na stanowisku kustosza stał się totumfackim prezesa Gałęzowskiego Józefa, również powstańca, zupełnie oddanym, a przeto dogodnym. Gałęzowski stanowił ośrodek pewnej grupy emigracji w Paryżu i miał w Radzie zarządzającej Muzeum kilku sobie oddanych ludzi z Paryża, wprowadził też do Rady Rużyckiego, swego funkcjonariusza. Rużycki był człowiekiem niewykształconym, nadto dziwakiem. Szlachcic z Lubelskiego, po r. 1863 osiadł w Monachium i tam zajmował się handlem starożytnościami i obrazami, który ułatwiała mu wieczna bieda polskiej kolonii malarskiej. Nauczył się tam jubilerstwa, które mu było potrzebne do restaurowania pamiątek. W r. 1889 Włę Plater, założyciel Muzeum sprowadził go za poradą Wł. Gniewosza do Rapperswylu.

Gałęzowski, objąwszy po Platerze kierownictwo fundacji, znalazł w Rużyckim dobrego stróża zamku. I chociaż ten kwalifikacjami odpowiadał zaledwie poziomowi dozorcy zbiorów, dla oszczędności i wygody zrobiono go ich dyrektorem. Ten stan rzeczy nie bardzo podobał się wice-

prezesowi Rady, Henrykowi Bukowskiemu, mieszkającemu w Sztokholmie, znakomitemu antykwariuszowi i znawcy starożytności. Uzyskał tylko, że w sprawach muzeologicznych jemu powierzono zwierzchnictwo nad Rużyckim.

Tu był powód ciągłego tarcia w Radzie. Rużycki bowiem nie mógł w żaden sposób zrozumieć naukowych tendencji Bukowskiego. Stał na gruncie uczuciowo-dewocjonalnym stróża pamiątek, które należało otaczać legendą, choćby fałszywą i pomnażać w drodze fałszowania. Niezrozumiały był mu zupełnie cel porządkowania i katalogowania księgozbioru. Uległ uchwale Rady i zarządzeniom Bukowskiego, niemniej uważał mnie i Żeromskiego za intruzów, a robotę naszą za nieużyteczną. Mieliśmy za sobą Bukowskiego i Miłkowskiego Zygmunta (T.T.Jeża) z Genewy, członka Rady a zarazem lustratora, przeciwko sobie zaś Rużyckiego i źle przez niego usposobioną grupę paryską. Sytuacja pogorszyła się tym, że Bukowski niebawem zarządził, aby bibliotekarz był zarazem sekretarzem całego Muzeum, prowadził inwentarz i korespondencję, a potem powierzył mi napisanie historii zbiorów, sporządzenie katalogu kościuszkowskiego i zredagowanie wydawnictwa na rok kościuszkowski jubileuszowy, 1794-1894. W tym charakterze musiałem poddać rewizji dotychczasową legendę o zbiorach, skomponowaną przez Rużyckiego, co uskuteczniłem przy pomocy archiwum, przez Platera zebranego. Kosztowało mnie to sporo wielkiego wysiłku sztuki dyplomatycznej, żeby stosunek z Rużyckim jako tako był znośny. Ale Żeromski, który wszystko uczuciowo traktował i towarzysko był surowy, objąwszy po mnie stanowisko, do ostrego konfliktu doprowadził.

Przyczyniła się do tego zasadnicza nieufność starej emigracji paryskiej do przybyszów z kraju, a przy tym ludzi młodych, o których patriotyzmie emigranci wątpili. Już w lipcu 1892 r. na pierwszym zjeździe Rady ze zdumieniem i goryczą spostrzegłem ten nastrój nieufności. Dopiero wtedy zrozumiałem główną właściwość patologiczną duszy starych emigrantów. Polegała ona na przeświadczeniu ich, że całą sumę patriotyzmu wywieźli z sobą z kraju. Kto był patriotą, ten wyemigrował, a potem stan w kraju tylko się pogorszył wskutek rusyfikacji, młodzież zaś – według ich pojęcia – była wroga tradycjom i kosmopolityczna. Tak też mnie traktowali. Kiedy na mój wniosek Bukowski zaprosił Tadeusza Korzona do napisania monografii o Kościuszce dla naszego wydawnictwa, Rada w r. 1893 wyraziła wątpliwości, czy Korzon godzien jest pisać o Kościuszce. O mało nie doszło do zerwania umowy. Chodziło tylko o to, że Korzon nie był na emigracji, kształcił się w uniwersytecie moskiewskim i mieszkał w Warszawie. Było to już przy Żeromskim i wstrząsające na nim wywarło wrażenie.

Rużycki drażnił Żeromskiego swoim intrygańctwem, plotkami, a nawet swymi czułościami towarzyskimi. Nie umiał tego pokryć na sobie. A Rużycki w długiej samotności, nie mając nic do roboty, zwłaszcza gdy

w zimie nie było zwiedzających, przeszkadzał nam w robocie swymi gawędami. Brudny, cudacznie ubrany, w czerwonej konfederatce, zatłuszczonym kożuszku, przydeptanych pantoflach, z fryzurą zbyt rzadko farbowaną, dla rozrywki przychodził do naszej pracowni i opowiadał anegdoty zawsze te samę w kółko, często bardzo prostackie. Przy każdej sposobności - na widok jakiejś książki najczęściej - wygadywał niestworzone bajdy o tym, że nauka jest marnością, że nam się pewno wydaje, iż zjedliśmy rozumy ludzkie. Zawsze przy tym powoływał się na swoje doświadczenia. Typowym przykładem, który nam kilkadziesiąt razy opowiadał, był ten - przeciwko astronomom - że on raz u siebie w majątku po burzy widział tęczę, opierającą się jednym końcem o sadzawkę, a drugim o wzgórze. Otóż gdy potem poszedł na owo wzgórze, znalazł kilka ryb żywych przez tęczę przeniesionych.

Nie będę opowiadał osobistych tortur, które były dłuższe, bo mieszkałem jakiś czas w zamku i Rużycki mnie żywił. Żeromski wyrywał się po godzinach zajęć do domu i odpoczywał.

Miłymi przerwami w codzienności cichego życia bywały odwiedziny sędziwego Z. Miłkowskiego. Ten cenił w nas nadzieje literatury i serce swoje nam dawał. Lato 1893 r. przebywał z nami Tadeusz Korzon, pisząc w bibliotece przy czynnej naszej pomocy swego "Kościuszkę". Wtedy zbliżył się z nim Żeromski, co pozwoliło mu potem znaleźć zajęcie w Bibliotece Zamoyskich.

Miłe też były spacery po okolicy, wycieczki wspólne statkiem do Zurychu i do okolicznych miasteczek. Zwłaszcza nęcił nas Zurych, gdzie mieliśmy kilku wesołych przyjaciół w kolonii polskiej.

W chwilach wolnych Żeromski, zwłaszcza gdy z powodu choroby w dni chłodne w domu przesiadywał, lubił oddawać się malarstwu. Nie znał rysunku. Być może pobyt w Krakowie u Benedyktowicza do prób go zachęcił. Widząc jego zapędy akwarelowe, przywiozłem mu z Zurychu farby olejne i sztalugi malarskie. Wyydzięczając się za prezent parę obrazów mi ofiarował. Cenię sobie bardzo pamiątkę po nim w postaci obrazu przedstawiającego Łysicę, ową najwyższą górę w pasmie Gór Świętokrzyskich, o których zawsze marzył, nawet wtedy, gdy miał koło siebie piękniejsze góry szwajcarskie. Widok Łysicy zawsze miał w oczach[8/].

x

Do mitycznych postaci należeli dla mnie Kraszewski i Jeż, jako ci, którzy gdzieś krążą po odległych orbitach koło kraju i nigdy się ich osobiście nie spotka. A jednak losy zrządziły zetknięcie. Na wiosnę w r. 1892 poznałem Jeża w Szwajcarii wśród dekoracji symbolicznych, bo na tle Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Jawił mi się wśród pamiątek, jako żywy pomnik czasów legendowych, przedstawiciel nieznanego i niezrozumiałego mi jeszcze typu życia emigranckiego. Miłkowski miesz-

kał wówczas w Genewie, a do Rapperswilu przybywał co jakiś czas jako kontroler: taką misję wyznaczył mu zarząd tej instytucji, do której od początku niemal należał.

Ze wszystkich emigrantów, których później poznałem, Jeż był człowiekiem krajowi najbliższym, najmniej anachronicznym. Miał w sobie ciepło, udzielające się z narodu ze współżycia z nim, podczas gdy typowy emigrant był cały w czasie przeszłym, naród dla niego przestał istnieć, odkąd on z kraju wyjechał. Jeż żył z dziejami narodu i nie tylko literatura łączyła go z krajem.

Jeż tęsknił nie do dawnej Polski, ale do tej, która się staje; czuł się każdym nerwem na ziemi polskiej, a miał tyle wyobraźni i intuicji czynnej, że doskonale do ostatnich prawie czasów rozumiał, co się dzieje w kraju i co się dziać powinno. To też, gdy zobaczył kogo z Polski, od razu, jak biegły bibliograf, rzuciwszy okiem na jego datę, wiedział, kto zacz i jak z nim być.

Miłkowski, któregośmy w kraju nie znali i który już dobiegał siódmego lat dziesiątka, gdy nam nowe prądy i prace rozpoczynać przypadło, znalazł się między nami jako współpracownik "Głosu" w latach 1887-1890. On to w r. 1889 trzymał w "Głosie" do chrztu literackiego Jana Kasprowicza, przepowiadając w nim poetę nowych dróg demokratyczno-narodowych. W tym, co pisał, jako korespondent literacki "Głosu", była młodość i świeżość myśli, pokrewna płonkom nowego ruchu w Warszawie.

To też w Raperswilu powitał mnie, poczynającego, jak towarzysza i niesłychanie mnie ujął swoją prostotą i dobrotliwością. Suchy, z wąsami obwisłymi, miał w sobie coś ze starego na obrazkach kozaka zaporoskiego i poczciwość w siwych oczach. Dla towarzystwa przyjął kawalerską gościnę starego dziwaka de Rosenwerth-Rużyckiego, który nam sporządzał jedzenie.

Aby zjeść to, co na patelni upryczył, trzeba było zgarnąć ze stolika będącego jego warsztatem trochę śmiecia, rozepchać nogami rupiecie na ziemi i usadowić się na jakichś gratach, z których każdy był kandydatem do zbiorów muzealnych, czekającym Rużyckiego pomysłowości. Gospodarz w odwiecznym chłopskim kożuchu, w przydeptanych pantoflach, z twarzą podwiązaną jakimś niesłychanym fularem, strugał naprzód na patelni wczorajsze resztki sosu, aby broń Boże jej nie myć, na kupkę tych resztek kładł kawałek masła i cebuli, a gdy już zaskwierczało, rzucał krwawe mięso. Do tego przychodziły jeszcze krajane kartofle, niezbyt czysto obrane, ale zato szwajcarskie, bardzo niesmaczne. Był to codzienny nasz obiad, o ile nie gotowało się kości w krupniku, na co specjalny był garnek.

Stary Jeż niczemu się nie dziwił i jadł, ale ja się dziwiłem, że zęby jego tak zwycięsko pokonywały zatwardziałość mięsiwa. Najmilsze

sercu rycerskiemu czasy obozowe przypominały mu się wtedy, a opowiadania jego były zawsze bardzo interesujące. Lubił i umiał gawędzić. [1]

Kilkakrotnie potem przyjeżdżał do Raperswilu, gdy było już nas więcej, bo przybył Żeromski i w długich rozmowach, które wiedliśmy bądź w pracowni bibliotecznej, bądź nad jeziorem, dowiadywałem się bezpośrednio, w jaki to sposób zaplatają się z sobą pokolenia w jeden łańcuch istnień duchowych, podających sobie "lampada vitae".

W zarządzie Muzeum raperswilskiego Miłkowski największe oparcie miał w Henryku Bukowskim, który, podobnie jak Jeż, mało miał pozy emigranckiej, a wiele żywego zainteresowania sprawami kraju i na serio sprawy Muzeum traktował. Obaj z Bukowskim niemało mieli do zniesienia ze strony urzędowego przedstawiciela emigracji w zarządzie Muzeum, a gdy Bukowskiego zabrakło, bezbronny Miłkowski padł ofiarą i od spraw Muzeum usunąć się musiał. Tej potrawy Rużyckiego Miłkowski strawić nie mógł.

Osobiście zbliżyła mnie do Jeża i jego rodziny okoliczność, że żona moja, oddana przez rodziców do szkoły w Genewie, parę lat mieszkała w domu Miłkowskich i była przez nich umiłowana. To też Miłkowski traktował i żonę i mnie, jakbyśmy należeli do ich rodziny.

Muszę też upamiętnić współpracę w bibliotece serdecznego przyjaciela, przezacnego Ignacego Domagalskiego. W zimie w r. 1893 zjawił się niespodzianie ten "zetowiec", szukając u mnie oparcia. Wydalono go z Krakowa, dokąd emigrował z Warszawy. Niewątpliwie namiestnictwo galicyjskie zrobiło to na żądanie policji rosyjskiej. Znalazłem dla niego pokoik w pobliżu zamku i nie obciążając kosztami kasy Muzeum, wciągnąłem do pracy w bibliotece. Rużycki na razie nie protestował, owszem rad był, że ma komu powtarzać swoje dzieje i anegdoty, nie mógł zaś nie uszanować wielkiej pracowitości naszego pomocnika, tak potrzebnego przy segregowaniu księgozbioru, zwłaszcza czasopism, broszur i ulotek zalegających w składzie. Bukowski bardzo był rad, że to robotę przyśpieszy, niestety jednak niedługo trwała idylla. Rużycki uląkł się, że ma już trzech młodych pracowników, z którymi musi się liczyć. Prezes Gałęzowski na najbliższym posiedzeniu Zarządu przeprowadził uchwałę, zabraniającą bibliotekarzom korzystania z pomocy Domagalskiego. Szczęściem członek Zarządu Karol Lewakowski zajął się losem Domagalskiego, wyjednał w namiestnictwie, że pozwolono mu wrócić do Galicji, gdzie Lewakowski dał mu zajęcie przy swojej kopalni nafty. Cichy ten pracownik i żarliwy działacz narodowy odegrał potem wybitną rolę w Cieszynie i we Lwowie. Półroczna współpraca z nim w bibliotece należy do najmilszych moich wspomnień.

3. Na progu literatury.

Za pracę, którą włożyłem w zbiory raperswilskie w ciągu dwu i pół lat, sowicie zostałem wynagrodzony nauką, w tej pracy zdobytą. Była to nauka chaotyczna, bo bez przewodnika i metody. Nie mogła być inną, gdy wszystko było nowością, a chłonęło się ją na wyrywki, nieraz na drabinie przy ustawianiu książek na półkach.

Książki były z różnych księgozbiorów emigranckich, więc często w duplikatach. Nie mogło być mowy o jakimś grupowaniu ich wedłúg treści. Zrobi to później specjalny katalog; chodziło najpierw o ustawienie ich wygodne na półkach według formatu, aby wyzyskać ekonomicznie szafy i skatalogować je w sposób inwentarzowy. Wszystkie więc dziedziny życia umysłowego poznawało się bez ładu, aż do zawrotu głowy. Myśl szybko pracowała, aby z tego wszystkiego wytworzyć sobie jakiś obraz i zorientować się w stosunkach tego osobliwego tworu społecznego, jakim była nasza emigracja w XIX wieku.

Czułem się tak, jakbym się dostał na księżyc i sprawdzać miał, czy istotnie przeniósł się tu żywcem Twardowski. Mickiewicz był dla nas w kraju takim jak Twardowski mitem, emigracja była dziwnym światem księżycowym. Potrzeba było znacznego wysiłku myśli, aby przez pryzmat romantyzmu, którego nasze Muzeum było istną świątynią, wymiarkować prawdę dziejową, której się szukało. Ileż przełamań doznawały promienie tej prawdy, zanim doszły do oka człowieka, który w kraju wdrożył się już do pojmowania życia politycznego, jako pracy wespół z ludem nad wytworzeniem siły narodowej realnej w realnych widokach zwycięstwa, bez kokietowania świata męczeństwem czy też szczególniejszym posłannictwem.

Myśl dążąca do wytworzenia sobie poglądu syntetycznego na świat, co się równa znalezieniu klucza, przy pomocy którego czytałoby się ten świat jak księgę, nie może zarzekać się zrozumienia epoki, wyrażonej w takim dziele zbiorowym jak instytucja raperswilska. Wszystkie te zbiory pamiątek, książek, broszur zaczęły przedstawiać mi się jako jedna księga. Była to księga romantycznego czynu i myśli romantycznej, możliwa do napisania tylko za granicą życia realnego w kraju.

Kiedy w dziesięć lat potem słuchałem w teatrze krakowskim "Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego, myślałem o Raperswilu, że gdyby autor go znał, to w tym zamku przynajmniej jeden akt by umieścił, w miejscu zaczarowanym, z którego nie ma wzlotu.

Wyspiańskiemu potrzebny był Wawel z jego królewskością i z Wisłą, która dawała karm jego wyobraźni ruchu, czyniącego z czasu i przestrzeni jedną całość tak, jak życie narodu łączy czasy dziejowe z zajmowanym terytorium. W Raperswilu wyobraźni życia nie miałby czym sycić.

Tam panował bezruch w przyrodzie i w dziejach społeczeństwa, które wygasło, zostawiając po sobie martwe pamiątki. Z wyżyny zamku patrzyłem przez okno na lustro jeziora, w którym topiły swe odbicie śnieżne wierzchołki Alp. Z tamtych wyżyn widziało się pewno w wodzie wieżyce zamku. Czyżby koniec legendy w tym martwym punkcie? Godziny biją, aż wstrząsa się wieża zamkowa, ale czas nie płynie tu dla nas nurtem życia, lecz wionie górą. Czyżby napróżno dla nas dobijał aż do bram wieczności?

Przypomina się, gdy to piszę, motyw liryczny Mickiewicza w wierszu z nad jeziora Genewskiego:

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki
A woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne...

Te wody widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam.
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć,
Mnie płynąć, płynąć i płynąć!...

Pamiętam te twarze opok odbite w wodzie - były one tutaj białe, bo śnieżne. Poczucie zastoju i zamknięcia na tym właśnie polegało, że wszystko to ma prawo stać, a moim prawem jest płynąć, "wzrok tylko na fali dzierżąc".

Wśród pamiątek życia zamarłego Mickiewicz wydał mi się najbardziej żywy, że płynął i nieustannie czegoś szukał, syntezę ducha widząc w czynie. Mickiewicz wydał mi się falą, przezwyciężającą śmierć.

Zbliżyła mnie do zrozumienia Mickiewicza okoliczność, że w zbiorach odnalazłem żywe ślady pielgrzyma, a tych było sporo. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie protokóły Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich z r. 1832, które mi uprzytomniły plastycznie obecność w narodzie Mickiewicza i Słowackiego. Zobaczyłem, że przez świat emigracyjny przebiegały prądy życia z kraju i to, jak wielką rolę odgrywa w tym procesie geniusz, nie mogący zadowolić się strawą chwili bieżącej, ów "człowiek wieczny", dzierżący wzrok tylko na fali.

Mickiewicz znał drogi pielgrzymstwa, ale nie brał bocznicy ślepej, jaką była emigracja, za linię magistralną życia polskiego. Żeby na tę linię się wydostać i dalej nią "płynąć", cofał wzrok swój w lata młodości, aby tam schwytać swoją falę. Owocem tego procesu duchowego był twór artystyczny, "Pan Tadeusz". Ale gdy doradzał rodakom pisanie pamiętników, aby w sobie wskrzesali pamięć życia kraju przed rewolucją, wiedział, że ich przez to wycofuje z padołu emigracyjnego, gdzie czas nie ma już dla nich wymiaru psychicznego.

W lamusie emigracyjnym Raperswilu było wszystko, co po ogniskach pielgrzymów mogło pozostać, w tym wiele rzeczy cennych dla historyka epoki, ale dla człowieka nastawionego świeżo na falę życia, jakim ja byłem, najżywotniejszą wydała mi się literatura, mianowicie to, co w niej było twórczością ludzi genialnych. To były wartości wieczne, a dlatego wieczne, że były z fali życia.

W atmosferze tak skoncentrowanego dramatu, którego obraz dawały zbiory emigracyjne, ten dostęp do twórczości literackiej wydał mi się najistotniejszy. Tym się tłumaczy moja metoda, którą stosowałem przy rozważaniu utworów i autorów. Wszędzie mi się widział żywy człowiek w twórcy i odbiorcy dzieł literackich. Szczodrobliwości fortuny, jaką jest talent, powyższa zasada człowieka pełnego, tworzącego życie nowe, nie może kłaść tamy. Pozostawia ona wiele pola dla estetów, znających się na jubilerstwie i przepychu form. Co do mnie z natury zajęć moich późniejszych nie miałem możności oddawania się studiom nad sztuką. Byłem raczej poszukiwaczem złota niż jubilerem. Wiedziałem wszakże to, że w hierarchii duchów twórczych, przekazywanych potomności, pierwsze miejsce zajmie zawsze ten mistrz, który w dziełach złoży dowody, że przez sztukę szukał prawdy jako najwyższego dobra i piękna.

Zatrzymałem się dłużej w rozpamiętywaniu wysokiego progu literatury, który mi wypadło przekroczyć, bo to był ważny moment w mojej działalności pisarskiej. Do uwzględnianej przeze mnie przedtem twórczości zbiorowej społeczeństwa, przybyła twórczość indywidualna, traktowana w nauce o narodzie jako coś odrębnego, co się nazywa "kulturą", i do rzeczywistości dziejowej zewnątrz przylepionego. Zrozumiałem tu w Raperswilu, gdzie z taką oczywistością zagadnienia społeczne i polityczne przerośnięte były literaturą, że w pojęciu ogarniającym życie narodu, zmieścić trzeba wszystkie dziedziny, zarówno zbiorowej jak i indywidualnej twórczości, bo wszystkie mają jedno źródło i jeden cel - człowieka tworzącego naród i przez naród tworzonego. Zrozumiałem, że narodu nie można rozważać w kategoriach jedynie politycznych, terytorialnych, demograficznych i gospodarczych, lecz widzieć go należy jako indywidualną cywilizację, zdolną produkować i zużytkować jednostki genialne, dźwigające tę indywidualność do najwyższych poziomów cywilizacji europejskiej. Cywilizacja zaś narodowa jako twór jednego ducha musi przedstawiać całość organicznie spójną, - i że do niej jest klucz przez człowieka. Najgłębszym i najdonioślejszym wziernikiem w człowieka, a przez niego w życie narodu, jest literatura jako instrument psychologiczny w ręku krytyka.

Stąd wzięły początek moje upodobania psychologiczne i ambicje wyszukiwania w kulturze duchowej połączeń między różnorodnymi gałęziami twórczości.

Pierwszy mój szkic z dziedziny historii literatury zamieściłem w "Dzienniku Poznańskim", w numerze gwiazdkowym z r. 1892. Był to treściwy wyciąg ze wzmiankowanych protokółów Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich, tyczący roli, jaką tam odegrali Mickiewicz i Słowacki. Dalszą refleksją stąd wysnutą był drukowany potem (1898) w "Głosie" szkic pt. "Geneza Pana Tadeusza".

Właściwą jednak pracę seminaryjną nastręczył mi Seweryn Goszczyński, którego archiwum - dzięki Agatonowi Gillerowi - znalazło się w Raperswilu. Na jego pamiętniku i utworach młodzieńczych, które tu się zachowały, przestudiowałem dzieje romantyzmu polskiego. W miarę rozczytywania się w tej puściźnie, zarysowała się postać tego rzetelnego wyraziciela epoki w proporcji do rozmiarów Mickiewicza. Praca nad Goszczyńskim zajęła mi cały czas wolny, nie byłbym jednak w stanie wynotować i skopiować tego cennego materiału, gdyby nie pomoc żony. Dzięki wspólnej naszej pracy mogłem w r. 1910 przygotować do druku wydanie pism tego poety i napisać po powrocie do Warszawy kilka studiów, które potem złożyły się na książkę. Niestety, nie miałem nigdy czasu na wykończenie monografii, do której mnie zachęcał śp. Józef Tretiak. W ogóle na pracę nad literaturą za mało miałem wolnego czasu przez całe życie. W Raperswilu zaś dużo czasu zajęło mi wydawnictwo albumu Muzeum Raperswilskiego t. IV, do którego wydobyć musiałem i napisać dzieje Muzeum oraz sporządzić katalog zbiorów kościuszkowskich, nie mówiąc o obsługiwaniu Tadeusza Korzona, który pracował u nas parę miesięcy. I tutaj pomocą nieocenioną była mi żona, której Korzon zawierzył korektę swojej pracy o Kościuszce. Korekta była wzorowa.

4. Wznowienie "Głosu".

W połowie 1894 r. pożegnałem się z Raperswilem. Powrót do Warszawy przyśpieszyły listy namawiające mnie, abym się podjął wskrzeszenia "Głosu", zamkniętego przez władze rosyjskie w kwietniu tego roku. Powodem zamknięcia była manifestacja w rocznicę powstania Kilińskiego. Wszyscy członkowie redakcji "Głosu" byli aresztowani i siedzieli w więzieniu. W owe czasy bardzo były cenione tzw. koncesje na czasopisma polskie, udzielane przez władze ministerialne w Petersburgu. Koncesja "Głosu" była dość szeroka, obejmowała bowiem wszystkie działy, zarówno polityczne jak społeczne i literackie. Nowej nie było nadziei uzyskać, a dawnej groziło wygaśnięcie, jeśli jej w ciągu roku się nie wznowi. Długo wahałem się, nie miałem bowiem w sprawach wydawniczych żadnego doświadczenia ani odpowiednich funduszów. Zdecydowałem za namową żony, która, posiadając niewielki fundusz, chętnie go na ten cel oddawała. Niemałe też dla decyzji znaczenie miała tęsknota do kraju: moja, a zwłaszcza żony. Rola emigranta bynajmniej mnie nie nęciła.

W początkach lipca opuściliśmy Szwajcarię, a po krótkim pobycie w Monachium i po miesięcznym w Werishoffen w zakładzie księdza Kneippa, który nam dla kuracji żony doradzono, przybyliśmy do Warszawy. W Werishoffen nawiązałem stosunki z Władysławem Rabskim, który wówczas wydawał w Poznaniu tygodnik "Przegląd Poznański" i tam parę artykułów zamieściłem.

Starania o wznowienie koncesji były tym uciążliwsze, że sam nie mogłem się podać jako redaktor z powodu już stwierdzonej nieprawomyślności, a nikogo prawomyślnego w naszym gronie nie było. Wziął tę rolę na siebie adwokat Tadeusz Strzembosz. Okoliczność ta niemało trudności nastręczała potem przy wydawaniu pisma, polegało ono bowiem na ścisłym współpracownictwie z cenzurą, a ta chciała mieć do czynienia tylko z redaktorem odpowiedzialnym, podpisującym pismo. Strzembosz na to nie miał ani czasu, ani dostatecznej znajomości rzeczy, wiele więc zachodu było, zanim wmówiłem cenzorowi Iwanowskiemu, że musi mieć ze mną tylko do czynienia jako sekretarzem.

Odpowiedź z Petersburga zatwierdzająca koncesję nadeszła dopiero w lecie 1895 r. Do tego czasu mogłem spokojnie zajmować się pracą literacką. Wypracowałem przez ten czas trzy studia nad Goszczyńskim, mianowicie początek monografii obejmującej dzieciństwo i czasy szkolne Goszczyńskiego oraz stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. Pierwszą z tych prac zamieścił Piotr Chmielowski w "Ateneum", drugą Dionizy Henkel w "Bibliotece Warszawskiej" [1]. Trzecia, poświęcona poezjom młodzieńczym Goszczyńskiego, zamieszczona była w "Głosie".

Wreszcie na jesieni r. 1895 przystąpiliśmy do wznowienia "Głosu"
Z dawnej redakcji znaleźli się pod ten czas na wolności: Jan Popławski, Józef Potocki (Marian Bohusz), Józef Hłasko, Władysław Jabłonowski. Czekali na wyrok. R. Dmowski był na zesłaniu w Mitawie i stamtąd uszedł prosto za granicę. Pomoc w redakcji ze strony weteranów mogła być tylko czasowa i bardzo zakonspirowana. Jednak udało się z niej skorzystać, co na początek dodało mi wiele otuchy i pozwoliło wprowadzić bieg "G-łosu" w dawne łożysko.

"Głos" ukazał się dla niepoznaki w zmienionym formacie z czerwoną okładką. Tekst zajmował 24 strony. Numer pierwszy wyszedł 5 października (25 września) 1895. Treść była następująca: artykuł wstępny: "Zwrot do idealizmu" (J.L.Popławski), wiersz "Dumania wieczorne" Andrzeja Niemojewskiego, nowela "W ofierze bogom" Wacława Sieroszewskiego, art. "Z postępów nauk ścisłych" dra Leona Marchlewskiego, art. literacki "Tarde i Nietzsche" Antoniego Langego, w sprawozdaniach "Stefan Żeromski, Opowiadania" przez A.P.O. (Antoni Potocki), w rubryce "Głosu" artykuliki bezimienne Popławskiego (P.), ~~Wła~~ (Ludwika Włodka) (Wł.), Z. Wasilewskiego (x), w rubryce ~~#~~ "Z obcego świata" list z Pragi czeskiej podpisany E. Stakorsky (Jarosław Rozwoda, też był więziony w Polsce), potem "Przegląd polityczny" przez Wł. (Ludwika Włodka), w rubryce "Z różnych stron" "Kartka z dziejów parcelacji" K. Bystrzyckiego (pseud. Mieczysława Brzezińskiego), korespondencje drobne z Łodzi, Radomia, Kielc, Mińska gub., a pod tytułem "Z zagranicy" listy z Krakowa, Lwowa, Poznania. Kronika powszechna zamykała zeszyt.

Co się tyczy korespondencji było zasadą "Głosu" zaznaczać nimi wszechpolskość, przywiązywano też do tej rubryki zawsze wielką wagę. Z Poznania i dawniej i teraz w nowej serii pisywał artykuliki sam Popławski, podpisując je "Wojcieszek". Pod Krakowem podpisany był Zawisza, stały korespondent. Był to pseudonim Ernesta Adama. Pod Lwowem podpis J.A.S. oznaczał Kazimierza Wróblewskiego, niepospolitego człowieka i pisarza, siostrzeńca Z. Miłkowskiego.

Artykuł wstępny Popławskiego niemiłosiernie poszarpany był przez cenzora Iwanowskiego. On coś węszył, coś go w tym "wzroście idealizmu" niepokoiło. A czy mogła być lepsza, lepiej wyczuta zapowiedź przyszłości naszej dalszej pracy jak ten idealizm, bez którego Polska zamieniłaby się rychło w zapomniany mit? "Każde pokolenie - pisał Popławski - płynąć musi z falą, która je ponosi. Dziś wzbiera fala uczucia, wiary w ideały..."

Coraz przybywało ludzi... Zacząłem od Ludwika Włodka, którego jeszcze w lecie ściągnąłem ze Szwajcarii na kierownika administracyjnego wydawnictwa. Poznałem go jako organizatora prac studenckich w Zurychu i wierzyłem w jego talenty. Właśnie był skończył nauki i przyje-

103

chał na czas. Oprócz administracji objął dział polityki zagranicznej.

W zeszycie drugim mamy już Józefa Hłaskę. Podpisał się pod artykułem chytrze J. Kn., co znaczyło Kniażyc, później pisał jako J.H. Targoński. Wkrótce wyszli z ukrycia Wł. Jabłonowski, J.K.Potocki. Ten podpisywał artykuły naukowe pseudonimem B.Darski, a felieton "Na widowni" - Jan Weznaki.

Hłasko, Popławski, Potocki ukrywali stosunek osobisty i w redakcji się nie pokazywali. Do najściślejszego składu redakcji należeli wówczas, oprócz mnie i Włodka - Stanisław Karpiński, Bolesław Koskowski i Wł. Jabłonowski. Potem od zimy 1896 r. wszedł do redakcji Jan Stecki. Wkrótce Popławski i Hłasko emigrowali, J.K.Potocki zginął, pozostali zaś w tym składzie młodsi i dotrwali razem do końca 1899 r. Popławski nadsyłał jakiś czas ze Lwowa artykuły podpisane P.L.J. albo Janowski.

Z narzuconego tła bibliograficznego wyprowadzam tedy nazwiska pięciu publicystów "Głosu": Ernesta Adama, Władysława Jabłonowskiego, Stanisława Karpińskiego, Bolesława Koskowskiego i Jana Steckiego. Dwaj z nich byli ministrami. Ludwik Włodek skończył życie na posterunku polskiego konsula generalnego w Monachium, niemiłosiernie szykanowany przez lewicowych urzędników lewicowego rządu, którzy w nim węszyli "wszechpolaka".

Ludzie z "Głosu", pomimo wszystko, co mogło ich dzielić, pójdą potem zawsze razem, złączyła ich bowiem przysięga młodości, że służyć będą sprawie narodowej. Na nowym szańcu realizować będą to, co wówczas w "Głosie" nie mogło przybrać nawet postaci "słowa" wyraźnego. Na początku był poryw idealizmu, "głos" duszy, a kto z niego się począł, ten jak kamień idzie na szaniec, gdy tak każe sprawa.

"Słowo" nastąpiło potem. Gdy w Warszawie nic już z sensem politycznym pod cenzurą robić nie można było, z "Głosu" począł się we Lwowie "Wiek XX", redagowany przez Popławskiego, a potem objęliśmy "Słowo Polskie". Wprowadziło ono program "Głosu" i "Przeglądu Wszechpolskiego" w praktykę polityczną. Tam zrodziła się nowa seria działaczy politycznych: Głąbiński, Skarbek, Grabski, Zamorski i in., tam w redakcji "Słowa Polskiego" spotkaliśmy się znowu razem: Popławski, Hłasko, E.Adam, Dmowski, Kasprowicz, Kaz. Wróblewski. Myśl zaś ogólną wytwarzał precyzyjny aparat publicystyki politycznej, "Przegląd Wszechpolski", który zrazu przesunął się ze Lwowa do Krakowa, aby po wojnie dawać komendę z Poznania.

W pierwszych tomach (13 zeszytów 1895 r. i 2 tomy 1896) oprócz wyżej wymienionych pisywali: Gabriel Korbut (językoznawstwo i literatura), Z. Daszyńska, Wł. Bukowiński, dr Monat z Wiednia (Ka-te), Jan Witort, Zygmunt Balicki (z Genewy), Z. Miłkowski (Jeż), F. Wermiński, Leon Wasilewski, Nik. Krakowski, Witold Grabowski, G. Tołwiński (pisy-

wał też o muzyce pod pseudonimem Odon, Oda-do-zet), Miriam, L. Bruner, dr Józef Zieliński z Paryża, Z. Heryng, Ignacy Matuszewski, Adam Mahrburg, Stan. Bukowiecki, St. Karpowicz, Józefat Nowiński, Wacław Tokarz, Jan Lorentowicz, W.M. Kozłowski, Jan Karłowicz (rubr. "Błędy językowe") i sprawozdania z książek), St. Staniszewski z Suwałk i in.

Bardzo interesujący był dział literacki. Utwory oryginalne umieszczali: W. Sieroszewski, Wł. St. Reymont, A. Niemojewski, J. St. Wierzbicki, Jan Kasprowicz, J. Lemański, G. Daniłowski, W. Perzyński, A.Lange, St. Pieńkowski, Adam M-ski (Trzeszczkowska), W. Wolski, W. Raczyński, K. Zdziechowski, Ostoja (Sawicka), Zygm. Pietkiewicz, Stefan Żeromski, Adolf Dygasiński, A. Sygietyński, Miriam (Przesmycki), Brolis, Kaz. Tetmajer, Wł. Orkan, Zdz. Dębicki.

Żeromski ogłosił tutaj: O żołnierzu tułaczu, Legenda o bracie leśnym (1916), Promień (1877); Reymont: Z cyklu Na wsi (W porębie, Przy robocie); Dygasiński: Dramaty lubądzkie (1916), Głos i sumienie (1897), Pularda (1898); W. Sieroszewski: W ofierze bogom (1895), Grecka szczelina (1898); G. Daniłowski: Nego (1896), Pociąg (1898) i wszystkie pierwsze poezje; Jan Kasprowicz: Akordy jesienne, Z przygnębień, Z wichrów i hal, Taniec zbójnicki (1896), Nad przepaściami (1898).

Dygasiński, Sygietyński, Sieroszewski, Kasprowicz, Reymont - znani już byli czytelnikom dawnego "Głosu". Inni byli nabytkiem nowym. Gustaw Daniłowski zjawił się w mundurze słuchacza politechniki charkowskiej. Pierwszą nowelę "Nego" dostosowywaliśmy wspólnie do potrzeb druku.

Trudno wyliczyć wszystkich, których praca znalazła się w tych latach w "Głosie". Do najbliższych współpracowników w latach ostatnich należeli: Wł. Reymont, Zdzisław Dębicki, Tadeusz Jaroszyński (malarstwo, teatr), Marian Massonius, G. Korbut, J. Nowiński, Edward Strumpf.

Na pierwsze miejsce wybili się w stałej pracy publicystycznej B. Koskowski i Jan Stecki. Stan. Karpiński w r. 1897 przeniósł się do Petersburga i stamtąd rzadziej już pisywał. Koskowski podpisywał się często pseudonimem B.K.Świda; Stecki, gdy cenzura zaczęła nazbyt już ciemiężyć jego mocne artykuły, ukrył się pod pseudonimem Oskar. Wł. Jabłonowski pisywał nowele pod pseudonimem W.J.Gryff. Antoni Potocki występował jako A.P.Ordyński, a w nowelach jako Jerzy Grot. Kazimierz Wróblewski podpisywał artykuły litrackie J.A.Sierpniak.

Z wyliczonych wyżej nazwisk dalszych współpracowników widać, że nie było wówczas zróżniczkowania na obozy polityczne. Żydzi czy też masoni nie prowadzili jeszcze swojej polityki odrębnej i pisarzy polskich z sobą nie skłócali. Zwłaszcza beletryści czuli się dobrze w swojej naturalnej rodzinie. Stosunki panowały bardzo serdeczne. Nie wszyscy zajmowali się polityką, bo Warszawa literacka od polityki była już

odzwyczajona, a cenzura robiła resztę, usuwając z drogi tematy polityczne. Pokolenie młode jednak przeczuciami raczej niż myślą dobywało się z toni apolityczności. Zwinięcie "Głosu" stało się niewątpliwie krzywdą dla Warszawy, zalała bowiem ten teren występująca coraz agresywniej robota na"postępowość", podająca myśl narodową za wstecznictwo. Do dziś dnia bagna warszawskiego nie można osuszyć.

Dodać należy, że wydawaliśmy przy "Głosie" książki. St. Karpiński napisał do tego wydawnictwa książkę "Zasady działalności banków i zarys historyczny głównych epok ich rozwoju", Bol. Koskowski opracował według najnowszych źródeł monografię o Finlandii. Wł. Jabłonowski wydał zbiór nowel "W zatoce śmierci", a Jan Stecki przełożył z angielskiego J. Robertsona książkę pt. "Humaniści nowożytni" (Studia o Carlyle'u, Millu, Emersonie, Arnoldzie, Ruskinie i Spencerze), H. Spencera "Instytucje zawodowe" oraz zredagował przekład M. Pilo "Psychologia piękna i sztuki", a zwłaszcza wiele trudu włożył w K. Seignobosa "Dzieje polityczne Europy współczesnej" (dwa tomy), bo je uzupełnił zakończeniem, dociągając dzieje do końca wieku.

Były w tej biblioteczce piękne książki: do takich zaliczam także Edwarda Taylora "Cywilizację pierwotną", zaleconą przez J. Karłowicza i uzupełnioną przez niego znakomitymi przypisami dotyczącymi rzeczy polskich. Przekładu tego dzieła dokonała pod redakcją Karłowicza pn. Zofia Kowerska, później żona posła dra Antoniego Rząda. Dzieło to zasługuje na powtórne wydanie.

Wspominam o tych książkach dla zaznaczenia, że pokolenie nasze nie tracąc czasu robiło, co mogło, aby podnosić poziom życia intelektualnego i przygotować odpowiedzialną za dzieje warstwę inteligencji do roli, jaką musi odegrać w odradzającej się Polsce.

Nic jeszcze nie zapowiadało zmian kursu politycznego, cenzura była dokuczliwa, wyrazu "Naród" nie można było używać, życie publiczne nie istniało, nawet z samorządu gminy wiejskiej drwiły rządy policyjne, ciągle szukając sposobu, jakby zmienić typ duszy polskiej. Nie pisało się więc w "Głosie" o polskich sprawach politycznych; bogaty dział korespondencji składał się z dwóch części. Jedne były krajowe - tutaj zamieszczało się wiadomości z Radomia, Ostrołęki, Petersburga, Wilna, Odessy, bo to był jeden kraj. A druga część nosiła tytuł "Zagranica" - tutaj była Argentyna, Kraków, Paryż, Lwów, Berlin, Poznań... Ale czytelnik wiedział, co o tym myśleć, to był przymus. Gorzej bywa publicystyce narodowej w atmosferze zakłamania wewnętrznego opinii, gdy zatarte są granice prawdy.

Jak się przedstawiało pismo w dalszych latach, przytoczę dla przykładu niektóre dane z r. 1898.

W dziale polityczno-społecznym pisywali wtedy najczęściej Bole-

sław Koskowski, Jan Stecki (pseud. Oskar G., Jan St.), Ludwik Włodek, Józef Hłasko (pseud. Targoński). Z większych prac Koskowskiego wymienię rozprawę w sześciu numerach o samorządzie w gminie wiejskiej. Pisywali też Wł. Studnicki, St. Koszutski (soc.), Zenon Pietkiewicz, Witold Grabowski, Iza Moszczeńska. St. Karpiński (po wojnie prezes Banku Polskiego) przysyłał artykuły z Petersburga. Pisywał też Antoni Sujkowski (późniejszy minister oświecenia) i w. in. Nazwiska te w dziale społecznym świadczą o dużej rozpiętości podstaw "zjednoczenia narodowego". Był jakiś wspólny mianownik między tymi ludźmi.

W dziale literackim wybitną rolę odgrywał Władysław Jabłonowski. Jego pióra były w tym roczniku szkice literackie o "Podfilipskim" Weyssenhoffa, o d'Annunziu i powieści włoskiej, o Leopardim, o studiach Ferrero i wiele sprawozdań z literatury bieżącej (Dygasiński, Zapolska, Ochorowicz). Jabłonowski referował, jako członek jury, wyniki konkursu powieściowego "Głosu". Było to wybitne zdarzenie w ówczesnym życiu literackim. Grupa ziemian spod Krośniewic ułożyła w "Głosie" fundusz na nagrodę za najlepszą powieść, jaką da się osiągnąć w drodze konkursu. Nadesłano 4o powieści: za najlepszą uznano "Dobrane pary" Ludwiki Godlewskiej. Była ona potem w "Głosie" drukowana.

Literatura obsłużona była w naszym piśmie wcale dobrze. Z innych autorów znaleźli się tutaj: Piotr Chmielowski, Włodzimierz Bugiel (Paryż), Antoni Lange, Gabriel Korbut, Wł. Bukowiński, Józefat Nowiński.

Były to jeszcze czasy ożywionego ruchu umysłowego w sferach czytającej inteligencji, bogaty więc był dział naukowo-filozoficzny. Któż tutaj pisywał wtedy? Oto: Erazm Majewski, Jan Karłowicz, Zygmunt Balicki (interesujące było jego studium "Psychologia sekt"), Jan Stecki, Justyn F. Geisler, Marian Massonius, W.M. Kozłowski, Edward Strumpf, Kaz. Wróblewski (pseud. Sierpniak) ze Lwowa i inni wymienieni już w dziale literackim.

O sprawach wychowania młodzieży pisali Stanisław Karpowicz i Aniela Szycówna. Redaktor "Wisły" i "Słownika języka polskiego" Jan Karłowicz prowadził nadal rubrykę stałą "Błędy językowe".

Do powyższych nazwisk z działu naukowego dodać należy rozrzucone po innych działach nazwiska Arctowskiego (podróż do bieguna), Zofii Daszyńskiej, Kazimierza Krauza, Jana Lorentowicza, Tomasza Siemiradzkiego (listy z Ameryki), Alfonsa Parczewskiego i Melanii Parczewskiej (z Kalisza).

Czytelnicy domagali się też książek naukowych. "Głos" dodawał premium kwartalne w postaci dzieł naukowych.[41]

Świat sztuk pięknych nie bardzo swoją intensywnością nauczał się zainteresowaniom ówczesnej Warszawy. Więc i krytyka, prócz teatralnej, słabo była reprezentowana w prasie. O muzyce np. nie było ko-

mu pisać w młodszym pokoleniu. W "Głosie" z tego zakresu pisał Antoni Sygietyński parę artykułów ("Kapelmistrz doskonały"), o teatrze pisywali chętnie wszyscy: Massonius, Jabłonowski, Bukowiński, niżej podpisany. Chlubą naszą był Tadeusz Jaroszyński jako krytyk sztuk plastycznych. Wiele w "Głosie" tego roku znajdziemy jego artykułów. Mam w rękopisie obszerniejszy jego zarys dziejów nowego malarstwa polskiego, dotąd niedrukowany. Pisywał też krytyki teatralne, potem przeszedł na pole powieściopisarstwa. Zmarł przedwcześnie.

Bardziej interesuje pewno ludzi dzisiejszych, jak się przedstawiał na powyższym tle świat twórców literackich. W r. 1898 "Głos" gościł u siebie poetów następujących: Jan Kasprowicz nadesłał do numeru 1 poemat "Nad przepaściami". Zamieścili potem po parę utworów: Kazimierz Gliński, Włodzimierz Perzyński, Bolesław Leśmian, Wacław Wolski, Zdzisław Dębicki, Adam M-ski (Trzeszczkowska), Antoni Lange (fragm. "Atylla" w 6 zeszytach), Jan Lemański, Stanisław Pieńkowski (przekłady z Nietzschego i Verlaine'a) Marian Tatarkiewicz, F. Szeglówna, J. S. Wierzbicki, St. Nałęcz-Ostrowski.

Ogłaszało się też sporo pięknej prozy. Pisali tutaj: Dygasiński (Pularda), A. Sygietyński (Skałotocz palczak), Gustaw Daniłowski (debiut: nowela "Pociąg"), Wacław Sieroszewski ("Grecka szczelina"), W.J. Gryf (pseud. Wł. Jabłonowskiego), Ostoja (J. Sawicka), Antonina Morzkowska, Alina Świderska, St. Wąsowski, Edward Maliszewski, Orsyd.

Był to rok Mickiewiczowski. W ciągu stu lat od urodzin Mickiewicza odbywał się w łonie narodu tajemniczy plebiscyt, aby tego właśnie wielkiego poetę wznieść na wysokość Króla Ducha narodu. Było to potrzebą duszy zbiorowej znaleźć dla siebie jakieś wiązanie wysokie, aby się czuć jednością pomimo rozdziału. Z tego podłoża duchowego powstała inicjatywa zamanifestowania pomnikiem w stolicy, że naród istnieje jako całość. Rzucając w "Głosie" inicjatywę tego pomnika przejęty byłem do głębi poczuciem tak rozumianego symbolu. Władze rosyjskie, acz ze strachem, badając pilnie myśl sfer narodowych, dały sobie wmówić, że chodzi w tej sprawie jedynie o upodobania literackie.

"Głos" wskutek udziału mojego w pracy komitetu budowy pomnika mocno zaangażowany był w tej sprawie, a może nawet ucierpiała na tym sprawność redakcyjna wydawnictwa, cały rok bowiem praca nad pomnikiem pochłaniała moje siły. W miarę zbliżania się setnej rocznicy urodzin Mickiewicza (24 XII 1798) wzrastało napięcie gry o ten symbol między społeczeństwem a władzami rosyjskimi, które nastrojem społeczeństwa czuły się bardzo zaniepokojone.

Na łamach "Głosu" zaznaczyła się rocznica szeregiem artykułów. W numerze gwiazdkowym zamieściłem swój szkic literacki "Uwagi o genezie Pana Tadeusza". Utalentowana poetka Maria Konopnicka dała artykuł

skrypt: Komornicka

"Mickiewicz i nowa poezja", przyrodnik Edward Stumpf ofiarował piękne studium "Rośliny w poezjach Mickiewicza", G. Korbut napisał o utworach pośmiertnych Mickiewicza. Do tego dodało się referat "Dzieje pomnika".

W sprawozdaniu tym, bardzo suchym w formie, podaliśmy fakt charakteryzujący nastrój społeczeństwa. Mianowicie: odezwa komitetu wzywająca do składek nosi datę 24 V 1897, odezwa zaś zamykająca składki (na żądanie władz wydana) - 14 VII tegoż roku. Składano więc fundusz tylko 5o dni, a złożono 236.ooo rubli (około 1.2oo tysięcy złotych dzisiejszych). Taka była potrzeba manifestacji [12].

5. W drogę dziennikarską.

Z końcem roku 1899 zawiesiłem wydawnictwo "Głosu". Przyczyn było parę. Pierwszą z nich była niewspółmierność kosztów nakładu z naszymi środkami finansowymi, których nie miałem prawa uszczuplać. Nie świadczy to bynajmniej, aby pismo źle szło. Owszem, miało koło 1.5oo odbiorców, co przy umiejętnej gospodarce mogło wydatki pokrywać. Zdolności i doświadczeń merkantylnych nie miałem i zbytnio budżet obciążyłem honorariami współpracowników. Nikt zaś nie poczuwał się do obowiązku pomagania mi, obóz nasz bowiem miał już obowiązki ważniejsze, mianowicie utrzymanie prasy nielegalnej za kordonem. W grę wchodziły od roku 1895 "Przegląd Wszechpolski", którym Liga Narodowa opiekować się musiała.

To właśnie było drugą i główną przyczyną zawieszenia "Głosu". Jako członek Ligi Narodowej od początku jej istnienia widziałem, że punkt ciężkości propagandy politycznej przeniósł się za kordon i że "Głos" przy coraz cięższej cenzurze nie może już starczyć na potrzeby ideowe ludzi naszych, czytających "Przegląd", do roli zaś pisma o charakterze literackim nie przywiązywałem już takiej wagi, aby warto było czynić dla niej bohaterskie wysiłki. Ruch nasz coraz głębiej zanurzał się w nurt życia narodowego. Literaturę uprawiały wszystkie inne czasopisma w Warszawie i tylko literaturę. Przyjście na świat syna w r. 1897 zobowiązało mnie, to znaczy zwiększyło obowiązki wobec rodziny. Zdecydowałem się na karierę dziennikarską. Ułożyłem się o współpracownictwo z Janem Gadomskim, wydawcą "Gazety Polskiej" i zacząłem od Nowego Roku 19oo tam pisać. Zobowiązał mnie też do pisania w "Tygodniku Ilustrowanym" redaktor Józef Wolff, bardzo dla mnie życzliwy, a jak mnie "cenił", dowodem fakt, że płacił mi 25 rubli za każdy artykulik. Niestety, wziąwszy na siebie gdzie indziej ciężkie obowiązki, nie wiele mogłem tutaj się udzielać. Jakież to były obowiązki? Oto w styczniu roku 19oo zjawił się u mnie Władysław Korotyński, redaktor "Kuriera Warszawskiego" z propozycją wydawców, abym objął w tym piśmie stanowisko sekretarza redakcji. Zgodziłem się nie bez wahania, uznałem jednak, że szkoła w największym dzienniku warszawskim będzie mi pożyteczna. O Lewentalu, głównym właścicielu i gospodarzu "Kuriera" miałem bardzo korzystne wyobrażenie na podstawie tego, co robił jako wydawca "Kłosów", a potem "Biblioteki najcelniejszych utworów" redagowanej przez Piotra Chmielowskiego. Wiedziałem, że "Kurier" znalazł się w trudnym położeniu z powodu represji ze strony władz rosyjskich. Doszły one, że redaktor naczelny Franciszek Nowodworski na zebraniu piątkowym u dra Beniego odczytał tajny

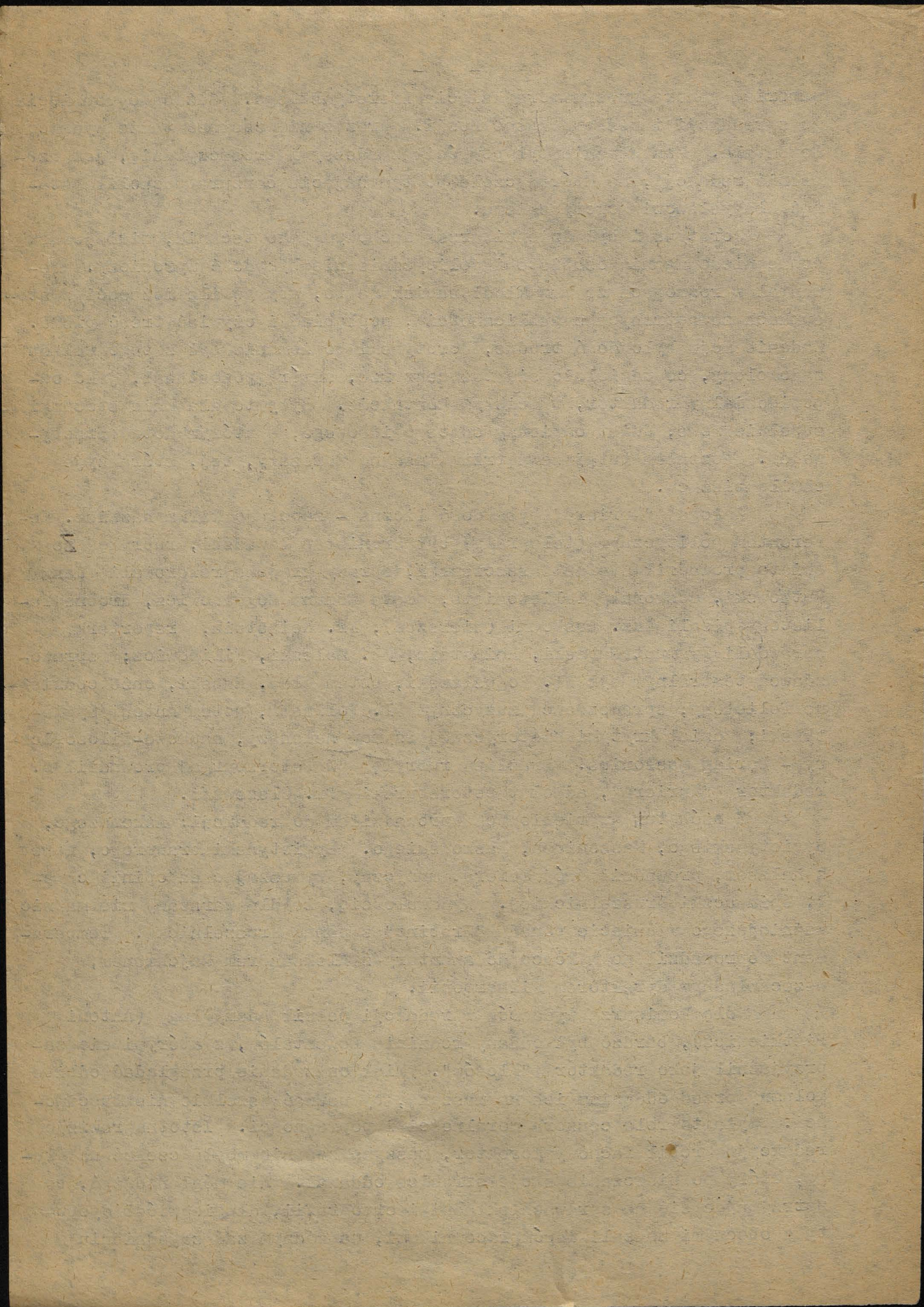
memoriał generałgubernatora księcia Imeretyńskiego. Zażądano usunięcia go z redakcji i zesłano wgłąb Rosji. Wraz z nim zesłano także wydawcę Lewentala. Ten właśnie był powrócił z Odessy i troszczył się, jak uzupełnić redakcję, na której czele po tym zajściu cenzura pozwoliła stanąć Władysławowi Korotyńskiemu.

Korotyński był dziennikarzem fachowym jako technik, miał jednak pewne niedomagania osobiste i politycznie nie był dość wyrobiony. Lewental w rozmowach ze mną kładł nacisk na to, aby go ile możności wyręczać w stosunkach zewnętrznych z publicznością, pogłębiać i ożywiać treść pisma. Zadanie moje było dość trudne, Korotyński bowiem nie był z tego układu zadowolony, co udzielało się też cenzurze, z którą pozostawał, jako odpowiedzialny redaktor, w ścisłym kontakcie. Były to dla mnie stosunki zupełnie nowe, świat odmienny od tego ideowego, w którym dotąd przebywałem. Poznałem tutaj wewnętrzną maszynę Warszawy, tej, która żyje chwilą bieżącą.

Załoga "Kuriera" była dość liczna - zanotuję kilka nazwisk. Referentem politycznym (telegramy) był Bronisław Zawadzki, rubrykę Ze świata prowadził Stefan Barszczewski, sprawy krajowe referowali Jan Rutkowski, doskonały felietonista, poeta Edmund Bogdanowicz, drobne felietony pisali Kaz. Laskowki (wierszem), Fr. Reinstein, reporterkę sprawowali Zygmunt Naimski, Reinstein, Wł. Zaleski, Filipowicz; sprawozdawcą teatralnym był Wł. Bogusławski, potem Wład. Rabski, onże codzienne felietony; sprawozdawcą muzycznym Al. Poliński, potem Antoni Sygietyński; dział krytyki historycznej Szymon Askenazy, naukowo-filozoficzny - Marian Massonius. Drażliwą rubrykę "Z Petersburga" prowadził b. redaktor "Kuriera", adwokat petersburski Fr. Olszewski.

Z osób tu wymienionych wprowadziłem do redakcji: Askenazego, Sygietyńskiego, Massoniusa, Laskowskiego. Sygietyński brawurowo, nawet z hałasem, prowadził swój referat muzyczny, wymuszając na opinii chwałę śpiewaczki Kruszelnickiej. Wydawało się, że dla Warszawy nie ma nic ważniejszego w świecie ponad "Hrabinę" z panną Kruszelnicką. Temperament doprowadził go w końcu do awantury z Aleksandrem Rajchmanem, wszechwładnym dyrektorem Filharmonii.

Rolę komisarza wydawców w redakcji pełnił Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), bardzo był oddany rodzinie Lewentalów, z którymi się zaprzyjaźnił jako redaktor "Kłosów". Miał on zadanie przeglądać odbite kolumny przed oddaniem ich na maszynę, by usuwać wszelkie niewłaściwości. Była to rola cenzora moralności i poprawności. Istotną rewizję redakcyjną robił fachowy korektor, maszyna zaś nie mogła czekać na Pługa, który po niewczasie swoje stronice oddawał. Nie mógł nadążyć, bo zatrzymując się na sprawach składni i ortografii, długie wiódł dysputy z obecnymi na sali współpracownikami, na żadnym zaś zagadnieniu



dziennikarskim merytorycznie się nie znał. Zdaje się przez długie lata pracowitego czytania "rewizji" nie spostrzegł, że jego poprawki nigdy nie były uwzględniane, "Kuriera" bowiem już nie czytywał. Była to synekura sędziwego autora "Oficjalistów". Byłem na uroczystym Pługa jubileuszu w lokalu "Kuriera". Składał również życzenia Pługowi dumny ze swej nieustępliwej postępowości Aleksander Świętochowski, kończąc je efektownie słowami: "Galilee vicisti!" Wielkie ten fakt zrobił wrażenie w światku warszawskim, nie zastanawiano się jednak, że nikt tu nikogo nie zwyciężył, chyba jedynie aranżer jubileuszu Lewental, któremu Świętochowski nie mógł odmówić swej obecności. Nikt w ówczesnym świecie dziennikarskim niczego nie brał na serio, wszystko było na "Hiby". Rzewna popularność Pługa była w rzeczywistości przyczyną jego niepopularności, dumne zaś odosobnienie jednało Świętochowskiemu - popularność.

xxx

Dla zilustrowania przeżyć ówczesnych przytoczę tutaj ze wspomnień (ogłoszonych w r. 1933 w"Myśli Narodowej") epizod, jak kończył się w Warszawie wiek XIX, epizod obserwowany z wnętrza redakcyjnego "Kuriera Warszawskiego". Będzie to zarazem kartka z dziejów cenzury rosyjskiej w Polsce.

Cenzor "Kuriera" Trofimowicz był właściwie jednym z jego redaktorów, oficjalny redaktor zaś - swego pisma cenzorem. Współpraca i pijatyka (na koszt wydawnictwa) szły tak daleko, że redaktor, dla przyśpieszania pracy zawsze pijanego cenzora, zawczasu przed wysłaniem do niego druku zakreślał czerwonym ołówkiem miejsca "wątpliwe", a cenzor, pełen zaufania do redaktora, nie miał potrzeby czytać wszystkich tekstów, jeno odpowiednie miejsca przekreślał czerwonym atramentem.

Oto jak wyglądała noc Sylwestrowa 19oo-19o1 roku.

Podziałki czasu na lata i stulecia są rzeczą formalną wobec treści życia, które spływa w morze wieczności, a jednak w drugiej połowie 19oo r. myślało się wiele o tym, że kończy się stulecie i robiło to pewną sensację. Zwłaszcza dziennikarz, nałożony do liczenia czasu jak zegar, nawet pilniejszy od niego, bo zegar czasu nie pogania, czekał końca wieku jak awantury. Już w lecie dałem projekt poświęcenia numeru noworocznego poglądowi retrospektywnemu na wiek ubiegły i wykonanie wziąłem na siebie. Oczywiście nie było mowy o spieraniu się z cenzurą o pogląd na stosunki polityczne w tym okresie, ograniczyliśmy się tedy do terenu nauki, literatury i sztuki.

Zaproponowałem formę ankiety. Wówczas nie były jeszcze w zwyczaju plebiscyty; postanowiliśmy zwrócić się do elity. W tym celu wystosowało się do kilkuset osób, pracujących umysłowo w sposób twórczy, piękny list z zapytaniem, które dzieła poczytują w w. XIX za najlepsze. Do listu dołączone były arkusze zwrotne z odpowiednim schematem, w któ-

rym cały obszar twórczości podzielony był na kilkanaście działów. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to w wyniku sąd obiektywnie miarodajny, ale że zdobycie dokumentu, jak ludzie ze schyłkiem wieku widzą szczyty przez twórczość osiągnięte, - warte jest pewnego wysiłku.

Ankieta zrobiła dobre wrażenie; była w każdym razie nowością; w w. XIX była to bezspornie pierwsza ankieta tego typu. W terminie jej zamknięcia, w końcu października, miałem w tece około trzystu odpowiedzi. Opracowanie tego materiału i ułożenie sprawozdania z charakterystyką dzieł i twórców wymagało niemałej pracy, ale wykonałem ją z upodobaniem. Podczas tej pracy sam się uczyłem, zaznajamiając się z dziełami i biografiami. W grudniu miałem wrażenie, że cały świat zajmuje się wiekiem ubiegłym jako czymś bliskim, co schodzi ze świata, z tajemnym drżeniem na myśl o stuleciu nowym, którego oblicze wkrótce się wynurzy z mroków przyszłości.

Ze wzruszeniem tedy pisałem artykuł wstępny:

"Nie jest to pora ani radości, ani żalu - pisałem - jeno chwila mocnego uświadomienia sobie, że przecież ten czas, którego skrzydeł nie słychać, - bieży... Gdy na wieży bije zegar, to nikt tej godziny nie bierze tak materialnie, jak strażnik w wieży, czekający na swój hejnał. Budynek wówczas wstrząsa się od dzwonu, a sługa cichego dla innych czasu czuje jego przelot fizycznie całym jestestwem".

Składałem tam życzenia czytelnikom:

"Aby między warunkami szczęścia, do którego dążyć będą, nie zapoznawali godności osobistej i względu na dobro ogólne, a drogę prawdy uznawali za najkrótszą drogę do celu; aby rozumieli, że szczęście pozyskać można nie przez współubieganie się z innymi, lecz przez współdziałanie z nimi w celu osiągnięcia go dla wszystkich. Szczęście udziela się od innych w miłości, pozyskane przez miłość; aby dobro tworzyli koło siebie nakładem ducha swojego, nie licząc na siłę materialną, w którą ich uposażył wiek ubiegły..."

Artykuł kończył się patetycznie: "Godzina bije... Bóg z nami!".

Ogół czytający nie wie tego, ile wysiłku nerwowego kosztują takiego strażnika na wieży godziny bijące i hejnały. Ktoś, przebiegający z rana okiem gazetę, ani pomyśli, że to jakieś żywe nerwy przerabiają do literki każdą falę życia, dającą treść chwili bieżącej, dniom i nocom. Ileż w tym walki z warunkami pracy, ile dramatu, gdy słowo drukowane nie jest wolne od ucisku!

Jak wygląda taki dramat konkretnie, opowiem na przykładzie tej właśnie nocy między stuleciami.

Fatalnie się złożyło, że Nowy Rok przypadał we wtorek; poniedziałek nie jest dobry na duże roboty. Materiał złożony był na czas, ale go przetrzymała cenzura, niezadowolona, że tyle jej dano do czy-

tania; cenzor się uparł, że wszystko odda razem, musi bowiem mieć wrażenie całości, jaki będzie ton. Do późnego wieczora nie było cenzury - nie sposób łamać!

Cenzorem "Kuriera" był p. radca Trofimowicz. Cenzorowie ubiegali się o "Kuriera Warszawskiego", było to bowiem wydawnictwo stosunkowo najzamożniejsze - było z czego "pociągnąć". Noworoczny numer! Robota dodatkowa, do tego odpowiedzialna: przegląd XIX wieku! Na domiar wiadomo było cenzorowi, że numer ten ja robię, osoba zaś moja wydawała się w Komitecie cenzury podejrzaną. Umówione też było w wydawnictwie, że stosunki z cenzurą załatwiane będą tylko oficjalnie przez osobę do tego przez władzę upoważnioną, w tym wypadku przez redaktora Władysława Korotyńskiego.

Od wczesnego rana tego dnia redaktor pozostawał gdzieś na "konferencji" z Trofimowiczem, aby ocenzurowanie numeru przyśpieszyć. Daremnie posyłało się gońców - cenzury nie było, nawet nie można było odnaleźć nikogo. Wieczorem stało się wiadomym, że konferencja odbywa się w handlu win u Arkuszewskiego na Miodowej. Woźni przynosili kawałki z części dalszych numeru, "konkursu stulecia" jednak nie było.

Koło godziny 11 podjął się misji zrozpaczony metrampaż. Poszedł. Zbliżała się północ - nie było go! Noc Sylwestrowa. Ludzie z redakcji rozpierzchli się; ... któż o tej porze nie ma towarzystwa wesołego? Stan moich nerwów psuł się.

Nie było rady. Udałem się sam na Miodową.

Nigdy nie zapomnę tej nocy. Może za mało miałem doświadczenia, zbytnio się egzaltowałem, zbyt tragicznie brałem swoją odpowiedzialność. Niewątpliwie przyczyniła się do niepokoju drażliwość autorska. Wskutek rozbudzenia wyobraźni historycznej wydawało mi się, że dokonywam rzeczy ważnej, w każdym razie - że znajduję się w momencie wyjątkowym, przełamywania się stuleci. Właśnie nadchodzi północ...

Noc - pamiętam - była spokojna; mróz lekki. Czytałem w kronice, że na Wiśle kry poczęły się ścinać. Koło Miodowej usłyszałem, że gdzieś dzwonią z wieży kościoła. Zanim zrozumiałem, co znaczy ten dzwon, już był drugi i trzeci i czwarty. Dzwoniono u kapucynów, u bernardynów, u karmelitów; płynęły fale ze Starego Miasta. Porwał się jakiś huragan fal dźwiękowych. Stawało się coś ekstatycznego, porywającego za włosy - jakiś dreszcz, rozpieranie serca.

U kapucynów jarzyły się światła. Chwilę wahałem się, czy wejść do kościoła. Stary wiek klęczał u ołtarza. Ale nie było czasu.

Z odrazą otwierałem drzwi do "handelku".

Za sklepem w zadymionej izbie rozpoznałem z trudem biwakujące grono. Na stole między butelkami poniewierał się mój "konkurs stulecia". Zwolniwszy metrampaża, stałem przed obliczem ciężko siedzącego

cenzora, zbyt trzeźwy i może zbyt w swoim obliczu surowy, bo powitał mnie bez śladu uprzejmości i chęci dyskutowania na temat czerwono pokreślonych arkuszy.

Unosiłem je pośpiesznie; wydawały mi się, że krwawią. Całe sprawozdanie w wielu miejscach miało szczerby. Nie tyle jednak surowość cenzury, ile scena sama mną wstrząsnęła. Przebyłem jedno z ciężkich doświadczeń, po których człowiek się starzeje. Podniecona wyobraźnia podsuwała mi myśl, żem zajrzał w otchłań XIX wieku i zobaczyłem w symbolu prawdę niewoli, w której to stulecie spędziliśmy.

Jakże wyglądał ostatecznie ów numer noworoczny? 44 miał stronice, w tym osiem ilustrowanych w opracowaniu rysunkowym Sawiczewskiego. Na karcie tytułowej grecką postać z pochodnią, jakby przeczucie późniejszej Hestii Wyspiańskiego, jakby mówiła do czytelnika z tej karty:

> "Strzegę twoich ócz i twoich rąk. Uchylam /od/ cię mąk. Zdejmuję z czoła znamię trwóg, byś był jako ten, co nie pamięta, przez jakie przeszedł ciemnie dróg".

W wynikach ankiety wyraził się smak ówczesnej elity warszawskiej i pogląd na ubiegłe stulecie. Najwięcej głosów padło na Mickiewicza i Sienkiewicza, za najlepsze ich dzieła uznano "Pana Tadeusza" i trylogię historyczną. W dziedzinie historii na pierwsze miejsce wydobyto "Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta" T. Korzona, oraz Piotra Chmielowskiego "Historię literatury polskiej". W językoznawstwie uwieńczono Lindego za słownik języka, w etnografii Kolberga za "Lud", w antropologii Izydora Kopernickiego, w matematyce Wł. Folkierskiego, w astronomii Jana Śniadeckiego, w fizyce Zygmunta Wróblewskiego, w naukach przyrodniczych Jędrzeja Śniadeckiego, Antoniego Wagę (entomologa), w medycynie Tytusa Chałubińskiego, w nauce prawa Antoniego Helcla, w naukach społecznych Józefa Supińskiego, w dramacie "Mazepę" Słowackiego, w komedii "Zemstę" Fredry, w malarstwie "Kazanie Skargi" Matejki, w rzeźbie "Gladiatora" Piusa Welońskiego, w architekturze "Kościół św. Floriana na Pradze" J. Dziekońskiego, w muzyce "Marsza żałobnego" Szopena i (w operze) "Halkę" Moniuszki.

Rozbicie całej twórczości na 24 grupy było operacją dosyć przypadkową; tak ułożył się zebrany materiał. Bardzo ciekawe są szczegóły głosowania, sposób, w jaki rozbijały się cyfry w poszczególnych działach. Całość wypadła bardzo charakterystycznie dla Warszawy. We wszystkich niemal punktach, jeśli się dobrze przyjrzeć, decydował sentyment narodowy. Jeśli odznaczono np. kościół Dziekońskiego, to dlatego, że jego wieżyce wygrażały obok stojącemu soborowi prawosławnemu; gladiator Welońskiego symbolizował nie martyrologię, lecz siłę, zapowiedź walki. W sumie ogólnej można na podstawie tej ankiety

stwierdzić, że taki był a nie inny pogląd historyczny Warszawy na ubiegły wiek XIX.

W sprawozdaniu z ankiety szczególnie mnie bolało, że cenzor wykreślił wszystko, co dotyczyło "Ojcze nasz" Cieszkowskiego. Przytoczyłem na końcu przykłady, jak głosowały niektóre osobistości, a więc opinie Balzera, Chmielowskiego, Gersona, prof. Holewińskiego, Al. Jabłonowskiego, Jenikego, Konopnickiej, Korzona, Deotymy, Orzeszkowej, Bol. Limanowskiego, Struwego i in.

Kilka stron miało u dołu, jak falbanę, odcinek poetycki Antoniego Langego pt. "Na przełomie stuleci". W kunsztownych strofach Słowackiego Masynissa wypowiadał swoją historiozofię. Ów "odwieczny historii szatan" mówił okropne rzeczy, ale jakże pewny był siebie:

Zawołaj: Miłość - ja ci z niej wytłoczę
Szał nienawiści w najdzikszym żywiole;
Zawołaj: Prawda - ja z niej fałsz wytoczę,
Zawołaj: Wolność - stworzę z niej niewolę.
Krzycz: Miłosierdzie - krwią ci je obroczę,
Krzycz: Sprawiedliwość - ja z mych sił przewrotnych
Wyłonię rozpacz wszystkich dusz samotnych

I każdą ducha ludzkiego słoneczność
Przetrawię zwolna w czarnego pająka,
Co daje czuciom ludzkim obosieczność
I na zwierzęce szały je obłąka.
Jam utajona ironia i sprzeczność
Bytu, co jadem w dzieje ludów wsiąka
I wszystko w czarną odwrotność przerzuca...
Mówił, a śmiechem dyszały mu płuca.

Poskromił Masynissę błyskawicą anioł, który był z "Króla Ducha" i wszystkie przyrodzenia żywioły

Jakby echowym Boga manifestem
Wołały: Jestem!

Walka Anioła z Szatanem, ducha narodowego z rozkładem - to stała treść dziejów. Widziało się te duchy na progu nowego stulecia; poeta zapowiadał ich dalszą walkę.

Lange był dobrym poetą - nie dlatego, że trudne rymy składał, ale że miał poczucie tragiczności dziejów. Ogół bilansował zdobycze Króla Ducha, jego myśl śledziła Masynissę.

x

Należałoby w tym miejscu, dla podniesienia wartości historiograficznej tych wspomnień, poświęcić więcej miejsca szerszemu środowisku warszawskiemu, dać jakiś obraz "socjologiczny" Warszawy, jak to uczyniłem ze swoją rodzinną okolicą świętokrzyską. Wyręczyć się jednak muszę książką, którą wydałem we Lwowie w r. 1903 pod pseudonimem Przygodnego a pod tytułem "Warszawa w 12 obrazkach". Są tam ta-

kie obrazki: 1/ Widok miasta, 2/ Ruch uliczny, 3/ Opieka policyjna, 4/ Życie publiczne, 5/ Szkoły, 6/ Życie towarzyskie, 7/ Cenzura, 8/ Nauka i literatura, 9/ Prasa, 1o/ Świat artystyczny, 11/ Stan umysłów, 12/ Perspektywy. Jest tam więc wszystko, co tutaj o Warszawie w latach ostatnich wieku XIX mógłbym powiedzieć. Wszystko - oprócz jednej sprawy.

Mianowicie nie ma tam prawie nic o Żydach. I to jest bardzo charakterystyczne dla autora tej książki i w ogóle dla umysłowości sfer oświeconych Warszawy tego czasu.

Czym się to tłumaczy? Zaślepieniem. Nie widziałem po prostu Żydów w sferze inteligencji polskiej, a nią w tej książce się zajmowałem. Było wielu Żydów, mechesów, "szabesgojów", ale się ich nie widziało, wszyscy byli nie w lisich czapkach, lecz w czapkach "niewidymkach" patriotyzmu polskiego. Nie wolno było widzieć Żydów i nie można było ich widzieć, bośmy byli pod sugestią od wieku XVIII umiejętnie stosowaną, tzw. asymilacji. Żydzi podający się za Polaków, tym bardziej za patriotów polskich, przestawali być Żydami - nawet w oczach antysemitów. Antysemitami byli w "Głosie" Józef Potocki i Jan Popławski, a przecież Żydów pisarzy chętnie do współpracy dopuszczali. Nie trzeba było nawet zmiany wyznania, starczyło, że Żyd przyznawał się do polskości. Za moich czasów w "Głosie" przyjaźniłem się z Antonim Langem, utalentowanym poetą, który zdaje się z potrzeby wewnętrznej przyjął katolicyzm, wszelako okoliczność tę zataił - nie była mu ta legitymacja potrzebna. W "Głosie" za czasów Potockiego ukazywały się doskonałe studia o Żydach, w duchu antysemickim, że wspomnę o artykułach samego redaktora lub Ziemińskiego, nie tyczyły jednak tych Żydów, którzy się asymilowali. Ja sam w roku 1899 zamieściłem w "Głosie" artykuł wstępny przyklaskujący idei syjonizmu jako programu separacji i emigracji, ale miałem na myśli masę żydowską, nikt zaś z Żydów asymilowanych (aczkolwiek protestowali przeciw memu stanowisku) nie brał artykułu do siebie.

Jedną z największych przemian umysłowości polskiej czasów ostatnich, istną rewolucją, stało się przezwyciężenie przesądu asymilacji. Podczas rozbiorów przemiana ta nastąpić nie mogła, Polacy bowiem musieli spychać sprawę żydowską na plan dalszy i za przyjaciół uważać wszystkich, którzy front opozycyjny wobec zaborcy za swój uznawali. W tradycjach mieli Jankiela mickiewiczowskiego, wygrywającego mazurka legionistów, za łaskę poczytując Żydom, że nie służą celom rusyfikacji jak "Litwacy" na Litwie i Rusi. Dopiero po odzyskaniu wolności Polacy przez szczelinę, jaką ta przemiana pojęć wytworzyła, spojrzeć mogli przedmiotowo na wiek XIX, a wtedy w świetle krytycznym dostrzegli, że Żydzi w zaborze rosyjskim przy pomocy masonerii prowadzili

własną politykę, wygrywając polski patriotyzm przeciwko Rosji. Powiększało to tragiczność położenia Polski, żeśmy padli ofiarą szantażu, eksploatującego nasze zaniedbanie w kulturze politycznej. Ruch narodowy, przez Ligę pokierowany na drogę polityki realnej, krzyżujący plany żydowskie w stosunku do Rosji, Niemiec oraz Austrii, dlatego właśnie przez Żydów i tych, co im służyli, został znienawidzony. Rozłam w społeczeństwie według linii frontu "antyendeckiego" (tak Żydzi nazwali Demokrację Narodową) był dziełem polityki żydowskiej: trwać będzie dopóty, dopóki Żydzi będą w Polsce.

Faktem jest, że pod koniec wieku XIX "inteligencja" warszawska uzależniona była duchowo od Żydów. Nie tylko dlatego, że co trzeci człowiek wśród ludności był Żydem i podpatrywał dwu Polaków, lecz dlatego, że Żydzi usadowieni w tej proporcji w sferze oświeconej, mieli program i taktykę, stosowaną na komendę lóż, pierwszym zaś punktem programu było wykorzenić ze społeczeństwa myśl nacjonalistyczną. Dla przykładu przytoczę postać za moich czasów w Warszawie popularną i sławioną za rzetelny patriotyzm - Stanisława Krzemińskiego. Był to autentyczny Polak z pochodzenia, człowiek w sprawach osobistych prawy, nawet cnotliwy, obdarzony chyba kwalifikacjami myślenia politycznego, skoro był członkiem Rządu Narodowego w r. 1864. Był to właśnie główny tytuł jego chwały. Tak, ale był tym członkiem zapowołania przez Majewskiego i Kronenberga, ślepo ich program wykonywującym. Całe życie oddany był bez zastrzeżeń Żydom, tak jak Adam Pług i wielu innych czcigodnych ludzi, Pług jednak był zerem politycznym, Krzemiński zaś narodowym prophetą. Jako główny redaktor "Wielkiej Encyklopedii" (dotąd nie ukończonej) nadawał tej encyklopedii koloryt, a pisząc dla niej pochwalny artykulik o współczesnym redaktorze Libickim, wtrącił tam zdanie, odmawiające Romanowi Dmowskiemu patriotyzmu. Dmowski był już wtedy groźny dla żydowsko-masońskich planów, był autorem znakomitego dzieła "Niemcy, Rosja i sprawa polska". Krzemiński musiał to napisać i pewno był przekonany, że spełnia obowiązek narodowy, z protestem zaś w redakcji "Encyklopedii", gromadzącej elitę pisarzy warszawskich, nie spotkał się.

Oto jaka zaszła przemiana między czasami, kiedy byłem w redakcji "Kuriera Warszawskiego" a czasami obecnymi, tak według mniemań dawnych zepsutymi, że ci, którzy tamten sposób myślenia żydowski zachowali, uznać się musieli za bojową "sanację", zmuszoną uciekać się do zamachów.

6. Kolonia warszawska we Lwowie.

W lutym 1895 Roman Dmowski opuścił potajemnie Mitawę, gdzie przebywał na zesłaniu i skierował się według z góry ułożonego planu do Lwowa[13]. We Lwowie zaczął ~~zaczął~~ poszukiwać punktu oparcia dla swego projektu. Nie było to tak łatwe. Namiestnictwo niezbyt życzliwie patrzyło na przybysza z Warszawy, w żadnym zaś razie "obcokrajowcom" koncesji nie udzielono by wówczas.

Istniało wtedy we Lwowie skromne wydawnictwo, dwutygodnik "Przegląd Emigracyjny", wydawany przez Stanisława Kłobukowskiego, pod firmą adwokata Wiktora Ungara jako redaktora. Pismo to poświęcone było sprawom emigracyjnym i kresowym. Kłobukowski był urzędnikiem Wydziału Krajowego, pochodził z Kongresówki. Ojciec jego, dobrze znany w Warszawie działacz (Aleksander) przez stosunki tutaj go zaczepił. W "Przeglądzie" Kłobukowski propagował swoje plany kolonizacji Parany, którą sam był zwiedził. Pismo źle stało, właściciele chętnie oddali je do dyspozycji Dmowskiego. Ten je przekształcił na czasopismo polityczne ogólne i od 15 lipca 1895 sam redagował, zawsze pod firmą galicjanina Ungara.

Podczas kiedy Dmowski był w Mitawie, w Warszawie stała się katastrofa z "Głosem", o której już wyżej pisałem. Dmowski liczył na Popławskiego, że zdoła prędzej czy później po uwolnieniu przedostać się do Lwowa. Zwolniono Popławskiego za kaucją w jesieni. Parę miesięcy współpracował potajemnie w nowym "Głosie", a przed Bożym Narodzeniem 1895 był już we Lwowie. Niebawem sprowadził tutaj swoją rodzinę. Tu więc dopiero wplata się Popławski w dzieje lwowskie, o których opowiadam.

Odtąd cały rok 1896 i 1897 Dmowski i Popławski redagowali "Przegląd Wszechpolski" wspólnie. W ciągu następnych lat 1898-19oo redaguje go sam Popławski. Od początku r. 19o1 Dmowski przenosi się z "Przeglądem" do Krakowa, Popławski zaś pozostaje we Lwowie. Dokonywa się pewne rozgraniczenie między działalnością Dmowskiego, jako kierownika organizacji międzydzielnicowej, i Popławskiego, wrastającego w glebę polityki galicyjskiej, która niebawem stanie się punktem wyjścia dla działalności jawnej Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego.

Jak wyglądał Lwów wszechpolski w ostatnich latach XIX wieku, można sobie wyrobić dobre wyobrażenie z książki śp. Zdzisława Dębickiego "Iskry w popiołach" (wydanej w r. 1931 na krótko przed śmiercią autora). Widzimy tam owe czasy plastycznie, autor dał nam odczuć przy tym atmosferę moralną i umysłową tego środowiska, na pół emigranckiego. Są tam wiadomości o ówczesnym ruchu wydawniczym we Lwowie, a prze-

de wszystkim o życiu zakulisowym "Przeglądu Wszechpolskiego" i o ludziach, którzy z siebie robili żywe a ruchliwe ogniwa między Lwowem a Warszawą.

Z miejscowych ognisk najbliższy był tej robocie narodowej "Kurier Lwowski". Organ ten służył przez dłuższy czas potrzebom ekspansji publicystycznej na Galicję naszego ugrupowania.

Popławski od chwili osiedlenia się we Lwowie, a przybył tam w zimie 1895 r., uważał się za stałego współpracownika "Kuriera Lwowskiego", ile że łączyły go z Wysłouchem i jego żoną przyjacielskie stosunki. Terenem jednak zbliżenia była sprawa ludu wiejskiego, na którym Popławski oparł swoją ideologię narodową i polityczną. Kierunek ludowy galicyjski odchylał się coraz bardziej w stronę klasowości, u Popławskiego był kategorią myśli o narodzie. Odchylenie to miało swoją przyczynę nie tyle w założeniu ideowym, ile w wymogach polityki praktycznej, na gruncie galicyjskim, gdzie do ludu mówiło się językiem interesu klasowego. Późniejsze Stronnictwo Ludowe poszło w kierunku mniejszego oporu i coraz wyraźniej różniło się pod tym względem od Narodowej Demokracji, która za punkt wyjścia w stosunkach z ludem stawiała zasadę, że ludu dla sprawy narodowej kupować nie wolno, lud bowiem jest takim samym gospodarzem narodu jak inni Polacy i za dzieje ponosić będzie odtąd odpowiedzialność równą z warstwami dawniej uprzywilejowanymi.

Do "Kuriera Lwowskiego" wszedł na prawach członka redakcji Jan Kasprowicz, znany Wysłouchowi i Rewakowiczowi (współredaktorowi) z "Przeglądu Społecznego" jeszcze jako student wrocławski. Kasprowicz, jak mi opowiadał, miał tam ciężkie obowiązki w dziale telegramów. Pisywał też sprawozdania teatralne. Telegramy wiedeńskiego biura trzeba było tłumaczyć z niemieckiego, ale rzecz główna, że Kasprowicza niewiele treść tych telegramów zajmowała i znudzony był: to było ciężkie. Opowiadał mi potem zecer ówczesny z "Kuriera Lwowskiego" p. Obirek, który potem był w drukarni "Słowa Polskiego", a później wiceprezydentem m. Lwowa, że Kasprowicz nie przychodził na czas do redakcji, więc Obirek, aby numeru nie spóźnić, zabierał z jego biurka telegramy i sam je przekładał na kaszcie podczas składania. Bardzo się to podobało Kasprowiczowi.

Aczkolwiek Popławski przybył do Lwowa w celu zajęcia się "Przeglądem Wszechpolskim", to jednak rozumiał, że jednocześnie trzeba pracować dla idei demokratyczno-narodowej na gruncie miejscowym, zapuszczając tutaj korzenie. Tym się tłumaczy jego współpraca w "Kurierze Lwowskim", późniejsze założenie ludowego tygodnika "Ojczyzny", wreszcie założenie własnego dziennika "Wieku XX" (od r. 1901).

Popławski pracował we Lwowie lat z górą dziesięć, najlepszych lat swego życia. Najlepszym dowodem jego zżycia się z miejscowym ruchem

ludowym i z redakcją "Kuriera Lwowskiego" był jego stosunek do Jakuba Bojki. Pokładając w nim wielkie nadzieje, w r. 19o1 całego swego wpływu użył, aby go wypromować na posła do sejmu (19o1). Przechowuję u siebie paczkę rachunków komitetu wyborczego z tego czasu. Popławski sam zbierał na listę składki na potrzeby komitetu, sam pisał odezwy, redagował afisze i swego dopiął.

Popławski tym się odznaczał, że nie tracąc nigdy z oka najszerszych widnokręgów, lubił zajmować się wykonywaniem drobnych prac. Wywierał przez to doskonały wpływ wychowawczy. Potrzebą jego duszy było realizowanie i to bezpośrednie. Metody myślenia pozytywistycznego i pracy organicznej, które przejął z ducha swej epoki, zastosował w sposób harmonizujący z potrzebami swej natury, do systemu polityki realnej. Cele jego były, rzec można, romantyczne, dla wielu w Polsce utopijne, ale drogi widział zawsze konkretnie. Wierzył w siłę narodu, bez której polityk niczego nie dokona, ale tę siłę upatrywał, i tu znów był romantykiem - w psychice narodu pomnożonej przez kulturę. Był to jeden z rzadkich umysłów, zespalający w jeden system sprawy gospodarcze, kulturalne w najszerszym znaczeniu z politycznymi.

Był w tym kierunku moim nauczycielem. W nim poznałem żywą komórkę cywilizacji i nie tyle uświadomiłem sobie od razu, ile odczułem z jego pracy duchowej, że wszystko w życiu duchowym narodu zespala się organicznie w jedną całość i za prototyp swój ma pełną, wszechstronną duszę jednostki, że prąd jakiś narodowy, iżby mógł być twórczy i odrodzić społeczeństwo, musi być skierowany nie tylko na młyn polityki, lecz jednocześnie na wszystkie czynniki kultury jako ich siła dynamiczna. Państwo bowiem samo przez się, gdy się je odzyska, nie utrzyma się w swej żywotności, gdy tego kośćca nie będzie odżywiał zdrowy, kompletny organizm cywilizacji narodowej. Dlatego też ja, widząc, ile sił - i tak często zbyt jednostronnie - poświęca się samej tylko działalności politycznej, usiłowałem wprowadzić do zespołu naszego pewien podział pracy i penetrowałem, w miarę sił, sąsiednie do polityki pola, zabiegając w sprawy literatury i kultury.

Tej właściwości natury Popławskiego, jego rozmachowi twórczemu zawdzięcza nasza działalność lwowska szerokie podstawy w różnego rodzaju poczynaniach kulturalnych. Dawał inicjatywę i doskonale wiązał początki przede wszystkim dlatego, że szukał do robót ludzi charakteru - ideowych i uporczywych, umiejących tak, jak on sam, małymi środkami czegoś dokonywać i cieszyć się byle plonką. Możność pracy zbiorowej ułatwiła dogodna ustawa austriacka o stowarzyszeniach zarejestrowanych z ograniczoną poręką z r. 1873. Pozwoliła ona zrzeszać ludzi jednomyślnych w takiej liczbie, ażeby drobna składka członkowska wzrosła do miary kapitału zakładowego dającego podstawę instytucji, a uczestnikom

moralne poczucie samopomocy i sobiepaństwa.

W ten sposób powstała we Lwowie w roku 1897 słynna potem instytucja "Towarzystwo Wydawnicze". Była to inicjatywa Popławskiego, ale wykonanie, wymagające wielkiego trudu i zapalczywości, jest zasługą Ignacego Domagalskiego, ówcześnie urzędnika Tow. Urzędników Prywatnych. Zaczęło się to wydawnictwo "z niczego", z drobnych składek przyjaciół tej idei, z "naciągania" na udział, w którym celował Popławski, zapisując z równą powagą na listę 5o halerzy jak 5o koron. Skupiła się koło Towarzystwa cała elita wszechpolska. Do zarządu należało paru profesorów uniwersytetu (jak Marcin Ernst) i inni. Jedną z pierwszych książek wydanych były Stefana Żeromskiego "Syzyfowe prace" 14/, Kasprowicza "Krzak dzikiej róży" i "Bunt Napierskiego", w r. 1899 wydano St. Witkiewicza "Sztuka i krytyka u nas", Bol. Koskowskiego "Gmina wiejska. Zarys samorządu w Królestwie Polskim". W r. 19oo Wł. Studnickiego "Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne w Szwajcarii", R. Dmowskiego "Wychodztwo i osadnictwo", Rawity-Gawrońskiego "Studia i szkice", J.K. Potockiego "Współzawodnictwo i współdziałanie", Bol. Błażka "Studia psychometryczne", Ludwiki Godlewskiej powieść "Dobrane pary", Wł. Orkana "Komornicy", "Nad urwiskiem","W Roztokach". Potem nastąpiły dzieła J. Kisielewskiego, Żuławskiego, pieśni Jana Galla, astronomia Ernsta, Leona Marchlewskiego "Teorie i metody współczesne chemii organicznej", kilka książek Z. Wasilewskiego, poezji Kasprowicza i jego przekłady, w szeregu tomów. Przytaczam niektóre tytuły, aby przedstawić rozległość zasięgu wydawniczego i rzetelny dobór.

Z wydawnictwa Towarzystwa tego urosła biblioteka wielkiej wartości. Wojna ją zlikwidowała. Wszystkie nakłady są tak rozsprzedane, że darmo by szukać czegoś w księgarniach.

W następnym roku, w marcu 1898, zaczął funkcjonować "Związek Naukowo-Literacki". Popławski bardzo popierał ideę tej instytucji jako ognisko ruchu umysłowego. Na czele tego Związku stali od początku Jan Gwalbert Pawlikowski, późniejszy, od r. 19o5 prezes stronnictwa N.D., wiceprezesem był Jan Kasprowicz. § 2 Związku głosił: "Towarzystwo ma za zadanie ułatwić członkom swoim wszechstronne zaznajomienie się z najnowszymi prądami piśmiennictwa, sztuki i nauki przez dostarczenie im odpowiednich książek, pism i możności wymiany myśli, tudzież zużytkować pracę w tym kierunku podjętą na korzyść szerszej publiczności". Najlepszym środkiem do tego celu okazały się w praktyce odczyty dyskusyjne. W r. 19o1/2 sprawozdanie wydziału wymieniało 34 takie wieczory. Członków było 1o6. Dochód 3.2oo koron.

Na mocy układu z księgarnią Altenberga Związek prowadził na rachunek księgarni wydawnictwo "Wiedza i Życie". Podtytuł: "Zagadnienia i prądy współczesne w dziedzinie wiedzy, sztuki i życia współcze-

snego". Do końca r. 19o1 wydano tutaj 21 tomów, między innymi: Z. Balickiego 2 tomy "Parlamentaryzmu", P. Chmielowskiego "Najnowsze prądy w poezji naszej", M. Ernsta "O przyrodzie planet", E. Przewóskiego "Krytyka literacka we Francji" (2 tomy) i wiele przekładów.

O Związku Naukowo-Literackim należało by napisać osobno obszerniej. Jest to jedna z piękniejszych kart życia umysłowego we Lwowie. Trwał on bez przerwy do wojny. Od r. 19o2 rozwinął się korzystnie pod tym względem, że bardziej stał się polski, gdy przedtem pierwiastek żydowski brał nieraz górę.

Widoczny jest w tym ożywieniu ruchu umysłowego dopływ świeżych sił z zaboru rosyjskiego, stęsknionych do wymiany myśli i wolności zrzeszania. Za przykładem Związku Naukowo-Literackiego, który unikał polityki,powstaje wnet (zarejestrowana w marcu 19o2 r.) "Szkoła Nauk Politycznych", na czele której stanęli J.G. Pawlikowski, Wł. Studnicki, Ludwik Przysiecki. Celem tego Towarzystwa - głosi statut - jest popularyzowanie wiedzy przez 1/ systematyczne kursa i odczyty z różnych działów nauk społecznych, 2/ pogadanki naukowe, 3/ udzielanie wskazówek bibliograficznych i rad w sprawie samokształcenia się członków, 4/ tworzenie kół samokształcenia" itp. Stowarzyszenie to trwało parę lat.

Charakterystycznym rysem gniazda wszechpolskiego we Lwowie była jego dążność do samowystarczalności, a w jego realizowaniu duszą był zmysł kolonizatorski Popławskiego. Mam na myśli dwa przedsięwzięcia finansowe w celach czysto ekonomicznych. Gorącym poparciem kolonii cieszyły się Kasa Zaliczkowa, założona przez bliskiego nam dra Ernesta Adama, i fabryka przetworów chemicznych "Tlen".

Adam miał pasję robienia pieniędzy, uważał to za swój fach. Sam ich niewiele potrzebował, ale rozumiał, jak mało kto w naszym kole, że bez siły materialnej naród do samoistności nie dojdzie. Propagował zasady oszczędzania i przedsiębiorczości. Odczuwał żywo potrzeby i braki materialne rodzącego się ruchu. Zaczął od malutkiej Kasy Zaliczkowej, niemal studenckiej, a rychło doszedł do dużych rezultatów. Z tych zawiązków powstał potem Bank Ziemski Kredytowy. Ernest Adam, późniejszy poseł na sejm i radny miejski, odegrał dużą rolę w życiu naszego gniazda.

Do znaczenia symbolu "uprzemysłowienia-kraju" podnosił Popławski założoną we Lwowie przez członków Ligi fabrykę "Tlen". Założyciel jej Bronisław Koskowski, późniejszy profesor farmacji w uniwersytecie warszawskim, mieszkał od paru lat we Lwowie, dokąd wyemigrował z Lubelszczyzny z powodu wykrycia transportów "Przeglądu Wszechpolskiego" i "Polaka", dokonywanych za jego pośrednictwem. Koskowski wespół z innym emigrantem, chemikiem Romanem Sochaczewskim, ożywili przemysł lwowski, założywszy fabrykę przetworów chemicznych "Tlen", istniejącą dotychczas. Bliższe szczegóły o Koskowskim znajdzie czytelnik w książce Z.Dębickiego "Iskry w popiołach".

7. Lwów. "Słowo Polskie".

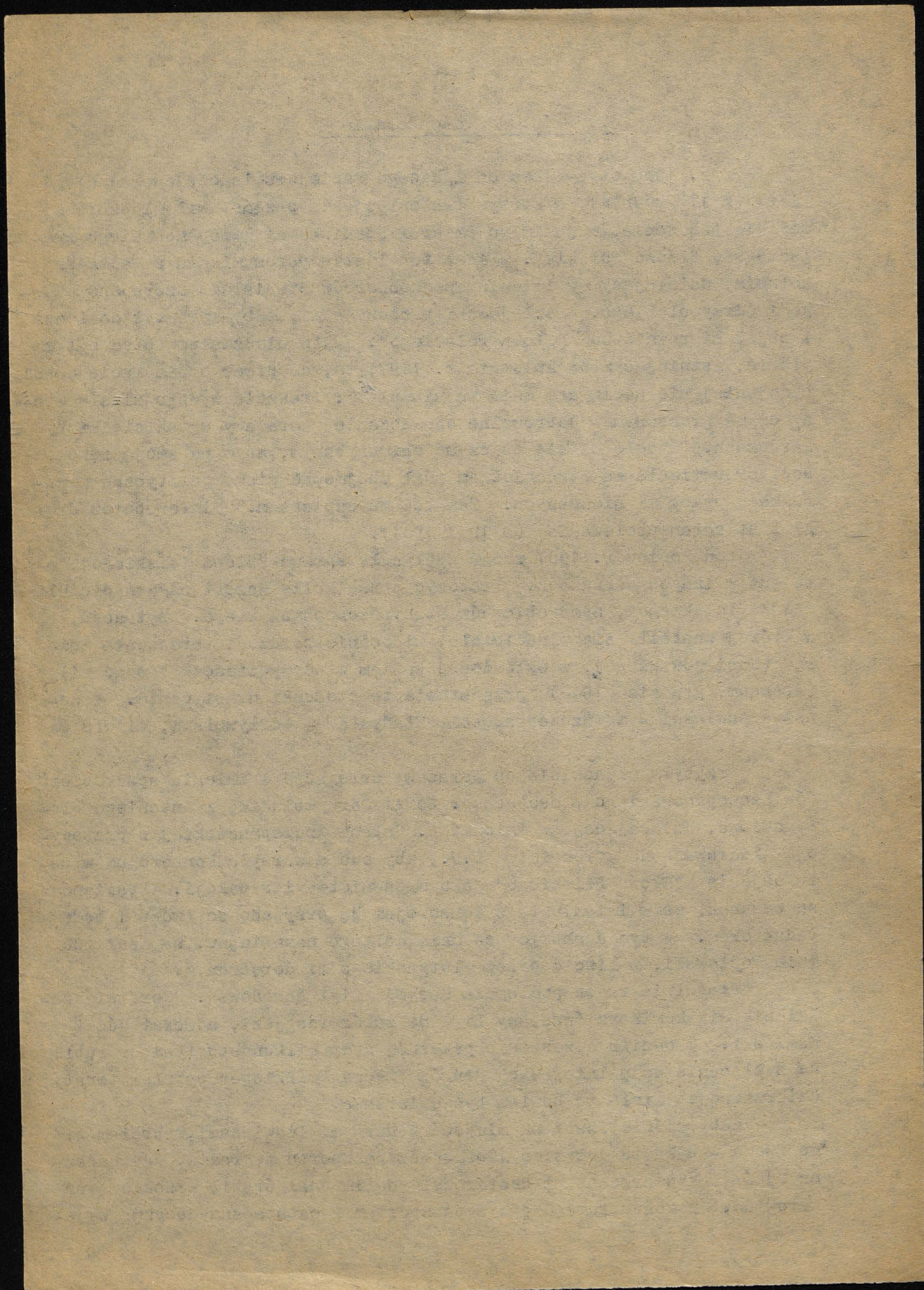
W r. 19oo otrzymałem od Ignacego Maciejowskiego (Sewera) długi list (z 17 grudnia), w którym ten entuzjasta przedstawił mi szeroko ciężkie położenie, w jakim po śmierci Stanisława Szczepanowskiego znalazło się "Słowo Polskie". Pisał ten list w porozumieniu z Wacławem Wolskim, działającym w imieniu spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego i Odrzywolskiego. Maciejowski proponuje mi, żebym przybył do Lwowa i objął kierownictwo "Słowa Polskiego". Mało wiedziałem dotąd o tym piśmie, istniejącym od kwietnia r. 1897; to, co pisał o nim Maciejowski, bynajmniej nie pociągało mnie ku niemu 15/; wreszcie wydało mi się wtedy czymś grzesznym - dobrowolne opuszczanie Warszawy w tak ciężkich warunkach. Wydało mi się to czymś chimerycznym, abym na swoją rękę bez porozumienia ze Stronnictwem mógł obejmować pismo polityczne w warunkach pracy mi nieznanych. Tak też mu odpisałem. Miałem potem drugi list pełen ubolewania (z 12 I 19o1).

Pod koniec r. 19o1 znowu wypłynęła sprawa "Słowa Polskiego", ale już w innych warunkach. Propozycja nastąpiła wprost od właścicieli "Słowa Polskiego", spadkobierców Stan. Szczepanowskiego. Sytuacja, w której znaleźli się właściciele, widocznie bardzo interesowała Sewera (Maciejowskiego), w ogłoszonej bowiem wtedy powieści "Ponad siły" (Ateneum, grudzień 19oo) przedstawia te stosunki drastycznie. Tadeusz w powieści - to Szczepanowski, Władysław - Odrzywolski, Witold Wit - Wolski.

Przybyła mianowicie do Warszawy delegacja w imieniu spadkobierców Szczepanowskiego w osobach p. Zofii Odrzywolskiej i Antoniego Plutyńskiego, działającego w imieniu p. Heleny Szczepanowskiej z propozycją skierowaną do stronnictwa D.N., aby ono utworzyło konsorcjum w celu objęcia "Słowa Polskiego" jako wydawnictwa i redakcji. Stawiano za warunek, że w imieniu tego konsorcjum ja przyjadę do Lwowa i będę redaktorem. W tym duchu gorąco mnie do tego namawiając, napisał do mnie Popławski, w liście przez Plutyńskiego mi doręczonym.

Właściwie rzecz podlegała decyzji Ligi Narodowej. Gorliwie zajął się nią komisarz ówczesny Ligi na zabór rosyjski, adwokat Józef Kamiński. Chodziło o zebranie pokaźnej sumy kilkunastu tysięcy rubli na zapłacenie najpilniejszych długów "Słowa Polskiego" tytułem tenuty dzierżawnej. Miała to bowiem być dzierżawa.

Żeby omówić rzecz na miejscu z naszymi lwowianami, wybrałem się do Lwowa - była to już zima 19o2 - bez paszportu na razie. Jechałem na Ojców, skąd przepustki dostarczył Teofil Waligórski, wracałem na Katowice. W końcu lutego już z paszportem i ostateczną decyzją wyje-



chałem powtórnie do Lwowa w towarzystwie adwokata W. Krypskiego, który wiózł pieniądze i załatwić miał stronę prawną.

Więc i ja znalazłem się we Lwowie do kompletu dawnej redakcji "Głosu", aby zacisnąć jeszcze jeden węzeł między Lwowem a Warszawą.

Tegoż dnia po moim przybyciu do Lwowa wieczorem Wacław Wolski, mając już pewność, że dzierżawa do skutku dojdzie, urządził zebranie redakcyjne w "Słowie Polskim", gdzie w imieniu wydawców sprawę zmian mających się dokonać w redakcji przedstawił. Okazało się, że dawni redaktorzy, Romanowicz i Rutowski, o gotującym się przewrocie dawno już wiedzieli i na to się przygotowali. Odpowiedzieli Wolskiemu, że dotychczasowa redakcja w komplecie solidarnie tegoż wieczoru się usuwa i przechodzi do innego dziennika, który się będzie nazywał "Nowe Słowo Polskie". Romanowicz miał już w tych rzeczach pewne doświadczenie, przed laty bowiem urządził taki sam zamach na "Reformę" Czerwińskiego w Krakowie i z powodzeniem.

Wolski wpadł do mnie do hotelu (mieszkałem w hotelu Europejskim) o 1o-tej wieczorem, bardzo zmartwiony, aby mnie o strajku zawiadomić. Nocny numer jeszcze wyjdzie, tak się bowiem zdarzyło, że członek redakcji Józef Bornstein nie brał udziału w spisku i nocny numer wydawał. Numer główny schodził z maszyny około 2-ej po południu.

Położenie było kłopotliwe. Przyszedł mi do głowy Ernest Adam, którego adres znałem. Udałem się do niego na naradę, on jednak zajęty sprawami swej Kasy odmówił pomocy. Postanowiłem się przespać, a rano o 8-ej udałem się do redakcji. Sytuacja była nawet zabawna, nie znałem bowiem drogi na Chorążczyznę, pytałem więc po drodze ludzi, gdzie jest redakcja, którą mam objąć.

Z lokalu redakcyjnego (na parterze Domu Naftowego) zionęła na mnie pustka. Czułem się obco. Szuflady w biurkach zastałem opustoszone. Jak tu schwytać nerw dnia bieżącego, owego 1 marca 19o2, z czego numer skleić.

Pierwsi zjawili się w redakcji ku pomocy p. Helena Szczepanowska i jej przyszły zięć, p. Antoni Plutyński. Tego nagliłem, aby ściągnął Popławskiego, w każdym razie, aby wydobył od niego artykuł wstępny. Telegramy przyjdą. Odcinki powieściowe są złożone, gotowe są też jakieś kolumny z dodatkiem gospodarczym, zwykle naprzód przygotowanym. Jakoś wybrniemy.

tu był przypis 18, skasowany

Niemały kłopot okazał się z Popławskim. Ideę objęcia "Słowa Polskiego" popierał w zasadzie, ale gdy przyszło do realizacji, żal mu się zrobiło "Wieku XX", do którego już się przywiązał. Wydawał ten dzienniczek od roku przy pomocy finansowej Fr. Rawity Gawrońskiego, mając w redakcji przyjaciela Józefa Hłaskę. Tam też pracował Antoni Plutyński. Rozumiał, że dwóch dzienników wydawać nie będziemy mogli i

że trzeba będzie "Wiek XX" zamknąć, a z drugiej strony uląkł się nowego przedsięwzięcia. Wydało mu się, jak mi wyznał, że krok nasz był przedwczesny. "Słowo Polskie" nie będzie miało żadnego oparcia w społeczeństwie rozpolitykowanym, podzielonym na stronnictwa. "Wiek XX" dopiero zaczął torować drogę, zyskując dla naszego kierunku przyjaciół. Wielki dziennik wymaga ogromnej obsługi,czytelnicy dawnego "Słowa Polskiego" nałożeni są do innego kierunku itp. Czułem jednak, że przywiązanie do "Wieku XX" było główną przyczyną pesymizmu Popławskiego. Dmowskiego nie było już we Lwowie. Niewątpliwie Dmowski, dowiedziawszy się o imprezie powziętej bez jego wiedzy (Plutyński bowiem rzecz całą przed nim zataił), zganił Popławskiemu ten pośpiech. Popławski znalazł się w trudnym położeniu, ale było już po niewczasie. Mieli wówczas obaj wiele racji, obawy ich jednak okazały się zbyt pesymistyczne. Dmowski wkrótce z nowego warsztatu był zadowolony i chętnie dla celów swoich z niego korzystał.

Sprzymierzeńcem sprawy stał się Franciszek Rawita-Gawroński, któremu subsydiowanie "Wieku XX" ciążyło. Ponad siły brał na siebie obowiązki ten człowiek dobrej woli. Gawroński po paru dniach wszedł do redakcji "Słowa Polskiego" jako referent sprawy ruskiej, a po paru tygodniach "Wiek XX" przestał istnieć.

Organizowanie redakcji i całego gospodarstwa trwało parę tygodni, połączone z czynnościami prawnymi z powodu przejścia wydawnictwa w nasze ręce w drodze dzierżawy. Powstała "Spółka Dzierżawna Słowa Polskiego", z dyrekcją i zarządem, do którego wchodzili przedstawiciele spadkobierców śp. Szczepanowskiego i Odrzywolskiego.

Pierwsza formacja redakcji miała w swej podstawie nas trzech: mnie, Popławskiego i Hłaskę, jakiś czas pracowali Plutyński i Gawroński. Plutyński ściągnął z Zurychu studiującego tam swego kolegę Antoniego Sadzewicza. Ale, jak widzimy, z jednym wyjątkiem Plutyńskiego, byli to wszyscy "obcokrajowcy", a wśród nich jeden Popławski w stosunkach miejscowych się orientował. Z dawnej redakcji pozostali nam w spadku: wspomniany już Józef Bornstein (reporter) i korektor Henryk Biegeleisen. Objawił też chęć pozostania jeden z filarów dawnej redakcji, Wilhelm Feldman z Krakowa, stale pisujący felietony i krytyki literackie. Ci trzej nie wierzyli w przyszłość konkurencyjnego "Nowego Słowa Polskiego" i mieli dobre przeczucie. W dzienniku tym, do którego przeszli oprócz Romanowicza i Rutowskiego Witold Lewicki, Antoni Chołoniewski, Bron. Laskownicki, Leopold Szenderowicz i inni, mieliśmy zajadłego wroga, usiłującego redakcję naszą kompromitować przez podkreślanie jej obcokrajowości. Oczywiście zabrano spisy prenumeratorów "Słowa Polskiego", aby im rozsyłać nowe pismo. Niebezpieczeństwo było duże.

Wybrałem się wkrótce do Krakowa, aby nawiązać z nim stosunek.

Wyperswadowałem Feldmanowi, który nas zasypywał rękopisami, że nie może jednocześnie pisywać do nas i potajemnie do dziennika konkurencyjnego i że umowę zrywamy. Zyskałem w Feldmanie wroga na całe życie: nie chciał się nigdy zgodzić na moje współpracownictwo w literaturze polskiej i usunął mnie ze swojej historii literatury.

Na miejsce Feldmana zaangażowałem sarmatę Kazimierza Bartoszewicza, cieszącego się opinią doskonałego felietonisty. Zmieniło to do niepoznania fasadę pisma. Aby wzmocnić stronę techniki dziennikarskiej w "Słowie Polskim", zaproponowałem p. Wojciechowi Dąbrowskiemu, który pracował w "Nowej Reformie", przeniesienie się do Lwowa, na co się zgodził i w jakiś czas pracował już u nas.

Do najważniejszych momentów obsługi dziennikarskiej należało połączenie z Wiedniem. Dawne okazało się niemożliwe. Wiedziałem, że zamieszkał w Wiedniu, jako dziennikarz, mój dawny znajomy z Warszawy, p. Adam Nowicki. Na moją propozycję od razu przystał. Wziął na siebie obsługę telegraficzną (-foniczną) do obu wydań i codzień artykuł wiedeński. Pełnił tę służbę wzorowo aż do wojny.

Po paru miesiącach mieliśmy redakcję doskonale zorganizowaną. Do działu literackiego przybył Jan Kasprowicz, on też objął felieton teatralny. Referat muzyczny prowadził zrazu dawny współpracownik prof. Neuhauser, a po roku, zdaje się, zastąpił go Stanisław Niewiadomski. Dział sztuk plastycznych prowadziła zrazu M. Wolska, wkrótce zastąpił ją Adam Łada Cybulski, potem sprawozdawcą [illegible] był dzisiejszy prof. Władysław Witwicki, wreszcie (również później profesor) Władysław Kozicki. Referat teatralny, odkąd Kasprowicz oddał się studiom naukowym, objął słynny komediopisarz J.A. Kisielewski, ale na krótko; po nim do wojny prowadził go wesoło Kornel Makuszyński. Makuszyński dostał posadę w "Słowie Polskim" drugiego sekretarza zaraz po ukończeniu gimnazjum (około r. 1903), skoro dał się poznać jako poeta. Trzymał się redakcji aż do wojny z rozmaitymi awansami, potem już sławny jako powieściopisarz i mąż teatru.

Pełnię swego rozwoju osiągnęła organizacja redakcji, gdy po usunięciu się Sadzewicza (w r. 1904) stanowisko sekretarza objął Kazimierz Wróblewski, doskonały znawca Galicji i dzielny pracownik. Niestety, po dwu latach w Boże Narodzenie 1906 zginął wraz z żoną Jadwigą (siostrą malarza Sichulskiego) śmiercią tragiczną (z zaczadzenia).

Pomocnikami sekretarza byli kolejno Józef Diehl (późniejszy adwokat), Kornel Makuszyński, Władysław Filar (późniejszy dyrektor seminarium naucz.).

Reporterkę zaczęliśmy w r. 1902 z Mrawińczycem i Władysławem Szenderowiczem. Po ustąpieniu pierwszego z nich zaczął praktykę młody Tadeusz Gubrynowicz. Dodatkowo reporterkę policyjną robił Kazimierz

Pepłowski, urzędnik Kasy Oszczędności, postać popularna we Lwowie, kontuszowa. Szenderowicz i Gubrynowicz pracowali do r. 1915.

Korektorem (rewidentem) po Biegeleisenie był Zygmunt Janiszewski (Kłośnik), on też prowadził dział sportowy. Pierwsze felietony sportowe w prasie lwowskiej były jego. Jakiś czas był przy nim korektorem Zygmunt Niedźwiedzki, słynny nowelista. Poza tym Wacław Naake-Nakęski, który następnie, aż do końca był nocnym redaktorem porannego wydania.

Płace początkowo były skromne. Redaktorzy: ja, Popławski, Hłasko - braliśmy miesięcznie 4oo koron. Ja dodatkowo, jako członek dyrekcji, miałem dopłatę 1oo koron. Inne płace wynosiły 2oo-3oo koron.

Początki gospodarczej organizacji były trudne. Administracja miała tradycję niedobrą. Zastaliśmy jakieś prowizorium (Nawrocki!), nad którym stał główny dyrektor finansowy, baron Gostkowski. Drukarnią (ta była własna) kierował drukarz Z. Hałaciński, który jednocześnie figurował jako wydawca dziennika popularnego, "Wieku Nowego". Pismo to drukowało się w drukarni "Słowa Polskiego", ale było podobno własnością współpracowników. Trudno było w tym wszystkim się zorientować. Jedno tylko było nagłe, mianowicie stosunek ten przerwać. "Wiek Nowy" usunął się, a na czele drukarni stanął dotychczasowy metrampaż "Słowa", p. Józef Ziembiński.

Co do administratora zaufałem swemu instynktowi i zetknąwszy się przy maszynach z pełniącym jakieś drugorzędne funkcje urzędnikiem administracji i pogadawszy z nim krótko, zaproponowałem mu objęcie kierownictwa administracji. Ujął mnie swoją małomównością i suchym obejściem. Wysoki był, kościsty, z twarzą ascety. Nie mogłem nigdy dość nawinszować sobie tego wyboru. Był to Zygmunt Medycki, wychowany w Wiedniu, syn oficera austriackiego, człowiek bardzo pracowity, fanatyk uczciwości i obowiązku, surowy względem siebie i ludzi. Ludzie go nie lubili, ale go szanowali, a ja go pokochałem. Był prawdziwym moim przyjacielem. Odczułem żywo żałobę, gdy mnie w Petersburgu r. 1917 doszła wiadomość o jego śmierci. Jemu to w znacznej mierze "Słowo Polskie" zawdzięcza swój znakomity rozwój materialny. On potem według własnych planów wystawił dom z oficynami dla pisma na ulicy Zimorowicza (19o7), on wyekwipował drukarnię i utrzymał w równowadze finanse wydawnictwa.

Dla ścisłości historycznej dodam, że na podstawie rejentalnej umowy dzierżawnej powstało stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką pod firmą "Spółka Dzierżawna Słowa Polskiego". Umowa ta zawarta została między konsorcjum warszawskim a dawną "Spółką Wydawniczą", będącą własnością spadkobierców śp. Szczepanowskiego i śp. Odrzywolskiego. Statut "Spółki Dzierżawnej" został zarejestrowany uchwałą sądu krajowego w dniu 3 kwietnia 19o2 r. Wniosła go do rejestru pierwsza dyrekcja Spółki Dzierżawnej, wybrana na ogólnym zgromadzeniu Spółki.

Do dyrekcji tej weszli: Wacław Wolski, Bolesław Łodziński, Franciszek Rawita-Gawroński, Zygmunt Wasilewski i Ernest Adam. Według § 4 statutu dwóch członków dyrekcji wybrało ogólne zgromadzenie spośród członków stowarzyszenia (Wasilewski, Gawroński), dwóch zgromadzenie przyjęło jako zaleconych przez dawną Spółkę Wydawniczą (Wolski i Łodziński), a ci czterej powołali piątego (Adama). Cenę jednego udziału w Spółce ustalono na tysiąc złotych.

W parę lat potem Spółka Wyd. wsiąkła w Spółkę Dzierżawną, a według zmienionego statutu firma przybrała nazwę z powrotem "Spółki Wydawniczej". Do dyrekcji należało wtedy trzech członków, poza tym była Rada Nadzorcza i Komisja Rewizyjna. Udziały po 1.000 koron, które mogły być wpłacone w czterech ratach. Ta forma spółki przetrwała do końca.

Według notatki, którą zachowałem, w nowej spółce przewaga Stronnictwa D.N. nad innymi udziałowcami wyrażała się w ten sposób:

Udziały były w rękach trzech grup: 1/ Stronnictwa, 2/ osób postronnych i 3/ rodziny (spadkobierców).

W grupie pierwszej udziałów było 12o, w drugiej - 57, w trzeciej - 125. Ogółem udziałów 3o2. Posiadanie tych udziałów dawało na walnym zgromadzeniu pierwszej grupie głosów 75, drugiej 32, trzeciej 51. Wszystko więc zależało od dobrego stosunku Stronnictwa z dawnymi właścicielami. Nie brakło intryg, które ten stosunek psuły.

Na fundusz, który wpłynął z Warszawy w r. 19o2, złożyły się udziały prywatne członków Ligi Narodowej, przeważnie ludzi niezamożnych. Gospodarka nimi była odpowiedzialna; dyrekcja wiele pracy w nią wkładała. Któż się spodziewał, że po wojnie kapitał z takim trudem wyhodowany pójdzie na marne z winy jednostek, którym się tak ufało, jak ufali dawniej udziałowcy ludziom ideowym, pilnującym ich interesów.

Przejęcie z dzierżawy na współwłasność nastąpiło na wiosnę 19o5 r. Wtedy już zapadło postanowienie zbudowania własnego domu na ul. Zimorowicza.

Wobec rozszerzenia się grona współwydawców, pragnąc zagwarantować pismu kierunek przez nas nadany, zażądaliśmy pełnomocnictwa, dającego wolną rękę redakcji. Pełnomocnictwo takie wystawiły wspólnie Rada Nadzorcza i dyrekcja wydawnictwa w dniu 9 maja 19o5 w formie listu do Z. Wasilewskiego, J. Popławskiego i J. Hłaski. W imieniu Rady Nadzorczej podpisali je: Wacław Wolski, Antoni Plutyński, Kazimierz Jarecki, Jan Popławski i Józef Hłasko. W imieniu dyrekcji: Stanisław Szczepanowski, Ignacy Domagalski i Zygmunt Medycki.

Główne punkty pełnomocnictwa opiewały:

1. "Wszystkich trzech panów łącznie mianujemy komitetem redakcyjnym i oddajemy panom prowadzenie redakcji tego czasopisma".

2. " Panowie mają prawo i obowiązek solidarnie prowadzić redakcję "Słowa Polskiego", a więc przy pomocy współpracowników wydawać dwurazowo dziennie w sposób dotychczasowy, przy czym mają panowie solidarnie prawo i obowiązek kierować treścią artykułów sami wyłącznie bez naszego udziału, z tym tylko ograniczeniem, że mają panowie obowiązek wyjaśniać Radzie Nadzorczej na jej posiedzeniach stanowisko zajmowane przez siebie w artykułach pod względem politycznym, społecznym i sposobem redagowania i mają panowie po wysłuchaniu uwag ze strony Rady stosować się do żądań tej Rady, o ile to nie sprzeciwia się zasadom politycznym i społecznym przez panów wyznawanym".

3. "Poza tym ograniczeniem mają panowie wyłączne prawo i obowiązek sami i samodzielnie przyjmować i usuwać współpracowników redakcji" ... w ramach budżetu.

4-ty punkt dotyczy sprawy przedstawiania budżetu.

5-y określa wysokość przyznawanych płac: mianowicie p. Zygm. Wasilewskiemu rocznie 7.2oo koron, p. Janowi Popławskiemu 6.ooo koron, p. J. Hłasce 6.ooo koron.

6-y: w razie wyjazdów - zwrot kosztów podróży i diety po 1o kor. dziennie.

Dalej następują rygory, wreszcie postanowienia, że umowę zawiera się na czas do 31 grudnia 19o7 z tym, że jeżeli na pół roku przedtem nie będzie wypowiedziana, przedłuża się automatycznie.

Przedłużyła się też na stałe, przelana na mnie, bowiem po roku i Popławski i Hłasko Lwów opuścili.

8. W domu i za kulisami.

Pierwsze lata we Lwowie były dość ciężkie i nie bez przygód. W jesieni 1902 sprowadziłem rodzinę. Mieszkanie wynająłem na ul. Brajerowskiej 12, skąd miły był spacer koło Sejmu, Ogrodu Jezuickiego i Ossolineum na ul. Chorążczyzny do redakcji. Nadeszły rzeczy z Warszawy z biblioteką, za parę dni miała przybyć żona. Chciałem się popisać urządzeniem mieszkania i późno w noc rozpakowawszy paki ustawiałem książki na zakupionych półkach, co mi przypominało czasy raperswilskie. Zapał źle się skończył, bo od wysiłku przy schylaniu się zaćmiło mi się w oczach - jak się okazało odkleiła się na jednym oku siatkówka. Daremne były zabiegi poczciwego okulisty dra Adama Szulisławskiego i moje przeszło miesięczne leżenie w łóżku z zawiązanymi oczyma. Oko nie powróciło do życia.

Szczęściem w redakcji był Popławski, a ja, by się czym przyczynić "Słowu", dyktowałem żonie swoje wspomnienia o Warszawie; mogłem o niej prawić z zamkniętymi oczyma, bo ją miałem ciągle w oczach duszy. A potrzeba było dać Galicjanom wyobrażenie o stolicy. Akademik lwowianin odwiedzając mnie wyraził zdziwienie, że mówimy tak dobrze po polsku, bo przecież - prawda - tam język rosyjski obowiązuje.

Charakterystykę Warszawy ogłosiło "Słowo Polskie" w dwunastu felietonach, a łaskawy dla mnie Ignacy Domagalski, dyrektor Towarzystwa Wydawniczego w te pędy wydał je w książce pt. "Warszawa współczesna w 12 obrazkach", pod pseudonimem Przygodnego. Utalentowany malarz Dębicki dał na okładce sylwetę kozaka-centaura.

W obrazkach na temat życia towarzyskiego i politycznego Warszawy wspomniałem o salonach, zajmujących się polityką. Miałem na myśli dom dra Benniego Karola, u którego bywałem na słynnych piątkach. Były to wieczory atrakcyjne, choćby ze względu na doskonałą kuchnię. Kołduny, bigosy, nalewki były świetne, świetne też towarzystwo kilkudziesięciu osób zasiadało do stołu z Sienkiewiczem na czele i z nieodstępującym Sienkiewicza Szymonem Askenazym. On był konferansjerem każdego wieczora, nadawał ton i kierunek tematom podsuwanym przez Benniego. Zamiast dyskusji żądano zawsze informacji i te sypały się obficie. Śledząc te rozprawy w kółku młodszym (Jabłonowski, Reymont i in.), doszliśmy do przekonania, że rdzeniem tych zebrań była masoneria.

Nie myślałem wówczas o tym, że stosunki z ludźmi mają swoją logikę i konsekwencje. Bywałem u Benniego jako przyjaciel Mickiewicza, któremu razem z Bennim stawialiśmy pomnik. Benni widocznie cenił mój trud jako sekretarza Komitetu i wiele się po mnie spodziewał. Tym dotkliwiej odczuł moją książkę i za bytnością we Lwowie w r. 1903 z roz-

goryczeniem mi to wypowiedział. A bytność jego we Lwowie nie była turystyczna.

Oto we Lwowie na kilka miesięcy przede mną osiadł Askenazy, zaproszony na katedrę historii w uniwersytecie. Później dopiero, związawszy fakty, zrozumiałem, że przodujący umysłowo Żydzi z Warszawy rozsiedlani byli planowo na ważniejsze politycznie placówki. Kolega Askenazego Winawer osiadł już wcześniej w Petersburgu, niebawem został posłem do Dumy i tam prezesem Koła Kadetów. Askenazy, odkąd powstał ruch narodowy, nadawany ze Lwowa w "Przeglądzie Wszechpolskim", potrzebny był we Lwowie. Zrozumiałem też rolę Askenazego w mojej sprawie.

Przyjęty zrazu nieżyczliwie przez młodzież lwowską, poszukał oparcia w swoim kółku seminaryjnym, do którego dobrał najprzedniejszych "wszechpolaków" z Czytelni Akademickiej. Wkrótce, schlebiając ich ambicjom, wydając drukiem starannie ich młodociane prace, uczynił z młodych przyjaciół zwarte, solidarne kółko, które odwróciło opinię młodzieży na korzyść mistrza. Było to kółko przez Plutyńskiego i Kazimierza Jareckiego związane ściśle z rodziną p. Heleny Szczepanowskiej.

Kiedy Antoni Plutyński, pracujący już przy boku Popławskiego w "Wieku XX", powziął plan, aby Liga Narodowa przejęła "Słowo Polskie", nie wiedział jeszcze, jaką przez to przykrość zrobi Askenazemu. Podówczas jednak w r. 1901 Askenazy nie miał jeszcze na te sprawy wpływu decydującego, może nawet nie wiedział o tym postanowieniu. Stosunki z młodzieżą musiały być wtedy jeszcze luźne. Pamiętam jednak, że gdym pierwszy raz spotkał we Lwowie Askenazego w parę miesięcy po objęciu redakcji, zrobił mi wyrzut, żem po przyjeździe do niego nie przyszedł i z nim się nie naradził, on by mi bowiem stosunki ułatwił.

Nie byłem jednak u niego, co zrobiło mu zawód, bo przecież pamiętał, jak życzliwy mu byłem w "Kurierze Warszawskim". Stosunek we Lwowie stał się bardzo oziębły. A trzeba było trafu, że mieszkanie moje na Brajerowskiej znalazło się o piętro wyżej nad apartamentem Askenazego. Mimowoli przyjrzeć się musiałem jego stosunkom, widywałem bowiem ludzi, którzy u jego drzwi wystawali. Nie były to stosunki ze świata naukowego. A gdy przyjechał Benni i zrozumiałem charakter zebrań, związek z Warszawą stał mi się jasny. Nie dziwiłem się już potem relacjom o jego wypowiedzeniach, gdy komuś przysięgał, na dłoń wskazując: "prędzej mi tutaj włosy wyrosną, nim Dmowski dojdzie w Polsce do władzy", albo gdy komu innemu na poufałe zapytanie, czy należy do loży, odpowiedział z ironią: "ja do lóż nie należę - loże ode mnie zależą". Rozsadzała go pycha.

Doszło po pewnym czasie do tego, że kółko młodzieży, które tak ochoczo popierało plan Plutyńskiego, aby oddać "Słowo Polskie" Lidze Narodowej, zaczęło gorzko żałować tego kroku. Po paru latach w łonie

Spółki Wydawniczej wybuchła zażarta walka o ster pisma. Pani Helena Szczepanowska, posiadająca znaczną część udziałów, za namową młodych przyjaciół Askenazego, aby zyskać większość głosów na walnym zgromadzeniu Spółki, rozdzieliła udziały między nich. Spólników tedy z uprawnionymi głosami znalazło się wielu, ja zaś w defensywie mobilizować musiałem w ten sam sposób udziały warszawskie. Próby wysadzenia mnie z siodła nie powiodły się, przez wykupienie bowiem kapitał przez nas włożony pomnożył dostatecznie nasze udziały. Szczęściem nie wszyscy spadkobiercy Szczepanowskiego poszli na komendę masońską; nie poszedł za nimi śp. Wacław Wolski, odgrywający w Spółce poważną rolę.

Przytaczam ten epizod dla przykładu, jak podminowane były na każdym kroku stosunki, jeśli w grę wchodziła Demokracja Narodowa. Ówcześni adherenci Askenazego, dzisiaj ludzie poważni, żałują pewnie pomyłki. Poznali po latach intencje autora "Uwag". Szkody jednak wyrządziła ta pomyłka wielkie, nadwerężając korzenie, którymi młodzi z tego grona tkwili w Lidze Narodowej, związani z nią ślubowaniem.

x

Z wysiloną pracą dziennikarską łączyłem dorywczo, najczęściej w porze wakacyjnej, zajęcia literackie, do których pociągała mnie potrzeba poznawania duszy zbiorowej przez dusze wybitnych poetów. Tematy nastręczały się z wydarzeń takich, jak śmierć Adolfa Dygasińskiego, o którym wygłosiłem pierwszy w Związku Naukowo-Literackim odczyt w r. 1902. Była to pierwsza próba wejrzenia w twórczość współczesną.

Prąd, udzielający się od Warszawy, oddziałał dobroczynnie na życie duchowe Galicji, a zwłaszcza Lwowa. Dla tego miasta, mającego tyle urody życia, nastał okres bujnego rozwoju. Wpłynęły na to w znacznym stopniu stosunki gospodarcze, zasilone dopływem gotówki ze źródeł przemysłu naftowego. Wzrosło jednak przede wszystkim samopoczucie narodowe, uwrażliwione na wschodzie antagonizmem ruchu narodowego ruskiego, zwanego od pewnego czasu ruchem ukraińskim. Że z tego samopoczucia można było ciągnąć korzyść dla kultury, w tym była wielka zasługa uniwersytetu i episkopatu rzymskokatolickiego, korzyści zaś polityczne potrafiło stąd wyciągnąć rodzące się stronnictwo wszechpolskie. I na kulturze, i na polityce, na obu tych polach zagospodarowało się "Słowo Polskie", rozprowadzające na cały kraj odżywiające ducha narodowego zdobycze.

Z mojego tutaj stanowiska obserwacyjnego widoczne było, że współtwórcami odrodzenia duchowego Polski są jednocześnie Popławski, Dmowski, Kasprowicz, Wyspiański, jak i Dygasiński, Prus i Sienkiewicz, że profesorowie i młodzież od tych prądów twórczych nabierają życia rumieńców, że w instytucje społeczne, oświatowe, samorządowe czy Sokoła wstępuje radość celowej pracy, że lud nabiera świadomości swej siły na-

rodowej, że wreszcie interesy podstawowe narodu znajdują swych rzeczników w Sejmie i parlamencie, a więc, że twórczość jest jedna, bo jeden duch i ten sam model człowieka sprawcą tego ducha. Wówczas, gdy sobie to uświadomiłem, nieodparcie narzucało się przekonanie, że do budowania kultury narodowej obejmującej wszystkie dziedziny twórczości, potrzebny jest wspólny strop i jakiś zwornik, w którym się znajduje rozwiązanie sensu całej struktury. Tym kluczem jest człowiek pełny, mający wszystkie zmysły w porządku pod rozkazami woli twórczej.

Z niewysłowionym tedy wzruszeniem słuchałem w Krakowie w r. 1903 Wyspiańskiego, który w "Wyzwoleniu" przedstawił ze stanowiska artysty, jak wyglądają procesy formującej się duszy nowoczesnego Polaka. Robił to jednocześnie z Dmowskim, który w tymże roku wydał w odbitce z "Przeglądu Wszechpolskiego" - "Myśli nowoczesnego Polaka". Pracując w jednym pokoju z Kasprowiczem, wglądałem z ciekawością w jego duszę. Z utworów jego, które dotąd znałem, nie mogłem dostatecznie pojąć tego wielkiego poety. Dopiero w r. 1903, jadąc na wypoczynek do Wisły, wziąłem z sobą to, co dotąd pisał i tam, w odpowiednich warunkach ciszy, przeczytałem. Kasprowicz i Wyspiański, poznani jednocześnie, wyjawili mi prawdę o procesach utajonych w duszy polskiej, gdy ta odradza się do nowego życia na całej głębokości związków z przyrodą, aż do wyżyn myślenia o misji dziejowej narodu, aż do granic metafizycznych. Doznałem niewysłowionej radości wtajemniczenia, jakbym słyszał tajemne porozumienia przyrody, gotującej wiosnę.

Rzecz charakterystyczna, że po powrocie z Krakowa, gdy przyszło do pisania recenzji o "Wyzwoleniu", nie mogłem jej ująć w karby jakiejś myśli kategorycznej. Pisałem ją bez końca tak, że w rezultacie wypadła cała broszura, którą Towarzystwo Wydawnicze wydało pt. "Nowy Konrad" (1903). Rzecz - powiedzmy - charakterystyczna dla Wyspiańskiego, bo to był utwór artysty, który pisząc, szuka myśli. Była to raczej symfonia, złożona z motywów, jakie czucie artysty wyławia z szumu idei dziejowych. Chwytał życie idei w nastrojach społeczeństwa in statu nascendi jakiejś nowej idei syntetycznej, której jednak nazwać nie zdołał. I ja tedy, szukając daremnie "morału", zaczynałem pisanie pełen niepokoju, że nie mogę go zamknąć wnioskiem, do czego Wyspiański doszedł. A jednak czułem, że dzieło jest genialne.

Po przypatrzeniu się tym dwu poetom i zestawieniu ich z doniosłymi doświadczeniami poezji romantycznej programowej zeszłego wieku doszedłem do wniosku, że błędne jest mniemanie, jakoby przez samo mnożenie i zestawianie obok siebie dóbr kultury obiektywnej można było zapewnić trwałość cywilizacji europejskiej. Kluczem do zagadnień cywilizacji jest sam człowiek, jako źródło twórczości i najważniejszy przez to obiekt kultury. Jakie zaś są najgłębsze tajniki tego źródła, o tym

dowiedzieć się można z poezji, gdzie człowiek wypowiada się ze swych uczuć i dążeń idealistycznych. Badanie psychologiczne możliwości duchowych jednostki w obrocie życia społecznego wydało mi się najważniejszym zadaniem krytyki literackiej. Krytyka w ten sposób pojęta byłaby łącznikiem między literaturą a innymi dziedzinami twórczości, szukającymi swych podstaw w człowieku. Wszystko poza tym w obcowaniu z literaturą jest delektacją estetyczną lub rozrywką; jedyna nauka płynąca z literatury, to nauka o człowieku.

Cywilizacje w Europie, jak wszelkie dawniejsze, dochodziły do swego jednolitego stylu, spójności i rozkwitu dzięki religii, która kierując cywilizacją, miała na oku przede wszystkim człowieka. Wszelka sztuka, a nade wszystko literatura, może mieć wartość cywilizacyjną o tyle, o ile dawną rolę religii będzie uzupełniać. W chwili, gdy to piszę, nasuwa się jako przykład los potężnych narodów z nami sąsiadujących, które w pogoni za zdobyczami materialnej potęgi zgubiły po drodze człowieka. Wracają czasy najgrubszego barbarzyństwa.

W tym duchu - jako publicysta - pisałem pierwsze swoje uwagi o kulturze duchowej na jubileusz dziesięciolecia "Przeglądu Wszechpolskiego" w roczniku tego pisma z r. 1905. W tym też duchu wygłaszałem pogadanki w Związku Naukowo-Literackim, które w r. 1911 wydałem w książce "Myśl przebudowy". Chodziło mi mianowicie o przeprowadzenie zasady, że społeczeństwa nie można karmić kwiatami literatury jak ewangelią, lecz nauczaniem go sensu życia. Miałem na myśli system nauczania stosowany w szkołach galicyjskich przez polonistów i przerażający objaw rozkładu myśli społeczno-politycznej wśród inteligencji, polegający na traktowaniu życia, jakby to była literatura. Ten obyczaj umysłowy literackości zadowalającej się symbolami lub werbalizmem, niszczył kulturę zarówno literacką jak i polityczną.

Z naukowego stanowiska wydawało mi się również błędną metodą pomijanie w krytyce strony biograficzno-historycznej. Dlatego też, gdy w r. 1905 powstał zatarg z Akademią Umiejętności o to, że nagrodziła dzieło Józefa Tretiaka o Słowackim za krytyczne ujęcie Słowackiego jako osobowości, napisałem w "Słowie Polskim" rozprawę "Spór o Słowackiego", w której stanąłem w obronie metody Tretiaka (to samo w odbitce).

Zatarg ten narobił w świecie literacko-naukowym tym więcej hałasu, że połączony był z przykrym zajściem w łonie Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. Na walnym posiedzeniu tego Towarzystwa, toczącego obrady pod przewodnictwem akademika Kallenbacha, sekretarz Tadeusz Pini wystąpił z wnioskiem nagłym bez wiedzy prezydium, aby zebranie uchwaliło protest przeciwko Akademii z powodu rzeczonej nagrody. Wytworzyła się przykra sytuacja między instytucjami, mającymi wspólnych członków w zarządach oraz wewnątrz Towarzystwa. Spór odbił się głębszym echem w prasie. Rozprawka moja znalazła uznanie po obu stronach

zatargu. Prof. Tretiak zapewne przez wdzięczność przeprowadził w Akademii, że powołano mnie na członka Komisji literackiej - i nie popsuło moich stosunków z Pinim, bo ten w pięć lat potem zaprosił mnie do opracowania dzieł Seweryna Goszczyńskiego do biblioteki wydawanej przez Altenberga we Lwowie pod redakcją Piniego. Dzieła Goszczyńskiego wyszły w r. 1910 w czterech tomach. Dodam nawiasem, że Pini zmienił później swoje stanowisko w sprawie metody badań literackich: świadczyłyby o tym jego studia o Krasińskim i Norwidzie.

x

W życiu moim osobistym w czasie mego przebywania we Lwowie zaszły bolesne dla mnie zgony: żony mojej (we wrześniu 1903), Jana Karłowicza, który zmarł parę miesięcy wcześniej niż córka, rodziców moich w Suchedniowie, wreszcie szwagra Mieczysława Karłowicza w r. 1908 [17]. Synem moim od pierwszych dni jego życia opiekowała się Helena z Kozłowskich Godlewska. W kilka lat potem stała się moją żoną i opiekunką do lat ostatnich. Zmarła 11 września 1938 r.

Życie we Lwowie pod względem atmosfery umysłowej i warunków pracy było na ogół znacznie łatwiejsze niż w Warszawie. Lepiej się pracowało i lepiej wypoczywało po pracy. Do przewag Galicji zaliczyć trzeba obfitość miejscowości, gdzie można było latem wypoczywać i leczyć się. Wakacje spędzałem pierwszego lata w przepięknej Szczawnicy (z Popławskim), drugiego w Wiśle (u Juliana Ochorowicza), potem w Hucie Korotowskiej, w Rymanowie (parę lat), w Iwoniczu, wreszcie szereg lat w nieocenionym Kosowie u dra Tarnawskiego, w którym znalazłem przyjaciela i w poglądach na życie osobiste nauczyciela.

Łatwość podróżowania bez specjalnych paszportów pozwoliła mi odwiedzać kraj, a nawet parokrotnie odbywać podróże do Włoch i Szwajcarii. W granicach Austrii korzystać mogłem, jako redaktor, z bezpłatnych przejazdów koleją w klasie pierwszej. W r. 1912 bawiłem na kuracji w Karlsbadzie, ciężko chory na kamienie żółciowe. Choroba pogorszyła się wskutek nadmiernego przepracowania. Lata 1909-1912 były okresem największej wydajności pracy. Skończyłem wtedy 45 lat życia.

9. W redakcji.

Wódz ideowy konserwatystów krakowskich (stańczyków), który wówczas wiódł boje z Demokracją Narodową, blokując przeciwko niej wszystkie stronnictwa, obecnie po wojnie dziejopis tych czasów - Michał Bobrzyński, tak opisuje "najście wszechpolaków" na Galicję: /18/

"Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne (powinno być Demokratyczno-Narodowe) było świeżym do Galicji importem. Liga Narodowa, z której wyszło, nie zapuściła nigdy w Galicji głębszych korzeni, bo jej zabawianiu się w powstania i spiski (?) przeciwne było nie tylko stronnictwo konserwatywne, ale także demokratyczne. Hołdując polityce realnej, zajęte były rozwojem pracy organicznej i owoców jej gotowe były bronić. Odporność ta (?) Galicji wobec Narodowej Demokracji zachwiała się jednak z chwilą, w której przywódcy jej, Popławski i Balicki (?), sprowadzili się do Lwowa i zaczęli tu wydawać pismo "Przegląd Wszechpolski", a w r. 1902 nabyli (?) za znaczne pieniądze poczytny dziennik demokratyczny "Słowo Polskie" i zyskali dla niego namiętnego publicystę Stanisława Grabskiego (?).
Próżno przywódcy demokratów Romanowicz i Rutowski starali się pismo to (?) pod zmienionym tytułem dalej wydawać, brakło im na to funduszów. Nie dopomógł im w tym namiestnik, którym od r. 1898 został Leon hr. Piniński"...

Przytaczam tę niedokładną, ale charakterystyczną relację historyczną dlatego, że pisze ją człowiek, który zstąpił z katedry uczonego na teren życia politycznego w Galicji na to, aby między konserwatystami a demokratami wytworzyć praktyczny w sprawach polityki austriackiej kontakt, który łamał linię polskiej polityki narodowej, aby uczynić z Galicji, a o ile się da, z całej Polski, narzędzie i teren polityki państw centralnych, i który, jako namiestnik Galicji, zorganizował wszystkie stronnictwa polskie, ruskie i żydowskie dokoła rządu austriackiego, aby złamać rodzący się ruch narodowy w Galicji. Jego też dziełem było czynne wystąpienie Galicji po stronie państw centralnych w czasie wielkiej wojny.

Jakiego typu Polakiem był w polityce Bobrzyński, świadczy w przytoczonym urywku wyrzut, uczyniony hr. Pinińskiemu, że nie finansował akcji Romanowicza i Rutowskiego w walce o posterunek ze "Słowem Polskim". Gdyby on był wówczas namiestnikiem, nie zawahałby się sypnąć im srebrnikami z funduszów austriackiego rządu. Piniński był zbyt szlachetnym Polakiem i zbyt konsekwentnym konserwatystą, aby nie wyczuł w ruchu wszechpolskim idei narodowej, a więc raczej konserwatywnej. Był przy tym człowiekiem politycznie uczciwym, nie miał tajnych porozumień z demokratami i rozumiał (tak zresztą, jak wiedział o tym w duszy Bobrzyński), że ruch wszechpolski dąży po linii polityki realnej i z tradycjami powstań mało ma wspólnego.

Powyższa informacja Bobrzyńskiego wprowadza nas in medias res położenia, w jakim znalazła się praca nasza w "Słowie Polskim". Mieliśmy doskonałą świadomość, że zanosi się na wielką grę o duszę społeczeństwa galicyjskiego: czy da się wciągnąć w widoki twórczości narodowej, czy też uczucia narodowe w niej nie drgną i pozostanie nadal w stanie półsnu dziejowego.

Konkretnie ze stanowiska wydawniczego nastręczało się pytanie, czy zniosą zmianę kierunku czytelnicy. Zmiana musiała nastąpić radykalna. Wydawać się to może i dzisiaj jeszcze dziwnym, w opinii bowiem powszechnej to, co pisał i robił Szczepanowski, nie odbiegało tak bardzo od nowego prądu narodowego, a "Słowo Polskie" nierozerwalnie związane było z nazwiskiem Szczepanowskiego. Niestety, żadne z przedsięwzięć tego szlachetnego człowieka nie było przez niego dostatecznie doglądane - zarówno gospodarcze jak i polityczne. Nadużywano jego nazwiska i jego ufności. Co się tyczy "Słowa Polskiego", przytoczę przykład, jak to było z wyborami ze Lwowa do Sejmu krajowego (po Smolce) w dniu 3 marca 1900.

"Słowo Polskie" całą siłą popierało na ten mandat socjalistę Ignacego Daszyńskiego, socjaldemokratę, związanego mocnymi nićmi międzynarodowymi z socjaldemokracją wiedeńską i berlińską. Mam przed sobą kalendarz "Słowa Polskiego", gdzie ten bohaterski wysiłek jest opisany. Zastałem we Lwowie żywą tradycję, jak to z balkonu redakcji "Słowa Polskiego" na Chorążczyźnie redaktorzy przemawiali do tłumu za Daszyńskim. Walczono przeciwko min. Piętakowi, zdawałoby się bliższemu dra Romanowicza niż Daszyński, a jednak tak się pisało o wyborze Piętaka [19]:

> "Klęska obozu postępowego była do przewidzenia. Pod egidą rządu zorganizowało się wszystko, co nosi na sobie piętno reakcji, kahał znalazł się w sojuszu z Czytelnią Katolicką... Smutne to było zwycięstwo. Pomimo szalonej presji (?) sfer rządowych i niemożliwych sztuczek kołtuńsko-klerykalnej kliki, na kandydata opozycji padło w stołecznym mieście kraju 2.000 głosów. Był to donośny protest przeciw samolubnym rządom szlacheckiej oligarchii!!"

Po czym następuje pełen zachwytu opis awantury urządzonej przez młodzież socjalistyczną żydowską prof. Thulliemu na Politechnice podczas wykładu...

Widzimy, jak się ułożyły w Galicji stosunki. Konserwatysta Bobrzyński nie może dziś jeszcze darować konserwatyście Pinińskiemu, że nie popierał demokratów "postępowych", którzy radzi łączyli się z socjalistami do walki... z konserwatystami. Demagogicznie nazywało się walką z "oligarchią szlachecką" to, co było w danym wypadku walką z mieszczaństwem polskim i sferami katolickimi, których przedstawicielem był Thullie. Była to walka "postępowców" w interesie mas żydowskich, opanowujących miasta polskie, i masonerii, obsadzającej polityczne posterunki.

Wytwarzał się w życiu publicznym austriacki bigos hultajski, który opinia polska, zupełnie już nie orientując się, spożywała niewybrednie.

Cóż stało się najpilniejszym zadaniem dziennika narodowego? Obudzić wśród mas, przede wszystkim oświeconych, poczucie zatraconej już linii interesu narodowego. Jakaż to długa i mozolna historia przerobić postawę Polaka, który się obraża, gdy mu się mówi o interesie narodowym, on bowiem uważa się za patriotę, który przywykł do horyzontu dzielnicowego i nie ma wyobraźni widzącej realnie naród!

Najdrażliwszą bodaj była ta kwestia "pouczania patriotyzmu". Każdy w Galicji był patriotą. Legitymowano się z patriotyzmu cytatami z poetów romantycznych, którymi męczono uczniów w szkołach, pochodami, obchodami rocznic wszystkich powstań, czamarkami, kontuszami; co jednak robić z Polską, tego tak preparowany ogół, zwłaszcza w Galicji zachodniej, nie mógł pojąć jeszcze w r. 1914.

Dwaj Tadeusze, Romanowicz i Rutowski, byli typowymi w obyczaju narodowo-towarzyskim "tromtadratami". Romanowicz nie rozstawał się z czamarką, Rutowski chętnie przywdziewał kontusz. Pierwszy znał Polskę z ostatniego powstania, drugi z wykształcenia historycznego, trudno jednak było rozmawiać z nim o Polsce. Romanowicza poznałem jeszcze w r. 1892, gdym przed udaniem się do Raperswilu bawił krótko we Lwowie. Z Rutowskim obcowałem dłużej w Raperswilu w r. 1893, dokąd przybył w czasie zjazdu zarządu muzealnego, aby wyperswadować emigrantom, że nie można powierzać pisania monografii o Kościuszce T. Korzonowi, bo historyk ten kształcił się w młodości w Moskwie i nie budzi w Polaku zaufania...[20]

Nigdy nie mogłem zrozumieć, o co właściwie spiera się w Krakowie "Nowa Reforma" z "Czasem", myśleli bowiem i robili to samo i konserwatyści i demokraci. Bobrzyński nazwał to w III tomie "Dziejów Polski" "Pracą organiczną". Jedyną rozrywką w tej pracy było pogłębianie różnic socjalnych. Pod względem politycznym, jako Polacy, wszyscy patrzyli na Wiedeń, oczekując stamtąd uśmiechu losu.

Krój i obyczaj dziennikarski były też czysto wiedeńskie. "Słowo Polskie" było bardziej nowoczesne i żywsze, niż trzymające się resztkami tradycji współczesne dzienniki lwowskie. "Przegląd" (Masłowskiego), "Dziennik Polski" (Ostaszewskiego-Barańskiego), "Gazeta Narodowa" (organ ziemiański, red. Vogel). W jednym jednak tylko "Kurierze Lwowskim" Wysłoucha można się było doszukać nerwu polskiego, to znaczy myśli polskiej dziejowej, choćby w jego ciepłym traktowaniu ludu jako żywiołu narodowego. W "Słowie Polskim", jak wyżej na przykładzie pokazałem, krzyżowały się cienie myśli na tle pustki duchowej, wzajemnie się neutralizując. Była to tylko bardziej urozmaicona niż gdzie indziej czytanka, popis ilościowy papieru, niepotrzebnie za-

drukowanego, nie dającego żadnej strawy. Zalatywało od niego bankructwem finansowym (po katastrofie Szczepanowskiego), ale i moralnym.

Bynajmniej nie dla przechwałki, bo to nie była zasługa jednostek, ale prądu, który tutaj skierowaliśmy, ramy pisma od r. 1902 zaczęły się po trochu zapełniać jakąś treścią żywotną, począł się obieg krwi narodowej przez otwarcie połączeń z innymi dzielnicami. Artykuły wstępne Popławskiego 21/ wymierzały zjawiskom właściwą perspektywę polskiej polityki. Gęsta sieć korespondentów krajowych dostarczała wcale poważnego materiału, jednolicie oświetlonego. Stosunek do Wiednia określał się godziwie w dystansie narodu do obcego państwa.

Po przeniesieniu punktu ciężkości z Wiednia do kraju, zmienić się musiał charakter literacki pisma. Urwał się obyczaj czerpania utworów i artykułów z prasy wiedeńskiej. Pismo nie było już zalane tandetnymi przekładami nowel i ciekawostek niemieckich, a zwłaszcza rosyjskich. Do największego szyku należało przedtem posiłkowanie się literaturą rosyjską w dzienniku, który patriotyzm utożsamiał z moskalofobią. Na ogół nie bardzo wiedziano, co z miejscem w dużym piśmie robić, dawano więc, oprócz codziennej noweli tłumaczonej (mały felieton) trzy powieści w odcinkach, z tych jedną w wydaniu porannym. A odcinki sięgały czasem jednej strony. Wiele miejsca zajmowały tzw. rozmaitości, banialuki ściągane z gazet wiedeńskich. Codzień dwie strony poświęcone były jakiemuś specjalnemu działowi, poniedziałek dział technologiczny, wtorek kobiecy, środa rolniczy, czwartek handlowo-przemysłowy itd., niedziela literacki. Istniała ku temu osobna teka, jak harmonijka z siedmiu przedziałami, gdzie segregowało się rękopisy i wycinki, czekające kolei po parę miesięcy. Kolumny te na zapas przygotowywane, mogły równie dobrze po roku być drukowane - były martwe i nikt ich nie czytał.

W ogóle wprowadzenie do dziennika specjalnej rubryki rzeczowej znaczy tyle, co dać ostrzeżenie: możecie tego nie czytać, bo to dla specjalistów. Oduczono w ten sposób ludzi w Polsce od zajmowania się sprawami gospodarczymi. To też rewolucją było w "Słowie Polskim" skasowanie tej akademii i rozprowadzenie stąd krwi bieżącej po całym dzienniku. Informacja nabrała wtedy życia przez samo zaktualizowanie i uwydatnienie według znaczenia dla stosunków miejscowych i całej Polski.

Związek z Wiedniem utrzymywał się tylko przez korespondenta: na stałe obowiązywały nas z dzienników obcych francuskie i angielskie. Znakomicie odświeżyło to źródło informacji i odcięło nas od szablonu innych dzienników, przedrukowujących w kółko te same wiadomości z innych dzienników wiedeńskich. Wydobył się też na plan pierwszy pierwiastek pisarski oryginalny zarówno w publicystyce jak i beletrystyce.

Hodowaliśmy młode talenty, odzywające się z zapadłych kątów małopolskich. Mając dzienniki sobie pokrewne w innych dzielnicach, mogliśmy z czasem nabywać do spółki dzieła autorów droższych i jednocześnie je drukować. W ten sposób ogłaszaliśmy rzeczy Sienkiewicza, Reymonta, Tetmajera, Ksprowicza i innych.

Jedną powieść tłumaczoną dawaliśmy w arkuszu książkowym w poniedziałek, z czego sformowała się niebawem z nadbitek cała biblioteczka, poszukiwana przez księgarzy. Kasprowicz podjął się redagowania literackiego dodatku niedzielnego. Zbierały się tam bardzo cenne rzeczy. Był to tygodnik w mniejszym formacie na dobrym papierze, osobno numerowany. Mam u siebie jeden taki komplet z r. 1902 (nr 1 - 26, lipiec-grudzień). Z poezyj ogłoszono tam utwory: Kazimierza Bełzy-Ostrowskiego, L. Staffa, D-moll (Maryli Wolskiej), Wincentego Brzozowskiego, Zdzisława Dębickiego, J. Kasprowicza, Józefa Ruffera, Jerzego Żuławskiego, Kornela Makuszyńskiego (pierwsze utwory), Br. Ostrowskiej, Adama Łady (Cybulskiego), Kazimierza Glińskiego, Wacława Radziszewskiego, Z. Kaweckiego, a w przekładach są tutaj: Verlaine, Mombert Nietzsche, Proudhomme, Edwin Arnold, Maeterlinck. Artykuły literackie zamieścili tutaj: Kaz. Twardowski, Adam Siedlecki, Lud. Bernacki, St. Malczart (Malewski), J.L. Popławski, Wł. Witwicki, Wł. Kozicki, O. Ortwin, A. Potocki, Jan Karłowicz, M. Olszewski, Maria Rygier. Nowele Dygasińskiego, Płomieńczyka (Wolskiej), Z. Wójcickiej, Anatola France, I. Wazowa, Emmy Jeleńskiej, W. Żmudzkiego i in. Poza tym wiele krytyk i notat.

Wszystko to szło w parze z polityką. Przerwę więc opowiadanie o redakcji, aby coś powiedzieć o pracy politycznej. To tylko dodam, że zmiana kierunku i treści podobała się czytelnikom. Przybywało ich coraz więcej; po kilku latach biliśmy z górą trzydzieści tysięcy egzemplarzy, co miało swoje znaczenie dla naszej działalności politycznej.

1o. Szranki polityczne "Słowa Polskiego".

Objęcie tego rodzaju posterunku było równoznaczne z wkroczeniem Demokracji Narodowej na teren polityki realnej dzielnicowej. Galicja była pierwszym polem, na którym wystąpiliśmy z odkrytą przyłbicą. Znany był program Stronnictwa na zabór rosyjski od r. 1897, ale tam dopiero od wojny japońskiej zaczęło się robić miejsce na politykę jawną. Na Śląsku w r. 19o4 wybrani zostali pod tą firmą Korfanty i Jan Kowalczyk. W Galicji w owym roku 19o2 trzydzieści lat temu, patrzano na nas, jak mówiłem, nieżyczliwie, ale też i z dużą dozą ciekawości, gdzie my też znajdziemy miejsce dla siebie. Teren bowiem polityczny był całkowicie rozebrany między stronnictwa według klucza interesów klasowych. Konserwatyści - to była większa własność ziemska i kapitały, demokraci polscy - to mieszczaństwo, Żydzi - przemysł, inteligencja, ludowcy - to chłopi, socjaliści - to robotnicy. Wszystko miało swoich "zastępców", tylko naród się zgubił. Jego interesów nie miał kto bronić. Najwięcej obycia ze sprawami narodowymi mieli konserwatyści, ale od dłuższego czasu, złożywszy je z zaufaniem w ręce monarchy ("przy tobie, panie, stoimy") identyfikowali je z interesami monarchii. Była pod tym względem zgoda między stronnictwami.

Można sobie wyobrazić, jakim okiem patrzano na intruzów. Czego my chcemy od Galicji? Patriotyzm czynny - tak myślano - był na swoim miejscu w zaborze rosyjskim, który - wiadomo - miał przeznaczenie walczyć z caratem. Ale co myśl narodowa ma do roboty w Galicji, gdzie są tylko zagadnienia socjalne?

Myśmy podjęli motyw narodu, który się zgubił. Orientacje nasze były międzyklasowe. Zapowiadaliśmy otwarcie, że pójdziemy wskróś wszystkie ugrupowania społeczne.

Należało wystąpić z programem realnym na zabór austriacki i z kadrami ludzi na robotę narodową zdeklarowanych i korzystając z nadarzających się wyborów do Sejmu czy do Rady państwa, wystąpić z swoimi kandydatami. Ten przeskok z publicystyki na robotę polityczną w kraju miał zadecydować o naszej przyszłości. Przy pomocy stosunków już wyrobionych przez Ligę Narodową i "Wiek XX", zaczęliśmy spisywać na kartce ludzi, na których liczyć możemy. Znalazłem taką kartkę w notesie z owych czasów. Przytoczę spis pierwszych naszych przyjaciół, zapraszanych na narady w sprawie założenia stronnictwa.

Z obecnych do Ligi Narodowej należeli: Popławski, Wasilewski, Hłasko, Ernest Adam, Piotr Panek, Jan Kasprowicz, Antoni Sadzewicz, Tadeusz Moszyński, Bronisław Koskowski, Józef Pawłowski, Roman Sochaczewski, Jan Załuska, Zygmunt Ihnatowicz, Jan Gw. Pawlikowski, Zdzisław

Próchnicki, Leonard Tarnawski, Franciszek Bujak, Gabriel Sokolnicki, Stanisław Biega, Emil Schmidt, Wład. Turski, Ignacy Domagalski, Marcin Ernst, Czesław Sobolewski, Stan. Kośmiński, Adam Szelągowski, Stefan Surzycki, Franc. Rawita-Gawroński, Feliks Godlewski.

Poza tym do Ligi Narodowej należeli już wtedy powołani ze Związku Młodzieży Polskiej: Edmund Moszyński, Stefan Dąbrowski, Adam Skałkowski, Jan Leszczyński, Kazimierz Jarecki, Edward Dubanowicz, Antoni Plutyński, Stan. Kasznica i najmłodszy Stan. Stroński.

Z przyjaciół pisma, których chcieliśmy mieć w stronnictwie, zaproszeni byli: Zbigniew Pazdro, Józef Buzek, Antoni Surowiecki z Tarnobrzega, A. Doerman z Tarnopola, Jan Rozwadowski, Stan. Bal, dr Piotr Kucharski, dr Adam Szulisławski, Wł. Studnicki, dr Czesław Uhma, Kaz.Twardowski, prof. Wacław Wolski, Tadeusz Sobolewski, Wiktor Ungar, Tadeusz Cieński, Adolf Cieński z Olejowa, poseł Bolesław Żardecki, poseł St. Jabłoński z Rzeszowa, poseł Albin Rayski, poseł Paweł Stwiertnia, poseł Stan. Głąbiński, poseł Michał Grek, Henryk Sawczyński członek Wydziału Kraj., Bron. Schworm, poseł Tytus Bujnowski, Eug. Pierożyński, Seb. Stafiej z Krakowa, Józef Bek z Limanowy, Miecz. Skrzetelski z Jabłonowa, Zdz. Grodecki ze Stryja, Eug. Nawarski z Czortkowa, St. Basiński z Sanoka, dr Jan Opieński z Żółkwi, Józef Gałant z Zagórza, St. Błotnicki ze Stanisławowa, Antoni Fibich z Mielca, Stan. Srokowski z Tarnopola, Wiktor Lechowski z Drohobycza, Mikołaj Kiedacz z Drohobycza, dr Maciej.wski z Biecza, Wojciech Biechoński (dyr. Banku Związ.), dr Janiszewski z Zakopanego, Adam Głażewski z Chmielowa, Karol Krusestern z Szczerca, Emil Obertyński z Odnowa, Kaz. Obertyński ze Stronibab, Ign. Podlewski z Czernichowa, Leon Podlewski z Bajkowic, Bol. Orzechowicz z Kalnikowa, Al. Raciborski ze Spasowa, poseł Franc. Rozwadowski, Wład. Serwatowski z Jezioran, poseł Stan. Schaetzel, Zeitleben z Zahajec, Al. Małczyński (Bank Kraj.), dr Ludw. Gąsiorowski z Oświęcimia i in.

Z pomienionych tu osób do Ligi Nar. weszli potem: Rozwadowski Jan i Stan. Głąbiński. Wszyscy niemal weszli do Stronnictwa, a między nimi posłowie na Sejm: Schaetzel, F. Rozwadowski, T. Bujnowski, S. Głąbiński, S. Jabłoński, no i L. Tarnawski.

Chowam jako pamiątkę autograf Jana Popławskiego w postaci kartki przez niego zredagowanej, którą w druku potem rozesłaliśmy do pomienionych wyżej osób.

"Bardzo poufne /wyraz bardzo przekreślony/.
Wielmożny Panie.
Dnia 17 bm. odbędzie się we Lwowie zebranie poufne w celu dyskusji nad programem i projektem organizacji Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego.
W przekonaniu, że WPan uznaje potrzebę takiej narady i że sam będzie chciał w niej wziąć udział, zapraszamy go niniejszym na poufne zebranie i prosimy o zawiadomienie nas jak najrychlej,

- 126 -

czy możemy liczyć na pewno na Jego przybycie.

Zgłoszenia i żądania wyjaśnień prosimy nadsyłać pod adresem: dr Ernest Adam, Lwów, Galic. Kasa Zaliczkowa, Teatralna 11.

Zebranie odbędzie się 17 bm. we Lwowie w sali .... o godz. 1o rano.

W sobotę, 16-go w tejże sali odbędzie się zebranie towarzyskie w celu wzajemnego poznania się uczestników.

/Podpisy były takie:/

Dr Stanisław Głąbiński, poseł do Rady państwa
Dr Leonard Tarnawski, poseł na Sejm kr.
Władysław Turski, członek Rady m. Krakowa, prezes "Sokoła" krakowskiego
Dr Ernest Adam, dyrektor Galic. Kasy Zaliczkowej
Jan Ludwik Popławski, redaktor.

Lwów, d. 4 stycznia 19o4 r.

Powoli więc postępowały prace organizacyjne. Zakończyły się one uchwaleniem programu i schematu organizacji na drugim zjeździe Stronnictwa w dniu 8 i 9 grudnia 19o5 r. Pierwszym prezesem Stronnictwa był St. Głąbiński. Komitet główny Stronnictwa w r. 19o5 stanowili: St. Głąbiński prezes, jego zastępcy: Leonard Tarnawski, J.G. Pawlikowski, członkowie: Ernest Adam, August Balasits, Stan. Bal, Adam Głażewski, J.L.Popławski, Zdz. Próchnicki, Jan Rozwadowski, Wład. Turski. Skład ten trwał niedługo, po wyjeździe bowiem Popławskiego i wstąpieniu do "Słowa Polskiego" St. Grabskiego (19o7) wobec zwiększenia się prac parlamentarnych Głąbiński objął zwierzchnictwo kół sejmowego i parlamentarnego, prezesem zaś Stronnictwa został J.G. Pawlikowski ze St. Grabskim jako wiceprezesem.

*

Jednym z pierwszych ludzi miejscowych, do których zwróciliśmy się z zaufaniem jeszcze w r. 19o2, był profesor uniwersytetu lwowskiego, prawnik i ekonomista, członek Rady miejskiej, dr Stanisław Głąbiński. Był on także dziennikarzem i publicystą, współredaktorem "Gazety Narodowej", dziennika ziemian podolskich, najbliższych nam duchem narodowym spośród ziemiaństwa. Wypadło mnie właśnie porozumieć się z nim o współpracownictwo i zbadać, czy możliwe jest zbliżenie. Porozumieliśmy się od razu.

Właśnie umarł T. Romanowicz. Głąbiński zgodził się kandydować na opróżniony po nim mandat ze Lwowa do Rady państwa. Przy pomocy "Słowa Polskiego" z łatwością wybór przeprowadziliśmy. Głąbiński zadecydował o rozwoju politycznym rodzącego się Stronnictwa. Był cały czas do wojny leaderem poselskich klubów naszych w Sejmie i Radzie państwa, najpopularniejszym przedstawicielem naszym wobec społeczeństwa, podporą naszego pisma. Nakreślę w paru rzutach linię jego kariery politycznej.

Właśnie w tym roku 19o2 w żniwa Galicją wstrząsnął strajk rolny ludności ruskiej. My dzisiaj (od r. 1913) dobrze wiemy, że ruch wśród

Rusinów miał swoją sprężynę w Niemczech, że sprzyjała mu Austria. W r. 1846 polityka polska Austrii była prymitywna - puszczono chłopów z nożami na szlachtę personalnie; teraz są metody socjalistyczne - strajk. Nie jest dotąd rzeczą wyjaśnioną, czy konserwatyści krakowscy nie wiedzieli o działającej tam ręce niemieckiej. Wówczas przypisali ten strajk i bunt złej polityce "podolaków" i ... Demokracji Narodowej. Powtarza to i dziś jeszcze Bobrzyński w swoich "Dziejach". Demokraci i liberalni i socjalni byli duszą po stronie Rusinów. Czyż można sobie wyobrazić "demokratę" - tak myślano - który by mógł przeciwstawić się jakiemuś ruchowi?

Tymczasem znalazł się taki demokrata, ale narodowy: Głąbiński. Był już wtedy posłem do parlamentu z naszego poparcia, związany ze "Słowem Polskim" ideowo. W październiku na jednym z pierwszych posiedzeń parlamentu wynikła debata w sprawie ruskiej. Daszyński dokonywał cudów krasomówstwa w obronie Rusinów. Aliści zapisał się do głosu Głąbiński i w świetnej mowie wypowiedział zdanie tego kroju:

"Igraszki Rusinów sprawiły jednak, że polskie stronnictwa (tak im wmawiał dla dodania Polakom powagi) zbliżyły się do siebie i można wyrazić nadzieję, że to zbliżenie będzie także i nadal utrzymywane.

"I tak widzicie mnie tu, panowie, mnie - reprezentanta polskiej demokracji narodowej, broniącego bez zastrzeżeń interesów wszystkich Polaków w Galicji Wschodniej. Jestem upoważniony oświadczyć to samo imieniem opozycyjnej partii ludowej.

"My, demokraci, jesteśmy zdecydowani poświęcić nasze mienie, w koniecznym razie także nasze życie dla narodowej sprawy w Galicji Wschodniej".

Pierwszy to raz z trybuny parlamentarnej wymieniono nazwę nowego stronnictwa. Budzić to musiało pewną czujność ze strony zaborców. Wiedziano już dawno (od r. 1895: powstanie "Przeglądu Wszechpolskiego") o ruchu, który się poczynał w Warszawie. W r. 1897 była już organizacja Stronnictwa D.N. w Warszawie, ale poufna. A oto teraz w Galicji ukazuje się jawnie. Niebawem w r. 1903 w Katowicach pod tym zawołaniem wybrani byli posłowie do parlamentu berlińskiego: Korfanty i Kowalczyk. Zbliżał się czas, że sprawa polska znowu wypłynie na powierzchnię; zaborcy porozumiewali się, jakby teren tej sprawy okroić, a więc przyśpieszono sprawę "ukraińską", potem wypływa Chełmszczyzna, wzmaga się system eksterminacyjny w Prusiech. A jednocześnie w Galicji mobilizowane są stronnictwa do walki z ruchem wszechpolskim. Ogłoszony niebawem (1905) program Stronnictwa D.N. zaczynał się od słów:

"Stronnictwo D.N. w państwie austriackim jest związkiem politycznym Polaków, którzy przyjmując za punkt wyjścia swego programu jedność narodu polskiego, jego prawo i zdolność do niezawisłego bytu politycznego i potrzebę nieustannej pracy dla osią-

gnięcia tego bytu, ma w dzisiejszych warunkach prawnych na celu: a/ zdobycie dla społeczeństwa polskiego w tym państwie jak największej samodzielności politycznej, kulturalnej i gospodarczej" itd.

Zaczęła się wtedy walka z "orientacją austriacką". Nie w roku 1914 ona się zaczęła, ale już w r. 1902. Kadry późniejszego NKN'u z czasu wojny i ich duch, który przeżył wojnę i Austrię, aby pokutować dalej w wolnej już Polsce, formowały się szereg lat pod komendą rządu austriackiego przy pomocy intelektualnej stańczyków.

Galicja wschodnia, czujniejsza narodowo niż zachodnia, oświadczyła się za nami: świadczyło o tym powodzenie "Słowa Polskiego" oraz rezultaty wyborów do Sejmu i parlamentu. Po reformie wyborczej (na rzecz powszechności) Koło Polskie w Wiedniu (1907-10) liczyło demokratów narodowych 20; konserwatyści spadli do 9; demokraci polscy do 11; ludowcy, którzy już należeli do Koła, mieli 18 miejsc, prócz tego Stojałowczycy (do nas zbliżeni) 6. Prezesem Koła był Głąbiński, ten, który w r. 1902 sam jeden nas reprezentował.

Ten stan rzeczy był dziełem bardzo dużego wysiłku organizacyjnego i publicystycznego Stronnictwa, ale w swoim wyrazie parlamentarnym był niepodzielną zasługą Głąbińskiego. W nim pierwszy raz poznałem, co to jest człowiek kompletny w doskonałej kulturze pracy. Człowiek uregulowany, wypracowany wewnętrznie, harmonijnie zestrajający swoje bogactwo moralne z intelektualnym.

Poziomem, na którym budował, była lojalność wobec idei (zasady), lojalność, która - w miarę wysiłku, dla idei ponoszonego, zamieniała się w przywiązanie. Obawiano się jego dobroci, która w stosunkach z przeciwnikami mogła prowadzić do kompromisowości. Był ustępliwy, ale ustępował raczej z siebie, nigdy z idei - to była trwała podstawa.

Imponował ludziom swoją wiedzą w zakresie zagadnień społecznych, pamięcią, biegłością i świetną gospodarką słowa. Ale zdobywał sytuację i utrwalał charakterem. Nie myśli o sobie, gdy coś robi, nie komplikuje walki rachunkiem osobistym; niezwykle wyrozumiały i szanujący cudzą miłość własną, daje przeciwnikom wielkie fory, aby się odegrać rzeczowo. Zanim mu ktoś się przeciwstawi, wprzód stwierdzić w sobie musi, że go poważa, że mu wierzy, że nawet go lubi.

Byli ludzie, którzy na jego uczciwość polityczną i prawdomówność patrzyli jak na manewr taktyczny. Austria od góry do dołu budowana była na kłamstwie; człowiek posługujący się prawdą miał wielkie szanse, dezorientował bowiem i psuł szyki. W oczach polityków wysuwanie prawdy wyglądało na rafinowane kłamstwa dla jakichś ukrytych celów. Cesarz Franciszek Józef tak znużony był kłamstwem i pochlebstwem otoczenia, że miał przyjemność osobistą w wyróżnieniu Głąbińskiego. Kiedy ten w r. 1911 był prezesem delegacji wspólnych i ministrem, cesarz

zrobił mu wyznanie: "Pan jest jedynym Polakiem, który pod nikim nie kopie dołków".

Siła twórcza Głąbińskiego polega na tym, że darom swoim nie daje próżnować. Zadziwiająca jest łatwość i wydajność jego pracy. Nie było momentu w jego karierze politycznej, żeby dla swych rozlicznych zajęć przerwał wykłady uniwersyteckie. Posłował i kierował pracą swoich grup w trzech izbach prawodawczych, bo nie tylko w Sejmie galicyjskim i parlamencie wiedeńskim, lecz i w sejmie bukowińskim, wybrany z Czerniowiec. Noce spędzał w wagonie, do którego wsiadał wprost z posiedzenia, aby rano z walizką zjawić się w innym mieście. W czasie swej prezesury w Kole Polskim potrafił być jednocześnie rektorem uniwersytetu lwowskiego i to wzorowym. A jednocześnie zamykając się na ferie w bibliotece, wykończał swoje dzieło o skarbowości.

Zabiegali drogę Głąbińskiemu Bobrzyński, potem Biliński. Sięgnijmy po zarzucony w tym opowiadaniu wątek sprawy ruskiej. Po owym strajku rolnym namiestnik Leon Piniński ustąpił miejsca (1903) konserwatyście krakowskiemu Andrzejowi Potockiemu. Tamten pomówiony był o popieranie polityki ziemian podolskich, którzy radykalnym żywiołom hajdamackim przeciwstawiali lojalność Starorusinów i na nich oprzeć się chcieli. Nazywało się to po austriacku moskalofilstwem, politycznie podejrzanym. Potocki był człowiekiem uczciwym i zachodziła obawa, że dojdzie z Rusinami do porozumienia.

Wtedy podesłano Siczyńskiego, który Potockiego zamordował (1908). Dopiero następca jego, Michał Bobrzyński, pokusił się o radykalne przeprowadzenie planów niemiecko-austriackich co do Galicji wschodniej. Na to trzeba było obezwładnić Demokrację Narodową i tak rzecz urządzić, aby hasła narodowe, bez których - niestety - społeczeństwo polskie żyć nie może, trochę pomylić. O cóż chodzi? o niepodległość? Rzuci się hasło "niepodległości" (w cudzysłowie), głosić je będą odtąd socjaliści, liberali, Żydzi. To pewniejsze. Demokraci narodowi - to wrogowie niepodległości, moskalofile.

Jednocześnie z przygotowaniami umysłów do wojny, o której się mówiło już od r. 1909, wynikła konieczność rozwiązania parlamentu, a nowe wybory usunąć miały z widowni Demokrację Narodową. Bobrzyński posłużył się w tej mierze zblokowaniem stronnictw w celu osaczenia i zniszczenia obozu narodowego. Opierali się temu zrazu ludowcy, pamiętni może tego, że ich pierwszego wodza Bojkę, nasz Popławski w r. 1900 wypromował na posła. Ale rząd zawczasu wysunął w tej grupie na czoło Stapińskiego i kupiwszy go za gotówkę, wcielił ludowców do bloku.

Wyniki wyborów, dokonanych pod presją rządową, otrąbiono jako zwycięstwo ładu nad "anarchią". W nowym parlamencie Demokracja Narodowa miała już tylko dziesięciu posłów, za to stańczycy dwudziestu dwu.

Oni też wzięli na siebie odpowiedzialność za politykę polską Austrii w czasie wojny.

Na czele Koła stanął wkrótce Biliński. On też w r. 1917 staczał boje z obezwładnionym, zdawało się, Głąbińskim. Do niego to wystosował Głąbiński w kwietniu tego roku słynny list, piętnujący dwuznaczność polityki Koła. Biliński częstował Polaków (w r. 1917!) częściowym usamodzielnieniem Galicji w ustroju austro-węgierskim. Gdyby nie interwencja Franciszka Józefa, Głąbiński byłby aresztowany, Al. Skarbek uszedł za granicę.

Głąbiński przyjął rozgrywkę na gruncie moralnym i zwyciężył. Sprowokował sumienia polskie w większości Koła parlamentarnego i sejmowego, które w maju 1917 uchwaliły deklarację, domagającą się zjednoczenia ziem polskich. Był to wniosek Głąbińskiego. Gdyby Biliński miał jeszcze w sobie poczucie narodowe polskie, to podałby rękę swemu przeciwnikowi: Galilee vicisti. Chorobliwa pycha nie pozwoliła tego zrobić Bobrzyńskiemu, który do swych błędów nie przyznał się nawet w swoich "Dziejach" teraz pisanych.

Głąbiński zaczynał sam w r. 1902, wstępując do parlamentu jako jedyny przedstawiciel obozu "wszechpolskiego" i skończył sam, jednak nie padł pod gruzami polityki austriackiej. Ogołocił się zawczasu sam z orderów i tytułów, nadanych mu przez Austrię i pozostał sobą na fali życia polskiego, która go wiernie niosła i wysoko w narodzie wyniosła[12].

11. W latach 1905 - 1915.

Rok 1905 po zwinięciu "Przeglądu Wszechpolskiego" był dla "Słowa Polskiego" w pewnym znaczeniu przełomowy. Traciłem dotychczasowe oparcie warszawskie. Dmowski, Popławski, Balicki, Hłasko przenosili się po trochu z powrotem do zaboru rosyjskiego. Działalność polityczną w stosunku do Rosji trzeba było zacząć z innej beczki; rola obserwatora Rosji i propagatora wszechpolskiej idei niepodległości była niewystarczająca, bądź też niemożliwa w piśmie, wydawanym w zaborze jednego z państw "centralnych". Cały ciężar odpowiedzialności za tę ideę spadał na "Słowo Polskie", pozbawione przy tym sił, tym kierunku najbardziej miarodajnych.

Miejsce po Popławskim zajął Stanisław Grabski, który niedawno osiadł we Lwowie i w organizacji Stronnictwa D.N. okazał tyle ruchliwości, że zajmował już stanowisko wiceprezesa zarządu przy boku prezesa Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Przy wielu zaletach temperamentu i umysłu jako wychowawca polityczny nie dorównywał Popławskiemu. Zbywało mu na darze intuicji, która do kierowania myślą społeczeństwa jest niezbędna.

Obserwując jednostki ze szkoły socjalistycznej tej pierwszej epoki, kiedy socjalizmu uczono się teoretycznie na księgach (nie w bojówkach), łatwo spostrzec, że szkoła ta zostawiała w umysłach niezatarte ślady, jeśli nie w poglądach, to w metodzie myślenia o życiu zbiorowym. Grabski górował nad wielu nie tyle oryginalnością (samodzielnością) widzenia, ile umiejętnością dobrego formułowania cudzych widzeń. Każdy jego szlak myśli był szeregiem każdorazowych formuł, nie zawsze z sobą powiązanych trybem wnikliwości. Każda z takich formułek w tych warunkach improwizacji miała charakter doktrynalny i wartość sofistyczną. Grabski w każdym z osobna wypadku miał rację i przekonywał, ale były to racje logiczne, doskonale skonstruowane, nie życiowe, bo prawdy żywe są rzeczowe, nie logistyczne; drogi dziejowej nie można wyspekulować, trzeba ją wypatrzeć.

Grabski był uczonym w zakresie wiedzy społecznej i to była jego rola właściwa. Ale temperament nie pozwalał mu być obojętnym na sprawy bieżące, pełen był dobrej woli w działaniu, metoda jednak dedukowania kroków z doktryny wytwarzała w zetknięciu z życiem w jego postępowaniu i publicystyce linię szarpaną. Publicyście przydaje się uczoność, ale ona nie jest jej zasadą, publicyście potrzebna jest mądrość. Mogłem to ocenić przez zestawienie indywidualności Grabskiego z Popławskim, pełnym spokoju sternikiem idei.

Umysłom spekulatywnym odbiera spokój myśl, że świat politycz-

ny jest terenem konkursowym oryginalnych pomysłów; stąd niezdrowe poczucie współzawodnictwa i zbyt wielka waga nadawana chytrości jako cnocie politycznej. Grabski chciał uchodzić za człowieka przebiegłego, a nie był nim. Przeciwnicy polityczni łatwo to spostrzegali i wyzyskując jego słabość w tym punkcie, uzależniali go od siebie.

Z tego powodu wybitna inteligencja i energia wyznaczyły Grabskiemu, zwłaszcza w czasie wojny i potem do r. 1926, znaczną rolę w życiu politycznym. We Lwowie więcej oddawał się pracy w Stronnictwie przy boku Pawlikowskiego niż publicystyce. Udział jego w "Słowie Polskim" ograniczał się do pisania co jakiś czas artykułu wstępnego. Dziennik trzymał się na wyżynie zadań zespołową pracą licznych współpracowników przy wybitnej pomocy Głąbińskiego, który nadawał kierunek opinii w stosunku do spraw dziejących się w Wiedniu. Pod bacznym okiem Głąbińskiego doskonale wywiązywał się z zadań korespondenta wiedeńskiego (telefony i listy codzienne) Adam Nowicki. Opinię miejscową oczywiście najwięcej interesowały sprawy galicyjskie, ale powaga "Słowa Polskiego" i jego siła atrakcyjna bardzo rosły w obliczu przemian, które odbywały się w zaborze rosyjskim. Dało się to odczuć i rozumieć powszechnie, że "Słowo Polskie" jest organem narodowym wtajemniczonym we wszystko, co się dzieje za kordonem. W r. 1907 (w listopadzie) współpracownicy i protektorzy "Słowa" Głąbiński i Dmowski byli już prezesami Kół poselstwa polskiego: jeden w parlamencie wiedeńskim, drugi w petersburskim. Miało to jednak swoje konsekwencje w stosunku do rządu wiedeńskiego, który ze wzrostu ruchu wszechpolskiego nie mógł być zadowolony, zwłaszcza gdy Głąbiński, jako prezes Koła Polskiego, a później prezes wspólnych delegacji austro-węgierskich wypowiadał się otwarcie przeciwko sojuszowi austro-pruskiemu. Rządy zaborczych państw działające w porozumieniu, chcąc zapobiec dochodzącej do głosu sprawie polskiej, przedsiębrały szereg środków, aby tę sprawę przynajmniej zredukować. Rosja zarządziła wcielenie Chełmszczyzny do cesarstwa, Prusy wzmogły system wywłaszczania, Austria zaś pod naciskiem Niemiec zabrała się do sprawy ukraińskiej, przy pomocy zaś oddanych sobie konserwatystów krakowskich (Bobrzyński) zblokowała stronnictwa galicyjskie przeciwko Demokracji Narodowej. "Słowo Polskie" znalazło się pod coraz gwałtowniejszym obstrzałem całej uzależnionej od rządu i bloku Bobrzyńskiego prasy polskiej.

Usiłowałem postawić dziennik na takiej stopie, aby idea narodowa, której on służy, nie nadawała mu charakteru akademii dla elity ideowej, lecz by czytany był przez wszystkich. "Słowo Polskie" spełniało rolę organu propagandowego przez to, że wiązało swoją obsługę dziennikarską ze wszystkim, co życie niosło. Osiągnąć się to daje prasie, gdy dociera do głębi moralnej życia. Przeprowadzałem zasadę

produkcyjności pracy powszechnej i aktywności we wszystkich dziedzinach. Hasłem naszym było: "pracą i walką" z tym, że każda praca jest walką, a walka - pracą. Działalność pisma rozłożyła się na dwa fronty - polityczny i kulturalny - ściśle z sobą współdziałające. Wymienię ważniejsze fakty tej inicjatywy.

Zaczynając od samych siebie daliśmy przykład racjonalnej gospodarki w przemyśle prasowym. W ciągu kilku pierwszych lat pracy doszliśmy do posiadania placu na ul. Zimorowicza i zbudowaliśmy tam kamienicę z oficynami - tzw. dom "Słowa Polskiego". Drukarnię zaopatrzyliśmy w najpostępowsze maszyny i linotypy. Z małym obdłużeniem zrobiliśmy to z dochodów pisma. Wielką w tym zasługę miał Zygmunt Medycki, administrator pisma. Sam sporządzał plany, nawet rysunek ściany licowej i schodów. Niestety, po wojnie "sanacja" wywłaszczyła nas z tego majątku przy pomocy oszustów.

Wspominałem już o walce politycznej. Toczyliśmy ją z socjalistami, z konserwatystami, z "blokiem" Bobrzyńskiego, z Ukraińcami, z prasą żydowską. Socjaliści rzucali na redakcję naszą bojówki, jednego poranka urządzono na mnie napad przed domem, nasza młodzież odpierała napady hajdamaków na uniwersytet itd. Wszystko to musiało znaleźć swój odpowiednik w kampaniach publicystycznych, a były huraganowe, gdy przychodziły wybory. Z każdej zaś takiej walki pragnęliśmy wyciągnąć korzyść pozytywną przez wzmocnienie podstaw polskiego stanu posiadania, zagrożonego przez niemiecką agitację w Galicji na rzecz Ukrainy.

Gdy w r. 1908 hajdamaka Siczyński zamordował namiestnika Andrzeja hr. Potockiego, "Słowo Polskie" wezwało czytelników do składek na żywy pomnik tego dobrego Polaka. Fundusz, przeznaczony na budowę burs szkolnych dla dzieci z ludu Towarzystwa Szkoły Ludowej (Wydział burs pod kierunkiem Ernesta Adama) uzyskał z tych składek, zbieranych przez "Słowo Polskie" kilkaset tysięcy koron.

T.S.L. było przedmiotem szczególnej pieczy naszej. Wobec nadchodzącej 500-ej rocznicy Grunwaldu wezwałem do składek pod hasłem "Dar grunwaldzki" na akcję oświatową T.S.L. na kresach. Składki przyniosły w ciągu paru lat z górą milion koron.

Popieraliśmy gorąco a z doskonałym rezultatem ruch organizacyjny Sokoła. Był to szczytowy moment rozwoju tej organizacji, mającej we Lwowie największe kadry, Lwów też był siedzibą Związku Sokolstwa Polskiego. Pod patronatem "Słowa Polskiego" powstało harcerstwo wśród młodzieży szkolnej. Mój syn był jednym z najpierwszych skautów.

"Słowo Polskie" pierwsze z dzienników polskich wprowadziło stałą rubrykę sportową. Prowadził ją Kłośnik (pseud. Januszewskiego). Dotarliśmy tymi trzema ruchami: sokolim, harcerskim i sportowym - do potrzeb kultury fizycznej mającej na celu wzmożenie aktywności polskiej.

A z drugiej strony stworzyliśmy przez to siłę, którą można było przeciwstawić politycznie organizacjom strzeleckim, formowanym przez socjalistów pod patronatem austriackiego sztabu wojskowego.

Jeśli zważymy, że mieliśmy w piśmie najlepszą w prasie literaturę (powieści Sienkiewicza, Reymonta i innych) i krytykę naukową oraz artystyczną, współpracę profesorów uniwersytetu z zakresu humanistyki i takich ekonomistów jak Głąbiński, Grabski, Pawlikowski, że wreszcie dbałość o wychowanie pogłębiliśmy w kierunku wyćwiczenia fizycznego, - to uzyskamy obraz rozległej pracy kulturalnej, planowo obmyślanej. Było w tym wiele nowego dla społeczeństwa, przyzwyczajonego w prasie jedynie do intryg politycznych i do rozrywki, jaką daje czytanka, nie wiążąca umysłu z życiem.

Jak głęboko prowadzona była w "Słowie Polskim" orka dziennikarska, świadczy wielka ankieta, którą ogłosiłem w r. 1913 w sprawie uzdrowienia polskiego mieszczaństwa. Był to na wielką skalę pomyślany wywiad, czym są w społeczeństwie galicyjskim miasta i miasteczka, jaki jest właściwie ich charakter demograficzny, przede wszystkim etniczny, co ludność miast wytwarza, jaki jest stosunek ilościowy Żydów do ludności chrześcijańskiej w handlu, przemyśle i rzemiosłach, jakie są instytucje kulturalne itp. W akcji tej było niemało votum nieufności do urzędowej statystyki w ogóle, ale chodziło nade wszystko o poruszenie opinii w sprawie polszczenia miast przez dźwignięcie upośledzonego przez Żydów mieszczaństwa polskiego. Jaki jest stan posiadania polskiego w miastach ze statystyki urzędowej, niepodobna się było dowiedzieć, nie uwzględniała ona bowiem nigdzie poza wyznaniem stosunków etnicznych.

Przytaczam tę inicjatywę dla stwierdzenia, że akcja nasza w sprawie odżydzenia miast miała swój początek przed wojną i racjonalnie była poczynana.

Niemała była praca przygotowawcza. Należało bowiem z góry zapewnić sobie współpracownictwo w ankiecie, aby nie przysyłali odpowiedzi na pytania ludzie niepowołani lub fałszujący prawdę. W tym celu trzeba było przeprowadzić korespondencję z paruset upatrzonymi ludźmi w całym kraju. Wielką pomocą była organizacja Stronnictwa. Odpowiedzi były bardzo interesujące. "Słowo" ogłaszało je w miarę napływania; publiczność rozczytywała się w nich z wielką uwagą. Były to rewelacje. Kierował robotą i redagował odpowiedzi niezmiernie pracowity młody politechnik Józef Stokłosa, były korepetytor mego syna i pasierba. W prasie żydowskiej, demokratyczno-liberalnej i socjalistycznej okazano wielkie niezadowolenie. Napróżno usiłowałem przekonać Żydów, że sanacja miast leży również w ich interesie.

Z uzyskanego materiału pragnąłem stworzyć dzieło książkowe w pa-

ru dużych tomach. Robiło się tedy arkuszami odbitki w paru tysiącach egzemplarzy. Po ukończeniu druku miało nastąpić opracowanie zestawień ogólnych, dodanie indeksu itp. W r. 1914 było już gotowych kilkanaście arkuszy, gdy tymczasem wybuchła wojna i doskonale rozpoczętą pracę przerwała[23]. Dla historyka sprawy żydowskiej w Polsce i historyka miast polskich materiał zawarty w rocznikach "Słowa Polskiego" będzie kopalnią informacji. Kto wie, czy prasa polska nie będzie musiała wrócić do tej metody ankiet, jeśli statystyka urzędowa stan rzeczy będzie nadal maskowała.

Ostatnią na wielką skalę imprezą dziennikarską "Słowa Polskiego" już zupełnie polityczną i niezwykle w tej porze aktualną było wydobycie i ogłoszenie aktów tajnych Ostmarkvereinu w sprawie organizowania ruchu ukraińskiego w Galicji wschodniej. Publikacja tych aktów pod redakcją dziennikarza Krysiaka wywołała sensację w Polsce i za granicą. Ukończona na wiosnę 1914 r. miała się ukazać w Krakowie w osobnej księdze. Policja krakowska na żądanie władz pruskich wydania tej księgi wzbroniła.

Motorem ruchu narodowego, który znalazł swój wyraz wykonawczy w organizowaniu opinii publicznej zarówno w "Słowie Polskim" jak w organach organizacyjnie z nim związanych, "Polaku", "Ojczyźnie", "Wieńcu i Pszczółce" (Zamorski) oraz jakiś czas w kwartalniku "Ateneum Polskim" redagowanym przez prof. Stanisława Zakrzewskiego[24], - była Liga Narodowa. Dzieje tej organizacji tajnej, jeśli warunki pozwolą, będą niebawem opracowane w osobnym dziele historycznym. Wytyczne polityki polskiej ustalone były na zjazdach trójzaborowych, organizowanych dla bezpieczeństwa za granicą. Uczestniczyłem w nich w ostatnich latach przed wojną, gdy odbywały się w Budapeszcie, Berlinie i Wiedniu. Zjazd wiedeński na wiosnę 1914 r. był wyroczny dla dalszego przebiegu akcji politycznej w związku z nadchodzącą wojną. Miał wysoce dramatyczne momenty z powodu, że wyłamywał umysły z tradycyjnych torów polityki polskiej XIX w. do nowej orientacji wskazanej przez Dmowskiego. Według mojej obserwacji lud polski we wszystkich trzech dzielnicach daleko trafniej odczuł stanowisko Dmowskiego niż sfery oświecone, nałożone do polityki wyłącznie antyrosyjskiej. A przy tym dla Galicjan graniczyło z bohaterskim wysiłkiem pomyślenie samo o możliwości walczenia z państwami centralnymi.

Położenie moje jako redaktora decydującego się bez zastrzeżeń na wybór tej drogi stawało się trudne, ile że prócz władz państwowych czuwało nad pismem służalcze oko oddanego państwom centralnym obozu żydowsko-socjalistycznego.

Praca szła normalnie do lata. Piękna była wiosna 1914. Mówiło się o możliwości wojny raczej teoretycznie, ale gadało się o niej jeszcze głośniej przed pięciu laty. Wisiała gdzieś w powietrzu. Nagle padł strzał w Serajewie.

Było to hasło wojny.

12. Fatalna scheda.

Wojna rosyjsko-japońska dała początek nowemu okresowi sprawy polskiej. Roman Dmowski zrozumiał to pierwszy. Nie zrozumieli tego w sposób należyty ci, którzy z Polski chcieli uczynić rodzaj zawiasy w drzwiach między Austrią i Rosją. Dmowski rozumiał, że Polska w tym momencie zachwiania się Rosji powinna zrobić wszystko, aby świat odczuł, że między Rosją a państwami centralnymi istnieje Polska ze swymi aspiracjami państwowymi i z własnym programem politycznym. Nie mógł pozwolić na to, aby największy obszar Polski, pozostający w zaborze rosyjskim, stawał na usługi bądź Japonii, bądź Austrii w walce tych państw z Rosją. Plan Polski może być zupełnie inny, nawet musi być inny. Polska może wykorzystać Rosję w kierunku odwrotnym od tego, którego sobie Austria życzyła, a który popierała masoneria (Żydzi).

Konflikt tych odmiennych poglądów zaczęto już na kilka lat przed wojną nazywać sporem o "orientację". A ten spór otwierał przepastną szczelinę wewnątrz społeczeństwa polskiego, dlatego przepastną, że dotyczył nie tylko rzeczowego pojmowania drogi politycznej, lecz nade wszystko subiektywnego stosunku do Polski. Nie mogliśmy się porozumieć co do rzeczy tak elementarnej, jak ta, czy w robocie politycznej mamy na celu stworzenie lepszej przyszłości dla Polski, czy też sprawę polską mamy traktować jako dobrą okazję do załatwienia celów ubocznych, wynikających z jakiejś doktryny lub sugerowanych przez politykę - cudzą. Wystąpiło na pierwszy plan czające się od dłuższego czasu niebezpieczeństwo ze strony rozpolitykowanego socjalizmu. Prąd ten, zrodzony w duszy żydowskiej Marxa, wyhodowany w Niemczech i wobec Niemiec bezkrytyczny, zdyscyplinowany do walki z caratem rosyjskim, nie mógł nic innego na terenie Polski wyobrazić sobie politycznie, jak współdziałanie z rewolucją rosyjską. Jakie siły do tego będą mu pomocne, to było mu obojętne, w każdym razie za najwyższy w tej walce atut socjaliści polscy uznać musieli hasło "niepodległości".

Okres, o którym piszę, charakteryzuje najgłębiej ten rys życia politycznego i moralnego zarazem: walka o orientację. W walce tej były dwa fronty: demokratyczno-narodowy i socjalistyczny, jeśli go tak dla skrócenia nazwiemy według ugrupowania najbardziej politycznie czynnego po tej stronie. Jak daleko sięgały związki "ideowe" socjalistów, świadczyć może to, co zanotowałem wyżej: że w r. 1901 "Słowo Polskie" przeprowadzało we Lwowie wraz z wszelką "tromtadracją" i Żydami wybory Daszyńskiego. Do obozu tego według wskazań rządu weszli potem i konserwatyści i ludowcy.

Marian Seyda w dziele swoim "Polska na przełomie dziejów" tak

12. Fatalna scheda.

Wojna rosyjsko-japońska dała początek nowemu okresowi sprawy

o tym okresie pisze (t. I, str. 32-33):

"Idea wszechpolska, wiążąca cały naród solidarnością myśli i dążeń, była najbardziej twórczym, najsilniejszym elementem ideologii demokratyczno-narodowej. Ona to uzdolniła naród w dużej jego większości do zajęcia w wojnie światowej mimo przykucia do trzech państw obcych, a do dwóch stron wojujących - jednolitej postawy, torującej Polsce drogę do zjednoczenia; ona to położyła realne podstawy naszej wewnętrznej, moralnej niepodległości, bez której nie mogło być mowy o odzyskaniu niepodległości państwowej.

Stało się to dzięki temu, że ruch wszechpolski nie ograniczył się do przeorania zaboru rosyjskiego, lecz przeniósł się do dwóch innych dzielnic, podejmując się trudnej roli odaustriaczenia i sanacji polityki polskiej w Galicji oraz zadania łatwiejszego, jakim było natchnienie społeczeństwa w zaborze pruskim, szczególnie jego młodego pokolenia, szeroką myślą ogólnonarodową i dążeniem do niezawisłości państwowej. Nim na gruncie galicyjskim ruch demokratyczno-narodowy zaważył w większej mierze na szali bieżącego życia praktyczno-politycznego, skupiając się - po krótkim okresie "Wieku XX" - od roku 1902 dokoła "Słowa Polskiego", redagowanego przez Zygmunta Wasilewskiego, Popławskiego i in., redakcja "Przeglądu Wszechpolskiego", chociaż przeznaczonego głównie dla społeczeństwa zaboru rosyjskiego, stanowiła przez lat kilka ognisko przygotowawczej pracy pedagogiczno-politycznej. Należało stoczyć ciężką walkę ideową z wypaczoną umysłowością polityczną, która się w Galicji wytworzyła pod wpływem pierwiastków niezdrowych...

... Mimo to kierunek wszechpolski w Galicji znalazł znaczny oddźwięk, i to zarówno w warstwach wyższych, jak w szerokich masach ludowych, dzięki temu, że umiał szarpnąć sumieniem narodowym i wydobyć na jaw i powołać do działalności publicznej żywioły rzetelne, o prawidłowym zmyśle politycznym, a przytłoczone rozpanoszonymi dotąd prądami politycznymi i społecznymi".

Skoro na poparcie tych słów przytoczyłem świadectwo historyka tych czasów Seydy, powołam się przy sposobności na "~~Pamiętnik~~ Wspomnienia polityczne" Głąbińskiego, a dla zilustrowania frontu "niepodległościowego", na świadectwo dwu pamiętnikarzy tamtego obozu: wspomnienia Michała Sokolnickiego i Michała Janika "W służbie idei niepodległości" (Lwów 1934). W tym drugim, godnym uwagi dokumencie, mamy naiwnie opowiedziane dzieje organizacji strzeleckich, mających wywołać powstanie w Kongresówce, dzieje organizowania się stronnictw postępowo-liberalnych w Galicji, a w tym wszystkim opisany barwnie udział Aleksandra Lednickiego z Moskwy. Wszędzie rej wiedli socjaliści, wysuwający Piłsudskiego na czoło kadrów "czynu".

*

Książka Janika ilustruje w sposób tak charakterystyczny okres przedwojenny w Galicji, że zamiast swojego opisu przytoczę ważniejsze z tej książki momenty. Wspomnienia Janika dotyczą jego działalności politycznej (od r. 1905 do końca wojny). Wydają mi się bardzo charakterystyczne dla owej epoki, tak pamiętnej w życiu Polaków, których fala zdarzeń niosła do progu odrodzonego życia państwowego w zjednoczeniu i niepodległości.

Dr Janik z natury naiwny patrzy na te zdarzenia i ustosunkowuje się do nich jak romantyk, bo z tej szkoły polonistyczno-politycznej pochodzi. Jest też radykałem, żyje w czasach ruchu ludowego i socjalistycznego. Zasadniczym jednak rysem jego postawy jako Polaka było poczucie, że pokoleniu jego przypada rola wykonywania testamentu poetów romantycznych. Droga do odbudowania Polski według tego widzenia politycznego prowadzić musiała przez celę Konrada, śladami Kordiana. W każdym razie nie inaczej, tylko od miejsca, na którym utknęły powstania r. 183o i 1863.

Książka Janika według jego intencji ma być pamiątką po śp. Hipolicie Śliwińskim (zm. 1932) i hołdem dla niego. Śliwiński bowiem, jego zdaniem, położył "szczególniejsze" zasługi około propagandy i organizowania myśli n i e p o d l e g ł o ś c i o w e j w narodzie polskim w okresie przedwojennym. Myśl tę autor wywodzi z konfederacji barskiej, dojrzała zaś ona w powstaniach. Dzieje Śliwińskiego są poniekąd streszczoną historią tego wyrazu i urobionego stąd przymiotnika "niepodległościowy". Powstał on w Galicji za pozwoleniem władz na szereg lat przed wojną. Był to wyraz magiczny, mający specjalne znaczenie hasła powstańczego dla zaboru rosyjskiego i w tym znaczeniu był istotą owej"orientacji", łączącej przyszłość Polski z losami, jakie spotkają Austrię w rozgrywce z Rosją.

Janik zetknął się ze Śliwińskim w r. 19o5. Był to czas rewolucyjny w Królestwie, nazywany w Galicji nowym "powstaniem". Socjaliści mieli oparcie w Galicji. Śliwiński był w bliskich z nimi stosunkach, aczkolwiek sam mienił się postępowym demokratą. Śliwiński nie był socjalistą, ale uwierzył w ideę powstańczą ruchu rewolucyjnego socjalistów. Dla nich zaś stał się punktem zaczepienia o pielęgnowane w Galicji tradycje powstańcze. Jak się później pokazało, doskonale wykorzystali ten wskrzeszony prąd. Na tym połączeniu rewolucji z ideą powstania wyrosła koncepcja późniejszego N.K.N'u. Austria potem mogła korzystać już jawnie z tej koncepcji, ale w r. 19o5 oczywiście nie mogła się przyznać do tego, że sprzyja rewolucji w Królestwie Polskim, zostawiając sprawę inicjatywie społeczeństwa polskiego. Sprawę wzięła w ręce masoneria.

Janik poznał się ze Śliwińskim w domu Bolesława Wysłoucha. Rzecz dziwna - zaznacza to Janik - "Kurier Lwowski" był organem Stronnictwa Ludowego", a gromadzili się tam ludzie z innych obozów: Benedykt Dybowski, bracia Lisiewiczowie, Tadeusz Rutowski, T. Dwernicki, Lewakowski, Mendelsohn, Br. Laskownicki, prof. Pawlewski, Schleicher, Leser, Michał Grek, stolarz Szafrański, jakiś metrampaż, Albin Kohn, Tobiasz Aszkenaze. Dr Janik, trzydziestoletni polonista świeżo do Lwowa przybyły, nie zdawał sobie z tego sprawy, że znalazł się pośrod-

ku masonerii. Z książki jego wnosić można, że do tej pory tego nie wie, bo inaczej - wiele rzeczy traktowałby dyskretniej.

Zaprzyjaźnił się ze Śliwińskim, szereg lat z nim pracował, był mu pomocą intelektualną, jak widać z ogłoszonego tekstu, pisał mu mowy polityczne, a jednak nie poznał go. Sam to przyznaje:

"Starszy o ośm lat w stosunku do mnie występował zrazu w roli przodownika i mistrza i dopiero po pewnym czasie otworzył mi swój dom i zaczął mnie traktować jako współmyślącego przyjaciela i towarzyskiego rówieśnika. A i wtedy nie zawsze dopuszczał mnie bezpośrednio do wszystkich pociągnięć praktycznych, chociaż pytał się przeważnie co do meritum jakiejś sprawy, której strona zakulisowa nie była mi znana. - Ty jesteś do obmyślania, tworzenia i formułowania ideologii - mówił czasem półżartem - pisz i wykładaj"... (str. 1o).

Śliwiński sam nie miał wyższej kultury umysłowej, pomoc dobrego pisarza była mu przydatna.

"Dlatego też - pisze dalej Janik - niejedno w pociągnięciach praktycznych Śliwińskiego było dla mnie tajemnicą. Dzisiaj nawet, po jego śmierci, nie umiałbym powiedzieć, co przede wszystkim było tego przyczyną: czy bardziej skrytość usposobienia i konieczna konspiracyjność, czy też może więcej jeszcze moja przeczulona delikatność"... (str. 11).

Janik opowiada o wiecu zwołanym we Lwowie w r. 19o5 przez obóz narodowy z powodu zaburzeń rewolucyjnych w Warszawie. Przewodniczył Wojciech Biechoński.

"Hipolit Śliwiński - pisze autor - postawił po mocnym przemówieniu rezolucję, że należy korzystać z zamętu w Rosji i dążyć do wywołania rewolucji na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Wywołało to silny odruch wśród narodowych demokratów; zwłaszcza redaktor "Muzeum" Bolesław Mańkowski zaatakował bardzo gwałtownie Hipolita Śliwińskiego i zaczął się rozwodzić nad robotą masońską pour le roi de Prusse!

Doszło - ile pamiętam - do tego, że Mańkowski skierował się ku Śliwińskiemu z podniesioną ręką, chcąc go spoliczkować. Śliwiński rzucił się przeciwnikowi w objęcia i ucałował. Uchwalono oczywiście rezolucję, piętnującą myśl rewolucji. Wtedy dr Janik, jak sam teraz opowiada - krzyknął "Grabarze!"

"Wszczął się zgiełk, usiłowano zaatakować mnie czynnie, koniec końców wstrzymano się od czynnej zniewagi"...

Hasło "niepodległości" w r. 19o5 nie było jeszcze znane, ono się zrodzi koło r. 191o, ale przygotowania do akcji zbrojnej, jak wyznaje dr Janik, datują się od r. 19o5.

Przedtem Śliwiński polityką się nie parał, zwłaszcza na terenie sprawy polskiej. Należał do obozu liberalnego, który miał swoje organy w brukowym "Wieku Nowym" i "Gazecie Porannej" (główną rolę odgrywał tam, jako wydawca, Tobiasz Aszkenaze). Był budowniczym, choć wyż-

szych studiów architektonicznych za sobą nie miał. Pozostawał w stosunkach z Wiedniem jako przedsiębiorca budowlany, stawiał głównie więzienia i szkoły. Żywego był temperamentu i wiele miał zalet towarzyskich, jako człowiek odznaczający się łatwością obcowania z ludźmi wszelkich przekonań politycznych. Radykalizm jego był nieraz bardzo naiwny. Kultury filozoficznej nie miał zgoła, ale pamiętam, jak dumny był ze swego udziału w kongresie "monistów", zdaje się we Frankfurcie. Był wtedy posłem do parlamentu wiedeńskiego. Gdy wyrzucał posłowi Loewensteinowi ze Lwowa, że pomimo swej wolnomyślności na kongres nie pojechał, odrzekł mu ten z ironią, że Żydzi mają ważniejsze sprawy na głowie. Śliwiński z powodu swych zalet towarzyskich cieszył się sympatią, w każdym razie popularnością. Zwano go pospolicie Hipciem albo Tatuńciem. Każdy chętnie podnosił zalety nie tyle jego charakteru, ile temperamentu, nikt nie brał na serio jego przekonań politycznych.

Książka dra Janika jest w charakterystyce tego działacza hołdem składanym jego temperamentowi, a zwłaszcza jego szczodrobliwości. Pamiętam, wiele się mówiło przed wojną od r. 1905 o jego wielkich dochodach jako budowniczego. Żył beztrosko, duże sam miał potrzeby i rękę miał hojną. W Galicji była bieda, człowiek z gotówką chodził w glorii. Nie chodził, noszono go na rękach. Dr Janik tak ofiarność Śliwińskiego charakteryzuje:

> "Ofiarność Hipolita Śliwińskiego w okresie od r. 1905 do r. 1914 na subwencje różnego rodzaju, na cele militarne, potem strzeleckie, na zakupno karabinów, mundurów, nawet na wyżywienie starszej i młodszej drużyny, wynosząca w sumie bez mała 400.000 przedwojennych koron austriackich, może kiedyś znajdzie swego historyka. W każdym razie należy się to Śliwińskiemu od potomności, choćby jako elementarny dług wdzięczności" (str.33).

W latach późniejszych, kiedy już istniały organizacje wojskowe i obok nich skarb wojskowy zasilany jawnie (Janik streszcza w książce sprawozdanie kasowe), Śliwińskiemu było pewnie lżej, kwotę więc 400 tys. koron austr. Śliwiński wydał pewno głównie w latach 1905-1910, w ciągu 5 lat. A ta kwota odpowiada dzisiejszym co najmniej 800 tys. złotych. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na drze Janiku robił widok budowniczego, odrzucającego ze swych zarobków rocznie koło 160 tys. złotych!

Popularność Śliwińskiego rosła. W r. 1906 wybrano go do rady m. Lwowa, w r. 1911 do wiedeńskiej Rady Państwa. Rosły też wpływy polityczne.

Pracujący tak dla Polski lwowianie nie znali jeszcze zaboru rosyjskiego, w którym zamierzali insurekcję.

> "Niespełna w rok - pisze Janik - po wyborach do rady miejskiej zaszły okoliczności, które pozwoliły H. Śliwińskiemu i jego przyjaciołom politycznym nawiązać bezpośrednie stosunki osobiste z rodakami w Warszawie. Asumpt do tego dał przyjazd /do

Lwowa/ Aleksandra Lednickiego na osąd sprawy Stan. Brzozowskiego. Grupa naszap polityczna we Lwowie urządziła wtedy przyjęcie w hotelu George'a, na którym Aleksander Lednicki i kilka jeszcze osobistości z Warszawy byli podejmowani przez nas jako goście. Koszta przyjęcia pokrył oczywiście Hipolit Śliwiński. Wymiana myśli, jaka wtedy nastąpiła, wykazała tyle wspólności zasad w istotnych zagadnieniach narodowych i społecznych, że potrzeba nawiązania wspólnej obuzaborowej tajnej organizacji politycznej narzuciła się nam wszystkim jako pewnego rodzaju konieczność"...

Ktoby pomyślał, że działacz rosyjski Aleksander Lednicki musiał przybyć z Moskwy, aby nawiązać między Lwowem a Warszawą stosunki i że on właśnie natchnął patriotów polskich "otuchą w lepszą przyszłość". Czy nie przypomina to wam "Wesela" i Wernyhory?

"Już następnego roku - czytamy dalej - wyjechaliśmy według umowy i na dyskretne zaproszenie do Warszawy. Gospodarzem naszym na gruncie warszawskim był Aleksander Lednicki... Zbieraliśmy się w różnych miejscach. Grono, w które nas wprowadzono, składało się przeważnie z przyjaciół "Prawdy" i "Zarania". Znajdowali się tam: Al. Lednicki, Wacław Łypacewicz, Józef Jabłoński, Kaz. Życki, Kempner, Wincenty Rzymowski, Irena Kosmowska, Maks. Malinowski, Tomasz Nocznicki i in. Omówiliśmy aktualne wówczas zagadnienia samorządu Królestwa, bojkotu szkolnego... W ciaśniejszych kółkach omawiano poufnie sprawy organizacyjne... Węzły zacieśniały się, chociaż poprzestawano raczej na ramowych wskazaniach mniej na szczegółach, którymi zajęli się osobno najbardziej wtajemniczeni. Już wtedy padły także wyraźnie słowa o przysposobieniu wojskowym młodzieży"...

Takie to były początki owej "orientacji" politycznej. Później Janik opowiada, jak pozyskano do tej akcji "Wiek Nowy". Śliwiński "nabył w tym celu znaczną ilość udziałów tego wydawnictwa, ażeby Laskownicki znajdował w nim oparcie". W ten sposób "Wiek Nowy" "doszedł do wysokości poważnego organu politycznego i jedynego przed wojną na ziemiach Polski jawnie zdecydowanego programowo dziennika niepodległościowego". Poza tym Śliwiński subsydiował dzienniki socjalistyczne: "Głos" we Lwowie, "Naprzód" w Krakowie, "Przedświt" w Londynie", "Robotnika" (nielegalnego), ukraińskie "Hasło", "Placówkę" Perla, "Promień" (str. 16).

"Hojna ręka H. Śliwińskiego - to w ogóle osobna, niezwykła, wielokartowa księga. Ileż nazwisk i jakie są na tych kartach zapisane: Bolesław Limanowski, Tadeusz Rutowski, Ignacy Daszyński, Józef Piłsudski, Witold Jodko, Artur Hausner, Wład. Studnicki, St. Przybyszewski i sporo innych (Jerzy Żuławski). A wszystko to po cichu tak delikatnie robione, ażeby nawet lewica nie wiedziała, co daje prawica" (str. 17).

Rok 1910 był w tej robocie szczególnie ważny. Był już Klub Społeczno-Naukowy (prezes Śliwiński), a teraz powstało "Stronnictwo Niepodległościowe" pod nazwą: Polskie Stronnictwo Postępowe. Byli tam demokraci jak Rutowski, ale w jakiś sposób Śliwiński przeprowadził filiację z socjalistami, nawet ukraińskimi.

"Lata następne - pisze Janik - aż do wojny światowej scho-

działy nam przede wszystkim na dlaszym usilnym zdobywaniu opinii publicznej dla idei niepodległościowej i na przygotowaniu kadr militarnych pod protektoratem Józefa Piłsudskiego, którego nazwisko jako hasło obaj z H. Śliwińskim reklamowaliśmy celowo z całą usilnością, chcąc je przeciwstawić popularnemu wtedy w Galicji nazwisku Stanisława Głąbińskiego" (str. 47).

O robotach militarnych, zajmujących wiele kart w książce Janika, nie będę szerzej referował. Znane są. Janik pisze o Związku Walki Czynnej, potem o Związku Strzeleckim (prezes Śliwiński), o Polskim Skarbie Wojskowym itd. Przytoczę jeden fakt:

"W sprawie militarnej Hipolit Śliwiński uczynił niezadługo poważne posunięcie. W r. 1912 umiał dotrzeć ze sprawą polskich organizacyj strzeleckich do kancelarii wojennej arcyks. Ferdynanda, austriackiego następcy tronu, zainteresowawszy ją znaczeniem zaboru rosyjskiego na wypadek ewentualnej wojny rosyjsko-austriackiej".

Memoriał złożony przez Śliwińskiego miał nagłówek następujący: "Znaczenie Polaków zaboru rosyjskiego ze stanowiska militarnych interesów Austrii" (Bedeutung der Russisch-Polen vom Standpunkt der militärischen Interessen Oesterreichs).

"Dnia 6 grudnia 1912 r. H. Śliwiński przedstawił w tejże kancelarii wojennej sprawę naszych organizacji strzeleckich, na co adiutant przyboczny z najwyższego upoważnienia w liście poufnym (geheim!) uniżenie go poprosił, ażeby zwrócił się z tą ważną propozycją do ministerstwa obrony krajowej" (str. 47).

Memoriał zawierał w art. 4 taką propozycję:

"W dzisiejszych stosunkach powstanie polskie da się pomyśleć tylko w jednym wypadku: na wypadek wojny rosyjsko-austriackiej. Według zgodnego pojmowania irredentystów insurekcja mogłaby ułatwić postępy wojsk austriackich i przy energicznym wystąpieniu Austrii sprowadzić pomoc narodu polskiego. Doniosłość powstania polskiego dla przebiegu wojny zależy jednak całkowicie od stanu ruchu rewolucyjnego. W każdym razie samo istnienie jakiegoś ruchu wystarczy, ażeby zapewnić armii austriackiej współudział ludności w służbie wywiadowczej, wywołać masową dezercję licznych oddziałów ochotniczych" (str. 48).

Tak sobie Polskie Stronnictwo Postępowe planowało przyszłość niepodległościową Polski. Nie zdawano sobie sprawy z istoty sprawy polskiej, nie znano narodu i jego dążeń, nie zdawano sobie sprawy, że Polska samym ciężarem swego biegu historycznego przeciwstawi się wysiłkom galicyjskich polityków, usiłujących zepchnąć ją z toru. Działa się rzecz, można powiedzieć, kosmiczna, którą trzeba było wysiłkiem pracy umysłowej zrozumieć i przewidzieć. Dyplomacja - i to całe szczęście dla Polski - jakby nie spostrzegła tych wysiłków galicyjskich. Nie wpłynęły one na rezultat sprawy, o ile chodzi o bilans polityczny wojny. Ale bardzo zaciążyły na stosunkach wewnętrznych w Polsce. Wiele osób ujawnia się w listach do Śliwińskiego, dołączonych do książki. Każdy dziękuje za pieniądze i coś obiecuje robić dla niepodległości, o

ile dostanie pieniądze. W jednym z tych listów, mianowicie Jana Stapińskiego, ujawnia się to, czego autor w tych wszystkich robotach nie spostrzegł, że główne sprężyny ruchu ukryte są w Wiedniu. Są tam tacy polscy Austriacy jak prezes Koła Polskiego Jaworski albo minister Biliński. Pragną oni wygodzić Austrii kosztem Polski, demoralizują politykę Galicji przy pomocy konserwatystów. Pamiętamy, jaki skandal wynikł z powodu rewelacji konserwatystów, że Stapiński czerpie na ruch ludowy ze skarbu. Stapiński pisze do Śliwińskiego w grudniu 1915 r.:

"Powiem ci otwarcie: do tych ludzi, którym ty jeszcze ufasz /NKN/, ja nie mam wiary. W ich oczach Jaworski jest przewódcą i prezesem, a dla mnie jest on tylko ajentem austriackim używanym do szerzenia korupcji. Pamiętaj, Hipolicie: on twierdził, że mi pożycza pieniądze swego stronnictwa na kupno gazety, a potem się okazało to kłamstwem i nikczemną zasadzką, bo on moje kwity wystawione na Prawicę Narodową eskontował w austriackiej kasie gadzinowej. Jaworski prowadzi tam, gdzie mu rozkaże hr. Stuergk. Kto tego nie wie, tem z pewnością odpokutuje tę nieświadomość" (str. 94).

Opowieść galicyjska o rycerzu Niepodległości Śliwińskim kończy się minorowo:

"Na ostatnie lata życia H. Śliwińskiego padł cień smutku i tłumionej goryczy. Odsunięty od pracy politycznej, która była jego żywiołem, zanurzył się w sprawy miejskie we Lwowie, snuł śmiałe projekty budowlane, ale była to już tylko ucieczka przed smutkiem duszy" (str. 67).

Czyżby nie dawało mu radości, że Polska odzyskała niepodległość? Nie to. Bolało go, że został odsunięty od grona, któremu drogi do niepodległej Polski ułatwiał.

"Dzisiaj - pisze w liście z r. 1929 - jestem już dla pewnych ludzi za ubogi, aby mnie ktoś potrzebował" (str. 69).

Cóż mam dodać do powyższego streszczenia książki Janika? Chyba tylko to, co stwierdził Głąbiński w swoich "Wspomnieniach politycznych" (str. 183), że Śliwiński był po prostu pośrednikiem między sztabem austriackim a organizacją strzelecką w Galicji i stamtąd czerpał pieniądze, udając hojnego bogacza i działacza narodowego. Kłamstwo było tak uroczystą podstawą stosunków w tym obozie, że Śliwiński sam uwierzył, że był wówczas bogaty, a po upadku Austrii zubożał.

*

Kroczyliśmy w czas wojny ku niepodległej Polsce dwoma torami. Pierwszym kroczył obóz narodowy, zorganizowany ideowo przez Demokrację Narodową, drugim - obóz z różnych stronnictw złożony, lecz złączony wspólnym hasłem orientacji "centralnej". Myśl polityczna odpowiadała tutaj w zupełności rachubom Żydów i lóż Wielkiego Wschodu, siłą zaś czynną, której poddali się wszyscy w obozie, byli socjaliści. Jakiekolwiek motywowanie było tego marszu w różnych grupach obozu, faktem po-

zostało, że na czas wojny dwie siły w praktyce w kraju działały: Demokracja Narodowa i socjaliści.

I to było słabą stroną akcji naszego narodu, że były te dwa tory, a najsłabszą, że w tym drugim torze rej wiedli socjaliści. Bo socjaliści nie są powołani z natury swego stanowiska ideowego do rozwiązywania zagadnień bytu narodowego. Jako twórcy kadrów wojskowych na niewłaściwym froncie nie mogli oni ogegrać żadnej roli podczas wojny światowej, mogli ją tylko wykorzystać dla siebie na czas późniejszy ze względu na posiadanie broni w ręku. A jak wygląda miecz w ręku nieodpowiedzialnym wobec narodu, przekonaliśmy się niestety w dwadzieścia lat po wojnie.

Chciałbym się tutaj wytłumaczyć w paru słowach ze swego poglądu wobec tych, którym nieznane były moje wywody na ten temat w licznych wystąpieniach publicystycznych.

Istnieje wielka różnica w założeniach socjalistycznych tych dwu nastawień ideowych, powodująca rozbieżność metod, nie tylko celów postępowania. Nie można tej rozbieżności zamazać wspólnością nadarzających się czasowo haseł, rzecz dziejowa przez to się zmienia i prędzej czy później rozbieżność wyjdzie na jaw.

Naród płynie w dziejach swoich pokoleniami, związanymi z sobą pierwiastkiem socjalnie irracjonalnym - dość wymienić uczucia rodzinne, wiążące nasze pokolenie z poprzednimi i następnymi i przezwyciężające wszelką rachubę układu socjalnego, w związku z tym pamięć rzeczy odległych i troska o przyszłość, przywiązanie do ziemi bez względu na jej rentowność, ambicja odrębności tego, co ziemia łączy w jedną całość dziejową ("nie rzucim ziemi, skąd nasz ród") - itd. To są rzeczy przyrodzone, w które trzeba wejść całym rozumieniem i odczuciem procesu dziejowego, a nie być poza nim. Powiedziałby - ten proces socjolog musi traktować naturalistycznie. Rzeki można regulować, ale odwracać ich biegu niepodobna. Regulować można - i nie ma wewnątrz życia narodowego takich zagadnień socjalnych, których by myśl o szczęśliwości narodu nie mogła rozwiązać.

Socjalizm jest doktryną racjonalistyczną. Zwolennicy jej są mechanistami szczęśliwości doczesnej człowieka, zawisłej rzekomo od dobrobytu. Wiarę w doktrynę, zaszczepioną na ogólnym poczuciu humanitaryzmu socjaliści posuwali nieraz do znaczenia religijnego, w najlepszym jednak razie kierunek dążeń z tej doktryny płynących przecina się z linią narodową pod kątem mniej lub więcej sprzecznym. Gdy irracjonalność popędów narodowego kierunku rodzi zasadniczy w tym światopoglądzie idealizm, socjalizm utknąć musi w materialistycznym na świat poglądzie. Przeciwstawiając ideał klasy idei rodu, socjalizm szukać musi kontaktu i pomocy w krajach obcych i jako międzynarodówka stawać w sprzeczności

z narodową racją stanu.

Si duo faciunt idem, non est idem. Tę różnicę sprawia odmienność psychiczna działaczy. Socjalista inny użytek zrobi z rezultatów. Tutaj ma dużo do powiedzenia psychologia. Bo przypatrzmy się, mając w pamięci doświadczenia lat naszych w czasie niepodległości, jaki z tej niepodległości szkoła socjalistyczna robiła użytek. Wmówiwszy sobie, że są jej twórcami, zużytkowali ją na karmienie swej pychy, nieznanej ludziom, którzy całą duszę włożyli w rzecz dokonywaną. Człowiek oddany sprawie narodowej jest pełen pokory wobec sprawy, jak rolnik wobec przyrody, z którą współpracuje. Socjalista, zużytkowujący tylko tę samą sprawę, uważa się za wynalazcę technicznego, całą zasługę sobie przypisując. Ludzie tego typu nałożeni psychicznie do metody zamachów i mechanicznego działania, mając broń w ręku, zajęli stanowisko poza społeczeństwem, zaprzeczyli nawet istnieniu narodu, cel swój dalszy widzieli już tylko w ściąganiu haraczu za rzekome zasługi. W rezultacie okazało się, że był to najazd ludzi obcych. Z przecięcia tych dwu linii wynikła katastrofa.

Mówię o tym już tutaj i tak szeroko dlatego, żeby dobrze zrozumiane było znaczenie walki, jaką od r. 1905 toczyliśmy w "Słowie Polskim" z ugrupowaniami takiej Komisji Tymczasowej i z socjalistycznym ruchem strzeleckim, który stał się fizyczną osią dla stronnictw tam zjednoczonych.

Cóż tam wniosły te grupy? Konserwatyści krakowscy wnieśli tam swoją teorię "brudnych dróg" w polityce (W. Jaworski) i przeświadczenie, że "bez "kanalii" robić polityki nie można" (Bobrzyński[25]), Żydzi i liberali swój hurrapatriotyzm austriacki, ubrany w szatki "tromtadrackie", Stapiński ze swoją bandą plugawość owej "kanalii". Socjaliści byli siłą wykonawczą. Kadry wojskowe, które miały być użyte dla celu "niepodległości" w drodze powstania, zaleconego przez sztab austriacki, szykowały się we Lwowie w naszych oczach. Widzieliśmy, jak się odbywa werbunek, jakim kosztem.

Tutaj miejsce na parę słów o strajku szkolnym w Kongresówce, stanowiącym klasyczny przykład owej rozbieżności: si duo faciunt idem.

Kiedy z powodu zachodzących przemian w polityce rosyjskiej zaświtała możność rozluźnienia pęt w zaborze, Liga Narodowa dała hasło manifestowania praw ludności polskiej do posiadania własnego szkolnictwa i samorządu w gminach miejskich i wiejskich. Dmowski zabrał głos w sprawie języka polskiego w szkołach i szkolnictwa prywatnego. Obóz narodowy poparł tę akcję całą siłą. Organizacje socjalistyczne pochwyciły to hasło i zrobiły z niego użytek dla swoich celów i swoją metodą. Zastosowały mianowicie do tej sprawy rodzicielsko-narodowej technikę s t r a j k u r o b o t n i c z e g o ze wszystkimi kon-

sekwencjami nienawiści do tzw. "łamistrajków". Władze rosyjskie zaliczyły ten ruch do aktów rewolucji rosyjskiej, dokonywanej w drodze strajków i dalekie od rozpatrywania faktów na poziomie rozgrywki politycznej polsko-rosyjskiej, zastosowały represje.

Z roboty narodowej socjaliści wytworzyli piekło walki wewnętrznej w narodzie - polskie dzieci walczyły z sobą, otumanione hasłem "niepodległości" zasłyszanym z Galicji, w przekonaniu, że walczą z wrogiem Polski, bijąc dzieci sfer niezamożnych, których nie stać było na szkołę prywatną lub wyjazd za kordon.

Socjaliści propagowali właśnie wyjazd za kordon. Z tej młodzieży, która napłynęła do Lwowa i Krakowa, czerpano materiał do kadrów strzeleckich. I to był cel główny strajku.

Pamiętamy, jaka burza powstała w tamtym obozie, gdy Dmowski zaprotestował przeciwko tak pojętemu strajkowi. Ileż padało zniewag i oskarżeń przez szereg lat na tę głowę ojcowską, pełną troski o dobro narodu, na męża stanu, który nigdy zasług ani krzywd osobistych ponoszonych w obronie sprawy sobie nie liczył. Po wojnie rząd niepodległej Polski, złożony właśnie z wychowanków tamtej szkoły socjalistycznej, łożył z kasy publicznej duże sumy na ordery i pensje dla tych, co strajk popierali oraz na wszelkie dzieła ten strajk i jego zasługi opisujące. I miał ze swego, ale jakże szkodliwego, stanowiska rację, bo gdyby nie ów strajk, nie byłoby kadrówki, nie byłoby potem zamachu stanu w r. 1926, nie byłoby - katastrofy w r. 1939.

Nie trzeba brać takich rzeczy sumarycznie, jakoby w obozie, który błądzi, wszyscy byli nieuczciwi. W każdym obozie są ludzie różnej wagi etycznej, niszczy zaś ludzi fałszywa ideologia, nie w duszy narodu poczęta. Fałszywa ideologia niszczy ludzi przez to, że w zetknięciu z życiem, które jest prawdziwe, przetwarza wszystko, do czego się weźmie, w kłamstwo, - w kłamstwo i obiektywne i subiektywne. Bo i stosunki stają się zakłamane i ludzie kłamać muszą. Położenie staje się dla narodu przy takich stosunkach tragiczne, jeśli je skomplikują trzy okoliczności:

1/ gdy grupa, wierząca w doktrynę mechanicznego rządzenia życiem, zdoła objąć władzę nad krajem, bo wtedy sama myśl prawna państwa przeradza się w kłamstwo

2/ gdy ludzie robiący karierę są niedouczeni elementarnie, jak to się stało z powodu strajku szkolnego - i niekompetencji swej ci ludzie nawet zrozumieć nie mogą

3/ gdy - co jest wtedy nieuniknione - opląta tych ludzi, że użyję określenia Bobrzyńskiego - kanalia.

Dłuższy okres życia w tych warunkach musi sprowadzić na państwo katastrofę.

Wszystko to trzeba było tutaj otwarcie powiedzieć, aby dać pojęcie o troskach, jakie publicysta w owych czasach przedwojennych przeżywał i wytłumaczyć się z przewidywań, którym w dzienniku dawał wyraz. Owocem rozmyślań na ten temat były rozprawy i artykuły moje, które zebrane razem utworzyły książkę, wydaną w r. 1921 pt. "O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej". Katastrofę przewidziałem.

Zamknąłem ten okres z uczuciem bolesnym, że wkraczamy w okres wojenny dwoma torami i że drugim z tych torów podąża do Polski wolnej złowróżbny ładunek kłamstwa.

-----------oOo-----------

PRZYPISY.

1/ "Miłe życia początki", rozdział "Na rozdrożu".

2/ O tej podróży Żeromskiego pisze szeroko Stanisław Piołun-Noyszewski w książce "Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo, młodość". Warszawa 1928, od str. 187.

3/ Rzecz ta wyszła potem w odbitce książkowej pt. "W sprawie oświaty ludu wiejskiego". Kraków 1902. Dochód z jej rozprzedaży przeznaczyłem na Towarzystwo Szkoły Ludowej, założone świeżo pod patronatem A. Asnyka.

4/ Por. "Wspomnienia o Stefanie Żeromskim" w"Pamiętniku Koła Kielczan" z r. 1927.

5/ Z obfitej literatury, dotyczącej dziejów raperswilskiego Muzeum, przytoczę przede wszystkim najnowszą pracę dra Adama Lewaka: "Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu, 1869-1927" ("Niepodległość" 1938). Przedtem: Zygmunt Wasilewski" Rzut oka na dzieje Muzeum Nar. w Rappers-wilu, 1869-1893". Z przedmową T. T. Jeża. 1894. Nakładem Muzeum Nar. str. XVI i 87. - Z. Wasilewski "W obronie polskiej stacji zagranicznej". Lwów 1911. str. 89.

6/ "Rapperswil. Dwa listy z podróży" przez Jotę. "Dziennik Poznański" nr 167 i 168 z r. 1892. To samo powtórzone w "Kurierze Lwowskim".

7/ Motyw ten znalazł się potem w jednej z nowel St. Żeromskiego.

8/ Ustęp powyższy dotyczący współpracy z Żeromskim wyjąłem ze wspomnienia o Żeromskim, ogłoszonego w "Pamiętniku Koła Kielczan" z r. 1925-1927.

9/ Żona moja przy ojcu swoim przeszła wzorową praktykę literacką. W jej przekładzie wyszło przy "Wiśle" jako odbitka z t. V dzieło Tomasza Achelisa "Rozwój etnologii nowoczesnej" (1892).

10/ 1895 r.: Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. "Biblioteka Warszawska". Narodziny poety romantyka. "Ateneum".
1898 r.: Nieznane utwory Goszczyńskiego. "Głos", II, str. 627, 652, 657, 699, 746, 847.
Poza tym: Z dziejów poezji polskiej. "Głos", II, 1897, str. 1096; Uwagi o genezie "Pana Tadeusza". "Głos", II, 1898, str. 1221.

11/ Do wspomnianych już przybyły "Zarysy prawa prywatnego" Jana Witorta (z Poniewieża).

12/ Po bliższe szczegóły odsyłam czytelnika do książki, którą wydałem nakładem komitetu budowy pt. "Pomnik Mickiewicza w Warszawie". Warszawa 1899.

13/ W rozdziałach dotyczących Lwowa posługiwać się będę wspomnieniami, które ogłosiłem w "Kurierze Lwowskim" w styczniu i lutym 1932 r. w 19 numerach.

14/ Ob. "Kurier Poznański" z 1 grudnia r. 1931, artykuł mój "Żeromski w poszukiwaniu wydawcy".

15/ List ten znajduje się obecnie w zbiorach Biblioteki Narodowej.

16/-

17/ Z powodu tragicznej śmierci Mieczysława pisałem wspomnienie, które potem znalazło się w książce "Pieśń w górach". Warszawa.

1930. (Tragedia muzyka).

18/ M. Bobrzyński "Dzieje Polski", III, str. 325 (1931). Nawiasy moje.

19/ Kalendarz ilustr. "Słowa Polskiego" na r. 1901. Lwów. Drukowane nakładem "Słowa Polskiego", str. 305.

20/ Opisałem to zdarzenie w broszurze "W obronie polskiego posterunku zagranicznego". Lwów 1911.

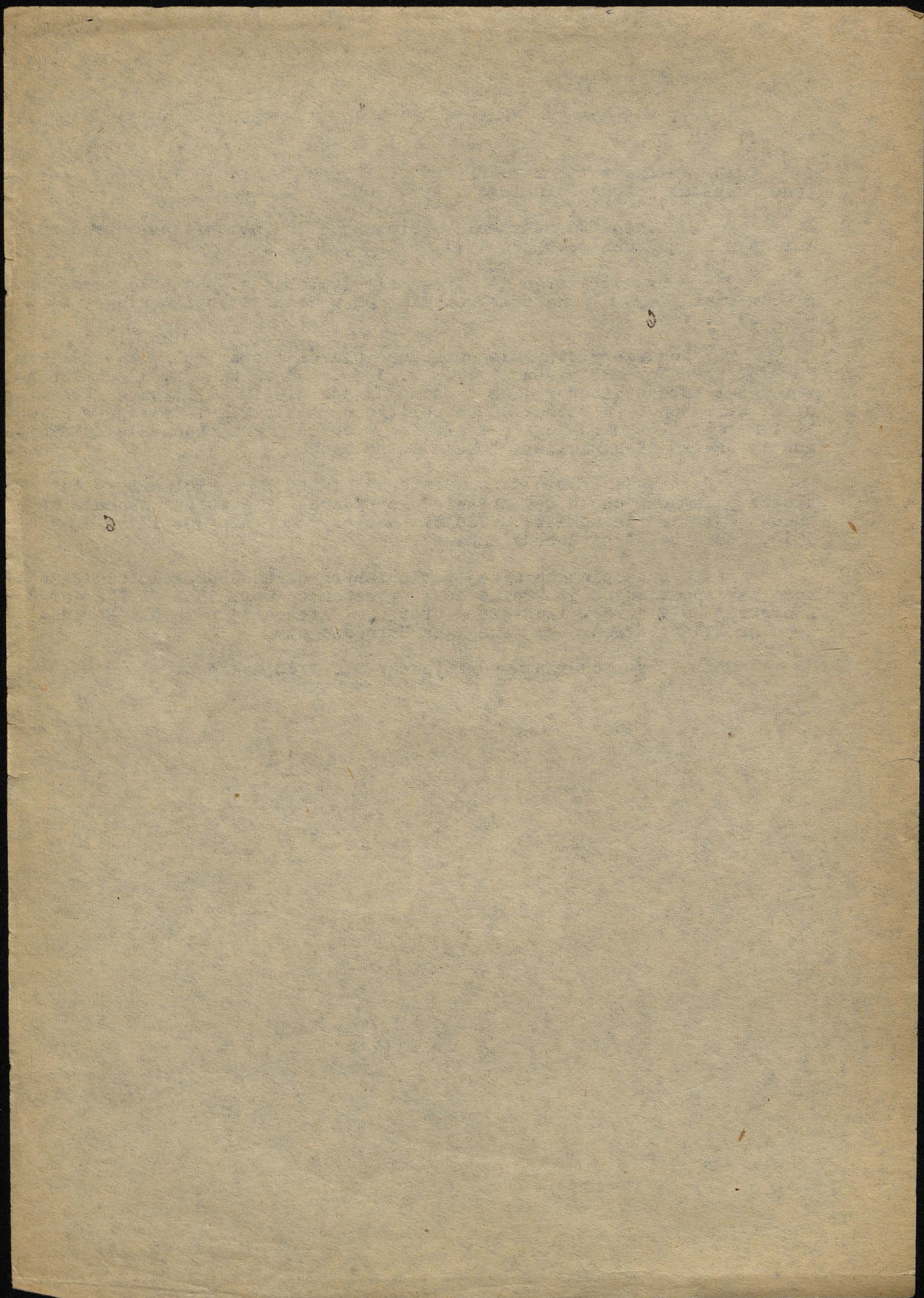
21/ Bobrzyński błędnie wprowadził Grabskiego. Nie było go we Lwowie. Zaczął pisywać w "Słowie Polskim" po wyjeździe Popławskiego, a więc od r. 1906.

22/ Rozdziały powyższe dotyczące czasów lwowskich i Głąbińskiego, jak już zaznaczyłem, pisane były w r. 1932. Obecnie, w r. 1939 Głąbiński wydał bardzo interesujące i ważne "Wspomnienia polityczne" (Pelplin. str. 560). W widnokręgach politycznych Austrii i Galicji w dziele tym zakreślonych daje się zrozumieć w całej pełni znaczenie działalności naszego Stronnictwa i "Słowa Polskiego".

23/ Żałuję, że nie mogę przytoczyć tutaj w całości artykułów swoich polemicznych w tej sprawie, gdy "Gazeta Wieczorna" napadła na "Słowo Polskie" za ankietę. Odsyłam historyka do nru 194 i 196 z maja 1914, gdzie uzasadniam sens ankiety.

24/ O czasopismach wyżej pomienionych dałem obszerniejszą wiadomość we wspomnianych już relacjach, ogłoszonych w r. 1932 w "Kurierze Lwowskim" pt. "Czasy lwowskie" oraz 6 o "Ateneum") w "Myśli Narodowej" nr 211 pt. "Początki Przeglądu Narodowego".

25/ Ob. "Wspomnienia polityczne" St. Głąbińskiego.



CZESC TRZECIA

DO KONCA

1914-1939.

III

— 4.

Część trzecia

DO KOŃCA

1914 - 1939

I. ROK 1914.

Przypominam sobie owe dni pogodne z lipca 1914 roku.Był to mój urlop ze "Słowa",spędziłam go w Kosowie u d-ra Tarnawskiego. Nigdzie nie czułem się tak dobrze na wakacjach,jak tutaj.Bo jeżeli wogóle słodkie jest próżniactwo,to tutaj było ono zorganizowane,miało swoją metodę.Słodycz rozkosznego bezwładu,doznawana w kąpieli słonecznej,ma w Kosowie przyprawę moralną w poczuciu,że człowiek spełnia szczytny obowiązek wobec swego zdrowia.

Nigdy nie czułem się tak daleko od spraw świata,jak onego dnia pod koniec lipca,kiedy dr.Tarnawski,odciągnąwszy mnie od towarzystwa,które zebrało się już na jego wykład,zażądał informacji politycznej.Udzielił mi się jego niepokój.To prawda,oczekujemy oddawna wojny,jesteśmy nawet na nią przygotowani,ale nie w Kosowie.To prawda,że jestem redaktorem dziennika,ale cóż człowiek może wiedzieć na urlopie.To prawda,że dzisiejsze dzienniki przyniosły wiadomość o mobilizacji Serbji i zapowiedź austryjackiej, ale przecież od tego do wojny,któraby nas ogarnęła,daleko.Niewątpliwie.Tarnawski tej myśli się uczepił.Prosił,żebym po wykładzie zabrał głos i publiczność kosowską swoim autorytetem dziennikarskim uspokoił.Widzi bowiem,że ten i ów zamierza wyjechać.Zrobi się panika.Wszyscy się rozpierzchną.

Położenie było trochę niezręczne.Istotnie było w Kosowie wiele osób z Podola,Ukrainy i z Królestwa.Gdyby wojna z Rosją tutaj je zaskoczyła,miałyby kłopot.Ale tyle naczytaliśmy się w dziennikach zapewnień,że Rosja uzna dobre prawo Austrji upomnienia się u Serbii o swoją powagę i o swoje krzywdy,że ostatecznie.

Po wykładzie powiedziałem,com wiedział i nie wiedział.Poczem uspokojeni pociągnęliśmy sadem do pawilonu stołowego na wieczerzę. W czasie jedzenia doręczono mi telegram: przyjaciel mój Stanisław Biega wzywa,abyśmy zaraz przybyli do Lwowa - ja i Zygmunt Balicki. Powiedziałem o tym na ucho Baliskiemu,a w kwadrans potem,przebrani,zdążaliśmy z walizkami ku bramie zakładu.Kuracjusze,baraszkujący na placu,niemile byli zdziwieni naszymi walizkami.

-Pojutrze wracamy - zapewniałem.

Istotnie Balicki wrócił ze Lwowa, ale tylko po to, żeby zabrać rzeczy. Był to chyba ostatni już pociąg, którym zdążył dojechać do Warszawy. We Lwowie dowiedzieliśmy się prawdy. Wojna z Rosją była nieunikniona.

Na usprawiedliwienie przed sobą lekkomyślności, z jaką uspakajałem miłych towarzyszy kąpieli słonecznych w Kosowie, miałem ostatecznie to, że sam byłem w gorszym od nich położeniu. Sam, nie będąc obywatelem austryjackim tak czy owak muszę pozostać we Lwowie i pełnić dalej obowiązek redaktora największego tutaj dziennika politycznego. Zameldowany byłem we Lwowie z paszportu rosyjskiego, wydanego w Warszawie w r.1902 i mogłem każdej chwili być wydalony lub uwięziony. U steru stali Polacy, przyzwyczajeni patrzeć na mnie z szacunkiem. Niechętnie też słuchano tam nawoływań ze strony gorliwych socjalistów w służbie "strzeleckiej", robiących władzom zarzut, że pozostawiają mnie na wolności. Domagano się - pamiętam - więzienia dla mnie w pisemku tygodniowym /redaktor Kulczycki/, wydawanym przez namiestnictwo w celu propagowania formacyj zbrojnych ruskich. Robiło się na gwałt Ukrainę...

Namiestnik Galicji Korytowski był w trudnym położeniu. Jako wysoki urzędnik austryjacki stał na uboczu od walk orjentacyjnych w społeczeństwie polskim, tymczasem sami Polacy czyniąc wrzaskliwą obławę, napędzali mu w ręce "zdrajców", których należy ścigać prawem wojennym. Ta gorliwość austryjacka w łonie społeczeństwa własnego była dokuczliwsza i niebezpieczniejsza od dozoru władz. Każde z państw zaborczych, wiedząc dobrze o tym, że wojna rozwiązywać będzie zagadnienie Polski, dbało o zjednanie Polaków dla siebie, pełne niepewności i wahań, jak wobec nich się zachowywać. We Lwowie wiedziano, że "Słowo Polskie" ma za sobą sfery oświecone i wpływami swymi sięga daleko poza kordon. Rewolucjoniści nasi skrupułów żadnych nie mieli. Polska polityka narodowa, którą "Słowo Polskie" reprezentowało, była im przeszkodą na drodze do celu, wówczas majaczącego przed nimi w kształtach

ideału socjalistycznego.

Nie mogło pozostać tajemnicą, że w maju tego roku na zjeździe delegatów obozu narodowego, odbytym w Wiedniu, ustalone zostało stanowisko na wypadek wojny po stronie państw koalicyjnych. Namiestnik liczył zrazu na rozłam, czekał, co zrobimy z Legionem Wschodnim, który się formował we Lwowie analogicznie do strzeleckiego. Obóz jednakże "enkaesowy" parł władze do kroków represyjnych. Żydzi do entuzjazmu austriackiego socjalistów dodawali pierwiastek egzaltacyjny i krwiożerczy. Atmosfera stawała się z każdym dniem duszniejsza. Gdyby władze austriackie tej presji uległy, cała narodowo myśląca ludność Galicji znalazłaby się w obozach izolacyjnych.

Korytowski co kilka dni wzywał mnie do siebie i groził uwięzieniem. Raz zatrzymał mnie na ulicy i sposobem przestrogi oznajmił, że polecił aresztować Jana Zamorskiego, znanego działacza naszego i posła w Galicji Zachodniej. Więzienie ocaliło Zamorskiego od śmierci z rąk antagonistów politycznych. Pamiętniki, które kiedyś wyda, odsłonią całą ohydę ówczesnych stosunków.

Zachowanie stanowiska czysto obserwacyjnego stało się niemożliwe, odkąd władze stronnictwa naszego wzięły udział w formowaniu t.zw. legionu wschodniego równolegle do organizacji strzeleckiej. Położenie nasze było jeszcze trudniejsze, gdy Aleksander Skarbek, korzystając z pretekstu, że władze wojskowe nie zgodziły się na tekst roty przysięgi legionowej, rozwiązał tę organizację. Napiętą sytuację przecięło nagłe wkroczenie we wrześniu wojsk rosyjskich.

Poprzedziły to wkroczenie odgłosy walk na wschodzie, naloty wywiadów kozackich, budzące nieopisaną wśród ludności panikę, młodzież polska zbierała porzucony przez żołnierzy austriackich oręż i tornistry, a rankiem 14-go września stali już na placu Bernardyńskim dragoni. Byłem świadkiem, jak Żydówki, te same, które niedawno łamały parasolki na głowach prowadzonych na stracenie starorusinów, podchodziły przymilnie do kawalerzystów rosyjskich podając im na tackach koniak, ci jednak poczęstunku nie przyjmowali.

 B.I

Stałem z Tadeuszem Czapelskim na Placu Mariackim, przyglądając się przemarszowi wojsk rosyjskich. Długo trwała ta defilada, wykonywana z pośpiechem, ale w jakimś popisowym porządku i w zupełnym milczeniu zarówno wojska jak i miejscowej ludności. Monotonny szum tego potoku i natłok widziadeł ze wschodu przyprawiał o zawrót głowy, jakby się coś we śnie majaczyło. Dziwowiskiem była motoryzacja sprzętu i wszelkiego ekwipunku żołnierza na dwukołówkach. Na pudle wśród wysokich kół pod górą bagażu siedział żołnierz poganiający konia. Za wozem na powrozie krowa na ubój ciągniona po bruku, bo nienadążająca. Patrzał na ten pochód Mickiewicz ze swojego pomnika. On ten naród znał i takie na zachód pochody. My dzisiejsi patrzyliśmy na zdarzenia oczami pełnemi przedświtu, ale w tym wypadku z sercem bardzo ściśniętym, byli to według rachunku politycznego sojusznicy Polski, militarnie jednak tutaj w granicach Austrji stawaliśmy się terenem okupowanym, a według ówczesnych planów Rosji krajem zdobytym.

Ludność Lwowa w znikomej części zabiegała myślą w przyszłość Polski. Jeśli mogła liczyć na co optymistycznie, to jedynie na ostateczne zwycięstwo Austrji i na powrót do dawnych dobrych czasów austrjackich. Patriotów, którzy nie uznawali, że dawne czasy były dobre i życzyli koalicji zwycięstwa, nienawidzono, przypisując im najazd rosyjski.

Dowództwo wojsk wchodzących do Galicji, zdawało się, miało na uwadze dyrektywę Wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza w sprawie stosunku sojuszniczego Polski z Rosją. Tak można było sądzić z zachowania się armii. Władze jednak administracyjne, reprezentowane w osobie hr. Bobrinskiego, mianowanego generał-gubernatorem Galicji ~~wschodniej~~, nie miały zamiaru uznawać Galicji wschodniej za kraj polski. Dał temu wyraz hr. Bobrinskij w mowie powitalnej, zwróconej do prezydenta miasta Lwowa Tadeusza Rutowskiego. Zapowiedział bezwzględną rusyfikację kraju, uznanego za odwiecznie rosyjski. Kościół grecko-katolicki miał stąd ustąpić na rzecz prawosławia.

Położenie duchowieństwa polskiego pod względem politycznym stało się niezmiernie ciężkie. Ciążyć musiało z małymi wyjątkami do obozu austrofilskiego. Najzawziętszego przeciwnika politycznego mieliśmy w ks. Superiorze S.J. Znaczna część inteligencji w związku z ewakuacją urzędów odpłynęła na zachód. Głąbiński wyjechał do Wiednia w celu kierowania polityką Koła Polskiego. Stronnictwo nasze było odosobnione. Najlepiej zorganizowani żydzi objęli ster opinii i potrafili obok knowań austrofilskich wejść w porozumienie z germanofilami rosyjskimi, których było pełno w wojsku i administracji. Rosjanie działali w ścisłym porozumieniu z grupą moskalofilską Dudykiewicza, wodzącego rej wśród starorusinów. Sfery liberalne rosyjskie usposobione defetystycznie doskonale porozumiewały się z żydami. Przypominam, o czym pisałem w innym rozdziale, że typowy kadet Al. Lednicki przed paru laty brał czynny udział we Lwowie i w Warszawie w organizowaniu irredenty polskiej przeciwko Rosji.

Wytworzył się chaos, w którym zagubić się musiała jakakolwiek linia polityki polskiej. "Słowo Polskie" zrazu wyróżniane przez okupantów, jako sprzyjające koalicji antygermańskiej, znalazło się wkrótce w większej opresji niż dzienniki wydawane przez żydów. Położenie moje wobec władz rosyjskich było tym trudniejsze, że ze względu na solidarność narodową nie mogłem przed nimi występować krytycznie w sprawie legionów Piłsudskiego, którymi Rosjanie szantażowali nasze stanowisko polityczne, owszem musiałem stawać w obronie tych niefortunnych posunięć. Widocznym się stało, że Rosjanom na rękę one były, dawały im bowiem pretekst do prowadzenia polityki antypolskiej.

O tym, jak trudne było w tych warunkach stanowisko polskie w koalicji, niech zaświadczy fakt, który poniżej podam według notatki, którą bezpośrednio zrobiłem i przechowałem.

Nazajutrz po owej inauguracyjnej zapowiedzi gen.-gub. Bobrińskiego w dn. 24 września 1914 r. zjawił się u mnie w prywatnym

mieszkaniu jego przyboczny urzędnik do szczególnych zleceń kapitan Narkiewicz /niewątpliwie polskiego pochodzenia,mówiący jednak tylko po rosyjsku/,elegant w pięknych rękawiczkach,układny.Poznałem go już wcześniej,gdy po wkroczeniu wojsk rosyjskich obejmował urząd cenzury wojennej w biurach "gradonaczalstwa"/gmach Banku Austr.-Węgierskiego/.Powoływał się wtedy na bezpośrednie stosunki z głównym wodzem gen.Iwanowem.Z jego sztabu miał otrzymywać wprost raporty działań wojennych.Otóż kap.Narkiewicz oświadczył mi,że przybył z polecenia gen.-gubernatora hr.Bobrinskiego,aby mi zakomunikować jego życzenie,mianowicie"hrabia życzy sobie",aby "Słowo Polskie" wydrukowało mowę jego oraz mowę Dudykiewicza w całości po rosyjsku rosyjskimi czcionkami.I nie dając mi dojść do słowa,z góry oświadczył,że stronę techniczną/czcionki i złożenie tekstu/ oraz połączone z tym koszty...

Postawiłem sprawę na ostrzu noża.Przerwałem mu:

-O technice możemy nie mówić."Chodzi o rzeczy zasadnicze."
"Słowo Polskie" uczynić tego nie może.Jest ono pismem politycznym narodu.Nie mam prawa robić z niego półurzędówki obcego narodu.

Narkiewicz obruszył się i zaczął wyrzucać z siebie lokajskie argumenty.

-Hrabia życzy sobie aktu u p r z e j m o ś c i ze strony pańskiej.N i e w y p a d a mu tego odmawiać.

- Panie kapitanie - odrzekłem podrażniony.- Gdyby sprawy polityczne można było załatwiać z uprzejmości,to pan hrabia niewątpliwie wczoraj na mowę powitalną polską odpowiedziałby po polsku,w każdym razie w innej osnowie.Nie mówmy o uprzejmości.Powaga dziennika politycznego jest sprawą narodową i ja jej na szwank narażać nie mogę.

Wtedy Narkiewicz przeszedł do inwektyw.

- Ot,to jest zawsze tak z Polakami.Wybyście chcieli,aby wam sprawę polską podano gotową na półmisku.Wam W.Książę daje Polskę,a wy prostej grzeczności zrobić nie chcecie.Wy wtedy legiony Sob-

kolskie na Rosjan posyłacie.

Wówczas podniosłem głos i zatrzymałem go. Odwołałem się do niego, jako do osoby - zapewne - politycznej. Oznajmiłem, kim jestem. Że jestem nie dziennikarzem, ale przedewszystkim człowiekiem politycznym. Nie możemy tak rozmawiać insynuacjami.

Polakom nie wolno robić zarzutów takich. Niczego się nie wstydzimy. Winniśmy byli lojalność Austrii. Sprawy polskiej w Petersburgu nie chciano poruszyć. Na miesiąc przed wybuchem wojny pytaliśmy się polityków w Warszawie o to, czy w Petersburgu można na co liczyć. Oświadczono, że sprawa jest w martwym punkcie, bo ją tak postawić kazali Niemcy.

- Dla pana samego było niespodzianką, gdy w połowie sierpnia W. Książe wydał odezwę do Polaków, /przytaknął mi na to/. Skądże my tutaj mieliśmy to przewidzieć, gdy od 1 sierpnia byliśmy hermetycznie zamknięci. O odezwie dowiedzieliśmy się na parę dni przed wkroczeniem Rosjan do Lwowa.

Zrobiliśmy potem wszystko, co można było, aby legion rozpuścić i tak się skonczy. To cud, że w tych warunkach i taki nastrój jak jest można było uzyskać.-

Dyskusja się wyczerpała i kap. Narkiewicz uznał, że wyczerpana. Pożegnał się chłodno.

Sprawy tej już nie wznawiano. Mam wrażenie, że był to pomysł samego p. Nar., który lekkomyślnie podjął się tak druk urządzić, nie znając stosunków.

Wkrótce powstały dwa pisma rosyjskie "Prikarpackaja Ruś" i "Wojennaja Sława" - to ostatnie Narkiewicz przyspieszył, aby móc wydrukować te mowy.

Potem nieprzyjaźnie dla Polaków sprawy w piśmie traktował. Widocznie pracował nad tym, aby nie dopuścić do przyjaznego traktowania Polaków przez władze, przerwać "idyllę" ros.-polską.

Słyszałem, że oba te pisma toczą cichą kampanię, aby wysadzić gen. gub. Bobrińskiego właśnie z powodu uznawania Polaków w Galicji Wschodniej. Tymczasem tom odwołał się do Zwierzch. Wodza W. Księcia

i uzyskał aprobatę swojej polityki, w której odstąpić musiał od zasad, wygłoszonych w nietaktownej mowie inauguracyjnej.

Podobne zajście miałem i z cenzurą. Kierownik jej niejaki Bentkowski /też jakiś perekińczyk/ usiłował narzucać prasie polskiej obowiązek przedrukowywania artykułów z żydowskiego dziennika petersburskiego "Birżewych Wiedomosti". Sprzeciwiłem się temu w ostrej sprzeczce wobec redaktorów wezwanych w tej sprawie do biura cenzury. Bentkowski się wycofał.

Tak zeszedł rok 1914. Nadszedł rok nowy.

Nowy Rok obchodzono we Lwowie zawsze gruntownie. Zarówno Sylwester nocny, jak i składanie życzeń traktowane były jako poważny obowiązek towarzyski i wesoła zarazem zabawa.

Przed wojną życzenia noworoczne składano gremialnie w namiestnictwie, marszałkowi Sejmu, arcybiskupom, najbardziej jednak popularny był Nowy Rok na Ratuszu, gdzie gospodarzami byli mieszczanie z rządzącej w mieście "Strzelnicy".

Żywo staje w pamięci dzień noworoczny 1915. Ówczesny prezydent miasta, p. Neuman, opuścił miasto przed okupacją rosyjską. Wojenne gen.-guberatorstwo mianowało prezydentem Tadeusza Rutowskiego, b. parlamentarzystę i publicystę, przywódcę obozu demokratycznego. Usiłowaniem jego było grać wobec władz rosyjskich rolę przedstawiciela społeczeństwa polskiego, a ponieważ należał do zagorzałych zwolenników Austrii, można sobie wyobrazić, jak misterna była to gra, jak bardzo obliczona na efekt w sferach austrofilskich. Sekundowali mu radni miejscy, nadając każdej czynności, naogół lojalnej wobec okupantów, symboliczne znaczenie, zrozumiałe dla wtajemniczonych. Wyglądało to nieraz bardzo śmiesznie.

Otóż na Nowy Rok 1915 przyjęcie na Ratuszu urządzono ze szczególną okazałością. Asystował prezydentowi przedstawiciel władz wojskowych, jakiś wyższy oficer rosyjski, rozumiejący po polsku. Życzenia noworoczne składał prezydentowi w imieniu Rady miejskiej jeden z ~~[illegible]~~ czołowych ludzi Strzelnicy, Bolesław

Lewicki.Złożono jakiś upominek,a krótkie przemówienie mówca zakończył dobitnie,choć nie bez wzruszenia,tak wymownym dla serca tradycjonalistów wiedeńskich frazesem:

- Przy tobie,panie,stoimy i stać chcemy!

Salę zaległa podniosła cisza,przemrugiwano się i podziwiano odwagę mówcy.

Na rosyjskie święto noworoczne,gdy wypadło składać życzenia generał-gubernatorowi,prez.Rutowski,żeby dodać miastu splendoru udał się do pałacu namiestnikowskiego karetą czterokonną z XVIII wieku na pasach,bogato rzeźbioną.Sam był w delii i łańcuchu, a na koźle siedziało dwu służby we wstęgach czerwonych i kapeluszach stosowanych.

2. Rok 1915. Lwów - Kijów.

Zima 1914-1915 była ciężka. Dom "Słowa Polskiego", gdzieśmy na drugim piętrze mieszkali, ogrzewany był centralnie kaloryferem, o kupieniu zaś koksu nie było mowy. Było więc zimno. Wstawiony przez poczciwego administratora Medyckiego piecyk pozwalał nam korzystać z jednego tylko pokoju. Z aprowizacją było też źle. Obiady jadaliśmy u Medyckich na trzecim piętrze. Ambicją wydawnictwa trochę nieroztropną było trzymać się dwu wydań dziennie, aczkolwiek zredukować musieliśmy wydanie wieczorne do dwu kartek. Chodziło głównie o telegramy z pola walk, a w ten sposób wyprzedzaliśmy inne dzienniki, a wychodziło ich we Lwowie kilka. Niedolą moją stało się to, że władze okupacyjne zakazały od wczesnego wieczora ukazywania się na ulicy. Wskutek tego telegramy do wydania porannego, sporządzanego w nocy, spadły całkowicie na mnie. Jedyny współpracownik, znający język rosyjski, Zygmunt Haczkowski daleko mieszkający, nie mógł w nocy nie pomóc. A była to robota męcząca oczy, wszystkie bowiem miejscowości wymienione w telegramach, często zupełnie nie znane trzeba było wyszukiwać na mapie, aby się dowiedzieć, jak wygląda ich pisownia. Rosjanie bowiem, stosując transkrypcję fonetyczną, tak nazwy upraszczali, że na mapie /Andreas Handatlas/ trudno było je odnaleźć. Dla oka mojego była to klęska, napisy bowiem w tak szczegółowym atlasie są bardzo drobne. Każda noc taka była dla mnie tak męcząca, jakbym brał udział w bitwach, które referowałem.

Na wiosnę się miało, kiedy mnie zobowiązano, abym w interesie miejscowego komitetu pomocy ofiarom wojny pojechał do Warszawy, Kijowa i Wilna, z funduszami bowiem było krucho. Zgodziłem się chętnie, ile że czułem potrzebę porozumienia się z Dmowskim i poinformowania władz stronnictwa o położeniu rzeczy w Galicji. W każdym z tych miast odbyły się z powodu mego przybycia liczniejsze zebrania, na których referowałem położenie kraju i potrzeby. Najliczniejsze zebranie zwołano w Wilnie. Od polskich komitetów opiekuńczych pozyskałem znaczne zasiłki /przeszło 80 tysięcy

rubli./.

Na początku wojny powstało w Piotrogrodzie na podstawie statutu towarzystwo polskie pod nazwą "Polskie Towarzystwo niesienia pomocy ofiarom wojny".Według statutu wolno mu było tworzyć oddziały/ w całej Rosji.Powstały też one wszędzie,gdzie było jakie takie skupienie życia polskiego.W guberniach południowo zachodnich wołyńskiej,kijowskiej i podolskiej było tych oddziałów przeszło 20; najgłówniejsze z nich,centralne było kijowskie.Na czele jego stał hr.Tyszkiewicz,wiceprezesem był Joachim Bartoszewicz.Biuro oddziału mieściło się w lokalu Banku polskiego tow.handlowego "Samopomoc" na Kreszczatiku,48.Oddział działał dopiero od paru miesięcy.Sekcje jego i podsekcje /skarbowa,rolna,doraźnej pomocy,mieszkaniowa,dochodów niestałych i in. / intensywnie pracowały,zakładając w Kijowie tanie kuchnie,przytułki,rozdając zapomogi.Wiele bowiem nagromadziło się w Kijowie zbiegów z okolic zajętych wojną,ludzi z Galicji przez wojnę tam zatrzymanych.

Oddział gromadził fundusze i ziarno na zasiłki dla Królestwa i Galicji w miejscowościach dotkniętych skutkami wojny.Zamierzał rozwinąć specjalną agitację,aby składano zasiłki dla ludności polskiej w Galicji zachodniej,gdzie potrzeby były wielkie.

Kijów kilka tysięcy rubli przysłał już był przedtym na zasiłek Lwowu,teraz również złożył 7 tysięcy dla Komitetu Ratunkowego,a z przejęcia jakie dla sprawy ratunku okazywał,można było mieć nadzieję,że wiele zdoła pomóc Galicji.Dotychczas Kijów zebrał około 200 tysięcy rubli;z tego 125 tys.złożył według statutu w centrali swojej w Piotrogrodzie.

Ruch w biurze był znaczny,zwłaszcza,gdy odbywało się wysyłanie z granic państwa obcych poddanych,przyczym Polakom dano prawo przy pomocy komitetów pomocy legitymowania swojego pochodzenia i ewentualnego pozostawania nadal w Cesarstwie.Wszystkie komitety zarówno tutaj na kresach,jak i w Warszawie zająć się musiały gorliwie tą sprawą w dniach ostatnich.

Informacji politycznych, bliżej nas obchodzących, było mało, zwłaszcza po wybuchu wojny. Po zajęciu Lwowa przez Rosjan zaczęli się zjawiać korespondenci i obserwatorzy z państw koalicyjnych. Jednym z pierwszych gości był Charles Naudeau dziennikarz francuski, akredytowany przy sztabie rosyjskim. Udałem się do niego, aby zasięgnąć języka. Mieszkał w hotelu George'a. Było to we wrześniu 1914 roku we Lwowie.

Na pytanie, czy kwestia polska według niego jest kwestią międzynarodową czy też wewnętrzną rosyjską, odpowiedział wymijająco. Zapewniał, że będzie ona załatwiona dla nas korzystnie i doradzał, żeby - broń Boże - Polacy nie pozwalali sobie na minę, że nie wierzą zapewnieniom odezwy W. Księcia Mikołaja. Owszem, jest tylko jedna droga, umacniać wszelkimi sposobami Rosję w Honorze dotrzymania.

Plon, jak widzimy był niewielki.

Zanotowałem również rozmowę z obserwatorem angielskim.

W początku grudnia złożył mi wizytę profesor z Livepool, Bernard Pares. Przedstawił się jako korespondent, wydawca "Russian Review". Bawił przeszło dwie godziny.

Wyznania jego ciekawsze:

1. Zaczyna się w Europie wiek słowiański. Przed Polakami wielka przyszłość.

2. Anglia nie opuści Rosji. Wyrozumiałem z tego, co o Rosji mówił że Anglia będzie się starała pełnić koło niej tę rolę, którą pełnili Niemcy, ale zainteresowana jest w tym, aby Rosja postępowała w cywilizacji, tudzież tym, aby Polska była mocna.

3. Rosję zna dobrze. Na moje pytanie, czy Rosja /opinia/ nie podda się wpływom żydowskim, które sprawie polskiej są nieżyczliwe, odpowiedział, że partia kadetów nie pójdzie cała za Milukowem, - raczej będzie miał wpływ Pietr Struve. W partii jest pęknięcie.

4. Wojna musi być doprowadzona do końca. Nie dotrzeć np. do morza, nie ustalić Polski - jest niepodobieństwem, bo inaczej wybuchłaby po kilku latach nowa wojna. Za wielkie ofiary na to, by nie kończyć.

5. Na moje pytanie, czy w trójporozumieniu nie będzie nieporozumień co do równego udziału w zasługach wojny, czy Rosja nie chłodnie względem Anglii z powodu tego, że nie rozumie jej roli na morzach, - odpowiedział, że istotnie są w Rosji głosy źle uświadomione, mające pretensje, że Anglicy mało robią, ale się przekonają, że tak nie jest. I wyliczał zasługi, a to, że niemiecka flota się schowała, to czysty zysk, o którym decydowałoby w innych warunkach wielkie zwycięstwo. Że się to udało bez wojny, to tym lepiej.

W trzy tygodnie - pod koniec grudnia - prawie to samo mówił w swojej mowie ambasador angielski w Piotrogrodzie na bankiecie w klubie. Spostrzegłem, jaka jednostajność i organizacja opinii jest między anglikami.

Po wizycie Paresa trafił mi się zeszyt "Graphica", gdzie znalazłem portret Paresa z pierwszego jego pobytu we Lwowie. Było tam napisane, że Pares jest delegatem angielskiego ministerium Spraw Zagranicznych. Do tego mi się nie przyznał.

Pares mówił mi pochlebne rzeczy o R. Dmowskim, którego znał. "Dla narodu, który w ciężkich kryzysach ma takiego człowieka - to wielkie szczęście", "niepospolity człowiek, przypomina angielskich mężów stanu" mówił o Dmowskim. Było mi niezmiernie miło to słyszeć.

Pan Pares odwiedził mnie potem w lecie 1915 w gorszych już warunkach, towarzyszył bowiem armii rosyjskiej, gdy pośpiesznie odchodziła z Karpat i wogóle z Galicji. Brudny był i obdarty. Chodziłem z nim po sklepach, bo niepraktyczny był i prosił o pomoc. Dmowski, któremu p. Paresa informacje i komplementy komunikowałem, traktował jego opinię bardzo krytycznie i z ofiarowanych mu usług w Anglii nie chciał korzystać.

Bardzo interesujące były rozmowy z liberałami rosyjskimi, którzy do Lwowa przybywali niewątpliwie z instrukcjami swoich lóż masońskich.

Dn. 6 stycznia 1915r. złożyli mi wizytę Piotr Struve i prof. Kotlarewskij. Bawili parę godzin. Wiele słuchali, informując się.

Było mi przykro,gdy dotknąwszy sprawy Gdańska,skrzywili się.

- To tak się mówi,wziąć Gdańsk,Królewiec;zapewne,mybyśmy radzi i t.d.Ale nie wierzę - mówił Kotlarewskij - by to było możliwe. Nerwy ludzkie nie podołają.-

Co do ustroju Polski mówili bez zastrzeżeń,że Polska będzie dobudowana do Rosji.Wspólne rzeczy - to wojsko,dyplomacja,podatki pośrednie,układ taryf kolejowych.Reszta - samorząd.

Na moje pytanie o żydów,liberali obaj mówili o nich niechętnie krzywili się,dowcipkowali,że należałoby im oddać Wrocław - Śląsk i tam ich osobno osadzić;ale zaznaczali,delikatnie;że antysemityzm Polaków razi postępowych Rosjan i ochładza ich do Polaków.Zgodzili się jednak ze mną,że oni znają żydów w teorii,a my w doświadczeniu.

Zgodzili się na myśl Grabskiego,żeby urządzić zetknięcie we Lwowie po świętach,Polaków wybitniejszych z przybyłymi Rosjanymi /Makłakow,Stachowicz/.15 stycznia mieliśmy spotkanie z przedstawicielami ziemstw w mieszkaniu Pawlikowskiego.Byli obecni:hr.Ołsufiew bar.Meller-Zakomelskij,Chomiakow,Wyrubow;z Polaków przyjezdnych - Maciej ks.Radziwiłł,Wielowieyski.Z miejscowych - Jan Gwalbert Pawlikowski,Stanisław Grabski,Józef Milewski,Leonard Stahl,Władysław Michejda,Jan Pieracki.

18 stycznia w mieszkaniu Pierackiego zebraliśmy się:Grabski, ja,Milewski,Pieracki,Głażowski,a z Rosjan byli - Struve,Kotlarewskij,Zajcew i jeszcze ktoś.Rozmowy były informacyjne.Wszyscy zapewniali,że zasadniczo zmieniły się stosunki z Polakami.

Wątpliwości co do Gdańska.

W czerwcu już wiadomym było,że Rosjanie opuszczą Galicję. Odwrót był pośpieszny.Położenie moje ze "Słowem Polskim" i całej naszej grupy stawało się coraz trudniejsze.Żywioły austrofilskie podnosiły głowę,nie tajono pogróżek w naszą stronę.Później dowiedzieliśmy się,że gotowe były listy naszych ludzi,którzy będą po powrocie Austrii straceni.Na mnie rzucono oskarżenie o zdradę ta-

jemnic wojskowych,albowiem w "Słowie Polskim" drukowałem zarys historyczny o twierdzy w Przemyślu. Groziło niebezpieczeństwo,że odcięci będziemy od wschodu,ponieważ z powodu ewakuacji wojsk, ruch pasażerski ustanie. Żonę zdołałem wyprawić do Kijowa,zostałem z synem,który chodził do szkół,planując exodus na ostatnią chwilę wraz z przyjaciółmi i współpracownikami,jeżeli się uda,furmankami.

Postanowiliśmy w porozumieniu ze wspólnikami wydawnictwa zamknąć "Słowo Polskie" z chwilą wkroczenia wojska austriackiego. Spisaliśmy odpowiedni protokół. Na straży domu i dobytku miał zostać administrator Medycki. W ostatniej chwili prosił mnie on,abym mieszkanie opróżnił,obawiał się bowiem pogromu. Żydzi istotnie już nas stróżowali,ciesząc się z góry,że będziemy przyłapani. Polska firma ekspedycyjna /z ul.Akademickiej/,z którą miałem dawniej stosunki,odmówiła swojej pomocy. Tak jej doradzili żydzi. Nająłem jakiegoś prywatnego człowieka,który się podjął wynająć skład i rzeczy przewieźć. Odbyła się ta przewózka ostatniego dnia 19 czerwca. Nie miałem nawet czasu zajrzeć,jak ten skład wygląda. Przewożono bibliotekę na platformie w rozsypce i graty. Liczono wówczas,że wojna potrwa kilka miesięcy jeszcze,za tyle więc miesięcy skład opłaciłem. Po wojnie dopiero dowiedziałem się,że cały ten mój dobytek wyrzucono potem z najętej izby do szopy. Z trudem udało się żonie w jesieni 1919r. te rzeczy odnaleźć i to,czego nie rozkradziono,przywieźć do Warszawy.

W dn.19 czerwca wydałem jeszcze dwa numery dziennika jak zwykle. W ostatnim pożegnałem się z czytelnikami. Na nocne wydanie pozostał jeszcze wierny współpracownik Wacław Nake-Nakęski i wydał numer ostatni z dn.20 czerwca. Znalazło się tam doniesienie, że redakcja w nocy Lwów opuściła.

Tak się istotnie stało. A jak się stało,o tym opowie notatka, którą zachowałem i którą powtórzę w całości. Będzie to kartka z dziejów wielkiej emigracji uchodzącej na wschód przed zalewem germańskim.

Za miastem,na Persękówce,było ogrodzone pole,na które Rosjanie spędzili rekwirowane konie.Stada te zagłodzone teraz porzucono. Stanisław Biega,znany działacz nasz,współpracownik "Słowa Polskiego" zajął się sporządzeniem z tego materjału potrzebnych nam zaprzęgów.Znalazło się sześć par koni,wózków i z pośród naszej młodzieży siedmiu woźniców.Skądś wzięto powóz dla Pawlikowskiego Jana,poza tym wózek z koniom Stanisława Grabskiego,mającego na Wólce swoje gospodarstwo.

Wieczorem 19 czerwca wszystko to zajechało przed dom,gdzie mieszkał Hieronim Wierzyński,współpracownik "Słowa Polskiego", tam załadowaliśmy bagaże i wyruszyliśmy w drogę.

Noc była ciemna,zdenerwowanie wielkie.Ruch ewakuacyjny na ulicach platał nasze wozy.Łuny pożarów potęgowały ciemność.Wyjechaliśmy przez rogatkę Łyczakowską na Winniki w kierunku Złoczowa.Po drodze zatrzymywały nas patrole przy biwakach.Z trudem trzymaliśmy się szeregu,bo konie i uprząż różnej były wartości,a woźnice niefachowi źle pozaprzęgali.Pierwszy popas w Woroniakach rano,gdzieśmy dopiero poznali kto jedzie.

W niedzielę 20 czerwca po południu stanęliśmy w Złoczowie. Część furmanek pojechała według wskazówki dra Gawlikowskiego za miasto,gdzie nocowano w osadzie leśnej Zazuli.My starsi nocowaliśmy u dra Gawlikowskiego: Pawlikowski i ja.W poniedziałek pojechaliśmy i my do Zazuli i tam przenocowawszy,ruszyliśmy rano 22czerwca do Brodów na Podhorce /zwiedzanie/.Pod samymi Brodami w Pasiekach znaleźliśmy gościnę dla wszystkich,zajmując parę domów,wynajmowanych na letniska.Przebyliśmy tam od 23 do 26czerwca.Obok w lesie,jak mi potem pokazano,była kwatera generał-gubernatora hr.Bobrinskiego ze sztabem,który również w nocy z 19 na 20-go wyjechał ze Lwowa.Brody przeładowane były wojskiem i ewakuowanymi rzeczami. Słychać było całą drogę huk armatni i tutaj także.Czas spędzaliśmy względnie wesoło,było bowiem trochę młodzieży uniwersyteckiej, Tadzik,/mój syn/,Bolek Biega,Michał Pawlikowski,Kazio Wolski,Bator,

Wierczak Karol,Latulski i trzy ko-biety:Wierzyńska,Michałowa Pawlikowska i pani Marokiniowa.Pawlikowski Jan ojciec w złym stanie z zdrowia był przedmiotem szczególnej troski.

Pogoda była ciepła,noce księżycowe.Jadaliśmy przed domem w dzikim zadrzewieniu Pasiek.Panie gotowały,młodzież pilnowała koni i pasła je na łące.Wieczorami śpiewano,nawet chór dobry się ułożył. Bawiono się w humorystykę,ale niezbyt szczerze,bo było smutno.Improwizowano raz rotę przysięgi skautowej,zastosowując ją do nowych warunków.I oto jak śpiewano:

Nie będzie prusak pluł nam w twarz
Bo nas tam już nie będzie...
Pójdziem w daleki,zimny kraj-
Błażence po kolędzie.
W gościnę przyjmie każdy próg
Tak nam dopomóż wróg! -

26 czerwca wyjechaliśmy rano w kierunku Krzemieńca w cztery wozy. Grabski z Biegami pojechali potem w stronę Kowla,paru młodzieży do Równego.Jechaliśmy w takim szyku:1 powóz - Wierczak był woźnicą; obok niego na koźle Maryna Pawlikowska,a w powozie ja i Jan Pawlikowski,2 wóz - Kazio Wolski/woźnica/,Zygmunt Raczkowski,Bolesław Bator; 3 wóz - Latalski/woźnica/,p.Marokiniowa,p.Maria Wierzyńska; 4 wóz - Pawlikowski Michał/woźnica/,Tadzik,Hieronim Wierzyński.

Jechaliśmy na gaje Ditkowieckie.O godz.1 m. 30 w południe przekroczyliśmy dawną granicę Austrii i Rosji.Na Galicjan ten moment p przechodzenia w granice Rosji zrobił pewne wrażenie.Uprzytomniono to sobie i żegnano się z ziemią,która była dla nich dotąd ziemią względnej wolności i polską.Na pół z żartem,ale w gruncie z sentymentem żegnano się z nią,kładąc się na trawie i zrywając kwiaty.

- Chodź pan tutaj,wołano do kogoś,kto siedział na wózku po tamtej stronie linii.

- Nie pójdę,tutaj w Rosji chłodniej.

Istotnie dzień był ciepły i droga zapowiadała się znojna.

W Poczajowie jedliśmy obiad.Stwierdziliśmy po drodze polskość

Wołynia i życzliwość dla siebie ludzi. Przyjmowano nas na postojach gościnnie. Wszystkie posterunki pracy /kowale, jadłodajnie/ w rękach polskich. Chłop jadący wozem zatrzymywał nas, rozczulał się nad nami jako nad wygnańcami. Jako nauczyciel wędrowny i potajemny dorobił się tyle, że mógł kupić konia i zarabia nim. Polak z pochodzenia. Co miał chciał nam oddać, przemocą włożył do wózka naszego koniczynę, jaką miał na wozie.

W Krzemieńcu stanęliśmy o 10 m.30 wieczór. Okolice i samo miasto robiło na nas wrażenie, jakby wskrzesił Słowacki. Pawlikowski, który tyle życia Słowackiemu poświęcił, wypatrywał miejsc pamiątkowych po drodze. Ikwa była nam jak znajoma. Światła Krzemieńca, gdyśmy z góry w ciemnościach zjeżdżali, robiły wrażenie w naszej zmęczonej drogą głowie czegoś fantastycznego.

Z trudem pomieściliśmy się w hotelu Bony/żydowski/. Rano wpatrywaliśmy się w górę Zamkową. W kościele /była niedziela/ widzieliśmy pomnik Słowackiego /roboty Szymanowskiego/. Prześliczne miasto, jako pejzaż, ale brudne, żydowskie i zrusyfikowane, przybrane jak na maskaradę w emblematy prawosławia. Jadaliśmy w jakimś klubie. Po obiedzie odwiedziliśmy ks. Bieleckiego proboszcza, dzielnego pracownika. On wziął pod opiekę górę Zamkową z ruinami i doskonale ją konserwował. Podejmował nas podwieczorkiem, który wydał się ucztą. Śliczny dzień. Chodziłem z Batorem po uliczkach, odnaleźliśmy koło Liceum dom znany z tradycji Słowackiego. Ogród botaniczny zniszczony.

28 czerwca rano wyjechaliśmy. Pod Łuckiem u kowala Polaka popasaliśmy.

Na wieczór zatrzymaliśmy się w Borowicach małych. Dzierżawca p. Antoni Malinowski przyjął nas podejrzliwie, bał się włóczęgów. W domu biednie, z trudem nas ugoszczono. Młodzież spała w stajniach. Ja z Pawlikowskim i panie dostaliśmy łóżka. Nazajutrz pokazało się, że dwie panny Malinowskie oddały swoje łóżka, a same spały w sadzie na trawie. Bardzo nas ujęła prostota i dobre serce tego domu.

29 czerwca o godz. 2 stanęliśmy w Ostrogu w hotelu Europejskim

do nocy odpoczywaliśmy.Zwiedziliśmy ruiny.W nocy w obawie upału ruszyliśmy w drogę.O wschodzie słońca dojechaliśmy do stacji kolejowej Krzywin.Tam z Tadzikiem odłączałem się i wsiadłem w pociąg do Kijowa.Reszta pojechała do Sławuty.Po paru tygodniach pobytu w Sławucie Pawlikowski osiedlił się w Żytomierzu z synową i Wierczakiem.Reszta do Kijowa,dokąd zjechał i Grabski z rodziną i Biega.

W dn. 30 czerwca stanęliśmy w Kijowie.

Jak niski był w społeczeństwie polskim poziom kultury politycznej,niech zaświadczy przysłany mi ze Lwowa dokument.W parę dni po naszym wyjeździe sprzedawano na ulicach Lwowa /po 6 halerzy/ czterostronnicową na welinie ulotkę z portretem cesarza Franciszka Józefa p.t."Pamiątka zdobycia Lwowa d.22 czerwca 1915r.".Nakład Adolfa Olpińskiego,drukarnia /żydowska/ "Prasa".Na czele wiersz wydawcy p.t. "Idą nasi!"

"...Idą dzielne armie nasze,
Radości brak słów..."

Ostatnia strofa brzmi:

"Niemcy,Legion,Austryacy,
Wspólną siłą w bojach,w pracy
Wypędzili"russką" trzodę,
Ludzką dali nam swobodę.
Więc niech żyją dzielne syny,
Męstwo tworzy te wawrzyny,
Ten kultury kwiat
Dziś podziwia świat
Przepadł russki podły kat!"

Dalej opis wkroczenia armii,a zaraz potem wiersz p.t."Wasilewskiemu do albumu".

"Byłeś wielkim redaktorem
"Słowo" twoje ziarnem było,
Brałeś za nie ruble worem..."

Dalej poeta zapowiada,że we Lwowie czeka mnie stryczek,który zresz-

ta nie minie mnie i w Rosji. Radzi, bym się sam powiesił. Potem wierszyki podobne do współpracowników Słowa", do administratora Medyckiego, który pozostał i t.p.

Nie trzeba - i dziś nawet - śmiać się z takich dokumentów. Było podobnych mnóstwo do ostatniej chwili w niepodległej już Polsce. Atmosfera ulicy żydowskiej i niestety "legionu" przepojona była fetorem takiej właśnie "orientacji". Bo zważcie, takiemu dziennikarzowi, memu koledze /!/ do głowy nie przyszło stanąć choćby na chwilę na stanowisku sprawy polskiej. Dla niego rodak każdy czy dzielnica polska to były kategorie w ł a s n o ś c i rosyjskiej, austriackiej, niemieckiej. Zaimek "nasi" nie tyczył Polaków. Miłość była dla władców, rodakom groziło się stryczkiem, a obowiązki polityczne obliczało się na korony, lub na marki lub na ruble. Przez tak ponure mroki przebić się musiała wiara nasza w przyszłość Polski, nasza nadzieja, że odzyskamy talizman wolności przywróci Polakom, przynajmniej tym, którzy odpowiedzialni będą za rządy, - męstwo myślenia po polsku i miłowania sprawy i ofiarowania się za nią.

Niestety, w wolnej Polsce dyskutować trzeba było nadal z Olpińskimi na tematy orientacyjne...

3. R.1915-1916. Kijów-Petersburg.

W redakcji "Dziennika Kijowskiego" dostałem adres żony:Mała Żytomierska 20.Żona wynajęła tam dwa pokoiki,w których dość wygodnie we troje pomieściliśmy się.Pobyt w Kijowie trwał dwa miesiące, do 1 września.Były to dla mnie wakacje prawdziwe,bo bez żadnych zajęć i w jednym z najpiękniejszych miast,jakie znałem.Byłem tu niedawno,jak wyżej pisałem,a przedtem półtora roku w uniwersytecie. Mogłem porównać,jak bardzo rozrosło się to miasto w ciągu ćwierćwiecza i wypiękniało.

Życie tutaj bujne,bo na ziemi najbogatszej,w doskonałych warunkach handlowych i przemysłowych,w pięknym klimacie,na wysokim brzegu Dnieprowym,a na moje samopoczucie i to działało,że jest to jedno z najdawniejszych siedlisk ludzkich,bo od kilkunastu tysięcy lat,jeśli liczyć czasy siedlenia się w pieczarach.

W r.1915 wskutek napływu uchodźców Kijów robił wrażenie miasta polskiego.Nikt z uchodźców nie nauczył się tam mówić po rosyjsku.W kawiarniach,w sklepach mówiło się po polsku.Czytało się "Dziennik Kijowski" i tygodnik"Kłosy Ukraińskie" /Ursyn-Zamarajew,redaktor/.Czynny był teatr polski.Na ruchliwej ulicy Funduklejowskiej, niedaleko Złotej Bramy,istniały dwie kawiarnie,w których pełno było od rana do późna Polaków.Na obiady schodzono się w Klubie Polskim.w pobliżu Ogrodu Kupieckiego,skąd przepyszny widok na Dniepr i nizinę zadnieprową.Klub w życiu Polonii Kijowskiej odgrywał dużą rolę.Ważnym punktem życia polskiego była redakcja"Dziennika Kijowskiego",założonego przed kilku laty przez Joachima Bartoszewicza, Wilhelma Kulikowskiego,Zdz.Grocholskiego.W r.1915 redaktorem naczelnym był Edward Paszkowski,dawny współpracownik "Głosu",autor powieści "Podniebie",gdzie redakcja "Głosu" była opisana.Paszkowski po wojnie był członkiem redakcji "Czasu" krakowskiego.I wówczas już w Kijowie znacznie odbiegał w poglądach politycznych od naszego stronnictwa.

Na osobną i chlubną kartę historyczną zasłużyła sobie orga-

nizacja obywatelska pomocy ofiarom wojny,przeniesiona do Rosji z Warszawy,a pozostająca pod kierunkiem Władysława Grabskiego,pracująca w porozumieniu z miejscowymi komitetami.Były to faktycznie ministerja gospodarki polskiej,doskonale opiekujące się uchodźcami i prowadzące wielką pracę kulturalną na Rusi.W Kijowie na czele polskiej organizacji uchodźczej stał St.Moskalewski,późniejszy wojewoda lubelski,człowiek bardzo sprężysty.

Stosunki z "Dziennikiem Kijowskim" były zrazu poprawne,niebawem się ochłodziły,od chwili,kiedy Paszkowski się dowiedział,że grono współpracowników "Słowa Polskiego" zamierza wydawać w Kijowie dziennik popularny p.t."Nowiny".Myśl tę popierałem,nawet wystarałem się u gen.-gubernatora Bobrińskiego,który w Kijowie sprawował urząd okupanta galicyjskiego,o koncesję na ten dziennik.Potrzebny on był ze względów politycznych,miejscowy bowiem organ,pozostający pod wpływem "krajowców",nie spełniał należycie roli organu narodowego.A przytem dziennikarzom,którzy tu przybyli,trzeba było dać możność zarobkowania.Nie mogłem jednak planu tego urzeczywistnić,odwołano mnie bowiem na inny posterunek.

Jak oceniałe,m,po przybyciu do Kijowa,sytuację,przypomina mi o tym wywiad,zamieszczony w "Dzienniku Kijowskim" w nr.171 z 7 lipca 1915r.Bezpośrednim powodem wywiadu była pogłoska,puszczona przez nieżyczliwych stronnictwu naszemu ludzi,jakoby "Słowo Polskie" wychodziło bez przerwy w porozumieniu z władzami austriackimi.Nie miałem ze Lwowa żadnych informacji i byłem niemało tą pogłoską zaniepokojony.Okazało się niebawem,że wiadomość ta była zmyślona. Mam pod ręką ten wywiad,więc pozwolę sobie go przytoczyć;

"Wśród licznej kolonii Polaków przybyłych z Galicji Wschodniej znalazł się w Kijowie redaktor naczelny "Słowa Polskiego".Skorzystaliśmy z tej sposobności,aby się dowiedzieć o losach redakcji i samego dziennika,o którym donoszono teraz,że wychodzi,pomimo wyjazdu ze Lwowa całego składu redakcji.

"Redaktor "Słowa Polskiego" p.Zygmunt Wasilewski jest jednym z założycieli stronnictwa demokratyczno - narodowego w Galicji.

Należał do składu redakcji "Głosu" warszawskiego,który był kolebką tego kierunku;kilka lat /od r.1895 do 1899/ wydawał sam to pismo a w r.1902 objął wraz ze ś.p.Janem Popławskim "Słowa Polskie", które wpływami swemi spowodowało przewrót w wewnętrznych stosunkach politycznych Galicji,tworząc podstawę operacyjną dla silnego stronnictwa demokr.-narodowego,założonego w r.1903.

"Red.Z.Wasilewski,uprawiający poza swym zawodem dziennikarskim i politycznym,literaturę /jako historyk literatury jest członkiem komisji literackiej Akademii Umiejętności w Krakowie/,przyczynił się skutecznie do rozszerzenia wpływów prądu nacjonalistycznego na rozległą sferę polskiej kultury umysłowej.W szeregu książek i działalnością w Związku naukowo-literackim,który prowadził wespół z prezesem stronnictwa Janem Gwalbertem Pawlikowskim,dążył do ujęcia syntetycznego wszystkich przejawów życia umysłowego polskiego w jedną całość jako twórczość jednego ducha.

"Zapytany przezemnie o dalsze losy "Słowa Polskiego",odpowiedział:

-"Słowo Polskie" - jest własnością spółki udziałowej sądownie zarejestrowanej.Skład udziałowców nie jest zupełnie jednolity ~~xxxxxxxxxx~~ pod względem politycznym.Stronnictwo w ostatnich latach wykupiło większość udziałów,wskutek czego miało w swoich rękach dyrekcję i redakcję.Ale gdy ze względów politycznych obecni przedstawiciele stronnictwa zmuszeni byli wyemigrować ze Lwowa,to pod ich nieobecność wydawnictwem mogli zawładnąć ci nieliczni w spółce zwolennicy dawnego kierunku żydowsko-austriackiego,którzy przed tym /do r.1902/ mieli tam wpływ decydujący.

"Żadnych wiadomości o tym,co się stało po zajęciu Lwowa mieć nie mogę,oprócz pogłoski zanotowanej przez "Rus.Słowo",że dziennik nasz jakoby dalej wychodzi.Przewidując jednak możliwość czegoś podobnego,przed wyjazdem,jako dyrektor wydawnictwa,zarządziłem posiedzenie dyrekcji,na którym spisaliśmy w księdze protokularnej uchwałę,że wydawnictwo w razie zajęcia Lwowa przez wojska austriacko-niemieckie będzie zawieszone.Było to wolą kategoryczną zarządu

stronnictwa naszego imcałej redakcji,która na dwa dni przed wkroczeniem wojsk Lwów opuściła.Wszystko więc,coby teraz tam zaszło nie ma żadnego związku ze stronnictwem dem.-narodowym.

- Słyszeliśmy już dawniej - rzekłem - że między udziałowcami były starcia.Nie chcę wchodzić w stosunki prywatne,ale interesuje mnie to,jakie mogły być różnice na terenie politycznym sprawy polskiej,dzisiaj tak jednomyślnie w Polsce pojmowanej...

- Skład spółki początkowo był przypadkowy.Wydawnictwo można traktować także jako interes handlowy,jeśli dobrze idzie.Udziałowcy nie będący działaczami narodowymi i nie mający nic do poświęcenia dla dobra sprawy,dla ratowania majątku poświęcą ideę.Jest to możliwe,bo na każdym kroku spotykamy ludzi,którzy na wojnie chcieli zarobić,ale w żadnym razie nie mogą się z tym pogodzić,że na wojnie się traci.

"Wogóle w sprawach tak zwanej "orientacji",gdy się chce ludzi segregować,trzeba się wprzód samemu zorjentować co do tego,że prawowita jest tylko jedna orjentacja:linie interesu polskiego na długą metę.Kto nie stoi na tej linii,ten w swoich poglądach na politykę zewnętrzną Polski daje wyraz tylko osobistym sympatjom, orjentacja zaś austriacka lub niemiecka jest wprost niewiarogodna u ludzi trzeźwo myślących,pragnących istotnie dobra narodu.Nie widziałem człowieka w obozie tej "orjentacji",któryby miał program polski któryby widział możność poprowadzenia dziejów Polski po tej linii stycznej.Widziałem tylko oportunizm,płynący z nałogu,z doraźnego obliczenia zysku lokalno-osobistego,lub wręcz bezmyślność.Są to najczęściej ludzie biernego ducha,którzy pragnęliby wymigać się od wypadków,wstrząsających Polską,przejść sucho - jak to mówią -między deszcz.Napastliwie,czynnie zachowują się tylko ci,którzy świadomie lub bezwiednie pozostają w służbie żydów.W Polsce bowiem jest to jedyny żywioł,mogący mieć interes w tym, aby Polska nigdy się nie zjednoczyła.

"Co do mnie nie biorę nigdy na serio ludzi stemplujących się

stronnictwa naszego i całej redakcji, która na dwa dni przed wkroczeniem wojsk Lwów opuściła. Wszystko więc, coby teraz tam zaszło nie ma żadnego związku ze stronnictwem dem.-narodowym.

- Słyszeliśmy już dawniej - rzekłem - że między udziałowcami były starcia. Nie chcę wchodzić w stosunki prywatne, ale interesuje mnie to, jakie mogły być różnice na terenie politycznym sprawy polskiej, dziś tak jednomyślnie w Polsce pojmowanej...

- Skład spółki początkowo był przypadkowy. Wydawnictwo można traktować także jako interes handlowy, jeśli dobrze idzie. Udziałowcy nie będący działaczami narodowymi i nie mający nic do poświęcenia dla dobra sprawy, dla ratowania majątku poświęcą ideę. Jest to możliwe, bo na każdym kroku spotykamy ludzi, którzy na wojnie chcieli zarobić, ale w żadnym razie nie mogą się z tym pogodzić, że na wojnie się traci.

"Wogóle w sprawach tak zwanej "orientacji", gdy się chce ludzi segregować, trzeba się wprzód samemu zorjentować co do tego, że prawowite jest tylko jedna orjentacja: linie interesu polskiego na długą metę. Kto nie stoi na tej linii, ten w swoich poglądach na politykę zewnętrzną Polski daje wyraz tylko osobistym sympatjom. Orjentacja zaś austrjacka lub niemiecka jest wprost niewiarogodna u ludzi trzeźwo myślących, pragnących istotnie dobra narodu. Nie widziałem człowieka w obozie tej "orjentacji", któryby miał program polski któryby widział możność poprowadzenia dziejów Polski po tej linii stycznej. Widziałem tylko oportunizm, płynący z nałogu, z doraźnego obliczenia zysku lokalno-osobistego, lub wręcz bezmyślność. Są to najczęściej ludzie biernego ducha, którzy pragnęliby wymigać się od wypadków, wstrząsających Polską, przejść sucho - jak to mówią - między deszcz. Nepastliwie, czynnie zachowują się tylko ci, którzy świadomie lub bezwiednie pozostają w służbie żydów. W Polsce bowiem jest to jedyny żywioł, mogący mieć interes w tym, aby Polska nigdy się nie zjednoczyła.

"Co do mnie nie biorę nigdy na serjo ludzi stemplujących się

jakąś marką polityki obcej,a nie wykazujących się programem polskim
Klasyfikuję sobie ludzi nie wedle ich frazesów,lecz wedle typu moralnego,albo są to Polacy,ludzie wierni instnynktowi narodowemu, albo ~~zą~~ degeneraci.Ostatnie stulecie dziejów mogło nas zdegenerować.Naogół nie trzeba zbyt subtelnie doszukiwać się partii.W Polsce może być tylko jedna grupa ludzi,kierujących nawą polityczną, złożona z ludzi instynktu polskiego.Ten instynkt jedynie daje intuicję;żadne krętactwo nie wyprowadzi Polski z zagmatwanej,nieszczęsnej sytuacji.Potrzebna jest polityka wielkiej,dziejowej linii czyniąca przewrót w pojęciach wszystkich trzech dzielnic;wyrwać się musimy z trój-oportunizmu,na jedną drogę.

"- Niedawne to jednak czasy - wtrąciłem - gdy przeważała właśnie chwiejność w dążeniach i rozdwojenie.Przecież jeszcze na początku wojny różne były czynione kombinacje polityczne i to w dobrej wierze nawet.

"- Otóż nie.Widzę,że wszystko zależy od tego,jak kto przeżył ten rok wojny.Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego,że ten rok przyspieszył ewolucję stosunków o jakie sto lat.Myśl nasza nie ogarnie przewrotu,zwłaszcza w miejscowościach kresowych,które ~~nał~~ wstrząśnień wojny nie odczuły,zwłaszcza wśród ludzi,którzy doniosłość wypadków oceniają wedle tego,czy im nie uszczupliły wygód, wedle tego np.czy śmietanka zdrożała,czy nie.

Zapytajcie się duszy polskiej w centrach,to ona wam powie,że jedynym jej punktem oparcia jest dzisiaj myśl o zjednoczeniu ziem polskich.Wszystko doczesne jest zlikwidowane lub będzie.To,co było w roku 1914,rok temu,należy do prehistorii.Wypadki objęły całokształt zagadnień,tyczących bytu narodów,ustały w Polsce zagadnienia lokalne,taktyczne,trzeba się było zorientować,co będzie z nami po wojnie.

Program polski wobec tej wojny powstał dopiero rok temu.Wojna zaskoczyła największe mocarstwa,a co dopiero nas.Jedynia Królestwo Polskie z Warszawą mogło za całość odczuć sytuację i powziąć

dezyzję. Program przyłączenia się aspiracjami do koalicji, która rzuciła hasło rozgromu Niemiec i regulowania spraw narodów mniejszych, był samorzutny, aczkolwiek oparty był na dokładnej znajomości stosunków międzynarodowych. Galicja wskutek okoliczności wojny poznać mogła ten program dopiero w jesieni. Rozprowadzenie go po ziemiach, zajętych przez dwuprzymierze, było trudne. A jednak jest faktem, że program ten wszędzie przeniknął dotąd i został przyjęty we wszystkich trzech dzielnicach przez wszystkie żywioły zdrowe i niezaprzedane polityce obcej.

"Ostatnie dni nasze w jesieni 1914r. w Galicji Wschodniej za panowania austriackiego były niezmiernie trudne, gdy działać trzeba było na odrobienie polityki sprzecznej z tym programem nowym, a Polaków odtąd obowiązującym. Ale obecnie żadne stronnictwo narodowe pomimo odmienności fortuny wojennej nie zdecydowałoby się odstępować od dążeń ogólnych, ani ich modyfikować. Dlatego bez wahania postanowiliśmy "Słowo Polskie" zawiesić w tych okolicznościach.

"- Program zjednoczenia polskiego po stronie Rosji - dodał na moje pytanie redaktor Wasilewski - jest przewrotem w pojęciach doby ostatniej. Każdy polityk polski zdaje sobie z tego sprawę. Ale więcej powiem, nie jest on pomyślany tylko na wypadek zwycięstwa koalicji. Gdyby nawet - co jest nie do pomyślenia - wojna inny wzięła obrót, program ten okaże się zbawczym dla przyszłego bytu Polski. Potrzebny nam był plan zasadniczy stosunku do Niemiec. Ten plan ratunku powzięty dzisiaj nie jest zatem czysto aktem taktycznym.

"Cała Europa poznała, co to jest niebezpieczeństwo niemieckie, a my, bezpośrednio przez Prusy pożerani, mamyż dopiero zgadywać, gdzie nasza droga? Jeśli są w Polsce jeszcze ludzie, którzy zaczynają dopiero namyślać się, dyskutować i wybierać orientację, to dowód, że było u nas zbyt wielu, którzy nigdy nie myśleli o sprawie polskiej. W tej chwili ciężkiej potrzeby jest przyspieszony wysiłek, aby Polacy, opóźnieni w szkole politycznej, douczyli się elementarnych pojęć o naszym położeniu i nie wywoływali dwuznaczności w zachowywaniu się naszym na zewnątrz.

"- Wszystkie nieszczęścia - kończył redaktor Wasilewski - które tej wojny nas nawiedziły, miną, jak ciężki sen. Bez cierpień i ofiar naród się nie przeradza. Ale wierzymy, że wojna skończy się pomyślnie dla koalicji i przyniesie wielkie dla Polski korzyści. Co do naszej redakcji, wierzymy, że powróciwszy na swoje miejsce, nie będziemy widzieli koło siebie sceptyków sprawy polskiej.

Lector."

Dmowski był już podówczas w Petersburgu, dokąd przeniósł się utworzony w Warszawie Komitet Narodowy, pozostający formalnie pod przewodnictwem Zygmunta Wielopolskiego. Dmowski oczywiście był faktycznym kierownikiem Komitetu, złożonego z członków obozu dem.-narodowego i konserwatywnego. Z najbliższych Dmowskienu przyjaciół należeli do Komitetu: Zygmunt Balicki, oraz posłowie do Dumy: Wiktor Jaroński, Jan Harusewicz, Jerzy Gościcki. Poinformował mnie o tym w wszystkim Mieczysław Niklewicz. Przyjechał on do Kijowa ze zleceniem od Dmowskiego, aby mnie i Kozickiego Stanisława, który świeżo pojawił się w Kijowie, ściągnąć nad Newę. Przyjąłem to wezwanie niechętnie; żal mi było Kijowa, wymawiałem się planami robót, które tu rozpoczęlismy. Wkrótce jednak przybył Niklewiez ponownie z kategorycznym żądaniem Dmowskiego. W liście wyjasnił, że chodzi o założenie w Petersburgu tygodnika politycznego, który byłby organem Komitetu Narodowego.

W dn. 1 września wyjechałem z rodziną i z Kozickim. Któż mógł wtedy przewidywać, że osiądziemy tam na lat dwa z górą?! Zatrzymaliśmy się narazie w hotelu Wiktorii na ulicy Kazańskiej. Nazajutrz odwiedziłem Dmowskiego. Mieszkał w hotelu Astoria. Tam też spotkałem Konstantego Platera.

Wkrótce plan wydawnictwa był gotów. Załoga, narazie przynajmnie, była bardzo dobrana. Ja miałem redagować, a stałymi współpracownikami byli: Z. Baliski, St. Kozicki, Bohdan Wasiutyński. Balicki zajął się gorliwie wynalezieniem i urządzeniem lokalu. Wynajął obszerne mieszkanie na Zaułku Sapernym, Nr. 10. Tam też przeniosłem się z rodziną.

Największa izba i gabinet przeznaczone były na redakcję,w pokoju administracyjnym zasiadła ekspedientka i służący Antoni,pilnie klejący opaski.Znalazła się też niezbyt daleko drukarnia z czcionkami polskimi.Lokal stał się zarazem klubem stronnictwa i redakcją.Na konferencje zbierało się nieraz kilkadziesiąt osób.Tutaj też była stołownia dla przyjaciół.Stałymi gośćmi byli: Balicki,Kozicki,Wasiutyński,Jaroński,Gościcki.Jadał też z nami obiady Dmowski,dopóki nie wyjechał za granicę,a potem Stan.Grabski,który często bywał w Petersburgu i dłużej tu przesiadywał,oraz Niklewicz,dopóki rodzina jego nie przeniosła się tutaj z Moskwy.

Warunki pracy były dogodne,fundusze zapewnione /składały się na nie stronnictwo nasze i realistów/ i co ważniejsze - dobre samopoczucie nie opuszczało nas w pracy i w życiu towarzyskim.Nie mieliśmy nic do stracenia,a wszystko było do wygrania.W tę wygraną wierzyliśmy.Humory były doskonałe.

Dmowski zamieścił w "Sprawie Polskiej" artykuły wstępne tylko w czterech pierwszych zeszytach i w listopadzie,uzyskawszy paszport,wyjechał do Londynu.Wyjeżdżając pozostawił u mnie rękopis dzieła,jak mówił,nie wykończonego ostatecznie.Po jakimś roku,gdy o materjał było już trudniej,zdecydowałem się - bez wiedzy autora - wydrukować w "Sprawie" kilka z tej pracy rozdziałów bez podpisu. Ja pisywałem co tydzień feljeton "Luźne kartki".Odbiorców pisma było około dwóch tysięcy.Cenzury nie było żadnej.

Zimowe wieczory spędzaliśmy przy kominku w redakcji.Drzewa w Rosji było pod dostatkiem.Mieszkania w domach petersburskich były znakomicie zaopatrzone.Pamiętne mi zastygły pogadanki przy kominku,podczas których nawet Balicki,zwykle zamknięty szczelnie w sobie ,stawał się wylewnym.

W lecie 1916r.wyjechałem z żoną do Finlandii na kilkutygodniowy odpoczynek..Spędziliśmy go w uzdrojowisku Neislot nad jeziorem wraz z synem,który tu już przedtym przybył z Kozickim.Wracaliśmy statkiem jeziorami.Była to jedna z piękniejszych i pożytecz-

niejszych wycieczek wakacyjnych.Dała mi możność opsania uroków Finlandii w książce "Orientacja wewnętrzna"

Ze zdarzeń osobistych w tym roku mogę zanotować,że gdy nastąpił pobór rocznika 1897,syn mój porzucił uniwersytet.Udało mu się dostać do uchodzącej za najlepszą- szkoły podchorążych Pawłowskiej.Przebył tam kurs skrócony i w lutym 1917 zapisał się do pułku zapasowego strzelców polskich,który stał w Białogrodzie/gub. Kurska/.Znalazł tam oparcie w domu przyjaciela naszego dr.Jana Załuski,lekarza pułkowego,a z tamtąd wkrótcexx został przeniesiony do 6-go pułku strzelców polskich w korpusie Dowbór-Muśnickiego. Pułk ten stał w Zubcowie /gub.Tulska/.

Pogodny względnie - jak na czasy wojenne - bieg życia w naszym kółku w jesieni 1916 r.przerwała śmierć Zygmunta Balickiego. Nastąpiła ona zupełnie niespodziewanie rano 12 września.W dniu tym - pamiętam - czekaliśmy na niego z obiadem dość długo i to nas zaniepokoiło,znany był bowiem ze swej punktualności.Kozicki zatelefonował do jego mieszkania.Gospodarz mieszkania,Rosjanin zawiedomił go o śmierci.Balicki świeżo był się tam wprowadził i nie dał gospodarzowi żadnego adresu przyjaciół,ten więc nie mogąc o tym nikogo z bliskich zawiadomić,oddał zwłoki do kostnicy.

Śmierć nastąpiła nagle,gdy wstawszy z łóżka ubierał się.

Następny rozdział pozwolę sobie wypełnić bez zmian notatką, spisaną bezpośrednio po wydarzeniach 1917roku.Uzupełnienie tych moich pobieżnych wspomnień znajdzie,ktoby się tym interesował, w książkach,które potem wydałem w Warszawie,mianowicie w zbiorze moich feljetonów petersburskich "Na wschodnim posterunku" i w sprawozdaniu sądowym "Proces Ledniskiego".Są to właściwie karty mego pamiętnika z tych czasów.

4. Rewolucja /z pamiętnika/

W końcu lutego 1917 r. wybuchła w Petersburgu rewolucja. Moment to był ważny nie tylko w życiu osobistym, które tutaj notuję. Acżkolwiek Polacy, w zwłaszcza Komitet Narodowy jako reprezentacja narodu, czuli swoją eksteryterialność, to jednak faktycznie i prawnie byliśmy igraszką fali rosyjskiej. Sprawa polska przez Rosję traktowana była jako wewnętrzna, a dyplomacja koalicyjna, nie chcąc się Rosji narażać, w tym poglądzie ją podtrzymywała. Losy rewolucji, Rosji i związanej z nią Polski nie były łatwe do przewidzenia.

Zanim zanotuję osobiste szczegóły, dodam, że nie dzieliłem od początku optymizmu. Rewolucja jako strącenie caratu przyszła zbyt łatwo. Rosjanie sami się zlękli swego czynu, nie rozumiejąc dobrze skąd się dokonał. A główne niebezpieczeństwo w tym tkwiło, że nie widać było w Rosji żywiołu, któryby gwarantował jakieś oparcie, żadnego punktu trwałego oparcia i mocy przezwyciężenia wypadków. Wszystko od góry do dołu słabe i przelęknione, żadnej warstwy poczuwającej się do siły i odpowiedzialności. Najmniej budziła we mnie zaufania inteligencja rosyjska z kadetami, jako naturalnymi przedstawicielami liberalizującego Rosjanina. Kadeci właściwie zrobili rewolucję, sami o tym nie wiedząc. Zrobili ją w Dumie, osaczając rząd systematyczną krytyką, w przewidywaniu najwyżej reform. Koalicja popierając tą akcję dała dowód, że nie orjentuje się w naturze stosunków, bo nie przewidywała i nie chciała przewrotu. Nie uwzględniono momentu historycznego, że Rosja jest budowlą drewnianą tym słabszą, że nadmiernych rozmiarów, barakiem państwowym, kunsztownie przez inżynierów niemieckich ciesielką rosyjską skonstruowanym, że ta budowla podczas wojny japońskiej już się trochę nadwątliła w wiązaniach, że wreszcie po 3 latach wojny, obliczonej na wytrzymałość angielską, nie sprosta ciśnieniu wojny.

Wogóle koalicje nie są frontem precyzyjnym z powodu nierówności sił kulturalnych. Anglicy obliczali tempo wojny według swego temperamentu i swojej wytrzymałości, rozkładając zadania arytmetycz-

nie bez uwzględnienia jakichś składników. Takie organizacje jak Rosja mogą się zdobywać na czyny doraźne. Żołnierza stać na krótki oddech bohaterski, społeczeństwo nie zdolne wziąć wojny na siebie, niestanowi bowiem ciała moralnego. Carat trzymał się pozornie mocno, ale już bladł, tracił swój patos, którym zawsze się trzymał jako rząd dusz. Coraz częściej podejrzewano go o potajemne próby zawarcia pokoju /Stürmer, Protopopow/. Niemiłosierna krytyka, coraz śmielsza, gdy dał się odczuć brak tonu dawnego na dworze, pozbawiła tron powagi. Dokonany sportowo zamach na Rasputina dowiódł, że można bezkarnie polować w domu Romanowych i strzelać na zwierzynę pod nogami. Dom carski ośmieszony nie miał już na kim się oprzeć. Zleciał jak dojrzały owoc. Nasz dawny przyjaciel Al. Więckowski wpadł do Dumy i krzyczał: "władza leży na ziemi!".

Nie wiedziano jednak, co dalej robić, przelękniono się swego czynu i zwalono go na wojsko, czy lud uliczny. Zabrakło odwagi wziąć na siebie odpowiedzialność, nie przed policjantem, ale przed historją. Tego tylko było potrzeba agitatorom ludowym. Ci potrochu uwierzyli, "że rewolucja jest ich dziełem". Lud, kiedy poczuł, jak to smakuje, gdy znalazł się u steru i w posiadaniu masy pieniędzy, /a o to tylko rosyjskiemu ludowi chodzi i socjalistom/, nie dał już sobie potem wyperswadować, że ktokolwiek inny ma prawo do rewolucji i władzy. Z rewulucji uczyniono stałą instytucję.

Z początku miały wpływy jakiś czas sfery kulturalne nawet prawicowe /Guczkow/, kadeci/Milukow, Lwow/, ale zrzekali się ich potrochu w licytacji demagogicznej. Przy ministrze Guczkowie wszedł w życie rozkaz wojskowy Nr. 1, przy ministrze spraw zagranicznych Milukowie puszczono przez Niemcy Lenina i towarzyszy. Parę miesięcy rządził gabinet mieszany, potem odpadł Guczkow i kadeci, a gdy w październiku po ciągłych kompromisach z naczelnym ciałem ludowym Rady delegatów robotniczych i żołnierskich doszło do rządu t. zw. koalicyjnego z przybraniem działaczy moskiewskich i do t. zw. "przedparlamentu", który miał zluzować powagę "sowietów" żołnierskich, wybuchła w październiku /25/ rewolucja druga, która uznała socjalistów-rewolusjo-

nistów za burżuazję,i zapanowali "bolszewicy",opierając rządy na "sowietach żołnierskich".Uljanów-Lenin stanął na czele Rady Komisarzów,ministrów aresztowano i rozpoczęła się wojna domowa,jeszcze nie skończona gdy to piszę.

Rewolucję marcową przetrwaliśmy w Piotrogrodzie.Stosunek działalności naszej i wydawnictwa do środowiska nie mógł ulec zasadniczej zmianie,nie braliśmy bowiem w życiu rosyjskim żadnego udziału. Natomiast kolonia polska miejscowa z rewolucją się bratająca,pragnęła z wypadków korzystać,aby Komitet Narodowy,posłów i prasę naszą w oczach nowego rządu,im bliskiego,skompromitować.Wypłynęły Komitety Demokratyczne,a na ich czele Lednicki w Moskwie,Babiański w Piotrogrodzie i rewol.-socjalista Więckowski,który w przewrocie żywy brał udział,jako doradca organizującego się z Dumy dawnej rządu.Były wnioski,żeby posłow aresztować.Lednicki jako przyjaciel kadetów w rządzie tymczasowym,a później Kiereńskiego,odgrodził Komitet Narodowy od rządu,podając w "wątpliwość" jego demokratyczność i lojalność wobec rewolucji,a zwłaszcza Wielopolskiego jako osobistego przyjaciela Mikołaja II.

Potrochu wyszły na jaw germanofilskie tendencje i związki z krajem Lednickiego i całej "demokracji",zaczęła się akcja przeciwko koalicyjnemu stanowisku Komitetu Narodowego,połączona z intrygami w rządzie i w ambasadach.

Lednicki,mający stałe stosunki z Rządem Tymczasowym,na parę dni przed ogłoszeniem historycznego aktu Rządu Tymczasowego w sprawie polskiej w marcu 1917r. odwiódł Wielopolskiego od zamiaru,aby Komitet widział się z rządem,zapewniając,że będzie czas za parę dni pójść do rządu,a robił to dlatego,ponieważ dowiedział się,iż akt jest gotów.Lwow się tłomaczył,potem,że Lednicki podawał się za rzecznika Komitetu Narodowego.Zaledwie dało się ocalić powagę Komitetu Narodowego i stosunek z rządem zachować.Lednicki dawał do zrozumienia potem,że akt ten jest jego dziełem,gdy tymczasem nie był on dziełem moralnym nawet Rządu Tymczasowego.Wyszło na jaw później,

że nacisk w tym kierunku zrobił Dmowski w Londynie na Balfoura, że Balfour bardzo się koniecznością niezwłocznego aktu ze strony Rosji przejął, że dwa razy atakował Milukowa przez Buchanana, aż ten pod naciskiem nieodpartym uległ i w ciągu dwu dni akt zredagował. Rada żołnierska umyślnie była poruszona na dzień naprzód, aby swoim wystąpieniem/wolą ludu/Milukowa przed opinią zabezpieczyć.

W każdym razie widzieliśmy, że zmienione warunki działania wymagają pewnych zmian w organizacji Komitetu Narodowego, mianowicie oparcie go na ~~szerokich~~ szerszych podstawach demokratycznych. W tej myśli w lipcu dokonaliśmy nowej organizacji za pomocą wielkiego zjazdu w Moskwie, który istotnie był imponujący. Zjazd ten wyłonił Radę Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego.

Komitet Wykonawczy Rady zajął 1 kal na ul. Spaskiej 27 /o parę uliczek od naszego Sapernego Zaułka/. W ciągłej też redakcja "Sprawy Polskiej" pozostawała z nim styczności. Grabski Stanisław, który stanął na czele, wraz z Wielowiejskim, Wydziału Zagranicznego, zamieszkał w pokoju mojego syna, wówczas nieobecnego. Gościcki /Wydział Wewnętrzny/ stołował się.

Roku 1917 nie miałem wakacji. W lipcu wyjechałem tylko na zjazd do Moskwy. Roboty miałem dosyć ze "Sprawą Polską", Kozicki bowiem pod koniec marca wyjechał do Londynu, gdzie go potrzebował do pomocy Dmowski. Tak tedy zostałem w "Sprawie" sam, Wasiutyński bowiem mógł tylko pisywać jeden artykuł na tydzień, zajęty stale w "Dzienniku Polskim", który powstał w r. 1917 jako organ Komitetu Narodowego, a potem Rady.

Życie w Piotrogrodzie od marca stało się nieznośne ze względu na atmosferę moralną jakiegoś kału społecznego, a potym ze względu na niesłychaną drożyznę, wywołaną spadkiem kursu rubla i dezorganizacją pracy. Zapanował brak codziennych artykułów spożywczych. Ogony przy sklepach, pomimo kartek spożywczych, zajmowały masę czasu ludziom. Za cukier w październiku płaciliśmy po 2 ruble funt, masło 6-7 rubli funt, ser 6 rubli, mięso 5 rubli. Para butów 100 rubli, ubra-

nie 500 rubli,pudełeczko zapałek 10-15 kop.i t.d.

Rewolucja przedłużyła wojnę,która już szła ku schyłkowi na wiosnę.Nowe zwycięstwa i podboje Niemców nad morzem Bałtyckim, grożące Piotrogrodowi najście,odwleczenie wojny bez terminu,groźby pokoju rosyjskiego z katastrofą dla sprawy polskiej,niepewność życia,demoralizacja w szeregach demokracji polskiej i ciągłe intrygi,troska o armię polską,wreszcie - straszna jesień piotrogrodzka z ciemnościami - wszystko to razem składa się teraz na uciążliwy stan przebijania wzrokiem nieprzeniknionych ciemności i łapania oddechu...Od kilku dni niema gazet,oprócz świstków walczących ze sobą partii rewolucyjnych.Żadnej poczty ani telegramów,telefony zamknięte.Ludzie nadsłuchują huku armat,z którymi już od kilku dni miał przyjść Kiereńskij.Nie nadchodzi,a zresztą nikt w niego nie wierzy,nikt go nie chce tak samo,jak i Lenina.

Rosjanie przeżywają jakąś anegdotę,modląc się o pokój. Nie ich nie obchodzą konsekwencje polityczne dla mocarstwa.W niedzielę cały dzień walczyły obozy rewolucyjne.W oczekiwaniu na przybycie Kiereńskiego z wojskami bronili się biedni junkrowie ze szkół wojskowych,najlepsza młodzież rosyjska.Tłum żołdactwa,nienawidzący inteligencji,wybijał ich,oblegał szkoły.Rozszarpywano ich po drodze do kazamat Petropawłowskich.Batalion kobiecy,który bronił marynarzom wstępu do pałacu Zimowego,wybito lub zabrano do koszar, gdzie kobiety sponiewierano,gwałcąc.Chłopiec portiera naszego opowiadał,że był wczoraj rano na podwórzu szkoły junkrów Włodzimirskiej i widział rozbite kartaczami ściany,a na podwórzu junkrów zabitych,ułożonych stosem jak drzewo.Było ich 100 może 120.

W sąsiedniej szkole uczył się Tadeusz.Mogło być z nim to samo gdyby wcześniej nie skończył.Gdyby nie sformowanie oddziałów polskich,bałbym się co dzień o taki sam jego los,bo żołnierze rosyjscy za punkt honoru rewolucji mają mordowanie swoich oficerów.

Moskwa,6 stycznia 1918r.

Mokwa,6 stycznia 1918r.

Piszę te słowa w Moskwie po noclegu w domu pp.Lutosławskich. /Srednia Presnia 3/

Wyjechaliśmy 4 stycznia z Piotrogrodu zwinąwszy mieszkanie i "Sprawę Polską"Pobyt w Piotrogrodzie stawał się niemożliwy,coraz trudniejsze wydawanie pisma,do którego z funduszów stronnictwa dopłaciliśmy kilkadziesiąt tysięcy rubli,pomimo że poczytność miało dobrą.Koszt wyprodukowania jednego zeszytu dochodził do jednego rubla.Ognisko polskie przesunęło się do Kijowa.Zaproponowano mi redaktorstwo dziennika w Kijowie.Uznaliśmy ważność posterunku. Osobiście nie mogłem dłużej pozostawać z powodu braku zdrowia. Dokuczała mi co jakiś czas egzema nerwowa na oczach,a od grudnia bóle wątroby,połączone z żółciowymi kolkami.Co jakiś czas kładłem się do łóżka z gorączką.Nadeszły ciężkie mrozy,groza ciemności p północnych zwiększała się wskutek braku węgla w zakładach elektrycznych.Światło dostawaliśmy koło 6-ej wiecz.,a że kilka dni wcale go nie było.A to czekanie nocy w bezczynnym poddaniu się ciemności deprymowało w wysokim stopniu.Drożyzna i brak żywności były coraz większe.Mięso dochodziło do 5 rubli funt,masło 10-15 rub.,chleba coraz mniej.Zapowiedziano przerwanie komunikacji. Na parę dni przed naszym wyjazdem skasowano wagony sypialne.Ze xx strachem przygotowywaliśmy się do podróży.Należało wyprzedać sprzęty,ulokować bibliotekę redakcyjną,oczyścić mieszkanie.Podczas kłopotów i wysiłków fizycznych /wiązanie kompletów "Sprawy Polskiej"/ zachorowałem na wątrobę i leżałem w łóżku,które już było sprzedane Dziennikom nie wolno było wtedy dawać ogłoszeń,zmonopolizowane bowiem były na rzecz gazet urzędowych Sowietów.Trudno więc było xx sprzedawać rzeczy,jednak rozkupiono je po znacznie wyższej cenie niż kupowaliśmy.Zysk był pozorny,bo rubel wart był 20 kop.

Wyjechaliśmy o godz.7 na pociąg wieczorem,zabierając z sobą w wielu paczkach i koszach rzeczy - cały swój majątek.Z trudem oddaliśmy parę sztuk na bagaż przy pomocy woźnego Antoniego,licząc

je za przepadłe,bo ciągle mówiono o tym,że bagaże nie dochodzą. Dwóch tragarzy zajęło się paczkami.Na peronie tłoczyły się masy żołnierzy.Wrzuconoas do drugiego z kolei pociągu koło 10-tej wsród nieopisanego tłoku.

Nie mogliśmy posunąć się dalej,jak parę kroków od drzwi w kutytarzu pulmanowskiego wagonu.Do połowy wysokości zamarzniętych o okien piętrzyły się ładunki bagażów,na nich siedzieli pasażerowie, przeważnie żołnierze,jeżdżący za towarem.Między rzeczami a ~~ścianą~~ ścianą było tak mało miejsca,że stojąc nie mogliśmy stopy wyprostuwać.Kiedy się popychano od wejścia i krzyczano o przejście,groziło wyłamanie nóg.Żołnierze kazali skakać na rzeczy /tak prygaj!/. Chwytając się tedy okien,dźwigaliśmy się na stosy,a gdy kal sze spadły,trudno je było odszukać.Ponieważ naniesiono śniegu,a okno u wejścia było wybite,baliśmy się przemarznięcia.Nogi cierpły.

Tak schodziły godziny.Grozę położenia zwiększała ciemność, wagon bowiem był nietylko nieopalany,ale bez światła.Gdzieś paliła się świeczka w korytarzu,w przedziałach było ciemno.Po kilku godzinach męki,bo coraz częściej ktoś usiłował przedostać się po naszych głowach,/niektórzy przechodzili przez cały wagon,czepiając się u góry antab jak małpy/,ktoś litościwy puścił żonę do przedziału.Siedziało tam już ośm osób,a był to przedział połowiczny, przeznaczony na dwie osoby.Na ławce górnej spało dwu pasażerów, 6 siedziało.Jakaś młoda mężatka robiła sceny mężowi,że ją zmusił do podróży i płakała.Po omacku i ja z żoną tam się dostałem.Przysiadaliśmy na rzeczach lub staliśmy.Przynajmniej nie chodzono po nas.Ale niepokoiliśmy się o rzeczy nasze,które zostały w korytarzu bez dozoru.

W ten sposób dojechaliśmy koło 5 wieczorem w piątek 5 stycznia do Moskwy.W hotelu Elite nie było miejsca,wskazano nam hotel Paryż-Anglia./Dorożka 40 rubli!/ Dostaliśmy pokój za 32 ruble dziennie.Zarządzający mówił po francusku i portier także,ale łatwo było rozpoznać,że to hotel niemiecki,który się maskował.Istot-

nie na porcelanie był napis: "hotel "Stadt Berlin"".Pokazało się że o biletach dalszych trudno narazie mówić.Wagony sypialne nie idą. Czekamy.

W sobotę nazajutrz byliśmy u Zabłockich,mieszkających u pp. Rekoszów /Preczystenka 14/.Podejmowano nas gościnnie.Obok Lipkowscy,gdzie w lecie mieszkałem podczas zjazdu.Chciano nas tam zatrzymać,abyśmy tam mieszkali,ale przyjęliśmy propozycję pp.Lutosławskich /Sred.Presnia 3/ i tam nazajutrz w niedzielę przenieśliśmy się.

19 stycznia.

Dn. 9 stycznia wybuchły w Moskwie rozruchy.Było to święto z powodu rocznicy rewolucji 1905r.W mieście strzelano i podobno wieli osób zabito.Nie wychodziliśmy z domu.Powtarzało się to,co się działo w Piotrogrodzie 5 stycznia.~~Śmierć~~ Śmierć Szyngarewa i Kokoszkina wywarła wielkie wrażenie w Moskwie.Czekanie na pociąg bardzo nam ciążyło.Marjam Lutosławski telegrafował do Mohylowa o pozwolenie ze sztabu na przejazd pociągiem sztabowym przez Mohylew,ale odpowiedź nie nadchodziła.Na wieść,że pociągi do Kijowa wprost mają odejść,poszedłem na dworzec Briański i tam mi doradzono,żeby próbować dostać się do pociągu jedynego,jaki do Kijowa wychodzić ma teraz o 5 wieczorem.Dn.11stycznia już o 2-ej byliśmy na dworcu. Tragarze zgodzili się za cenę 70 rubli nas obsłużyć,kupić bilety, wysłaćbagaż i wsadzić nas do pociągu.Miano dodać wagon sypialny, znalazło się tam miejsce.Bilety kosztowały nas według taksy 96 rub. + 42 /za typ.miejsca/=138 rubli.Pociąg podstawiono dopiero koło 11 w nocy.Przyszły do nas na stację,gdzie siedzieliśmy na swoich rzeczach pp.Zabłocka i Rekoszowa i przyniosły nam prowianty.Zapewniano mnie w biurze,że dojedziemy bez przeszkód,że most,który był zerwany,już jest naprawiony.Przed nami wyruszyć miał w tym samym kierunku pociąg z wojskiem bolszewickim,udający się na Ukrainę w celach walki.Ten pociąg zatrzymywał nas w Moskwie i potem w drodze.

Jechaliśmy zamknięci,szczęśliwi w przedziale I klasy wagonu sypialnego piątek i sobotę z długimi postojami.W Królewcu utknęliś-

nie na porcelanie był napis: "hotel "Stadt Berlin"".Pokazało się że o biletach dalszych trudno narazie mówić.Wagony sypialne nie idą. Czekamy.

W sobotę naszajutrz byliśmy u Zabłockich,mieszkających u pp. Rekoszów /Przeczystenka 14/.Podejmowano nas gościnnie.Obok Lipkowscy,gdzie w lecie mieszkałem podczas zjazdu.Chciano nas tam zatrzymać,abyśmy tam mieszkali,ale przyjęliśmy propozycję pp.Lutosławskich /Sred.Presnia 3/ i tam naszajutrz w niedzielę przenieśliśmy się.

19 stycznia.

Dn. 9 stycznia wybuchły w Moskwie rozruchy.Było to święto z powodu rocznicy rewolucji 1905r.W mieście strzelanó i podobno wieli osób zabito.Nie wychodziliśmy z domu.Powtarzało się to,co się działo w Piotrogrodzie 5 stycznia.~~Smier~~ Śmierć Szyngarewa i Kokoszkina wywarła wielkie wrażenie w Moskwie.Czekanie na pociąg bardzo nam ciążyło.Marjan Lutosławski telegrafował do Mohylowa o pozwolenie ze sztabu na przejazd pociągiem sztabowym przez Mohylew,ale odpowiedź nie nadchodziła.Ze wieść,że pociągi do Kijowa wprost mają odejść.poszedłem na dworzec Briański i tam mi doradzono,żeby próbować dostać się do pociągu jedynego,jaki do Kijowa wychodzi na teraz o 5 wieczorem.Dn.11stycznia już o 2-ej byliśmy na dworcu. Tragarze zgodzili się za cenę 70 rubli nas obsłużyć,kupić bilety, wysłaćbagaż i wsadzić nas do pociągu.Miano dodać wagon sypialny, znalazło się tam miejsce.Bilety kosztowały nas według taksy 96 rub. + 42 /za syp.miejsca/ 138 rubli.Pociąg podstawiono dopiero koło 11 w nocy.Przyszły do nas na stację,gdzie siedzieliśmy na swoich rzeczach pp.Zabłocka i Rekoszowa i przyniosły nam prowianty.Zapewniano mnie w biurze,że dojedziemy bez przeszkód,że most,który był zerwany,już jest naprawiony.Przed nami wyruszyć miał w tym samym kierunku pociąg z wojskiem bolszewickim,udający się na Ukrainę w celach walki.Ten pociąg zatrzymywał nas w Moskwie i potem w drodze.

Jechaliśmy sammioci.szczęśliwi w przedziale I klasy wagonu sypialnego piątek i sobotę z długimi postojami.W Królewcu utknęliś-

my.Okazało się,że most między Ałtynówką a Konotopem,zerwany przez Ukraińców,nie jest naprawiony.Pociąg wojskowy,idący przed nami,zatrzymał się w Ałtynówce i czynił próby naprawienia mostu.Konotop był jakoby w ręku bolszewików.W niedzielę rano po nocy źle spędzonej,żołnierze bowiem atakowali nasz wagon,waląc w drzwi deskami i,strzelając,ruszyliśmy do Ałtynówki.Tam bolszewicy zrewidowali pociąg,oficerów okradli nie tylko z broni,ale z gotówki i zegarków i po targach z delegacją naszego pociągu puścili nas naprzód.Dojechaliśmy kilka wiorst do mostu zerwanego i tutaj kazano nam wysiąść w polu.Zaledwie zdołaliśmy wyrzucić rzeczy,nadciągnęła chmara żołnierstwa uchodzącego z frontu.Z krzykiem opanowano miejsca,szturmując do wagonu sypialnego,gdzie zamknęła się służba.

Stojąc przy rzeczach na śniegu,mieliśmy nad sobą na nasypie sylwetkę pociągu oblepionego ciałami,najeżonego tymi ciałami na dachach.Okrzyki - bij! - zwrócone do konduktorów,rozdzierały powietrze.Dzień był mglisty.Chmury śniegowe nisko zwisały.Na wzgórzach gaje leśne,zatarte mgłami,wydawały się jak kłęby dymu z jakiegoś pożaru.Zanim poradziliśmy sobie ze ściągeniem pakunków,pasażerowie nasi już znikali,pędząc przeważnie na piechotę tamtą stroną plantu za most,gdzie stał inny pociąg,który przywiósł właśnie tych żołnierzy.szczęśliwie nadjechał ktoś sankami z tamtego pociągu. Złapałem tego konia i naładowawszy sanki pakunkami,siedząc na nich bokiem,a trzymając się w pół,jechaliśmy z żoną po zaspach,w które koń zapadał.Chłopiec w żołnierskiej czapce,lecąc obok,wiózł nas bez drogi,krzakami.

Jakąś wiorstę za zerwanym mostkiem,którego nie zdołano naprawić,bo tu już nikt pracować nie umie,stał na górze,na wysokim nasypie pociąg towarowy,zapełniony ludźmi.Z pewną rozpaczą spoglądaliśmy na górę,która była jak szklanna,myśląc w jaki sposób dźwigniemy się tam z pakunkami.Zbiegło do nas paru żołnierzy /jak się pokazało,zarządził to żołnierz Polak,który nas słyszał naweołujących się / i w mgnieniu oka znaleźliśmy się w wagonie wniesieni na rękach.Odtąd zaczęła się podróż w tej pace towarowej,połącze-

my.Okazało się,że most między Altynówką a Konotopem,zerwany przez Ukraińców,nie jest naprawiony.Pociąg wojskowy,idący przed nami,zatrzymał się w Altynówce i czynił próby naprawienia mostu.Konotop był jakoby w rękach bolszewików.W niedzielę rano po nocy źle spędzonej,żołnierze bowiem szturmowali nasz wagon,waląc w drzwi deskami i strzelając,ruszyliśmy do Altynówki.Tam bolszewicy zrewidowali o pociąg,oficerów okradli nie tylko z broni,ale z gotówki i zegarków i po targach z delegacją naszego pociągu puścili nas naprzód.Dojechaliśmy kilka wiorst do mostu zerwanego i tutaj kazano nam wysiąść w polu.Zaledwie zdołaliśmy wyrzucić rzeczy,nadciągnęła chmara żołnierstwa uchodzącego z frontu.Z krzykiem opanowano miejsca,szturmując do wagonu sypialnego,gdzie zamknęła się służba.

Stojąc przy rzeczach na śniegu,mieliśmy nad sobą na nasypie sylwetkę pociągu oblepionego ciałami,najeżonego tymi ciałami na dachach.Okrzyki - bij! - zwrócone do konduktorów,rozdzierały powietrze.Dzień był mglisty.Chmury śniegowe nisko zwisały.Na wzgórzach gaje leśne,zatarte mgłami,wydawały się jak kłęby dymu z jakiegoś pożaru.Zanim poradziliśmy sobie ze ściągnieniem pakunków,pasażerowie nasi już znikali,pędząc przeważnie na piechotę tamtą stroną plantu za most,gdzie stał inny pociąg,który przywiózł właśnie tych żołnierzy.Szczęśliwie nadjechał ktoś sankami z tamtego pociągu. Złapałem tego konia i naładowawszy sanki pakunkami,siedząc na nich bokiem,a trzymając się w pół,jechaliśmy z żoną po zaspach,w które koń zapadał.Chłopiec w żołnierskiej czapce,leżąc obok,wiózł nas bez drogi,krzakami.

Jakąś wiorstę za zerwanym mostkiem,którego nie zdołano naprawić,bo tu już nikt pracować nie umie,stał na górze,na wysokim nasypie pociąg towarowy,zapełniony łudźmi.Z pewną rozpaczą spoglądaliśmy na górę,która była jak szklanna,myśląc w jaki sposób dźwigniemy się tam z pakunkami.Zbiegło do nas paru żołnierzy /jak się pokazało,zarządził to żołnierz Polak,który nas słyszał nawołujących się / i w mgnieniu oka znaleźliśmy się w wagonie wniesieni na rękach.Odtąd zaczęła się podróż w tej pace towarowej,połącz-

na z przesiadaniem w Konotopie,w niesłychanych warunkach.Zamknięci szczelnie z powodu zimna w zupełnej ciemności,bo świec niebyło w tłoku żołnierskim,jechaliśmy tak od zmroku w niedzielę do godz. 3-ej po południu w poniedziałek 15 stycznia.

Od Bachmacza była już Ukraina,ale gdy pociąg zatrzymał się w Bachmaczu,powstała obawa,że pociąg może być ogarnięty przez bolszewików,którzy na Ukrainę się posuwają.Z Bachmacza ewakuowano już pocztę i kasę.Nasz pociąg stał,bo władze ukrainskie zabrały lokomotywę na inny użytek.Dokoła rozlegały się strzały.Od dwu dni byliśmy w sferze walk.Nastrój pasażerów zmienny,podniecany przzzzx fantazją Ukrainców,przechwalających się swoim męstwem i potęgą, to znów milknących w trwodze.Chwilami,póki sen nie zmorzył,wybuchały namiętne dyskusje między Ukraincami a obroncami bolszewizmu. Zdziwiło mnie,że żołnierze hajdamacy umieją operować już pojęciami nacji i panstwa.Bolszewicy zupełnie tych pojęć nie czują.Gdy była mowa o pokoju,bolszewik zapytany,co będzie gdy Niemcy zajmą Piotrogród,odpowiedział:

- A niech zajmą,a cóż nas to może obchodzić!

- A jeśli zabiorą Moskwę?

- A niech zabierają!Moja ojczyzna jest tam,gdzie mnie jest d dobrze.

Mówił to z wyżyny ideologii,nie z osobistego egoizmu.

5. Zjazd w Moskwie.

Przerywam w tym miejscu dziennik, aby go uzupełnić bardziej szczegółową informacją o zjeździe, który się odbył w lecie 1917r. w Moskwie, a w którym uczestniczyłem jako redaktor pisma, wydawanego przez Komitet Narodowy. Korzystałem z tej sposobności, aby poznać Moskwę, do której przed stu laty odbywał konną wycieczkę mój dziadek z armią Napoleona. Nam także przyświecała nadzieja, że zrobimy coś korzystnego dla sprawy polskiej. Naszym wodzem politycznym był Dmowski, oparcia szukaliśmy w woli całego narodu, dążącego do niepodległości. Dążeniom tym miała dać wyraz reprezentacja narodu jak najszersza w znaczeniu międzypartyjnym. Skład Komitetu Narodowego należało uzupełnić, aby choć w części przezwyciężyć bojkot lewicy polskiej, pragnącej naszą politykę w oczach demokratycznej Rosji w czasach rewolucyjnych skompromitować zarzutem konserwatyzmu "pomieszczyków" i nacjonalistów.

Do chwili ukonstytuowania się swego w Paryżu w jesieni 1917r. gdy stał się właściwie rządem reprezentacyjnym Polski, uznanym w tej roli przez państwa koalicyjne, Komitet Narodowy, rezydujący w Petersburgu, a utworzony w r. 1915 w Warszawie, dzielił los wychodźctwa milionowego, jedynego skupienie ludności polskiej, które mogło w owym roku wyznawać głośno rzetelne aspiracje polskie. To dawało mu realną podstawę reprezentacyjną bezpośrednią, cała bowiem Polska była pod okupacją państw centralnych.

O cóż chodziło? O solidarność polską, o lojalność wobec interesów narodu, które na szalach wojny się ważyły. Chodziło o to, żeby nikt, kto Polak, prawowitości Komitetu Narodowego reprezentacyjnej nie kwestionował. Niestety, nie dało się tego osiągnąć wskutek tego, że ów czwarty zaborca czujnie strzegł swoich zadań. Z trudem wielkim dało się powagę Komitetu Narodowego wobec Rosji i państw sprzymierzonych chronić przed rewolucją marcową. Ale już w marcu na wzburzonym morzu "demokracji" między bałwanami t.zw. "wolności powszechnej" urósł do znacznych rozmiarów polski ruch "demokratyczny", kierowany jak

taran ku Komitetowi Narodowemu.Formacja tego ruchu nazywała się polską,ozdobiła się nawet sztandarem "niepodległości" /bez zjednoczenia/,rzeczowo jednak była wroga interesom polskim.Połączona integralnie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym miała w swym składzie żydów,socjalistów /aż do lewicy bolszewickiej/,nie brakło też później konserwatystów / z kresów/.Pierwszym zadaniem owej demokracji wolnościowo-niepodległościowej było skompromitowanie Komitetu Narodowego w oczach rosyjskiego Rządu Tymczasowego - jako przedstawiciela reakcji,kontrrewolucji,jako zbiór "pachołków carskich i popleczników imperializmu francusko-angielskiego".

Łódź polska na morzu rosyjskim przy systematycznym podszczuwaniu nie mogła czuć się dobrze.Potęgowało grozę położenia to,że na czele tego ruchu wrogiego stanął maskujący się dawniej przyjaciel Komitetu Narodowego Al.Lednicki,a teraz z chwilą przewrotu, jako kadet,przyjaciel członków rządu rosyjskiego,obejmujący w charakterze ministra rosyjskiego przedstawicielstwo spraw polskich /Komisja Likwidacyjna/.

Zagadnienie stanęło przed oczyma patriotów w tej postaci:należy dać Komitetowi Narodowemu szersze podstawy demokratyczne.Zarzucają mu,że swoją rolę uzurpował,pokażemy,że wola narodu polskiego może się zorganizować według dowolnego klucza demokratyczno-parlamentarnego.Zróbmy wybory!

Inicjatywę tej akcji dał ś.p.Marian Lutosławski po powrocie z zagranicy,gdzie się widział z Dmowskim.W dn.21 maja 1917r.wystosował do "Rady zjazdów polskich organizacyj pomocy ofiarom wojny" pismo,w którym przedstawia konieczność "stworzenia grupy,którąby była demokratyczną emanacją wszystkich odcieni w stosunku do liczebności ich wyznawców".Do listu Lutosławski dołączył projekt ordynacji wyborczej,opartej na zasadzie proporcjonalnego przedstawicielstwa całego wychodźctwa polskiego.

Komitet Demokratyczny i socjaliści odrzucili ten projekt,bali się bowiem przegranej.Dla nich jedyną formą przedstawicielstwa

terenu ku Komitetowi Narodowemu.Formacja tego ruchu nazywała się polska,ozdobiła się nawet sztandarem "niepodległości" /bez zjednoczenia/,rzeczowo jednak była wroga interesom polskim.Połączona integralnie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym miała w swym składzie Żydów,socjalistów /aż do lewicy bolszewickiej/,nie brakło też później konserwatystów / z kresów/.Pierwszym zadaniem owej demokracji wolnościowo-niepodległościowej było skompromitowanie Komitetu Narodowego w oczach rosyjskiego Rządu Tymczasowego - jako przedstawiciela reakcji,kontrrewolucji,jako zbiór "pachołków carskich i popleczników imperializmu francusko-angielskiego".

Łódź polska na morzu rosyjskim przy systematycznym podszczuwaniu nie mogła czuć się dobrze.Potęgowało grozę położenia to,że na czele tego ruchu wrogiego stanął maskujący się dawniej przyjaciel Komitetu Narodowego Al.Lednicki,a teraz z chwilą przewrotu, jako kadet,przyjaciel członków rządu rosyjskiego,obejmujący w charakterze ministra rosyjskiego przedstawicielstwo spraw polskich /Komisja Likwidacyjna/.

Zagadnienie stanęło przed oczyma patriotów w tej postaci:należy dać Komitetowi Narodowemu szersze podstawy demokratyczne.Zarzucają mu,że swoją rolę uzurpował,pokażemy,że wola narodu polskiego może się zorganizować według dowolnego klucza demokratyczno-parlamentarnego.Zróbmy wybory!

Inicjatywę tej akcji dał ś.p.Marian Lutosławski po powrocie z zagranicy,gdzie się widział z Dmowskim.W dn.21 maja 1917r.wystosował do "Rady Zjazdów polskich organizacyj pomocy ofiarom wojny" pismo,w którym przedstawia konieczność "stworzenia grupy,któraby była demokratyczną emanacją wszystkich odcieni w stosunku do liczebności ich wyznawców".Do listu Lutosławski dołączył projekt ordynacji wyborczej,opartej na zasadzie proporcjonalnego przedstawicielstwa całego wychodźtwa polskiego.

Komitet Demokratyczny i socjaliści odrzucili ten projekt.Bali się bowiem przegranej.Dla nich jedyną formą przedstawicielstwa

mogła być Komisja Likwidacyjna Lednickiego,będąca instytucją,państwową rosyjską.Pokazało się potem - z procesu Lednickiego w Warszawie - że był w tym plan,aby Rosja nie wypuszczała sprawy polskiej ze swej ręki i żeby,zawarłszy pokój osobny ze zwycieskimi Niemcami,podzieliła się z nimi wpływami na dalsze losy Polski.Wypuszczanie z rąk wówczas Rosji sztandaru Komitetu Narodowego równałoby się zrzeczeniu się Polski swych aspiracyj.Należało tedy ratować sytuację.

W dn.20 czerwca /3 lipca/ 1917 powstał Komitet organizacyjny zjazdu polskiego.W odezwie zwrócił się do "stronnictw,związków,zrzeszeń oraz do klubów politycznych,które uznają konieczność jednolitej polityki narodowej,stawiającej sobie za cel zdobycie niepodległości i całkowitego zjednoczenia Polski".Zjazd ten odbył się w Moskwie w dn.21-26 lipca st.st.Wzięli w nim udział:1/obecni i byli posłowie Polacy, 2/delegaci stronnictw /Realiści,Dem.Narod.,Dem.Chrz.,Praca Narod.,Związek niezawisłości i zjedn.,/,związków,zrzeszeń,klubów polit. i t.p.Stronnictwa i związki delegowały po 10 przedstawicieli,stowarzyszenia i kluby po 2 od pierwszej setki członków i po 1 od następnych.Przysłały swoich delegatów:Komitet Wykonawczy w Kijowie,Rady ziemi Mińskiej,Mohylowskiej,Inflant,Związku Wielkopolan i Małopolan,zjazd młodzieży,wiele towarzystw humanitarnych,14 klubów politycznych,22 związki,14 Domów polskich,30 Kół Narodowych,13 organizacyj robotniczych i t.d.Ogółem stawiło się z górą 500 przedstawicieli grup zorganizowanych.

Komitet Demokratyczny Lednickiego w odezwie z 9 lipca wezwał "wszystkie związki,zrzeszenia,i kluby demokratyczne i całą demokrację polską,by zjazdu nie obsyłały i w nim żadnego udziału nie brały".A w "Ruskich Wiedomost.",zbliżonych do Lednickiego,w dzień otwarcia zjazdu ukazał się komunikat,że zjazd nie ma znaczenia narodowego jako partyjny,prawicowy.Urzędowa agencja tel.rozesłała ten komunikat zagranicą,aby osłabić i tam znaczenie zjazdu.

Prezesem zjazdu wybrano Stanisława Jezierskiego /adwokata z Kijowa/,na wiceprezesów powołano: Z.Węcławowicza i J.Mrozowickie-

go. Odwiedzili zjazd niektórzy członkowie dyplomacji zagranicznej i misji wojskowych. W im. Komitetu organ. otworzył zjazd prof. Dzierzkowski, powitał prezes Jezierski, sprawozdanie z działalności Komitetu Nar. wygłosil jego prezes Zygmunt hr. Wielopolski.

Zjazd odbywał się w atmosferze niesłychanego ~~podniesienia~~ podniesienia ducha patriotycznego, a zaczynał się w niepewności, jaka atmosfera wyniknie. Po szeregu powitalnych przemówień wysłuchano referatów: Rosja a sprawa polska /Sew. Czetwertyński/, Układ stosunków politycznych w zaborze austryjackim /T. Anaszkiewicz/, Mocarstwa Zachodnie a sprawa polska /St. Widomski/, Stosunki polskie w Kongresówce i na Litwie/Jerzy Zdziechowski/, Koalicja a sprawa polska /B. Wasiutyński/, Sprawa polska jako sprawa międzynarodowa /B. Winiarski/, Akcja polit. zagranicą/St. Grabski/, Sprawa polskiej siły zbrojnej /St. Wojciechowski/, Organizacja polit. polska w Rosji /Jerzy Gościcki/.

J. Zdziechowski powrócił był właśnie z Sztokholmu, gdzie miał zadanie zebrać informacje o stosunkach w kraju. Rewelacje jego zrobiły wielkie na zjeździe wrażenie. Zrozumiano, że Polacy nie mogą być i nie są już stroną neutralną, że koniecznością jest walka aż do pokonania Niemców, że innego wyjścia niema. Nastrój ten spotęgował się po referacie St. Wojciechowskiego. Pamiętne są z dyskusji głosy Fr. Nowodworskiego, dr. Załuski, A. Sadzewicza, chłopa Szymona Wajdka, robotnika Saszyńskiego. Po referacie Wojciechowskiego zebrani wstali i odśpiewali Rotę. Był to moment, w którym zaprzysiężono walkę. Ten akt duchowy w związku z treścią uchwał powziętych przełamał sytuację.. Nikt odtąd nie mógł wątpić i u nas i na świecie politycznym, gdzie jest wola polska. Zjazd bowiem zrobił wielkie wrażenie zagranicą i pokrył nikczemną robotę, maskującą się hasłami aktywizmu z przekonania lub pacyfizmu.

W dn. 26 lipca na wniosek J. Gościckiego w imieniu Komisji Organ. zjazd powołał do życia stały organ kierowniczy /zamiast Komitetu Narod./ pod nazwą Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego. Rada

składa się z 75 członków przez zjazd wybranych /z możnością doboru/ działa zaś przez swój organ Komitet Wykonawczy. Na depesze prezydium Zjazdu rozesłane do rządów państw koalicyjnych, nastąpiła odpowiedź od Balfoura. Rząd Lednickiego nie odpowiedział. Ignacy Paderewski telegrafował z Ameryki, że uchwały Zjazdu zwiększyły siłę akcji polskiej zagranicą.

W uchwałach swoich - przypominam - zjazd proklamował:

"Niezłomnym dążeniem Narodu Polskiego jest zdobycie w bezpośrednim wyniku wojny obecnej niepodległego Państwa Polskiego, utworzonego przez zjednoczenie wszystkich ziem polskich, posiadającego własne wybrzeże morskie z ujściem Wisły. Osiągnięcie tego celu wymaga przełamania opartej na militaryzmie przewagi Niemiec w Europie i odebrania od państw centralnych znajdujących się w ich posiadaniu ziem polskich".

Na owe czasy był to głos bardzo kategoryczny i w szczerości daleko posunięty. A drugą ważną uchwałą było proklamowanie wojska polskiego. Gdyby rząd rosyjski, ulegając intrygom, do formowania go nie dopuścił, byłoby to uważane za zerwanie obietnic danych w akcie rządu 17-go marca.

Zjazd lipcowy 1917r. w Moskwie był aktem wielkiego znaczenia zarówno w życiu moralnym narodu, jak i dla dalszych posunięć politycznych, czynionych za granicą przez Romana Dmowskiego. Poparty tą siłą ze wschodu mógł on przenieść punkt ciężkości dawnego Komitetu Narodowego do Paryża i pod tą nazwą tam przedstawicielstwo narodowe ufundować. Rada międzypartyjna w Rosji stała się wkrótce wschodnią tego Komitetu placówką.

Nie pomogły obozowi małej Polski intrygi prowadzone z rządem rosyjskim i Besselerem.

Ze znanych mi dotąd miast cesarstwa, Kijowa i Petersburga, nie mogłem wyrobić sobie wyobrażenia o tym, czym jest właściwie Rosja. Oba tamte miasta robią w porównaniu z Moskwą wrażenie książek obcych przełożonych na język rosyjski. W Moskwie Rosja jest u siebie w do-

składa się z 75 członków przez zjazd wybranych /z możnością doboru/ działa zaś przez swój organ Komitet Wykonawczy. Na depeszę prezydium Zjazdu po-słane do rządów państw koalicyjnych, nastąpiła odpowiedź od Balfoura. Rząd Lednickiego nie odpowiedział. Ignacy Paderewski telegrafował z Ameryki, że uchwały Zjazdu zwiększyły siłę akcji polskiej zagranicą.

W uchwałach swoich - przypominam - zjazd proklamował:

"Niezłomnym dążeniem Narodu Polskiego jest zdobycie w bezpośrednim wyniku wojny obecnej niepodległego Państwa Polskiego, utworzonego przez zjednoczenie wszystkich ziem polskich, posiadającego własne wybrzeże morskie z ujściem Wisły. Osiągnięcie tego celu wymaga przełamania opartej na militaryzmie przewagi Niemiec w Europie i odebrania od państw centralnych znajdujących się w ich posiadaniu ziem polskich".

Na owe czasy był to głos bardzo kategoryczny i w szczerości daleko posunięty. A drugą ważną uchwałą było proklamowanie wojska polskiego. Gdyby rząd rosyjski, ulegając intrygom, do formowania go nie dopuścił, byłoby to uważane za zerwanie obietnic danych w akcie rządu 17-go marca.

Zjazd lipcowy 1917r. w Moskwie był aktem wielkiego znaczenia zarówno w życiu moralnym narodu, jak i dla dalszych posunięć politycznych, czynionych za granicą przez Romana Dmowskiego. Poparty tą siłą ze wschodu mógł on przenieść punkt ciężkości dawnego Komitetu Narodowego do Paryża i pod tą nazwą tam przedstawicielstwo narodowe ufundować. Rada międzypartyjna w Rosji stała się wkrótce wschodnią tego Komitetu placówką.

Nie pomogły obozowi małej Polski intrygi prowadzone z rządem rosyjskim i Beselerem.

Ze znanych mi dotąd miast cesarstwa, Kijowa i Petersburga, nie mogłem wyrobić sobie wyobrażenia o tym, czym jest właściwie Rosja. Oba te miasta robią w porównaniu z Moskwą wrażenie książek obcych przełożonych na język rosyjski. W Moskwie Rosja jest u siebie w do-

mu.Rodzimość historyczna stylu robi poważne wrażenie.W zwiedzaniu Moskwy byli mi pomocni mieszkający tu już dwa lata Mariam i Józef Lutosławscy.Będę ich jeszcze widział za kilka miesięcy,kiedy po wybuchu rewolucji bolszewickiej wracać będziemy tędy w stonę kraju Któż mógł pomyśleć,że zginą tak tragicznie!Pozostał mi z tych czasów w pamięci pełen życia wewnętrznego Józef Lutosławski.Oprowadzał mnie,paląc cygaro,którego niewolno mu było ćmić w domu.Poznawszy go bliżej,byłem potem w możności przejąć się jego piękną książką wydaną pośmiertnie p.t. "Chleb i Ojczyzna" /Warszawa 1919/ i napisać do niej przedmowę.

W Moskwie korzystałem z gościnności p.Józefa Lipkowskiego, dyrektora fabryki Scheiblera w Łodzi.Zacny ten człowiek,bardzo oddany sprawie,otoczył mnie przyjacielską opieką.Stałą placówką polską w Moskwie w tych latach wychodźctwa była "Gazeta Polska", której redaktorem był przyjaciel mój Józef Hłasko.Pracowałem z nim w dawnym "Głosie",potem w "Słowie Polskim".W chwili wybuchu wojny Hłasko był redaktorem dziennika w Wilnie i stąd ewakuował się do Moskwy.Tutaj też znalazł się redaktor "Gazety Porannej" z Warszawy Antoni Sadzewicz.Pracował w "Gazecie Polskiej".

6. Rok 1918. w Kijowie.

Parę zaledwie dni mieliśmy spokojnych. Nie uciekliśmy jednak z pod burzy. Chmura szła za nami i ogarnęła Kijów. Dla ilustracji przytoczę dalszy urywek z dziennika:

Kijów, 10 lutego /28 stycznia st.st./ 1918r.

W nocy z 15 na 16 stycznia st.st. zaczęła się w Kijowie walka bolszewików z Ukraińcami. Zapowiadał ją ów pociąg, który jechał przed nami z Moskwy. Wojska bolszewickie nadciągały od Charkowa. W środę 17-go już trudno było pod wieczór wyjść na ulicę. 18-go toczyły się walki na ulicach~~chprzedmieś~~ śródmieścia. Ukraińcy spędzali miejscowych powstańców i opanowywali ulicę za ulicą. Arsenał już w środę był zajęty przez bolszewików, którzy tam obficie zaopatrzyli się w broń i amunicję.

Dla nas wynajęto mieszkanie w śródmieściu na rogu ulicy Puszkinskiej i Prorieznej /Puszkinska 2 m.1/ w mieszkaniu pp. Glassów. P.K. Glass ma biuro techniczne, pochodzi z Kaliskiego i mieszka tu od lat 15-stu. Pokój nasz o 3-ch oknach był od ulicy. Mieszkanie parterowe, okna bez rolet, zaledwie osłonięte od oka przechodniów firaneczkami u dołu, zbytnio nas komunikowały z ulicą. W czwartek y wyszliśmy z żoną pomimo strzelaniny do Grabskich na obiad. W przeddzień zdołaliśmy odwiedzić Bartoszewiczów, z Grabskimi jeszcze nie widzieliśmy się. Przez córkę prosili nas na obiad 18-go. Na Michajłowskim zaułku zaskoczyła nas strzelanina z dwu stron. Staliśmy długo w bramie. Idąc z powrotem zastaliśmy kulomioty naprzeciwko naszego domu. Nie było sposobu wracać, bo już zmrok się zaczynał. Nadomiar drzwi od frontu zastaliśmy zamknięte, a te chwile pod świstem kul były bardzo przykre. Wieczorem koło godz. 10-ej p. Glass wyszedł z jadalnego pokoju /gdzieśmy wszyscy siedzieli, od frontu bowiem baliśmy się świateł zapalać./ do swego pokoju i zapalił zapałkę, żeby coś znaleźć. W tej chwili rozległy się dwa strzały rewolwerowe, celnie mierzone, bo gdy wyszedł do nas, miał kawałki szkła

szyby zozbitwej na włosach.Cudem śmierci uniknął .Cały tydzień potem trwało bombardowanie miasta z armat.Strzelały baterje bolszewickie,stojące za Dnieprem.Ukraińcy ustawili swoje działa w środku miasta zamiast wyjść nad Dniepr.Dziwna obojętność na losy rodzinnego miasta i nieudolność strategiczna.Bolszewików miejscowych usunięto z miasta,ale nadeszły wojska od Charkowa i z tymi walczyła tylko garstka i to bez odpowiedniego dowództwa.Obliczają,że w ciągu paru dni puszczono w miasto kilka tysięcy pocisków.Każdy gdzieś trafiał,bo miasto na wzgórzach dobrze zabudowane.Pociski dobrze kierowane wyszukiwały baterjė ukrainskie,ukryte między domami.Świst szrapneli i granatów rozdzierał powietrze,huk wstrząsał domami.

Dn.24 stycznia podczas obiadu pociski poczęła padać w nasz dóm. Szczęście,że pierwszy strzał trafił w dach.Na ten huk mieszkańcy górnych pięter wypadli do sieni i na schody,to ich ocaliło.Bezpośrednio potem w ciągu minuty padło 5 pocisków,które zniszczyły 4 mieszkania na V-ym piętrze,IV-ym i II-im.Strzelała cała baterja,były i granaty.W klatce schodowej tłum ludzi krzyczał przeraźliwie. Na ulicy zrobiło się ciemno od kurzu walących się kawałków muru. Złowrogie uderzenia godziły jakby w mózg.Dano hasło ukrywania się w piwnicach.Ludzie ze schodów ~~zzzłk~~rzucili się do naszego mieszkania,aby się przedostać przez kuchnię do piwnic.Odtąd spędzaliśmy przez parę dni po parę godzin w suterynie koło pieca kaloryfera . Było tam gwarno i trwożnie.W sąsiedniej suterynie,gdzie była jadłodajnia,jacyś ludzie w pół godziny po owym bombardowaniu już śpiewali chórem pieśni ukrainskie.Bardzo muzykalny naród.Ale ponad trepaka i operetkę wznieść się nie może.

W kilka dni potem - dopisuję to 4 lutego /właściwie 17-go,bo przez ten czas kalendarz przesunięto o dni 13/ - przyszła wiadomość, że Ukraińcy zawarli pokój z Austrją kosztem Polski,oczekując z rozbioru Polski części gub.Siedleckiej,Lubelskiej i Chełmskiej. Austrja rozciąga protektorat nad nią i ma jakoby wkroczyć na Ukrainę. Rumunia zajęła Besarabię,i dąży do opanowania Odessy podobno w porozumieniu z Austrją.Autentycznych wiadomości nie ma.Znowu światło

zgaszone.Brak wszelkich informacji.Od głodu po zajęciu miasta przez bolszewików ratują nas pp.Glassowie.W dn.24-26 w mieście nie było wody i elektryczności.Dowóz ustał.Dopiero po tygodniu miasto zaczęło przychodzić do stanu normalnego.Straszne były egzekucje,dokonywane przez hajdamaków na ulicach,potem przez bolszewików.Wielu oficerów zginęło/podobno paruset/,w tym kilkunastu polskich.Grozę położenia Polaków powiększały wieści,iże oddziały polskie pod Żłobinem biją się z bolszewikami.Położenie ich ma być ciężkie.Członkowie Rady Polskiej uzyskali glejty dla oficerów w Kijowie i wyjechali sami do korpusu,aby prowadzić układy i przesunąć korpus na Podole.Drżymy o losy Tadeusza.

Środa,29 lutego 1918.

Rządy bolszewików w Kijowie trwały do dnia dzisiejszego.Nic nie można było wyrozumieć z celów,dla których tak walecznie zdobyli Kijów,prócz jedynego - rabunku.Był to,jak się okazało,"naliot"na Kijów w celu zagarnięcia pieniędzy i może zapasów pożywienia.Wzięto 10 miljonów rubli kontrybucji,zabrano gotówkę z banków,skonfiskowano "karbowańce"/około50 miljonów rubli/,dając właścicielom kwitki. Kiedy już czuli,że się kończy ich władza,wydali rozkaz,aby lokatorzy płacili komorne komitetom domowym,a te do kasy "sowietu".Była to kontrybucja w tej dowcipnej formie.Ale,zdaje się,nikt nie posłuchał.W dn.25,gdy przyszło do rewidowania sejfów /schowków/ w bankach,kupcy żydowscy podnieśli taki krzyk,że "władze " się zlękły i zaniechały operacji.Atmosfera rabunku ogarnęła żołdactwo,które coraz śmielej rabowało domy i sklepy.Od zmroku niemożna było pokazać się na ulicy.Wczoraj na Kreszczatiku od godz.3-ej była strzelanina, rabowane piwnice na placu Dumskim.Wejście do kamienic zamknięte na głucho i zabarykadowane;lokatorzy cały dzień i całą noc dyżurowali,wynajęto stróżów.Z trwogą zasypiano.Po nocach rozlegały się strzały po ulicach.Zaopatrzyliśmy okno nasze w rolety i z niepokojem siedzieliśmy wieczorem w swoim pokoju,czy kto nie strzeli.

Stosownie do umowy z Radą Polską zabrałem się do wydawania

dziennika p.t. "Przegląd Polski". St. Zieliński, który przed Nowym Rokiem tu przyjechał, żeby przygotować rzecz technicznie, nie mógł nic zdziałać z powodu braku polskiej drukarni. Dopiero po wyjściu Ukraińców z miasta zwolniła się drukarnia Szwiłowskiego, właściwie ukraińska /Centobanku/, gdzie przedtym drukowała się gazeta ukraińska i czechosłowacka. Pracowali tam Czesi. Pierwszy numer zdążyliśmy wydać 20/V/ lutego z wielkim trudem, bo nie było jeszcze lokalu na redakcję i administrację. Pracowaliśmy w drukarni, nie mając żadnych źródeł informacyjnych, poczta bowiem i telegraf nie działały, od czasu przyjazdu nie widziałem w Kijowie ani jednego numeru gazety z poza Kijowa. Pismo trzeba było wydawać dla sprostowania kierunku, zupełnie spaczonego przez miejscowy "Dziennik Kijowski". Szlachta polska na Ukrainie pragnęła przyjaźni Austrii, aby uniknąć konfiskaty ziemi przez rewolucyjny rząd rosyjski. Orientacja ludności polskiej miejscowej była austrofilska, nawet germanofilska.

Spaczono ideę armii polskiej. Podkopała się pod nią konspiracja ukrytych agentów niemieckich między Polakami. Na tę armię nastały teraz bolszewickie rządy za dyrektywą Niemców. Sytuacja wytworzyła się okropna. Dowbor Muśnicki uległ wpływom szlachty na Białej Rusi i nadchodziły wieści, że komunikuje się z Radą Regencyjną w Warszawie, a nawet z gen. Hoffmanem w Brześciu Litewskim. Jako generał rosyjski z wychowania nie mógł pojąć idei polskiej i wydało mu się, że powinien wyleczyć z rewolucją. Imię jego stało się nienawistne bolszewikom i walczyli z nim. Rozgorzała formalna wojna polsko-rosyjska, która porwała namiętności wojska. Bolszewicy parli na pozycje polskie od wschodu, od zachodu groziło wkroczenie wojsk niemieckich. Dowbór Muśnicki wpadł w sferę wpływów niemieckich i zajadle wysyłał ekspedycje karne na Rosjan. Żeby konflikt załagodzić, wyjechali z ramienia Rady Polskiej do Bobrujska, który już był zajęty przez Dowbora, Zdziechowski, J. Załuska, i pułk. Żółkiewski. Stało się to na skutek uchwały Komitetu Wykonawczego, którego przedstawiciele konferowali przedtym z dowódcą wojsk bolszewickich Taczarskim /Polakiem/ i uzyskali listy jako parlamentarjusze.

2 marca 1918.

Trudne było pismo wydawać nie tylko ze względu na trudności techniczne. Nie było żadnych źródeł informacyjnych, ale jeszcze gorzej było z warunkami politycznemi. Dokoła dział się rozbój naprędce organizowany zwący się rządem bolszewickim. Był to terror, nie regulowany żadnymi przepisami. Na ulicach albo wrzała walka, albo działa się swawola żołdactwa uzbrojonego, plądrującego. Komisariat polski, złożony z bolszewików żydów, czuwał nad światem polskim. /jakieś Lopkindy/. Można wszystkiego lada chwila oczekiwąć. Z Piotrogrodu doszła wiadomość o zamknięciu "Dzoiennika Polskiego", z Moskwy - "Gazety Polskiej". Rada Polska musiała wejść z bolszewickimi władzami wojskowymi w pewien kontakt, biorąc na siebie pośrednictwo w celu załagodzenia konfliktu z korpusem polskim. Do Bobrujska wyjechała, jak powiedziałem, delegacja w tym celu. Jednocześnie nadchodziły wieści, że Rada Ukraińska, która wyszła ze Lwowa, powróci, uzyskawszy protektorat państw centralnych. Ten wzgląd krępować musiał nas w wypowiadaniu ~~ixx~~ się.

Kiedy wreszcie stało się widocznem, że rządy ukraińskie wracają, zaczęła się ewkuacja nietylko bolszewików, ale i Czechów, którzy z linii austriackiej zejść nie chcieli. Wojska czeskie zaczęły się cofać od Żytomierza, a w Kijowie kolonia czeska uchwalała pospolite ruszenie. Wskutek tego wszyscy zecerzy w drukarni, w której "Przegląd" wychodził, porzucili ~~xxxxxx~~ pracę. Zarząd drukarni, należącej właściwie do Ukraińców, oddanej tylko Czechom do użytku /wychodziły tam pisma czeskie, Zarząd był czeski/, nie wiedząc, jak się sprawy obrócą, zamknął zakład. Pismo nasze urwało się na Nr. 4. Jako Nr. 5. wydaliśmy tylko mały biuletyn w dn. 26 /13/ lutego i do tej chwili jesteśmy w zawieszeniu. Jeżeli wychodzić będziemy, rozstrzygnie się to za parę dni, - to już jako organ prywatny.

Dzisiaj od rana na mieście tłumy publiczności, bo i pogoda słoneczna a ciepła. Już wczoraj spotykano oficerów niemieckich. Dzisiaj już wkroczył oddział wojska bawarskiego. Za parę dni ma być policja

niemiecka.Nad miastem krążyły aeroplany wczoraj niemieckie,dzisiaj ukraińskie.Podczas walk staczanych,gdy bombardowano miasto,zapomniano o nich,nie umiano ich użyć do walki,a to może zapobiegłoby chaotycznej strzelaninie z armat,źle celowanych,niszczących niepotrzebnie miasto.Z ciężkim sercem przypomina sobie człowiek te okropne dni szaleństwa dwu obozów równie bezmyślnych jak okrutnych,nie mających żadnego względu dla pięknego miasta rodzinnego.Zbrodnią było strzelanie do miasta,ale też ustawienie baterii między kościołami dla obrony miasta było nie mniejszą.

Ludność Kijowa dziś dopiero odetchnęła.Na ulicach ukazały się porządne ubrania i stroje,twarze uśmiechnięte.Od paru tygodni widywało się tylko oberwańców.Zamożni nawet ludzie przebierali się za bolszewików,aby uniknąć grabieży i nie uchodzić za "burżuja".Odkąd bolszewicy zaczęli się z miasta ulatniać,dokonawszy urzędowych grabieży,miasto stawało się łupem band.Po nocach watahy krążyły po ulicach i napadały na domy.Nie sypiano po nocach,fortyfikowano domy,uzbrajano się.Koło domów zamożniejszych toczyły się nocami istne bitwy, gdzie padało po kilka ofiar.To też gdy zaświtała nadzieja spokoju i ładu,rozradowały się oblicza.To uczucie ulgi było tak dominujące, że nikt nie zastanawiał się narazie nad donioskością przemiany politycznej.Niezawisła Ukraina właściwie przestała być sobą,zanim się narodziła.

Dla mnie był to najcięższy okres bodaj w życiu całym.Umysł w takim odmęcie wydażeń wielkich odmawia posłuszeństwa.Poprzez ciemności rosyjsko-ukraińskie wypatruję lądu jakiegoś,na którym wreszci uspokoi się myśl bezustanna o losie sprawy polskiej.Myśl o tym naszym korpusie i innych oddziałach,rozrzuconych po Rosji,demoralizowanych od wewnątrz przez Polaków zdrajców,osadzanych przez Rosjan i Niemców,myśl o grożącym nieszczęściu,nawet hańbie - pokonywała wszystkie osobiste sprawy i niebezpieczeństwa,które życiu groziły w te straszne dni przewrotów kijowskich.Ale też nerwy były biedne. Kobiety,jak widzę po żonie,jak słyszę dokoła,pochorowały się.Teraz

dopiero zaczynają ludzie rozumieć,co to jest wojna,co to rodzoni o się nowego życia.Pisałem sam wiersze o tem,że bez cierpień i ofiar i wysiłków nie dojdziemy do wolności,ale dopiero teraz dokładnie widzę tę rzeczywistość i to ścisłe pobratymstwo śmierci i życia, ofiary,męki i życia.

Przyszła onegdaj wiadomość,że pod Chocimem przedarły się trzy pułki polskie z armii austryjackiej na tę stronę.Zrobiło to ogromne wrażenie na młodzieży,zmartwiło szlachtę polską,która marzy tylko o wkrzeszeniu Austrii.P.P.S.oceniła ten fakt,jak i my.Zapowiadają się wypadki,które zaczną nowy okres wojny naszej.Daje się słyszeć coraz częściej:pokazuje się,że wyście jedni,demokraci narodowi,mieli linie konsekwentną.Demokracja z żydami i żubrami kresowymi tworzy tutaj w Rosji obóz taki sam,jak w Galicji stronnictwa.które w r. 1914 tworzyły N.K.N.

Jak trudno było zorganizować wolę polską.Nic nie pomagała propaganda logiki,trzeba było ciężkich doświadczeń.I oto teraz idąppułki z Galicji tutaj,a nasze pułki stąd /Dowbór Muśnicki/ dążą tam pod protektorat niemiecki.Wytwarza się karuzela w poszukiwaniu prawdy, którą powinien był znać przecież każdy w narodzie jeszcze przed wojną.Pozostaje wiara w żywioł instynktu,że się te pierwiastki złączą w jeden prąd i dokonają czynu historycznego.Obyż nie zginąć w błocie rosyjskim!

Przytoczyłem ten urywek z notatnika bo cokolwiek odrazu się napisało,jest żywsze niż to,co teraz z trudem wskrzesza się z pamięci. Przytym - rzecz to znana - sprawy niedawno przeżyte słabo trzymają się pamięci.Przypominam sobie,jak mętne mieliśmy pojęcie o tym,co robi "Ukraina"Skoropadskiego i jak smętne wrażenie robił jej byt.Na ulicy Puszkińskiej niedaleko naszego mieszkania był klub ukraiński. Od wczesnego wieczoru do późna dochodził stamtąd zawsze ten sam rytm muzyki dętej,grającej fokstrota.Władze ukraińskie tańczyły.

Zgłosił się do mnie naczelnik ukraińskiego biura prasowego,

zasilającego miejscowe dzienniki telegramami z pola walki.Prosił o poradę,co ma robić z tekstami,w jakim języku je podawać,po ukrainsku mało kto umie się wypisać,a redakcje narzekają,że nie umieją czytać.Poradziłem mu,że skoro nie może redagować telegramów po polku,niech zrzuci pychę z serca i pisze po rosyjsku.Tak też zrobił.

Wrócę jeszcze do "Przeglądu Polskiego".Zachowałem rocznik tego dziennika i,przeglądając go,wspominam.

Pierwszy numer tego dziennika wyszedł 20 lutego i nosił podtytuł:"Organ Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego";taką organizację zostawił po sobie na Rosję Komitet Narodowy,przenosząc się do Paryża.

Tytułu tego nie mogliśmy używać długo,w marcu bowiem wkroczyła do Kijowa armia niemiecka,aby powołać państwo ukraińskie.Okupacja niemiecka uratowała nas od pogromu bolszewickiego.Zaczęło się życie niezmiernie skomplikowane dla dziennika i organizacyj,na których on się opierał.Przypominały mi one osobiście czas wydawania "Słowa Polskiego"w r.1914 we Lwowie pod cenzurą wojenną austriacką.

Żeśmy się nie czuli całkowicie w powietrzu,zawdzięczać należy zmysłowi organizacyjnemu Polaków,którzy potrafili w warunkach kosczownictwa wytworzyć całe niemal podłoże kulturalne życia politycznego.Dosyć wspomnieć potężną organizację oświatową Macierzy Szkolnej,mającą sieć szkół i wydawnictw,dzielną opiekę Centralnego Komitetu Opiekuńczego ze Stanisławem Moskalewskim na czele,organizację polityczną kresową /Polski Komitet Wykonawczy/ z Joachimem Bartoszewiczem jako prezesem.

"Przegląd Polski",aczkolwiek niewielki objętością,mógł poświęcać trochę miejsca sprawom literackim.Niewątpliwie zainteresuje czytelników,kto tam pisywał.

W dziale publicystycznym miałem do lata zapewnioną stałą pomoc dzisiejszego profesora uniwersytetu Bogdana Wasiutyńskiego,Jerzego Gościckiego,Joachima Bartoszewicza,W.Kulikowskiego.Ja pisywałem artykuły wstępne i feljetony "Głosy".Sporadycznie pisywali:ś.p.

Marian Lutosławski /zamordowany wraz z bratem Józefem we wrześniu tego roku/, Jerzy Zdziechowski, gen. Edmund Świdziński, Jan Kornecki i Józef Stemmler /dwaj wraz z Józefatem Andrzejewskim najbardziej zasłużeni w dziele oświaty/, ś.p. Stan. Biega, Hieronim Wierzyński, Józef Petrycki, Staniszewski, Józef Kożuchowski i in.

Na pograniczu publicystyki, literatury i sztuki stał Stan. Pieńkowski. W Kijowie był Teatr Polski i Teatr Mały. Artyści przeważnie z Warszawy/Osterwa, Jaracz i inni/ ciężko pracowali, żeby utrzymać scenę, gdy teatr wojny tyle uwagi pochłaniał. Była też wystawa i szkoła sztuk plastycznych. Pieńkowski był recenzentem generalnym. Znajdujemy więc sprawozdanie jego z "Fircyka w zalotach", z "Rokenesansu" Popoffa, z "Horsztyńskiego" i innych. Poza tym Pieńkowski ogłosił w szeregu odcinków /kwiecień/ "Idea Studiów" /teatr ~~ek~~ eskperymentalny pod jego ip. Wysockiej kierunkiem/ikilka drobniejeszych.

W odcinkach "Przeglądu" oprócz tych sprawozdań znaleźć można cały szereg interesujących artykułów literackich. Wymienię niektóre. Kornel Makuszyński ogłosił charakterystykę J. Kisielewskiego /23.II./ o poezjach Staffa, o "Księdze Ubogich" Kasprowicza, o "Zamieci" Żeromskiego pisała Zahorska /Savitri/; dalej Leszek Konopacki "Dogmat o rozumie" /nr.161/, "Przez gruzy" /nr.102/; L. Kowalski "Polska szkoła sztuk pięknych na Rusi" /16 lipca/; K. Makuszyński "Ratujmy dzieci" /nr.110 /; kilka odcinków poświęciliśmy przedrukom z pism, które wtedy doszły z kraju, wykładów Kasprowicza w Zakopanem z r.1915. Z. Wasilewski ogłosił "O skarbcach cywilizacji" /z powodu M. Tretera książki o muzeach/, potem szereg odcinków "O katastrofach cywilizacji"/od nr.125/, oraz "Widzenie Mickiewicza"/od nr.143/.

Prof. Uniwersytetu kijowskiego, potem krakowskiego, Bogdan Szyszkowski, zrobił niespodziankę /jako matematyk/, przynosząc do druku rozprawę "Godzina myśli" Słowackiego". Drukowaliśmy ją w kilku odcinkach od nr.75.../9 czerwca/. W jakiś czas potem prof. Szyszkowski ogłosił drugą rzecz p.t. "Genezis z ducha" Słowackiego" /od nr.111/.

Rozprawy te wywołały list otwarty w obronie Towiańskiego ze strony p.J.Andrzejewskiego /nr.125/.

Prof.Uniwersytetu /język staroż/ Witold Klinger pgłosił rozprawę "Do wpływów Mickiewicza na Lermontowa" /nr.105 i nr.44 odcinki/. Poza tym z większych prac na uwagę zasługuje rozprawa historyczna Wilhelma Kulikowskiego o Henryku Dąbrowskim / w czerwcu,6 odcinków/.

Poezje w "Przeglądzie Polskim" ogłaszali ś.p.Wacław Wolski, Maria z Wydżgów Niklewiczowa,Savitri,Pieńkowski,Ułaszynówna,Janina Przecławska,Z.Rościszewska,Bożawola-Poznański,dwaj żołnierze:Józef Englicht i Łazęga oraz początkujący wowczas Kazimierz Wierzyński, podpisujący się pseudonimem "Jan Jarema".Między innemi był tu piękny wiersz "Msza".

Przewinął się też szereg nowel oryginalnych i tłomaczonych, między innymi ś.p.Eugenii Żmijewskiej,Bol.Koreywy /który też pisywał feljetony jako Korbet / i in.A wszystko to,co wypisałem odpowiadało stałej rubryczce,"Inter arma",w której się notowało wiadomości z dziedziny literatury i sztuki. W tytułach i w treści utworów coraz częściej ukazywał się motyw:"Powrót".Tęsknota do kraju i do warunków normajnych wyła w duszach.Spokój i zacięta cieppliwość,nawet pogoda panowały tylko w artykułach politycznych,propagujących wiarę w zwycięstwo państw sprzymierzonych i w odrodzenie Polski.

Ostatni numer kijowski "Przeglądu Polskiego"167 wyszedł 6 października 1918r.Był tam wiersz Kaz.Wierzyńskiego "List do domu"... Kto mógł wyjechać zdżał już "do domu",uzyskawszy glejt niemiecki.

"Przegląd Polski" staraniem A.Sadzewicza wskrzesł w lutym 1919r. w Odessie i ukazywał się na luźnych kartkach do 22 marca,jako odgłos powracających do kraju oddziałów wojska polskiego.

Ten i ów ,przeczytawszy powyższą notatkę bibliograficzną,powie: - Sucha!Ale dla piszącego i dla tych,którzy potrafią treść tych czasów sobie odtworzyć,ma ona cenę ciężkich przeżyć.

7. WARSZAWA.

Stanęliśmy w Warszawie w połowie października. Trzeba się było rozejrzeć, co dalej robić. Przybył tu już wcześniej syn mój Tadeusz. Pełen żalu do Dowbora-Muśnickiego za rozwiązanie korpusu, zapisał się do uniwersytetu na wydział prawny. Był też tutaj i pracował w "Gazecie Porannej" pasierb mój, Stefan Godlewski, ożeniony wczasie wojny. Było się czym zająć i to decydowało narazie o pozostaniu w Warszawie, dokąd pozwalała nam przybyć przepustka kijowska. Zatrzymaliśmy się w hoteliku na ul. Marszałkowskiej. Warszawa była jak w późną noc martwa. Żadnej lokomocji. Rzeczy przewieziono nam na wózku ręcznym. Na ulicy słychać było tylko klekot drewnianych sandałów.

Zaopatrzywszy się w urzędzie w dowody osobiste, wynajęliśmy pokój na ul. św. Barbary. O mieszkaniu stałym, nie wiedząc, co dalej, nie mogliśmy myśleć, ile że dobytek nasz pozostał we Lwowie. Wkrótce jednak skorzystaliśmy z zaproszenia mego przyjaciela z lat szkolnych Jana Zagienicznego. Zajmował duże mieszkanie na ul. Seweryn ów 5, gdzie mieszkał wówczas samotnie, rodzina bowiem przebywała w majątku na wsi. Tam zeszło nam do czerwca 1919. Było to nierozważne z mojej strony, bo przez ten czas Warszawa tak się zaludniła, że o znalezieniu odpowiedniego lokalu nie było mowy. Musieliśmy tedy potem zadowolić się dwiema pracowniami malarskimi na ul. Polnej 46, gdzie zagnieździliśmy się razem z rodziną pasierba, sprowadziwszy ze Lwowa zniszczone graty i bibiotekę.

Był to jednak raj po tym wszystkim, co się przeszło. Leżąc na otomanie na tym poniebiu, przez oszłony sufit mogłem wróżyć z lotu ptaków o losach Polski, która wreszcie odzyskała wolność.

Od listopada 1918 miałem już swój warsztat pracy dziennikarskiej. O pozostaniu w Warszawie zadecydowała wola władz stronnictwa, które poleciły mi zająć się wskrzeszeniem "Gazety Warszwskiej". Redakcja mieściła się w lokalu "Gazety Porannej" /"2 grosze"/ na ul. Zgoda 5 w domu nabytym przez spółkę drukarską "Niklewicz, Głodkowski i Wyszyń-

V. WARSZAWA.

Stanęliśmy w Warszawie w połowie października. Trzeba się było rozejrzeć, co dalej robić. Przybył tu już wcześniej syn mój Tadeusz. Pełen żalu do Dowbora-Muśnickiego za rozwiązanie Korpusu, zapisał się do uniwersytetu na wydział prawny. Był też tutaj i pracował w "Gazecie Porannej" pasierb mój, Stefan Godlewski, ożeniony w czasie wojny. Było się czym zająć i to decydowało naraz o pozostaniu w Warszawie, dokąd pozwalała nam przybyć przepustka Kijowska. Zatrzymaliśmy się w hotelu na ul. Marszałkowskiej. Warszawa była jak w pełną noc martwa. Żadnej lokomocji. Rzeczy przewieziono nam na wózku ręcznym. Na ulicy słychać było tylko klekot drewnianych sandałów.

Zaopatrzywszy się w urzędzie w dowody osobiste, wynajęliśmy pokój na ul. św. Barbary. O mieszkaniu stałym, nie wiedząc co dalej, nie mogliśmy myśleć, tym że dobytek nasz pozostał we Lwowie. Wkrótce jednak skorzystaliśmy z zaproszenia mego przyjaciela z lat szkolnych Jana Zagleniczanego. Zajmował duże mieszkanie na ul. Sewerynów 5, gdzie mieszkał wówczas samotnie, rodzina bowiem przebywała w majątku na wsi. Tam zeszło nam do czerwca 1919. Było to nie[illegible]wane z mojej strony, bo przez ten czas Warszawa tak się zaludniła, że o znalezieniu odpowiedniego lokalu nie było mowy. Musieliśmy tedy potem zadowolić się dwiema pracowniami malarskimi na ul. Polnej 46, gdzie zagnieździliśmy się razem z rodziną pasierba, sprowadziwszy ze Lwowa zniszczone graty i bibliotekę.

Był to jednak raj po tym wszystkim, co się przeszło. Leżąc na otomanie na tym podniebiu, przez oszklony sufit mogłem wróżyć z lotu ptaków o losach Polski, która wreszcie odzyskała wolność.

Od listopada 1918 miałem już swój warsztat pracy dziennikarskiej. O pozostaniu w Warszawie zadecydowała wola władz stronnictwa, które poleciły mi zająć się wskrzeszeniem "Gazety Warszawskiej". Redakcja mieściła się w lokalu "Gazety Porannej" /"2 grosze"/ na ul. Zgoda 6 w domu nabytym przez spółkę drukarską "Niklewicz, Ożóckowski i Wyszyn-

-58-

ski".Do końca roku wyszły 44numery "Gazety Warszwskiej".

Czyż mogłem kiedy przypuszczać,że ten stary dziennik,znany mi od dzieciństwa a dobiegający jubileuszu 150-letniego istnienia, znajdzie się pod moją redakcją?Tradycje tej gazety łączyły pomostem nad przepaścią życia bezdziejowego dobę niepodległości czasów Stanisławewskich znbrzegiem nowego okresu dziejów.

Redakcja nasza stała się ogniskiem towarzyskim dla ludzi bliskich nam ideowo.Pracowało się w niezwykłych warunkach,wymagających znacznego wysiłku wyobraźni,aby tworzącą się sytuację ogarnąć myślą. Wyczucie tej sytuacji,na widok rozszalałej afektami bolszewickimi lewicy,było pesymistyczne.Piłsudzki,którego Rada Regencyjna obdarzyła pełnią władzy,zachowywał się enigmatycznie,jakby pod hipnozą proroctw Wernyhory.W nas,którzy znaliśmy kwestię ukraińską,a krytyczny mieliśmy pogląd na socjalistów jako na mężów stanu,budziło to jaknajgorsze przeczucia.

Na dowód,jaki był nastrój ówczesny,przytoczę urywki ze swego reportażu,ogłoszonego w "Gazecie Warszawskiej" wdn.16 grudnia 1918r. Brałem udział w dn. 15 grudnia w nabożeństwie uroczystym w katedrze św.Jana.Było to nabożeństwo galowe,zarządzone - jak głosiło zaproszenie - "z powodu tryumfu Koalicji i dla uproszenia pomyślnego dla Polski wyniku rokowań pokojowych".Oto jakie wrażenie odniosłam i jakie reflekcje umysł nuttowały:

"W stalach i w ławkach w obliczu rozjarzonego ołtarza dygnitarze państwowi i reprezentanci społeczeństwa:ks.arcybiskup Kakowski na tronie w asyście kanoników;szeregi kleru młodszego wykonywują złożone ruchy rytuału.To prezbiterium,a poza nim katedra pełna pobożnego tłumu.Stłoczona,skupiona w sobie publiczność stolicy,biedna,udręczona, niepomna wolności, która w oczach dziadów gasła w tej oto katedrze, kochana,patriotyczna ludność Warszawy szuka w nabożeństwie zstąpienia Łaski,potrzebnej sercu na czasy nowe.

"Mnogie okna gotyckiej świątyni zlewają mokre światło na morze głów,chóry brzmią pieśnią religijną.

"Dziękczynienie bez wyrazu radosnego.Dusze przytłoczone znękaniem.

aki".Do końca roku wyszły 4 numery "Gazety Warszawskiej".

Czyż mogłem kiedy przypuszczać,że ten stary dziennik,znany mi od dzieciństwa a dobiegający jubileuszu 150-letniego istnienia, znajdzie się pod moją redakcją?Tradycje tej gazety łączyły pomostem nad przepaścią życia bezdziejowego dobę niepodległości czasów Stanisławowskich z przeczegiem nowego okresu dziejów.

Redakcja nasza stała się ogniskiem towarzyskim dla ludzi bliskich nam ideowo.Pracowało się w niezwykłych warunkach,wymagających znacznego wysiłku wyobraźni,aby tworzące się sytuacje ogarnąć myślą. Wyczucie tej sytuacji,na widok rozszalałej siektami bolszewickimi lewicy,było pesymistyczne.Piłsudski,którego Rada Regencyjna obdarzyła pełnią władzy,zachowywał się enigmatycznie,jakby pod hipnozą proroctw Wernyhory.W nas,którzy znaliśmy kwestię ukraińską,a krytyczny mieliśmy pogląd na socjalistów jako na mężów stanu,budziło to jaknajgorsze przeczucia.

Na dowód,jaki był nastrój ówczesny,przytoczę urywki ze swego reportażu,ogłoszonego w "Gazecie Warszawskiej" w dn.16 grudnia 1918r. Brałem udział w dn. 15 grudnia w nabożeństwie uroczystym w katedrze św.Jana.Było to nabożeństwo galowe,zarządzone - jak głosiło zaproszenie - "z powodu tryumfu Koalicji i dla uproszenia pomyślnego dla Polski wyniku rokowań pokojowych".Oto jakie wrażenie odniosłem i jakie refleksje umysł nuttowały:

"W stalach i w ławkach w obliczu rozjarzonego ołtarza dygnitarze państwowi i reprezentanci społeczeństwa:ks.arcybiskup Kakowski na tronie w asyście kanoników;szeregi kleru młodszego wykonywują złożone ruchy rytuału.To prezbiterium,a poza nim katedra pełna pobożnego tłumu.Stłoczona,skupiona w sobie publiczność stolicy,olena,nurpczona,kochana,patriotyczna ludność Warszawy szuka w nabożeństwie zaspokojenia łaski,potrzeb jej sercu na czasy nowe.

Mnogie okna gotyckiej świątyni zlewają zimne światło na morze głów,chóry brzmią pieśnią religijną.

Dziękczynienie bez wyrazu radosnego.Dusze przytłoczone znękaniem

Przywiódł je tutaj pobożny patriotyzm,szukający wzmocnienia.Opadły kajdany,ale oto zmęczone ciało ciężko zwlec z więziennego barłogu, bo je przygniata....upokorzenie niemocy.Przyszedł tu z ludzmi smutek ulicy warszawskiej z dni ostatnich,smutek opinii zawiedzionej w nadziejach,że kres cierpień będzie nagły.

"Kiedy przed miesiącem poranek razem z cieniami nocy spędził Niemców z Warszawy,ulica na lada okrzyk,na widok żołnierza polskiego płakała z radości.Nie tylko ulica,kraj cały gorzał gotowością pracyi ofiary.Jednej rzeczy nie obliczono,że z gruzów więzienia najbliższej nocy księżycowej wylęgnie się rój koboldów złośliwych, który usiądzie na piersiach zmorzonego kraju i zatrzyma fantazję jego snów nad wyraz ciężkim memento:

"- Jeszcześ nie gotów do nowego życia.My jesteśmy pokutującą częścią twojej duszy,Jesteśmy grzechem twojego żywota,twojego niedorozwoju,twojego niedopracowania w sprawach duszy narodowej,twojej degeneracji.Zrodzony jesteś w niewoli,ale płodziłeś rabów,kochających niewolę.Oto nas masz.

"Dramatyczne poczucie winy,jakaś potrzeba pokuty - oto czynnik psychiczny,który legł w podstawę tej szczególnej konstytucji przejściowej naszego życia publicznego.Zło ma swoją rację na świecie nie tylko w układzie religijnym,korzysta nawet ze specyficznego kultu w rozmaitych postaciach.W Rosji za hasłem Tołstoja dusza przestaje nawet mu się sprzeciwiać,w kulturach zachodnich bywają jednak momenty,kiedy zło równoważy się z dążeniem ku dobru na jakiś czas - potrzebmy na pokutę - a wtedy życie wpada w smutek i zastój.

"W takiej chwili jesteśmy teraz.Tę chwilę wyczułem obrazowo w kościele św.Jana,gdzie lud polski paść miał na kolana w radosnym dziękczynieniu za triumf zewnętrzny,a korzył się przed Bogiem z grzechu niewoli wewnętrznej.Korzył się z błędów kultury politycznej,popełnionych w wychowaniu,że nie strzegł dość czujnie granic ducha i lekceważył metody myślenia narodowego.

"Oto przyszło pokolenie,które obsunęło się z łożyska historycz-

nego i pomyliło drogi do domu swego. Poszło to za cudzymi panami na byle przynętę i teraz w dobrej bodaj wierze goni w piętkę historyczną, bałamucąc masy narodowe, nieświadome rzeczy.

"Mechanicznie, przy pomocy sił obcych, w czasie likwidacji tych sił właśnie przyszła na to pokolenie pora rządzenia i naród patrzy ze zgrozą na niebezpieczeństwo, które tkwi w nim samym, a którego - póki obcy rządzili - nie spostrzegł.

"Pokazało się, że można się dorobić inteligencji, która jest nie siłą dobroczynną, ale postrachem kraju. Przecież nie rządy "ludowe" są teraz - trzeba to jasno sobie uprzytomnić, ale rządy zorganizowanej garstki i n t e l i g e n c j i, która się w niewoli zdegenerowała. Jej się wydaje, że ona jest tylko "lewicą" i tym się różni od inteligencji "prawicowej". Tymczasem nie ma w tym wypadku prawicy i lewicy, jeno jest część społeczeństwa zdrowa, a druga zdegenerowana, zbłąkana, najmniej mająca prawa określenia, co to jest lewo, a co prawo. W danej chwili chodzi o to, kto się znalazł na drodze historycznej, a kto idzie na manowce.

"Fakty najlepiej tę sytuację wyjaśniają. Ale fakty są dla tych, którzy mająxxmanx zdrowe zmysły i dar swobodnego wnioskowania.

"Społeczeństwo polskie znalazło się chwilowo wobec lustra wykrzywionego i to mu odebrało fantazję.

"Na wysuniętym przed ołtarz fotelu siedział naczelnik rządu dzisiejszego, kom. Piłsudski. Widuję w tych czasach, rozszerzających źrenice ducha, wiele istnień, godnych współczucia, ale zaiste jego osobistość obudziła we mnie współczucie szczególne. Człowiek złej wiary nie szedł by w Polsce tak wysoko. A na tej wysokości jakże silnie pracować musi, jeśli nie sumienie, to poczucie taktu, czy się jest na właściwym miejscu.

"Na ambonę, ponad las sztandarów narodowych wszedł ks. arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa. Znakomity kaznodzieja utrafił w ideę uroczystości, roztaczając obraz sytuacji dziejowej, w której Polska się teraz znalazła i wyprowadzając linię historyczną, jak się wiąże

z przeszłością to,co Polskę czeka.Epizod w dziejach wielkiego narodu.Po chwilowym zawieszeniu państwa,Polska znów wstępuje w swój bieg mocarstwowy.Linia ta nie styka się z drogami dzisiejszych " "władców" Polski.Wyobrażałem więc sobie,jak ciężkie męki przechodzi dusza komendanta Piłsudskiego,gdy wsłuchując się w słowa kaznodziei,nie znajduje w jego obrazie nigdzie miejsca dla swojej grupy,dzisiaj tak malowniczej.Cały ów pochód dziejowy Polski,dzisiaj na nowo rozpoczynany,odbywa się za sprawą innych zgoła sił, niemal mistycznych,niezrozumiałych dla ludzi doktryny partyjnej, wierzących w mechaniczne poszturchiwanie dziejów przy pomocy rewolucji socjalnej.

"I kaznodzieja był politycznie dyskretny i nie dotykał obecnego układu stosunków,ale przecież gdy wzywał Boga,aby wejrzał w upokorzenie,jakie kraj znosi,wzrok słuchaczy mimowoli przenosić się musiał z ambony na osobę,która niedawno budziła tyle nadziei,że ona właśnie skrzepi duszę triumfującego narodu.

"Czy jednak wina zawodu nie spada także na opinię publiczną?

"Cóż winien człowiek,wpędzony w sytuację nieodpowiednią?Historja jemu zrobiła zawód.Otoczenie,z którym się związał ideą,było odpowiednie na koncepcję buntu niewolniczego,bojówki,ekspropriacji, tymczasem przyszła doba twórczości narodowej w innym zgoła widnokręgu.Idea tamta hodowana była na niskim gruncie kultury rosyjskiej z nasienia niemiecko-semickiego,gdy tu trzeba burzyć piękną kulturę,aby zrównać kraj dopiero z tym poziomem,jaki był w Rosji przed bolszewizmem.

"Trudno jest Polską rządzić tym,którzy całą ambicję kierowali dotąd,aby się podobać najniżej w świecie notowanym typom umysłowości społecznej,mianowicie inteligencji żydowskiej i rosyjskiej.

"Opinia polska ufna w cudowną moc duszy narodu,z którą ją zaznajomili wieszczowie,przypuszczała,że doniosłe wypadki wyprostują każdego uczciwego Polaka ,któremu los dał wodze w rękę,do pożądanej miary.Tymczasem niewola w jarzmie niższej kultury jest cieżka.Trzeba z góry zabiegać,aby dusze w nią nie zapadły.

Od błahych pozornych błędów w metodach myślenia się zaczyna, ale umysł przechodzi w rezultacie do utraty instynktów narodowych, które są podstawą rozumu politycznego i najlepsza wiara, skoro droga jest błędna, nie ocali go. Wszystkie kroki będą błędne, lub spóźnione, i jak najgorsze będzie towarzystwo.

To też współczułem naczelnikowi rządu, jako politykowi, gdy kaznodzieja mówił o tym, jak jasne było dla narodu niebezpieczeństwo niemieckie, bo dla jego rządu nie było ono wiadome do dnia wczorajszego; współczułem mu, gdy słuchał o grozie anarchii, bo rząd jego w tej grozie widzi właśnie cały urok dziejowy czasu.

Siedzieli przeciwko sobie w tej świątyni historycznej on, wódz wojska, i ks. Kakowski, były regent, który mu władzę w ręce złożył, i wsłuchiwali się w hymn dziękczynny patriotycznego kaznodziei, azali dla nich padnie słowo, w któremby swoją zasługę rozeznali. I nawet wtedy, gdy głos mówcy, jak rozkołysany dzwon, wzywał do bohaterskiej obrony Lwowa, nawet wtedy wódz Piłsudski nie mógł w sobie poczuć nic, krom uczucia niemocy.

Jest niby wszystkim, dyktatorem, a jednak poza wszystkim.

Żywo stanęła mi przed oczyma scena na Wawelu w "Wyzwoleniu" Wyspiańskiego: od gotyku ścian do tragedii dusz. Słowa kaznodziei objaśniały niemy obraz prezbiterium. Zasiadający w ławach dygnitarze obcego rządu, jak tam "maski", śledziły pytająco Konrada, czy nie szuka wyzwolenia z pod klątwy spisku i doktryny.

Doktryna bywa dla umysłu teatrem, gdzie dobrze jest grać, ale trudniej znaleść z niej wyjście na grunt rzeczywistej twórczości."

Nie mogę wszakże w tej skali życia tych lat opisywać, bo- jak zastrzegł się w pamiętnikach swoich pan Pasek, "nie historii Reipublicae, lecz kursum życia swego opisać proposui". Niepodobna jednak takich przełomów pominąć, boć to były najważniejsze zdarzenia i w życiu osobistym.

Trudno było bez trwogi patrzeć na manewry krążących koło Piłsudskiego i szantażujących go swymi "rządami lubelskimi" Daszyńskich,

Moraczewskich,Rydzów Śmigłych, i różnych Thuguttów.Trudno było nie obawiać się niskiego poziomu kultury politycznej w masach,falujących pod powiewem prądów radykalizmu socjalnego ze wschodu i zachodu.

Wielkie wrażenie zrobił na mnie uroczysty wjazd do Warszawy mistrza Paderewskiego,prowadzonego w świetle pochodni Krakowskim Przedmieściem.Powietrze pełne było entuzjazmu tłumów patriotycznych, obrywały się balkony...Ale przecież musiała nawiedzać umysły krytyczniejsze refleksja,że te tłumy nie zdają sobie sprawy,że swą wiarę w Paderewskiego czerpią z wyobrażeń,jakie mają o nim,jako o pianiście.

W parę dni potem znany ekonomista Henryk Radziszewski,otwierający chętnie swe salony na przyjęcia towarzyskie charakteru politycznego,zaprosił do siebie na herbatę wybitniejszych działaczy naszego obozu w celu zetknięcia ich z Paderewskim.Warszawa oczekiwała od niego wyznań,jako od męża stanu misyjnego.Powitano go gorąco.gdy wszedł do sali w aureoli swych legendarnych włosów.Nie widziałem go od roku 1908,gdybył we Lwowie z okazji uroczystości Szopenowskiej.Piękny jego wykład o Szopenie drukowałem w "Słowie Polskiem".

Pierwsze słowa Paderewskiego teraz,gdy zabrał głos,zawierały ku memu zdziwieniu treść taką:"Panowie,pierwszą rzeczą jest dojść do porozumienia z żydami.Bez nich nic nie zrobimy..."

Wionęło na nas duchem Wersalu,nadewszystko Wilsona,duchem Ligi Narodów.Stanowisko takie od pewnego czasu zajmował Paderewski w Ameryce,na co bardzo użalał się Dmowski.Mnie to uderzyło,bo przed dziesięciu laty poznałem go jako zawziętego antysemitę.Było to po koncercie Szopenowskim.Państwo Wolscy zaprzyjaźnieni z Paderewskim urządzili dla niego i jego żony uroczyste przyjęcie.Między zaproszonymi i ja się znalazłem.Pamiętam dobrze wykład Paderewskiego o żydach, wygłoszony w gabinecie Wolskiego,gdyśmy tam zasiedli dla wypalenia papierosów.Nie zdarzyło mi się dotąd słyszeć tak pięknie wysłowionego i tak namiętnego wykładu antysemickiego.Biografowie wyjaśnią dokładnie,co się stało w tym okresie czasu,że stanowisko tak zmienił. Przypominam sobie niejasno,że dochodziły mnie wieści o jakimś boj-

kocie żydowskim,który paraliżował mistrzowi plany koncertowe.Tak, to była ofiara teroru żydowskiego.

Z życia Dmowskiego wiadomo,jaki spotkał go epizod w rozmowie z jednym z najwybitniejszych przywódców żydowskich w Ameryce,którzy tam na cały świat decydowali o bojkotach i terorach.Gdy Dmowski użył zwrotu:

- Pan tak rzeczy stawia,jakbym ja miał w przyszłości rządzić w Polsce.

Wtedy żyd wtrącił nawiasem:

- Ja wiem,że Pan rządzić w Polsce nie będzie.

On wiedział o tym już w r.1918.Dmowski jednak nie liczył się z osobistym bojkotem i terorem.Do rządu nie doszedł.

8. GAZETA WARSZAWSKA.

Wyznaję, że z pewnym przymusem wewnętrznym ciągnę opowiadanie biograficznie poprzez gęstwę wydarzeń, których tylko świadkiem byłem i referentem. Wynik wojny wywołał w Polsce tyle wydarzeń i tyle spiętrzył przed nią zadań, że zatraciła się w tym odmęcie linia życia indywidualnego. Mam jednak obowiązek kończyć rzecz zaczętą.

Pękały sztuczne wały, które od stulecia zgórą gwarantowały bezdziejowość na ziemiach polskich. Byliśmy rozgrodzeni, zdezorganizowani i bez obrony. O r o z l e g ł o ś c i fali dziejowej, która w Polskę uderzyła, dość powiedzieć, że mieliśmy zjednoczyć wydarte zaborcom ziemie, nie mając przez parę lat zakreślonych granic od wschodu, o w y s o k o ś c i zaś fali, na której ster myśli politycznej Warszawy miał się utrzymać i nadać dziejom kierunek, dość przypomnieć, że jeszcze w czerwcu 1918r. rząd Rady Regencyjnej mógł uchodzić za autorytet, gdy przez usta premiera Steczkowskiego p r o t e s t o w a ł przeciwko deklaracji rządów państw koalicyjnych, ustalającej tezę zjednoczenia i niepodległości Polski.

Przyzwyczajony byłem do wysiłków orientowania się w tym, do kogo i jak przemawiać ma wydawnictwo, które redaguję. Organ polityczny tyle jest wart, ile warta jest funkcja, którą spełnia jako organizator opinii publicznej. Ale jakże trudno było wówczas w tej opinii się zorientować! Odrazu wyczułem, że pomimo powszechnej radości zjednoczenia dawne dzielnice nie są skłonne wyrzekać się kierownictwa swojej prasy miejscowej. Polska wskutek rozbiorów zatrzymana była w rozwoju swojej integralności. Odrobić to może długa i rozumna praca państwa w kierunku centralizowania rozbitego na dzielnice życia. Na razie jednak i na to było mało widoków, skoro w kierownictwie państwa więcej się mówiło o idei federacji, niż o systemie polityki narodowej i więcej się robiło w celu odpychania podstawowych dzielnic Wielkopolski i Pomorza, niż w celu przyciągania.

Były rzeczy gorsze niż federalizm. Opinia narodowa nie mogła od początku porozumieć się szczerze i otwarcie z kierownictwem państwa,

kto temu państwu wywalczył niepodległość. Socjaliści z Piłsudskim na czele,/a ten miał już pełnię władzy, gdyśmy "Gazetę Warszawską" wskrzeszali/usiłowali w drodze faktu dokonanego wytworzyć w Warszawie taką sytuację, jakby legiony zpod Oleandrów wojnę wygrały, a o przyszłości Polski decydować miał jakiś układ zawarty w Magdeburgu między Piłsudskim a Hugonem hr. Kesslerem. W dn. 10 listopada 1918r. przybył do Warszawy Piłsudski, a już w dn. 15 listopada zjawił się u nas ów p. Kessler. Przybył do Warszawy jako poseł niemiecki /gdy żadnych innych być jeszcze nie mogło/z 30 urzędnikami. Oczywiście nie mogło się to stać bez wiedzy Piłsudskiego. Urzędował cały miesiąc, dopóki ludność patriotyczna Warszawy stąd go nie przepędziła.

Oto jaki był stan rzeczy wówczas, Nieoddzielone było w tym chaosie zamiarów i podstępów prawo od zamachów ze strony faktu dokonanego, prawda od kłamstwa, dzień biały od nocy zakonspirowanej tajemnicy. Więcej zdziałać mógł wtedy zdrowy instynkt mas patriotycznych, niż rozmysł polityczny, nie mający siły organizacyjnej. Ten zdrowy instynkt narodu był oczywiście znienawidzony tam, gdzie liczyło się na podstęp. Grało się "faktami dokonanymi". I tak było jeszcze długo w Polsce z tą odmianą, że gdy potem po zorganizowaniu państwa żywioły patriotyczne lojalnie poddały się reżimowi prawa, tamta strona gotować nie przestała i knuć spisków. Ów epizod progermański był tak obliczony, że w chaosie stosunków uda się fakt dokonany przemycić, a po skandalu jakim było wypędzenie posła, żadna ze stron z sobą zakonspirowanych /niemieska i polska / protestować się nie ośmieliła. Przełknięto niepowodzenie w milczeniu, pozostała tylko nienawiść.

Ta nienawiść ze strony władzy polskiej zwrócona była przede wszystkim, bodaj jedynie, do obozu, który się tworzył koło naszego stronnictwa. Walka z naszym obozem była głównym zadaniem programu polityki wewnętrznej tworzących się potem rządów i późniejszej t.zw. sanacji. Myliłby się, ktoby sądził, że była to walka personalna lub też czysto partyjna. To był dalszy etap wojny o Polskę już nie terytorialną, lecz o Polskę wewnętrzną, wojny o sens życia polskiego,

wojny prowadzonej przez zaborcę wewnętrznego przy pomocy Polaków zakłamanych politycznie i moralnie.Owi zakłamani Polacy potrafili być nawet dumni z tego,że są czymś więcej niż narodowcami,gdy czerpać mogą inspirację od"mniejszości" etnicznych i z wielkich organizacji światowych.

Będzie o tym później,wrócę teraz do "Gazety Warszawskiej".

Załoga naszej redakcji była niewielka.Wymienić muszę na pierwszym miejscu Józefa Hłaskę,wiernego i drogiego przyjaciela,z którym pracowałem niegdyś w "Głosie",a potem w "Słowie Polskim".Czytał starannie i referował prasę,prowadząc przytem rubrykę życia prowincjonalnego.Prasę obcą referował Zygmunt Raczkowski,do spraw literackich był Wacław Filochowski,polecony mi jeszcze dla "Sprawy Polskiej" w Petersbuggu przez Z.Balickiego.Z posterunku petersburskiego przybyli tu ze mną Wacław Kryński i Stanisław Włodek,syn przyjaciela mego z "Głosu" Ludwika Włodka.Pracowali dalej:Stanisław,Majewski,późniejszy poseł,Julian Wapniarski,Hieronim Wierzyński,Zofia Osbergerowa ze Lwowa,potem Jan Rembieliński.Załoga była więc dość liczna,jeżeli doliczyć reporterów,korektorów,telefonistów.Znaczna jednak część tych sił obsługiwała również "Gazetę Poranną",mieszącą się w tym samym lokalu.Sprawy wojskowe i wojny referował jakiś czas w r.1919 odsunięty od wojska gen.Włodzimierz Zagórski.Zarobkował na chleb jako dziennikarz.Sprawozdawcą z teatru i z zakresu sztuk/ pięknych był Stanisław Pieńkowski,referat muzycgny objął z zalecenia St.Niewiadomskiego prof.Piotr Rytel.

Dawał mi się odczuwać brak sił publicystycznych z zakresu polityki międzynarodowej.Wzmocniłem ten dział angażując korespondentów zagranicznych.Dmowski polecił mi Kazimierza Smogorzewskiego.Skwapliwie z tego skorzystałem.Listy ~~taxgąsta~~x jego z Paryża istotnie dawały coraz chlubniejsze świadectwo zdolnościom publicystycznym tego "bajończyka".Listy te gęsto nadsyłane z Paryża, a pisane w duchu polityki Komitetu Narodowego,były dobrym odczynnikiem atmosfery jaka pozostała po okupantach.Doskonałym też nabytkiem był korespon-

wojny prowadzonej przez zaborcę wewnętrznego przy pomocy Polaków zakłamanych politycznie i moralnie.Owi zakłamani Polacy potrafili być nawet dumni z tego,że są czymś więcej niż narodowcami,gdy czerpać mogą inspirację od"mniejszości" etnicznych i z wielkich organizacji światowych.

Będzie o tym później,wróćmy teraz do "Gazety Warszawskiej".

Załoga naszej redakcji była niewielka.Wymienić muszę na pierwszym miejscu Józefa Kłaska,wiernego i drogiego przyjaciela,z którym pracowałem niegdyś w "Głosie",a potem w "Słowie Polskim".Czytał starannie i referował prasę,prowadząc przytem rubrykę życia prowincjonalnego.Prasę obcą referował Zygmunt Raczkowski,do spraw literackich był Wacław Pilochowski,polecony mi jeszcze dla "Sprawy Polskiej" w Petersburgu przez Z.Balickiego.Z postępowców petersburskich sprzyjali tu ze mną Wacław Kryński i Stanisław Włodek,syn przyjaciela mego z "Głosu" Ludwika Włodka.Pracowali dalej:Stanisław Łajewski,późniejszy poseł,Julian Wegnierski,literatorem Wierzyński,Zofia Ossbergerowa ze Lwowa,potem Jan Rembieliński.Załoga była dość liczna,jeżeli doliczyć reporterów,korektorów,telefonistów.Znaczna jednak część tych sił obsługiwała również "Gazetę Poranną",mieszczącą się w tym samym lokalu.Sprawy wojskowe i wojny referował jakiś czas w r.1919 odkomenderowany od wojska gen.Włodzimierz Zagórski.Zarobkował na chleb jako dziennikarz.Sprawozdawcą z teatru i z zakresu sztuk pięknych był Stanisław Pieńkowski,referat muzyczny objął z polecenia St.Niewiadomskiego prof.Piotr Rytel.

Dawał mi się odczuć brak sił publicystycznych z zakresu polityki międzynarodowej.Wzmocniłem ten dział angażując korespondentów zagranicznych.Dmowski polecił mi Kazimierza Smogorzewskiego.Skwapliwie z tego skorzystałem.Listy jego z Paryża istotnie dawały coraz chlubniejsze świadectwo zdolnościom publicystycznym tego "bajończyka".Listy te gęsto nadsyłane z Paryża,a pisane w duchu polityki Komitetu Narodowego,były dobrym odczynnikiem atmosfery jaka pozostała po okupantach.Doskonałym też nabytkiem był korespon-

dent z Rzymu,młody Włoch,piszącypod pseudonimem dArmili.Zdublował on pisującą wpierw do"Gazety" p.Chludzińską-Paulucci. Dzielnie też prracowali jako korespondenci p.E.Ł.z Berlina /pseudonim/ i Grzegorz Piotrowski z Chicago.

Pewien czas /1922-1923/ Mariam Seyda,zwolniwszy się z robót w Komitecie Narodowym,mieszkał w Warszawie i dopóki nie powołano go na stanowisko ministra spraw zagranicznych,pracował w "Gazecie" jako kierownik działu politycznego.

Żeby dać pojęcie,jak funkcjonował dziennik w owe czasy,musiałbym przytoczyć treść jego choćby z jednego miesiąca.Wymienię tytułem przykładu artykuły przynajmniej podpisane,bo te zarazem pokażą,dla kogo "Gazetya" była ogniskiem.A więc styczeń 1922r.Artykułów wstępnych z zasady niepodpisanych było 25.Listów z Paryża 15,z Belgii 5,z Chicago 3, z Berlina 2,z Włoch 2,z Moskwy 3,z Rewla 1.Artykuły z dziedziny polityki wewnętrznej /wojsko,administracja,gospodarstwo/pisali:gen.Falewicz /Bitwa pod Warszawą nr.4,5 16/,Józef Hłasko,Jerzy Gościcki,Marian Kiniorski,E.Kostecki,Br.Kryczyński /Małopolska Wsch./,Wacław Kryński,inż.J.Krzyżanowski,Kaz.Leczycki /Wilno/.x.Kaz.Lutosławski,Janusz Machnicki,Jan Stecki,prof.Stan. Starzyński /Lwów/,Hipolit Wąsowicz,Gustaw Zabłocki i wielu innych niepodpisanych.

W dziale literatury i kultury w styczniu 1922r.pisali:Roman Rybarski /Inteligencja i życie polityczne w nr.15,19 i 25 /,Zofia Sokolnicka /Poznań/,Al.Świętochowski,Z.Wasilewski.Sprawozdań z książek było 12.Pisali je:St.Grabski,J.Godlewska,St.Pieńkowski,Tad.Gluziński,prof.Teodor Wierzbowski i in.Sprawozdań z odczytów 3.W odcinku powieści W.Filochowskiego "Znak",z poezji parę utworów Bożymira /Podhorskiej/ oraz przekłady Stefana Godlewskiego z Laforguea.

W następnych miesiącach tego roku ukazały się jeszcze korespondencje z Londynu,z Kowna i in.Wieksze artykuły umieścili:Wł.Jabłonowski,Ign.Chrzanowski,Z.Glinka,M.Smolarski,A.Chojecki,Jan Załuska,Z.Raczkowski,St.Głąbiński,dr.A.Tarnawski,J.Kleiner,L.Konopacki,

Wł.Kozicki /Lwów/,J.Kiedroń,St.Kozicki,B.Wasiutyński,St.Rymar,Fr. Rawita-Gawroński i wielu innych.Nazwiska stałych współpracowników powtarzają się często.Należy do nich Al.Świętochowski.Widzę w spisie mój pseudonim Cor.Był to wyjątkowy dziennik,który ogłaszał co mies. bibliografię zamieszczonych artykułów.Dlatego mogłem podać powyższe informacje.

Wbrew upowszechnionemu wyobrażeniu,że dziennikarz jest tylko kablem,obojętnym na treść wiadomości,która przez niego przebiega, zajęciom jego towarzyszą głębokie przeżycia.Mam nam myśli Dziennikarza nie pozbawionego poczucia odpowiedzialności publicystycznej i wogóle obywatelskiej.Dziennikarstwo naszego obozu było misją organizowania narodu,aby mógł i chciał żyć samoistnie jako osobowość polityczna i moralna.Dlatego,wglądając bacznie wgłąb życia Polski,wiedzieliśmy więcej niż inni dziennikarze chcieli wiedzieć o niebezpieczeństwach,grożących narodowi naszemu ze strony czynników obcych a wrogich,prowadzących w Polsce zamaskowaną politycznie działalność w odwrotnym kierunku.Im właśnie zależy na tym,by naród polski nie był należycie zorganizowany.Ileż łatwiej pracować dekstrukcyjnie niż konstruktywnie,gdy się ma ku pomocy tak podatny grunt,jakim jest Polska po stu kilkudziesięciu latach bezdziejowości,z pochyłościami wytworzonymi przez ten czas ku trzem stolicom zaborców,z 30% "mniejszości" etnicznych,a co najważniejsza - z żydami /3 1/2 miliona!/,uznającymi Polskę za swą ojczyznę!

Kogo nie stać na wyobraźnię,ogarniającą w całokształcie tragiczność tych stosunków,ten nie może być w Polsce dobrym publicystą i dziennikarzem,nie może być dobrym Polakiem.Tym cięższe są więc przeżycia publicysty,który wie,jak daleko do rozumienia tego stanu rzeczy rodakom,uważającym się za patriotów,ale nie umiejącym myśleć politycznie,a cóż dopiero mówić o ludziach zorganizowanych w tajne związki pod hasłem walki z nacjonalizmem polskim.A do nich przecież należeli w szturmowych szeregach socjaliści,którym dostały się rządy w Polsce i ich sprzymierzeńcy ze wszystkich ugrupowań,

przed wojną już zorganizowani w obóz defetystyczny. Wszystko to, tak rozbieżne na oko, trzymało się jednak kupy zdradą /żydzi/, oszustwem /socjaliści/, nałogiem ugodowości /konserwatyści/, kłamstwem /liberałowie/, wreszcie nieświadomością natur słabych /motłoch/. Wszystko to świadomie lub bezwiednie stawiało przyszłość Polski na kartę żydów. W Polsce bowiem istnieją faktycznie dwie świadomości polityczne: polska i żydowska. Kto nie stawia na los Polski, musi - chce czy nie chce - robić politykę żydowską. Wszystkie zaś wyżejpomienione warunki sumowały się na wspólnym mianowniku - związków wolnomularskich. Była to ekspozytura polska Mocarstwa Anonimowego.

Póki Polska była w rozbiorach, mocarstwo to nie bardzo się nią zajmowało, pilnowało tylko, aby nikt w Polsce sprawy zjednoczenia jej z powrotem na serio nie poruszał. Ale od czasu wojny japońsko-rosyjskiej wobec widocznego osłabienia się stosunków rosyjsko-niemieckich, zainteresowanie sprawą polską nagle tam się ożywiło. Widzieliśmy, co się działo przed samą wojną na polu walk o "orientację", potem w czasie wojny z akcją pacyfikacyjną, jaka była walka o stanowisko Komitetu Narodowego, co robili na kongresie pokojowym żydzi z Lloydem Georgem na czele, aby Polskę okroić i słabą uczynić. Cała ta akcja wlała się szeroką falą do bardzo wątłej jeszcze nowej Polski. Gdy naród Bogu dzięki składał i onieśmielony wielkością zadań do pracy się zbierał, wtargnęły do kraju zorganizowane szeregi wykonawców zgóry nakreślonego planu, aby nie dopuścić "nacjonalistów" do kierownictwa tej pracy. Zaskoczony ogół patriotyczny, pełen wiary w dobroć natury polskiej z wielką naiwnością patrzył na zabiegi nieznanych sobie dotąd w świetle dziennym działaczy. Historyk tych pierwszych lat odradzającej się Polski będzie miał trudne przed sobą zadanie ze względu właśnie na tę dwuznaczność życia publicznego. Działy się rzeczy podwójnym torem. Dla nas, cośmy już przed wojną widzieli, że do Polski zmierzamy bez możności porozumienia się, rzeczywistość powojenna nie była niespodzianką, ale tym więcej budziła niepokoju, żeśmy ją rozumieli. W sfe-

rze górnej społeczeństwa,powołanej do formowania narodowi jaźni dziejotwórczej,zarysowały się wyraźnie dwa obozy z wręcz odmienną metodą myślenia o stosunku swoim do sprawy.

Był obóz narodowy,złożony z ludzi,którzy dążyli w świtającą przyszłość jedynie w tym celu,aby b y ł a Polska i to jak największa i najmocniejsza;obok zaś działały czynniki różnorodne,złączone jedynie tym celem,aby zawładnąć rządami w Polsce i tę Polskę eksploatować w swoich widokach.Siły obozów były prawie równe,dlatego w parlamencie nie można było uzyskać większości.Wszystko układało się tak,że jedynym wyjściem mogła być tylko wojna domowa.Tutaj jednak przewagę miał już od początku obóz Piłsudskiego,mający oparcie w kadrach już przed wojną,w tym celu sformowanych i przez Radę Regencyjną zawczasu wyposażony.Usłużna masoneria państw koalicyjnych przytrzymała umyślnie armię Hallera za granicą,zniszczyła przy pomocy Rady Regencyjnej armię Dowbora-Muśnickiego.Piłsudski załatwił się szybko z formacją Hallerowską i stał się panem sytuacji.Przewrót majowy 1926r.wykończył dzieło okupacji.

Walka tedy toczyła się już tylko o duszę narodu,o prawdę,o ideę. Terenem jej był Sejm,prasa,sądy.Szeroki ogół,źle przygotowany do życia publicznego,nie zdawałby sobie sprawy z tragiczności losów Polski,gdyby nie sporadyczne wypadki rozpaczy jednostek patriotycznych, które błyskawicą czynu symbolicznego oświetlały ponure pole zdławionego kłamstwem życia.W tym sensie rozumieć trzeba takie wypadki, rozstrząsane w procesach sądowych,jak postępki:Niewiadomskiego w r.1922 i późniejszy Doboszyńskiego.

~~Jed~~ Jednym z najważniejszych źródeł historycznych dla dziejopisa tych czasów były akty procesów politycznych,które tymi czasy w Polsce się toczyły.

9. PROCESY.

W poprzednich rozdziałach miałem już sposobność wymienić kilka razy nazwisko Aleksandra Robertowicza Lednickiego. Adwokat moskiewski rodem z Mińska Litewskiego, jako poseł do Dumy, członek klubu rosyjskich "kadetów", człowiek nie umiejący określić swojej narodowości, faktyczny judofil /obrońca Bajlisa - "my Rosjanie" - mówił o sobie/, jak wiedzieliśmy, współpracujący z żydami lwoskiemi przed wojną w akcji militarnej Piłsudskiego przeciwko Rosji, w czasie wojny walczący - jako Polak - z ideą Komitetu Narodowego, pośredniczący w sprawie pokoju seperatywnego Rosji z Niemcami, współpracownik Kiereńskiego, minister rosyjski do spraw polskich, komisarz do spraw polskich przy bolszewikach i t.d. - kiedy powstała Polska, zjawił się w Warszawie pod koniec 1919r. i tutaj zaczął odgrywać rolę opatrznościowego wskrzesiciela Polski. i opiekuna. Mówiono, że zostanie wkrótce ambasadorem Polski w Berlinie, do czego kwalifikowały go dobre stosunki z Lerchenfeldem, no i zasługi maklerskie podczas wojny.

Widok tego już nie dwuznacznego, ale chyba czwórznacznego działacza, kręcącego się koło rządu polskiego, wzburzył mnie. Postanowiłem wywołać skandal, bo to byłaby jedyna możność zdemaskowania. Trzeba było ujawnić, kimjest Lednicki, aby wstydzono się stosunków z tym "kombinatorem".

W dn. 20 stycznia 1920r. ogłosiłem w "Gazecie Warszawskiej" wezwanie pod adresem ministerium sprawiedliwości, aby nie pozwoliło udzielić Lednickiemu paszportu zagranicznego, jest on bowiem oskarżony przez opinię publiczną o zdradę stanu, popełnioną podczas wojny. Lednicki wybierał się właśnie do Włoch, niewątpliwie w celu zetknięcia się w Mediolanie z przyjacielem politycznym Toeplitzem. Lednicki wniósł skargę do sądu okręgowego w Warszawie 11 lutego, doręczono mi ją 12 marca. Zaofiarowałem dowód prawdy, powołując się na 25 świadków. Lednicki zacytował 84 swoich świadków. Śledztwo ciągnęło się cztery lata. Rozprawa sądowa trwała 13 dni - od 28 stycznia do 11 lutego 1924r. Sąd okręgowy u n i e w i n n i ł mnie. Motywy wyroku ogło-

nego 27 czerwca 1924 r.

Przebieg tego wielkiego i pożytecznego procesu ogłosiłem w r. 1924 według zapisek stenograficznych w obszernej księdze p.t."Proces Lednickiego".To mnie zwalnia od obszerniejszego traktowania tej sprawy tutaj.

Masoneria była już tak rozzuchwalona,że Lednicki po wyroku zwołał liczną rzeszę przyjaciół do sali w hotelu Bristol w celu zaprotestowania przeciwko wyrokowi.Opinia wiedziała już,co ma myśleć o tym proteście.Masoneria była odtąd zdemaskowana,Lednicki załamał si w swojej karierze.Wyroki późniejsze Sądu Apelacyjnego,a wreszcie Najwyższego nie mogły zatrzeć tego,co już było ujawnione w pierwszej instancji.Świat polityczny odsunął się od Lednickiego.Skończył życie w kilka lat potem jako człowiek prywatny w sposób tragiczny, w taki sam sposób jak bohater powieści Wybranowskiego "Dziedzictwo" mason Kulmer.Rozprawa w Sądzie Apelacyjnym toczyła się od 6 do 14 kwietnia1925r.Wyrok potępił mnie.Sąd w motywach wyroku /ogłoszonych 14 maja/ zajął stanowisko,że podczas wojny nie było jeszcze Polski, więc o zdradzie wobec niej nie może być mowy.1/

W tymże roku odbyła się rozprawa w Sądzie Najwyższym.Mam przed sobą notatkę,wyciętą z "Gazety Warszawskiej" z10 listopada 1925r.- zapowiadającą posiedzenie Sądu Najwyższego.Kończy się słowami:"Sprawa ta od 5 lat żywo interesuje społeczeństwo polskie.Postawiona była zasadniczo jako pytanie moralności publicznej:c z y o b y w a t e l m o ż e r o b i ć z P o l s k ą c o m u s i ę p o d o b a, c z y n i e?.Opinia czeka w tej mierze orzeczenia Sądu Najwyższego".Sąd zatwierdził wyrok Sądu Apelacyjnego,umorzając karę z powodu amnestii,a w motywach oparł się na zasadzie relatywizmu filozoficznego,czyniąc z d z i a ł a l n o ś c i Lednickiego i mojej sprawę rozbieżności p o g l ą d ó w ,nie upoważniającą do obrażania przeciwnika.

Zasada powyższa nie była stosowana w naszym życiu publicznym. Rozbieżność "poglądów" opozycji z regime'm nie była bynajmniej res-

pektowana.Zanimdoszło w r.1926 do represji ze strony cenzury,represji nie znanych nam w czasach rozbiorów,nękano prasę narodową procesami.

Żeby dać pojęcie,w jakich warunkach pracowało się w młodym państwie,przytoczę urywki ze swego artykułu,ogłoszonego w "Gazecie Warszawskiej" w dn.7 kwietnia 1920r. z powodu sprawy,wytoczonej mi przez ministra pracy /Iwanowskiego w gabinecie Paderewskiego/.Pisałem tam:

"Wielką przeszkodą w pracy redaktorskiej są ustawiczne procesy,którymi młode państwo polskie ściga prasę jakby za każdym razem dziwiło się,że mogą być czynione jakiekolwiek zarzuty niesprawności jego aparatu.

Prawda,robi to wrażenie narazie,że sądownictwo ze wszystkich wydziałów pracy państwowej działa najsprawniej;ale z drugiej strony prasa,znając wskroś stosunki,za każdym procesem się dziwi,że z punktu obserwacyjnego władz najgorszą opinię ze wszystkich dziedzin społecznych ma ona,prasa,uważana widocznie za coś,co przeszkadza panstwu.Zwłaszcza zdziwienie ogarniać może "Gazetę Warszawską",której nie podobna przecież ze stanowiska państwowego pomawiać o nieprawomyślność,lub niechęć w stosunku do spraw budownictwa panstwowego."Gazeta Warszawska" jest organem ideowym,który prowadził i prowadzi społeczeństwo po linii przeznaczenia dziejowego,aby Polska była nie tylko formalnie państwem, ale panstwem silnym i poważnym...

Na wiosnę r.1920 -trzeba to zapisać dla historii -redaktor "Gazety Warszawskiej" miał wiszących w sądzie spraw przeciwko sobie siedem.

Oto przykład...

W dn.26 czerwca r.1919 w artykule wstępnym "Palące zagadnienie",poświęconym sprawie grożącego Polsce głodu i sposobom ratunku,a napisanym przez wybitną osobistość,znającą doskonale stosunki w ówczesnym rządzie,znalazło się gorzkie napomnienie pod adresem władz.Przechodziliśmy ciągłe wstrząśnienia.Wypadki,

które zaszły 3 lipca, czuć już było w powietrzu, nadchodziła fala strajków polnych.

"Jakie stanowisko zajmą wobec tego nasze władze? - pytał autor. Czy takie jak dotychczas, gdy ministerium spraw wewnętrznych traktuje sprawę strajków z całkowitą obojętnością, agenci zaś takzwanego ministerium ochrony pracy w miarę sił i możności pracują nad pogłębieniem anarchii i fermentu?"

Na to w dn. 15 lipca otrzymaliśmy z ministerium pracy pismo, w którym "żąda od redakcji "Gaz. Warsz."listy imiennej agentów ministerium, którzy pracują nad pogłębieniem anarchii i fermentu z dokładnym wskazaniem faktów" i t.d. W przeciwnym razie ministerium zapowiada proces.

Ponieważ nie mogliśmy mieć do tego ministerium zaufania, że z listy naszej i faktów zrobi należyty użytek, więc oczekiwaliśmy owego procesu, aby publicznie tę listę i fakty przedstawić. Dopiero w tym roku sprawa dojrzała do protokółu u sędziego śledczego. Redaktor zgłosił gotowość złożenia dowodów na sądzie, wzięto od niego zobowiązanie, że się nie wydali z miasta i t.d.

I tu rodzi się pytanie, po co było niepokoić zapracowanego redaktora, skoro kierownik ministerium odrazu wiedział /względnie powinien był wiedzieć/, że ma u siebie urzędników bolszewików i że ministerium odegrało skandaliczną rolę w sprawie szerzenia zamętu w kraju.

W dn. 17 lipca 1919r., zanim p. minister oddał sprawę do sądu, aby ukarać "Gazetę Warszawską", poseł ks. Kaczyński w Sejmie wygłosił druzgocącą przeciwko min. pracy mowę, gdzie wymienił przestępstwa urzędników i nazwiska. Urzędnicy ci dotychczas bądź dostali się już do więzienia za działalność bolszewicką, bądź ścigani są listami gończymi. Pan Warszawski, należący do zarządu organizacji komunistycznej, urzędnik ministerium, puszczony został teraz z więzienia, ponieważ "okazało się", że jest tylko "teoretykiem" bolszewizmu...

Niechże redaktor dziennika, który ostrzega przed bolszewikami, korzysta przynajmniej z takiego przywileju, aby zgóry uznany był za "teoretyka", któremu nie grozi więzienie za to, że wskazuje na tragiczny los społeczeństwa, rujnowanego rękami urzędników państwowych. Tymczasem p. minister nastawał na ukaranie go za to więzieniem.

Sprawę tę już w ostatniej chwili umorzono. Zbyt sensacyjny byłby proces. A szkoda. Opinia publiczna wiele rzeczy ciekawych dowiedziałaby się z sądu.

Dowiedziałaby się między innymi - przytoczymy to dla przykładu - że związki zawodowe robotników oparte są w Polsce na statucie, którego art. 4 opiewa:

> "Zgodnie z całym świadomym proletariatem Związek dąży do *uspołecznienia środków produkcji i wymiany*. W całej swej działalności Związek kieruje się *zasadami walki klas*".

Statut ten zarejestrowany został urzędownie w dn. 14 lipca 1919 r., jak to stwierdza na każdym egzemplarzu książeczki członkowskiej Związku szef sekcji, główny inspektor pracy p. F. Sokal.

A więc w tym lipcu 1919 r., który się zaczął 3-go krwawymi zajściami, wywołanymi przez "teoretyków" bolszewizmu, 14-go rejestruje się urzędownie bolszewicką ustawę związków, 15-go wysyła się groźny list do "Gazety Warsz.", 17-go minister pracy wysłuchuje mowy ks. Kaczyńskiego, a wreszcie oddaje sprawę prokuratorowi, aby ścigał redaktora "Gazety Warszaw", który śmiał rzucić podejrzenie na urzędników ministerium.

Takie traktowanie spraw publicznych nie jest poważne. Minister, załatwiający się ze sprawami tak tragicznymi, jak lekkomyślnie lub zbrodniczo zadawane społeczeństwu rany, w ten sposób, że straszy prasę, zapobiegającą katastrofie narodowej, sądami, zasługuje sam na pociągnięcie do odpowiedzialności, jeżeli nie za swoje nieetyczne stanowisko, to przynajmniej za naduży-

wanie sądownictwa dla osobistej satysfakcji.

Nie wymieniamy nazwiska ówczesnego ministra,bo nawet go się nie pamięta - jakiś przechodzień.Chcemy tylko zaznaczyć typowe zjawisko.Takie niewłaściwe kierowanie ręki karzącej przez ministra jest dowodem niskiego poziomu naszej etyki społecznej i parweniuszostwa wyniesionych na urzędy działaczy.Ludzi,dostających się na wybitne stanowiska przypadkiem,z byle klucza partyjnego,niestać na zorientowanie się,że sama rzecz, w prasie omawiana,zasługuje w interesie dobra publicznego na rozwagę i załatwienie.Znajdując łatwe wyjście w pieniactwie,czepiającym się byle formalnego załatwienia,popisują się swoją władzą.A nie przyjdzie im do głowy,że redaktor pisma jest również urzędem publicznym i nie raz od nich poważniejszym osobiście,że jego kwalifikacje zdobyte są nie kluczem przypadkowym,lecz zasługą i talentem i że korzystniej byłoby nieraz zapytać go o zdanie, niż dążyć do osadzenia go w więzieniu za to,że ośmiela się coś wiedzieć nieurzędownie."

Niewątpliwie mógłbym uniknąć osobistej odpowiedzialności karnej, gdybym się zgodził na zastosowanie fikcji prawnej w osobie "redaktora odpowiedzialnego" /od kozy/.Mógłby nim być np.woźny i onby szedł do kozy w razie niepomyślnego wyroku.Wydawał mi się ten wybieg czymś niemoralnym,ubliżającym powadze zawodu dziennikarskiego.Pewną jednak naiwnością z mojej strony było,ujawnioną już w powyższym artykule,że liczyłem trochę na respekt ze strony przeciwnika do mojej osoby.Ukarany zostałem za to przez p.Artura Śliwińskiego,który mi wytoczył sprawę w r.1923 za to,że nie doceniłem szlachetności jego akcji żałobnej po śmierci prezydenta Narutowicza.

Tło tego procesu ma wagę większą niż sam proces.Jak to było? Śmierć Narutowicza nastąpiła 16 grudnia 1922,stracenie Niewiadomskiego na Cytadeli - 31 stycznia 1923r.Głęboko odczułem to straszne zdarzenie,widząc w nim tragiczny epizod dziejów.W dniu stracenia wypadło mi

napisać w "Gazecie Warszawskiej" nekrolog Niewiadomskiego.Przytoczę zakończenie:

" Czyn,za który spotkała Niewiadomskiego straszna kara, był katastrofą.Nie mniej sam typ duchowy,jaki ujawnił się przy tej sposobności,obudzić musi podziw skończonością silnej struktury i gotowością do poświęceń.Obojętnych nawet dotąd wyznawców imienia Polski zastanowić musiał widok stanu psychicznego,w którym interes jednostki zupełnie poddany wyższej psychice narodowej.Pod tym względem mowy jego na procesie pozostaną nietylko dokumentem historycznym chwili politycznej,ale pomnikiem człowieka wielkiego charakteru.

Nie będę słów jego tu przypominać,dla charakterystyki jednak przytoczę urywek listu jego,tak bardzo przypominającego naukę Mickiewicza:

"To,na co patrzą oczy nasze - pisze Niewiadomski- nie jest jeszcze Polską.Nie o takiej śniły wielkie serca poetów naszych,nie za taką cierpiały,walczyły i ginęły pokolenia.To jest jeszcze ta Polska,na którą rozwarły się straszliwe oczy królewskiego upiora Kazimierza,nieśmiertelna wizja ostatniego z naszych proroków.Naród polski do głosu w niej jeszcze nie doszedł.

" Polskę prawdziwą trzeba dopiero zdobyć i zbudować. W walce o nią niech się hartuje duch pokolenia.Od udziału w tej walce nie uwalnia nikogo wiek,ani stanowisko społeczne,ani przynależność lub nieprzynależność do partii.

" Trzeba ją zacząć od zwycięstwa nad sobą,od pokonania własnej słabości.Walczący o ideę narodową muszą wykazać nietylko energię,rozwagę i zdolność do czynu twórczego,ale także i - nieodzownie- wielkość ducha, t.j.to,czego najbardziej brakuje ich przeciwnikom.

Nie będąc nigdy w stanie dorównać tamtym w przewrotności,niech bronią idei siłą oręża takiego,którego wielkość i piękno będzie zdobywać dusze i zwyciężać w nich wszelkie trucizny.

" W czynach,z mocy ducha płynących,utajona jest potęga straszliwa.Słowa są potrzebne,ale nie trzeba ich przeceniać.Zwycięża ostatecznie czyn twórczy,albo świadoma siebie i celu ofiara.

" Wszyscy jesteśmy do niej zdolni,tylko nie znamy siebie.Nie wiemy,jakie siły drzemią w nas utajone i jak je łatwo wyzwolić.Duch polski zawiera w sobie skarby nieznane i nieprzebrane.

" Niech nie marnieją. Każdy z nas ma w sobie wielkie i nieznane "Ja".Niech z wiarą wstępuje w głąb i szuka własnej mocy.

" Idea narodowa,żeby zwyciężać,musi być wielka.Wielka będzie o tyle,o ile mieścić ją będą wielkie serca."

Dlatego na początku mówiłem o tragiźmie.Dziecko polskie, które za lat sto czytać będzie te słowa,z trudem pojmie prawdę historyczną,że człowiek tych poglądów,uczuć i cech charakteru został stracony we własnej ojczyźnie z wolą jej państwa i z jego własną.Na tym właśnie tragizm polega.

Ale to dziecko zobaczy w świetle dalszych zdarzeń,że czyn patriotyczny wiele ma dróg przed sobą i że zabójstwa, słusznie przez prawo tępione,są zdarzeniem w rozwoju życia narodowego wyjątkowym i nawet przez tych,którzy je popełnili, nie są podnoszone do znaczenia zasady,a że natomiast ofiara jest zasadą życia.

Społeczeństwo nie może przechodzić koło grobów,jak te, bez wielkiego wzruszenia,całe bowiem bierze udział w tragedii. Cząstką jego duszy zbiorowej jest to,co powołuje jednostkę do ofiary.Na taką jednostkę składa się wiekowa kultura narodu.

rodu.Oprócz zdrowego instynktu naród musi mieć wielkich myślicieli,aby dorobić się z czasem ludzi,którzy potrafią postępowanie uzasadnić filozoficznym przeświadczeniem,ideą.Przed Mickiewiczem wieszczącym mieliśmy Józefa Gołuchowskiego,który sto lat temu w rozprawie o "Filozofii w stosunku do życia całych narodów i oddzielnych ludzi" robił istne rewelacje w dziedzinie psychologii ducha narodowego.

Z tą psychologią,chcąc rozumieć naród,trzeba się liczyć i nie liczyć na to,że naród,mający za sobą własną filozofię życia,wcieloną w jednostki można przerabiać w dowolnych eksperymentach.Literatura filozoficzna całego świata - jak nas uczą historycy,nie zna wspanialszej teorii o znaczeniu idei dla życia zbiorowego.

Państwo,zdaniem Gołuchowskiego - potrzebuje dla swej żywotności wielkich idei.Taką ideą - jest idea narodowa.Życie samo jest najwyższym faktem faktów,a uświadomione,wypromieniowane ideą życie narodowe jest najszczytniejszą tego faktu koroną.Najważniejszym zadaniem państwa jest obudzenie wielkich duchów,wielkich charakterów.

W przeciwieństwie do pesymizmu Schopenhauera filozofia polska znajduje tedy wyjście ku wiecznemu słońcu życia.Nie zagłada jest zasadą,lecz triumf ducha poprzez tragedię zagłady."Triumfem dusz wielkich jest zgon bohaterski" - uczy Gołuchowski.I dodaje:

"Naród,w którym tragedia już nie żyje,przestał już w idei istnieć i jest tylko czczym zjawiskiem.Jego dzieje już się skończyły,jego życie jest igraszką,potrzeba mu jedynie chleba i widowisk.Naród zaś zdolny do polotu tragicznego,zginąć nie może,jego życie tli nawet pod popiołem."

Ta myśl,leżąca w podstawach kultury narodu,ta wiara w wyzwolenie daje spokój jego duszy i możliwość nieobliczalnego wysiłku bohaterskiego.Ona mu daje dar entuzjazmu i wytrwa-

nia,i moralną potrzebę wyrażania podziwu i wdzięczności tym, którzy faktowi życia narodu w idei dali świadectwo swoją ofiarą.

Narutowicza raz tylko w życiu widziałem,gdy jako nowy minister spraw zagranicznych na parę miesięcy przed śmiercią ukazał się na konferencji prasowej i parę słów przemówił.Nikt go zresztą w Polsce nie znał,oprócz tych w obozie Piłsudskiego,którzy z jego usług,jako pośrednika między kolonią polską w Ameryce a organizacją socjalistyczną we Lwowie,korzystali.Nie znali go nawet rodacy nasi dłużej w Zurychu przebywający,Narutowicz bowiem nie brał udziału w życiu kolonii polskiej.Był obywatelem szwajcarskim,widocznie jednak uważał się za Polaka,skoro tak odpowiedzialne stanowisko w Polsce z rąk Piłsudskiego przyjął.Brat jego Stanisław,mój kolega z uniwersytetu,uważał się po wojnie za Litwina.

Piłsudski,znając jego poczciwość i uległość,upatrzył go na prezydenta.Kandydaturę tę zwalczano nie ze względów osobistych,bo w Zgromadzeniu narodowym nikt go nie znał,lecz z tego powodu,że opinia narodowa miała bardzo poważne,uzasadnione interesem państwa motywy,aby prezydentem został ogólnie znany Maurycy Zamoyski reprezentant najlepszych w kraju rodowych tradycji,pełen dostojeństwa i poczucia obywatelskości polityk.Niestety wyborami tak pokierowano,że kilkoma głosami Żydów Narutowicz zyskał większość.Nie zrozumiał swej sytuacji i wybór przyjął.

O wyniku wyborów zadecydować miało stanowisko stronnictwa ludowego.Stojący na jego czele Wincenty Witos,znany mi dobrze z czasów lwowskich,nosił jeszcze uniform chłopa galicyjskiego /buty z cholewami, koszula bez krawata/,ale tradycyj jego politycznych się wyzbywał,szybko dojrzewając do roli polskiego męża stanu.Niestety,jednak nie przewidział skutków,gdy ulegając presji Piłsudskiego,przystał na kompromis, na mocy którego odstąpił szereg mandatów ludziom z organizacji tajnej Piłsudskiego.W ostatniej chwili w dniu wyborów prezydenta nad opinią klubu Witosa zapanowali tacy działacze,jak Miedziński i Polakiewicz

i przy pomocy innych członków klubu,związanych z masonerią,przekonali chłopów w sposób demagogiczny,że nie wypada im głosować na hrabiego, magnata i obszarnika.

Znaczną rolę odegrał tutaj Żyd Hemerling,reemigrant amerykański. Wydalony ze Stanów Zjednoczonych za współdziałanie w czasie wojny z Niemcami,przybył do Polski z dolarami i z ambitnymi planami kariery politycznej.Znalazł miejsce wśród ludowców.Tak tedy klub stronnictwa ludowego,którym zaopiekowali się piłsudczycy,po długich sporach,wszedł na salę obrad Zgromadzenia Narodowego już podczas głosowania i rzucił kartki przeciwko Zamoyskiemu.Nie uświadomiono sobie,że nie zawsze wolno robić kompromisy,nie wzięto do serca,że chodzi w tej sprawie o dobro Polski.

Oczywiście w interesie obozu masońskiego leżało,aby z tej strasznej katastrowy,jaka była śmierć tych ludzi,nie pozostał w kraju jakikolwiek morał ideowy.Usiłowano zrobić z niej zbrodnię mordu politycznego,w której Niewiadomski byłby tylko narzędziem obozu narodowego.Robiono to pomimo wyraźnego stwierdzenia przez sąd,że Niewiadomski wspólników nie miał,pomimo oświadczeń prasy narodowej.Na nic się zdały wezwania,aby się zachowywano ciszej koło trumny Narutowicza;przeciwnie - trumna ta stała się codziennie stosowanym w walce politycznej środkiem.

Gdy namiętności już się uspokajały,wtedy masoneria w początkach września 1923r.zwołał do Warszawy wielki zjazd delegatów w celu obmyślenia środków trwałego kultu pamięci Narutowicza.Zrobione to było przy nieprzyzwoitych fanfarach prasy lewicowej i koserwatywnej,a niewspółmierność motywów demagogicznych do tragedii,która się stała,była tak obrzydliwa,że opinia publiczna musiała zareagować.W "Gazecie Warszaws." pojawił się artykulik,nie pomnę przez kogo napisany,surowo nietaktowność karcący.Tytuł jego:"Prowokacja i szantaż" stał się przedmiotem skargi sądowej przeciwko mnie jako redaktorowi.Zbliżył się właśnie termin rozpraw w wielkim procesie z Lednickim.Postanowiono mnie osaczyć.

Od samego procesu mojego bardziej interesującą kwestią będzie dla historii geneza jego,dlatego zatrzymuję się dłużej nad tym zdarzeniem.

Oto parę szczegółów.Członkami komisji organizacyjnej owego klubu

zjazdu byli:Antoni Anusz,Aleks.Babiański,Budzyńska-Tylicka,Wacław Cywiński,min.Jerzy Iwanowski,Al,Lednicki,Stan.K.Ostrowski,dr.Rafał Radziwiłłowicz,Artur Śliwiński,Andrzej Strug,Ludwik Tołłoczko.

Na zjeździe w dn.10 czerwca 1923r.przewodniczył Artur Śliwiński. Zaprosił on do honorowego prezydium Rataja,ministrów Raczkiewicza i Studzinskiego,poza tym Thugutta,Wędziagolskiego,Bruśnickiego z Kalisza,prof.Odrowąż-Wysockiego.Pan Cywiński był referentem projektów, w jaki sposób uczcić pamięć:1/ sarkofag ze spiżu w katedrze,2/budowa bursy im.Narutowicza,3/ broszura i księga pamiątkowa.

Utworzono szereg sekcji.Do wykonawczej weszli:jako przewodniczący:Śliwiński,Tołłoczko,Skulski,Cywiński,Kumaniecki.Do sekcji finansowej:Babiański /przew./,Zbąszewski /zast./,St.Dziewulski,Ocetkiewicz Woyno.Do sekcji artystycznej:Bertoni,Ostrowski,Rzecki,Stankiewiczówna,Szczyglinski,Zelwerowicz,Zbąszewski.Do sekcji budowlanej:Bartel, Cywiński,Jabłoński,Lalewicz,Ponikowski,Skulski,Tołłoczko.Do sekcji prasowej:Giełżyński,Hołówko,Kodisowa,Kosmowska,Śliwiński,Strug,Leon Wasilewski /min./.Do sekcji propagandy prowincjonalnej:Anusz,Bączkiewicz,Budzynska-Tylicka,Chadzyński,Dąmbski,Erdman,Hausner,Mleczko, Sujkowski A.,T.Szpotański,Thugutt,Wilkoński...

Radziwiłłowicz postawił wniosek,aby zebrać zebrany fundusz funduszem ekspiacyjnym.Ale to nie przeszło.

Prezydium wydziału wykonawczego w dn.6 września 1923 w osobach: Śliwiński,Cywiński,Babiański,Kumaniecki,Skulski,Tołłoczko,"uprosili" przewodniczącego Śliwińskiego,aby osobiście jako obrażony wytoczył proces redaktorowi "Gazety Warszawskiej" z powodu artykułu,o którym wyżej.Posłuszny tej woli Śliwiński,wystąpił na arenę sądową jako mój pogromca.Człowiek ten nie mógł się całe życie zdecydować,czy ma historię robić,czy tylko ją pisać.Był nawet premierem,ale tylko dziewięć dni /1922r./ Chciał być popularnym dzięki Narutowiczowi; popularnym był historykiem ze względu na dylatancki charakter pracy. Kończyło się na tym,że był tylko popularny ze swej niepopularności.

Przytoczyłemszereg nazwisk /wszystko to w randze ministrów i mistrzów loży./,dla zilustrowania tym bukietem,jak wyglądała naszą wiosną polityczna w tym bujnym zakwieceniu niwy,którą mieliśmy uprawiać.W zestawieniu z nazwiskami,które wydobył na jaw proces Lednickiego,otrzymamy rodzaj katalogu masonerii polskiej,która dobrała się do rządów.Trzeba jeno ten bukiet uzupełnić kwieciem nazwisk Rządu Lubelskiego...

Sama sprawa sądowa jako przygoda osobista wobec tego tła historycznego nie jest tak ważna,abym miał opisywać jej przebieg.Musiałem ją przegrać,pomimo,że artykuł był przedrukiem.Zachowałem tekst przemówienia,które w obronie swojej wygłosiłem.Zająłem uwagę sądu analizą m e r i t u m sprawy jako zamachu na opinię publiczną.Sąd jednak uznał,że nie wchodząc w treść sprawy zająć się musi tylko stroną formalną,mianowicie obraźliwością słów w tytule artykułu,które pan Śliwiński wziąć miał prawo do siebie.Sprowadzono rzecz na poziom t.zw. w gwarze sądów grodzkich "pyskówki" i skazano mnie na tydzień aresztu. Nie pomogły apelacje - odsiedziałem karę w celi na Daniłowiczowskiej. Państwo znalazło wreszcie dla mnie sposób odznaczenia.

10. W "GAZECIE WARSZAWSKIEJ"/do r.1925/

"Myśl Narodowa"/1925 - 1939/

W powietrzu istotnie zalatywało co krok odorem zamachu. Trudno było Piłsudskiemu utrzymać w równowadze dwa czynne obozy, gdy życie samo domagało się przewagi kierunku narodowego. W polityce ówczesnej rządu wszystko było na drugim planie wobec hasła, aby za żadną cenę obóz narodowy nie zyskał przewagi. Im więcej mnożyło się takich objawów, jak kadydatura Zamoyskiego, albo możliwość wejścia Dmowskiego do rządu, tym głośniej było od zapowiedzi zamachu. Dla przykładu przytoczę dokument, który zachowałem w tece redakcyjnej. Jest to odpis raportu, złożonego w wojewódzkim urzędzie śledczym w Nowogródku z października 1923r. i zakomunikowanego również ministrowi spraw wewnętrznych. Brzmi on tak:

"Po wyborach ostatnich do Sejmu, stronnictwa lewicowe za wszelką cenę chciały zatrzymać na stanowisku Naczelnika Państwa Marszałka Piłsudskiego, ofiarowując mu nawet w tym celu pomoc zbrojną. Marszałek Piłsudski ze względu na ówczesne stosunki i możliwość wstrząśnienia organizmu państwowego na to się nie zgodził, motywując ustąpienie chęcią odpoczynku. Po uformowaniu się Sejmu i zabiciu Prezydenta Narutowicza, stronnictwa lewicowe spostrzegły się, do czego dąży prawica, przeto postanowiły za wszelką cenę zwalczać zakusy jej i w tym celu po długich pertaktacjach w swoim łonie wyłoniły Komitet "Związku Obrony Wolności", w skład którego weszli posłowie: Moraczewski, Daszyński, Barlicki, Malinowski, Hołowacz i kilku innych, nieznanych mi z nazwisk. Ów konspiracyjny komitet miał za zadanie wprowadzić w czyn, ogłoszone przez lewicę hasła i zaczął się przygotowywać do faktycznego urzeczywistnienia w sprzyjających okolicznościach swych celów przez: agitację, formowanie oraz kształcenie oddanych sobie ludzi w bojówkach. Wszelkie organizacje socjalistyczno-bojowe, poprzednio już istniejące, zostały poddane uprzednio kierownictwu dawnego związku "P.O.W.", który przekształcał się w "Związek Obrony Wolności" i w następstwie, jako taki,

kierował istniejącym Związkiem Strzeleckim. Zaznaczam, że każda komenda związku "Obrony Wolności" i Związku Strzeleckiego posiada dużo broni palnej i materiałów wybuchowych, przeważnie w domach zdemobilizowanych oficerów, należących do wspomnianych związków. Członkami związku "Obrony Wolności" są przeważnie byli wojskowi z legionów Piłsudskiego, jak również członkowie bojówek socjalistycznych. Najliczniejszymi bojówkami "Związku Obrony Wolności" są bojówki warszawskie i krakowskie, uzbrojone nawet w karabiny maszynowe, lekką artylerię i granaty ręczne, przechowywane przeważnie w lokalach fabrycznych i prywatnych mieszkaniach członków "Związku Obrony Wolności". Moralnym kierownikiem tych związków była jest Marszałek Pisudski, lecz czynnie nie występuje. W czasie przesilenia rządu Sikorskiego, po długich naradach w łonie komitetu związku "Obrony Wolności", wydelegowano do Marszałka Piłsudskiego delegację nie znaną mi z nazwisk, która przedstawiła mu konieczność czynnego wystąpienia ze względu na ówczesną sytuację polityczną wewnętrzną i zewnętrzną, oraz przedłożyła pewnego rodzaju ultimatum pod jego adresem a mianowicie: że gdyby się nie zgodził objąć kierownictwa nad akcją związków - to oni sami bez niego przeprowadzą swoje plany i zamierzenia. Postulaty tego ultimatum były następujące:

1/ Zmiana systemu administracyjnego przez wprowadzenie systemu rad;

2/ socjalizacja dóbr i lasów, czyli t.zw. upaństwowienie tychże i natychmiastowe wykonanie ustawy o reformie rolnej;

3/ Oddzielenie Kościoła od Państwa, upaństwowienie dóbr kościelnych, zmilitaryzowanie duchownych wszystkich wyznań oraz wydalenie z Polski wszystkich zakonów duchownych nie humanitarnych

4/ Autonomia dla Białorusi i Ukrainy, oraz obrócenie wszystkich dotychczas pobranych podatków z tychże terenów przeważnie na szkolnictwo;

5/ Powszechna służba wojskowa, a raczej t.zw. milicja ludowa,

kierował istniejącym Związkiem Strzeleckim. Zaznaczam, że każde komendy związku "Obrony Wolności" i Związku Strzeleckiego posiada dużo broni ręcznej i materiałów wybuchowych, przeważnie w domach zdemobilizowanych oficerów, należących do wspomnianych związków. Członkami związku "Obrony Wolności" są przeważnie byli wojskowi z Legionów Piłsudskiego, jak również członkowie bojówek socjalistycznych. Najliczniejszymi bojówkami "Związku Obrony Wolności" są bojówki warszawskie i krakowskie, zaopatrzone nawet w karabiny maszynowe, lekką artylerię i granaty ręczne, przechowywane przeważnie w lokalach fabrycznych i prywatnych mieszkaniach członków "Związku Obrony Wolności". Moralnym kierownikiem tych związków był i jest Marszałek Piłsudski, lecz czynnie nie występuje. W czasie prześladowania rządu Sikorskiego, po długich naradach w łonie komitetu związku "Obrony Wolności", wydelegowano do Marszałka Piłsudskiego delegację nie znaną mi z nazwisk, która przedstawiła mu konieczność czynnego wystąpienia ze względu na ówczesną sytuację polityczną wewnętrzną i zewnętrzną, oraz przedłożyła pewnego rodzaju ultimatum pod adresem a mianowicie: że gdyby się nie zgodził objąć kierownictwo nad akcją związków - to oni sami bez niego przeprowadzą swoje plany i zamierzenia. Postulaty tego ultimatum były następujące:

1/ Zmiana systemu administracyjnego przez wprowadzenie systemu rad;

2/ socjalizacja dóbr i lasów, czyli t.zw. upaństwowienie tychże i natychmiastowe wykonanie ustawy o reformie rolnej;

3/ oddzielenie Kościoła od Państwa, upaństwowienie dóbr Kościelnych, zmilitaryzowanie duchownych wszystkich wyznań oraz wydalenie z Polski wszystkich zakonów duchownych nie humanitarnych

4/ Autonomia dla Białorusi i Ukrainy, oraz obrócenie wszystkich dotychczasowych pobranych podatków z tychże terenów przeważnie na szkolnictwo;

5/ Powszechna służba wojskowa, a raczej t.zw. milicja ludowa.

trwająca rok i 8 miesięcy;

6/ Zastąpienie wojewodów i starostów komisarzami rządu, przyczem Policja Państwowa przybrała by nazwę milicji;

7/ Nieprzyjmowanie do urzędów państwowych ludzi,posiadających na własność majątki,względnie jakiś zakład lub warsztat pracy;

Prócz wymienionych tu postulatów były i inne nieznane mi. Wiem nadto ogólnikowo,że była mowa o pogodzeniu się z Litwą. Marszałek Pisudski nie chcąc dopuścić do ewetualnych zaburzeń i anarchii w Państwie widział się zmuszonym przyjąć wspomniane ultimatum i od tego czasu zajął się czynną pracą we wspomnianym kierunku.W obecnej chwili ma miejsce intensywne szkolenie i ćwiczenie członków wspomnianych związków,lecz nie ma mowy o faktycznym wystąpieniu i zamachu stanu,a to ze względu na sytuację międzynarodową,w szczególności ze względu na obawę, by przez wystąpienie lewicy nie skorzystała Rosja Sowiecka ze sposobności,przeprowadzając swoje cele.Dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa komitet "ZWIĄZKU OBRONY WOLNOŚCI" wysłał do Rosji delegację,złożoną z trzech osób,między którymi miał być jakiś senator,która to przy pomocy Dąbala miała pertraktować z rządem Sowietów.Wspomniana delegacja wyjechała do Rosji w czasie otwarcia tam targów.Wszystkie alarmy w prasie i poza nią,o mającym nastąpić zamachu,mają na celu zmęczenie,a w następstwie uśpienie opinii publicznej.Ze względu na stosunki ekonomiczne przewidywane są przez lewicę strajki na tle ekonomicznym,przy sposobności których lewica narazie nie dopuści do zamachu.Przewidywanem jest jednak wykorzystywanie strajków przez komunistów,lecz ci wedle opinii lewicy nie mogą liczyć na powodzenie,ponieważ sama lewica będzie się im t.j.komunistom i ich robocie przeciwstawiać.Lewica po swojej stronie ma następujące oddziały wojskowe:pierwsza,druga,trzecia,czwarta dywizje piechoty,trzy pułki szwoleżerów i jeszcze kilka pułków roz-

maitych rodzajów broni,których numery nie zostały dotychczas przeze mnie stwierdzone;niema natomiast lewica zwolenników w wojskach poznańskich i pomorskich;Górny Śląsk cały oddany lewicy.Wszyscy oficerowie służby czynnej z b.legionów Piłsudskiego i Powiacy są członkami "ZWIAZKU OBRONY WOLNOSCI".Najczynniejszymi oficerami lewicy są oficerowie w II oddziałach sztabu.Jenerał Śmigły-Rydz jest głównym kierownikiem wszystkich sił wojskowych,podlegających komitetowi "ZWIĄZKU OBRONY WOLNOŚCI",natomiast jenerał Sosnkowski obecnie nie ma nic wspólnego z komitetem "Związku Obrony Wolności".Z najniebezpieczniejszych działaczy w tym kierunku,których dotychczas znam osobiście - jest:kapitan Jarecki z II Oddziału Grodno,będący naczelnikiem "Związku Białoruskiego" /"Związek Strzelecki"/,kapitan Sekunda z II Oddziału Wilno,będący konspiracyjnym referentem politycznej prawomyślności urzędników Wileńszczyzny i Nowogródczyzny i zarazem konspiracyjnym kierownikiem związków lewicowych cywilnych.Znam nadto pracujących w "Związku Obrony Wolności":porucznika Burharda,lecz jakie ten zajmuje stanowisko w tym związku - tego narazie nie stwierdziłem i w akcję stronnictw lewicowych ponadto zamieszani są z pośród funkcjonariuszów Policji Państwowej:inspektor Grabowski,komisarz Kotlarewicz i inni,których nazwisk dotąd nie znam .Na końcu tego raportu nadmieniam,że powyższe dane są w skróceniu podanemi wynikami mojego tygodniowego wywiadu,szczegółowych zaś danych udzielić mogę tylko ustnie.

16/X 1923rok."

Nie piszę historii,jeno- jak mówiłem - c u r s u m v i t a e. Wszelako sprawy publiczne tego rodzaju należały do rzędu głębokich przeżyć osobistych.Nie sposób też pominąć wrażeń z dziedziny życia gospodarczo-finansowego kraju.Dla rozweselenia przytoczę parę faktów humorystycznych.Okres inflacji marki polskiej naogół ludność lepiej znosiła i weselej,niż późniejszy,gdy Wł.Grabski złotówkę zmuszał n a

serio traktować i pociągał ~~xxxxxxxxxx~~.do ofiar.

Przyjaciel mój Roman Sochaczewski,gdym u niego gościł w Wiśle pewnwj wiosny,pokazywał mi rachunek Niemki z Ustronia.Oto pies Sochaczewskich Zbój,puszczony na noc z łańcucha powędrował do Ustronia pewno w celach romansowych i przy sposobności,zakradłszy się do śpiżarni owej Niemki,podjadł sobie.Policzyła sobie za zjedzoną kiełbasę m i l i o n t r z y s t a t y s i ę c y mp.Taki był los owego pieniądza.

Kiedy potem było krucho i skarżono się na brak gotówki,a powszechne były dyskusje na temat deficytów finansowych,co drugi człowiek dawał rady zbawienne skarbowi.B.premier Moraczewski tylko był zadowolony.Gdy skarżono się,że przekroczenie budżetowe sięgnęło kilkuset milionów,wykrzykiwał w Sejmie z przechwałką:Przekroczyliśmy więcej, bo o miliard,ale właśnie to lepiej,bo pieniądze są od tego,żeby krążyły. - Chodzili też obłąkańcy po świecie z radami.Złożył mi wizytę taki pan,trochę żebrak - trochę filozof,pozostający zresztą w korespondencji z prof.Wincentym Lutosławskim i żądał,abym ogłosił w gazecie jego sposób zwalczania kryzysu.Dziwne - mówił,że nikt na to nie wpadł... poprostu w kioskach ulicznych osadzić urzędników skarbowych z pełnymi kasami.Przechodzień staje przed okienkiem i mówi,ile mu potrzeba, a ów mu doręcza paczkę pieniędzy.Jajko Kolumba!

Ale słyszałem też pomysły wyższej ~~xxxx~~...rangi.Zaproszony w ~~xx~~ r.1922 na konferencję prasową do Prezydium Rady Ministrów,wysłuchałem referatu ministra skarbu p.Jastrzębskiego.Mówił otwarcie o kłopotach skarbu.Stał wtedy na czele rządu p.Nowak z Krakowa,profesor weterynarii,jeden z takich mężów stanu,jakich lubił mieć przy sobie Piłsudski.Premier prosił grzecznie ministra skarbu,aby mu pozwolił referat uzupełnić - i mówił długo o sposobie swoim,według niego prostrzym.

Polska - mówił - zapoznaje swoje rodzime bogactwo i źle je spożytkowuje.Jakimże bogactwem jest nasza krowa i jej mleko. Marnujemy je wskutek nieumiejętnej techniki dojenia. - nastąpił krótki wykład

o tym,co to jest wymię krowy i jak ono jest tęgie,jakiej siły i umiejętności potrzeba,aby udój był kompletny.Zdaniem premiera produkcję mleka można zdwoić jedynie odpowiednim dojeniem.Jak się panom zdaje - spytał redaktorów - ile też w Polsce jest krów? - wymienił cyfrę sam, bo nikt nie wiedział, jakąś wielomilionową. - Ile dziś krowa daje? Ile powinna?policzmy.Wypadła jakaś wielka cyfra. - Jakaż jest na targu cena mleka?ten i ów redaktor coś bąkał. - Otóż policzmy:tą nadwyżką /znowu jakaś cyfra astronomiczna/z łatwością budżet zdwoimy.

Redaktorzy pełni byli podziwu,minister skarbu był trochę zakłopotany,premier z dumą na nich spoglądał,aż się zaróżowił. A ja,jako literat,dopatrzyłem się w tym obrazie symbolu:O jakaż dojna jest ta nasza - Polska!A przy tem,iluż w Polsce ludzi pomysłowych.I smutno mi było, że nie widzę nikogo na miejscu właściwym.Ale nie ma tego złego,coby z czasem na gorsze nie wyszło.Z nadmiaru konsyliarzy formował się zastęp,który niebawem nazwie się obozem s a n a c y j n y m,zwycięskim i jedynym.Ten już będzie dobrze doił...

Wracam jednak z tej wycieczki do gazety.Zapomniałem dodać w swoim miejscu,że zaraz po wojnie,kiedy świat literacki Warszawy był jeszcze w chaosie,założyliśmy - nie pomnę z czyjej inicjatywy - stowarzyszenie pisarzy Orła Białego.Żywot jego był krótki,zdążył jednak nadać wysoki ton temu,co się miało pisać,pod hasłem dobra Polski.Było to stowarzyszenie szanujących się pisarzy.Należeli do niego:Al.Świętochowski,Andrzej Niemojewski,Adam Grzymała-Siedlecki,Zdzisław Dębicki,Wł.Jabłonowski i jeszcze ktoś.Parę wystąpień publicznych było bardzo udanych. Adam Siedlecki,jako współpracownik "Gazety Warszawskiej" podjął się misji korespondenta wojennego wr.1920.Świetne jego listy wydane były osobno w naszej księgarni p.t."Cud nad Wisłą".To określenie zwycięstwa jako cudu utarło się jako najtrafniejsze.

"Orzeł Biały" dał mi sposobność zbliżania się ze Świętochowskim. Był żywym pomnikiem okresu pozytywizmu, postacią historyczną. Miałem zawsze w respekcie jego silną indywidualność. Rozkuł się jednak ze spiżu,w którym go,młodsze pokolenie przywykło widzieć i odradzał się

do nowego życia, życia polskiego, wierzącego w Polskę w duchu nawet nacjonalistycznym. Nazwa "pisarza Orła Białego" była jego pomysłem. Zgodzi się na pisywania w "Gazecie Warszwawskiej", bacznie i lojalnie licząc się z jej programem. W r. 1925 przeszedł ze mną do "Myśli Narodowej", często mnie odwiedzał. Uważałem, że czuł się doskonale w nowej skórze. Pamiętam, wchodząc, jeszcze w przedpokoju przy zdejmowaniu paltota, wykrzyknął: "Panie Zygmuncie, doszedłem do przekonania, że jedyne zbawienie w nacjonaliźmie!" Przyznawał się w artykułach do antysemityzmu, artykuł jego o Chrystusie w "Myśli Narodowej" zrobił wrażenie w sferach katolickich, które go dawniej wyklinały. Czytał mi listy księży pisane do niego z tego powodu. I cieszył się.

Było tak do r. 1928. Aliści dawni jego towarzysze i "bracia", którzy go się byli wyrzekli, gdy od wybuchu wojny stanął bez zastrzeżeń po stronie państw koalicyjnych, w mniemaniu, że już stary i bez znaczenia, teraz widząc, jaki wpływ wywiera i że może być nie bezpieczny, postanowili wezwać go do powrotu. Pośredniczył Henryk Konic. Zrozumiał, że nie jest wolny. Tłumaczył się przede mną niezręcznie, bo kłamać nie umiał. Zrozumiałem o co chodzi i nie ~~pytałem~~ dopytywałem więcej. Rozstaliśmy się. Zaopiekowano się nim materialnie. Pisał na zamówienie dawnych przyjaciół pamiętniki i te drukował w "Wiadomościach Literackich". Tak nieefektownie likwidowała się myśl naczelna drugiej połowy XIX wieku, owej prawdy, której Świętochowski był posłem.

Najwięcej radości jako redaktorowi sprawił mi Dmowski, gdy w r. 1924 zaraz po moim procesie z Ledniskim, sprowokowany tym procesem, począł drukować w "Gazecie" wyznania pt. "Jak odbudowano Polskę". Było tych felietonów, pisanych od ręki z numeru na numer, zgórą sto. W książce zatytułował to dzieło: "Polityka polska i odbudowanie państwa".

Największą moją pracą w tymże roku dokonaną było zredagowanie jubileuszowej publikacji z powodu kończącego się w tym roku 150-lecia "Gazety Warszawskiej". Wiele trudu kosztowało zdobycie i opracowanie materiału historycznego. Ukazała się ta praca w druku z początkiem 1925 r., niestety w postaci gazetowej wielkiego formatu, co odrazu ska-

zało tę piękną pracę na los ~~xxałaxkąxpiękaąxpracąxnaxkaz~~ makulatury. Radbym zrobić tutaj zastrzeżenie testamentowe,aby w przyszłości,gdy nastaną dobre warunki pracy kulturalnej,wydawnictwo "Gazety" wzmocniło tę monografię w formie książkowej.Może da się to zrobić w 200-ą rocznicę z dodatkiem zarysów dziejów dalszych.Stara gazeta to drogocenny pomnik kultury,zasługujący na utrwalenie.

Ten hołd złożony dziejom "Gazety" był jednocześnie moim osobistym z nią pożegnaniem.Od lutego 1925 r. stanowisko redaktora objął Stanisław Kozicki,który przed wojną je zajmował.Dmowski nalegał na moje ustąpienie ze względu także na moje zdrowie.Zawsze mi wyrzucał,że nie szanuje swego wzroku i że nie umiem wyręczać się w pracy redaktorskiej.Wiele w tym było słuszności.

Zaczął się dla mnie nowy etap pracy,przesunięty nieco na pole bardziej literackie.Drogocenną pamiątką tej chwili przełomu jest dla mnie list urzędowy prezesa Stanisława Głąbińskiego.Nie mogę go w swoim życiorysie pominąć.List nosi datę 5 lutego.3/

"Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Rada Naczelna Związku Ludowo-Narodowego na wiadomość o ustąpieniu Szanownego Redaktora ze stanowiska kierownika politycznego naczelnego organu stronnictwa,poleciła mi wyrazić Szanownemu Panu swoje pełne uznanie i gorące podziękowanie za wieloletnie kierownictwo naszych głównych organów politycznych, których twórcza praca,czysty narodowy i wychowawczy kierunek,oddanie się w ciężkich czasach z całem poświęceniem sprawie Polski,pozostaną na zawsze wiernym odzwierciadleniem charakterów i dążeń najszlachetniejszych umysłów w przełomowej dobie dziejowej, prowadzącej ujarzmiony naród do światła wolności.

Wiemy o tem wszyscy,a w części sam byłem świadkiem w b.zaborze austriackim,z jaką wytrwałością i cywilną odwagą a zarazem z jakim ~~xpoświęceniem~~ ppo-

wodzeniem,niewielka zrazu,ale ciągle rosnąca grupa niepoprawnych marzycieli walczyła przeciw powszechnemu prądowi,płynącego z niewiary we własne siły narodu,poddającemu się nieświadomie narodowej rezygnacji pod formą zwodniczych idei "austriacko-polskich" i "środkowo europejskich".Szanownemu Panu przypadło iść w pierwszym szeregu w tej walce,borykającej się z kusicielami duszy narodowej.

Znając pracę i zasługi narodowe Szanownego Redaktora,całem sercem wywiązuję się niniejszem z polecenia Rady Naczelnej i dodaję od siebie żywe pragnienie i pewność,że Redaktor,zwolniony z uciążliwych obowiązków administracyjnych,tem częściej dzielić się będzie z nami i społeczeństwem owocami swoich studiów nad naturą i brakami naszej psychiki i charakteru narodowego i współdziałać będzie w pracy dla przyszłości Polski najważniejszej,w budowie duchowych i etycznych fundamentów dla Polski mocnej i prawdziwie kulturalnej,od obcych żywiołów niezależnej.

Łączę wyrazy szczerej czci

/-/Głąbiński

Prezes Rady Naczel.Zw.Lud-Nar.

Po ustąpieniu z "Gazety Warszawskiej" musiałem się rozejrzeć w środkach zarobkowania. Zająłem się przygotowaniem nowych książek, pisywałem do "Gazety Warszawskiej", do "Kuriera Lwowskiego" /1926 -1927/, posyłałem publicystyczne "Luźne kartki", od końca już r.1928 poważnym oparciem materialnym stało się dla mnie współpracownictwo w "Kurierze Poznańskim". Za okazywane mi tam względy żywię wielką wdzięczność dla Mariana Seydy, Romana Leitgebera jako wydawców i dla Witolda Noskowskiego, który jako redaktor działu literackiego swymi listami pełnymi dla mnie uznania podniecał mnie do pracy. Stosunek ten trwał lat dziesięć do września 1939 r.

Głównym jednak warsztatem pracy stała się "Myśl Narodowa", przerobiona w r.1925 z tygodnika, który od r. 1920 wychodził pod tym tytułem staraniem spółki wydawniczej, właścicielki "Gazety Warszawskiej" i "Gazety Porannej". Była to publikacja wzorowana na "Myśli Niepodległej" A. Niemojewskiego, nadał zaś jej charakter bojowy inicjator tego wydawnictwa Adolf Nowaczyński, główny jej przez lat kilka kierownik. W r. 1925 prowadził to pisemko Jan Rembieliński. Wydawaliśmy poza tym miesięcznik, któremu przywróciliśmy dawny tytuł "Przeglądu Wszechpolskiego". Pozostawał on pod redakcją Bohdana Wasiutyńskiego, wówczas już profesora uniwersytetu-naprzód w Poznaniu, potem w Warszawie. Na mój wniosek władze stronnictwa chętnie się zgodziły, aby oba te pisma "Myśl" i "Przegląd" zlać w jeden tygodnik przez odpowiednie rozszerzenie "Myśli Narodowej". Prospekt nowego pisma motywował jego potrzebę w sposób następujący /przytoczę urywki/:

> "Z dniem 1 października r.b. przekształcamy "Myśl Narodową" na czasopismo, poświęcone kulturze twórczości polskiej.
>
> Brak pisma tego typu w obozie narodowym dotkliwie odczuwać się dawał. W Polsce odrodzonej praca na polu kultury narazie ustąpić musiała najpilniejszym zabiegom koło regulowania stosunków politycznych na łożysko ży-

cia państwowego. Z niepokojem śledziliśmy, że jednocześnie czynniki wrogie rozwojowi Polski w duchu narodowym cały swój zasób sił literackich, wolny od zajęć destrukcyjnych w polityce, administracji kraju i gospodarstwie, rzuciły na szańce życia duchowego, aby rozbić poczucie osobowości narodu. Sądzimy, że przyszedł czas, kiedy można już pomyśleć o prawidłowej obronie i tych dziedzin zagrożonej cywilizacji.

Życia narodu nie wyczerpuje twórczość państwowa; zakres gospodarki sił narodowych przekracza również granice potrzeb materialnych; najogólnieszym pojęciem tej gospodarki jest cywilizacja, jako pojęcie obejmujące całokształt twórczości narodowej ze sprawami ducha na czele. Zadaniem naszego pisma będzie urabiać ten kąt widzenia, że życie narodu cywilizowanego stanowi jedną całość organiczną, uzależnioną w rozkwicie od stopnia kultury duchowej. Jeden jest duch - jedna jest twórczość w różnych postaciach. Obejmować przeto będziemy wszystkie dziedziny pracy polskiej /polityczną, gospodarczą, wychowawczą, naukową, literacką, artystyczną./, szukając dla nich wytycznej myśli twórczej, znajdującej oddźwięk w głębiach instynktu historycznego, coraz bardziej celowej i - jako świadomość dziejowa - potęgującej indywidualność narodu...

W tej nowej epoce, kiedy los powołał do odrodzenia cywilizację polską, uwidocznia się z cała przejrzystością zadanie tej myśli, która ma objąć całokształt ruchu umysłowego. Nietylko w pracy państwowej mamy kłopot z temi różnicami kultury, które wytworzyła w umysłach podczas rozbiorów przynależność przymusowa do trzech różnych cywilizacji. Polska twórczość cywilizacyjna ma swoje osobiste zadania, swoje prawa rozwoju, zestrzelona być musi w jednej myśli przewodniej i posiadać swój własny zasadniczy

styl,a wtedy zewnętrzne prowincjonalne odmiany tego stylu bogacić będą budowę.

Oczyściwszy zgrubsza grunt z zasadniczych nie porozumień /czy Polska ma być,czyja ma być,jaka ma być/,przystąpić musimy nie w charakterze obozu politycznego,lecz jako klasa oświecona i odpowiedzialna za rozwój cywilizacji narodowej,do robót konstrukcyjnych,na polu życia duchowego.

Wchodzi w życie nowe pokolenie,zaprawiane w nowych zgoła warunkach do patrzenia na świat;chętnie jednakłączy się ono ze starszymi,czując potrzebę ciągłości pracy, poczętej przedtem w przewidywaniu wolności.Z drugiej strony wobec bezwzględnego wyjaśnienia się dziejów,kiedy zadania budowy tylko jednoznacznie mogą być pojmowane, zniknęły dawne rozbieżności obozu narodowego w poglądzie na zadanie pracy:dawne prądy "Głosu" i "Prawdy" zlały się w jeden nurt syntetyczny.Świat polski jest jeden; poza nim i przeciwko niemu jest tylko "międzynarodówka" różnych haseł,ale zgodna w nienawiści do wszystkiego co może być"nacjonalizmem".Droga tedy otwarta dla chcących pracować,bo doktryna prawu życia nie sprosta"...

Redagowanie tego typu tygodnika po wytężonej pracy w dzienniku było miłym wypoczynkiem.Okres ten 1925-1939 szybko upłynął.Był krótki czas /1928-29/,gdy dla braku środków materialnych "Myśl" wychodziła jako dwutygodnik.Ogółem wyraża się plon w 26 tomach /każdy ze spisem rzeczy/,obejmujący zgórą 800 zeszytów.Przechowa się on w bibliotekach,bo wielu czytelników starannie "Myśl" kompletowało i oprawiało.Gdyby sporządzić skorowidz autorów,okazałoby się ich kilkuset,a pochwalić by się mógł najprzedniejszymi w obozie narodowym pisarzami.Pisywali ci,których stać było na myśl samodzielną i twórczą.Staraniem moim było,aby w piśmie harmonizowała się myśl starszych żyją-

cych pokoleń z prądami mającymi dostęp do pokoleń młodszych i najmłodszych.Stąd wiele nazwisk nieznanych dotąd,a pod koniec już wyróżnionych chlubnie - obok nazwisk renomowanych.Wśród tych ostatnich wielu profesorów uniwersytetu i najwybitniejszych pisarzy.Starsi lepiej wytrzymywali kryzys polityczny po r.1926. Od 1 listopada 1936r.wystąpił z redakcji Jan Rembieliński, z którym dotąd układaliśmy numery i technicznie wykończaliśmy. Namnożyło się pism tygodniowych z programami szerzenia kultury. Wyglądało to na kapitulację ze strony obozu narodowego.Ucisk cenzury po r.1926 tak się wzmagał,że o wolności prasy wiedziało się nie z konstytucji,lecz ze wspomnień w czasie rozbiorów. Polityka stała się monopolem "sanacji" i komicznego Ozonu /Obózu Zjednoczenia Narodowego/.Wydawcy tedy co przemyślniejsi przerzucali się na pole t.zw."kultury".Rembieliński założył z Miłaszewskim i p.Miłaszewską tygodnik "Podbipiętę",Stan.Piasecki tygodnik" "Prosto z mostu",St.Strzetelski - tyg."Kronikę",w Poznaniu powstał tygodnik "Kultura",związek przemysłowców ufundował tygodnik "Obronę kultury".To też w latach ostatnich "Myśl Narodowa" zagrożona była konkurencją nietylko materialną,ale ideową także, idącą na zniżkę.Ostatnim ciosem,zadanym naszemu tygodnikowi było założenie miesięcznika "Polityki Narodowej" przez kółko polityków zawodowych stronnictwa Narodowego."Myśl" jednak wytrzymała współzawodnictwo i jaknajlepszą ze względu na swą żywotność rokowała przyszłość.Zasługą jej było,że zorganizowała w obozie narodowym szeregi najwybitniejszej inteligencji zarówno piszącej jak i czytającej.Ostatni zeszyt wyszedł 3 września 1939 r.

/374/

12.PRACA LITERACKA W TYM OKRESIE.

Po kilkomiesięcznej przerwie w pracy publicystycznej,przyszła kolej na felietony /"Luźne kartki"/ w "Sprawie Polskiej". Wierny swej metodzie oddziaływania wychowawczego na czytelnika, aby coś znaczył w dziejach narodu,kreśliłem co tydzień w tym duchu refleksje biorąc pochop do nich z bieżących wypadków i warunków,w jakich się znalazło wychodźctwo polskie w Rosji.Nie było żadnej cenzury i można było gwarzyć z rodakami swobodnie.Potrzeby umysłowe i nastroje czytelników z pośród inteligencji łatwo było wymiarkować,istniało bowiem dobrze zorganizowane w komitetach opiekuńczych życie społeczne,redakcja zaś była ogniskiem towarzyskim dla przyjaciół ze stronnictwa i Komitetu Narodowego.

Felietony swoje wydałem zrazu w r.1916 w Moskwie pt."Orientacja wewnętrzna".Drukarz warszawski p.Głodkowski przy "Gazecie Polskiej" /gdzie redaktorem był Józef Hłasko/ zaczął wydawać książki.Wydałem tam na użytek stronnictwa broszurę o Demokracji Narodowej /1917/,oraz zbiór rozpraw Zygmunta Balickiego.Uczciliśmy w tym wydawnictwie jego pamięć,zamieszczając zamiast przedmowy szereg wspomnień o nim i charakterystyk.Pełniejsze wydanie felietonów ze "Sprawy Polskiej" w dwójnasób pomnożone ukazało się w Warszawie r.1919 nakładem Wendego /Fiszer/.

Na inną pracą literacką nie było warunków ani w Petersburgu,ani w r.1918 w Kijowie.Z "Przeglądu Polskiego" zaledwie parę szkiców weszło potem do książki "O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej" wydanej w Warszawie w r. 1921 w księgarni Perzyńskiego i Sp.Tą spółką była "Gazeta Warszawska",której podówczas byłem redaktorem.Pierwsze rozdziały tej książki pisane były przed wojną i ogłoszone w "Przeglądzie Narodowym" z r.1913.Zaznaczam te daty dla wytłumaczenia się z charakteru moich publikacji książkowych,składanych nieraz latami z okazy;

nych szkiców.

Za pobytu w Kijowie zdarzyło mi się napisać rzecz literacką, nie do dzienników przeznaczoną i mile sobie to wspominam. Odwiedził nas w Kijowie kuzyn mój Stanisław Zaniewski, ożeniony z Ludwiką ze Śniadeckich, siostrą cioteczną mojej pierwszej żony. Zaniewscy zaprosili nas na wypoczynek letni do siebie. Majątek ich Słoboda znajdował się pod Mozyrzem na Polesiu. Piękna była podróż Dnieprem, a potem Prypecią. Kraj był wówczas pod okupacją niemiecką, ze strony bolszewików i Ukraińców nie groziły niebezpieczeństwa. We dworze znalazłem pisma Jana Śniadeckiego, w które się wczytałem z wielkim zainteresowaniem. Siedząc w piękne dni letnie w ganku oficyny, kreśliłem od ręki swoje spostrzeżenia. W ten sposób powstała rozprawka pt. "Zatarg rozumu z uczuciem", zamieszczona potem w książce "Mickiewicz i Słowacki" /Warszawa, Gebethner i Wolff 1921/.

Praca redakcyjna w "Gazecie Warszawskiej /1918-1925/ nie sprzyjała ubocznym robotom literackim. W r.1923 wydałem trzy książki, dwie jednak z nich były to, z niewielkimi uzupełnieniami rzeczy późniejszych, drugie wydania rozpraw już drukowanych przed wojną. Mówię o książkach "Seweryn Goszczyński" /Księg. Św. Wojciecha w Poznaniu/ oraz "Współcześni" /Geb. i Wolff/. Najwięcej pracy kosztowała mnie wydana w tym roku monografia o Kasprowiczu /Geb. i Wolff/, której znaczną część na nowo trzeba było dopisać. Uzupełniłem ją potem /1927/ książką "Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim" /Geb. i Wolff/, a jeszcze później odbitką z "Myśli Narodowej" - pt. "Przełęcz Kasprowicza" /1931/. Daremnie potem starałem się o nakładcę, aby te prace o Kasprowiczu, już wyczerpane, wydać w poprawniejszym stanie i w całości.

Szereg większych rozpraw, pisanych w latach 1921-1925, a drukowanych przeważnie w "Przeglądzie Narodowym" /potem "Wszechpolskim"/ oraz w "Pamiętniku Koła Kielczan" wydałem w r.1925 w Księg. Św. Wojciecha, dając im tytuł "Dyskusje". Są to istotnie dyskusje, nieraz bardzo polemiczne. Jedna z nich dotyczyła prof. Jana Roz-

wadowskiego z powodu jego rozprawy o automatyzacji,druga - prof. Mariana Zdziechowskiego z powodu jego książki o St.Brzozowskim "Gloryfikacja pracy",trzecia - prof.Wincentego Lutosławskiego, któremu na złośliwą krytykę mojej książki o cywilizacji napisałem o "bezdrożach metafizyki",trzecia polemika była o rozbrajaniu duchowym narodu z powodu książki prof.Bystronia pt."Megalomania narodowa";czwarta rozprawa polemizowała z J.Millerem,którego teorie literackie,wymierzone przeciwko nacjonalizmowi,nazwałem epimeteizmem.Dwie inne rozprawy poświęcone były czasom szkolnym i koncepcji idealnego typu człowieka.

W każdej z książek,które w tym okresie wydałem,znajdzie się gruntowniejszy lub szkicowy przyczynek do charakterystyki różnych odmian człowieka,bądź twórczego,bądź działającego na polu społecznym,zawsze według miary owego typu człowieka idealnego,o którego walczyłem.Negatywnie wypadła ocena Aleksandra Lednickiego. Do zbadania tego typu ludzi w Polsce pomógł mi mozolny proces sądowy,o którym piszę w innym miejscu powyżej./"Proces Lednickiego", 1924/.Do charakterystyk należy też na dokumentach oparty życiorys mego dziadka,żołnierza napoleońskiego,wydany w książce pt."Wnukom o prapradziadku"/Warsz.,Gebethner i Wolff,1930/.Trudniejsza do uchwycenia była postać Jana Gwalberta Pawlikowskiego,uczonego uczonego ekonomisty,taternika,estety,filozofa,poety,którego portretowe studium ogłosiłem w książce "Pieśń w górach"/Warsz.,"Patria", 1930/.W książce "Poeci i teatr"/Warsz.,Geb.i Wolff,1929/ znajduje się analiza talentu Kazimiery Iłłakowiczówny,która ze współczesnych poetek najbardziej mnie zainteresowała,poza tym charakterystyka Staffa i Wyspiańskiego.

Działalność moja literacka w tym ostatnim okresie,zarówno w prasie,jak i w świecie naukowym spotkała się naogół z pochlebną oceną.Próbowano zrazu w prasie żydowsko-masońskiej pokrzykiwać o mojej starości,jako żem jest już "ramolem",ale to ucichło,natomiast zastosowano w obozie sanacyjnym,który otrzymał od rządu mon

polmm na "kulturę", - ścisłyywobec mnie bjkoł.Cieszyły mnie dwa fakty:tolerancja,a nawet życzliwość ze strony sfer naukowych /katedry/ i przyjaźń,okazywana mi przez młodsze pokolenie pisarzy w obozie narodowym.

W latach 1933-1935 pokojowe stosunki literackie zakłócone zostały niespodzianie srogim zatargiem z powodu stanowiska,jakie zająłem wobec poety Cypriana Kamila Norwida.Czułem to zawsze i wyrzucałem sobie,że zajmując się dorywczo literaturą polską XIX wieku,nie zdobyłem dotąd ściślejszych wiadomości o tym,co się działo w poezji polskiej między okresem wielkich przedstawicieli romantyzmu a najnowszym od Kasprowicza.Nastał jednak w krytyce czas Norwidowski.Kto nie miał nic do powiedzenia o Norwidzie,czuł się w świecie literackim nie na swoim miejscu,nawet urągano mu,jako pisarzowi zapóźnionemu.Norwid okrzyczany był za poetę najbardziej nowoczesnego,genialnością zaś przewyższającego wielkość Mickiewicza. Zachwiał się trójkąt wielkich poetów romantycznych z całym historycznym teorematem Pitagorowym,opartymna tym trójkącie.Narazie erę Norwida zaczęto liczyć od roku 1904,kiedy go na użytek "Chimery" odnalazł Miriam.

Redaktor i wydawca tego literackiego czasopisma,Zenon Przesmycki /Miriam/ zasłużył się sztuce tym,że wydobył poezję,jako twórczość artystyczną z toni druków literackich na poczesne miejsce, rzec można - ołtarzowe.Sam zawsze w pozie arcykapłana sprawował redakcję w sposób obrzędowy z pedanterią typograficzną,a w asystencji grafików,którzy zdobili każdy utwór wymyślnymi inicjałami i "szpuntami".Robiło to w Warszawie,przyzwyczajonej do niedbałego stroju i lekceważenia poezji,wielkie wrażenie,ile że obrzędom towarzyszyły dzwony reklamy.Miriam stał się prawodawcą dobrego smaku. I to tak się ustaliło w opinii,że po wojnie został powołany z tego tytułu na ministra kultury i sztuki.Trudno się też dziwić,że gdy Miriam - znalazłszy się w posiadaniu nieznanych rękopisów Norwida - zaczął je w "Chimerze"ogłaszać i zapewniać,że są to arcydzieła

poza kokursem historii,gdzie każde zdanie jest jakby wersetem z pisma świętego i tp.,- trudno się dziwić,że każdy literat zniewolony autorytetem,kazał światu się podziwiać w roli znawcy i wielbiciela Norwida.Mam na myśli lata po wielkiej wojnie,kiedy ten wyzyskowy kurs Norwida doszedł na giełdzie literackiej do zawrotnej wyżyny.

Piszę o tym z pewną auto-ironią,bo i ja wziąłem się do Norwida,tylko trochę inaczej,raczej z ducha przekory,bo nie lubię, gdy trzeba myśleć - tłumnie.Namówił mnie do zajęcia się Norwidem życzliwy mi współpracownik "Myśli Narodowej",docent uiwersytetu Wileńskiego Stanisław Cywiński.Był on najzagorzalszym wielbicielem Norwida,nie tyle jako estета,lecz jako myśliciel,wyznawca filozofii idealistycznej i katolik.Tym różnił się od Miriama-Przesmyckiego,dla którego meritum myśli filozoficznej czy społecznej w poezji było rzeczą obojętną.Cywiński wygłosił na un.Wileńskim,jak się później od niego dowiedziałem,138 wykładów o Norwidzie,właściwie o filozofii Norwida.Oczywiście zgubił po drodze Norwida,z którego zostały tylko cytaty,a wykładał myśl swoją.I to mnie także skłoniło,że postanowiłem do innej uciec się metody, nie mogę bowiem patrzeć na los artysty,gdy się nikt nie zajmuje naturą jego indywidualności poetyckiej i gdy się poeta robi systematykiem poglądów filozoficznych.

W latach 1932-34 w miarę wczytywanie się w utwory Norwida i w dzieje jego życia na tle epoki kreśliłem swoje spostrzeżenia bez widoków na wykończenie monografii,na łamach "Myśli Narodowej". I tu była moja przekorność,że starałem się zrozumieć Norwida od wnętrza jego ustroju psychicznego.I za to na mnie pogniewali się wielbiciele poety,a zwłaszcza Cywiński.Pogniewano się za to,że zastosowałem do Norwida miarę historyczną i umiejscowiłem go,w jego epoce,że uczłowieczyłem go,gdy już przyzwyczajono się do traktowania go w sposób mitologiczny,że ośmieliłem się dokonywać sekcji,gdy był już mumifikowany.

Przekonałem się,jakie niebezpieczeństwo grozi krytyce,gdy ona tra-

ci z oka jedynie pewny punkt orientacyjny - żywego twórcę.Krytyka staje się wtedy sama ponętnym przedmiotem badań dla tych,którzy by chcieli stwierdzić,jak głęboko tkwi w umysłowości każdej epoki potrzeba poetyckiego mitotwórstwa.Pokazało się naprzykład, że krytykom potrzebne były do rusztowania legendarne motywy biograficzne o królewskim pochodzeniu Norwida,o jego majątkach,o jego książęcym tytule i tp.Prof.Cywiński,dowiedziawszy się,że zamierzam artykuły swoje o poecie wydać w książce,odwiedził mnie,aby osobiście założyć protest.Podniesionym głosem w niezwykłym zaperzeniu krzyknął:"Zabraniam panu tego robić!"Gdy nie posłuchałem, pośpiesznie,aby książkę moją wyprzedzić,przygotował broszurę pamfletową,pełną nieprzytomnych inwektyw pt.:"O gwiaździsty diament Norwida".Wilno 1935.Str.53.

Niespodzianką było dla mnie i to bardzo radosną,gdy mi Jan Gwalbert Pawlikowski doniósł wprost z posiedzenia Akademii Umiejętności 21 czerwca 1935 o nagrodzie przyznanej mi za pracę o Norwidzie,dołączając drukowane sprawozdanie tej osnowy:

WNIOSKI I SPRAWOZDANIA

w sprawie nagrody z fund.ś.p.Probusa Barczewskiego, za najlepsze dzieło historyczne,ogłoszone w r.1934.

"Z dzieł naukowych,które ogłoszono w r.1934,rozpatrywanych przez Komitet,kilka bardzo wybitnych nie mogło być przedstawionych do nagrody,a to ze względów ściśle formalnych.Spośród tych,które posiadały warunki formalne,Komitet wyróżnił książkę p.Zygmunta W a s i l e w s k i e g o pt.Norwid,Warszawa 1935,str,243 + 2nlb.

Jakkolwiek nie wolna od pewnych wad,posiada ta książka cenne zalety.Wady omawianej książki polegają na tym,że jest ona raczej szkicem monograficznym,aniżeli pełną monografią, chociaż bowiem usiłuje znaleźć syntetyczną formułę,tłumaczącą całość twórczości Norwida,szczegółowo przedstawia

tylko młodość poety na gruncie warszawskim i podczas pierwszych lat pobytu za granicą.Następnie pewne ujęcia,choć w zasadzie słuszne,nie są umotywowane zupełnie przekonywająco,a to zarówno zagadnienie mazurskości Norwida,jak przedewszystkiem jego stosunek do filozofii romantycznej,sprowadzony do,stosunku poety do systemu Fichtego jedynie.

Nad wadami temi,do których dodaćby jeszcze można kilka drobnych nieścisłości,górują jednak niepospolite zalety książki.Przedewszystkiem więc posiada ona duże walory literackie,jest żywa i plastyczna,daje bardzo zajmujący i wierny portret poety,niema w niej ani balastu problematycznej erudycji,ani częstej w pracach o Norwidzie przesady. Autor,operując elementami psychologicznemi i socjoligicznemi,oraz dobrą znajomością epoki,rzuca portret Norwida na tle jałowych lat listopadowych w Warszawie,ukazując zupełnie przekonywująco,jak zaciążyły one na dalszej karierze poety.Niemniej ciekawie,a równocześnie przekonywująco ustalony jest stosunek Norwida do życia emigracyjnego.Dzięki temu Norwid,przez krytykę literacką,naukową i pseudonaukową,umieszczany w jakimś przestworze achronologicznym, zostaje tu związany ze swoją epoką,z jej wielkością i małością.Stanowi to bardzo cenną zdobycz w naukowym ujmowaniu zagadnienia norwidowskiego,ustala jego pozycję historyczną.Książka Wasilewskiego jest wreszcie bardzo śmiała, ukazuje niedomagania artystyczne poezji Norwida,przedstawia fatalny,dezorganizujący wpływ na poezję tułaczki,tłumaczy jego dziwactwa,równocześnie jednak akcentuje prawdziwą wielkość zdeklasowanego artysty,walczącego z atmosferą,która go zabijała,i ratującego swą godność ludzką. Są to zalety bardzo niepospolite i one właśnie wyznaczają książce niepoślednie miejsce w literaturze o Norwidzie.

Komitet wreszcie zwrócił uwagę na fakt,że Z.Wasilews-

tylko młodość poety na gruncie warszawskim i podczas pierwszych lat pobytu za granicą. Następnie pewne ujęcia, choć w zasadzie słuszne, nie są umotywowane zupełnie przekonywająco, a to zarówno zagadnienie nieznaności Norwida, jak przedewszystkiem jego stosunek do filozofii romantycznej, sprowadzony do stosunku poety do systemu Fichtego jedynie.

Nad wadami temi, do których dodaćby jeszcze można kilka drobnych niejasności, górują jednak niepospolite zalety książki. Przedewszystkiem więc posiada ona duże walory literackie, jest żywa i plastyczna, daje bardzo zajmujący i pełny portret poety, nie ma w niej ani balastu problematycznej erudycji, ani częstej w pracach o Norwidzie przesady. Autor, operując elementami psychologicznymi i socjologicznemi, oraz dobrą znajomością epoki, rzuca portret Norwida na tle jałowych lat listopadowych w Warszawie, ukazując zupełnie przekonywująco, jak zaciążyły one na dalszej karierze poety. Niemniej ciekawie, a równocześnie przekonywująco ustalony jest stosunek Norwida do życia emigracyjnego. Dzięki temu Norwid, przez krytykę literacką, naukową i pseudonaukową, umieszczany w jakimś przestworze achronologicznym, zostaje tu związany ze swoją epoką, z jej wielkością i małością. Stanowi to bardzo cenną zdobycz w naukowym ujmowaniu zagadnienia norwidowskiego, ustala jego pozycję historyczną. Książka Wasilewskiego jest wreszcie bardzo śmiała, ukazuje niedomagania artystyczne poezji Norwida, przedstawia fatalny, dezorganizujący wpływ na poetę, tułaczki, tłumaczy jego dziwactwa, równocześnie jednak akcentuje prawdziwą wielkość zdeklasowanego artysty, walczącego z atmosferą, która go zabijała, i ratującego swą godność ludzką. Są to zalety bardzo niepospolite i one właśnie wyznaczają książce niepoślednie miejsce w literaturze o Norwidzie.

Komitet wreszcie zwrócił uwagę na fakt, że Z. Wasilews-

ki od lat czterdziestu ogłasza studia nauko-literackie o Goszczyńskim, Mickiewiczu, Słowackim itd., o Kasprowiczu, Żeromskim, Iłłakowiczównie i td., przy czym niektóre z nich należą do najlepszych prac, danym pisarzom poświęconych.

Wobec tych zalet książki p. Wasilewskiego Komitet uchwalił j e d n o m y ś l n i e przedstawić ją Walnemu Zgromadzeniu P.A.U. do nagrodzenia nagrodą im. Probusa Barczewskiego.

Niespodzianką był dla mnie ten sukces, istotnie bowiem książka moja była tylko zbiorem szkiców, które przerwałem, poniechawszy zamiar pisania monografii. Na monografię nie miałem nigdy czasu, ani cieppliwości. Wystarczyło mi, żem jako tako zorientował się w twórczości pisarza bardzo trudnego do rozgryzienia i pożegnałem się z nim, oddawszy mu należne honory. Że Akademia zwróciła na mego "Norwida" uwagę, przypisuję to wpływom śp. Ignacego Chrzanowskiego, który się robotą moją interesował. Za szczególny zbieg okoliczności poczytuję, że okrągło 30 lat temu, w r. 1904 prof. Tretiak wydał swoją monografię o Słowackim, w r. 1905 Akademia przyznała mu tę samą nagrodę im. Barczewskiego. Tak samo wynikła burza literacka z powodu rzekomej krzwdy Słowackiego, jak teraz z powodu krzywdy Norwida. Ja wtedy w roli rozjemcy ogłosiłem broszurę "Spór o Słowackiego" w obronie Tretiaka. Był to jeden z pierwszych moich występów literackich. Świadczy to o niezależności Akademii, że tak krytycznie ustosunkowuje się do chwilowych prądów entuzjazmu, zaprzeczających prawa bytu krytyce. Wówczas - w stulecie urodzin Słowackiego - opinia literacka również przebywała kryzys mitotwórczy.

Prof. Cywiński zerwał ze mną stosunki dawniej tak przyjacielskie. Zbior listów, które do mnie w sprawie Norwida pisał, złożę w Bibiotece Narodowej. Spotkają się tam pewnie z listami, które wystosował do wszystkich polonistów z żądaniem, aby jako sprawozdawcy odpowiednie wobec mnie zajęli stanowisko.

Zanotowałem obszernie wypadek z Norwidem, był on bowiem pew-

nym triumfem mojej pracy literackiej i wydarzeniem,które narobiło niemałego hałasu w świecie literackim.Na podstawie materiałów które przy sposobności Norwida zebrałem ubocznie,zdołałem jeszcze zrobić kilka szkicowych studiów nad Żmichowską w związku z Norwidem i atmosferą epoki.Do analizy "Poganki" przywiązuję większą wagę,niż do wielu innych moich robót,wymagała ona bowiem,ze względu na konspiracyjny charakter utworu,- dużego wysiłku intuicji literackiej.Szkice te wydałem pt."Aspazja i Alcybiades" /Warsz.1935/.Dodam,że obie ostatnie książki,nie mogąc znaleźć nakładcy,wydałem sam,przy czym do "Norwida"zastosowałem z powodzeniem stary system prenumeratury,ogłoszonej w "Myśli Narodowej"

Skoro jednak skończyłem przechwałką o nagrodzie,to niech mi wolno będzie w tym miejscu wymienić jeszcze jedną nagrodę,która mnie spotkała w maju 1938 r.Oto komitet,wyłoniony z redakcji czasopisma literackiego "Prosto z mostu" pod przewodnictwem redaktora Stanisława Piaseckiego,przyznał mi doroczną nagrodę literacką w kwocie 2000zł.Była mi ta nagroda tym milsza,że fundusz na ten cel pochodził ze składek czytelników tego tygodnika i że sam tygodnik "Prosto z Mostu" uważany był za konkurencyjny w stosunku do "Myśli Narodowej",której ja byłem redaktorem.

Stan oczu i konieczność codziennego wyrobku na użytek dziennikarski nie pozwoliły mi już po r.1935 na większe prace,które bez nagród wynagradzają samym zadowoleniem,że się ich dokonywa. Czytując przy pomocy lektora mogłem spełniać tylko obowiązki redakcyjne i obowiązki felietonisty "Myśli Narodowej" i "Kuriera Poznańskiego".W okresie dziesięcioletnim 1929 - 1939 w tych dwu pismach zamieściłem z górą 500felietonów.Połowa tylko z nich była treści literackiej.

12. ATMOSFERA POLITYCZNA I MORALNA LAT OSTATNICH.

W r.1930 stronnictwo postawiło moją kandydaturę do Senatu i wybór przeprowadziło.Nie czułem się dobrze w skórze Senatora,dźwigałem bowiem na sobie zbyt wiele zaszczytu w stosunku do pożytku,jaki mogłem na tym polu polityki praktycznej przanieść.Nie chciałem zabierać głosu w sprawach,co do których towarzysze moi byli według mnie daleko kompetentniejsi.Prezesem naszego klubu senackiego był znakomity parlamentarzysta Stanisław Głąbiński.Zasiadali obok mnie prezes stronnictwa Joachim Bartoszewicz,Marian Seyda,Stanisław Kozicki.Polityka tedy zagraniczna i finansowa były świetnie obstawione.Dalej do spraw administracyjnych i polityki wewnętrznej byli tacy znawcy jak prof.Bohdan Wasiutyński,dr.Czesław Meissner z Poznania,ks.Bolt z Pomorza,Stanisław Godlewski ziemianin i prawnik,do spraw kultury i szkolnictwa Władysław Jabłonowski,Sicinski,prezes Chrz.Stowarzyszenia Nauczycieli,prof.Roman Sołtyk z Radomia.Korzystałem wiele jako publicysta.Wsłuchując się w głosy stronnictw, wpatrując się w ludzi,odgrywających ważną rolę w społeczeństwie i w państwie,wytwarzałem sobie pogląd na położenie kraju.

Nie mogłem opędzić się wrażeniu,że jestem w szkole -tak dalece wydawały mi się owe debaty,przekomarzania i spory potrzebne dla celów wychowawczych.Nowa Polska,tak wyniszczona przez długie lata w kulturze politycznej,potrzebuje jeszcze długiej szkoły elementarnej,aby nauczyła się myśleć politycznie,w przede wszystkim po polsku.Nie podzielam zdania,narzuconego przez "sanację",jakoby długi czas sejmu ustawodawczego,od którego zaczęliśmy,był zmarnowany: Wiele się nauczono,wiele zrobiono,zmarnowany zaś był dorobek polskiej pracy parlamentarnej przez sanacyjną konstytucję /Cara/ z r. 1935.Dramatem tych pierwszych lat naszej państwowości było,że nie czując elementarnego wyrobienia politycznego stawaliśmy do matury, żeby zdać egzamin z najnowszych pomysłów "totalizmu" szkoły sodja-

12. ATMOSFERA POLITYCZNA I MORALNA LAT SANACYJNYCH.

W r.1930 stronnictwo postawiło moją kandydaturę do Senatu i wybór przeprowadziło. Nie czułem się dobrze w skórze Senatora, dźwigałem bowiem na sobie zbyt wiele zastrzeżeń w stosunku do pożytku, jaki mogłem na tym polu polityki praktycznej przynieść. Nie chciałem zabierać głosu w sprawach, co do których towarzysze moi byli według mnie daleko kompetentniejsi. Prezesem naszego klubu senackiego był znakomity parlamentarzysta Stanisław Głąbiński. Zasiadali obok mnie prezes stronnictwa Joachim Bartoszewicz, Marian Seyda, Stanisław Kozicki. Polityka tedy zagraniczna i finansowa były świetnie obstawione. Dalej do spraw administracyjnych i polityki wewnętrznej byli tacy znawcy jak prof. Bohdan Wasiutyński, dr. Czesław Meissner z Poznania, ks. Polt z Pomorza, Stanisław Godlewski ziemianin i prawnik, do spraw kultury i szkolnictwa Władysław Jabłonowski, Siciński, prezes Chrz. Stowarzyszenia Nauczycieli, prof. Roman Sołtyk z Radomia. Korzystałem wiele jako publicysta. Wsłuchując się w głosy stronnictw, wpatrując się w ludzi, odgrywających ważną rolę w społeczeństwie i w państwie, wytwarzałem sobie pogląd na położenie kraju.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem w szkole - tak dalece wydawały mi się owe debaty, przekomarzania i spory potrzebne dla celów wychowawczych. Nowa Polska, tak wyniszczona przez długie lata w kulturze politycznej, potrzebuje jeszcze długiej szkoły elementarnej, aby nauczyła się myśleć politycznie, a przede wszystkim po polsku. Nie podzielałem zdania, narzuconego przez "sanację", jakoby długi czas Sejmu Ustawodawczego, od którego zaczęliśmy, był zmarnowany: Wiele się nauczono, wiele zrobiono, zmarnowany zaś był dorobek polskiej pracy parlamentarnej przez sanacyjną konstytucję /Carę/ z r. 1935. Dramatem tych pierwszych lat naszej państwowości było, że nie ceniąc elementarnego wyrobienia politycznego stawaliśmy do matury, żeby zdać egzamin z najnowszych pomysłów "totalizmu" szkoły socja-

listycznej.Wyłamywano w nas linię historycznego rozwoju naturalnego.Na rzut oka w życiu publicznym,w Sejmie i Setacie i w rządzie widać było,że nie odeszliśmy daleko od poziomu politycznego w.XVII, że przeto,zanim coś nowego zrobimy za wzorem wielkich kultur zachodu,trzeba te kultury w elementarnym kursie dogonić.

Obywatel polski w r.1920pałał żądzą alfabetu politycznego i niczym się nie różnił od szlachcica mazowieckiego Jana Paska,który 250 lat temu wdzierał się na Sejm w Warszawie,aby się czegoś nauczyć.Pasek był i teraz miarodajnym dla nas wzorem,gdy tak pisał o swej pasji politycznej:

"Byłem na tym sejmie umyślnie,swoim własnym kosztem,żeby też przysłuchać się rzeczom i widzieć,co się dzieje.Napatrzałem się,o Boże,fakcyj i tej strony i tej wymyślnych i wykrętnych takich,żeby trzeba całą księgę napisać,ktoby chciał materyją tego sejmu wypisać doskonale.Kładę na tym miejscu młodym ludziom,którzy to pomnie czytać będą,taką admonicję,żeby każdy,z szkół wyszedłszy,starał się o to pilno,aby się rzeczom przysłuchał i przypatrzył na sejmach, gdzie jeżeli nie może być o swoim koszcie,przystać do posła albo do panięcia którego,byleby przecię być na jednym i na drugim sejmie;albo też,choćbyś już był żołnierzem, to podczas hibernowego stanowiska jechać na sejm z hetmanem albo z rotmistrzem swoim,jakom ja czynił kilka razy,a przecię koniecznie być,nie omięszkiwać sesjej,d i l g e n t i s s i m e słuchać...Powiedam tedy każdemu,że wszystkie na świecie publiki,cień to jest przeciwko sejmom.Nauczysz się polityki,nauczysz się prawa,nauczysz się tego,o czym w szkołach jako żyw nie słyszałeś;życzę tedy każdemu czynić tak".

Dodałbym wszkże uwagę,że ówczesny Pasek stał duchowo jako Polak znacznie wyżej od wielu przedstawicieli naszego rządu w wieku XX. Porównajmy go ze Sławoj-Składkowskim,którego w Senacie nieraz wysłu-

chiwałem,gdy przemawiał w imieniu rządu.Obaj zostawili po sobie pamiętniki,obaj byli utalentowanymi pisarzami,obydwaj mieli ruchliwość świstą i dowcip.A jednak o ileż lepszy z tych dwóch robił użytek p.Pasek,gdy kreślił swoją r e k o r d a c i o n e m ku czci Stefana Czarnieckiego,niż nasz premier,gdy pisał "Strzępy meldunków".Inną miarę przykładam do wielkości człowieka.Proporcja wypadnie na niekorzyść w.XX:tak się ma Sławoj-Składkowski do Paska,jak Józef Piłsudski do Stefana Czarnieckiego.Premier Składkowski i marszałek Senatu Raczkiewicz byli dla mnie typowymi przedstawicielami reżimu Piłsudskiego.Zrozumiałem,dla czego "endecja" jest im tak nienawistna.Nie było sprawy,w której byśmy się nie różnili.Dlaczego?~~Myxpatrzy-liśmyxludziomxxxoczyxx~~ Dlatego,że różniła nas metoda traktowania sprawy publicznej.My patrzyliśmy ludziom w oczy i na ręce,jaki jest ich stosunek do r z e c z y samej,d o d o b r a ,do i n t e r e s u n a r o d o w e g o.Od działacza publicznego wymagało się wielu rzeczy: a/aby w i e d z i a ł,co jest interesem obiektywnym państwa, a więc kompetencji fachowej, b/aby się czuł za to dobro odpowiedzialnym i w myśli o zwycięstwie tego dobra skupiał wszystkie swoje ambicje osobiste z zagubieniem wszystkich postronnych względów na swoją osobę i na koterię.Najczęściej do egzaminu z tego drugiego punktu nie dochodziło,bo sprawa rozbijała się o punkt pierwszy - o zupełny brak kompetencji umysłowej.W tych warunkach poszukiwanie pod spodem człowieka moralnego jest trudem bezcelowym,skoro się zważy,że u człowieka grającego rolę męża stanu,sam brak świadomości postępków i słów jest już przestępstwem.Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki był podobno bardzo dumny ze swego premiera."Pokażcie mi panowie premiera - mówił w ostatnich czasach swych rządów do pewnej delegacji, - któryby potrafił z taką łatwością i tak dowcipnie odpowiadać w parlamencie na wszystkie interpelacje".I ja też,słuchając jego przemówień,byłem zdziwiony tą łatwością,z jaką wymijał istotę każdej sprawy,aby tylko zadowolić siebie i niewybrednych słuchaczy swadą polemicznego frazesu i konceptami.Nie spostrzegłem,

aby przedstawicielom rządu chodziło kiedykolwiek o dowiedzenie się p r a w d y. Miałem wrażenie, że chodzi im tylko o wprowadzenie opinii w błąd co do istotnego stanu rzeczy. Utwierdzało mnie w tym przekonaniu wczytywanie się w prasę prorządową i zachowywanie się cenzury wobec prasy narodowej.

Słowem atmosfera moralna, w której upływało nam współżycie z rodakami na wyżynie społeczeństwa, miała osobliwy skład chemiczny. Brakowało w niej zupełnie pierwiastka prawdy. Zbiegiem okoliczności, a może właśnie z poczucia tej osobliwości wypłynęło, że ci ludzie na górze myśleli o sztucznych wynalazkach chemicznych, takich, jak "Ozon" Rydza-Śmigłego, albo zgoła już fizykalne odkrycie Prezydenta prof. Mościckiego pierwiastka "Górskiego powietrza", którym Polak mógł w dusznej izbie wznieść się płucami na wyżyny Garłucha. To, co pisałem wyżej o czasach przedwojennych, że zdążaliśmy ku Polsce z nadmiernym ładunkiem kłamstwa, stawało się istotą stosunków. Kłamstwo stało się taką koniecznością reżimu, że kłamiący nie mogliby, gdyby nawet zechcieli, doszukać się, gdzie ich brzeg, gdzie grunt pod nogami. W końcu nic już nie było wiadomym. Marszałek Raczkiewicz w słynnym przemówieniu w imieniu rządu wyraził się, że nie wie, co groźniejszego dla państwa: bolszewizm czy obóz narodowy. Doszło do tego, że zakwestionowano istnienie jedynej realności politycznej, mianowicie narodu. Wyznawanie idei narodu stało się nielojalnością wobec państwa, akcją antypaństwową. Ostatnia konstytucja wyraz ten wykreśliła ze swego słownika. Pojęcie rzeczywistości stało się mitem, żeby je jakoś urealnić, ten, komu to było potrzebne, mówił o "rzeczywistej" rzeczywistości i właśnie wtedy nikt mu nie wierzył.

Rzeczywistość się pomału zmieniła w krainę legendy, legalizowanej ustawami. Zginął z oczu przedmiot dziejów i cel odległy, pozostało kółko ludzi, których Polska była rzekomą własnością. Skończyło się na tym że w r.1939 myślano na górze państwa tylko o tym, co będzie w r.1940 z wyborem prezydenta. Gdy wróg stał a n t e p o r t a s, każdy z nich myślał, tylko o tym, jakby zostać symbolicznym "wodzem narodu" i każdy

przez imaginację s z e d ł n a t ę k o r o n a c j ę. Rzeczywistość była inna. Byli wodzowie bez narodu, naród był bez wodzów. Naród bohaterski stawił opór, ale wodzowie byli za granicą kraju i wogóle zagranicą tragicznej rzeczywistości. Już wrogowie dzielili się skrwawionym ciałem ojczyzny, gdy sołtysi chodzili po wioskach z nakazami karnymi i "urgensami" premiera Składkowskiego, jako że nie wszystkie płoty były jeszcze pomalowane na biało, nie wszystkie były ażurowe.

Pod koniec swojej opowieści staję wobec zadania bardzo trudnego, jak w paru słowach sformułować pogląd na ten okres lat dwudziestu. Gdy koniec zapada się w otchłań jakiejś katastrofy, niechże każdy z nas stara się zapisać dla potomności, na czym się urwał wątek jego świadomości dziejowej. Snów nawet pięknych notować nie warto, ale doświadczenia trzeba.

Każdego w mym pokoleniu uderzyć musiało coraz wyraźniej zarysowujące się w wolnej formalnie Polsce zjawisko dwoistości prądów życia publicznego. Padał stąd cień na radość naszą z powodu odrodzenia państwowości. Kto umiał myśleć, widział, jak daleko nam jeszcze do zjednoczenia wewnętrznego i do prawdziwej wolności. Zarysowały się wyraziściej niż dawniej głębokie różnice psychiczne i moralne między dwoma obozami. Istniały one już dawniej, jak to miałem sposobność zaznaczyć już poprzednio nawet jako różnice w poglądach strategicznych. A Ale gdy dawniej te różnice zakrywane były zwierzchu motywami różnic partyjnych, to znów orientacyjnych w polityce, to teraz w ściślejszem pożyciu ujawniać się musiały szczeliny głębsze, sięgające dna duszy. N Nie mógł tych szczelin zabliźnić patriotyzm uczuciowy, bo i on pękał i wyraźnie widać było, gdzie zastępuje go werbalizm i symbolizm.

Ujawniło się teraz dopiero w skutkach, że społeczeństwo polskie już od paru pokoleń podlegało podwójnej kulturze duchowej w rzeczach dotyczących stosunku jednostki do zadań narodowych, że były pod tym względem dwa rzędy dusz, z których jeden był konspirowany. Polska nie była pod tym względem odosobniona. Cały świat cywilizowany miał te pęknięcia, które teraz doprowadzają go do katastrofy. Nie mam potrzeby wdawać się tutaj w wykład dziejów masonerii i mocarstwa anonimowego, uwydatnić chcę tylko ten rys, który się nam dał odczuć tak dotkliwie przy organizowaniu państwa, kiedy wiele rzeczy trzeba było zaczynać - niemal dość naiwnie - od elementarza.

W poprzednich rozdziałach już zaznaczyłem, że na czoło obozu przeciwstawiającego się narodowemu, rewolucja rosyjska a potem wojna wysunęły grupę socjalistyczną. Ona stała się czynnikiem organizującym

wszystkie defetyzmy,bierności poliyczne,ułomności moralne,gdziekolwiek ten czas je zastał,niezależnie od miana stronnictwa,którego były balastem.Szło to wszystko do Polski pod hasłem pięknym "niepodległości" i gotowało się do objęcie spadku po wojnie,dbając-pomimo różnic w poglądach społecznych - jednomyślnie tylko o to, żeby rządy w odrodzonym państwie nie dostały się w ręce żywiołu narodowego.Pozytywnie łączyła tych ludzi,jak wspólny mianownik,żądza zrobienia na Polsce interesu,a ten tylko mógł zrobić "bajeczną "karierę",kto zawładnie mechanizmem państwowym.Żadnych skrupułów na punkcie swej niekompetencji ludzie tego typu duchowego mieć nie mogą,bo co się tyczy celów i dróg postępowania,pokładają zupełną ufność w swoich ideowych kierownikach,znaleźli się przecież na terenie politycznym nie przypadkowo,lecz jako skonspirowani,choć na różnych szczeblach wtajemniczenia.Nie bardzo są zresztą ciekawi tajemnicy celów i źródeł,skąd płyną wskazania - są za słabi,żeby myśleć samodzielnie,a idee im podawane są łatwe i schlebiające słabości natury ludzkiej.

Nie chcę załatwiać się z zagadnieniem tak skomplikowanym ws sposóbxxxxxx tak prosty,jak to robią ludzie poirytowani,przypisując swoim przeciwnikom złą wolę.Cóżby x to była za sztuka rządzenia duszami,gdyby tylko wolę zbrodniczą eksploatowała.

Działanie pedagogiki żydowsko-masońskiej właśnie dlatego dało w Polsce owoce,że szuka wszędzie dróg najmniejszego oporu,wyzyskując z upodobaniem nagminne kompleksy psychiczne,lub je fabrykując. Do takich kompleksów należy epidemiczny m a s z y n i z m,jako idea -potomek materializmu filozoficznego.Kiedy jednak słyszę ogólnikowe a tak popularnie rozpowszechnione oskarżenia materializmu filozoficznego,jako głównego sprawcy obłędu XIX wieku,to bierze mnie chęć przesunięcia owej odpowiedzialności na ów pochodny maszynizm, zwłaszcza w dziedzinie pojęć i dążeń społecznych.Niepodobna o x wszystko oskarżać Demokryta.Daleko skuteczniejszym wychowawcą niż filozofia jest t.zw.duch czasu.Filozofów nikt nie czyta,a maszyny

głośno się reklamują i ludziom imponują. Wynalazki techniczne nadały rozmach d ą ż e n i o m m a t e r i a l s t y c z n y m a pobudzona w tym kierunku wyobraźnia ukazywała świat jako urządzenie czysto mechaniczne.

Filozof-materialista odrzuca spirytualizm z jego metafizycznemi przesłankami, uznaje jednak istnienie duszy, choćby tylko jako produktu mózgu ludzkiego. Ale i tej duszy ten dążeniowy, praktyczny, z ducha czasu pochodzący materializm nie szanuje. Obcy mu jest humanizm, świadomy tego, czym jest rozrost osobowości w jednostce i społeczeństwie. Mechaniczny pogląd na świat cofa cywilizację odspołeczniając życie zbiorowe do stanu gromady według wzoru ze świata zwierzęcego: stadnina i ogier.

Słusznie powiedział Dmowski, że im mądrzejsza maszyna, tem głupszy człowiek. Otóż maszyna "wzięła na kawał" znużoną idealizmem Europę. Rozkochał się w maszynie kapitalista i miał ku temu niewątpliwie "materialistyczne" powody, ale że tę miłość zrajfurzył poglądowo socjalistycznemu Marx, to już sekret semickiego talentu i tej prawdy, że antagonizm tak dobrze potrafi łączyć ludzi, jak i kłócić. Socjaliści uwierzyli w lepszą przyszłość ludu roboczego, sprawioną przez wielkie obroty towarowe, - więc przez maszynę.

Widzieliśmy, jak zaczął się socjalizm w Polsce od propagandy "materialistycznego poglądu na świat", mianowicie od poglądu, że wytwórczość rąk ludzkich, jak drobnego rolnika, czy rzemieślnika, stała się już anachronizmem, przyszłość zaś leży w wielkich maszynach, a więc na roli - w traktorach /Krzywicki/. Idea ta legła, jak widzimy, u podstawy komunizmu rosyjskiego.

Byłbyś złym obserwatorem, ktoby nie spostrzegł, że w popularnym zastosowaniu pogląd ten odsunął człowieka jako źródło energii twórczej na plan dalszy, ledwo widoczny. Pogląd ten jest sprawcą, że socjalizm poczęty z idei humanitarnej stał się niebawem okrutny dla człowieka i z całą oschłością przeniósł się z idei człowieka na ideologię maszynizmu społecznego z zapoznaniem najelementarniejszych praw li-

tości dla człowieka jako żywej siły i dla społeczności jako tworu biologicznego. Jaskrawy obraz tego zjawiska mamy w bolszewiźmie. Przesunięty w ten sposób kąt patrzenia na świat ludzki pociągnąć musiał za sobą konsekwencje we wszystkich dziedzinach myśli - społeczno-humanitarnej, politycznej, gospodarczej, religijnej, nawet estetycznej. Stał się manierą myślenia.

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że przy pewnym uproszczeniu myślenia, mianowicie wtedy, gdy człowiek tak spoufali się ze zjawiskami życia, że nie widzi w nim żadnych tajemnic, bardzo łatwo usuwa mu się z rachunku tajemnica siły biologicznej. Cały świat wydaje mu się wtedy ustrojem mechanicznym, a skoro tak, to człowiek jest jedynym na świecie mechanikiem. Kto zawładnie mechanizmem, ten jest panem świata. Dlatego w takiej cenie są u socjalistów "spece".

Świat ludzki /cywilizacja/ jest niezaprzeczenie cząstką świata materialnego, dostępną traktowaniu fizykalnemu, ale kiepskim fizykiem jest taki socjolog, który nie rozróżnia dwu procesów z sobą współczynnych we wszystkich zjawiskach życia, mianowicie, że obok procesu mechanicznego istnieje proces organicznego życia - biologiczny. W cywilizacji reprezentantem i twórcą tego świata jest siła biologiczna człowieka ze wszystkimi tajemnicami swego pochodzenia i powołaniami ducha.

Cywilizacja jest tworem nadorganicznym ducha, a więc siły biologicznej człowieka, dla którego "maszyna" jest tylko jednym ze środków. Zatraca władzę nad cywilizacją, kto zapoznaje to jej źródło. Nadbudową nad człowiekiem biologicznym jest jego duch, nadany jego życiu organicznemu. Tworem organicznym jest naród, w który ten duch się wciela. Społeczności cywilizowane mają życie dziejowe przez naród. Życie narodu oparte jest na ciągłości pokoleń, a więc procesem jest biologicznym. Ale nie jest to proces jedynie fizyczny, jak u zwierząt. Dzieje pokoleń tych to ciągłość przeżyć duchowych, ściśle związanych z przyrodą społeczeństwa, nie zaś z jego mechaniką.

Polityk tedy, regulujący dzieje swego społeczeństwa, nie może

iść przeciw prawom natury,musi uwzględniać wszystkie pierwiastki ducha ludzkiego z całym systemem życia uczuciowego i irracjonalnego, musi traktować dzieje n a t u r a l i s t y c z n i e ,inaczej przerwie rozwój podstawowo-biologiczny.Kto tę prawdę spuści z oka i zawierzy się doktrynie ~~materializmu~~ maszynizmu,z góry musi się zdecydować na konsekwencje bolszewizmu,na taki upadek duchowy,w jakim widzimy dzisiej komunistę rosyjskiego,wpadającego w szał na widok zegarka jako maszyny.To nie jest kwestia materializmu,lecz poprostu zidjocenia.

Ściągając to zagadnienie na grunt stosuków polskich,zdajmy sobie sprawę wszyscy,jakie doświadczenie przeżyliśmy w tych latach. Doświadczenie z socjalistami,którzy dostali się do rządu.Otóż oni wierni swej manierze myślenia w tych możliwościach działania,jakie się nadarzyły,dostrzec dla siebie mogli tylko jedną rolę - mechaników.Pełne życie polityczne społeczeństwa ~~polskiego~~ polega na umiejętnym ustosunkowaniu czynnika mechanicznego,jakim jest państwowość, do czynnika organicznego,jakim jest naród.Całość zawdzięcza życie dziejowe żywej sile krwi narodu.Brak odpowiedniego wykształcenia i zajadłość koteryjna,pielęgnowana w konspiracjach,nie pozwoliły socjalistom zrozumieć tej prostej prawdy.Po krótkim oportunistycznym manewrowaniu ideą przedstawicielstwa narodowego,postanowiono w drodze zamachu uprościć zagadnienie.Postąpiono metodą "bezdańską", zawładnąwszy maszyną w pociągu dziejów.Narodowi powiedziano:ręce do góry.Oni sami będą działać,mając w ręku maszynerię.Oczywiście na to potrzebny jest dyktator w roli naczelnego inżyniera.Zapanowała konspiracja,patenty bowiem zapewniają wynalazkom osobistym monopol i tajemnicę.

Eksperynemt dokonany w Polsce tak wielkim jej kosztem nie powinien jako doświadczenie minąć bezowocnie.Chyba dziś dla wszystkich jest jasne,że do organizowania państwa i rządzenia niem nie wystarcza wiedza,czerpana z broszur socjalistycznych i z praktyk bojówkowych,że potrzebna jest wiedza gruntowna o istocie życia narodowego

i jego twórczości cywilizacyjnej.W przeciwnym razie grożą katastrofalne koszta doświadczenia zarówno dla mechaników,jak i dlanarodu. Życie nie wytrzymało tego mechanicznego systemu.Przy pewnym większym wstrząśnięniu w r.1920,póki ten system nie był jeszcze sprecyzowany,udało się żywym siłom narodu /młodzież/ przezwyciężyć trudności.W 20 lat potem,gdy naród v o l e n s n o l e n s zawierzył się tajnej prganizacji,uderzenie z zewnątrz strąciło sztucznie dolepione wodzostwo i te żywe siły pomimo bohaterskich walk,prowadzonych naoślep,nie mogły zapobiec już katastrofie.

Nie o rekryminację mi chodzi,lecz o naukę,a przede wszystkim o głębokie wejrzenie w podstawy myśli politycznej,niezależnie od tego,jakieby hasła ideologiczne co do ustroju państwa w głowie świtały.Pierwsze przykazanie nowoczesnej myśli politycznej - fundować rzecz na żywej sile narodu.A drugie równorzędne - tak ustosunkować do tych sił aparat mechaniczny,aby te oba czynniki sobie nie wadziły,ale owszem wzajemnie się dopełniały i wspomagały.

Oto wielki - otwarty do rozwiązania - problemat dla polskiej myśli twórczej.

Nie może być oczywiście dla nas wzorem ustrój dzisiejszy Rosji ale nie może też być wzorem ideologia Hitleryzmu.Obie te konstrukcje nie wytrzymują dłuższej próby życia,bo obie są tylko maszynowe.Hitleryzm również ma w sobie zaród szkoły socjalistycznej,uwidoczniony nawet w nazwie:jest socjalizmem barwy narodowej.Za genjalny wynalazek i wyłom w doktrynie tak schematycznej socjalizmu można uważać myśl potraktowania i duszy narodu jako maszyny.Tym genjalniej wygląda ten pomysł,gdy go zestawimy z naiwnym poglądem naszych socjalistów,że narodu wcale nie ma,a nawet z bolszewickim, że narodem jest tylko proletariat w łachmanach.Ale co z tej genjalności,gdy nie uwzględnia,że dusza narodu nie jest maszyną i że nie można z niej uczynić na dłuższą metę użytku czysto fizycznego,przez wyprucie z niej pierwiastka ludzkiego i Boskiego.

Nacjonalizm polski jest dopiero w okresie dojrzewania,ale zda

maturę dopiero wtedy,gdy rozejrzawszy się w dziejach lat ostatnich, wynajdzie syntezę,któraby przywróciła życiu prawo dążenia do pełnego rozwoju.

Że Polska przez te dwadzieścia lat po odrodzeniu państwa pomimo lekkomyślnie sprawowanego zarządu nie zmarniała i nie ośmieszyła się, przypisuję to poczciwości natury polskiej ludności i zdrowym instynktom. Społeczeństwo polskie /można na to przytoczyć wiele faktów/korygowało krzywizny posunięć rządu. T.zw."sanacja"rzucała się na rozmaite pomysły,jakby ten oporny charakter ogółu "uzdrowić",świadomość jego pomylić,i to,ją najbardziej irytowało,że istniał jakiś niewidzialny rząd dusz,regulujący opinię.Widziałem wyraźnie rezultaty pracy naszego obozu wszechpolskiego z lat pięćdziesięciu.Walka,jaką obóz sanacyjny przy niewybrednie dobieranej pomocy żydów i łobuzów z nami toczył,była dla nas zaszczytna.Walkę zaostrzał niepokój sumienia, widziano bowiem,że za nami stoi opinia kraju i że to właśnie daje nam niezależność stanowiska,gardzącą kompromisami.Szukano tedy porady u rozmaitych "interpretatorów" prawa i historii,jakby przeprowadzić ustawowo i publicystycznie tezę,że skoro jest państwo,to naród stał się jedynie pojęciem poetyckim,o którego sens pytać trzeba Mickiewicza,nie rządu /autentyczne/.

Znajdzie się pewno historyk,który do okesu Polski 1919 - 1939 dolepi etykietę,że był to okres walki wewnętrznej mechaników z nacjonalizmem polskiem.Istotnie to było ciężkie przesilenie w rozwoju polskiej osobowości narodowej,przesilenie tym groźniejsze dla schorowanego w długoletniej niewoli narodu,że na jego życie czyhały dwa sąsiednie imperjalizmy zmechanizowane psychicznie,a nawet zmotoryzowane fizycznie.Społeczeństwo,mając 30%mniejszości,podatnej na tajną propagandę z obu stron mocarstw obcych,było dobrze,że zacząć trzeba od zapewnienia sobie bezpieczeństwa wewnętrznego przez obłaskawienie, spolszczenie lub steroryzowanie różnych tej mniejszości odłamów.I to były pierwsze kroki nienawistnego dla mechaników nacjonalizmu.Ich regime hołdował wręcz przeciwnym zasadom.Mniejszości były im potrzeb-

ne do zwalczania nacjonalizmu polskiego,dążącego do unarodowienia państwa,W celu dponiewierania pariotyzmu polskiegona Pomorzu dawano tej krainie takich wojewodów,jak Kirtiklis,w celu zaś krzewienia idei ukrainizmu wojewoda Józefski tępił na Wołyniu żywioł polski. Gdy w trosce patriotycznej młodzież polska usiłowała ratować uczelnie wyższe od zalewu żydostwa,rząd polski urządzał pogromy uniwersytetów przy pomocy policji.

Tak wyglądała wolność i polska racja stanu w rękach mechaników ze szkoły socjalistycznej i kombinatorów.Polityka zagraniczna i sprawy armii okryte były zupełną tajemnicą.Poczciwość zaś społeczeństwa polskiego była tak bezgraniczna,że bez szemrania zastosowała się do nakazów milczenia z wiarą, że jednak ci u władzy są bądź co bądź pariotami i nie można im pracy niedyskrecją utrudniać.Z palcem na ustach przestrzegano lojalności.Przekonaliśmy się,że ta nasza lojalność była grzechem wobec ojczyzny.Usprawiedliwia okoliczność bardzo rzeczowa - obóz narodowy był bezbronny.Czynniki okupujące władzę miały w ręku armię.Naród był bezbronny i do tego systematycznie rozbrajany moralnie.Znaleźliśmy się pod władzą sił mechanicznych.

13. RZECZYWISTOSC I L E G E N D A

Polska rozpoczęła swój nowy żywot od legendy,tym różniącej si. się od legendy n.p.o Kraku,który zabił smoka i naród ocalił,że tamta dawna urosła w wyobraźni potomnych,ta zaś inscenizowana była w biały dzień współczesności,zaspanej jeszcze i nie umiejącej opanować nowej sytuacji dziejowej.Bohaterem legendy zrobiono Józefa Piłsudskiego,znanego już przed wojną z wyprawy na pociąg w Bezdanach,potem orgahizatora polskiej siły zbrojnej przy armii austriackiej w randze brygadiera.Źródła mitu o Piłsudskim,jako salwatorze Polski i przyszłym jej władcy,umiejscowić trzeba co do czasu w okresie wojny,a geograficznie gdzieś między Oleandrami krakowskimi, Magdeburgiem i biurem Rady Regencyjnej.O dekretach Rady Regencyjnej z d.2 i 14 listopada 1918 r.przekazujących władzę Piłsudskiemu,historyk r.1918 Feliks Honowski[4/] pisze wiele.Wszystko w tym o obszernym dziele oparte być miało na dokumentach oficjalnych i prasowej informacji.A jednak w tym najważnieszym bodaj punkcie autor rezygnuje z wszelkiego oparcia o fakty,biorąc mit za podstawę dogmatyczną i za punkt wyjścia całego dzieła.Oto jego słowa /podkreślenia moje/ :

"Czytając piewsze słowa dekretu m a s i ę w r ą ż e n i e, jakby sam fakt zjawiehia się Marszałka /brygadiera/ w kraju był dostateczną i kompletną przyczyną,zawierającą w sobie wszystko to,co się samo przez się rozumie,co zostało upowszechnione w umysłach,stało się wszystkim wiadome i choćby nie zostało nigdzie na drodze oficjalnej ogłoszone,p r z e z w y ł ą c z e n i e ~~xxxxx~~ w s z y s t k i c h i n n y c h w p r z e w a ż a j ą c e j c z ę ś c i o p i n i i p u b l i c z n e j, musiało s i ę s t a ć r z e c z y w i s t o ś c i ą, musiało się zrealizować w niezaprzeczalny tytuł do objęcia władzy w powstającej Polsce - dla przyczyn zupełnie realnych.Ma się wra- ~~żenie~~ żenie,jakby Piłsudski do czasu niewoli niemieckiej był już

dzierżycielom władzy zwierzchniej w Polsce i tylko jakiś kataklizm wytrącił mu chwilowo berło z ręki". /s.3/

Wten sposób prawnik ,przyzwyczajony do ścisłego analizowania tytułów posiadania,zarejestrował w kronice historycznej zjawisko,które miało zadecydować o losach Polski na cały "sezon" jej państwowości. Zarejestrował poprostu jako mit według cech typowach legendy:"miało się wrażenie,jakby..."

Powstał niedawno w Warszawie kosztem skarbu Instytut do badan najnowszej historii polskiej,który wydał kilkadziesiąt tomów "Niepodległości",mających wypełnić treścią i uzasadnić legendę.

Prawda była inna.Im bardziej była tajona,tym dramatyczniejszy stawał się przedział między społeczenstwem a światem oficjalnej legendy.Rosła bowiem nieufność,bo tylko rząd skrępowany tajemnicą zzewnątrz,mógł być zmuszony do tak nieszczerego postępowania z własnym społeczenstwem.

W czyichś planach na Polskę zdecydowano,że Piłsuduski ze swoją naturą i manierą polityczną może się okazać w Polsce człowiekiem misyjnym w takiej właśnie proporcji,w jakiej przydatnym był tym planom na Rosję -Uljanow/Lenin/.Obaj ci ludzie niewątpliwie korzystali z konjunktury w tej rachubie wallenrodycznej,że zbawcami będą swych krain:jeden w oparciu o wiarę w moc wielkiej idei,drugi w oparciu o wiarą w swój geniusz.Niemniej nie obliczono się z tym,że co innego jest rozpętać żywioły wywrotowe w kraju niewolników,a co innego fascynować legendą personalną naród z usposobienia sceptyczny i mający bądź co bądź tradycje polityczne.W Polsce cała impreza inscenizowania dziejów legendarnych przybrać musiała charakter walki wewnętrznej. Opinia narodowa oparła się legendzie.Nazywano za to naród nasz "narodem idjotów",ale tylko dzięki tej odporności ocalała moralna organizacja narodu.Katastrofa zniosła z powierzchni życia wszystko,co w nim było legendą.

Na co potrzebna była i komu legenda o posłannictwie męża opatrznościowego w duchu mesjanicznym według wzoru 44?Potrzebna była na to, aby Polakom łatwiej przełknąć było ideę permanentnej rewolucji.Tak złoczyńcy podrzucają psom truciznę w chleb owiniętą.Liczono przytem na brak węchu politycznego w społeczeństwie schorowanym,robiono więc spisek na opinię dość jawnie.Hasła rewolucyjne były podówczas modne,oswojono się z nimi,nie brano ich na serio.Wszystko,co rewolucja pod firmą Piłsudskiego robiła,poczytywano za genialne posunięcia Wodza,do tego stopnia,że uśmiechano się,czytając "Głos Prawdy",organ przewrotu majowego,w którym Wojciech Stpiczyński bez osłonek program pogłębiania rewolucji głosił.A był to człowiek tak bliski władzy Piłsudskiego,że dano mu stanowisko kierownika "Biura P l a n o w a ń" państwowych.

Nie była to jednak sprawa tak łatwa,jak to sobie ten dość już staroświecki rewolucjonista wyobrażał.Rewolucjoniści z rządu lubelskiego obrali sobie Piłsudskiego za wodza rewolucji,ale nie obliczyli się dobrze z naturą tego szlachcica litewskiego z XVII wieku. Piłsudski nie był wyłącznie własnością rewolucjonistów typu bojówek socjalistycznych.Trzeba pamiętać,że równie mu oddanym,jak "Głos Prawdy", - był organ konserwatystów "Czas" krakowski z p.Wojciechem Roztworowskim,doskonale się orientującym w intencjach polityki magdeburskiej.Piłsudski manewrował i kombinował.Piłsudski miał inne jeszcze poza Stpiczyńskim biuro planowań.Przy jego pomocy stał się wynalazcą nowego typu rewolucji - powiedzmy - syntetycznej,polegającej na szczepieniu.Na pniu starego drzewa szczepił jej owoc,tak jak się szczepi gruszki na wierzbie.

Wątpię,czy Piłsudski spodziewał się z tego słodkich owoców dla kraju,ale ryzykował,w każdym razie,nie tracąc tytułu "wiecznego rewolucjonisty",zapewniał sobie władzę i panowanie.Wszystkie instytucje i funkcje państwowe przybrały podwójny charakter.Na oko wszystko było po staremu nominalnie i w hierarchii,ale treść była rewolucyjna,zawieszająca działanie prawa,które miało być ich duszą.Tak

się stało nawet z sądownictwem.Rzecz naturalna,miejsce prawa zajęła p r z e m o c , jako istota władzy rewolucyjnej.

Oczywiście o wcieleniu w życie jakiejkolwiek idei nie może być w tym systemie mowy.Może być mowa tylko o wyniszczeniu sił moralnych narodu.Doskonale to jednak odpowiadało doraźnym interesom kombinatorów,łobuzów i oportunistów,których rewolucja ku sobie pociągnęła,dając im nazwę obozu Sanacji,dogadzało też ambicjom Piłsudskiego,któremu wystarczała żądza władzy,nie dającą się nasycić.Była mu potrzebna władza dla władzy,dla zadowolenia,jakie daje technika władania bez względu na skutki.Jaki mu bowiem przyświecał cel,tego nikt nie doszedł, tego nie wyjaśnieją jego pisma,owszem,one tylko zaciemniają kwestię, coby z Polską,czy dla Polski chciał zrobić.

Piłsudski,obejmując pełnię władzy w państwie jeszcze nie urządzonym,znalazł się w lepszym położeniu,niż dawny król powołany na tron polski z elekcji,nie krępowały go bowiem od wewnątrz żadne p a c t a c o n v e n t a.Opinia publiczna,oduczona polityki,oswojona w bierności swojej z fatalizmem faktów dokonanych,chętnie poddawała się sugestii i rada byłaby wierzyć w dobrą wolę Piłsudskiego.Zresztą nie miała sposobu wyrażenia swej woli i wpływania na fakty.Piłsudski miał otwarte pole dla swej inicjatywy.Jeżeli go mogły krępować jakie czynniki,to były one w najbliższym mu obozie rewolucyjnym.

Zrazu Piłsudski nawet liczył na możliwość rządzenia w oparciu o d o b r o w o l n o ś ć obywateli.W tym kierunku,aż za daleko,poszła myśl sejmowładztwa.Szukał drogi,manewrował,kombinował.Był to eksperyment,któremu pilnie przypatrywały się obce potencje,nie tylko potencja opinii polskiej.Mam wrażenie,że doświadczeniom Piłsudskiego przypatrywał się bacznie nie tylko rząd państwa sąsiedniego,ale i przyszły jego władca Adolf Hitler,który wkrótce miał wziąć na siebie sukcesję polityki niemieckiej w Polsce.Z doświadczeń tych skorzystał, wzorując się na metodzie szczepionek rewolucyjnych.Poszedł jednak dalej,bo gdy Piłsudski zadowolił się posiadaniem mechanizmu państwowości, odrzucając naród poza nawias,tam dyktator włączył cały naród do maszy-

ny państwowej i nazwał to nacjonalizmem.Mam to wrażenie,że w ostatnich latach w Polsce usiłowano naprawić błąd antypatii względem narodu przez wzorowanie się na doświadczeniach sąsiada,ale OZON poradzić już temu nie zdołał.Ludzie z obozu Piłsudskiego,obarczenii jego testamentem,nie widzieli,co z narodem robić,którędy iść dalej.Wreszcie niespodzianie postawili na kartę losy narodu - i zniknęli.Tyle ich widziano.

Piłsudski przejdzie do historii jako człowiek,któremu się udało na odbudowie państwa polskiego zrobić wielką karierę.Historia nie znajdzie w jego życiu ani jednego czynu,ani jednej idei,które by potwierdziły,że był budowniczym Polski XX wieku.Wszystko,co się o nim głosiło,wszystko,za co sam siebie miał,zapisze na rachunek legendy.Był zjawiskiem koniunkturalnym z manierami twórcy samodzielnego,mężem opatrznościowym dla tych czynników,które chciały widzieć w Polsce rzeczy w takim stanie zagmatwania,w jakim była sama natura Piłsudskiego.Taki właśnie potrzebny im był dyktator w Polsce dla poskromienia jej zakusów nacjonalistycznych.

Na tym polega dramat dziejów narodu,że ścierają się w nim dążenia tych,którzy usiłują z narodu wydobyć siły pozytywne,z dążeniami czynników,wypatrujących,gdzie są jego słabości.Znaleźć dla tych dążeń negatywnych wcielenie w jednym człowieku i zrobić go wodzem - oto zadanie twórców legendy.

Piłsudski istotnie do spełnienia wziętej na siebie roli doskonale się nadał ze względu na niepospolity dar i n s c e n i z o w a n i a swej osobistości.Łatwo było poznać jego naturę,gdy jako działacz spiskowy w podziemnym świecie socjalistycznym indywidualność swą zaznaczał.Oczywiście nonsensem legendy jest powiedzenie historyka,że Piłsudski przed Magdeburgiem "był już dzierżycielem władzy zwierzchniej w Polsce",nonsensem obliczonym na to,że nikt sensu w legendzie nie szuka.W szerokiej opinii społeczeństwa Piłsudski tych czasów znany był tu i ówdzie z pogłosek anegdotycznych,i to ujemnych lub ośmieszających go.Nie mógł przecież dzierżyć rządu

dusz w Polsce człowiek, znany z czynów takich, jak "Bezdany", czynów, które sprowadziły na kraj epidemię bandytyzmu. Nie robił też poważnego wrażenia we Lwowie, jak pamiętam, organizator polskiej siły zbrojnej, naśladujący z całym upodobaniem i talentem odtwórczym staturę oficera austriackiego.

Tajemnicę jego natury otwiera łatwo każdy, kto poznał, że kluczem do niej jest żądza władzy dla samej pozycji, jaką ona daje, choćby tylko dla pozy. Nie trudno w tym rysie charakterystycznym dopatrzyć się potrzeby ducha artystycznego, nie oddzielającego treści od formy, czynu od gry. Mamy go wszyscy w oczach z barwnych opisów spotkania jego z Waldemarasem na posiedzeniu Ligi Narodów. Kiedy, przerywając debaty, zerwał się ku Litwinowi z wyciągniętą ręką: pokój, czy wojna? - to przecież była scena komediowa odegrana dla efektu z wiarą we własny legendarny autorytet, ale jakże rozbieżna z rzeczywistością, którąby należało wpierw uregulować dobrą robotą dyplomatyczną. Legenda, jak widzimy, odbiera zmysł praktyczności człowiekowi, który ją gra i sam w nią uwierzy, przesuwa bowiem jego psychikę na artyzm aktorski, szukający efektu doraźnego. Wyobraźnia w kierunku inscenizowania legendy idąca nadaje talentowi życiowemu charakter aktorski. Szuka wzorów lub mimowoli w nie wpada.

W naturze Piłsudskiego obok radykalizmu nowoczesnego wiele miejsca zajmował tradycjonalizm, pełen popularnych wzorów historycznych. Najmilszym wzorem Piłsudskiego była rewolucja 1830/31 roku. Ideowo porywała go podchorążówka z belwederczykiem Piotrem Wysockim. Odtwarzał ją też teatralnie, strojąc na paradę swoją podchorążówkę w mundury z tamtego czasu. Ale jakże chętnie zmieniał rolę Wysockiego na rolę Księcia Konstantego. Miewało się wrażenie, że w gierkach, które prowadzi, sam nie wie, którą z tych ról odgrywa.

Otoczenie wodza, dobrane specjalnie dla celów tworzenia i realizowania legendy i niosące go na rękach, czyniło niesłychane wysiłki, aby bohatera mitu w górnej linii utrzymać, stawiając przed nim najszczytniejsze wzory. Była to swego rodzaju zbiorowa twórczość poetycka,

goniąca na wyprzódki superlatywami pochlebczymi, z coraz wyraźniejszymi cechami deifikacji.Wytworzyła się wokół atmosfera tak narkotyzowana,że o samokrytycyźmie nie mogło w tym światku być mowy.Inaczej nie wolno tam było mówić o wodzu,jak "największy człowiek na całej przestrzeni dziejów świata".Studja literacko polityczne głosiły,że Piłsudski jest owym mężem "44",widzianym przez ks.Piotra.Szukanie wzorów dla niego udzieliło się jako namiętność poetycka pisarzom. Jeden z nich,członek Akademii /Fr.Goetel/ wystawił w teatrze dramat "Samuel Zborowski".Były tam wyraźne aluzje,że dodatnie cechy Stefana Batorego są jakby pożyczone z Piłsudskiego,ale jednocześnie Zborowski przykrojony był na miarę Piłsudskiego.Widz teatralny opuszczał widowisko rozdarty na dwoje /"ambiwalentnie"/,bo przecież z tych dwu ludzi historycznych,tak łączących się w jednym wzorze,jeden drugiemu ściął głowę...

Piłsudski nadawał się na bohatera legendy.Nie tylko dlatego,że lubił ją inscenizować,lecz i dlatego także,że istotnie miał sporo właściwości atrakcyjnych:jednym podobało się w nim to,innym owo.Nie był to monolit,jak wyobrażała go legenda,ale bogate miał fragmenty. Przede wszystkim jako człowiek potrafił być w bezpośrednim zetknięciu czarujący. Tym się tłumaczy jednolitość pierścienia jego najbliższych przyjaciół. Byli to ludzie dosłownie zaczarowani.Nie brali w rachubę najcięższych zniewag,oczekując uśmiechu.Kręgi podobnych pierścieni rozszerzane były umiejętnie.Umiejętność Piłsudskiego polegała na tym,że nie nawiązywał nigdy kontaktu z nikim,czyjej wrażliwości na urok wprzód nie zbadał.Wielu mężczyzn ma w sobie pewną dozę kobiecej kokieteryjności,ale nie każdy umie zrobić z niej użytek anteny radiowej,sprawdzającej,czy osoba zaatakowana chwyta fale fluidu sympatycznego.Piłsudski,zbliżając się do kogoś,robił krótką próbę,jak działa jego urok.Skoro dany osobnik nie reagował,odwracał się od niego i nigdy już do niegi nie wrócił,oddzielając się od niego murem antypatii.

Było tak pewno i w czasach dawnych,w t.zw.wiedzy tajemnej,że ludzie znali sposoby oddziaływania na siebie suggestywnego,ale to pewna /

że za naszych czasów sztuka ta odżyła w kołach konspiracyjnych wtajemniczeń i działań,dzięki szerzonej wiedzy z zakresu hipnotyzmu i telepatii.Tym się tłumaczy wybitna rola,jaką odgrywają w kołach wolnomyślicieli psychologowie i psychiatrzy.

Było w tym wiele intuicji psychologicznej,mającej swe źródło nie tyle w wiedzy teoretycznej,ile w praktycznym poznawaniu natury ludzkiej.Taką wiedzą praktyczną górują nad ludźmi nawet uczonymi jednostki zawdzięczające sztukę życia kulturze naturalnej,doświadczeniu pokoleń,jeżeli te doświadczenia odbywały się w tych samych warunkach życia rodzinnego i społecznego.Nieomylna jest ta wiedza w praktyce życia ludowego,a nawet szlacheckiego,zwłaszcza na Rusi, gdzie dotąd dużo pozostało pola dla rozwoju instynktów,nie mąconych kulturą wyższą.Praktyczna znajomość duszy ludzkiej ,oparta na bezpośredniej obserwacji,skoro trafi na talent odtwórczy,daje w rezultacie człowiekowi podstawy artystycznego naśladownictwa.

Zwłaszcza w zakresie objawów tak charakterystycznych jak zboczenia psychiczne.W życiorysach Piłsudskiego uwydatniony jest bardzo ważny fakt w jego życiu,że tylko dzięki niezwykłemu talentowi udawania pewnego typu obłąkania uratował się z więzienia rosyjskiego.Przeniesiony do szpitala pozostawał długo,pod obserwacją bacznych psychiatrów i potrafił ich w błąd wprowadzić.W tym świetle śmiesznie wyglądają przechwałki ludzi powołujących się na swoje pobieżne doświadczenia,zdobyte ze stosunków z Piłsudskim.

Sztuka poznawania Piłsudskiego była tym trudniejszą,że nie był on,jak już powiedziałem,monolitem w tych uwarstwieniach duszy,które stanowią jakby górną nadbudowę ponad instynktem.W tej części kraju naszego,gdzie się rodził i wychowywał Piłsudski,dwór szlachecki był produktem kultury bardzo mięszanej.Krzyżowały się tam z sobą przy kształtowaniu duszy dwa prądy tradycji:jeden z nich był litewsko-ruski z czasów Wielkiego Księstwa,drugi polski z czasów Korony,wiążącej się z Litwą państwowo,a potem usiłującej wpływem swoim tradycje litewskie w uszlachconych dworach przemóc.Ten proces pracy kultu-

ralnej typu jagiellońskiego nie został do naszych czasów ukończony. Widać to jaskrawo na Józefie Piłsudskim,w którym unja psychiczna polsko-litewska nie była kompletna.I to było dramatem jego jako męża stanu,że rozłamywał się.Był podwójny,jeśli chodzi o głos krwi, w każdej z tych dwu pozycji zgodny z sobą,ale podwójny.Chciał być pariotą polskim,ale w istocie był w stanie tylko ten patriotyzm naśladować według popularnych wzorów.W głębi duszy tęsknota rwała go na wschód,gdzie majaczyły się potomkowi Gedymina widoki wielkich zadań do spełnienia.

Później,gdy na uniwersytecie ogarnął go nowy prąd,mianowicie socjal-rewolucyjny i z programu swego kosmopolityczny,zrodził się w nim trzeci człowiek,ale już doktrynerski.Pozostała jednak ta sama krew,tętniąca nałogiem odwiecznych tradycji.Ten nowy człowiek przyszedł w sukurs nie tyle patriocie polskiemu,ile temu drugiemu patriocie litewsko-ruskiemu.

Kompleks socjalistyczny walki z caratem utrwalił się w Piłsudskim głęboko dzięki temu,że ów carat był spadkobiercą władców Moskwy, współzawodników rodu Gedymina o posiadanie ziemi ruskiej na dorzeczu dnieprowym.

Podziwiamy dziedziczony zmysł kierunku u ptaków,gdy lot przedsiębiorą.Podobny zmysł pozostał Piłsudskiemu po przodkach.Decydował on o jego orientacji politycznej,gdy doszedł do władzy w Polsce.

Podstawowy ten zmysł ustawiał go dość skośnie do spraw narodu polskiego,dla którego miał tylko sentyment literacko powstańczy po najbliższym pokoleniu i z atmosfery poezji romantycznej.Ten stosunek mógł już tylko grać,czyniąc próby przyciągania ku sobie polskiej opinii patriotycznej właściwą sobie metodą kokieterii,o której wyżej była mowa.Gdy jednak opinia zachowywała się wobec tych prób z nieufnością bardzo chłodną,kończyło się na tym,że odwracał się do narodu tyłem.

Taki stosunek skośny między Litwą i Koroną znamy z dziejów ostatnich stuleci.Umyślnie wprowadziłem do tego zarysu pamiętnikarskiego motyw z XVII stulecia w postaci Paska,aby uprzytomnić,że

~~dziejexkrajuxsąxwiernąxrzekąxniosąsąxjako~~

dzieje kraju są wierną rzeką niosącą jako nowość stare rzeczy ze świata dawnego.

Stosunki między dwiema częściami Unii zmieniły się korzystnie, gdy na przełomie XVIII i XIX wieku cywilizacja polska intensywnie na Litwie i Rusi pracowała i dawała nam stamtąd Kościuszków i Mickiewiczów. Ale potem wszystko legło ugorem, w jednostkach przechowujących trydycje dawne odradzał się dawny zmysł separatywny, naogół jednak działo się jeszcze gorzej, bo i ten zmysł ginął pod posiewem rusyfikacji. To dawne pole litewsko ruskie uprawiała w wieku XIX Moskwa, wykończyli swą kulturą żydzi. Rodziły się tam takie typy, jak Lednicki znany nam tutaj z poprzednich rozdziałów.

Piłsudskiemu na przełomie wieków XIX i XX przypadła rola nowa, gdy go porwał prąd trzeci - socjalistyczny, wytwór tej najnowszej cywilizacji rosyjsko-żydowskiej. Stał się w młodym wieku, gdy szkoły kończył, człowiekiem już nie podwójnym, ale potrójnym. Odtąd z tych troga pasem plótł warkocz swego żywota politycznego. I to był kunszt niełada, ale całkiem nie przydatny i wręcz złowrogi w tych warunkach odrodzenia Polski, kiedy gospodarzem twórczym państwa mógł być jedynie Polak monolitowy z ambicjami tworzenia państwa narodowego na starych, polskich fundamentach.

14. KONIEC LEGENDY.

Polsce potrzebne było na te czasy kierownictwo jednolite,płynące z konieczności zjednoczenia ziem tak długo pozbawionych łączności i niedostatecznie przedtem przetrawionych w polskiej kulturze.Wschodnia struktura Piłsudskiego potrzebie tej nie odpowiadała.Ale mniejsza o to.Najgorsze było to,że dojrzewanie Piłsudskiego przypadło na czasy propagandy socjalistycznej i że w niej szukał syntezy dla siebie i dla Polski.A to była ważna dziedzina jego psychiki i etyki,bo osobiście zdobyta.Zdobywał tutaj aparat świadomej siebie woli,wiedzę, jak ma kształtować swoją naturę i postępować w stosunku do społeczeństwa.

Jest sprawą wielkiej wagi w metodzie rozpoznawania czyjejś działalności,co dla niego jest środkiem,co celem.Kapitalne to w tym wypadku zagadnienie umyślnie było gmatwane w celu przedstawienia opinii narodowej,że celem akcji socjalistycznej Piłsudskiego było wywalczenie niepodległości Polski i że socjalistom za tę niepodległość należy się odbudowane państwo.Dosyć przeczytać Bolesława Limanowskiego "Historię ruchu społecznego w w.XX",aby spostrzec zasadniczą różnicę między programami socjalistycznymi z pierwszej połowy tego wieku,a programem polityki marxowskiej.Tam potrzebny był ruch,bo bez udziału ludu nie widziano sposobu odrodzenia Polski;tutaj potrzebne było odrodzenie Polski dla uregulowania w Polsce stosunków klasowych,bo to w niewoli wydawało się nie możliwe.Taka była różnica w ideowych schematach;nie poruszam tutaj kwestii,jaki użytek z tej idei robili posiłkujący się tą rewolucją żydo-masoni.

"- Trzeba dać ludziom - mówił Piłsudski - cel godny ofiar.Chcemy Polski niepodległej,abyśmy tam mogli urządzić życie lepsze i sprawiedliwsze dla wszystkich."[5]

Należałoby wiele miejsca poświęcić na dokładne zbadanie struktury duchowej tego człowieka ze wschodu,ze względu na rolę,jaką odegrał w Polsce w dobie tak ważnej,jako kierownik państwa,i to histor

riá zrobi beznamiętnie, gdy ustaną rygory legendy. Ja tylko, zaznaczam shemat, jak się ta postać wrysowała w moje o nim wyobrażenia siłą przeżyć. Wystarczy w tym szkicu portretowym ta wskazówka, że struktura owa składała się jakby z trzech pięter, z których najniższe określa go, jakim był w swojej pierwotnej, dziedzicznej naturze, jako człowiek wschodu, ze swoimi instynktami, które nie dochodziły do jego świadomości, a jednak o postępowaniu decydowały. Na tej podstawie najbliższe dziedzictwo i dzieciństwo ukształtowały w nim system uczuciowy w duchu tradycji powstaniowych, według sznura, jako pamiątki po złotym rogu. Na tym wszystkim - trzecia nadbudowa - aparat świadomości osobistej, rozumowania i woli - metoda socjalistyczna robienia z siebie użytku społecznego.

Cały ten trójpiętrowy lokal życia wewnętrznego był u Piłsudskiego niedbale, iście po białorusku, zagospodarowany i to zarówno pod względem intelektualnym, jak i moralnym. Do górnych swoich pięter gospodarz nie miał przywiązania, najmniej do komfortu duchowego. jeśli tak określimy potrzebę wewnętrzną ugruntowania życia na prawdzie. Wystarczał mu na osobiste potrzeby nie rafinowany żadnym wymaganiem duchowym prostacki sposób wyjścia z każdego zagadnienia duchowego, nie sromający się żadnego środka. Nie umiał być wielkim panem w tym swoim domu. Wszystko tam pozostawało w luźnym z sobą związku psychicznym, niczego właściwie nie lubił, czym się posiłkował. Nie lubił socjalistów, choć to byli jego najbliżsi, nie lubił żydów, nie lubił "obcych agentur", a jednak się nimi posiłkował dla swej "bajecznej kariery", którą tylko przy ich pomocy mógł zrobić. Potrzebni byli jego żądzy odgrywania w świecie wielkiej roli. Wystarczało to jego kompleksowi władania, że mógł tę rolę odgrywać, ale nie czuł skrupułu, że to go uzależnia i że nie jest wolnym wewnętrznie. Dzielił się z nimi pracą dziejotwórczą: oni tworzyli legendę, która wszystko wyrównywała, czyniąc z niego postać monolitową, on - sycił się żądzą chwały.

Tę niewybredność moralną wyhodowała z pierwocin niedbałej kul-

tury szkoła socjalistyczna,gardząca moralnością w przekonaniu,że wszystkiego można dokonać środkami mechanicznymi.Piłsudskiego ta edukacja socjalistyczna zrobiła "mechanikiem" i to bardzo elekttrycznym.W rezultacie w postawie jego pozostała tylko,jako najistotniejsza cecha jego indywidualności,żądza panowania,właściwie o d g r y - w a n i a roli panującego,według misji,którą mu ustalała legenda. On sam już nad tą legendą nie panował,pozwalając sobie jedynie na gierki poszczególne.Według tych gierek oceniać można jego poglądy osobiste,ogólna linia dziejów była już nie jego.Historia zapisze na jego dobro,że przeciwstawił się zakusom bolszewickim swojej bandy,narzucającej mu program rewolucyjny t.zw.Rządu Lubelskiego.Był szlachcicem litewskim,nie trzymała się go wiara w panowanie proletariatu,wolał się wesprzeć klamka zamku Nieświeskiego,czego zresztą nie mogły mu wziąć za złe loże obsadzone przez "konserwatystów".Wykwitował w ten sposób sforę socjalistów,chętnie godzącą się na odszkodowanie kosztem skarbu państwa.Płacił im hojnie posadami.Polska stała się łupem biurokracji,bogacącej się,swawolącej i używającej żywota.I to się stało treścią życia państwowego w ramach osobliwej konstytucji nadanej przez legendę.Było to życie reprezentacyjne, istny wodewil illustrowany muzycznie niemieckim marszem "Pierwszej Brygady".Zaginął gdzieś Złoty Róg,któryby wieścił jakąkolwiek ideę, wszystka energia psychiczna ucztujących biesiadników zużywała się na wzajemne toasty i objawy kultu dla amfitriona,wiecznego solenizanta Piłsudskiego,nie mogącego się nasycić widokiem stawianych mu na ziemiach Chrobrego pomników i pomniczków.

Legenda jest siostrzycą konspiracji.Ta zaś jest potrzebą i nałogiem tych,którzy ukrywają:grzech,złe zamiary lub pustkę swej duszy.Rządy Piłsudskiego dążyły do zupełnego zakonspirowania państwa w stosunku do narodu.Nałóg ten wyniesiony ze szkoły socjalistycznej, stał się istotą tych rządów.

Patrzyliśmy na te rządy i na gospodarkę biurokracji często ze śmiechem,częściej jednak z trwogą i grozą.Kazano nam wierzyć,że wszyst-

ko jest dobrze /"byczo"/,bo we wszystkim jest własna genialna kierownicza myśl Piłsudskiego.Taka była teza legendy.Wiedzieliśmy jednak,stojąc na gruncie rzeczywistości,co o tej genialności i o jej możliwościach myśleć.Piłsudski miał niewątpliwie nie mało w swej naturze przyrodzonego bogactwa,ale te talenty były bez kultury.Mężowi stanu niezbędna jest kultura myśli twórczej,zdobywana przez gruntowne wykształcenie humanistyczne.Dwa lata spędzone w prosektorium na wydziale lekarskim uniwersytetu w Charkowie - oto była cała sposobność wyższego kształcenia się metodycznego.Reszta młodości zeszła w podziemiach spisków studenckich,- na czytaniu tandetnych broszur socjalistycznych,wulgaryzujących idee Marxa czy Engelsa,wreszcie w bojówkach bandyckich,z których się wywiązała wkońcu idea kadrówek zbrojnych według wymagań nauki wojskowej.Ale i ta nauka była raczej samouctwem.Piłsudski,nawet gdy już był marszałkiem,oceniany ze stanowiska współczesnej wiedzy wojskowej,stał najwyżej na poziomie kapitana piechoty i to nie dyplomowanego.

Oczywiście ten zasób wiedzy nie był wystarczający dla człowieka mającego decydować o losach państwa w trudnych warunkach.Trzeba było nadrabiać sprawę za pomocą legendy.Ale co najfatalniej wypadło, że nie starczyło tej wiedzy na samokrytycyzm i że Piłsudski sam uwierzył w swoją legendę.Tak uwierzył w nadprzyrodzoność swoich darów i swego posłannictwa,iż śmiesznym mu się wydawało,aby ktokolwiek mu był potrzebny do pomocy.Umyślnie dobierał sobie ludzi byle jakich na premierów,aby uwydatnić swoją wielkość.Nie można tego tłumaczyć tym,że źle życzył Polsce i pragnął jej ruiny.Pochodziło to z zawrotu głowy na wyżynie przez legendę wyśrubowanej.Uwierzył w swoją cudotwórczość,w magiczną siłę swego nazwiska,swojej maciejówki na głowie.Świat zaś pochlebców koło niego miał zadanie w tym przeświadczeniu go utwierdzać.Każdy człowiek na stanowisku prezydenta czy szefa rządu,któryby się na serio coś istotnego dla kraju troskał,stawał się w jego oczach wrogiem jego "bajecznej kariery".To już była mania prześladowcza,którą wytworzyła od młodości emulacja z narodową demo-

kracją.W obawie panicznej,aby ta nie doszła do władzy,gdy widział, że na to się zanosi ,strzelał z armat do swego dawnego przyjaciela prezydenta Wojciechowskiego,gdy w drodze zamachu zapewnić sobie swobodną twórczość w krainie legendy.

Skłonny jestem jednak analizować głębiej tem chorobliwy kompleks obawy narodu,owego "narodu idiotów",który nie chciał zrozumieć jego wielkości.Legenda o tej wielkości i posłannictwie była wytworem koninktury międzynarodowej.Piłsudski wiedział,czemu zawdzięcza tę legendę.I tu była jego słabość,że ją wybrał na rozdrożu Magdeburskim,wiedząc że popełnia grzech wobec narodu.Tajemnica tej słabości odbierała mu równowagę i budziła nienawiść do wszystkich,którzy tę tajemnicę przenikali i osądzali.

Żądza panowania,xxxx rozigrana podczas wojny praktykami dowództwa wojskowego,była źródłem improwizowanej tam,w celi,przyszłej legendy o dowództwie narodu.Nie było tam przy nim księdza Piotra,któryby go egzorcyzmował,wypędzając z duszy pychę.Nie aniołowie go nawiedzali,jak Piasta.

Nie wytrzymał ucisku tej strasznej myśli:co będzie,gdy opuści okazję,gdy Rada Regencyjna odda władzę w Polsce komu innemu.Ukrył przed narodem prawdę,że doszedł na stanowisko na warunkach,podyktowanych z zewnątrz,z zastrzeżeniem tajemnicy przed narodem.

Być może warunki te odpowiadały jego własnym widokom politycznym tak,jak niegdyś jakiemuś Świdrygielle czy innemu księciu litewskiemu odpowiadała kombinacja polityczna szukania pomocy Krzyżaków w wyprawie na wschód.W ocenie tego faktu nie chodzi wyłącznie o to,czy ta kombinacja była błędem politycznym.Historia wybacza błędy.Można je naprawić przy pomocy narodu.W danym wypadku chodzi o stanowisko osobiste,czy rzecz zrobiona była w zgodzie z sumieniem.Czyn popełniony nie w zgodzie z sumieniem jest grzechem,nie błędem.Nie odmawialiśmy nigdy Piłsudskiemu[6/] patriotyzmu,to dawało nam prawo mniemać,że w danym wypadku miał poczucie grzechu.To poczucie grzechu odbierało mu potem przez cały czas rządów w Polsce równowagę ducha i wprowadzało

go w stan obłędnej walki z widmem narodu. Zamiast się do narodu zbliżać, jako jego sługa, krył się od niego poza mgły legendy. Coraz mniej było wzajemnego porozumienia, coraz więcej błędów. Działy się rzeczy karygodne i śmieszne. Skończyły się katastrofą.

To nie Polski koniec, to koniec legendy. A czy możnaby potraktować dzieje tej legendy z większą ironią, niż to zrobili jej twórcy, wstawiając dom więzienny, z Magdeburga ofiarowany, obok pałacu Belwederskiego. Zrobiono to pocichu, widocznie z zażenowaniem, ale musiano zrobić, bo nie wypadało daru tego odmawiać. Mamy więc w Polsce tradycje i pamiątki dwóch cel więziennych, które nam dziejami swymi uprzytomniają, jak dramatyczne odbywają się przełomy w duszy polskiej i jak dramatyczne są wogóle dzieje narodu. Przez zestawienie tych dwóch typów zrozumiemy, jak wysoko należy stawiać wzór męki Konrada Mickiewiczowskiego.

W kilka lat po śmierci Piłsudskiego, w dn. 2 stycznia 1939r. zmarł Roman Dmowski, człowiek, któremu wiele światła zawdzięczałem na drodze swgo życia przez lat pięćdziesiąt współpracy i przyjaźni. Wieść o jego śmierci nawiedziła mnie, gdym był w żałobie po żonie, która zmarła 2 września 1938 roku. Życie stało się mroczne i dziwnie pochyłe w dół, co nie było wrażeniem tylko osobistym. Atmosfera robiła się coraz duszniejsza im mniej było pierwiastków krzepiących ducha. Konała legenda, podtrzymywana makabrycznymi wprost manewrami z trumną Piłsudskiego i bajecznymi funduszami przeznaczonymi na pomnik. Co się z tymi funduszami stało, nie wiadomo, ale o to mniejsza; nie wiadomo, co się stało z linią testamentową polityki wodza. Na jego miejsce wprowadził się pod niebiosa legendy Śmigły-Rydz, budzący podziw nieporadnością myśli i gestu. Kazano wierzyć prezydentowi Mościckiemu, że testamentem Piłsudskiego gwarantowana była jego genialność i misyjność... Dość, że po dłuższych korowodach z ustaleniem hierarchii w roku nieszczęsnym 1939 u szczytu hierarchii państwowej pod kopułą legendy znalazło się czterech mężów rzekomo jednomyślnych: Mościcki, Śmigły-Rydz, Beck, i Kwiatkowski, jednomyślnych pod tym względem, że każdy myślał tylko o tym, który też z nich zostanie prezydentem obrany w r.1940.

Otóż w chwili śmierci Dmowskiego dystans między legendą odrębności świata państwowego a rzeczywistością narodową był tak wielki, że kierownicy Polski uznali za stosowne zignorować żałobę narodu. Naród był już dla nich jakąś partią, z którą się nie gada. Istniało tam poczucie, że *xzz z "rzeczywistością" społeczną trzeba mieć jakiś kontakt i w tym celu po długich korowodach wymyślono rodzaj ambasady w postaci t.zw. OZON'u /Obóz Zjednoczenia Narodowego/. Ten jednak reprezentowany przez gen. Skwarczyńskiego i pułkownika Wendę, zdołał porozumieć się jedynie z żydami i z niektórymi żywiołami bezpartyjnymi, cała zaś jego odpowiedzialność skierowana była ku temu, aby wyeliminować z życia publicznego nacjonalistów. Dmowski i jego obóz uznani zostali za mocarstwo, z którym państwo polskie pozostaje w stanie wojny.

Jak na to patrzyła opinia publiczna, charakteryzuje to fakt, że na pogrzebie Dmowskiego, będącym olbrzymią manifestacją uczuć narodowych, dawano głośno wyraz uczuciu ulgi, że wśród delegacji nie było nikogo z rządu, a przeto nie było w tej uroczystości żadnej dwuznaczności politycznej.

Dotykam tego przedmiotu nie dla wyrażenia żalu, czy pretensji pod adresem władz ówczesnych, lecz dla scharakteryzowania tego absurdu, w jaki legenda uwikłała gospodarzy kraju doktryną swoją o państwie jako maszynie, mającej byt niezależny od żywych sił narodu. Legenda nie wiązała ich z narodem.

Mniejsza o obrzęd styczniowy. Nie dziwiono się w kraju osiem miesięcy później, że tych ludzi z legendy nie widziano gdy naród był w potrzebie.

Dla czego pióro moje skręca ustawicznie na sprawę tego dramatycznego rozdwojenia, upostaciowanego symbolami dwóch nazwisk: Piłsudskiego i Dmowskiego. Bo myśl moja dąży w tym kierunku, jak uleczyć dalsze dzieje Polski z tej krzywdy, jaką im zrobiło wtargnięcie do życia politycznego wychowanków szkoły socjalistycznej.

Życiu zbiorowemu potrzebna jest opieka ojcowska. Naszym zastarzałym "studentom" z doby rewolucyjnych knowań szkoła ta zatrzymała pro-

ces dojrzewania duchowego. Jako działacze polityczni wychodzili z fałszywego założenia, że misją ich jest przeciwstawienie się rzeczywistości. Wszystko szło jako tako w myśl tej doktryny, póki wykazywali się z bohaterstwa w bojówkach; gdy zaś przyszło do realizowania ideałów w życiu, pokazało się, że twórcza ich przedsiębiorczość starczyć może je jedynie na stworzenie koryta dla dawnych bojówek i ...legendy dla wodza. Rzeczywistość zaś podąża swoim torem, poza nimi, wbrew nim, pomimo krzywd przez nich wyrządzonych.

Zaczyna się to rozdwojenie od rzeczy psychicznych na pozór drobnych. Wychodząc z założenia walki, nie współpracy, ludzie tego typu zażegają w sobie uczucia niechęci względem przeciwnika aż do nienawiści. Przeszkadza to im obiektywnie patrzeć i wiedzieć coś o rzeczywistości. Ci, którzy się odgradzają od świata antypatią, zatracają w sobie możność kierowania życiem zbiorowym, które - jako jedność psychiczna - jest wytworem uczucia sympatii, to znaczy zdolności wzajemnego wyczuwania się i wyrozumienia.

Ludzie ze świata legendy przyjęli śmierć Dmowskiego obojętnie. W większości swojej dlatego jedynie, że nic o nim nie wiedzieli - tak hermetycznie zamknięci byli od świata rzeczywistości polskiej, nie znali jego zasług, wogóle nie znali historii Polski nowoczesnej. Dopiero widok wspaniałej manifestacji żałobnej nad grobem wielkiego Polaka dał im do myślenia. Rzucono się na czytanie pism Dmowskiego, wydawanych właśnie w owym czasie przez księgarnię Gnachowskiego. Nasuwało się mimowoli porównanie z oficjalnie kolportowaną literaturą Piłsudskiego...

Trzeba było tego zestawienia dwu mogił, aby młodsza generacja, odciągana w świat legendy, uprzytomniła sobie, gdzie prawda, gdzie zwodzenie na manowiec.

Niestety, było już za późno na ratowanie zakonspirowanego przed narodem państwa. Na ścianie ukazała się ręka, która zakręciła światło. I stała się noc na scenie legendy. Przypomina się końcowa scena "Wyzwolenia " Wyspiańskiego z wyciem Eumenid.

Tę scenę zostawiam pamiętnikarzom innym. Więcej już pisać nie mogę.

Przypisy.

1/ Egisto de Andreis.

2/ Odpowiedź na skargę apelacyjną Lednickiego pisałem sam i ogłosiłem ją podczas rozprawy w całości w "Gazecie Warszawskiej". Przemówienie moje wygłoszone w Sądzie Apelacyjnym, wydrukowałem w "Przeglądzie Wszechpolskim" w zeszycie majowym w r.1925. O udziale Romana Dmowskiego w procesie i o związku, jaki zachodził między tym procesem a dziełem Dmowskiego "Polityka polska i odbudowanie państwa" pisałem w miesięczniku "Polityka Narodowa, nr.1-2 z r.1939.

3/Pismo to ogłoszone było między innymi w "Gazecie Warszawskiej" w nr.40 z 9 lutego 1925r.

4/"Parlament i rząd w Polsce niepodległej. Rok 1918" Warszawa 1938.

5/ Wacław Sieroszewski: "Marszałek Józef Piłsudski. Zyciorys".

6/ Ob. "Historia szlachetnego socjalisty"/Sk-Dmowski/ Prz.Wszechp. 1903. Nekrolog mego pióra w "Myśli Narodowej".

D O D A T E K

Bibliografia.

Dodatek

B I B L I O G R A F I A

Dla uzupełnienia życiorysu,gdy główny rysem życia było pisarstwo,wypada dodać bibliografię zarówno pism autora,jak i tego,co o nim i jego pracach pisano.Co do pism ograniczyć się wypadnia wyliczeniem tego,co się ukazało w wydaniach osobnych w postaci książek czy broszur.Autor nie mógłby się podjąć sporządzenia bibliografii artykułów,które jako dziennikarz ogłaszał w czasopismach.Najwięcej ich znajduje się w tych wydawnictwach,które sam redagował.Spis tych wydawnictw podany jest na końcu.Nie było takiego działu i takiej rubryki,którejby jako redaktor piórem swym nie uzupełniał bezimiennie lub podznaczając jakkolwiek.Większe rozprawy,niektóre felietony weszły w skład książek.

W poniższym wykazie bibliograficznym znalazły się więc w części A/ tylko wydania osobne,wdziale zaś B/ recenzje z tych wydań, o ile dało się je skompletować.W tym miejscu podany jednak spis pierwszych druków w czasopismach według notatki zrobionej w swoim czasie przez autora.Pierwociny te pisarskie są przez to charakterystyczne,że prawie wszystkie dotyczą badań życia ludu wiejskiego.

GŁOS.Pierwszy druk pojawił się w G ł o s i e,redagowanym przez J.Potockiego i Jana Popławskiego.Była to korespondencja z Łukowa - w nr.35 z r.1888,podpisana pseudonimem W.Głuchowski.W tymże roku w nr.45 i 46 artykuł "Z życia wsi".W r.1889 nr.12 kor.z Łukowa /W.G./ i w odcinku nr.23 i 24 przekład noweli Szczedryna p.t."Aniołek". W r.1890 do spółki z Antonim Potockim:"Kwestionariusz w sprawie czytelnictwa ludowego" /nr.21/.Listy ze wsi /z Jaksic/ w nr.38,39,40 i 42,oraz nekrolog Oskara Kolberga w nr.25 /W.Z./.W r.1891 w nr.2 z dziedziny etnigrafii.W nr.32,33,34,36 "Z listów do przyjaciela na prowincji".W nr.39 i 40 "Muzea prowincjonalne":I Na Syberii,II We Francji.

WISŁA.t.III /1889/.Stosunki społeczne w Jagodnem,s.67.Wieśniaczka z okolic Łukowa /do ryciny/ s.303.Sprawozdanie z Muzeum Etn./ze-

szyt 4/.W t.VI /1892/ Szopka i herody.Materiały do dziejów teatru ludowego s.564 - 586.Przyczynek do etnografii Krakowiaków S.184 i 300.Cyganie,s.402.

PRACE FILOLOGICZNE.t.V.Słowniczek wyrazów ludowych we wsi Jaksice,s.90 - 98.Motyw z Jagodnego w obrazku "Suplikacje" w U p o m i n k u ,książce zbiorowej na cześć E.Orzeszkowej,Kraków 1893,s55

Do bibliografii we wstępie.

Dodam tutaj jeszcze kilka pozycji z poza czasopism,które redagowałem:

W książce:Lucjan Zarzecki "Wychowanie narodowe" Warsz.1926 /pod redakcją Z.Wasilewskiego i W.Wąsika/ dodana na końcu moja rozprawka:"Myśl wychowawcza L.Zarzeckiego".

W kalendarzu fabryki "Tlen" na r.1907.Lwów art."Skąd sympatia do Tlenu."

W książce:Józef Lutosławski "Chleb i Ojczyzna" 1919.Przedmowa.

W książce bułgarskiej:Jan Kasprowicz "Himni".Przekład Dory Gabe-Penew.Sofia 1924.Przedmowa.

W "Rivista di litteratura Slave".Roma 1926 Tom I zesz.1-2 artykuł Jan Kasprowicz.

W kalend.Wileńskim na r.1904 /?/ /wydanym za kordonem pod red. Zyg.Balickiego/ rozprawa "Uniwersytet w oblężeniu"/to samo potem w książce "Śladami Mickiewicza"/.

W katalogu jubileuszowym księgarni Westa w Brodach - art."O "O książce bezdomnej"

O potrzebie łącznika między muzeami,przez Z.W,Lwów 1894,fol.s. nlb.2.Odb.ze Słowa Polskiego.

O potrzebie łącznika między polskimi zakładami muzealnymi i bibliotekami.Lwów 1894,s.6.Pamiętnik Zjazdu Literatów i Dziennikarzy Polskich.

A/ PRACE W WYDANIU KSIĄŻKOWYM

1. JAGODNE /wieś w pow.łukowskim,gminie Dąbie/.Zarys etnograficzny. Skreślił ....Z zapomogi Kasy im.Mianowskiego.Biblioteka W i s ł y tom IV.Warszawa 1889 /rysunki Jana Wasilewskiego/.Str.251 i 3 nl. T r e ś ć:A.Przyroda. B.Lud.Charakterystyka zewnętrzna.Charakterystyka wewnętrzna./Charakter,inteligencja,stosunki towarzyskie, społeczne,moralność,wyobrażenia religijne,zwyczaje,twórczość,lecznictwo,słownik/.
2. KWESTIONARIUSZ W SPRAWIE CZYTELNICTWA LUDOWEGO.Napisali Antoni Potocki i Zygmunt Wasilewski.Wydawnictwo "G ł o s u ".Warszawa 1890. Str.24.
3. W SPRAWIE OŚWIATY LUDU WIEJSKIEGO. Napisał ... Odbitka z N o w e j R e f o r m y.Kraków 1892.Nakładem wyd.N o w e j R e f o r m y. Str.40.
4. RZUT OKA NA DZIEJE MUZEUM NARODOWEGO W RAPPERSWILU./1869-1893/. Odbitka z t.IV Albumu Muzeum Nar.w Rapperswilu.Kraków 1894.Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswilu.Str.XVI i 87 /Bezimiennie/. T r e ś ć:Słowo wstępne / przez Zygmunta M i ł k o w s k i e g o/. I Organizacja zakładu 1869-1889.II.Działalność do r.1889.III.Okres zbiorowego zarządu 1889-1893.IV.Wykazy statystyczne,ustawy,listy członkó i ofiarodawców.
5. KATALOG ZBIORÓW KOŚCIUSZKOWSKICH W MUZEUM NARODOWYM W RAPPERSWILU. Odbitka z IV t.Albumu Muzeum narodowego w Rapperswilu.Kraków 1894. Nakładem Muzeum Narod.w Rapperswilu.Str.43./Bezimiennie/.
6. SPRAWOZDANIA ROCZNE Zarządu Muzeum Narodowego w Rapperswilu z lat 1892,1893,1894.Druk Reiffa w Paryżu./Bezimiennie/.
7. PROMIENIŚCI,FILARECI i ZORZANIE.Dokumenty urzędowe dotyczące towarzystw tajnych na Litwie /1822-1827/.Wydał ... Kraków 1896.Nakładem Akademii Umiejętności.Odbicie z IX tomu A r c h i w u m do dziejów literatury i oświaty w Polsce.Str.132.

   T r e ś ć:Cz.I.Akta Komisji śledczych w sprawie towarzystwa Promienistych /1822-24/.Cz.II.Akta dotyczące procesu Zorzan /1826-1827/

8. POMNIK MICKIEWICZA W WARSZAWIE. Warszawa 1899, s.131 z ilustracjami

9. WARSZAWA WSPÓŁCZESNA w dwunastu obrazkach. Szkicował P r z y g o d - n y. Lwów 1903. Nakładem Tow. Wydawniczego. Str. 160.

T r e ś ć: Widok miasta. Ruch uliczny. Opieka policyjna. Życie publiczne. Szkoły. Życie towarzyskie. Cezura. Nauka i literatura. Prasa. Świat artystyczny. Stan umysłów. Perspektywa.

10. NOWY KONRAD. Rozbiór "Wyzwolenia" St. Wyspiańskiego. Lwów 1903. Nakładem Tow. Wydawn. Str. 75.

11. SPÓR O SŁOWACKIEGO. Zagadnienia nauki i kultury. Lwów 1905. /Odbitki ze S ł o w a P o l s k i e g o/. M. Altenberg. Str. 37.

12. ŚLADAMI MICKIEWICZA. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu. Lwów 1905. Nakładem Tow. Wydawn. Str. III i 300.

T r e ś ć: Przedmowa. Szkoły w Polsce a twórczość poetycka. Szkoła w oblężeniu. Mickiewicz i Słowacki jako członkowie Tow. Litewskiego i ziem ruskich. Psychologia pomysłu "Pana Tadeusza". O ton w poezji i w życiu. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. Nowy Konrad. Śladami Mickiewicza. Goszczyński o Mickiewiczu.

13. OD ROMANTYKÓW DO KASPROWICZA. Studia i szkice literackie. Lwów 1907. Nakładem Tow. Wydaw. Str. 475.

T r e ś ć: Narodziny poety romantyka /Lata dziecinne S. Goszczyńskiego/1801-1819/. Kolenda polska z przed 50 lat. Do Waterloo. Spór o Słowackiego. Kult poety. Adolf Dygasiński. Artyści w negliżu powieściowym /Jaroszyński T./. Antoni Kurzawa. Z niwy dramatycznej /Rydel, Rittner, Przybyszeski, Krzywoszewski, Żuławski, Gorczyński/. Liryzm Kasprowicza.

14. LISTY DZIENNIKARZA w sprawach kultury narodowej. Lwów 1908. Nakładem Tow. Wydaw. StrVIII i 251.

T r e ś ć: Przedmowa. O kulturze duchowej. Moje kolendy. Bezwład ducha. Nasza nędza. Gorzkie żale. Na cmentarzu. Poczucie estetyczne żywej trydycji /Wyspiański/. Poczcie estetyczne osobowości narodowej. O zawodzie pisarskim. Semtyment w przemyśle. Partykularyzm. O rąbaniu drew i czapkach frygijskich. Naród się zgubił. O kulturze sumienia. O panu postępowym. Nieco o zmyśle samozachowawczym. Poczucie rozstroju. Głos

komendy.Biurokratyzm.Trzeba chcieć żyć.Do słońca.

15.O SZTUCE I CZŁOWIEKU WIECZNYM.Lwów 1910.Nakładem Tow.Wydawn.Str.VI i 186.

T r e ś ć:Przedmowa.Opowieść a poezja.Poeta w apoteozie narodowej. /Słowacki/ Monsalwat czy Golgota.Między poezją a czynem.Spór o człowieka.

16.SEWERYN GOSZCZYŃSKI W GALICJI.Nieznane pamiętniki poety i utwory 1832-1842/ Wydał... Lwów 1910.Nakładem S ł o w a P o l s k i e g o.Rzeczy ciekawe i pożyteczne t.II /Dodatek arkuszowy do Słowa Polskiego/.Str.160.

17.Z ŻYCIA POETY ROMANTYCZNEGO.Seweryn Goszczyński w Galicji.Nieznane pamiętniki,utwory i listy.Z 2 portretami i faks.Lwów 1910.Nakładem Tow.Wydawn.Str.207.

T r e ś ć:Przedmowa.Wspomnienia Goszczyńskiego z r.1832-1842.Proroctwo ks.Marka.Memoriał i korespondencja Goszczyńskiego z Tow. Demokratycznym.Pościg policyjny.Stosunki literackie.

18.PISMA S.GOSZCZYŃSKIEGO.Wydanie kompletne,uzupełnione pismami pośmiertnymi.Pod redakcją ..... Tom I z portr.poety.Str.XI i 319. Tom II Str.340.Lwów 1904.Nakładem Tow.Wydawn.

Nakład dalszych tomów przerwany.

T r e ś ć:T.I Powieści wierszem.Pierwociny poetyckie.T.II Pieśni Ossjana.Tom II ze zmienioną kartą tytułową wznowiono potem jako osobne dzieło:

PIEŚNI OSSJANA w przekładzie Sew.Goszczyńskiego.Wyd.poprawione pod red.Z.W.Lwów 1911.Nakładem Tow.Wydawn.Str.340.

19.DZIEŁA ZBIOROWE SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.Wydał....Lwów /1911/.Nakładem Księg.H.Altenberga.Str.XXXII i 579 in 4°-/dwuszpalt/.oraz portret.

TO SAMO w 4 tomach.Każdy tom z innym portretem:

Tom I.Poezje liryczne.Str.XLVIII i 346.-Tom II.Powieści.Str.395.-Tom III.Podróże i rozprawy literackie.Str.392.-Tom IV.Pisma polityczne.Utwory po przełomie religijnym.Bibliografia.Str.381.-

20. W OBRONIE POLSKIEJ STACJI ZAGRANICZNEJ. Sprawa Rappersswilu w świetle publicystycznym. Lwów 1911. Nakład S ł o w a P o l s k i e g o. Str. ~~182~~. 89.

21. MYSL PRZEBUDOWY. Rozmowy z młodym przyjacielem. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 167.

T r e ś ć: I. N a p o z i o m i e o g ó l n y m: 1. Zagrożona budowa, 2. Linia wytyczna ideału, 3. Dwa patriotyzmy, 4. Dusza bez stylu, 5. Zachwiane podstawy moralne. II. W ś r ó d m ł o d z i e ż y. 6. Wychowanie szkolne a szkoła życia, 7. Umysłowość estetyczna, 8. Umysłowość intelektualistyczna, 9. Wyobraźnia bohaterska. III. W s t o s u n k u d o l i t e r a t u r y: 10. U szczytów umysłowości, 11. Nasz mechanizm umysłowy, 12. Stan umysłów w dzielnicach, 13. Rzekomy prometeizm, 14. Położenie literatury, 15. Widoki odrodzenia umysłowego. IV. O d p o d s t a w d o p o d s t a w. 16. Nawrót do pracy, 17. Prawo budowy wewnętrznej, 18. Ugruntowanie psychiczne, 19. Styl przebudowy narodowej, 20. Zamknięcie.

22. ORJENTACJA WEWNĘTRZNA. Luźne kartki. Z portretem autora. Moskwa 1916 Wydawn. Gazety Polskiej. Str. 4 nlb. i 272.

T r e ś ć: 42 felietony ze S p r a w y p o l s k i e j /Petersburg/.

23. Siły czynne polityki polskiej przed Wielką Wojną. DEMOKRACJA NARODOWA. W dwudziestolecie programu Stronnictwa / 1897-1917/ Skreślił... Piotrogród 1917. Nakładem grupy D.N. na wychodźctwie. Str. 51.

24. NA WSCHODNIM POSTERUNKU. Księga pielgrzymstwa 1915-1918. Warszawa ~~1918~~ 1919. Nakład Księg. F. Wende i S-ka. Str. IX i 559.

T r e ś ć: Przedmowa. Cz. I Orientacja wewnętrzna. Cz. II. Droga krzyżowa, Cz. III. Dusza rosyjska. Cz IV. Motywy i osobistości. Ogółem 70 felje tonów.

25. O ŻYCIU I KATASTROFACH CYWILIZACJI NARODOWEJ. Wstęp do rozważań nad programowymi zagadnieniami doby obecnej. Warszawa 1921. Nakład Księg. Perzyński, Niklewicz i S-ka. Str. 4 nlb. i 172.

T r e ś ć: Kultura i cywilizacja. Pierwiastek organiczny w psychice. Dusza jako zegar dziejów. Rola geniusza. Jaźń narodowa. Kultura ludo-

wa.Wpływ cywilizacji obcych.Naród to jego cywilizacja.Rola inteligencji.Prawo niepodległości.Chrześcijaństwo a bolszewizm.Idealizm i materializm.Nauka Mickiewicza o cywilizacji.Demokratyzm narodowy. Polska w r.1920.Zamach socjalistów na dzieje.Pseudoromantyzm socjalistyczny.Wnioski programowe.

26.MICKIEWICZ I SŁOWACKI.Warszawa 1921.Nakład Gebethnera i Wolffa.Str. VIII i 343.

T r e ś ć:Zatarg rozumu z uczuciem.Mickiewiczowski motyw grobu.Mickiewicz i Słowacki jako pamiętnikarze.Psychologia pomysłu "Pana Tadeusza".Dramaty wyobraźni poetyckiej.Mickiewiczowska synteza w działaniu.Pomyłki krytyki literackiej.Spór o Słowackiego.Konrad Wyspiańskiego.Po stu latach.

27.JAN KASPROWICZ. Zarys wizerunku.Warszawa 1923.Nakład Gebetnera i Wolffa.Str.401.Z portretem poety.

T r e ś ć:Przedmowa.I.Zjawisko literackie. II.Osobistość. III.Poeta.

28.SEWERYN GOSZCZYŃSKI.Szkice literackie.Poznań 1923.Nakład Księg.Św. Wojciecha.Str.279.

T r e ś ć:Przedmowa.Szkic biograficzny.Lata dziecinne.Pierwsze utwory.Stosunki ze Słowackim.Stosunki z Mickiewiczem.Na pobojowisku. /Waterloo/.Ostatnie akordy.Mogiła.

29.WSPÓŁCZEŚNI.Charakterystyki pisarzy i dzieł.Warszawa 1923.Nakładem Gebethnera i Wolffa.Str.343.

T r e ś ć:Przedmowa.Pisarze polityczni.Popławski,Dmowski,Balicki. Powieściopisarze:Prus,Sienkiewicz,Dygasiński,Weyssenhof,Karczewski, Tetmajer,Jaroszyński.Teatr:Wyspiański,Rydel,Żuławski,Przybyszewski, Rittner,Krzywoszewski,Gorczyński.

30.PROCES LEDNICKIEGO.Fragment z dziejów odbudowy Polski,1915-1924.Według stenogramów opracował,wstępem o przypisami opatrzył.....Warszawa 1924.Nakład Gazety Warszawskiej.Str.512.

31.DYSKUSJE. Poznań 1925.Nakł.Księg.Św.Wojciecha.Str.232.

T r e ś ć:Przedmowa.O idei jako wartości życia.Życie szkoła i szkoła życia./odczyt/.Sekret człowieka twórczego.Automatyzacja i twórczość.Idea pracy.Bezdroża metafizyki.Rozbrojenie duchowe narodu.Pro-

paganda epimeteizmu.

32.DZIESIĘCIORO WSKAZAŃ.Warszawa 1925.Odbitka z "Haromistrza".Str.16.

33.WSPOMNIENIA O JANIE KASPROWICZU I STEFANIE ŻEROMSKIM. Warszawa 1927 Nakł.Gebethnera i Wolffa.Str.168.

T r e ś ć:O portret poety.Psychika Kasprowicza.Góry w poezji.Nad mogiłą.Wspomnienia.Po śmierci Żeromskiego.Dramat twórczości Żeromskiego.Wspomnienie o Żeromskim.

34.POECI I TEATR. Spostrzeżenia.Warszawa 1929.Nakł.Gebethnera i Wolffa. Str.237.

T r e ś ć:O zjawisku literackim i krytyce.St.Wyspiański.L.Staff.K. Teatr: Bronczyk, Erben, Fredro, Grubiński, Ibsen, Kiedrzyński Iłłakowiczówna.Langer.Mickiewicz /Dziady/.Miłaszewski.Nowaczyński. Perzyński.Przybyszewski.Schiller /Zbójcy/.Shaw.Słowacki /Mazepa/. Sen srebrny,Zborowski,Król Agis/.Szaniawski.Ulanowski.S.I.Witkiewicz Wroczyński.Zegadłowicz.Żeromski.

35.WNUKOM O PRADZIADKU. W stulecie powstania listopadowego.Warszawa 1930.Nakład Gebethnera i Wolffa.Str.141.

T r e ś ć:Życiorys generała Józefa Wasilewskiego./1759-1831/.

36.PIEŚŃ W GÓRACH. Warszawa 1930.Nakład Tow.Wydawn."Patria".Str.172.

T r e ś ć:Przedmowa o wpływie gór na psychikę.Do słońca /Kosów/.U źródeł /Nad Olzą/.Tragedia muzyka /Karłowicza/.Poeci w Tatrach.Na wyżynach kultury.

37.PRZEŁĘCZ KASPROWICZA. Warszawa 1931.Odbitka i M y ś l i N a r o d o w e j.Str.24.

38.NORWID. Warszawa 1935.Nakładem prenumeratorów.Str.215.

T r e ś ć:Szkic monograficzny:charakterystyka natury człowieka jako artysty,życia,ducha czasu,ideologii i twórczości.

39.ASPAZJA ALCYBIADES. Z dziejów powieści warszawskiej.Warszawa 1935. Nakładem autora.Str.128.

T r e ś ć: 1.Ideały.Warszawa literacka po r.1831. 2.Morena:Nowele Al.Tyszyńskiego. 3."Poganka" Narcyzy Żmichowskiej. 4.Narcyza Żmichowska. 5.Pierwowzór Aspazji p.Kalergis. 6.Alcybiades:Norwid w masce Edmunda. 7.Literatura i życie.

PRACE REDAKTORSKIE.

1. "Głos", tygodnik. Warszawa, od października 1895 do końca 1899r.

2. "S ł o w o P o l s k i e" dziennik. Lwów. Od marca 1902 do czerwca 1915.

3. "S p r a w a P o l s k a", tygodnik. Petersburg. Od października 1915r. do końca 1917r.

4. "P r z e g l ą d P o l s k i", dziennik. Kijów. 1918.

5. "G a z e t a W a r s z a w s k a", dziennik. Od listopada 1918 do marca 1925r.

6. "M y ś l N a r o d o w a", tygodnik. Warszawa. Od października 1925 do września 1939r.

7. "P a m i ę t n i k K o ł a K i e l c z a n", roczniki 1927-1935/6 tomów.

8. "A l b u m M u z e u m N a r. w R a p p e r s w i l u" 2.IV.1894.

Przygotowane do druku książki:

1.	Przekazy XIX wieku /artykuły z czasopism/	1938
2.	Załamanie /1926//art.publ.z czasopism/	1938
3.	Jan Kasprowicz /Wyd.II uzupełnione o 12 rozdz./	1943
4.	Życiorys /pamiętnik/ 1865-1939.	1940 1940
5.	Listy R. Dmowskiego /poprzedzone rozprawą/	1941
6.	Lwów przodujący 1895-1914.	1942
7.	O sposobie pojmowania psychiki narodowej.	1943

B. ODGŁOSY RECENZYJNE.

OGÓLNE CHARAKTERYSTYKI.

J.E.S k i w s k i:Poza wieszczbiarstwem i pedanterią.Poznań 1929,s.11. T.B.S yg a:Krytyka tworząca.Rzecz o Zygmuncie Wasilewskim.Polska Literacka,r.1929,nr.1.-Ign.C h r z a n o w s k i:Z.Wasilewski o Kasprowiczu.Gaz.Warsz.,r.1931,nr.388 /przedruk z czasop.Slavia ,r.1931.-T.R u ś k i e w i c z:Zygmunt Wasilewski.Księga Pamiątkowa Kielczan , r.1925.-Włodzimierz W n u k:Wielki wychowawca.Wszechpolak ,r.1938, nr.18.-S.K o ł a c z k o w s k i:w uzupełnieniu Współcz.Liter.Pol.-W.F e l d m a n a.Kraków 1930,s.686. O s t a p O r t w i n /K a t z e n e l l e n b o g e n/:Redaktor Wasilewski w roli fotografa.Głos.Lwów 1907,nr.21-22.-I g n a c y C h r z a n o w s k i:Zygmunt Wasilewski jako krytyk.Tyg.Ilustr.1910,nr.46.-G a b r i e l K o r b u t:Literatura polska popowstaniowa. Warsz.1931,s.74.-T a d e u s z G r a b o w s k i:Wasilewski laureatem Akademii Umiejętności.Kurier Poznański, 1935,nr.287.-Z powodu nagrody literackiej.Prosto z mostu.Warszawa 1938 nr,21 i 23.-J a n Z a ł u s k a:Pół wieku pracy.Zorza 1938,nr.22.-Al.R o g a l s k i:Z.Wasilewski. Orędownik z 16.V.1938.-Stan.C y w i ń s k i:O Z.Wasilewskim i jego książce ostatniej. Dziennik Wileński 1929,nr.124.-

"Z okazji nagrodzenia Zygmunta Wasilewskiego"/dwa artykuły/ I.Stefana Kołaczkowskiego i II.Zbigniewa Szczeniowskiego. Marchołt ,kwartalnik,Warsz.lipiec 1938,str.494-502.-Ignacy Chrzanowski :Z.Wasilewski jako krytyk literacki oraz "Księga pielgrzymstwa" w dziele "Studia i szkice literackie" ,t.II.str.302-313.Kraków 1939.-

Warszawa współczesna /Przygodny/1903.

T/adeusz/[redacted] G/rużewski/ Przegląd Wszechpolski Kraków 1903,str.70.

JAGODNE,Warszawa r.1889.

A.G.B e m,Prawda,Warszawa 1889,nr.42.-Przegląd Katolicki,Warszawa 1889 nr.35.- N.J a n c z u k,Warszawskij Dniewnik,Warszawa 1889,nr.245. R a f a ł L u b i c z/Hieronim Ł o p a c i ń s k i/.Życie.Warszawa 1889,nr.43.- A d o l f C z e r n y:Athenaeum. Brezen 1890.-

OD ROMANTYKÓW DO KASPROWICZA,Lwów 1907.

Br. C h l e b o w s k i:Książka,Warszawa 1907,nr.3.- G.B a l i c k a-I w a n o w s k a:Myśl Polska ,Warszawa 1907,nr.8.-Z d zisław D ę b i c k i:Biblioteka Warszawska 1907,T.III,zesz.1.-Ignacy C h r z a n o w s k i:Studia literackie Wasilewskiego.-Gazeta Polska,Warszawa 1907,nr.54.- T a d e u s z K o n c z y ń s k i:Z krytyki polskiej,Kurier Warsz.1907,nr.106.- A.S c h r o e d e r: Kurier Poznański ,1907,nr.44.-K.B a r a n o w s k i:Nasz kraj .Lwów 1907,zeszyt 9.-/Wł.R a b s k i/. Kurier Warsz. 1906,nr.329.-Goniec Poranny,Warszawa 1907,nr.184.-

SPÓR O SŁOWACKIEGO,Lwów 1905.

J ó z e f K o t a r b i ń s k i: Nowa Gazeta.Warszawa 1906,nr.22.-

MYŚL PRZEBUDOWY.Lwów 1913.

Słowo Polskie.Lwów r.1912,nr.60 i 72. /Streszczenie dwu odczytów autora/.-H.Sk.Ziemianka Polska. Lwów r.1913,nr.3 /marzec/.B o l e s ł a w K o s k o w s k i:Jak żyć.Kurier Warszawski.,r.1913,styczeń. To samo. Przegląd. Lwów r.1913,5 stycznia. /L u d w i k M a s ł o w s k i/.-St.K o z i c k i:Myśl przebudowy.Gazeta Warszawska.r.1913,nr.113.-J u l i u s z K l e i n e r:O strukturę duchową jednostki polskiej i narodu polskiego. Kronika Powszechna. Lwów r.1913,nr.24-25.-Przegląd Bibliot.r.1913,nr.1.-/A g s/ Czas.Krak. r.1912,dn.31 grudnia.-Słowo Polskie r.1912,nr.581.- Gazeta Lwowska r.1912,nr.275.-S t a b i l i s /W.K o s i a k i e w i c z ?/:Obława na chimerę. Słowo.Warszawa r.1912,nr.89.-T e n ż e:Przebudowa.Słowo.Warszawa r.1913,nr.99.-Odpowiedź autora S t a b i l i s o w i.Słowo Polskie. Lwów r.1913,powtórzona w Przeglądzie Narodowym. Kraków r.1913,nr.6.

ŚLADAMI MICKIEWICZA. Lwów 1905.

Goniec /wieczorny/.Warszawa r.1907.nr.38.-Al.B r ü c k n e r:Książka.. r.1905,nr.6.- Wład.J a b ł o n o w s k i: Gazeta Polska. Warszawa r. 1905,nr.62.

MICKIEWICZ i SŁOWACKI. Warszawa 1922.

J/a n/ R/e m b i e l i ń s k i/: GazetaPoranna.R.1922,nr.117.-Mieczysław S m o l a r s k i: Kurier Poznański

M i e c z y s ł a w S m o l a r s k i: Kurier Poznański. r. 1922, nr. 114. Rzeczpospolita. R. 1922, nr. 68. - Gazeta Warszawska. R. 1922, nr. 115. - D. L i n o w s k i: Przegląd Wieczorny. Warszawa r. 1922 dn. 29 kwietnia. - B r o n i s ł a w G u b r y n o w i c z: Książka - r. 1922, nr. 4.

ORIENTACJA WEWNETRZNA. Moskwa 1926.

Dziennik Kijowski z 19 grudnia 1916 r. - G u s t a w O l e c h o w s k i: Gazeta Polska. Moskwa r. 1916, nr. 268. - A. L. P o g o d i n: Iz polskoj politiczeskoj mysli na czużbinie /Z polskiej myśli politycznej na obczyźnie/ w mies. Russkaja Myśl. Moskwa 1917 styczeń. /Przekład tej rozprawy ogłosiła w styczniu wychodząca w Moskwie Gazeta Polska/. "Filozofia woli narodowej" p. Stan. K o z i c k i e g o /Czytelnik/ Sprawa Polska 1917, nr. 2.

NA WSCHODNIM POSTERUNKU.

L u d w i k W ł o d e k: Tygodnik Ilustrowany. Warszawa r. 1919, nr. 50-52. - Z d z. D ę b i c k i: Kurier Warszawski r. 1919, nr. 331. - I g n a c y G r a b o w s k i: Księga Pielgrzymstwa. Głos Lubelski. R. 1920, nr. 144. - M i e c z y s ł a w S m o l a r s k i: Człowiek a naród. Gazeta Warszawska. R. 1919, nr. 351. - V. D r e s l e r: Valčna anabasa polskych vyhnancu. - Česke Slovo. Praga r. 1919, nr. 278. - I g n. C h r z a n o w s k i: Księga Pielgrzymstwa, Studia i szkice, t. II. Krak. 1939.

O ŻYCIU I KATASTROFACH CYWILIZACJI NARODOWEJ.

L u d w i k B u j a l s k i: Kamień węgielny. O podstawę narodowego programu. Z powodu książki Z. Wasilewskiego O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej. Warszawa r. 1921. Nakładem księg. Perzyński, Niklewicz i Sp.. Stronic 77. - J a n E. S k i w s k i: Struktura duszy narodowej. Refleksje na temat książki Z. Wasilewskiego "O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej." Słowo Polskie, Lwów 1927, nr. 45-52 /8 odcinków/. Por. T e n ż e: Poza wieszczbiarstwem i pedanterią. Poznań r. 1929. - A d a m G r z y m a ł a - S i e d l e c k i: Duch sprawcą dziejów. Rzeczpospolita 1921, nr. 3. - W i n c e n t y L u t o s ł a w s k i: Życie i katastrofy cywilizacji narodowej. Kurier Poranny. Warszawa z 23 i 24 listopada r. 1920. - Por. odpowiedź: Z. Wasilewski "Dyskusje" /Bez-

droża metafizyki/.Str.138-172.- Z d z i s ł a w D ę b i c k i:Zagadnienia cywilizacji narodowej.Kurier Warszawski r.1921,nr.72.- K a r o L. K o n i ń s k i: Dwie postaci konkretywizmu. Myśl Narodowa.r.1926, nr.34,35 i 36.

DYSKUSJE.

Z d z. D ę b i c k i: Kurier Warszawski r.1926,nr.73.- T a d e u s z G r a b o w s k i:Kurier Poznański r.1926,nr.128.- An t o n i W y - s o c k i: Książka o sumieniu Polaków. Gazeta Warszawska r. 1926,nr.9: I r e n a P a n n e n k o w a: Warszawianka. Warszawa r.1926,nr.127.-

JAN KASPROWICZ. Warszawa 1923.

I g n a c y C h r z a n o w s k i:Gazeta Warszawska r.1924,nr.349.- M i e c z y s ł a w S m o l a r s k i. Kurier Poznański r.1923,nr.75. Z d z. D ę b i c k i. Kurier Warszawski r.1923,nr.56.- R a j m u n d B e r g e l:Onorate altissimo poeta. Głos Narodu. Kraków r.1923,nr108. A u re l i D r o g o s z e w s k i w Przeglądzie Humanistycznym. Warszawa r.1923,zesz.IV,str.338-340. Por.odpowiedź a u t o r a: O portret poety. Myśl Narodowa. Warszawa nr.13 z r.1925,a potem w książce "Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim". Warszawa r.1927 od str.11.- B r. C h l e b o w s k i: K siążka. Warszawa r.1907,nr.3.

PRZEŁĘCZ KASPROWICZA.

K a z. C z a c h o w s k i: Czas. Kraków r.1931,nr.157.

LISTY DZIENNIKARZA W SPRAWACH KULTURY NARODOWEJ.

Dziennik Polski ,Lwów 1907,nr.545.

Z ŻYCIA POETY ROMANTYCZNEGO,Lwów 1910.

Gazeta Warszawska ,1910,nr.285.-Kurier Poznański 1910,nr.232.- Goniec Codzienny, Wilno 1910,nr.176.- T a d e u s z D ą b r o w s k i: Goszczyński w Galicji. Słowo Polskie , Lwów 1910,nr.444.- S t a n i s ł a w Z d z i a r s k i:Przegląd Powszechny 1911,tIV,zeszyt grudniowy.- Przegląd,Lwów 1912.- I n g a r: Pouczające dzieje. Słowo Warszawskie 1910,nr.449.- Dod.II do nr.93 Kur.Poznańskiego,1911.

O SZTUCE I CZŁOWIEKU WIECZNYM, Lwów 1910.

Dziennik Cieszyński, r.1910,nr.242.- Gazeta Lwowska, r.1910,nr.240.-

Kurier Zagłębia, r.1910,nr.347.-C/e p n i k/:Dziennik Polski.Lwów r. 1910,nr.282.- S a v i t r i /Z a h o r s k a/:Wobec wielkiego problemu.Apostoł czynu.Swiat. Warszawa r.1910,nr.46.- W ł a d. J a b ł o n o w s k i: Sztuka a człowiek wieczny. Gazeta Warszawska ,r.1910,nr. 131.- B.B.:Przegląd idei: O sztuce i człowieku wiecznym Zygmunta Wasilewskiego. Widnokręgi. Lwów r.1910.Listopad.- Z. D ę b i c k i: Słowo a czyn. Kurier Warszawski,r.1910.- J. K a l l e n b a c h: Gazeta Narodowa.Lwów 1911,nr.12.- I g n. C h r z a n o w s k i: Z.W.jako krytyk. Tygodnik Ilustrowany. Warszawa 1910, nr.46.- C e z a r y J e l l e n t a: Przegląd /miesięcznik/.Warszawa 1912.

S.GOSZCZYŃSKI. PISMA. TOW.WYD. Lwówl 1904.

S t a n. Z d z i a r s k i: Przegląd Powszechny.Kraków r.1904,wrzesień. M a r i a n S z y j k o w s k i: Poeta-romantyk.Nowa Reforma. Kraków r.1910,nr.588.- P/i o t r/ C h/m i e l o w s k i/:Nowa Reforma. Kraków r.1904. Gazeta Polska. Warszawa r.1904,nr.23.- /A.G.S i e d l e c k i/: Kurier Warszawski r.1904,styczeń.-

S.GOSZCZYŃSKI. DZIEŁA ZBIOROWE. Lwów 1912. Wyd.Altenberga.

E d w a r d P a s z k o w s k i: Dzieła Goszczyńskiego. Dziennik Kijowski r.1912,nr.234.- L u d w i k S k o c z y l a s: Słowo Polskie. Lwów r.1912,nr.259.- W a c ł a w O r ł o w s k i: Swiat. Warszawa r. 1912.- S t a n i s ł a w P i g o ń: Przyczynki do wydania i bibliografii S.Goszczyńskiego. Pamiętnik Literacki XXII-XXIII,str.568-585.-

WSPÓŁCZEŚNI. Warszawa 1924.

W a c ł a w F i l o c h o w s k i: Słowo Polskie. Lwów r.1924,nr.101.- R a j m u n d B e r g e l: Galeria konterfektów. Głos Narodu. Kraków r.1924,nr.121.- I r e n a P a n n e n k o w a: Warszawianka. Warszawa r.1926,nr.122.- Ze sweta Slovanskeho. Novinar historikem. Českij DEnik, Praga r.1926,nr.59.

WSPOMNIENIA O KASPROWICZU I ZEROMSKIM. Warszawa 1927.

S t a n i s ł a w C y w i ń s k i: Dziennik Wileński.r.1928,nr.67. R a j m u n d B e r g e l: Rewolucyjna książka. Polonia. Katowice r. 1928,nr.92 /dod.nr.8/.- J ó z e f B i r k e n m a j e r: Kurier Poznański.r.1928,nr.20.- Z d z. D ę b i c k i: Kurier Warszawski r.1927

nr.300. -R a j m u n d B e r g e l: Głos Narodu.r.1928,nr 27.- K a z. C z a c h o w s k i: Żeromski i o Żeromskim. Czas.Kraków r.1928,nr.3. J.E.Skk i w s k i. Tęcza. Poznań r.1927,nr.7.- J ó z e f B i r k e n-m a j e r. Gazeta Warszawska Poranna r.1927,nr.353.- J a n D ą b r o-w s k i. Robotnik r.1928 ,nr.211.- A u r e l i D r o g o s z e w s-k i: Kilka nieporozumien i pomyłek Z.W. Wiadomości Literackie.Warsza-wa r.1928,nr.39.- L e o n P o m i r o w s k i. Polska Zbrojna.Warsza-wa r.1928,nr.71.- I r e n a D r z d o w i c z ó w n a. Ruch Lite-racki. Warszawa luty 1928.- A n t o n i W y s ó c k i. Echa Leśne. Warszawa r.1930,nr.12.- S o u v e n i r s: Pologne Litteraire.Warsza-wa r.1928,nr.15.

POECI I TEATR.

I g n a c y C h r z a n o w s k i: Dwie książki Z.W. Gazeta Warszaw-ska r.1929,nr.209.- S t a n. C y w i ń s k i: O Z.Wasilewskim i jego książce ostatniej. Dziennik Wileński r.1929,nr.124.- Z d z. D ę b i c-k i. Kurier Warszawski r.1929,nr.65.- T a d e u s z M i k u l s k i. Gazeta Warszawska r.1929,nr.207.- C z e s ł a w J a n k o w s k i. Słowo. Wilno r.1929,nr.107.- T a d e u s z G r a b o w s k i. Kurier Poznański r.1929,nr.358.- Wśród nowych książek. Kurier Poranny. War-szawa r.1929 z 24 kwietnia.-J.E. S k i w s k i: Dwa reflektory.Teatr /Teatr Polski/.Warszawa r.1929,nr.4.- S t a n. A d a m c z e w s k i. Pamiętnik Warsz.r.1929,zesz.2.- S t a n. M i ł a s z e w s k i. Tygod-nik Ilustrowany r.1929,nr.23.- I z a S a u n o w a. Slavische Rund-schua.Praga,Zg.II nr.

PIEŚŃ W GÓRACH.

S t a n. M i ł a s z e w s k i: Pieśń w górach. Rzeczpospolita.Warsza-wa r.1929,nr.309 i 316.- J.E. S k i w s k i.Kurier Poznański r.1929, nr.522.- L e s z e k K o n o p a c k i: Ziemia i poeci. Myśl Narodo-wa, Warszawa r.1930,nr.8.- Z d z. D ę b i c k i: Pieśń w górach. Ku-rier Warszawski r.1929,nr.312.- T e o f i l S y g a: Krytyka twórczą-ca. Polska Literacka, Warszawa r.19292,nr.1. Pieśń w górach. Gazeta Warszawska r.1929,nr.369.- J.E. S k i w s k i.Wiadomości Literackie, Warszawa r.1930,nr.11.-Pieśń w górach. Świat ,Warszawa r.1929,nr.46.

nr.300. - S t e j m u n d B e r g e l: Czas Narodu r.1928,nr 27.- K a z. C z a c h o w s k i: Żeromski i o Żeromskim. Czas.Kraków r.1925,nr.5. J.E.Skiwski. Życie. Poznań r.1927,nr.7.- J ó z e f B i r k e n m a j e r. Gazeta Warszawska Poranna r.1927.nr.363.- J a n D e b r o w s k i. Robotnik r.1933,nr.211.- A u r e l i P r o g o s z o w s k i: Kilka nieporozumień i porządek Z.Ż. Wiadomości Literackie.Warszawa r.1933,nr.59.- L e o n P o m i r o w s k i. Polska Zbrojna.Warszawa r.1933,nr.71.- I r e n a D r z d o w i c z ó w n a. Ruch Literacki. Warszawa luty 1933.- A n t o n i W y s o c k i. Echa Leśne. Warszawa r.1930,nr.12.- S o u v e n i r s: Pologne Littéraire, Warszawa r.1933,nr.15.

POPIÓŁ I PRAWDA.

I g n a c y C h r z a n o w s k i: Dwie książki Z.Ż. Gazeta Warszawska r.1929,nr.209.- S t a n. C y w i ń s k i: O Z.Wasilewskim i jego książce ostatniej. Dziennik Wileński r.1929,nr.124.- E d z. D ę b i c k i. Kurier Warszawski r.1929,nr.63.- T a d e u s z M i k u l s k i. Gazeta Warszawska r.1929,nr.297.- G z e s ł a w J a n k o w s k i. Słowo. Wilno r.1929,nr.107.- T a d e u s z G r a b o w s k i. Kurier Poznański r.1929,nr.385.- Wśród nowych książek. Kurier Poranny. Warszawa r.1929 z 24 kwietnia.- J.N. S k i w s k i: Dwa reflektory.Teatr /Teatr Polski/.Warszawa r.1929,nr.4.- S t a n. A d a m c z e w s k i. Pamiętnik Warsz.r.1929,zesz.2.- S t a n. M i ł a s z e w s k i. Tygodnik Ilustrowany r.1929,nr.33.- I z a b. S a n u n o w a. Slavische Rundschau.Praga,Zg.II nr.

PIEŚŃ W GÓRACH.

S t a n. M i ł a s z e w s k i: Pieśń w górach. Rzeczpospolita.Warszawa r.1928,nr.303 i 316.- J.E. S k i w s k i.Kurier Poznański r.1928, nr.522.- T e s z e k K o n o p a c k i: Ziemia i poeci. Myśl Narodowa. Warszawa r.1930,nr.8.- Z d z. D ę b i c k i: Pieśń w górach. Kurier Warszawski r.1929,nr.312.- T e o f i l S y g a: Krytyka twórca. Polska Literacka. Warszawa r.1929,nr.1. Pieśń w górach. Gazeta Warszawska r.1929,nr.369.- J.E. S k i w s k i. Wiadomości Literackie. Warszawa r.1930,nr.11.- Pieśń w górach. Świat. Warszawa r.1929,nr.46.

Ob.z powodu tej recenzji uwagi: Brak kultury. Myśl Narodowa r.1929,nr. 51.- J al u K ur e k: Natura a sztuka. Głos Narodu, Kraków r.1930,nr. 114.- P aw e ł K r z o w s k i. Polonia r.1930,nr.192.- S t a n. B r z e z i ń s k i.Rzeczpospolita.r.1931,nr.341.- M.W. /M a r y l a W o l s k a/: Świat Kobiecy.Lwów r.1930,nr.6.

WNUKOM O PRAPRADZIADKU.

T.D./I w a s z k i e w i c z/: Na marginesie dobrej książki. Gazeta Warszawska r.1931,157.-F. Wnukom...Świat.Warszawa r.1932,nr.5.- J e r z y D r o b n i k: Klasycyzm i romantyzm. Tęcza. Poznań r.1931,nr.2. J.E. S k i w s k i: Echa Listopadowe. Kurier Poznański r.1936,nr.573.- Z d z. D ę b i c k i. Kurier Warszawski r.1930,nr.332.-

NORWID.

S t a n i s ł a w C y w i ń s k i: O gwiaździsty diament Norwida.- Wilno r.1935,nr.str.83.- T e n ż e: O jasność dokoła Norwida. Dziennik Wilenski r.1934,nr.349.- T e n ż e: O pojmowanie poezji. Dziennik Wileński r.1935,nr.106.- T e n ż e: Naukowe studium literatury a krytyka literacka /teoria i praktyka/. Myśl Narodowa r.1935,nr.13.- T e nż e: Na manowcach intuicjonizmu i aprioryzmu. Tygodnik Ilustrowany r.1935,nr.17.- T e n ż e: Sprostowanie sprostowania. Tygodnik Ilustrowany r.1939,nr.20.- T en ż e: Pamiętnik Literacki T.XXXII,zesz.3-4, r.1935,str.560-568.- O S t. C y w i ń s k i e g o: O gwiaździst y diament Norwida pisali: Przegląd Powszechny r.1935,nr,25.- R e m i g i u s z N e y. Głos r.1935,nr.4.- A.G. S i e d l e c k i: Nad "Norwidem" Wasilewskiego. Myśl Narodowa r.1935,nr.11-12.-H. Ż y c z y ń s k i: Spór o Norwida. Prąd /mies./.Lublin r.1935,wrzesień.- S t. C y w i ń s k i: Na marginesie szkicu H.Życzyńskiego. Prąd. Lublin r.1935, czerwiec.- J.E. S k i w s k i: O Norwida spór zasadniczy. Tygodnik Ilustrowany r.1935,nr.20.- W ł a d. T a r n a w s k i: Nowe zdobycze polonistyki. Kurier Lwowski. Lwów r.1935,dod.do nr.82.- A.G. S i e d l e c k i. Kurier Warszawski r.1935,nr.132.- J a n i n a B u d k o w s k a: Literat na cenzurze. Pax . Wilno r.1936,nr,1-2.- K a z i m i e r z C z a c h o w s k i. Nowa Książka. Warszawa r.1936,nr.9.-

E u g e n i a K r a s s o w s k a. Wiadomości literackie. Warszawa r.1936,nr.39.- W ł a d. A r c i m o w i c z: Pobili się znów krytycy o poety wiersze. Kurier Wileński r.1935,nr.37.- O odczycie Z.W. w Kole Polon.U.P. Kurier Poznański r.1931,nr.217.- Autor w sprawie powyższych krytyk zabierał głos: Sprawa o mit Norwida. Gazeta Warszawska r.1934,nr.317.- Kurier Poznański r.1934,nr.555. Myśl Narodowa. Warszawa r.1935,nr.18 i 37. Myśl Narodowa, Na widowni,nr.7 r.1935.

ASPAZJA I ALCYBIADES.

A. G r z y m a ł a - S i e d l e c k i: Pani Kalergis w nowej sukni. Kurier Warszawski r.1935,nr.312.- S i m p l e x: Szkice o powieści warszawskiej. Kurier Lwowski r.1935,nr.238.- P i o t r G r e g o r c z y k: Portret Norwida w powieści. Warszawski Dziennik Narodowy r. 1935,nr.208.- M a r i a D y n o w s k a: Poganka i jej klimat. Kurier Poznański r.1935,nr.569.- W a s y l e w s k i S t a n.: Norwid w trzech osobach. Gazeta Polska. Warszawa r.1935, z 8 grudnia.- T a d e u s z B o y - Ż e l e ń s k i: Czy powieść o Norwidzie? Wiadomości Literackie. Warszawa r.1935,nr,46.- A u r e l i D r o g o s z e w s k i: Nowa książka. Warszawa r.1936,nr.5.- T a d e u s z S i n k o. Ilustrowany Kurier Codzienny. Kraków r.1935,nr.334.- Autor odpowiada krytykom: Z powodu Narcyzy Żmichowskiej. Myśl Narodowa r.1936,nr.37.- Rozmowa z krytykami. Myśl Narodowa r.1936,nr.38-39. Tamże / Na widowni/ r.1936,nr.4. Czy to Karol Baliński? Ruch Literacki. Warszawa r.1935 nr.1

AUTORZY RECENZJI

Adamczewski St.
Arcimowicz W.
Balicka G.
Bem A.G.
Baranowski K.
Brückner Al.
Bujalski L.
Berbel R.
Birkenmajer J.
Brzeziński St.
Bołowy W.
Budkowska J.
Chmielowski P.
Chrzanowski
Cepnik H.
Czerny Ad.
Charkiewicz W.
Czachowski K.
Cywiński St.
Dąbrowski T.
Dębicki Zdz.
Dresler W.
Drogoszewski A.
Drobnik J.
Dąbrowski Jan
Drozdowicz Irena

Grabowski Ign.
Grabowski T.
Gubrynowicz Br.
Grzegorczyk P.
Grużewski Tad.

Filochowski W.

Iwaszkiewicz
Jellenta C.
Jabłonowski Wł.
Janczuk N.
Jankowski Cz.

Kallenbach J.
Konczyński T.
Korbut G.
Kotarbiński J.
Koskowski B.
Kozicki St.
Kleiner J.
Kosiakiewicz W.
Koniński K.L.
Konopacki L.
Krzowski P.
Kurek Jalu
Krassowska E.
Kołaczkowski

Lutosłaswki W.
Łopaciński H.

Malinowski M.
Mikulski T.
Miłaszewski St.
Makowieski T.

Ortwin O.

Orłowski W.
Olechowski G.

Piechal M.
Piasecki St.
Pogodin N.L.
Pigoń St.
Paszkowski E.
Panennkowa Ir.
Pomirowski L.

Rogalski
Rembieliński J.
Rabski Wł.
Ruśkiewicz T.

Sinko T.
Schroeder A.
Siedlecki G.A.
Skoczylas L.
Syga T.B.
Szyjkowski M.
Smolarski M.
Skiwski J.E.

Tarnawski Wł.

Włodek L.
Wnuk Wł.
Wysocki A.
Wąsylewski St.
Wolska M.

Wyka K.

B.

Załuska J.

Zahorska /Savitri/

Zdziarski St.

Życzyński H.



